

**Tim Powers**

# **Na nieznanych wodach**

*On Stranger Tides*

Tłumaczył

Łukasz Małecki



*Jimowi i Viki Blaylockom,  
najbardziej wielkodusznym  
i najwierniejszym przyjaciołom,  
pamięci Erica Batsforda  
i Noela Powersa,*

*z podziękowaniami dla  
Davida Carpentera, Bruce'a Olivera,  
Randala Robba, Johna Swarzela,  
Philipa Thibodeau i Dennisa Tuppera  
za jasne odpowiedzi na niejasne pytania.*

## Prolog

Choć podczas marszu Benjamin Hurwood czuł na plecach chłód wieczornej bryzy, na razie wiatr nie podjął się wydmuchiwanie parnego powietrza, które zalegało między splątanymi pnączami i pniami drzew palmowych. Twarz mężczyzny lśniła od potu, jeszcze zanim czarnoskóry przewodnik zdążył go wprowadzić choćby dziesięć jardów w głąb dżungli. Hurwood unosił maczetę lewą - i jedyną - ręką, z niepokojem spoglądając na cienie, które zdawały się tłoczyć dookoła i nad ich głowami, za oświetloną blaskiem pochodni roślinnością. Opowieści o kanibalach i ogromnych węzach nagle zaczęły wydawać się całkiem wiarygodne, dlatego - pomimo ostatnich wydarzeń - trudno mu było powierzyć własne bezpieczeństwo kolekcji wołowych ogonów, płóciennych woreczków oraz drobnych figurek wiszących u pasa jego towarzysza. W tym pradawnym, tropikalnym lesie ani trochę nie pomagała mu myśl, że te fetysze to raczej amulety, talizmany i *drogue*, jego towarzysz zaś to raczej bokor niż znachor czy szaman. Czarnoskóry mężczyzna skinął pochodnią i odwrócił się do Hurwooda.

- Teraz w lewo - powiedział ostrożnie po angielsku, po czym dodał pospiesznie w jednym ze zubożonych francuskich dialektów Haiti: - I uważaj, jak stąpasz, ścieżkę w wielu miejscach podmyły strumyki.

- W takim razie idź wolniej, żebyś widział, gdzie stawiasz stopy- odparł rozdrażniony Hurwood płynnym, książkowym francuskim. Zastanawiał się, jak bardzo musiał dotychczas ucierpieć jego idealny akcent, przez ostatnie miesiące wystawiany na wpływy tak wielu odmian języka.

Ścieżka wznosiła się coraz bardziej stromo i już niebawem musiał schować maczetę, by wolną ręką odgarniać gałęzie i wspinać się wyżej. Przez chwilę serce biło mu tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi, choć przecież dostał od czarnoskórego mężczyzny ochronną *drogue*. Zaraz potem wynurzyli się jednak z gęstej dżungli na polanę, gdzie odnalazła ich morską bryza. Hurwood zawołał do swego towarzysza, aby na chwilę przystanął; chciał złapać oddech i nacieszyć się powiewem chłodnego, świeżego powietrza w mokrych siwych włosach i pod zapoconą koszulą.

Słyszał postukiwanie i szelest wiatru w gałęziach palm poniżej, a między rzadszymi teraz pniami widział wodę - lśniący w blasku księżycy fragment Języka Oceanu, przez który

tego popołudnia przyплыли tu z New Providence. Przypomniał sobie, że już z daleka zauważył to wzniesienie i że cały czas o nim myślał, kiedy, ku wielkiej satysfakcji cholerycznego przewodnika, mocował się z szotem, trzymając żagle.

Na mapach znajdowała się tu wyspa Andros, choć ludzie, z którymi ostatnio przestawał, zwykli określać ją mianem Isle de Loas Bossals, co, jak wywnioskował, oznaczało: Wyspa Nieokiełznanych (lub, być może precyzyjniej, Złych) Duchów (albo, jak się czasem wydawało - Bogów). Jemu to miejsce przywodziło na myśl wybrzeże Persefony, gdzie wreszcie odnajdzie okienko, które pozwoli mu zajrzeć do Hadesu.

Usłyszał za plecami bulgot i odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak przewodnik odkorkowuje jedną z butelek. W świeżym powietrzu rozszedł się ostry zapach rumu.

- Do diaska - warknął Hurwood. - To na duchy.

Bokor wzruszył ramionami.

- Wziąłem za dużo - wyjaśnił. - Za dużo rumu, za wiele przyjdzie.

Jednoręki mężczyzna nie odpowiedział, choć znów zaczął żałować, że nie ma wystarczającej wiedzy - zamiast prawie wystarczającej - by poradzić sobie w pojedynkę.

- Już niedaleko - powiedział bokor, po czym wcisnął butelkę z powrotem do wiszącej na ramieniu skórzanej torby.

Znów podjęli miarowy marsz wilgotną, wydeptaną ścieżką, choć Hurwood poczuł pewną różnicę - teraz ktoś ich obserwował.

Czarnoskóry mężczyzna również to wyczuł i spojrzął za siebie przez ramię, szczerząc dziąsła niemal tak białe jak zęby.

- Zwąchały rum - stwierdził.

- Jesteś pewien, że to nie ci biedni Indianie?

- Indianie śpią - odparł przewodnik. - Ci, których wzrok wyczuwasz, to loa.

Choć jednoręki mężczyzna zdawał sobie sprawę, że na razie nie ma co liczyć na niezwykle widoki, potoczył dookoła wzrokiem. Po raz pierwszy dotarło do niego, że trudno doszukać się w tym otoczeniu jakichkolwiek osobliwości - palmy i bryza nie różniły się przecież zbyt od palm i bryzy Morza Śródziemnego. Być może ta karaibska wyspa pod wieloma względami przypominała tę, na której tysiące lat temu Odyseusz odprawił swój rytuał. Dziś zamierzali go powtórzyć.

\* \* \*

Dopiero gdy dotarli na polanę na szczycie wzniesienia, zrozumiał, że cały czas lękał się

tej chwili. Sama sceneria nie miała w sobie nic złowieszczonego - był to oczyszczony płat ubitej ziemi, po jednej stronie stał szałas, a pośrodku cztery pale, podtrzymujące trzciniowe zadaszanie nad drewnianą skrzynią. Hurwood wiedział jednak, że w szałasie znajdują się dwaj odurzeni Arawakowie, a po przeciwnej stronie niewielkiego namiotu długi na sześć stóp, wyłożony ceratą dół w ziemi.

Czarnoskóry mężczyzna podszedł do zadaszanej skrzyni - tronu czy ołtarza - i bardzo ostrożnie odczepiwszy od pasa kilka drobnych figurek, ustawił je na wieku. Skłonił się i cofnął, a następnie odwrócił do mężczyzny, który poszedł za nim na środek polany.

- Wiesz, co teraz? - zapytał czarnoskóry.

Hurwood zorientował się, że to sprawdzian.

- Skropić rumem i posypać mąką ziemię wokół dołu - odparł, starając się nadać głosowi zdecydowany ton.

- Nie - powiedział bokor. - Teraz. Jeszcze wcześniej. - W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała podejrzliwość.

- Och, wiem, o co ci chodzi - Hurwood próbował kupić sobie odrobinę czasu, podczas gdy jego umysł w pośpiechu szukał odpowiedzi. - Wydawało mi się, że to oczywiste. - Tylko o co mu, u licha, chodziło? Czyżby Odyseusz zrobił na początku coś jeszcze? Nie, a w każdym razie nic, co by odnotowano. Tyle że Odyseusz żył w czasach, gdy magia była łatwiejsza i stosunkowo nieskażona. Tak, z pewnością chodziło właśnie o to: w przypadku równie jawnego działania niezbędne były środki ostrożności, aby utrzymać na postronku potwory zwabione zamieszaniem.

- Mówisz o środkach ochronnych.

- Składających się z...

Z jakich zabezpieczeń korzystano na wschodniej półkuli, gdy wciąż działała tam magia? Z pentagramów i kręgów.

- Ze znaków na ziemi.

Czarnoskóry mężczyzna kiwnął głową, udobruchany.

- Tak - rzucił. - Potrzebny jest *verver*. - Ostrożnie odłożył pochodnię na ziemię i przez chwilę gmerał w torbie. W końcu wyciągnął niewielką sakiewkę, a z niej wydobył szczyptę szarego popiołu. - Nazywamy to mąką z Gwinei - wyjaśnił, po czym uklęknął i zaczął posypywać popiołem ziemię, tworząc skomplikowaną figurę geometryczną.

Biały człowiek odetchnął swobodniej, maskując strach pewnością siebie. Jak wiele można się było nauczyć od tych ludzi! Choć bez wątplenia prymitywni, wciąż mieli kontakt z

żywymi mocami, o których w ucywilizowanych regionach świata istniały już tylko wypaczone przekazy.

- Proszę - odezwał się bokor, ściągając z ramienia torbę i rzucając ją Hurwoodowi. - Możesz wysypać mąkę i rozlać rum... Są też cukierki. Loa mają słabość do słodkości.

Hurwood podszedł do płytkiego dołu - w blasku pochodni jego wydłużony cień sięgał aż do spiętrzonych kęp liści, które opasały polanę - i pozwolił torbie ciężko uderzyć o ziemię. Pochyliwszy się, wydobył ze środka butelkę z rumem, odkorkował ją zębami i obszedł dół, rozlewając aromatyczny alkohol wokół zagłębienia. Kiedy zatoczył pełny krąg, na dnie wciąż znajdowały się dwa spore łyki - wypił je, nim cisnął pustą butelkę na bok. W torbie znalazł również sakiewki z mąką i cukierkami. Rozsypał to wszystko wokół dołu z irytującą świadomością, że porusza się jak chłop nawadniający i obsiewający bruzdy na polu.

Na dźwięk metalicznego pisku odwrócił głowę w kierunku szalasu i ujrzał rozgrywające się na polanie przedstawienie, które obudziło w nim tyle samo nadziei, co przerażenia: bokor z wysiłkiem pchał taczkę z dwoma nieprzytomnymi, ciemnoskórymi ciałami. Szkoda, że to musi być ludzka krew, że nie wystarczy owcza, jak w czasach Odyseusza, pomyślał przelotnie, lecz zacisnął zęby i pomógł bokorowi wylądować ciała na ziemię, tak by ich głowy znajdowały się odpowiednio blisko dołu.

Bokor wyciągnął w stronę jednorękiego mężczyzny niewielki nóż do obierania.

- Chcesz sam?

Hurwood pokręcił głową.

- Są twoi - powiedział ochryple. Odwrócił się i wpatrzył w płomień pochodni. Czarnoskóry mężczyzna uklęknął nad ciałami, a kiedy kilka chwil później Hurwood usłyszał odgłos tryskającej i lejącej się strumieniem na ceratę krwi, zamknął oczy.

- Teraz słowa - rzucił bokor, po czym zaczął nucić w dialekcie, który powstał z połączenia elementów francuskiego, języka afrykańskiego regionu Mondongo i mowy Indian karaibskich, podczas gdy biały człowiek, wciąż zaciskając powieki, nucił po starohebrajsku.

Przypadkowy kontrapunkt ich śpiewu stawał się coraz głośniejszy, jakby próbowali zagłuszyć nowe odgłosy dżungli: ściszony chichot i płacz, ostrożny szelest w gałęziach palmowców i trzeszczenie podobne do odgłosu pocierania jedną wylinką węża o drugą.

Raptem obie litanie zlały się i dwaj mężczyźni śpiewali w idealnym unisono, sylaba za sylabą - mimo że biały wciąż posługiwał się starohebrajskim, a czarnoskóry osobliwą mieszanką języków. Hurwood, zdumiony tą niemożliwą zbieżnością dźwięków, nawet teraz, gdy wciąż uczestniczył w śpiewie, poczuł pierwsze dreszcze szczerzego podziwu. Przez

drażniące opary rozlanego rumu i cuchnącej rdzą krwi przebił się niespodziewanie nowy zapach - magiczny zapach rozgrzanego żelaza, silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej...

I nagle okazało się, że wcale nie są sami. Wręcz przeciwnie - na polanie zaroilo się od niemal przezroczystych ludzkich sylwetek i tylko tam, gdzie zachodziło na siebie kilka postaci, światło wydawało się przyćmione. Wszystkie te bezcielesne istoty tłoczyły się przed dołem w ziemi, łkając błagalnie świergotliwymi, ptasimi głosami. Słowa pieśni zamarły mężczyznom na ustach.

Pojawiły się też inne postaci, choć żadna nie przekroczyła linii popiołu, który bokor rozsypał wzdłuż granic polany, i tylko wyglądały spomiędzy palm albo kuliły się wśród gałęzi. Hurwood dostrzegł ciele o płonących oczodołach, unoszącą się w powietrzu głowę ze zwisającym z szyi upiornym wahadłem kręgosłupa, a między drzewami kilka istot, które bardziej niż ludzi przypominały owady. I podczas gdy wewnątrz usypanego z popiołu znaku nie cichło piskliwe trajkotanie, duchy spoza ververu milczały.

Bokor odpędzał zjawy od dołu zamaszystymi cięciami nożyka.

- Szybciej! - wydyszał. - Szukaj tego, na którym ci zależy.

Hurwood podszedł do krawędzi dołu i przyjrzał się uważnie niematerialnym istotom. Pod wpływem jego wzroku niektóre stawały się wyraźniejsze, niczym nitki białka z pękniętego jajka we wrzącej wodzie.

- Benjaminie! - szorstki, słabowity głos przebił się przez dochodzący zewsząd bełkot. - Benjaminie, to ja, Peter! Byłem drużbą na twoim ślubie, pamiętasz? Przekonaj go, żeby pozwolił mi się pożywić!

Bokor spojrział pytająco na białego mężczyznę. Hurwood pokręcił głową, a wtedy nóż mignął w powietrzu i zgrabnie przeciął zebrzącego ducha w pół. Z niewyraźnym jękiem mglista istota rozplynęła się niczym obłok dymu.

- Ben! - zaskrzeczała inna. - Niech cię Bóg błogosławi, synu, twój widok przynosi mi pokrzepienie. Wiedziałem...

- Nie - rzucił Hurwood. Zaciśnął usta, gdy nóż znów błysnął i kolejny urwany lament umknął z wiatrem.

- Nie mogę ich wiecznie powstrzymywać... - wysapał bokor.

- Jeszcze chwilę - warknął Hurwood. - Margaret!

W jednej z grup zapanowało poruszenie, aż w końcu z krzepnącej masy zjaw wysunęła się naprzód pajęcza sylwetka.

- Benjaminie, jak się tu dostałeś?

- Margaret! - zawył, lecz w jego głosie więcej było bólu niż radości zwycięstwa. - Ona - rzucił do bokora. - Pozwól jej przejść.

Bokor przestał wymachiwać nożem i zaczął dźgać wszystkie cienie oprócz tego, który wskazał Hurwood. Duch zbliżył się do dołu, rozplątał i skurczył, po czym ukazał wyraźnie raz jeszcze, tym razem w pozycji klęczącej. Kobieta wyciągnęła rękę w stronę krwi, ale niespodziewanie zatrzymała ją i tylko dotknęła masy z mąki i rumu, okalającej dół. Na krótką chwilę jej postać stała się nieprzezroczysta dla światła pochodni, a ręka wystarczająco cielesna, by potoczyć o kilka cali jeden z cukierków.

- Nie powinno nas tu być, Benjaminie - powiedziała nieco dźwięczniejszym głosem.

- Krew, weź krew! - krzyknął jednoręki mężczyzna, padając na kolana po przeciwnej stronie dołu.

W zupełnej ciszy zjawa przemieniła się w dym i uleciała, choć zimne ostrze noża nawet jej nie drasnęło.

- Margaret! - zawył mężczyzna i rzucił się ponad dołem w skłębioną masę duchów. Rozstały się przed nim jak pajęczce sieci rozciągnięte między drzewami i gruchnął szczęką o twardą, ubitą ziemię. Dzwonienie w uszach prawie zagłuszyło chór strwożonych głosów, które chwilę później pochłonęła cisza.

Hurwood usiadł i rozejrzał się dookoła. Światło pochodni wydawało się jaśniejsze, gdy nie pochłaniały go zwiewne ciała duchów.

Bokor przyglądał mu się z góry.

- Mam nadzieję, że było warto - rzucił.

Hurwood nie odpowiedział. Podniósł się na nogi powoli, z wysiłkiem, pocierając obtarty podbródek i odgarniając z twarzy wilgotne, siwe włosy. Potwory wciąż stały, kucaly i zwisały z drzew za linią popiołu; najwyraźniej żaden z nich nie poruszył się ani nawet nie mrugnął podczas całego przedstawienia.

- Świetnie się bawicie, co?! - krzyknął Hurwood po angielsku, wygrażając w ich stronę pięścią. - Może skoczę przez ten dół raz jeszcze, żebyście nie czuły się nabite w butelkę? - Jego głos był coraz ostrzejszy, a gardło coraz bardziej ściśnięte; zamrugał szybko, robiąc krok w kierunku obrzeża polany i wskazując jednego ze strażników - wielką świnię z pękiem kogucich głów wyrastających z szyi. - Pan, drogi panie - ciągnął, naśladowując przesadnie serdeczny ton. - Czy byłby pan tak uprzejmy i podzielił się z nami szczerą opinią? Postąpiłbym roztropniej, gdybym spróbował sił w żonglerce, albo może z pomalowaną twarzą i sztucznym nosem...

Bokor złapał go z tyłu za ramię i obrócił. W jego oczach lśniło zdumienie i coś na kształt



współczucia.

- Przestań - przykazał mu łagodnie. - Większość z nich i tak cię nie słyszy i nie sądzę, żeby którykolwiek rozumiał angielski. O wschodzie znikną, wtedy będziemy mogli stąd odejść.

Wyrwawszy się z uścisku czarnoskórego mężczyzny, Hurwood wrócił na środek polany i usiadł nieopodal dołu z dwiema wyciśniętymi z soków skorupami ciał. Metaliczny zapach magii przepadł, ale wiatr nie pomagał rozpędzić odoru krwi.

Od wschodu słońca dzieliło ich dziewięć, dziesięć godzin i do tego czasu musieli tu pozostać, Hurwood wiedział jednak, że tej nocy nie zmruży oka. Perspektywa długiego oczekiwania napawała go obrzydzeniem.

Przypomniał sobie słowa bokora: „Mam nadzieję, że było warto”.

Spojrzał w górę, na gwiazdy, i uśmiechnął się do nich wyzywająco. Spróbujcie mnie teraz powstrzymać, pomyślał, i tak zajmie wam to całe lata. Teraz wiem, że to prawda. Wiem, że to możliwe. Tak - choćbym musiał zabić tuzin Indian, by się tego nauczyć, tuzin białych, tuzin przyjaciół... wciąż będzie warto.

# Księga I

*Morze i pogoda są tym, czym są.*

*Twój okręt podporządkuje się im albo zatonie.*

*Jack Shandy*

## Rozdział pierwszy

Ściskając jedną z naprężonych lin, John Chandagnac wychylił się za reling. Poczekał, aż spiętrzona fala uniesie potężną, trzeszczącą rufę i pokład rufówki, na którym właśnie stał, i dopiero wówczas cisnął sucharem najdalej, jak potrafił. W pierwszej chwili sądził, że wzięł mocny zamach, ale suchar skręcił ostro w stronę wody. Mimo to mewa dostrzegła kąsek i przyfrunęła, niemalże ślizgając się brzuchem po powierzchni zielonego morza. Złapała zdobycz w ostatniej chwili, jakby chciała się popisać zręcznością. Suchar ukruszył się, gdy wzlatywała na dogodniejszą wysokość, ale wydawało się, że uszczknęła dla siebie całkiem sporo.

Chandagnac miał w kieszeni jeszcze jeden suchar, lecz przez chwilę przyglądał się w roztargnieniu, jak mewa szybuje w powietrzu. Podziwiał jej grację - wystarczyło najdelikatniejsze podciągnięcie i machnięcie skrzydeł, by utrzymała swą pozycję tuż nad lampą rufową na sterburcie „Hałaśliwego Carmichaela”. Odetchnął, wciągając w nozdrza niewyraźny zapach łądu, który wyczuwał już od wschodu słońca. Kapitan Chaworth twierdził, że wczesnym popołudniem ujrzą fioletowo-zielone wzgórza Jamajki, przed kolacją okrążą Morant Point, a przed zmrokiem zadokują w Kingston. I chociaż wyładunek „Carmichaela” oznaczał dla Chawortha koniec zmartwień, które wyraźnie odbiły się na jego wadze podczas ostatniego tygodnia podróży, zejście na ląd było dopiero początkiem misji Chandagnaca.

Nie zapominaj też, pomyślał chłodno, wyciągając z kieszeni drugi suchar, że podobnie jak Chaworth ponosisz przynajmniej część winy za swoje problemy. Tym razem rzucił kromką mocniej, dzięki czemu mewa musiała zanurkować w powietrzu tylko kilka jardów, by złapać smakołyk.

Odwrócił się w stronę niewielkiego stolika śniadaniowego, przy którym kapitan pozwalał jeść pasażerom, gdy ruszał w poranny obchód, by zająć się swoimi rutynowymi zadaniami. Z zaskoczeniem zobaczył młodą kobietę, w której brązowych oczach lśniło zainteresowanie.

- Złapała? - zapytała przybyszka.

- Oczywiście - odparł Chandagnac i wrócił do stołu, żalując, że się nie ogolił. - Czy pani suchary też powinienem jej rzucić?

Kobieta odsunęła krzesło i ku zaskoczeniu Chandagnaca powiedziała:

- Sama rzucę... o ile ona nie ma nic przeciwko robakom.

Chandagnac zerknął w kierunku szybującego ptaka.

- Przynajmniej jeszcze nie uciekła.

Przez twarz kobiety przemknęło wahanie, ale podniosła suchar z nieproszonymi gośćmi i długimi krokami podeszła do relingu. Chandagnac zauważył, że tego ranka z większą swobodą utrzymywała równowagę, ale gdy tylko spojrzała w dół, cofnęła się o krok, ponieważ rufówka znajdowała się dwanaście stóp nad wzburzoną wodą. Lewą ręką złapała za reling i pociągnęła, jakby chciała sprawdzić, czy nie jest luźny.

- Wolałabym nie spaść - stwierdziła lekko drżącym głosem.

Chandagnac podszedł do niej i chwycił ją za przedramię.

- Proszę się nie bać - powiedział i nagle z pewną irytacją stwierdził, że mocniej bije mu serce.

Wziąwszy zamach zza głowy, dziewczyna rzuciła suchar, a biało-szary ptak posłusznie zanurkował, znów łapiąc zdobycz nad samą wodą. Śmiech, który Chandagnac słyszał po raz pierwszy, był ciepły i radosny.

- Założę się, że śledzi każdy okręt płynący na Jamajkę, bo wie, że ludzie na pokładzie z chęcią wyrzucą za burtę starą żywność.

Chandagnac kiwnął głową i wrócili do niewielkiego stolika.

- Nie narzekam na nadmiar pieniędzy, ale nie mogę przestać myśleć o kolacji dzisiaj wieczorem w Kingston. O krwistej wołowinie, świeżych warzywach i piwie, które nie śmierdzi jak gorąca smoła...

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Szkoda, że mnie nie wolno jeść mięsa.

Chandagnac przesunął się ze stołkiem o stopę w lewo, aby wysoki, napięty łuk bezanu osłonił go przed porannym słońcem. Chciał lepiej widzieć emocje malujące się na twarzy tej nagle interesującej ósóbki.

- Zauważyłem, że je pani wyłącznie warzywa - stwierdził, leniwie podnosząc serwetkę.

Przytaknęła.

- Środki odżywcze i lecznicze, tak o nich mówi mój lekarz. Uważa, że cierpię na chorobę mózgu w stadium początkowym. Nabawiłam się jej w klasztorze w Szkocji, gdzie pobierałam nauki. To on jest fachowcem, więc pewnie ma rację, chociaż jeśli mam być szczerą, czułam się znacznie lepiej, znacznie żywiej, zanim zaczęłam przestrzegać jego wskazań.

Chandagnac odpruł luźną nitkę od serwetki i zabrał się do następnej.

- Pani lekarz? - zapytał niezobowiązująco. Nie chciał powiedzieć niczego, co mogłoby popsuć radosny nastrój dziewczyny i zamienić ją z powrotem w niezdarną, małomówną współpasażerkę, którą była przez ostatni miesiąc. - Czy to ten... okazały jegomość?

Zaśmiała się.

- Biedny Leo. Może raczej gruby. Korpulentny. Tak, to właśnie on, doktor Leo Friend. Człowiek dość trudny w obyciu, ale mój ojciec zarzeka się, że na całym świecie nie ma lepszego lekarza.

Chandagnac odwrócił wzrok od swojej robótki.

- Czyżby postanowiła pani zrezygnować z... kuracji? Wydaje się pani dzisiaj znacznie radośniejsza.

Serwetka kobiety leżała na stole. Podniósł ją i też zaczął skubać.

- Chyba pan zgadł. Wczoraj wieczorem wyrzuciłam talerz tej zieleniny przez okno kajuty. Mam nadzieję, że ta biedna mewa tego nie zjadła - to była tylko okropna porcja ziół i chwastów, które Leo hoduje w swoim pudełku. Przekradłam się do kuchni pokładowej i wyblagałam kucharza, by dał mi trochę ostrego sera, marynowanej cebuli i rumu. - Uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Po prostu musiałam zjeść coś, co ma smak.

Chandagnac wzruszył ramionami.

- Jadałem gorzej.

Kiedy już z obu serwetek wypruł po trzy nitki, zawiązał je w pętelki, po czym wyszarpnął, sprawiając, że kwadratowe skrawki materiału ściągnęły się w kształt przypominający dzwonki. Wsunął palce w pętelki. Serwetki wyprostowały się i zbliżyły do siebie w imitacji ludzkiego chodu. Jedna z nich ukloniła się, zaś druga dygnęła, po czym obie szmaciane postaci - jedna z nich sprawiała wrażenie subtelnie kobiecej - zatańczyły na blacie, wirując, podskakując i wywijając skomplikowane piruety.

Młoda kobieta zaklaskała z zachwytem, a Chandagnac sprawił, że serwetki podeszły w jej stronę. Zanim pozwolił, by zsunęły mu się z palców, pierwsza raz jeszcze dygnęła, a druga ukloniła się nisko.

- Dziękuję, panno Hurwood - powiedział głosem mistrza ceremonii.

- To ja dziękuję, panie Chandagnac - odparła dziewczyna. - I pańskim nadzwyczaj żywym serwetkom. Darujmy sobie te formalności, jestem Beth.

- Świetnie - skinął głową - ja mam na imię John. - Już w chwili gdy to mówił, zaczął żalować impulsu, pod wpływem którego zachęcił ją do zwierzeń. Nie miał ani czasu, ani szczerzej ochoty wiązać się z kolejną kobietą. Pomyślał o psach, które spotykał czasami na

ulicach miast i na które gwizdał, by sprawdzić, czy zamerdają ogonem. Zbyt często okazywało się, że były skłonne łączyć za nim całymi godzinami.

Wstał i uśmiechnął się uprzejmie.

- Cóż - zaczął - na mnie już pora. Muszę omówić kilka spraw z kapitanem.

W zasadzie, skoro już o tym mowa, rzeczywiście mógłby poszukać Chawortha. „Carmichael” płynął spokojnie z wiatrem i z pewnością nie wymagał nieustannego nadzoru. Może udałoby się jeszcze przed lądowaniem usiąść i po raz ostatni pogawędzić przy piwie. Chandagnac chciał pogratulować Chaworthowi niewątpliwego sukcesu, jakim było uniknięcie opłat ubezpieczeniowych, wiedział jednak, że będzie to musiał zrobić delikatnie, chyba że zostaną sami. Chciał także napomnieć go, by nigdy więcej nie próbował równie lekkomyślnych sztuczek. W końcu Chandagnac w przeszłości sam był wziętym przedsiębiorcą i dostrzegał różnicę między ostrożnie skalkulowanym ryzykiem a uzależnianiem kariery i reputacji od rzutu monetą. Oczywiście zamierzał udzielić kapitanowi nagany w żartobliwym tonie, by starszek nie zaczął żałować swojej pijackiej gadatliwości.

- Och - westchnęła Beth, zawiedziona, że Chandagnac nie może zostać dłużej.- Cóż, w takim razie chyba przysunę sobie krzesło do relingu i popatrzę na ocean.

- Ależ sam je tam zaniosę. - Beth wstała, a Chandagnac podniósł krzesło i ruszył z nim w stronę relingu na sterburcie. Postawił je kilka jardów od jednego z niedużych dział na obrotowych stojakach, które marynarze nazywali folgerzami. - Cień będzie tutaj tylko przez chwilę - powiedział z powątpiewaniem - i nie schowasz się przed wiatrem. Jesteś pewna, że nie wolałabyś zejść pod pokład?

- Leo z pewnością uznałby to za lepsze rozwiązanie - odparła Beth, dziękując Chandagnacowi uśmiechem i siadając - ale wolałabym nie przerywać wczorajszego eksperymentu. Chcę sprawdzić, jakąż to zaraza dopada człowieka od normalnego jedzenia, słońca i świeżego powietrza. Poza tym ojciec jest teraz pochłonięty badaniami, co oznacza, że prędzej czy później zagrąca całą podłogę kajuty jakimiś papierzyskami, wahadełkami, kamertonami i Bóg raczy wiedzieć czym jeszcze. W każdym razie, kiedy już to wszystko rozłoży, nie da się ani stamtąd wyjść, ani wejść do środka.

Chandagnac zawahał się, wbrew sobie zaciekawiony.

- Badaniami? A czym się zajmuje?

- Cóż, nie jestem pewna. Dawniej zgłębiał matematykę i filozofię naturalną, ale odkąd sześć lat temu porzucił katedrę w Oksfordzie...

Podczas miesięcznej podróży Chandagnac zaledwie kilka razy widział ojca Beth-

dostojnego starszego mężczyznę z jedną ręką, który nie przejawiał zainteresowania życiem pokładowym. Nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, ale teraz z podekscytowaniem pstryknął palcami.

- Oksford? Benjamin Hurwood?

- Zgadza się.

- A zatem twój ojciec jest...

- Żagiel na horyzoncie! - krzyk doleciał wysoko z góry, sponad pajęczyny na wantach grotmasztu. - Daleko przed nami na bakburcie!

Beth wstała i razem z Chandagnakiem przebiegła przez pokład na bakburtę. Wychyliłi się przez reling i wyciągnęli szyje, próbując cokolwiek dostrzec przez gąszcz olinowania trzech masztów, który zasłaniał im widok. Chandagnac doszedł do wniosku, że łatwiej byłoby zobaczyć z góry scenę w teatryku marionetek. Ta myśl zbyt wyraźnie przypomniała mu jednak o ojcu, w związku z czym odegnął ją i skupił się na wypatrywaniu okrętu.

W końcu zdołał dostrzec białą plamkę na leniwie kołyszącym się horyzoncie i wskazał ją palcem. Obserwowali ją przez kilka minut, ale nie wyglądało na to, by się zbliżała. A ponieważ morska bryza po tej stronie okrętu wydawała się chłodniejsza, mimo że nic nie zasłaniało słońca, postanowili wrócić na sterburtę.

- Twój ojciec jest autorem... Tytuł wyleciał mi z głowy. Obalenia teorii Hobbesa.

- *Oczyszczenia wolnej woli*. - Beth oparła się o reling, zwrócona w kierunku rufy, a pęd powietrza rozwiewał jej długie, ciemne włosy. - Zgadza się. Choć, jeśli dobrze rozumiem, Hobbes i mój ojciec byli przyjaciółmi. Czytałeś?

Po raz drugi Chandagnac pożałował, że się odezwał, ponieważ książka Hurwooda należała do szerokiego kanonu lektur, który musiał za młodu przerobić z ojcem. Cała ta poezja, historia, filozofia, sztuka - na co to komu, skoro koniec końców Archimedes zginął od miecza bezrozumnego żołnierza, a Ajschylosowi śmiertelny cios zadał ptak, zrzucając zółwia na jego łysą głowę, którą pomylił z głazem?

- Tak - powiedział. - Wydaje mi się, że w gruncie rzeczy obalił ideę Hobbesa, zgodnie z którą kosmos można sprowadzić do roli maszyny. - Nie dając Beth szansy, by przytaknęła bądź zaprzeczyła, dodał natychmiast: - Ale jak się do tego mają wahadła i kamertony?

Beth zmarszczyła czoło.

- Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, na jakim polu prowadzi teraz badania. Odkąd umarła moja mama, zrobił się bardzo skryty. Czasem odnoszę wrażenie, że on też wówczas umarł, a przynajmniej ta jego część, która... sama nie wiem, potrafiła się śmiać. Przez ostatni rok

był jednak bardziej aktywny. Od tej katastrofalnej podróży na Wyspy Karaibskie. - Pokręciła głową, a na jej twarzy odmalowało się zakłopotanie. - To dziwne, że strata ręki dała mu tyle energii.

Chandagnac uniósł brwi.

- Co się stało?

- Przepraszam, sądziłam, że już słyszałeś. Okręt, którym płynął, został zaatakowany przez piratów Czarnobrodego. Kula zmiażdżyła mu rękę. Zaskoczyło mnie, że postanowił tu wrócić, choć tym razem zabrał ze sobą jakiś tuzin naładowanych pistoletów i zawsze nosi przy sobie co najmniej dwa.

Chandagnac roześmiał się w duchu, oczyma wyobraźni widząc starego oksfordzkiego akademika z palcem na spuście, który tylko czeka na okazję, by zastrzelić jakiegoś pirata.

Znad błękitnej wody doleciał donośny, stłumiony huk, jakby ogromny głaz uderzył o kostki bruku. Zaciekawiony Chandagnac ruszył przez pokład rufówki, by ponownie przyjrzeć się nadpływającemu okrętowi. Zanim jednak zrobił dwa kroki, jego uwagę przykuł biały pióropusz wody, który rozprysł się sto jardów za sterburtą.

W pierwszej chwili pomyślał, że obcy okręt to kuter rybacki, a rozprysk znaczy miejsce wyskoku jakiejś wielkiej ryby, lecz zaraz potem usłyszał krzyk obserwatora w bocianim gnieździe, tym razem bardziej przenikliwy:

- Piraci! Pojedynczy słup, szaleni głupcy!

Beth podskoczyła.

- Boże miłosierny... - wymamrotała. - Czy to prawda?

Chandagnac czuł się bardziej zaskoczony niż wystraszony, choć serce zabiło mu mocniej.

- Nie wiem - rzucił, pospiesznie maszerując na bakburtę - ale jeśli to prawda, obserwator ma rację, są szaleni. Słup jest niewiele większy od żaglówki, a my na „Carmichaelu” mamy trzy maszty i osiemnaście ciężkich armat.

Musiał podnieść głos, tak aby Beth go słyszała. Ciszę poranka, którą dotychczas zakłócało jedynie niemilknące poskrzypywanie drewna i plusk wody, przerwały gorączkowe rozkazy, tupot bosych stóp na niższych pokładach i świst lin mknących przez bloczki. Był jeszcze jeden dźwięk, odległy, lecz o wiele bardziej niepokojący - gwałtowne metaliczne pobrzękiwanie i łoskot, któremu towarzyszyło zawodzenie trąbek. Ktokolwiek w nie dał, robił to z miłości do hałasu, a nie muzyki.

- To są piraci - powiedziała pełnym napięcia głosem Beth, zaciskając dłonie na relingu



obok Chandagnaca. - Ojciec opisywał mi te hałasy. Będą też tańczyć, żeby nas przestraszyć. Nazywają to przechwałkami.

Skuteczna metoda, pomyślał Chandagnac, lecz uśmiechnął się do Beth uspokajająco.

- Przestraszyłbym się, gdyby płynęli na okazalszym okręcie albo my na marniejszym.

- Uwaga, przechodzi! - doleciał z niższego pokładu krzyk i Chandagnac zobaczył, jak sternik z pomocą innego mężczyzny z całych sił pcha rumpel na sterburtę. Ponad głowami marynarzy rozbrzmiały głośnie jęki i poskrzypywanie drewna. Długie poziome drzewce i wybrzuszony żagle zaczęły się wolno obracać wzdłuż osi masztów - te wyżej pod większym kątem, te niżej pod mniejszym.

Przez cały ranek okręt był lekko pochylony na sterburtę. Teraz wyprostował się i nie trwając zbyt długo w tej pozycji, przechylił tak głęboko na bakburtę, że Chandagnac musiał objąć jedną ręką Beth, a drugą napięte liny takielunku. Zaciskał dłoń na luźniejszej wyblince, a kolanami napierał na fałszburtę, gdy pokład się unosił. Stolik śniadaniowy zsunął się i uderzył z impetem o reling niecały jard od dziewczyny. Talerze, sztućce i poskręcane serwetki zawirowały w cieniu kadłuba, po czym wpadły do wody tuż pod nimi.

- Niech to szlag! - wycedził przez zaciśnięte zęby Chandagnac, rzucając okiem na wzburzone morze. Okręt zastygł, przekrzywiony. - Nie wierzę, żeby ci piraci mogli nas zabić, ale nasz kapitan bardzo się stara!

Odchylił głowę, by spojrzeć na horyzont, ale po chwili ścisnęło go w żołądku i musiał spuścić wzrok z powrotem na wodę. Zdażył jednak ogarnąć kołyszącą się z lewa na prawo perspektywę i dostrzec piracki okręt, już nie tak odległy, podskakujący wraz z morskim pejzażem coraz dalej od dziobu. Przesuwał się na trawers i chociaż Chandagnac patrzył niemal prosto na jego dziób, zauważył, że w istocie mieli do czynienia ze słupem. Był to jednomasztowy okręt z ożaglowaniem gafflowym, składającym się z dwóch sfatygowanych i pocerowanych żagli - jednym zwężającym się ku tyłowi wzdłuż bomu, drugim biegnącym przez dziób aż do końca wyjątkowo długiego bukszprytu. Za nadburciem tłoczyły się obdarte postaci, które rzeczywiście zdawały się tańczyć.

Chandagnac poczuł, jak pokład napiera na jego stopy. Horyzont przesunął się, gdy okręt wracał do pionu, ale teraz wiatr i słońce znajdowały się po stronie ćwiartki rufowej sterburty. Wciąż obejmując Beth, Chandagnac ruszył w stronę drabinki.

- Uciekaj na dół! - krzyknął.

Po drabince wspinał się jednak Benjamin Hurwood. Nawet w tym zamieszaniu Chandagnac nie potrafił oderwać od niego wzroku. Stary profesor miał na sobie odświętną

kamizelkę, długi płaszcz i upudrowaną perukę. Podciągał się, zahaczając o szczeble kolbą pistoletu, który trzymał w jedynej ręce, a w supłach szarfy przewieszzonej przez ramię tkwił spory rynsztunek.

- Zabiorę córkę pod pokład - rzucił starszek, stanąwszy na rufówce. Pchnął dziewczynę w stronę drabinki. Beth ruszyła na dół, a Benjamin tuż za nią, co rusz spoglądając przez ramię. - Ostrożnie! - krzyczał. - Ostrożnie, na litość boską!

W przypiływie zupełnego ogłupienia Chandagnac zadał sobie pytanie, czy na minutę lub dwie przed atakiem stary Hurwood nie znalazł przypadkiem kilku chwil na przetopienie ołowiu i odlanie pistoletowych kul, ponieważ bez wątpienia śmierdział rozgrzanym metalem. Hurwood i Beth znikli, on zaś musiał się cofnąć na tył rufówki, by zejść z drogi marynarzom, którzy wspinali się po drabince. Stał przy stoliku śniadaniowym, zaklinowanym przy relingu, który pełnił teraz funkcję miniaturowego przepierzenia, tak aby nikomu nie zawadzać. Zastanawiał się, czyby nie wypalić z tych dwunastofuntowych armat i dlaczego kapitan tak długo z tym zwleka.

Jak na zawołanie, pokładem wstrząsnęły trzy wyraźne eksplozje. Czyżby jednak strzelali? - pomyślał, lecz gdy szybko obrócił się, by wyrzucić przez reling w stronę bakburty, nie dostrzegł dymu ani rozbryzgów wody.

Ujrzał za to piracki słup, który skręcał na wschód, wyostrzając do spokojnego wiatru. Halsował na „Carmichaela”, by podплыnąć do jego bakburty od strony rufy.

Dlaczego, do licha, zastanawiał się Chandagnac z rosnącym niepokojem, nie strzelaliśmy, gdy szli prosto na nasz trawers albo gdy zmienili kurs i pokazali nam burtę? Obserwował, jak mijają go zabiegani marynarze, aż w końcu zauważył krępą sylwetkę Chawortha, który stał przy drabince nadbudówki dziobowej. W tej samej chwili poczuł skurecz w żołądku, ponieważ kapitan „Carmichaela” wyglądał na równie zaskoczony milczeniem armat, co on. Przesunął się obok stolika bliżej drabinki, by widzieć, co się dzieje na śródokręciu.

Chaworth podbiegł do zejściówki pokładu działowego. Z dołu buchnęła grzywa czarnego dymu, a marynarze podnieśli krzyk:

- Jezu, jedna z armat wybuchła!
- Trzy, trzy wybuchły, wszyscy na dole nie żyją!
- Do szalup! Zaraz zapali się proch!

Przez narastającą wrzawę przebił się huk pistoletu, a marynarz, który wzywał do opuszczenia okrętu, odbił się od kabestanu i padł na pokład. W jego głowie ziała krwawa dziura po kuli. Chandagnac oderwał wzrok od trupa i zauważył dymiący pistolet w ręku zwykle dobrodusznego Chawortha.

- Pójdziecie do szalup, kiedy wydam taki rozkaz! - krzyknął kapitan. - Nie wybuchła żadna armata, nawet nie ma tam ognia! To tylko dym...

Jakby na potwierdzenie jego słów z kłębów wyłonił się tuzin kaszlących mężczyzn. Ich ubrania i twarze były czarne od czegoś, co przypominało sadzę.

- ...a to wciąż tylko mały słup - ciągnął kapitan - więc obsadźcie folgerze i łapcie za muszkiety! Szable w dłoń!

Jeden z marynarzy odepchnął Chandagnaca, by dostać się do folgerza, a Chandagnac w pośpiechu umknął do stosunkowo bezpiecznego schronienia przy zaklinowanym stoliku. Czuł się zupełnie zdezorientowany. Do diabła, myślał z konsternacją, kucając za osłoną, tak ma wyglądać wojna na morzu? Wróg tańczy i dmie w trąbki, mężczyźni ucharakteryzowani na Murzynów wybiegają spod pokładu jak statyści na scenie teatru komediowego w Londynie, zaś jedyny pocisk, który wystrzelił nasz kapitan, był przeznaczony dla członka załogi?

Wokół Chandagnaca zaroilo się od rozgorączkowanych marynarzy, gotowych do manipulowania szotami i fałami. Dwóch podbiegło do folgerzy zamontowanych na bakburcie rufówki, na lewo i na prawo od Chandagnaca. Upewniwszy się, że są załadowane, przygotowali je do strzału i czekali, uważnie obserwując piracki słup i co kilka sekund dmuchając na tłące się końcówki knotów.

Chandagnac klęczał. Wolał obserwować rozwój wypadków spomiędzy dwóch stanowisk strzeleckich niż znad relingu. Patrzył, jak niski, płytko zanurzony słup dogania „Carmichaela”. Znajdowało się na nim kilka sporych dział, ale płasający piraci nie zwracali na nie uwagi, wymachując w powietrzu pistoletami, kordelasami i hakami.

Z pewnością zależy im, aby „Carmichael” wyszedł z bitwy bez szwanku, pomyślał Chandagnac. Ciekawe, czy kiedykolwiek się dowiedzą, jak bardzo pomogła im w tym cuchnąca katastrofa, która okaleczyła naszych kanonierów. O ile go rzeczywiście zdobędą.

Na pokład rufówki z wysiłkiem wdrapał się Benjamin Hurwood, tym razem dosłownie najeżony pistoletami. Wciąż miał ich sześć w szarfie i jeden w dłoni, a ponadto pół tuzina innych wetkniętych za pas. Wyglądając zza stolika, Chandagnac widział wyraz ponurej determinacji na twarzy jednorękiego profesora i musiał przyznać, że - przynajmniej w tej niebezpiecznej sytuacji - więcej było w nim dumy niż groteskowości.

Marynarz na stanowisku strzeleckim chwycił za gałkę na końcu uchwyty folgerza, obrócił lufę w stronę rufy i obniżył ją nieco, by wycelować. Powoli uniósł tłący się knot. Znajdował się zaledwie pięć stóp od Chandagnaca, który w napięciu obserwował jego ruchy.

Chandagnac wyobrażał sobie, jak działo wypala; jak wypalają wszystkie działa na

okręcie, jak wtórują im muszkiety i pistolety, jak deszcz ołowiu i odłamków stali zalewa zatłoczony piracki stateczek. Po dwóch, może trzech salwach bezbronny, spowity w chmurę dymu słup przechyliłby się w stronę wody. Przez ten dym widzieliby niewyraźnie oszołomionych niedobitków pełzających po rozerwanych na strzępy ciałach towarzyszy. „Carmichael” wróciłby na kurs, podejmując niespodziewanie przerwana podróż, a kapitan Chaworth, najadłszy się sporo strachu, wypiłby z Chandagnakiem piwo ochoczo jak nigdy.

Huk strzału doleciał jednak Chandagnaca z za pleców, a marynarz, którego obserwował, wpadł z impetem na folgerz. Zanim runął bezwładnie za reling, Chandagnac dostrzegł krwawą ranę na jego plecach. Gdzieś na pokładzie dało się słyszeć metaliczny szczęk, a zaraz po nim kolejny strzał i znów ten sam szczęk.

Chandagnac odwrócił się i wyjrzał z za dębowej osłony w samą porę, by zobaczyć, jak Hurwood wyciąga trzeci pistolet i strzela wprost w zdumioną twarz jednego z dwóch marynarzy, którzy mocowali się z szotem bezanu. Nieszczęśnik runął do tyłu i uderzył głową o pokład, a drugi marynarz jęknął, skulił się i rzucił w stronę drabinki. Hurwood upuścił pistolet, który dymiąc na deskach pokładu, wydał metaliczny dźwięk, i złapał za następny. Kolejny strzał roztrzaskał kołek, wokół którego marynarze owinęli szot bezanu, i uwolniona lina zaczęła się wić, mknąc przez podskakujące bloczki. Zaraz potem trzydziestostopowy żagiel, pozbawiony jakiegokolwiek kontroli, wyrzucił się i zamachnął ciężkim bomem na bakburtę, rozrywając olinowanie z taką łatwością, jakby było zrobione z gnijącej przędzy. W jednej chwili luźne wanty i wyblinkki wystrzeliły w powietrze, a okręt zadrżał, gdy tylny maszt przechylił się na sterburtę. Z góry doleciał trzask rej, które nie wytrzymały obciążenia i zaczynały pękać.

Marynarz obsługujący folgerz po przeciwnej stronie leżał na pokładzie twarzą w dół - najwyraźniej to on był celem drugiego strzału Hurwooda.

Stary profesor jak dotąd nie zauważył schowanego za stolikiem Chandagnaca. Chwyciwszy naładowany pistolet, podszedł do szczytu drabinki i z zimną krwią wycelował w dół, w zdezorientowaną ciżbę na pokładzie rufowym.

Nie namyślając się długo, Chandagnac wstał i pokonał odległość dzielącą go od staruszka dwoma wielkimi susami. W chwili gdy Hurwood zaciskał palec na spuście, uderzył go w krzyż ramieniem. Kula chybiła, nie robiąc nikomu krzywdy, i obaj mężczyźni spadli z drabinki.

Chandagnac podciągnął kolana, by zrobić w powietrzu przewrót i wylądować na nogach, a kiedy uderzył w pokład, przekoziółkował i wpadł na jednego z marynarzy, pozbawiając go równowagi. Natychmiast poderwał się i spojrzał za plecy w poszukiwaniu

staruszka, lecz widok zasłaniał mu spanikowani marynarze. Od czasu do czasu powietrze rozcinał huk wystrzału, a brzęk rykoszetu sprawiał, że ludzie odruchowo kucali i przypadali do pokładu, ale Chandagnac nie widział, kto strzela.

Zaraz potem, przy akompaniamencie trzasków pękającego olinowania, potężne drzewce runęło na pokład, wstrząsając okrętem i miażdżąc część nadburcia obok Chandagnaca. Odbiwszy się, wyleciało za burtę, a tuż obok - jakby ktoś upuścił z wysoka naręczę książek - gruchnął o pokład obserwator z gniazda. Dopiero lśniący w słońcu przedmiot, który nagle pojawił się obok Chandagnaca, pomógł mu opanować obezwładniający strach. Nad relingiem przeleciał hak; jeszcze zanim spadł na pokład, ktoś szarpnął linę, dzięki czemu zęby zahaczyły się o reling.

Do relingu doskoczył jeden z marynarzy, by odczepić hak, póki lina była luźna, lecz strzał w plecy zwałił go z nóg. Chandagnac potknął się o jego ciało. Klękając przy nadburciu, rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu Hurwooda, przekonany, że to jednoręki starzec zabił marynarza. Gdy jednak kula roztrzaskała w drzazgi fragment klepki pod jego stopami, błyskawicznie wykręcił głowę w kierunku, z którego padł strzał, i ujrzał Leo Frienda. Otyły, wystrojony niczym fircyk lekarz Beth stał na pokładzie dziobowym dziesięć jardów od Chandagnaca, celując do niego z pistoletu.

Chandagnac rzucił się przez zaśmiecony pokład, a kula wyrwała dziurę w nadburciu, gdzie jeszcze przed chwilą klęczał. Skoczył na równe nogi i nisko pochylony popędził przez tłum wzdłuż relingu sterburty.

Tuż obok, w wielkiej kałuży krwi, leżał zwinięty w kłębek marynarz. Chandagnac w pośpiechu przewrócił go na bok, by wydobyć dwa załadowane pistolety, których kolby wystawały nieszczęśnikowi zza pasa. Marynarz otworzył oczy. Próbował coś powiedzieć przez strzaskane zęby, lecz Chandagnac wyczerpał już ostatnie pokłady współczucia. Chwycił pistolety, kiwnął do umierającego głową, by dodać mu otuchy, po czym odwrócił się w kierunku pokładu dziobowego.

Potrzebował kilku sekund na odnalezienie tęgiej sylwetki Frienda. Okręt, ustawiony burtą do wiatru, nie przestawał się kołysać i Chandagnac musiał nieustannie przenosić ciężar ciała z jednej nogi na drugą, by utrzymać pion. W końcu spostrzegł grubego lekarza, który opierał brzuch o reling na dziobie. Upuścił wystrzelony pistolet i spokojnie wyciągnął nowy z pudełka, które trzymał oparte o lewe ramię.

Chandagnac próbował uspokoić oddech. Przyklęknął, by złapać równowagę, a kiedy okręt na krótką chwilę zatrzymał się, wychylony maksymalnie na bakburtę, uniósł jeden z

pistoletów i ostrożnie wycelował, zezując ponad kostką kciuka, w stronę szerokiego torsu Frienda. Pociągnął za spust.

Odrzut niemalże wykręcił mu nadgarstek, lecz gdy tylko wiatr rozpędził gryzący dym, Chandagnac zobaczył, że otyły lekarz wciąż stoi na nogach, uważnie dobierając cele spośród tłoczących się na śródokręciu marynarzy.

Puścił wystrzelony pistolet, uniósł oburącz drugi i nie do końca świadomy, co robi, ruszył przez pokład. Z odległości nie większej niż piętnaście stóp wypalił z pistoletu prosto w brzuch lekarza.

Otyły mężczyzna, nawet nie draśnięty, spojrzał na Chandagnaca z pogardliwym uśmiechem, po czym wyciągnął z pudełka jeszcze jeden pistolet. Przez smród prochu, spoconych ciał i roztrzaskanego drewna przebił się jeszcze jeden zapach - jakby podmuch wiatru przyniósł ze sobą woń rozgrzanego żelaza.

Jednakże zaraz potem Friend odłożył pistolet z powrotem do pudełka, bo walka dobiegła końca. Na pokład wdarł się jakiś tuzin piratów, kolejni wisieli na linach za burtą. Ci marynarze, którzy jeszcze żyli, odkładali broń.

Chandagnac odrzucił pistolet i cofnął się ostrożnie do sterburty, patrząc z niedowierzaniem na rozradowanych piratów. Żółte zęby i przekrwione oczy lśniły na twarzach, które - gdyby się nie poruszały - można by wziąć za wyglansowany mahoń. Kilku wciąż śpiewało tę samą piosenkę, nie milknącą od chwili rozpoczęcia pościgu. Byli ubrani jak dzieci, które ktoś przyłapał na plądrowaniu teatralnej garderoby. I choć ich miecze i pistolety nosiły ślady intensywnego użytkowania, a twarze, ręce i nogi przecinały na wszystkie strony wyblakłe blizny, tworząc nieregularny, poszarpany wzór pręg i plam, w porównaniu z zimną premedytacją Hurwoda i Frienda wszyscy wydawali się Chandagnacowi niewinnie dzicy, jak drapieżne ptaki.

Jeden z piratów wystąpił naprzód i wspinał się zwinnie na rufówkę. Chandagnac był zaskoczony, gdy mężczyzna odwrócił się i odsunął z czoła trikorn. Ciemne policzki przecinała bowiem siatka głębokich zmarszczek, a w spletanych czarnych włosach lśniły pasemka siwizny. Nieznajomy potoczył wzrokiem po zgrupowaniu na śródokręciu, po czym przymknął oczy i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu, prezentując pełne uzębienie.

- Więźniowie! - zaczął szorstkim, choć wesołym głosem, ucinając rozmowy. - Nazywam się Philip Davies i jestem nowym kapitanem tego okrętu. Zbierzcie się przy grotmaszcie, żeby moi ludzie mogli sprawdzić, czy nie chowacie gdzieś ukrytej broni, jasne? Skank, zabierz Tholomewa i paru innych pod pokład i wykurzcie resztę na górę. Tylko

ostrożne, dość krwi na dzisiaj.

Ośmiu żywych członków pobitej załogi przesunęło się na środek pokładu, powłócząc nogami. Chandagnac dołączył do nich pospiesznie i oparł się o solidną oś masztu, mając nadzieję, że piraci przypiszą jego chwiejny krok kołysaniu okrętu, a nie strachowi. Zerkając na przywódcę piratów, dostrzegł za jego głową mewę, która, wyraźnie uspokojona faktem, że strzały wreszcie zamilkły, załopotała skrzydłami i przycupnęła na jednej z lamp. Trudno było uwierzyć, że niespełna pół godziny temu leniwie rzucał jej suchary razem z córką Hurwooda.

- Panie Hurwood! - zawołał tymczasem Davies. - Hurwood? Dobrze wiem, że cię nie zabili. Gdzieżeś się podział?

- Nie - doleciało stęknienie zza ciał leżących pod drabinką rufówki. - Nie zabili. - Hurwood usiadł. Znikła gdzieś jego peruka, a ubranie było w nieładzie. - Żałuję tylko, że nie mam amuletu chroniącego przed upadkiem.

- Masz za to Pana Los-Darzy, który chroni cię przed krzywdą - odparł chłodnym głosem Davies. - Żaden z tych chłopców go nie miał. - Machnął ręką w kierunku porzucanych ciał i rannych marynarzy. - Żaden upadek nie byłby dla ciebie zbyt dotkliwy.

- Moja córka jest pod pokładem - rzucił zaniepokojony Hurwood. Gdy wreszcie doszedł do siebie, w jego głos wkradło się zniecierpliwienie. - Ktoś jej pilnuje, ale powiedz swoim ludziom, żeby nie...

- Nie zrobią jej krzywdy. - Dowódca piratów rozejrzał się krytycznym wzrokiem po okręcie. - Całkiem zgrabną łajbę nam tu sprowadziłeś - stwierdził. - Zdaje się, że jednak słuchałeś, co mówimy. Payne, Rich! Weźcie na górę kilku chłopca i odetnijcie całe niepotrzebne drewno, olinowanie i płótno. Podreperujcie mi ją tak, żeby dała radę przepłynąć przez Wielką Ławicę Bahamską.

- Tak jest, Phil! - zawołało dwóch piratów, wskakując na wanty.

Davies zszedł po drabince na pokład rufowy i przez kilka sekund przyglądał się rozbrojonym mężczyznom przy maszcie. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Czterech moich chłopców zginęło podczas pościgu i abordażu - stwierdził cicho.

- Jezu... - wyszeptał mężczyzna stojący obok Chandagnaca, zamykając oczy.

- Ale - ciągnął Davies - waszych zginęła ponad połowa, więc uważam rachunki za wyrównane.

Żaden z marynarzy się nie odezwał, lecz Chandagnac usłyszał kilka głębokich westchnień i szuranie stopami o pokład. Dopiero wtedy zrozumiał, że właśnie uniknął wyroku śmierci.

- Możecie odpłynąć w szalupie - ciągnął Davies. - Hispaniola leży na wschód, Kuba na północ, Jamajka na południowy zachód. Dostaniecie pożywienie, wodę, mapę, sekstans i kompas. Albo - dodał radośnie - jeśli któremu w to graj, może z nami zostać. Na morzu żyje się łatwiej niż gdzie indziej. Każdy ma udział w zyskach i prawo, żeby wycofać się po wyprawie.

Dziękuję, ale nie skorzystam, pomyślał Chandagnac. Kiedy tylko uporam się z moim... zadaniem w Port-au-Prince i wrócę do domu, nigdy więcej nie zbliżę się do żadnego morza na odległość kija.

Tymczasem Chaworth od kilku minut rozglądał się po okręcie, którego jeszcze do niedawna był właścicielem. Chandagnac zrozumiał, że choć kapitan zdążył się pogodzić ze stratą ładunku, aż do tej chwili nie wyobrażał sobie, by mógł także stracić samego „Carmichaela”. W końcu piraci byli gatunkiem drapieżników zamieszkującym płytkie wody. Wymykali się obławom przez mielizny i rzadko wypływali z dala od lądu. „Halaśliwy Carmichael”, okręt pełnomorski o głębokim zanurzeniu, był dla takich ludzi równie przydatny, co armata obłężnicza dla rozbójnika grasującego na trakcie.

Stary kapitan zbladł jak ściana. Chandagnac doszedł do wniosku, że aż do tej chwili Chaworth tak naprawdę nie był zupełnie zrujnowany. Gdyby nie stracił „Carmichaela”, mógłby go sprzedać i po spłaceniu udziałowców oraz wspólników zaoszczędzić dość pieniędzy, by wynagrodzić właścicielom ładunku ich straty. Bez wątplenia poszedłby z torbami, ale przynajmniej zachowałby w tajemnicy sekret, który zdradził Chandagnacowi podczas jednego z piwnych wieczorów. Ponieważ wzrastająca cena ubezpieczeń zaczęła przekraczać minimalny pułap zysków, zdesperowany kapitan obciążył kontrahentów kosztami ubezpieczenia... po czym żadnego nie wykupił.

Jeden z piratów wysłanych pod pokład wyłonił się z zejściówki i spoglądając w dół, kiwnął do kogoś pistoletem. Po drabinie na słoneczny pokład wgramolił się kucharz, który najwyraźniej uhonorował uświęcony tradycją zwyczaj, by w obliczu nieuchronnej katastrofy morskiej upić się najszybciej i najmocniej, jak to możliwe. Za kucharzem szli dwaj chłopcy, którzy załatwiali na okręcie wszystkie drobne sprawy, a za nimi Beth Hurwood.

Córka Hurwooda była blada i poruszała się dość sztywno, lecz wyglądała na całkiem spokojną - choć tylko do chwili, gdy ujrzała ojca w potarganych ubraniach.

- Tato! - krzyknęła, rzucając się w jego stronę. - Czy zrobili ci krzywdę? - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie do Daviesa. - Tacy jak ty wyrządzili mi już dość złego - powiedziała tonem, w którym udało jej się połączyć gniew z błaganiem. - Spotkanie z Czarnobrodym kosztowało go rękę! Bez względu na to, co zrobił dziś twoim ludziom, i tak...



- Zasluguje na pochwały, panienko- przerwał jej Davies, szczerząc się od ucha do ucha.- Zgodnie z umową, którą on i Thatch, lub Czarnobrody, jeśli tak wolisz, zawarli w zeszłym roku, twój tatuś dostarczył mi dzisiaj ten piękny okręt.

- Kim ty... - zaczęła Beth, lecz w jej słowa wcięło się siarczyste przekleństwo Chawortha, który doskoczył do najbliższego pirata i wyrwał mu z dłoni szablę. Odepchnawszy zaskoczonego mężczyznę, ruszył na Daviesa z uniesioną bronią.

- Nie! - krzyknął Chandagnac i zrobił krok przed siebie. - Chaworth, nie rób...

Davies opanowanym ruchem wyciągnął pistolet z kolorowej szarfy, odciągnął kurek i strzelił Chaworthowi w pierś. Impet półcalowej kuli zatrzymał natarcie starego kapitana i odrzucił go z taką mocą, że niemalże stanął na głowie, zanim bezwładne ciało grzmotnęło o pokład.

Chandagnacowi zakręciło się w głowie. Z trudem łapał oddech. Wydawało mu się, że czas zwolnił swój bieg - nie, to raczej każde wydarzenie stało się wyraźne i niezależne, oderwane od rozmytego łańcucha przyczyn i skutków. Beth krzyknęła. Chmura dymu z lufy pistoletu pokonała kolejny jard. Mewa zaskrzeczała zaalarmowana i wzbiła się w powietrze. Upuszczona szabla zakręciła się na pokładzie, a jej mosiężna rękojeść uderzyła Chandagnaca w kostkę. Pochylił się i podniósł broń.

Świadomość była zbędna do podjęcia decyzji. Zaszarżował na szefa piratów i choć nogi poruszały się niezgrabnie, a ręka trzymała ciężkie ostrze wysunięte naprzód, w myślach Chandagnac zręcznie sterował krzyżakiem, sprawiając, że wisząca na sznurkach marionetka Merkucja doskoczyła do marionetki Tybalta w ataku, który jego ojciec zwykł nazywać *coupé-et-flèche*.

Davies, zaskoczony i rozbawiony zarazem, rzucił pistolet jednemu z towarzyszy. Cofnąwszy się o krok, wyciągnął rapier i ugiął nogi do swobodnej pozycji *en garde*.

Przy ostatnim kroku Chandagnac miał wrażenie, że niemal czuje szarpnięcie sznurka, gdy błyskawicznie wycofał szablę, obchodząc broń przeciwnika i atakując w jego linii wewnętrznej. Przyzwyczajony do natychmiastowej zasłony bocznej, zbyt szybko pozwolił szabli opaść pod tą prawdziwą, nie przygotowaną obroną, lecz Davies uwierzył w pozorowany atak i wykonał zasłonę, a szabla w ostatnim momencie drasnęła jego odsłonięty bok. Chandagnac pozwolił, by pęd natarcia poprowadził broń, i wypuścił rękojeść z niewprawnego uścisku, gdy mijał Daviesa.

Szabla brzęknęła o pokład i na jedną długą chwilę wszelki ruch zamarł. Davies, wciąż stojąc na nogach, choć odwrócony przez impet pchnięcia, gapił się na Chandagnaca w

z dumieniem, rozbrojony zaś przeciwnik w napięciu oczekiwał na kulę, która mogła nadlecieć w każdej chwili i z każdej strony. Wstrzymał oddech, patrząc zranionemu piratowi prosto w oczy.

W końcu Davies ostrożnie schował broń i równie ostrożnie przyklęknął. W absolutnej ciszy Chandagnac słyszał, jak krople krwi skapują na pokład.

- Zabić go - rzucił Davies zdecydowanie.

Chandagnac odwrócił się bokiem do relingu, zamierzając skoczyć do wody i wpław dostać się na Hispaniolę, gdy nagle usłyszał parsknięcie.

- Za to, że pokonał cię w szermierce, Phil? Zaiste, jest to jakiś sposób na utrzymanie pozycji niekwestionowanego mistrza.

Wśród piratów zapanowało poruszenie i Chandagnac zamarł z nadzieją. Zerknął z powrotem na Daviesa, licząc, że ten wykrwawi się na śmierć, zanim zdąży powtórzyć rozkaz.

Davies popatrzył na pirata, który postanowił się odezwać, i po kilku sekundach uśmiechnął się drapieżnie, wskazując rozcięty bok.

- Och, Venner, naprawdę myślisz, że to wystarczy? To draśnięcie?

Pochylił się, kładąc dłonie na pokładzie i z wysiłkiem podciągnął pod siebie najpierw jedną, a potem drugą nogę. Spojrzał na Vennera i powoli wstał z klęczek. Jego uśmiech nie zbladł ani na chwilę, chociaż wyraźnie zbladła skóra pod opalenizną, a twarz zalśniła od potu.

- Jesteś... nowy, Venner - ciągnął Davies zachrypniętym głosem. - Spytaj Abbota albo Gardnera, jakiej rany trzeba, żeby mnie spowolnić. - Zacerpnął głęboko tchu, po czym zachwiał się i wbił wzrok w pokład. Jego pludry, wpuszczone w buty, nasiąkły ciemną krwią aż do łydek. Spojrzał w górę. - A może - zaczął, cofając się niepewnie i dobywając rapiera - może sam chciałbyś... sprawdzić, jak osłabił mnie ten cios?

Venner był mężczyzną niskim i krępy, z rumianą, ospowatą twarzą. Uśmiechnął się półgębkiem, obserwując kapitana badawczym wzrokiem, zwykle zarezerwowanym dla przeciwnika w grze karcianej, jakby się zastanawiał, czy jego pijacki bełkot nie jest błagą, lub przynajmniej mocną przesadą. W końcu rozłożył ręce.

- Niech mnie szlag, Philip - powiedział swobodnie. - Przecież wiesz, że nie miałem na myśli nic wyzywającego.

Davies kiwnął głową i pozwolił sobie na chwilę przymknąć oczy.

- Oczywiście, że nie. - Schował broń i odwrócił się do Chandagnaca. - Venner ma rację - zazgrzytał zębami. - Cieszę się, że nikt cię nie zabił... skoro tylko tak mogłem się nauczyć tego manewru. - Oparł się plecami o gródź nadbudówki rufowej. - Ale, na miłość boską, człowieku - parsknął głośno - jak to, do diabła, możliwe, że znasz taki cwany ruch, jeśli biegasz jak kaczka,

a szablę trzymasz jak kucharz patelnię?

Chandagnac próbował na poczekaniu wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo, ale nie nie przychodziło mu do głowy, więc niechętnie wyznał piratowi prawdę:

- Mój ojciec miał teatrzyk marionetkowy - wydukał - a ja... a ja przez większą część mojego życia byłem lalkarzem. Dawaliśmy przedstawienia w całej Europie, a jeśli w scenariuszu pojawiały się walki na szable, a pokazywaliśmy dużo Szekspira, ojciec konsultował się z mistrzem szermierki, żeby wyglądały realistycznie. Więc - wzruszył ramionami - uczyłem się na pamięć wszystkich ruchów i wykonywałem je setki razy... ale tylko na marionetkach.

Davis, trzymając się za bok, zamrugał w stronę Chandagnaca.

- Marionetki - powiedział. - Cóż, ja... A niech to szlag. Marionetki. - Powoli zsunął się po grodzi i usiadł na pokładzie. - Gdzie jest ten stary czart, Hanson?

- Tutaj, Phil. - Jeden z piratów podbiegł do niego, otwierając duży składany nóż.- Będziesz się musiał położyć.

Davies wykonał polecenie, ale podparł się na łokciach, by widzieć Chandagnaca, podczas gdy Hanson, który najwyraźniej pełnił funkcję chirurga, zaczął rozcinać mokrą od krwi koszulę.

- Cóż - odezwał się znowu Davies. - Venner zasugerował, że byłem nieco zbyt... surowy, rozkazując cię zabić, a my... au, niech cię diabli, Hanson, ostrożnie! - Zamknął oczy i odetchnął głęboko. - A my kierujemy się zasadą, że wszystkie rozkazy podlegają dyskusji, pomijając sytuacje, gdy jesteśmy w ogniu walki. W każdym razie, ugodziłeś mnie, więc nie mogę tak po prostu... puścić cię wolno. - Rozejrzał się po twarzach towarzyszy. - Proponuję, by dać mu szansę.

Piraci kiwali głowami, tu i tam ktoś wyraził zadowolenie okrzykiem.

Davies spojrzał na Chandagnaca.

- Dołącz do nas i przyjmij wszystkie nasze cele jako własne albo zginiesz, tak jak stoisz.

Chandagnac odwrócił się do Beth Hurwood. Dziewczyna szeptała coś na ucho ojcu, on jednak wydawał się nie zauważać jej obecności. Dalej stał nachmurzony Leo Friend - być może rozczarowany, że Chandagnac wciąż żyje. Chandagnac nigdy jeszcze nie czuł się równie samotny i bezbronny. Nagle dotkliwie zatęsknił za ojcem.

Spojrzał z powrotem na Daviesa.

- Dołączę do was.

Davies kiwnął w zamyśleniu głową.

- Tak zwykle brzmi odpowiedź - stwierdził. - Chociaż nie byłem do końca pewien, czy

tak samo będzie w twoim przypadku.

Hanson wstał, zerkając z powątpiewaniem na bandaż, którym obwiązał kapitana.

- To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, Phil - powiedział. - Poproś milorda Hurwooda, żeby powstrzymał krwawienie i zgorzel.

Chandagnac spojrział zaskoczony na pirata. Z pewnością chodziło ci o Leo Frienda, pomyślał. Filozofią żadnych ran się nie pozszywa.

Na dźwięk swojego nazwiska Hurwood otrząsnął się z zamyślenia i rozejrzał.

- Gdzie jest Thatch? - zapytał zbyt głośno. - Miał tutaj być.

- W tym roku się spóźni - odparł Davies, nawet na niego nie patrząc. - W tej chwili jest w Charles Town, gromadząc zapasy, o które prosileś. Spotkamy się z nim na Florydzie. A teraz chodź tu i zrób coś, żebym nie skonał od tego draśnięcia.

Beth chciała coś powiedzieć, ale Hurwood uciszył ją machnięciem ręki.

- Pozwolił tobie wziąć wskaźnik? - zapytał niezadowolony.

Davies sposepniał.

- Ten zasuszony łeb psa? Owszem. I niech mnie szlag, jeśli nie zaczął wczoraj syczeć i kręcić się jak szalony w tym wiaderku z rumem. Około południa wreszcie dał za wygraną, patrząc zawzięcie na południowy wschód. Zmieniał pozycję tylko wtedy, gdy my zmienialiśmy kurs, więc popłynęliśmy tam, gdzie się gapił. - Wzruszył ramionami tak energicznie, jak na to pozwalał mu jego stan. - Doprowadził nas prosto do ciebie, nie przeczę, ale to z pewnością paskudny kawał truchła. A ile się napociłem, odganiając szczury, żeby go nie zżarły...

- Niech będzie przeklęty ten szaleniec Thatch - wybuchnął Hurwood - za to, że powierza tak wyrafinowane przyrządy zwykłym bandytom! Jeśli szczury choćby tknęły ten wskaźnik, pożrą cię całego żywcem, Davies, obiecuję! Ty nieostrożny głupcze, jak ci się zdaje, jak często rodzą się dwugłowe psy? Natychmiast wyślij po tę głowę jednego ze swoich ludzi!

Davies uśmiechnął się i położył wygodnie na pokładzie.

- Cóż... - zaczął z ociąganiem. - Chyba jednak nie. Dostaniesz drugą połowę swojej śmierdzącej parki dopiero wtedy, gdy stanę na brzegu New Providence, i to tak zdrowy, jak jeszcze godzinę temu. Jeśli do tego czasu nie wydobrzeję, moi chłopcy spalą to przekłete cudeńko. Zgadza się, chłopcy?

- Twoje słowa są dla nas rozkazem, Phil! - krzyknął jeden z piratów, a pozostali radośnie mu przyklasnęli.

Hurwood potoczył dookoła wściekłym wzrokiem, ale podszedł do Daviesa i przyklęknął. Popatrzył na bandaż, uniósł go i zerknął pod spód.

- Do diabła, pewnie zagoiłoby się i bez mojej pomocy - powiedział - ale przez wzgląd na dobro wskaźników dam ci na to gwarancję. - Zaczął gmerać w głębokich kieszeniach długiego do kolan płaszcza.

Chandagnac spojrział ponad jego ramieniem w miejsce, gdzie leżało ciało kapitana Chawortha. Niewątpliwie martwe, wraz z kołysaniem statku ślizgało się po słonecznym pokładzie tam i z powrotem, a dłoń odrzuconej ręki przewracała się z jednej strony na drugą - wierzchem do góry i wierzchem w dół - w dziwacznym filozoficznym geście. Wszystko przychodzi i odchodzi, zdawał się sugerować ten ruch: dobro i zło, życie i śmierć, radość i smutek. Nic nie powinno być dla nas zaskoczeniem.

Cała ta scena wydawała się Chandagnacowi żenująco niestosowna, jakby ktoś zostawił nieboszczyka z opuszczonymi spodniami. Prosząc w duchu, by ktoś ułożył ciało Chawortha we właściwszej pozycji, odwrócił wzrok.

A ponieważ nigdy wcześniej nie widział, jak lekarz pracuje nad raną - co zapewne właśnie teraz robił Hurwood - przysunął się, by popatrzeć. To, co zobaczył, wprawiło go w konsternację. Przez głowę przemknęła mu myśl, że stary profesor zamierza doprowadzić do ładu strój Daviesa, ponieważ wyciągnął z kieszeni coś, co przypominało szczotkę.

- Ten ogon wołu - odezwał się Hurwood głosem zarezerwowanym dla słuchaczy w audytorium - został spreparowany w taki sposób, aby skupić na sobie uwagę istoty, którą zwiesz Panem Los-Darzy. Gdyby ta istota była czymś potężniejszym, potrafiłaby doglądać nas wszystkich, lecz będąc tym, czym jest, może uważnie obserwować zaledwie kilka osób jednocześnie. Podczas niedawnej bitwy chroniła mnie i pana Frienda, ponieważ jednak niebezpieczeństwo minęło, pozwolę, aby skupiła swój wzrok na tobie. - Wsunął szczeciniasty przedmiot pod limonkową koszulę Daviesa. - Zobaczmy... - Znów zaczął grzebać w kieszeniach płaszcza i wyciągnął niewielką płócienną sakiewkę. Tutaj mamy *drogue*, która sprawia, że wnętrzości pracują w należyty sposób. Jej również potrzebujesz teraz bardziej niż ja, ale pamiętaj, chcę ją z powrotem. - Ściągnął Daviesowi kapelusz, położył mu sakiewkę na głowie i założył nakrycie z powrotem. - To wszystko - rzucił, podnosząc się. - Nie marnujmy czasu. Zapakuj na szalupę wszystkich, którzy chcą odejść, i ruszajmy wreszcie.

Nowi właściciele „Carmichaela” rozhuścili zawieszoną na żurawikach szalupę i z głośnym pluskiem spuścili ją niedbale na wodę, po czym zrzucili na dół wiązkę oderwanych want, by ludzie mogli zejść. Przy następnej fali szalupa weszła pod kadłub okrętu i nabrała sporo wody, ale Davies zmęczonym głosem wykrzyczał jakieś rozkazy i po chwili „Carmichael” obrócił się ciężko ćwiartką rufową sterburty w stronę wiatru. Kołysanie zelzało.

Davies wstał, krzywiąc się z irytacją.

- Wszyscy, którzy chcą odejść, na dół - warknął.

Chandagnac z zazdrością patrzył, jak była załoga „Carmichaela” człapie w kierunku relingu sterburty. Kilku podtrzymywało rannych towarzyszy. Beth Hurwood, z czarnym kapturem naciągniętym na miedziane pukle, ruszyła za nimi i po chwili odwróciła się do ojca.

- Tato! Chodź ze mną do szalupy.

Hurwood spojrział na córkę, a z jego piersi wyrwał się zduszony śmiech, brzmiący niczym jęk nienaoliwionej maszyny.

- Z pewnością doceniliby tam moje towarzystwo. Połowa zabitych zawdzięcza swój los tej ręce i mojej kolekcji pistoletów. O nie, najdroższa, zostaję na pokładzie tego okrętu, a ty razem ze mną.

Choć ta odpowiedź nią wstrząsnęła, Beth odwróciła się i ruszyła w stronę relingu.

- Zatrzymać ją! - syknął Hurwood.

Davies kiwnął głową i kilku roześmianych piratów zastąpiło dziewczynie drogę.

Hurwood pozwolił sobie na jeszcze jeden wybuch śmiechu, który jednak przeszedł po chwili w kaszel i torsje.

- Ruszajmy - wychrypiał.

Chandagnac zauważył kątem oka Leo Frienda i niemalże ucieszył się, że został na okręcie, ponieważ otyły lekarz mrugał nerwowo, wpatrując się w Beth, a jego mięsiste usta były wilgotne.

- Dobrze - odezwał się Davies. - Chodźcie tu, bęcwały, i wyrzucicie nieboszczyków za burtę. Tylko uważajcie, żeby nie zepchnąć ich do szalupy! Czas ruszać w drogę. - Spojrział w górę. - I co tam, Rich?

- Bez bezanu zwrotu przez rufę nie robi - doleciał z góry krzyk - ale na tym morzu i przy tym wietrze da się chyba halsować, o ile chłopcy wejdą na perty.

- W porządku. Elliot, weź paru ludzi i zabierz słup do domu.

- Tak jest, Phil.

Beth Hurwood przeniosła wzrok z ojca na Leo Frienda, który natychmiast uśmiechnął się i wystąpił naprzód. Chandagnac dopiero wtedy zauważył, że na jego wyszukany strój składa się także para groteskowych trzewików na czerwonych obcasach, ze wstążeczkami wielkości skrzydeł wiatraka. Otyły lekarz podszedł do Beth i podał jej rękę przypominającą ozdobny, wypchany podglówek, lecz ona bez słowa stanęła przy Chandagnacu. Zaciskała usta równie mocno co wcześniej, choć Chandagnac dostrzegł w jej oczach łzy, zanim niecierpliwym ruchem

wytarła je o mankiet.

- Chciałabyś zejść pod pokład? - zapytał cicho Chandagnac.

Pokręciła głową.

- Nie zniosłabym tego.

Davies spojrzał w ich stronę.

- Nie macie jeszcze żadnych obowiązków - rzucił do Chandagnaca. - Zabierz ją na bok, żeby nie plątała się pod nogami. I przy okazji przynieś jej trochę rumu.

- Nie wydaje mi się, żeby... - zaczął sztywno Chandagnac, lecz Elizabeth weszła mu w słowo.

- Na miłość boską, tak.

Davies wyszczerzył się do Chandagnaca i puścił go przodem.

\* \* \*

Kilka minut później znajdowali się na pokładzie dziobowym, tuż obok kotwicy, osłonięci od wiatru przez napięty grotżagiel. Chandagnac przyniósł z kambuza dwa ceramiczne kubki z rumem i podał jeden Beth.

Liny znów świszczą na bloczkach, a drzewce masztu skrzypiały, gdy piraci trzymowali żagle, by złapać spokojny wschodni wiatr. Okręt ruszył łagodnym łukiem na północ, a później na północny wschód, Chandagnac zaś obserwował, jak przepelniona szalupa ratunkowa cofa się i w końcu znika za wysoką rufą. Słup, wciąż po stronie bakburty, dyktował tempo „Hałaśliwemu Carmichaelowi”. Z miejsca, w którym opierał się o reling, popijając ciepły rum, Chandagnac widział maszt i żagle mniejszego okrętu, a gdy nabrali prędkości i słup odbił, by zrobić im więcej miejsca, zobaczył też jego długi, płytki kadłub. Pokręcił głową, wciąż nie dowierzając.

- Cóż, mogliśmy skończyć znacznie gorzej - powiedział cicho do Beth, choć siebie próbował przekonać do tego równie mocno, co ją. - Wygląda na to, że wybaczone mi atak na herszta tej bandy, a ciebie chroni przed nimi pozycja twego ojca.

Na śródokręciu, na lewo od Chandagnaca, jeden z piratów pogwizdywał wesoło, posypując piaskiem z wiaderka świeże plamy krwi. Chandagnac spojrzał w przeciwną stronę i podjął rozmowę:

- A gdy już wykaraskamy się z tych tarapatów, marynarze z szalupy potwierdzą, że zatrzymano nas tu wbrew naszej woli.

Dumny ze spokoju, który bił z jego głosu, wziął kolejny łyk rumu, by powstrzymać

budzące się dopiero teraz, po zażegnaniu kryzysu, drzenie rąk i nóg.

- Mój Boże - rzuciła nieprzytomnie Beth - mogę liczyć tylko na to, że razem z nimi zginie. Już nigdy nie wróci na kontynent. Przecież nawet nie zamkną go w szpitalu dla obłąkanych, od razu trafi na szubienicę.

John przytaknął, dodając w myślach, że strzyk i tak byłby dla Hurwooda zbyt łagodną karą.

- Mogłam przewidzieć to szaleństwo - ciągnęła. - Przecież wiedziałam, że staje się ekscentryczny, zajął się badaniami, które były dość... dziwaczne, ale nigdy nie sądziłam, że zupełnie postrada zmysły i jak wściekły pies zacznie zabijać ludzi!

Chandagnacowi przed oczyma stanął marynarz, który zginął przy działach, i ten, któremu Hurwood strzelił chwilę później prosto w twarz.

- On nie uczynił tego pod wpływem... szaleństwa, panno Hurwood - stwierdził. - Robił to chłodno, metodycznie, jak kucharz rozgniatający mrówki na blacie, który zaraz potem wyciera ręce i przechodzi do innych zajęć. A ten gruby jegomość stał po drugiej stronie okrętu i w odpowiedzi na każdy jego strzał oddawał jeden swój.

- Friend, tak - kiwnęła głową. - Zawsze dostrzegałam w nim jakąś nienawiść. Bez wątplenia to on wciągnął ojca w tę intrygę. Ale mój tato naprawdę zwariował. Zanim w zeszłym miesiącu opuściliśmy Anglię, całą noc spędził poza domem, a gdy rankiem wrócił, był ubłocony i nie miał kapelusza. W rękach ścisnął śmierdzące drewniane pudełko. Nie chciał powiedzieć, co to takiego - gdy zapytałam, spojrzał na mnie tak, jakby mnie w ogóle nie znał - ale od tego czasu nigdy się z nim nie rozstaje. Jest teraz w jego kajucie i przysięgam, że tato co noc coś do niego szepce. Mój Boże, a przecież czytałeś jego książkę! Kiedyś był geniuszem! Czym innym, jeśli nie szaleństwem, można wyjaśnić fakt, że człowiek, który napisał *Oczyszczenie wolnej woli*, bełkocze na temat wołowych ogonów i dwugłowych psów?

Chandagnac wychwycił nutę napięcia i zwątpienia w jej wyważonym tonie.

- Nie sposób się z tym nie zgodzić - stwierdził dyplomatycznie.

Beth dopiła rum.

- Może jednak zejść pod pokład. Och, John, pomożesz mi z jedzeniem?

Chandagnac przyjrzał się jej uważnie.

- W tej chwili? Ale dlaczego...

- Nie, nie, mam na myśli wszystkie posiłki. Teraz jeszcze trudniej będzie mi unikać diety Frienda, a bardziej niż kiedykolwiek zależy mi na zachowaniu czujności.

Chandagnac uśmiechnął się, ale znów pomyślał o konsekwencjach rzucania resztek



bezpiecznym psom.

- Zrobię, co w mojej mocy, chociaż Bóg raczy wiedzieć, co jedzą ci ludzie. Być może dieta Frienda jest o niebo lepsza.

- Nigdy jej nie próbowałeś - odparła Beth. Ruszyła w stronę drabinki, ale zatrzymała się i odwróciła. - To było bardzo odważne, John. Wyzwanie, które rzuciłeś temu piratowi.

- To nie było wyzwanie, raczej... odruch. - Czuł, że zaczyna się irytować. - Polubiłem starego Chawortha. Przypominał mi... innego starego człowieka. Żaden z nich nie miał za grosz rozumu. A ja chyba też go nie mam, bo gdybym miał, siedziałbym teraz w szalupie.

Spojrzał za bukszpryt na błękitny horyzont, a gdy się odwrócił, Beth już nie było. Rozluźnił się odrobinę i skupił na obserwowaniu nowej załogi przy pracy. Piraci skakali po takielunku ze zręcznością pajaków, zlorzcząc po angielsku, francusku, włosku i w kilku innych językach, których nigdy nie słyszał. I choć ich gramatyka była potworna, musiał przyznać, że w tych językach, które rozumiał, pod względem znajomości przekleństw oraz wyszukanych obelg nie mieli sobie równych.

Minęła długa chwila, nim wreszcie zrozumiał, dlaczego się uśmiecha. Już wiele razy słyszał te wielojęzyczne, dobrodusznie złośliwe docinki w tawernach w Amsterdamie, Marsylii, Brighton i Wenecji. W jego wyobraźni wszystkie te miejsca zlewały się w pojedynczą, wzorcową tawernę nad brzegiem morza, gdzie od zawsze siedział z ojcem przy stoliku obok kominka, popijając miejscowe specjały i wymieniając się wieściami z podróżnymi. Czasami młody Chandagnac miał wrażenie, że marionetki z ich teatru były drewnianą arystokracją, podróżującą pod opieką dwóch służących z krwi i kości. Dziś, po siedmiu latach od dnia, gdy skończył z tamtym życiem, doszedł do wniosku, że mógł mieć gorszych panów. Pieniądze nie spływały regularnie, ponieważ czasy świetności europejskiego lalkarstwa skończyły się w roku 1690, kiedy się urodził, a niemiecki kler zniósł obowiązujący od dziesięciu lat zakaz grania spektakli z żywymi aktorami. Mimo to zdarzało się, że wynagradzano ich szczerze, a gorące obiady i ciepłe łóżka pomagały odegnać wspomnienie zimnych pokojów i głodu.

Pirat z wiaderkiem piasku najwyraźniej skończył swoją pracę, ale w drodze na rufę poślizgnął się na mokrej desce. Rozejrzał się dookoła wrogo, jakby rzucał wyzwanie każdemu, kto ośmielił się zaśmiać, po czym wysypał resztę piasku na śliski odcinek pokładu.

Chandagnac był ciekaw, czy krew, na której mężczyzna stracił równowagę, należała do Chawortha. Przypomniał sobie noc w Nantes, gdy jego ojciec wyciągnął nóż przeciwko zgrai opryszków, którzy czekali na nich przed winiarnią, a później przyparli ich do muru i zażądali pieniędzy. Stary François Chandagnac miał wówczas przy sobie sporą sumę, a ponieważ był

już po sześćdziesiątce i martwił się o przyszłość, nie oddał pieniędzy, jak zwykł robić w podobnych sytuacjach. Zamiast tego wyjął z kieszeni nóż, którym wycinał twarze i ręce marionetek, i zagroził nim rzeźmieszkom.

Chandagnac oparł się o jeden z folgerzy, nieśmiało rozkoszując się tym, że słońce ogrzewa mu plecy, a on jest na lekkim rauszu i nic go nie boli.

Pierwszy, niedbały kopniak wytrącił ojcu nóż z dłoni, a później były już tylko pięści, zęby, kolana i buty w ciemności. Gdy złodzieje odchodzili, piejąc z zachwyty na widok wyjątkowo okazałej sakiewki, bez wątpienia myśleli, że zostawiają w mrocznej alejce dwa martwe ciała.

Chandagnacowi zdarzało się żałować, że pomylili się w swym osądzie, bo ani on, ani jego ojciec nigdy tak naprawdę nie doszli do siebie.

Obaj jakimś sposobem wrócili tamtej nocy do wynajętych pokojów. Jego ojciec miał połamane żebra i prawdopodobnie pękniętą czaszkę; stracił także przednie zęby, a jakiś czas później lewe oko. Młody John Chandagnac zawdzięczał obcasowi któregoś z bandytów niedowład prawej dłoni. Przez miesiąc chodził o lasce i dopiero rok później z jego moczu całkiem znikła krew. Uszkodzona ręka - choć odzyskał w niej prawie pełną sprawność - była świetną wymówką, by wreszcie dać sobie spokój z koczowniczym trybem życia. Zdobywszy pieniądze na podróż i zakwaterowanie za pomocą kiepsko zawołowanych błagań, dostał się do krewnego w Anglii i przed ukończeniem dwudziestu sześciu lat otrzymał posadę księgowego w angielskiej firmie tekstylnej.

Jego ojciec, z dnia na dzień coraz bardziej schorowany, jeszcze przez dwa lata w pojedynkę prowadził teatrzyk marionetkowy. Zmarł w Brukseli zimą 1714 roku, nigdy nie dowiedziawszy się o pieniądzach, które stały się jego własnością i które nie tylko wydłużyłyby, lecz także poprawiły jego marny żywot; o pieniądzach, które w przebiegły sposób ukradł mu jego własny brat, Sebastian.

Chandagnac patrzył przez ramię na wschodni horyzont, dopóki nie ujrzał, jak mu się zdawało, ciemniejszego kształtu. To mogła być Hispaniola. Miałem zaciągnąć kredyt w banku na Jamajce, myślał, i dotrzeć tam w ciągu tygodnia. A teraz, jak długo to potrwa? Nie umieraj, wuju Sebastianie. Nie umieraj, póki tam nie dotrę.

## Rozdział drugi

Nawet o zmroku, gdy na ciemnych plażach tu i ówdzie pojawiały się pierwsze ogniska, mielizny na zatoce były wyraźnie widoczne. Statki okrążające odległy zakątek Hog Island często zmieniały kurs, aby w drodze z otwartego morza do kolonii New Providence pozostać na granatowych, głębszych wodach. Większość jednostek była już zakotwiczona na noc w zatoce i wzdłuż sfatygowanego nabrzeża lub, w przypadku mniejszych łodzi, wyciągnięta na biały piasek. O tej porze mieszkańcy wyspy martwili się przede wszystkim kolacją. Woń ludzkiego osiedla walczyła zażarcie o prymat ze świeżością morskiej bryzy, a do zwyczajowej mieszanki smrodu smoły, siarki, zepsutego jedzenia i wielu nieusankcjonowanych latryn dołączała często zadziwiająca mieszanina woni znad palenisk niewprawnych kucharzy. Były to zapachy przypalonego pierza kurczaków, które trafiało do menu mężczyzn zbyt głodnych, by zawracać sobie głowę skubaniem, niespotykanych gulaszów, przyprawionych szczodrą ręką amatora garścią mięty, kolendry i odrobiną chińskiej musztardy, by zakonspirować smak nieświeżego mięsa, a także osobliwych i niekiedy wybuchowych eksperymentów podczas przygotowywania ponczu.

Cztery godziny wcześniej, po wielu trudach związanych z halsowaniem i holowaniem okrętu, „Carmichael” wpłynął wreszcie do zatoki. Zanim piraci zdążyli choćby pomyśleć o karenażu, Benjamin Hurwood zszedł z pokładu, zabierając ze sobą córkę i Leo Frienda. Pozdrowił pierwszą łódź, jaka się zbliżyła, i zażądał, aby zabrano go na brzeg. Marynarze nie tylko go posłuchali, lecz, jak wydawało się Chandagnacowi, rozpoznali starego profesora.

A teraz „Carmichael” stał dziwacznie przechylony, z taliami przymocowanymi do topów masztów, z linami przeciągniętymi pod kilem i przywiązanymi do martwych kotwic po odsłoniętej stronie. Z wody wystawał do połowy długi na sto dziesięć stóp kadłub, wsparty na delikatnie opadającym, białym brzegu zatoczki o dogodnej głębokości, która znajdowała się sto jardów na południe od głównego skupiska namiotów. Chandagnac brnął przez plażę w towarzystwie piratów, zataczając się tyleż z powodu przemęczenia, ile faktu, że wreszcie miał pod stopami pewny, nieruchomy grunt. Piraci uznali bowiem wesoło, że nowego członka załogi nie może ominąć zaszczyt pełnienia podwójnych obowiązków.

- Niech to diabli - odezwał się bezżębny młody mężczyzna, który stąpał ciężko obok

Chandagnaca. - Czuje świeży posiłek.

Chandagnac dowiedział się, że pirat ma na imię Skank.

Za nimi okręt jęczał donośnie, ponieważ drewno przyzwyczajało się do nowych napięć.

Ptaki - a w każdym razie Chandagnac zakładał, że muszą to być ptaki- skrzeczały w mrocznej, ponurej dżungli.

- Świeży to chyba właściwe słowo - zgodził się z bezzębnym towarzyszem. Biorąc pod uwagę ogień, zapachy i krzyk gdzieś przed nimi, doszedł do wniosku, że kolacja nie tylko żyje, lecz na dodatek stawia zaciekły opór.

Po lewej stronie, ponad liśćmi palm, widoczny był zaokrąglony, skalny występ.

- Fort - powiedział Skank, wskazując w tamtą stronę.

- Fort? - Chandagnac zmrużył oczy i dopiero wówczas dostrzegł wykonane z tego samego kamienia ściany i wieżę. Nawet z tej odległości dało się zauważyć kilka poszarpanych otworów strzelniczych w nierównej linii ściany. - Budujecie w takich miejscach forty?

- Gdzie tam. Hiszpanie budowali. A może Anglicy? Przez lata jedni i drudzy na zmianę zajmowali to miejsce, ale gdy Jennings postanowił założyć tu pirackie miasto, na całej wyspie żył tylko jeden człowiek: głupi, zniedołężniały starzec. Anglicy myślą, że wyspa należy teraz do nich, a król Jerzy przysłał nam nawet swojego człowieka z ulaskawieniem dla każdego, kto wyrzeknie się niegodziwego życia na rzecz, sam nie wiem, uprawy roli lub czegoś w tym rodzaju. Ale to też nie potrwa zbyt długo.

Szli teraz między ogniskami, omijając siedzące na piasku grupki ludzi. Wielu biesiadników używało jako oparcia beczek i postawionych na sztorc fragmentów masztów. Wykrzykiwali pozdrowienia w kierunku nowo przybyłych, machając do nich butelkami albo zwęglonymi kawałkami mięsa. Chandagnac nerwowo spoglądał na oświetlone blaskiem ognia twarze i z zaskoczeniem zauważył, że mniej więcej co trzecia należy do kobiety.

- Tam stoi „Jenny” - powiedział Skank, machnąwszy niedbale w trudnym do określenia kierunku. - Rozpalili ogień i szczęśliwie wyżebrali coś do garnka.

Chandagnac wciąż miał dziwne wrażenie, że grunt kołysze mu się pod nogami, i gdy przestępował nad niewysokim wałem z piasku, zachwiał się, jakby próbował złapać równowagę na rozbujanym okręcie. Nie upadł, ale wytracił udko kurczaka z dłoni jakiejś kobiety.

Mój Boże, pomyślał, a krew ścięła mu się w żyłach.

- Przepraszam... - wymamrotał. - Ja...

Nieznajoma zanosła się pijanym śmiechem i wzięła inny kawałek z, jak się wydawało, najprawdziwszej złotej platery, po czym wybełkotała coś w języku przypominającym połączenie

francuskiego i włoskiego. Chandagnac domyślił się, że była to na poły sarkastyczna propozycja seksualna, lecz język brzmiał zbyt obco, a słowa zbyt niewyraźnie, by mógł mieć pewność.

- „Jenny”? - rzucił pospiesznie do Skanka, chwycenie maszerując.

- Słup, na którym zdobyliśmy „Carmichaela” - odpowiedział młody pirat. - Ano - dodał, spoglądając przed siebie, gdy wspięli się na grzbiet kolejnej zatłoczonej i zaśmieconej wydymają na ogniu garnek słonej wody i wrzucają do niego jakieś resztki.

Skank poderwał się do niezdarnego biegu, podobnie jak inni ludzie Daviesa. Chandagnac szedł wolniej, obserwując z daleka zamieszanie. Widział na plaży ognisko, a na nim kocioł sięgający dorosłemu mężczyźnie do pasa. Kilka bezgłowych i wypatroszonych, lecz poza tym nie oprawionych kurczaków zatoczyło w powietrzu łuk i z pluskiem wpadło do wody. Zaraz potem z ciemności wynurzył się jeden z piratów i dołał do kotła wiaderko grudkowatej brei. Chandagnac powstrzymał torsje, a po chwili uśmiechnął się szeroko, bo dotarło do niego, że bardziej niż tych ludzi obawia się ich jedzenia.

Jakiś krępy mężczyzna, łysy, lecz z brodą bujną niczym korona palmy, nachylił się nad paleniskiem i włożył wytatuowaną rękę prosto do kotła.

- Za zimne - powiedział, mieszając potrawkę.

Wyciągnął rozmokłego kurczaka, odsunął się od ognia i ugryzł skrzydełko. Z brody sterczały mu okropne, ociekające sokiem pióra i nawet przez szum rozmów Chandagnac słyszał trzask pękających kości.

- Ale nabiera smaku - zawyrokował w końcu mężczyzna, wrzucając pokiereszowanego ptaka z powrotem do kotła.

- Zabijmy czas piosenką! - krzyknął ktoś z tłumu. Odpowiedziały mu wiwaty, lecz wówczas w blasku ogniska pojawiła się szczupła postać.

- Do diabła z piosenkami - rzucił Philip Davies, spoglądając na Chandagnaca. - Dzisiaj obejrzymy sobie przedstawienie marionetkowe.

Johnowi krew napłynęła do twarzy, gdy usłyszał jego szydery ton. A nawet jeśli Davies tylko żartował, pozostali szybko podchwycili pomysł.

- Tak jest! - krzyknął jakiś mężczyzna tak głośno, że z podekscytowania niemal wyskoczyło mu jedyne oko. - Chłoptaś z „Carmichaela” zna się na lalkach! A niech mnie, zrobi dla nas przedstawienie, zgadza się?

- No jasne, że... - czknął pijany w sztok pirat, siedzący nieopodal - ...że zrobi. Bo jak nie zrobi, to mu... to mu zasunę w ten parszywy tyłek!

Wszyscy natychmiast uznali, że byłoby to najuczciwsze rozwiązanie, i nagle

Chandagnac znalazł się na otwartej przestrzeni przed paleniskiem.

- Zaraz, zaraz... ale przecież... - Rozejrzał się. Nic nie wskazywało na to, by pijackie groźby były żartami, a wciąż pamiętał, z jaką swobodą Davies zastrzelił Chawortha.

- Zrobisz to czy nie, chłopcze? - zapytał Davies. - No, co jest, a może twoje przedstawienia są dla nas za dobre?

Czarnoskóry mężczyzna o wylupiastych oczach spojrzał na Chandagnaca, po czym odwrócił się do towarzyszy.

- Nazwał mnie psem, słyszeliście?

- Chwila! - krzyknął Chandagnac, unosząc ręce. - Czekajcie. Dobrze, zrobię dla was przedstawienie. Ale będę potrzebować... spory kawał sznurka, grubą igłę, ostry nóż i, powiedzmy, kawałek bardzo miękkiego drewna wielkości trzygalonowego dzbana.

Kilku z siedzących piratów skoczyło na równe nogi, pokrzykując radośnie.

- No i - dodał Chandagnac - przydałoby się też parę skrawków płótna i garść pinezek albo bardzo drobnych gwoździ. Poza tym widziałem, że przechodzi tu z rąk do rąk jakaś butelka. Może ze dwa łyki dla spragnionego lalkarza?

Kilka minut później klęczał ze swymi prymitywnymi narzędziami przy palenisku, na przemian pracując i pociągając z butelki bardzo dobrej brandy. W pośpiechu wystrugiwał z kawałka pękniętego pnia palmy kończyny, tors, miednicę i głowę. Zastanawiał się, jakie przedstawienie sprawiłoby tej widowni najwięcej radości. Szekspir? Mało prawdopodobne. Pamiętał kilka krótkich dosadnych dialogów, którymi jego ojciec zabawiał bywalców tawern, gdy sądził, że młody John śpi w pokoju na piętrze. Domyślał się, że podczas chudych lat, zanim kler zakazał w Niemczech występów z żywymi aktorami, takie scenki były częścią profesjonalnego repertuaru staruszka. Gdyby tylko potrafił je sobie przypomnieć, z pewnością świetnie by się teraz sprawdziły.

Ze zręcznością, o którą już siebie nie podejrzewał, naciął kilka karbów na główkach marionetek, tworząc zgrzebne, lecz wyraźne twarze. Pokroił płótno na wąskie paski, aby użyć ich jako zawiasów, które przymocował gwoździkami, a następnie na szersze, o wymyślniejszych kształtach, przeznaczone na stroje. Potrzebował zaledwie minuty, by to wszystko połączyć. Gdy skończył, pociął sznurek na kawałki odpowiedniej długości i przywiązał je do uszu, rąk, nóg oraz pleców dwóch marionetek, a przeciwne końce do krzyżaków. Kierowanie dwoma marionetkami jednocześnie oznaczało konieczność rezygnacji z osobnego patyczka do poruszania nogami, ale dawno temu nauczył się używać zamiast niego do tego celu dwóch pierwszych, sztywno wyciągniętych palców.

- Dobrze, możemy zaczynać - powiedział z udawaną pewnością siebie. Ojciec zawsze mu radził, by tak właśnie robił, gdy przyjdzie mu wystąpić przed niesforną publicznością, a ci piraci niewątpliwie mieli na taką zadatkę. - Wszyscy powinni usiąść. Czy ktoś mógłby rzucić mi tamtą... połamaną beczkę? Lepsza taka scena niż żadna.

Ku jego sporemu zaskoczeniu jeden z piratów przyniósł beczkę i bardzo ostrożnie postawił ją na piasku. Chandagnac przyglądał się jej przez chwilę - była otwarta i pozbawiona wieka. Po namyśle kopniakiem zrobił w niej dziurę, a następnie wyciągnął luźne klepki i drugi pierścień zaciskowy. Cofnąwszy się, kiwnął głową.

- Nasza scena.

Większość piratów usiadła, lub przynajmniej przestała krzyczeć, więc złapał za krzyżaki i wsunął palce w pętelki. Najpierw unióś marionetkę w obszarpanych spodniach.

- Nasz bohater! - powiedział głośno, po czym unióś drugą, dla której zrobił sukienkę. - I niewiasta, którą spotyka!

Publiczność wyglądała na zainteresowaną.

Marionetka kobiety znikła w beczce, zaś marionetka mężczyzny zaczęła przechadzać się po piasku mniej więcej jard dalej.

Chandagnac był boleśnie świadomy, że stoi na plaży po niewłaściwej stronie świata, twarzą w twarz z tłumem pijanych morderców. W tych okolicznościach przedstawienie marionetkowe wydawało się równie niestosowne, co pierwszomajowa girlanda na szubienicy... albo, zdał sobie nagle sprawę, tańce i śpiewy tuż przed abordażem obcego okrętu i wymordowaniem przeszło połowy załogi.

Tymczasem w blasku ognia pojawiła się nowa postać, która powłóczyłym krokiem nadeszła od strony innych palenisk. Był to najstarszy człowiek, jakiego Chandagnac widział od dnia opuszczenia Anglii. Jego broda i długie, splątane włosy miały barwę wysuszonych kości, a twarz wyglądała niczym stara, wyprawiona skóra naciągnięta na czaszkę. Nie potrafił odgadnąć, jakiej rasy jest ten mężczyzna, lecz witając go, niektórzy piraci zwracali się do niego per „gubernatorze”. Kiedy nieznajomy usiadł, Chandagnac domyślił się, że to musi być właśnie ów „głupi, zniedołężniały starzec”, o którym wspomniał Skank, jedyny mieszkaniec wyspy w chwili, gdy sprowadzili się tu piraci.

Marionetka mężczyzny podeszła do beczki i już miała przejść obok, kiedy w otworze imitującym drzwi pojawiła się kobieta i uniosła głowę.

- Dobry wieczór, miły panie - powiedział piskliwym głosem Chandagnac, czując się jak błazen. - Czy byłby pan tak uprzejmy i postawił damie kieliszeczek?

- Przepraszam najmocniej? - odparła druga marionetka. Tym razem w głosie postaci wyraźnie pobrzmiwał przejaszkrawiony akcent angielskiego dworzanina. - Proszę wybaczyć, ale...

- Niechże mówi pan głośniej - weszła mu w słowo kobieta. - Mam kłopoty ze słuchem.

- ...ale ucho mi niedomaga.

- Cóż pan powiada, miły panie? Że byłaby to nierozwaga? Miły panie, chyba rozumiem, do czego robi pan aluzje, i zapewniam, że w moim przypadku niczego nie musi się pan lękać. Gwarantuję, że...

- Nie, nie, mam kłopoty z uchem.

- Z brzuchem? Ma pan kłopoty z brzuchem? A co mu dolega?

- Mówiłem tylko, że w nocy mnie przewiało!

- Och, wyśmienicie, miły panie, wyśmienicie, w istocie nic się nie stało. Cóż, w takim razie przejdźmy do interesów, zamiast omawiać szczegóły pańskiej anatomii...

- To pułapka! - krzyknął jeden z piratów. - Zaprowadzi go prosto w łapy tych parszywych żołdaków! Właśnie tak dorwała mnie marynarka!

- Przez kobietę? - zawołał z powątpiewaniem inny mężczyzna. - Mnie wystarczył jeden kufel! Nie wypilem połowy, jak zdzielili mnie w łeb, a gdy się ocknąłem, już byłem na okręcie!

Davies zarechotał i odkorkował nową butelkę brandy.

- Mnie nabrali na cukierki. Miałem piętnaście lat i wracałem do domu z warsztatu snycerza, gdzie pobierałem nauki.

Podniósł butelkę do ust i pociągnął spory łyk.

- Niemożliwe! - odezwał się kolejny pirat. - To nielegalne! Terminatorzy, który nie mają osiemnastu lat, są zwolnieni ze służby. Mogłeś powiedzieć o tym kapitanowi, Phil, odstawiłby cię na brzeg i jeszcze przeprosił!

- Królowa Anna wprowadziła to prawo w 1703 roku, a ja trafiłem do wojska czternaście lat wcześniej. - Davies wyszczerzył się i znów uniósł butelkę do ust. Wytarł wąsy i po chwili dodał: - A poza tym prawo i tak nie działa wstecz. - Spojrzał na Chandagnaca. - Dobry pomysł, niech go siłą wcielą do wojska.

- Och, w porządku - odpowiedział Chandagnac.

Kilka razy widział w akcji mężczyzn zatrudnianych przez wojsko do wyszukiwania zdrowych młodzieńców, lecz dzięki swemu wiekowi, obywatelstwu, a być może przede wszystkim hojnej ręce ojca nigdy nie stał się ich ofiarą.

- Tędy, miły panie - rzuciła ponętnie marionetka, wślizgując się z powrotem do beczki. -



Napijemy się po kieliszeczku, zanim przejdziemy do sedna.

Głowa drugiej marionetki przekrzywiła się dziwnie.

- Przepraszam najmocniej?

- Niech się pan nie obawia, znam doskonale to miejsce. Trunków tu mają w bród.

- Mają tam trupi smród? Istotnie... Cóż, nie dziwota, proszę tylko spojrzeć na tych nieprzyjemnych panów. Nie jestem pewien, czy...- Angielski dżentelmen wszedł za kobietą do środka, a wówczas Chandagnac zaczął szarpać sznurkami i czubkiem buta potrząsać beczką. - Uważajcie! - krzyknął szorstkim głosem. - To ten! Łapcie go! Dobrze, trzymajcie, nie puszczajcie! Uff, i po kłopotcie. Czy mogę jako pierwszy pogratulować panu wstąpienia do służby w Królewskiej Marynarce?

Chandagnac łudził się jeszcze, że sprowadzi historię z powrotem na znajome tory, lecz publiczność domagała się, by wraz z pechowym bohaterem wyruszył w rejs okrętem marynarki. Nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko przewrócić beczkę na bok, by udawała ów okręt, a później szybko pociąć i pozszywać sukienkę drugiej marionetki, by w spodniach mogła odgrywać liczne role męskie.

Zachęcany przez skłoną do rozpamiętywania widownię Chandagnac musiał skazać biednego bohatera - którego dworski akcent szybko wyparował - na wszelkiego rodzaju cierpienia. Krzywd doznawał przede wszystkim z rąk budzących lęk, zniechęconych oficerów. I tak na przykład odcięto mu ucho, gdy na rozkaz odpowiedział tonem uznanym za zuchwały, wybito zęby kołkiem za inne przewinienie, a na koniec „wychłostano przez całą flotę”, co najwyraźniej oznaczało, że z wielką pompą transportowano go z okrętu na okręt, by na każdym poczuł smagnięcie bicia. W końcu publiczność pozwoliła, aby pokiereszowany bohater wskoczył do wody w jednym z tropikalnych portów i dostał się na brzeg. W tym momencie część widzów straciła zainteresowanie przedstawieniem i zaczęła śpiewać albo pojedynkować się na patyki z dala od kręgu słuchaczy.

Pomimo utrudnień Chandagnac kontynuował opowieść. Ukrył bohatera w dżungli, aby tam czekał na piracki okręt, na którym znajdzie zatrudnienie, gdy nagle starszek zwany gubernatorem skoczył na równe nogi.

- Źródło! - wykrzyknął. - Woda, która cuchnie, nim wytryśnie z ziemi!

- Jasna sprawa, gubernatorze - odezwał się Skank. - Ale przeszkadzasz w przedstawieniu.

- Twarze w rozpryskach wody! *Almas de los perdidos!*

- Morda w kubeł, Sawney! - zawołał ktoś inny.

Starzec rozejrzał się szeroko otwartymi oczyma, po czym zamrugął.

- Ocet - powiedział tak złowieszczym tonem, jakby zdradzał piratom hasło do bram Królestwa Niebieskiego. - Ocet pozwoli oczyścić ciało z wszy.

- Nie jestem psem! - ryknął czarnoskóry mężczyzna.

Chandagnac przeczuwał, że lada chwila wybuchnie chaos.

- Nowej załodze Charliego Vane'a ten ocet przydałby się bardziej niż nam, gubernatorze- stwierdził Davies i podał staruszkowi butelkę, którą pracownicy opróżniał. Wciąż była w połowie pełna. - Czemu nie pójdziesz do niego z tą dobrą radą?

Gubernator Sawney wziął solidny łyk i odszedł niespiesznie w ciemność, dwukrotnie zatrzymując się, by wyrecytować karcące ustępy z Nowego Testamentu.

Chwilę później, ku wielkiej uldze Chandagnaca, ktoś zawołał, że jedzenie jest gotowe. Zostawił marionetki w beczce i dołączył do rozentuzjasmowanego tłumu przy palenisku. Dostał deskę z gorącym, mokrym i dziwnie rozdętym kurczakiem. Jedzenie pachniało jednak całkiem przyjemnie, ponieważ w wiaderku, którego zawartość wrzucono do kotła, znajdowało się curry, które część załogi uznała za zbyt ostre. Chandagnac ściągnął z kurczaka luźną skórę, nabił go na patyk i opiekł nad ogniskiem. Kilku innych piratów, którzy również nie przepadali za na wpół surowym mięsem, zrobiło to samo i gdy już wszyscy zjedli, a następnie zapili wątpliwego pochodzenia posiłek jeszcze większą ilością brandy, ktoś zawołał, aby uczynić lalkarza oficjalnym kucharzem.

Pomysł spotkał się z okrzykami aprobaty, w związku z czym Davies, który także wziął przykład z kulinarnych przyzwyczajęń Chandagnaca, dźwignął się chwiejnie na nogi.

- Wstawaj, lalusi - rzucił do Chandagnaca.

Uznawszy ten zwrot za żartobliwe zdrobnienie od słowa „lalkarz”, Chandagnac wstał, choć wcale nie było mu do śmiechu.

- Jak się nazywasz, lalusi?

- John Chandagnac.

- Shandy... co?

- Chandagnac.

Drewno trzasnęło w ognisku, posyłając w powietrze snop iskier.

- Do diabła, chłopcze, życie jest zbyt krótkie na tak długie imiona. Od dziś nazywasz się Shandy. Wcale niezgorsze imię jak na zwykłego kucharzynę.

Davies odwrócił się do piratów i padł na piasek jak ofiara bitwy.

- Człowiek, który przed wami stoi, to Jack Shandy - powiedział wystarczająco głośno,

aby wszyscy usłyszeli go przez szmer rozmów. - I od dziś jest naszym kucharzem.

Ci, którzy byli jeszcze w stanie zrozumieć jego słowa, wyglądali na zadowolonych, a Skank podniósł jednego z bepańskich kurczaków, przytwierdził go do trikornu i włożył kucharzowi na głowę. Przystrojony w ten niecodzienny kapelusz, Chandagnac osuszył kubek rumu.

Dalsza część wieczoru była długim i rozmytym ciągiem zdarzeń z kilkoma wyraźniejszymi scenami: pamiętał, że o jego pierś rozbijały się spiętrzone fale, że brał udział w jakimś skomplikowanym tańcu i że muzyka była bębnieniem, które za kontrapunkt miało szum fal, ciepły wiatr szeleszczący w koronach palm, a nawet rytm serca. W końcu wyrwał się spod jej wpływu i pognął brzegiem morza, a później przez długi czas wędrował między dżunglą a wodą, omijając ogniska i bez końca mamrocząc pod nosem: „John Chandagnac, John Chandagnac”. Wyobrażał sobie, że teraz, gdy ma nowe imię, łatwo mu będzie zapomnieć stare, szczególnie w tym świecie pełnym śmierci, rumu i niewielkich wysepek z bujną roślinnością. Jakiś czas później ujrzał grupkę nagich dzieci, które znalazły jego marionetki i zmusiły je do tańca, choć wcale nie dotykały przy tym drewnianych figurek i tylko składały przy nich ręce w miseczki, a wszystkie gwoździki świeciły się na czerwono. Aż w pewnej chwili dotarło do niego, że siedzi na miękkim piasku, który jeszcze bardziej nadawał się do leżenia, położył się więc i zorientował, że wciąż ma na głowie kapelusz. Odrzucił go, przypadkiem trącając ręką zimny korpus, i zgiął się wpół, by zwymiotować, po czym znów padł na piasek. Zasnął.

## Rozdział trzeci

Lato 1718 roku w wyjętej spod prawa republice wyspy New Providence nie było całkiem typowe. Zgodnie z tradycją piraci zabierali się za karenaż dużych okrętów wiosną, a gdy tylko kadłuby zostały oczyszczone z wodorostów i wąsonogów, gnijące zaś klepki i olinowanie wymienione, zapelniali ładownie jedzeniem, wodą i najokazalszymi łupami z zimowych wypraw, po czym wyruszali na północny zachód. Opływali łańcuch wysepek Berry Islands i Bimini, a później pozwalali, by wszechpotężny Golsztrum poniósł ich aż do wybrzeży Ameryki Północnej. Gubernatorzy angielskich kolonii z reguły przyjmowali piratów z szeroko otwartymi ramionami, wdzięczni za dobrobyt, który pojawiał się wraz z towarami sprzedawanymi po zaniżonych cenach. Latem Karaiby zamieniały się w parną wylęgarnię malarii, żółtej febry i wszelkich chorób powodujących biegunki, nie wspominając o tym, że właśnie tę porę roku wyjątkowo upodobały sobie huragany. Zwykle przychodziły ze wschodu, zza Barbadosu, i mknęły wokół Kuby aż do Zatoki Meksykańskiej, niczym ogromne wiertła ślizgające się po powierzchni szkła, tworząc, dzieląc, a nawet unicestwiając stojące im na drodze wysepki.

A teraz, choć był lipiec, w zatoce New Providence wciąż tłoczyły się slupy, szkunery, brygi i kilka okrętów trójmasztowych, zaś ogniska zasnuwały dymem niebo wzdłuż plaży, na której stały ciasno jeden obok drugiego szałas, chałupy i namioty z płótna żaglowego. Dziwki i czarnorynkowi kupcy błakali się między załogami, niecierpliwie wyglądając na horyzoncie okrętów, ponieważ plotka głosiła, że król Jerzy mianował Woodesa Rogersa nowym gubernatorem wyspy. Podobno miał się zjawić lada dzień pod eskortą Królewskiej Marynarki, przywożąc ze sobą amnestię dla wszystkich piratów, którzy chcieli zrezygnować z rozbojów, i usankcjonowane prawnie kary dla tych, którzy nie chcieli.

We wczesnych tygodniach lipca filozofia życiowa większości mieszkańców New Providence ograniczała się do zdania: „Pożyjemy, zobaczymy”. Niektórzy, a wśród nich Philip Davies, zamierzali odpłynąć jeszcze przed przybyciem Rogersa, inni, przede wszystkim Charlie Vane oraz jego załoga, postanowili zostać, by sprzeciwić się najazdowi autorytetów zza Atlantyku. Jednakże większość piratów skłaniała się ku akceptacji oferty króla i wymazaniu z przyszłości widma srebrnego wiosła w rękach kata prowadzącego pochód skazańców w stronę

szubienicy, klechy, tłumu i ostatniego węzła, z jakim mieliby w swym marynarskim życiu do czynienia. Zresztą gdyby się okazało, że nie w smak im nowe rządy, mogli przecież ukraść łódź i popłynąć z wiatrem na jakąś inną wyspę. Dwieście lat wcześniej Hiszpanie uczynili swoim priorytetem zapełnienie każdego skrawka lądu świniami i bydłem, a samotna egzystencja na nieznanym brzegu, gdzie człowiek mógł się żywić owocami, rybami i mięsem suszonym nad paleniskiem, z pewnością nie należała do najgorszych. W praktyce korsarski styl życia wymarł przed stuleciem, gdy Hiszpanie postanowili przepędzić wszystkich tych niegroźnych karaibskich Cyganów na morze - czego prędko pożałowali, bo Cyganie ci zamienili się niebawem w groźnych morskich drapieżców - lecz te wyspy wciąż tam przecież były.

O tej porze roku pomarańcze nakrapiały dżunglę, mieniając się niczym złote monety na tle satynowej zieleni i gniesionego aksamitu. Nawet ludzie wychowani w Anglii szli za przykładem miejscowych, urozmaicając proste posiłki owocami tamaryndowca, mango i papajami. Gałęzie drzew uginały się od setek pękających, ciemnozielonych awokado, które często zrywały się z gałęzi i spadały z głuchym łomotem w piasek, wprawiając w zdumienie piratów, którzy nie byli przyzwyczajeni do ich widoku w sezonie dojrzewania.

W rzeczywistości sztuka kucharska stała się w kolonii New Providence istotnym elementem codziennego życia. Przyczyny były dwie. Po pierwsze, rychła wizyta Woodesa Rogersa wiązała się z koniecznością odroczenia pirackich wypraw, dzięki czemu ludzie mogli poświęcić więcej uwagi temu, co jedzą; po drugie zaś, nowy kucharz z „Hałaśliwego Carmichaela” okazał się człowiekiem kompetentnym na swoim stanowisku i postanowił wykarmić kilka załóg w zamian za pomoc w zdobywaniu niezbędnych składników. I tak na przykład w ciągu trzech tygodni od wypłynięcia „Carmichaela” do zatoki udało się zorganizować siedem „dni *bouillabaisse*”. W zasadzie wszyscy - piraci, dziwki, kupcy i dzieci - szli podczas odpływu nad zatokę, uzbrojeni w wiaderka i sieci, i wynosili z wody wystarczającą ilość zwierząt morskich takiego czy innego gatunku, by ugotować mnóstwo gulaszu rybnego. A gdy już na plaży w kilku olbrzymich kotłach bulgotała smakowita zawartość, na przyplływających statkach czuć było podobno jej zapach na długo przed tym, nim obserwator na gnieździe zobaczył ląd.

W miarę jak zbliżał się schyłek miesiąca, coraz więcej ludzi przysiadło się do załogi Daviesa, zwykle zgromadzonej wokół przycumowanego słupa. Zarówno „Jenny”, jak i „Carmichael” mieli opuścić wyspę w sobotę dwudziestego trzeciego, zabierając ze sobą kucharza.

W piątkowy wieczór ów kucharz, znany wśród piratów jako Jack Shandy, wiosłował w

stronę brzegu, wypływając z zatoczki, gdzie stał obecnie „Carmichael”. Okręt przywrócono już do normalnej pozycji i wciągnięto niemal w całości z powrotem na głęboką wodę. Wprawiając wiosła w ruch opalonymi, umięśnionymi rękoma, Shandy obserwował, jak drewniany kolos cofa się powoli, a rusztowanie, fragment po fragmencie odcinane toporami i odpychane od kadłuba, obraca się i rozbija o wodę.

Jeszcze przed końcem miesiąca, myślał, powinienem dostać się do Kingston i wyjaśnić sprawę kredytu, a później stanąć na pokładzie statku płynącego do Port-au-Prince, gdzie złożę wizytę... w rodzinnym majątku.

Teraz, napatrzywszy się na barwy zachodniego nieba, mórz i wysp, nie czuł się aż tak skonsternowany rysunkiem załączonym do listu, który odnalazł jego prawnik. Szerokie ganki i okna domu Chandagnaców w Port-au-Prince, w tle falujące palmy i paprocie wielkie niczym drzewa, zwane olbrzymkowcami, a nad głowami kolorowe papugi... Wszystko to wydawało się o wiele realniejsze i nie przypominało już tak bardzo rysunku zmyślonej rezydencji gdzieś na Księżycu.

Po śmierci starego François Chandagnaca John wynajął prawnika, któremu udało się odnaleźć w Bajonnie nieznanego kuzyna rodziny. Kuzyn ten przekazał mu stos listów od ciotki z Haiti, choć dla Johna dotąd nie było jasne, że miał dziadka i wujka. W każdym razie dzięki listom, a także kosztownym badaniom nad zawilościami testamentów, aktów urodzeń, zgonów, darowizn i tym podobnych na światło dzienne wypłynęły nowe fakty. Były one na tyle niepokojące, że John Chandagnac natychmiast zerwał zaręczyny z córką obrotnego handlarza węglem, zrezygnował ze stanowiska w firmie tekstylnej i zarezerwował podróż na drugi koniec świata na pokładzie „Halaśliwego Carmichaela”. Okazało się bowiem, że jego dziadek z Haiti zapisał najstarszemu synowi, François Chandagnacowi, dom, plantację trzciny cukrowej i całkiem pokaźny majątek. Tenże dziadek zmarł w roku 1703, a młodszy, przyrodni brat François, Sebastian, sfabrykował dokumenty wskazujące, iż prawowity spadkobierca nie żyje.

Dzięki temu oszustwu Sebastian odziedziczył rodzinną fortunę, jego brat zaś, nieświadomy, że cokolwiek mu się należy, w coraz większej chorobie i biedzie dawał swoje pokazy marionetkowe aż do ostatniej, samotnej nocy w Brukseli w 1714 roku. W ten oto sposób wuj Sebastian nie tylko ograbił, lecz w efekcie zamordował François, swego brata i ojca Johna.

Jack Shandy zmrużył oczy i mocniej napał na wiosła, jakby mógł dzięki temu szybciej stanąć oko w oko ze znenawidzonym wujem. Znów nawiedziło go wspomnienie rozmowy z gospodynią nędznego pensjonatu, w którym zmarł jego ojciec. Jako John Chandagnac udał się

tam, gdy tylko dotarli do niego smutne wieści, i ubłagał gospodynię z pomocą sporej ilości gęstego holenderskiego ginu, by na chwilę skupiła swoje myśli na starym lalkarzu, którego ciało zniesiono po schodach zaledwie cztery dni wcześniej. Rozkojarzona kobieta wreszcie przypomniała sobie ten incydent. „*Ah, oui* - powiedziała, uśmiechając się i potakując. - *C'était impossible de savoir si c'était le froid ou la faim*”. Jego ojciec umarł z przemarznięcia bądź głodu, lecz nie było z nim wówczas nikogo, kto potrafiłby stwierdzić, która śmierć dopadła go jako pierwsza.

Jack Shandy nie miał żadnego planu, żadnego pomysłu, co zrobi po przybyciu do Port-au-Prince. Zabrał ze sobą autentyczny akt zgonu ojca, by pokazać go francuskim władzom na Haiti, ponieważ prawnik wytłumaczył mu, że wniesienie oskarżenia w sprawie przestępstwa popełnionego na drugiej półkuli jest praktycznie niemożliwe. Postanowił więc udać się tam, gdzie żył wuj Sebastian. Mógł tylko zgadywać, jakie problemy czekają go na miejscu, jak trudno będzie mu w obcym kraju wnieść oskarżenie i wynająć miejscowego prawnika, balustalić, jakie lokalne prawa, o ile jakiegokolwiek, zostały złamane... Wiedział tylko, że musi stawić czoło wujowi, dać mu do zrozumienia, że jego zbrodnia wyszła na jaw i że swym oszustwem doprowadził do śmierci własnego brata.

Shandy wiosłował, obserwując, jak napinają się długie mięśnie jego rąk i nóg. Pozwolił sobie na ponury uśmiech. Oprócz dodatkowej armaty, prochu i amunicji załadował na „Carmichaela” czarnoksiężskie oprzyrządowanie - narzędzia wierzeń *vodun*, znanych również jako voodoo. Jeden z rytuałów wymagał użycia dużego lustra; załoga innego pirackiego okrętu złupiła ich kilka i sprzedała jedno Żałośnie Tłustemu, bokorowi Daviesa. Zadanie przewiezienia go na „Carmichaela” powierzono Shandy'emu, który podczas całej operacji spojrzał przypadkiem w lustro. W pierwszej chwili nie potrafił rozpoznać swej twarzy i wydawało mu się, że patrzy przez szybę na jednego z piratów.

Tygodnie ciężkiej pracy na remontowanym „Carmichaelu” sprawiły, że rozrósł się w ramionach, lecz schudł w pasie, a także zyskał kilka blizn na rękach. Zdał sobie też sprawę, że najwyższa pora przestać myśleć o swojej twarzy jako o nie ogolonej i przyznać, że ma brodeń rozjaśnione przez słońce, nieregularne blond pasemka, podobne do włosów, które dla wygody smołował i wiązał w kucyk. To jednak raczej głęboka opalenizna barwy dojrzałego cygara, którą zawdzięczał pracy bez koszuli w tropikalnym słońcu, sprawiła, że nie można go było odróżnić od zdziczałych mężczyzn z jego otoczenia.

Czemu nie, pomyślał. Zakradnę się na teren zagrabionego majątku, a gdy wuj Sebastian będzie węszył w zaroślach za kłusownikami, czy co tam robi tutejsza szlachta, wyskoczę na

niego z przerażającą miną i zastraszę kordelasem.

Jednakże już po chwili rysy jego twarzy złagodniały, ponieważ przypomniał sobie o ostatniej rozmowie z Beth Hurwood. Po obiedzie znów wywiodła w pole Leo Frienda i ruszyła wraz z Shandym brzegiem plaży na odprężający godzinny spacer. Morska bryza chłodziła ich rozgrzaną skórę, a w górze skrzeczące stadka papug trzepotały skrzydłami. Opowiedział wówczas Beth o wydarzeniu z lustrem - o tym, że przez moment widział w nim jednego z członków załogi Daviesa.

- Jednego z pozostałych członków załogi, powinienem chyba dodać - stwierdził, być może z delikatną nutą chłopięcej dumy w głosie.

Beth zaśmiała się pobłaźliwie i złapała go za rękę.

- Nie jesteś członkiem załogi, John - powiedziała. - Czy potrafiłbyś zabić tych marynarzy albo zastrzelić starego kapitana Chawortha?

Shandy natychmiast otrzeźwiało.

- Nie - wymamrotał, z nadzieją, że opalenizna ukryje rumieńce, które z pewnością pojawiły się na jego twarzy.

Przez chwilę szli dalej w milczeniu, a Beth nie puszczała jego dłoni, dopóki nie dotarli do przechylonego „Carmichaela”, gdzie musieli zawrócić.

Napierając nieco mocniej na lewe wiosło, aby obrócić łódź w stronę brzegu, Shandy spojrzał do tyłu. Skank i reszta czekali na plaży obok stosu płyt z kararyjskiego marmuru, których chociaż tyle dobrego - był zdecydowanie mniejszy niż jeszcze o poranku. Za nimi, migocząc oślepiająco w blasku popołudniowego słońca, biała plaża pięła się łagodnie w kierunku skupiska nędznych szałasów i namiotów, a jeszcze dalej przechodziła w dżunglę. Kobieta w wystrzępionej fioletowej sukience przemierzała ciężkim krokiem sam szczyt piaszczystego wzniesienia.

Venner wszedł do wody, gdy łódź znalazła się na płytczynie, a Shandy przeskoczył przez nadburcie, by pomóc mu wyciągnąć ją na plażę.

- Mogę powiosłować następnych kilka kolejek, jak ci kości zaczną zgrzytać, Jack - powiedział Venner z uśmiechem równie nieodłącznym, co opalenizna na jego szerokich ramionach. Za nim stał Pan Ptaszyna - czarnoskóry mężczyzna, który regularnie twierdził, że ktoś nazywa go psem.

- Dzięki, jeszcze daję radę - odparł Shandy, kucając, aby chwycić leżącą na szczycie stosu marmurową płytę. Dźwignął ją, krzywiąc się z wysiłku, na sztywnych nogach zaniósł do łódki i położył na nadburciu, by zepchnąć ciężar na tylną ławę, a potem na dno. - Spuszczają mi



z „Carmichaela” solidną sieć, więc tylko owijam ją wokół każdej płyty i macham, żeby wciągali. Ruszył z powrotem w stronę stosu, omijając Skanka, który niósł następny blok.

- I dobrze - rzucił Venner, chwytając za drugi koniec płyty, nad którą ukląkł Shandy. - Nie zmocz koszuli ani krwią, ani potem, oto moja dewiza.

Shandy zerknął na niego w zamyśleniu, gdy człapali w stronę łodzi. Venner nigdy się zbyt nie przemęczał, lecz to właśnie on ocalił go przed śmiercią, gdy Davies zajął „Carmichaela”. Wyznawana przez niego filozofia unikania wszelkiego wysiłku czyniła z niego dobrego kandydata na współnika w planie ucieczki. Venner musiał uważać najbliższe przedsięwzięcie za godny ubolewania i zupełnie zbędny trud, a ponieważ Shandy zamierzał zaszyć się na łodzi przed wypłynięciem „Jenny” i „Carmichaela”, a następnie wynurzyć z kryjówki, by poczekać na przybycie nowego gubernatora z Anglii, człowiek, który znał wyspę i jej zwyczaje, bez wątpienia okazałby się cennym sprzymierzeńcem.

Pan Ptaszyna chwycił jedną z płyt i ruszył za nimi do łodzi, rozglądając się podejrzliwie. Shandy już chciał poprosić Vennera, by spotkali się po pracy i omówili szczegóły praktycznego zastosowania jego filozofii, gdy raptem usłyszał szelest stóp na piasku i odwrócił się, aby sprawdzić, kto nadchodzi.

Kobieta w fioletowej sukience. Gdy zrzucili z Vennerem płytę na dno łodzi, osłonił dłonią oczy, by lepiej się jej przyjrzeć.

- Czołem, Jack - usłyszał i natychmiast zorientował się, że to żona Jima Bonny'ego.

- Witaj, Ann. - Nagle poczuł w piersi chłód, a jego serce zaczęło dudnić niczym młot o miękką ziemię. Zirykowało go to, bo Ann była tylko dużą, kręłą nastolatką z krzywymi zębami. Choć w towarzystwie Beth Hurwood wstydził się odrobinę swej brody, nasmołowanych włosów i opalenizny, gdy w pobliżu znajdowała się żona Jima Bonny'ego, potajemnie rozpierała go duma.

- Wciąż balastujecie tę łajbę? - powiedziała i skinęła w kierunku „Carmichaela”. Nauczyła się tego terminu, obserwując któregoś dnia Shandy'ego przy pracy.

- Tak - kiwnął głową, wychodząc z wody i starając się nie patrzeć na jej piersi, wyraźnie widoczne pod niedbale zapiętą sukienką. Zmusił się, by skupić myśli na pracy. - Ale to już koniec, jeśli chodzi o ruchomy balast. „Carmichael” był wyjątkowo wywrotny, przechylał się groźnie, zwracając przy silnym wietrze. Tego dnia, gdy spotkał się z „Jenny”, prawie wypadłem za burtę.

Przypomniał sobie stolik zjeżdżający po pokładzie rufówki i serwetki spadające w wirującym tańcu do wody poniżej miejsca, gdzie razem z Beth przyłgnęli do relingu i siebie

nawzajem - i nagle zorientował się, że jego wzrok znów utkwiony jest w dekolcie Ann. Złapał płytę.

- Wygląda na to, że macie okropnie dużo pracy - stwierdziła Ann. - Ale czy akurat ty musisz to wszystko robić?

Wzruszył ramionami.

- Morze i pogoda są, jakie są. Twój okręt podporządkuje się im albo zatonie.

Odwrócił się do Ann plecami i ruszył w stronę łodzi, gdzie Pan Ptaszyna i Skank ładowali następną płytę. Venner siedział na plaży, z przesadnie zmartwioną miną oglądając podeszwę swojej stopy.

Shandy oddychał głośno, a krew dudniła mu w uszach i nie słyszał, że Ann brodzi w wodzie tuż za nim. Skank i Pan Ptaszyna wyszli już na brzeg, więc spuścił płytę na dno łodzi i wyprostował się. Nawet nie zdążył zauważyć chwili, w której Ann postanowiła go pocałować.

Zarzuciła mu ręce na szyję i otworzyła usta, a on nawet przez materiał bluzki czuł na gołej piersi jej sutki. Jak większość ludzi z wyspy, pachniała potem i alkoholem, lecz w jej przypadku była to woń tak intensywnie kobieca, że natychmiast zapomniał o swych postanowieniach, o Beth, ojcu i wuju i podniósł ręce, by ją do siebie przyciągnąć. Wraz z gorącym słońcem na plecach i ciepłą wodą omywającą mu kostki w jakiś sposób Ann próbowała zakotwiczyć go na wyspie - niczym drzewo ożywione wyłącznie przez bodźce biologiczne, bez żadnego udziału świadomości.

W końcu się opamiętał i opuścił ręce, a ona zrobiła krok w tył, szeroko uśmiechnięta.

- Za co... - wychrypiał. - Za co - powtórzył mocniej. - Za co to było?

- Za co? - roześmiała się. - Chyba na co! Na szczęście, człowieku.

- Pobudka, Jack - mruknął do niego Skank.

Ze wzniesienia schodził wściekły Jim Bonny. Czerwony na okrągłej twarzy i z czarną chustą na głowie, wielkimi krokami wyrzucał w powietrze kaskady piasku.

- Shandy, ty parszywy synu portowej dziwki! - wydarł się. - Ty podstępny, przeklęty bękarcie!

Shandy, choć pełen niepokoju, odwrócił się w jego stronę.

- Czego chcesz, Jim? - zawołał spokojnym głosem.

Bonny stanął przed żoną, butami niemal dotykając wody, i przez chwilę wydawało się, że ją uderzy. Zawahał się jednak i oderwał od niej wzrok, po czym powoli przeniósł go na Jacka. Sięgnął do kieszeni po składany nóż- Shandy natychmiast cofnął się, wyciągając własny- lecz gdy go otworzył, przycisnął końcówkę ostrza do opuszka palca wskazującego lewej dłoni i

szarpnął ostrzem, posyłając kilka kropel krwi w stronę Shandy'ego. W tej samej chwili zaczął nucić pod nosem jakąś pozbawioną sensu, wielojęzyczną rymowaną.

Shandy raptem stwierdził, że słońce zaczyna prażyć o wiele mocniej - niewyobrażalnie mocniej - lecz wówczas Skank zaszedł Bonny'ego od tyłu, rzucił mu się na plecy i obalił go na kolana. Zeskoczył na piasek i wymierzył mu kopniaka bosą stopą prosto między łopatki, sprawiając, że Bonny wylądował twarzą w wodzie.

Miotał się, chlapiąc wodą i złorzecząc, lecz pot, który nagle wystąpił Shandy'emu na twarz i ramiona, ostygł. Skank wszedł do wody i kopnął Bonny'ego w rękę.

- Nie zapomniałeś chyba o zasadach, co, Jim? - warknął. - Żadnych zniewag *vodun* między członkami załogi, chyba że chodzi o umówiony pojedynek, zgadza się?

Bonny próbował podnieść się z wody, ale Skank wymierzył mu kolejnego kopniaka, jeszcze mocniejszego, i Bonny znów upadł, a z jego piersi wyrwał się jęk protestu.

Shandy rzucił okiem na Ann i z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że wyglądała na zaniepokojoną. Pan Ptaszyna oglądał cały incydent z wyraźną dezaprobatą.

- Żaden z ciebie bokor - ciągnął Skank - a na tej wyspie kilkuletnie pętaki podpałyby ci łeb jak pochodnię i wyśmiały każdą mizerną *drogue*, którą przygotowałbyś na podobną okazję, ale Shandy jest tu nowy i nic o tym nie wie. Myślisz, że Davies będzie zadowolony, gdy mu o tym powiem?

Bonny odskoczył od Skanka i podniósł się na nogi.

- Ale... ale on całował...

Skank zrobił w jego stronę krok.

- Myślisz, że będzie?

Bonny cofnął się, rozbryzgując wodę.

- Nie mów mu - wymamrotał.

- Wynoś się stąd - warknął Skank. - Ann, ty też.

Nawet nie spojrzawszy mu w oczy, Ann ruszyła za przemoczoną mężem.

Shandy odwrócił się do Skanka.

- Dzięki za... wszystko.

- Och, jeszcze się nauczysz. - Skank spojrział na łódź. - Siedzi już dość nisko. Jeszcze jedna płyta i będzie gotowa.

Shandy podszedł do drewnianych sań, na których spoczywały marmurowe płyty, i nagle spostrzegł Vennera. Podczas całego zamieszania mężczyzna nawet się nie podniósł. Chociaż na jego twarzy widniał uśmiech równie przyjazny co zwykle, w jednej chwili Shandy

postanowił, że nie zdradzi mu planu ucieczki.

## Rozdział czwarty

Ponieważ „Carmichael” miał wypłynąć w morze następnego ranka, na nocne rozmowy przy ognisku złożył się fantastyczny miszmasz domysłów, przestroóg i niepojętych historii. Jack Shandy, choć sam obojętny na niepokoje dręczące innych członków załogi, z wielkim zainteresowaniem słuchał opowieści o okrętach zombie, widywanych przelotnie przez potępionych marynarzy, i to wyłącznie o północy; o przeróżnych magicznych środkach ostrożności, które mogły okazać się niezbędne na Florydzie, z dala od wpływów Pana Los-Darzy i innych loa *vodun*; o Hiszpanach, na których mogli się natknąć w Zatoce Meksykańskiej; i wreszcie o taktykach, jakie najlepiej sprawdzą się w bitwie. Opowiadano również stare legendy, dzięki czemu Shandy poznał dzieje pirata Pierre'a le Granda, który na lichej łódce zajął wraz z garstką ludzi galeon hiszpańskiej floty, jak również płomienną historię czterogodzinnej bitwy między angielskim okrętem „Charlotte Bailey” a hiszpańskim „Nuestra Señora de Lagrimas”, która skończyła się zatonięciem obu jednostek. Później przez pewien czas piraci licytowali się na opowieści o sucz-kubach, kobietach demonach, które w dziwny i erotyczny sposób zajmowały ostatnie godziny życia mężczyzn pozostawionych na bezludnych wyspach.

Pojawiły się także głosy, że „Carmichael” wyrusza na Florydę, aby spotkać się z dowodzoną przez Czarnobrodego „Zemstą Królowej Anny”. Natychmiast zawtórowały im plotki na temat tego najbarwniejszego kapitana piratów. Spekulowano, dlaczego wraca na ów dziki brzeg, gdzie rok albo dwa lata temu zapuścił się daleko w głąb lądu w poszukiwaniu jakiegoś czarnoksięskiego źródła mocy. Wiele dni później po nieudanej misji wyszedł z dżungli-utykający, chory i nawiedzony przez duchy, które od tamtej pory prześladowały go, tak jak pchły prześladowają psy.

Shandy ugotował tej nocy swą najlepszą kolację. Objedzony i na lekkim rauszu, doceniał uroki wieczoru, dopóki nie dostrzegł innych członków załogi - tych, którzy nie pili bez umiaru i nie śmiali się, skupieni wokół ogniska. Niektórzy zaczęli wracać do namiotów, a kiedy wiatr na chwilę cichnął, Shandy miał wrażenie, że słyszy dolatujące z tamtej strony szlochanie. Zauważył Skanka, który siedział w cieniu palmy i pieczołowicie ostrzył sztylet. Na jego młodej twarzy malował się wyraz ogromnej koncentracji, która niepokojąco przypominała

smutek.

Shandy wstał i ruszył w stronę morza. Na tle blasku gwiazd, jakieś pół mili od miejsca, gdzie się znajdował, majaczyły niewyraźnie kształty Hog Island, a bliżej nagie maszty kołyszące się delikatnie na wietrze i spokojnych falach. Usłyszał za plecami szelest butów na piasku, a gdy odwrócił się w stronę ognisk, ujrzał szczupłą sylwetkę Philipa Daviesa, który zmierzał w jego stronę z dwoma butelkami wina. Za nim miejscowi muzycy zaczęli stroić instrumenty.

- Tu cię wyгнаło - rzucił Davies podpitym głosem. - Kto zasługuje na najlepsze wino, jeśli nie pokładowy kucharz?

Wyciągnął w kierunku Shandy'ego rozbitą przy szyjce butelkę.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział Shandy i wziął wino, przyglądając się nieufnie wyszczerbionemu szkłu.

- Château Latour rocznik 1702.

Davies uniósł butelkę, by pociągnąć spory haust. Shandy powąchał swoje wino, po czym wlał sobie odrobinę do ust. To było najwytrawniejsze, najdelikatniejsze bordeaux, jakie kiedykolwiek pił - a razem z ojcem mieli okazję kosztować niejednego. Nie pozwolił jednak, by błogość rozlała się na jego twarzy.

- Cóż - rzucił od niechcenia - szkoda, że tego nie miałem, gdy szukałem składników na gulasz.

- Na gulasz... - Połowa twarzy Daviesa była rumiana od blasku ognisk i Shandy zobaczył, jak pojawiają się na niej zmarszczki kwaśnego uśmiechu. - Byłem jeszcze podrostkiem, kiedy mieszkałem w Bristolu. W jedną z bożonarodzeniowych nocy, gdy wyszedłem z warsztatu, w którym terminowałem, zobaczyłem, że grupka ulicznych łobuziaków wybiła szybę sklepową, żeby ukraść jakieś drobiazgi. To, czego nie ukradli, powywracali i stał tam taki...

Davies urwał, by wziąć łyk wina.

- Stał tam taki rząd wystruganych z drewna figurek, pięknie pomalowanych chórzystów nie większych od twojego kciuka. Jedna z tych figurek upadła w śnieg i któryś z łobuzów kopnął ją, gdy uciekał, a ona potoczyła się w dół ulicy. I pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy: cokolwiek by się stało z tym małym drewnianym ludzikiem, już nigdy nie stanie w tym rzędzie, z którego wypadł. - Davies odwrócił się w kierunku zatoki i wciągnął głęboko w nozdrza morskie powietrze. - Dobrze wiem, co knujesz - rzucił przez ramię. - Usłyszałeś, że Woodes Rogers każdego dnia może się tu zjawić z królewskim ułaskawieniem, więc chcesz się pod osłoną nocy wymknąć do dżungli, jak najdalej od osady, i zaczekać, aż „Carmichael” wypłynie

w morze. Nie, nie przerywaj mi, zaraz pozwolę ci mówić. A potem tu wrócisz, by zająć się gotowaniem, leżeniem w słońcu i złopaniem rumu, dopóki nie przybędzie Rogers. Zgadza się?

Na długą chwilę zapadła cisza. W końcu Shandy zaśmiał się nerwowo i pociągnął łyk doskonałego wina.

- Rzeczywiście, dałoby się to zorganizować - przyznał.

Davies kiwnął głową i odwrócił się do Shandy'ego.

- Pewnie, że by się dało - powiedział - ale szkopał w tym, że wciąż myślisz z perspektywy tej witryny, z której wypadłeś, rozumiesz? Już nigdy nie wrócisz tam, gdzie byłeś na początku.

Napił się z butelki, po czym westchnął i przeciągnął dłonią po zmierzwionych czarnych włosach.

- Po pierwsze - zaczął - ucieczka z okrętu w czasie wyprawy jest przestępstwem karanym śmiercią, gdybyś więc rano po wypłynięciu „Carmichaela” wrócił do osady, z pewnością byś zginął. Przykra sprawa, bo sympatyczny z ciebie typ i umiesz nieźle gotować, ale zasady to zasady. Pamiętasz Vanringhama?

Shandy przytaknął. Vanringham był wesołym chłopcem, mniej więcej osiemnastoletnim, który został skazany za chowanie się pod pokładem, kiedy okręt Królewskiej Marynarki ostrzelał jego bryg. Gdy piracki okręt dowlókł się wreszcie do New Providence, kapitan, tęgi, stary weteran o nazwisku Burgess, pozwolił Vanringhamowi uwierzyć, że ze względu na młody wiek ominie go regulaminowa kara... A wieczorem, po kolacji, Burgess zaszedł chłopaka od tyłu i ze łzami w oczach - ponieważ bardzo go lubił - przestrzelił mu głowę na wylot.

- Po drugie - ciągnął Davies - pociąłeś mnie już po tym, jak się poddałeś. To prawda, zrobiłeś to, bo zabiłem ci przyjaciela, choć pewnie mogłem go zatrzymać w mniej drastyczny sposób, ale on przecież też się już poddał. W każdym razie zawdzięczasz życie temu, że nie miałem wówczas ochoty wyjaśniać sobie z Vennerem pewnych spraw. Gdy dałem ci wybór, nie wybierałeś między śmiercią a trzema tygodniami darmowego żarcia i picia na egzotycznej wyspie. Za tę bliźnę jesteś mi dłużny ciężką pracą i nie pozwolę, żebyś tak łatwo wykpił się ze swojej części umowy.

Muzycy, odnalazszy wreszcie wspólny rytm, zaczęli grać *Greensleeves*. Stara, melancholijna melodia rozbrzmiała znajomymi nutami, spływając w dół plaży, dziwacznie przedrzeźniana przez zaniepokojone tropikalne ptaki. Wydawała się tak nie na miejscu, że raptem wszystkie rzeczy Starego Świata, wszyscy bogowie i wszystkie filozofie stały się

odległe i nieistotne.

- I po trzecie - dodał Davies głosem, z którego zniknął karcący ton - być może już niebawem królowie i kupcy zza Atlantyku będą musieli porzucić zainteresowanie tą ziemią. Dla nich to wciąż Europa i Azja są szachownicą, na której toczy się najważniejsza rozgrywka. Ten nowy świat traktują wyłącznie jako środek, by się szybko i łatwo wzbogacić, a także wylęgarnię wszelkiego rodzaju kryminalistów. Bardzo... zaskakujące plony wyrosną z tego, co tu posiali, a gdy Rogers przybędzie na miejsce, może się zorientować, że żaden z nas nie potrzebuje, ani nawet nie czerpie korzyści z ułaskawienia przyznanego przez człowieka, który rządzi zimną wyspą na drugim końcu świata.

Morska bryza, teraz nieco chłodniejsza, szumiała między koronami palm na Hog Island, sprawiając, że płomienie ognisk migotały i podskakiwały.

Słowa Daviesa zmartwiły Shandy'ego, przede wszystkim dlatego, że pozornie odbierały słuszość sprawie, dla której przemierzył ocean. Nagle jego wuj wydawał się równie bezosobowy i pragmatyczny, co głodne mewy pożerające młode żółwi morskich, a jego misja nieprzemysłana niczym próba nauczania ptaków współczucia. Otworzył usta, by zaprotestować, lecz ubiegł go krzyk z tłumu zgromadzonego wokół ogniska.

- Phil! - ktoś wołał. - Kapitanie Davies! Ci chłopcy dręczą mnie pytaniami, na które nie znam odpowiedzi!

Davies odrzucił butelkę w piasek.

- To Venner... - powiedział w zamyśleniu. - Więc jak to było z tym ruchem? Przejsć pod ostrzem i upozorować pchnięcie wewnątrz, a kiedy sparuje, przejść pod nim, ale nie całkiem dookoła, i uderzyć w bok?

Shandy zamknął oczy, by wyobrazić sobie ten manewr.

- Zgadza się. I minąć go po jego zewnętrznej.

- Jasna sprawa. - Podnosząc głos, Davies zawołał: - Już idę, Venner!

Kiedy szli razem z Shandym w stronę ognia, wyciągnął zza pasa pistolet.

- Jeżeli Venner będzie grać czysto, sam sobie z nim poradzę - powiedział cicho. - Ale jeśli coś mu strzeli do łba, chcę, żebyś stał z tyłu i... - Urwał, po czym zaśmiał się zmęczonym głosem. - Nieważne. Zapomniałem, że rozmawiam z drewnianym chłoptasiem z chóru.

Schował pistolet i przyspieszył.

Shandy ruszył jego śladem, gotując się ze złości. Dręczyły go wyrzuty sumienia, że uniknął pirackiej awantury - jak dziecko, które nie podjęło głupiego wyzwania - ale jeszcze bardziej dręczyło go, że nie może wziąć w niej udziału.



\* \* \*

Z bufiastymi marynałami okręcającymi się wokół kolan przy każdym ciężkim kroku Leo Friend dotarł wreszcie do podnóża ścieżki z piaskowca, która prowadziła do ruin starego fortu. Pocąc się obficie w ozdobionym dziesiątkami wstążek dublecie, ruszył w stronę ognisk rozpalonych przez załogę Daviesa. Obok niego maszerowała Beth Hurwood. Szlochała ze złości, próbując wyplątać z włosów zasuszoną łapę psa, którą wepchnął tam Friend. „Ochroni cię, gdyby coś nas rozdzieliło!”, warknął niecierpliwie tuż przed tym, jak wyciągnął Beth siłą z pozbawionego okien pokoju i popchnął bezceremonialnie w dół ścieżki.

Choć bez trudu nadążała za mozolącym się mężczyzną, Friend co kilka kroków spoglądał za siebie, by pogonić ją zdyszczanym głosem i zerknąć ukradkiem w dekolt sukni.

Do diabła z tymi opóźnieniami, myślał Friend, do diabła z głupcami, z którymi musimy się zadawać, żeby dotrzeć do ogniska mocy na Florydzie! Dlaczego to akurat ciemni, kłótlivi bandyci musieli je odnaleźć? Choć gdyby, rzecz jasna, trafiła na nie sprytniejsza osoba, nie moglibyśmy manipulować nią z taką łatwością... A cały ten Czarnobrody i tak wydaje się zbyt cwany. Zwleka, zmuszając nas do zaangażowania wszystkich sił w podróż na Florydę, zanim do nas dołączy. A przecież mógł zdobyć te indiańskie zioła, zwyczajnie je kupując, na litość boską, lecz nie, wolał zablokować całe Charles Town, zająć dziewięć okrętów i wziąć jako zakładników tłum marynarzy, łącznie z członkiem Rady Gubernatorskiej, a później zażądać w ramach okupu skrzynki leczniczych ziół. Gdybym tylko wiedział, myślał Friend, czy ten człowiek zwyczajnie się zgrywa, dba o bojową formę załogi, czy raczej wyczynia te cyrki, by ukryć jakieś inne, potajemne działania. Ale jakie plany mógł wiązać z boleśnie ucywilizowanym, prawym i spokojnym wybrzeżem Karoliny?

Znów spojrzął na Beth Hurwood. Wreszcie zdołała wyplątać z włosów psią łapę. Gdy odrzuciła ją zamasyście, wymamrotał krótką formułę i musnął palcami powietrze, a wówczas jej sukienka wzbila się wysoko - lecz złapała ją tak szybko, że nie zdążył zobaczyć niczego prócz kolan. Och, poczekaj jeszcze trochę, dziewczyno, myślał, czując, jak zasycha mu w ustach, a serce bije szybciej niż zwykle. Już niebawem zapragniesz mnie tak bardzo, że nie będziesz w stanie porządnie zaczerpnąć tchu.

Friend wszedł niezdarnie w tłum skupiony wokół ogniska w tej samej w chwili, w której z plaży nadszedł Philip Davies. Szef piratów szczyrzył się z wyższością, a Friend przewrócił oczyma. Och, oszczędź nam kolejnego pokazu odwagi, kapitanie, pomyślał otyły lekarz. Nikt tutaj nie jest dla ciebie zagrożeniem... Chyba że naprawdę rozdrażnisz mnie tą swoją

waleczną pozą.

- A oto i nasz kapitan! - wydarł się rudowłosy mężczyzna o szerokiej, piegowatej twarzy, krzywiąc się w szerokim uśmiechu. I choć niektórzy z piratów w tłumie marszczyli gniewnie brwi, Friend skupił się na roześmianym rudzielcu, ponieważ przeczuwał, że to on stanowi zagrożenie. - Phil - zaczął ów mężczyzna poważnie - niektórzy z chłopców zachodzą we łby, na jakie to właściwie trudy wyszykowaliśmy „Carmichaela”, harując jak dzikie świnie, i jakie czekają nas zyski, w porównaniu, rzecz jasna, do potencjalnych zagrożeń. Próbowałem odpowiedzieć im nieco ogólniej, ale oni chcą wyłącznie konkretnych odpowiedzi.

Davies zaśmiał się.

- Wydawało mi się, że nie są aż tak głupi, żeby po konkretne odpowiedzi udawać się do ciebie, Venner - odparł swobodnie, choć dla Frienda niepokój ukryty za maską obojętności był aż nazbyt widoczny.

Otyły lekarz dostrzegł nowego członka załogi - przyjaciela Elizabeth. Jak mu było? Shandy, tak jest. Dostrzegł, jak Shandy przeciska się przez tłum za Daviesem i przez chwilę zastanawiał się, czy nie zaaranżować wydarzeń tak, aby wścibski lalkarz zginął. Albo, jeszcze lepiej, żeby ktoś go okaleczył, pozbawił zdolności myślenia porządnym ciosem w głowę... Z żalem doszedł jednak do wniosku, że trudno byłoby powstrzymać tak duży i nieokiełznany tłum przed buntem, jednocześnie próbując zmusić go, by rozgniół tego irytującego robaka.

Skierował uwagę z powrotem na Vennera, którego twarz, pomimo uśmiechu, lśniła w blasku płomieni od nerwowego potu.

- Właśnie to im powiedziałem, kapitanie - stwierdził, a na krótką chwilę nieszczerłość jego uśmiechu musiała stać się oczywista dla wszystkich obecnych - ale kilku chłopców zaczęło gadać, że nigdzie nie popłyną, jeśli mamy się udać do tego przekłętego miejsca na Florydzie, gdzie Thatch złapał duchy.

Davies wzruszył ramionami.

- Każdy, komu nie wystarczy obietnica, że zostanie bogaczem, albo kto nie ufa moim słowom, może porozmawiać ze mną na osobności, żeby to wyjaśnić. A każdy, kto chce zdezerterować w środku przedsięwzięcia, zna regulaminową karę. Czy należysz do którejś z tych grup, Venner?

Friend, który obserwował całą scenę zza tłumu, zaczął szeptać i uniośł rękę.

Venner chciał odpowiedzieć, ale z jego gardła wydobył się jedynie zdławiony pomruk.

Powinienem sprawić, że doprowadzi do własnej śmierci, czy raczej go ocalić? - zastanawiał się Friend. Chyba pozwolę mu żyć - w tym tłumie naprawdę panuje strach i gniew,

a lepiej nie igrać z ogniem. Znow coś wyszeptał, wykonał kolejny gest i Venner niespodziewanie skulił się i zwymiotował na piasek. Stojący obok niego piraci cofnęli się o krok, a wybuch rubasznego śmiechu rozładował napięcie.

Podporządkowując się woli publiczności, Davies parsknął:

- Nie nazwałbym tego jednoznaczną odpowiedzią.

Serdelkowaty palec Frienda zatańczył w powietrzu, a Venner wyprostował się i wydukał głośno:

- Nie... Phil. Ufam ci. Ja... Co się dzieje? To nie są moje... Byłem po prostu pi... jany, chciałem... wywołać awanturę. Wszyscy chłopcy wiedzą... że leży ci... na sercu... niech to szlag!... ich najlepszy interes.

Davies zmarszczył brwi i rozejrzał się podejrzliwie po tłumie. Słowa Vennera okazały się jednak tak przekonujące, że jeden z piratów podszedł do niego i wymierzył niedoszłemu buntownikowi cios prosto w twarz.

- Zdradziecka świnia... - wymamrotał, gdy Venner klapnął na piasek, krwawiąc z nosa. - Twoje słowo zawsze na wierzchu, kapitanie.

Davies uśmiechnął się.

- I nigdy o tym nie zapominaj, Tom - napomniął go łagodnie.

Stojący za tłumem Friend także pozwolił sobie na uśmiech - wszystko okazało się o wiele prostsze, niż byłoby na wschodniej półkuli. Odwrócił się do Elizabeth Hurwood.

- Możemy już wracać do fortu - powiedział.

Spojrzała na niego tępo.

- To wszystko? Gnałeś tu jak na złamanie karku, żeby zobaczyć, jak ten mężczyzna wymiotuje i dostaje w twarz?

- Chciałem się upewnić, że na pewno do tego dojdzie- odparł niecierpliwie Friend. - A teraz chodź.

- Nie - zaprotestowała. - Skoro już tu jesteśmy, chcę się przywitać z Johnem.

Friend doskoczył do niej wściekły, ale zdołał się opanować. Wykrzywił usta w pogardliwym uśmiešku i unióśł brew.

- Z tym zamiataczem pokładów i kucharzem bandy rozbójników? Coś mi się zdaje, że gdzieś tu jest - powiedział, krzywiąc się - chyba że ten smród roztacza mokry pies.

- Wracaj do fortu - rzuciła zniechęcona Elizabeth.

- Żebyś m-m-mogła m-m-mu się o-o-oddać? - wybelkotał głosem pełnym pogardy, znow żalując, że nie potrafi płynnie mówić o sprawach dotyczących współzycia. - P-p-porzuc tę

myśl, Elizabeth. Twój ojciec wyraźnie prosił, abym nie spuszczał cię z oczu.

Kiwnął energicznie głową.

- Rób, jak chcesz, przeklęty łajdaku - odparła szeptem Elizabeth, a Friend zorientował się w przebłysku zaskakującego i niechcianego zrozumienia, że nie użyła słowa „przeklęty” wyłącznie w celu wzmocnienia wypowiedzi. - Zamierzam tam podejść i z nim porozmawiać. Czy za mną pójdziesz, czy nie.

- Popatrzę na was z daleka - mruknął, a gdy Elizabeth zaczęła odchodzić, podniósł głos: - Bez obaw, nie naraziłbym moich nozdrzy na smród tego osobnika!

Ponieważ nieporozumienie przy ognisku zostało w zasadzie wyjaśnione, niektórzy piraci i prostytutki popatrywali w stronę Frienda w poszukiwaniu rozrywki. Wyglądało na to, że otyły lekarz nie zawiódł ich oczekiwań; natychmiast podniosły się szept i chichoty, a kilka osób śmiało się w głos, skrywając twarze za lśniącymi od klejnotów dłońmi.

Friend nachmurzył się i uniośł rękę, lecz zmęczenie dawało mu się we znaki.

- Hołota! - zadowolił się okrzykiem i odszedł od skłębionej cizby, by stanąć na niewielkim wzniesieniu.

Skrzyżował ręce w dramatycznym geście, obserwując córkę Hurwooda. Znalazła tego szczura Shandy'ego i odciągnęła go jakieś dziesięć jardów na bok, by porozmawiać.

Śmiało, pogardzajcie mną, myślał Friend. Został wam na to już tylko jakiś tydzień.

Po raz pierwszy od wielu lat pomyślał o staruszku, który zapoczątkował jego - urwał, by w pełni nacieszyć się tymi słowami - drogę do boskości. Ile miał lat? Chyba osiem, ale już wtedy uczył się łaciny i greki, już wtedy czytał *Principia* Newtona i *De sagis earumque operibus* Paracelsusa. I już wtedy, przypomniał sobie, zazdrość o jego bystry umysł i krzepką sylwetkę sprawiała, że ludzie o ograniczonych umysłach zaczęli się go bać, zaczęli nim gardzić. Nawet jego ojciec, wyczuwając i odrzucając wielkość, której nie zdołałby pojąć, znecał się nad nim, kazał mu wykonywać bezcelowe ćwiczenia fizyczne i ograniczał przydział słodczy - a przecież zawierały niezbędny cukier. Tak naprawdę tylko matka w pełni ujrzała geniusz swego syna i zrozumiała, że nie musiał chodzić do szkoły z innymi dziećmi. Tak, miał około ośmiu lat, gdy zobaczył obdartego staruszka zagląającego do zakładu cukiernika przez tylne okienko.

Mężczyzna ów był niewątpliwie człowiekiem prostym, a do okna przyciągnął go zapach świeżych placków owocowych. Wykonywał jednak dziwaczne gesty - jego ręce zdawały się kopać w powietrzu, jakby napotykały opór. To wówczas nos Frienda po raz pierwszy podrażniła ta specyficzna woń - woń rozgrzanego do czerwoności żelaza.

Pomimo tego, co ludzie sądzili o jego tuszy, zwinnie i bezszelestnie wspiał się na skrzynię za staruszką, by zajrzeć do wnętrza budynku - a widok, który ukazał się jego oczom, sprawił, że mocniej zabiło mu młode serce. Świeży placek lewitował w powietrzu, przesuwał się rwącymi ruchami w stronę okna, a wahania i szarpnięcia dokładnie odpowiadały gestom starca. Pomocnica cukiernika klęczała w najdalszym kącie pomieszczenia, zbyt skupiona na gwałtownych torsjach, by zwrócić uwagę na latający placek. Mężczyzna od czasu do czasu pozwalał ciastku się zatrzymać i chichocząc, wykonywał inne gesty, które na odległość targały strojem dziewczyny.

Szalenie podekscytowany Friend zszedł ze skrzyni i ukrył się, a kilka minut później ruszył w ślad za starcem, gdy ten radośnie odchodził ze skradzionym plackiem. Śledził nieznajomego przez cały dzień, obserwując, jak przywłaszczał sobie jedzenie i piwo, jak sprawiał, że suknie pięknych dziewcząt wlatywały im nad głowy, a wszystko to wyłącznie za sprawą gestów i mamrotania. Mały Leo Friend oddychał coraz szybciej i płycej, gdy stawało się dla niego jasne, że żaden z obrabowanych i sponiewieranych ludzi nie zdawał sobie sprawy, kto stał za ich nieszczęściem - ów roześmiany, mrugający wesoło stary włóczęga. Tamtego wieczoru nieznajomy włamał się do jednego z niezamieszkałych domów i znikł w jego wnętrzu, ziewając rozziewając.

Następnego ranka Friend czekał na starca, przechadzając się w tę i w ową stronę z największym, najwspanialszym ciastem, jakie mógł kupić za pieniądze ojca przeznaczone na czynsz. Był to widok, który musiał wzbudzić pożądanie w każdym miłośniku słodczy, a chłopiec bardzo starannie zamaskował wszelkie ślady swojej ingerencji dodatkową warstwą lukru.

Po półtorej godziny dreptania w miejscu w jego pulchnych rękach odezwał się nieznośny ból, wywołany torturą trzymania ciężaru wysoko w powietrzu. W końcu jednak mały Friend zobaczył, jak staruszek wynurza się z domu. Znów ziewał szeroko, lecz tym razem był ubrany w krzykliwy aksamitny płaszcz z taftową podszewką. Mijając drzwi, Friend uniósł ciasto jeszcze wyżej i zatriumfował, ponieważ raptem w żołądku poczuł gwałtowne skurcze, a ciasto wyleciało mu z rąk.

Zgiął się wpół i padł na bruk, ale pomimo dotkliwego bólu zmusił się, żeby otworzyć oczy, i obserwował, jak ciasto lewituje. Uniosło się pionowo w górę, a następnie przechyliło lekko i odleciało w kierunku odległego zakamarka budynku. Chichoczący starzec wszedł z powrotem do środka, a skurcze Frienda ustały. Chłopiec podniósł się na nogi, dokuśtykał do drzwi i po cichu przestąpił próg.

Słuchając, jak starzec głośno pożera ciasto w pokoju obok, czekał w zakurzonej holu, aż mlaskanie umilknie i zastąpi je płacz. Wówczas wszedł zuchwale do sąsiedniego pomieszczenia i zobaczył, jak mężczyzna tarza się po podłodze między prostymi meblami, na których leżały prześcieradła.

- Wiem, gdzie jest lekarstwo - pisnął. - Powiedz mi, jak rzucasz swoje czary, to ci je przyniosę.

Musiał powtórzyć to kilka razy i o wiele głośniejszym głosem, by starzec w końcu go zrozumiał. Urywającym głosem, posilkując się gestami, gdy zawodziło go ubogie słownictwo, wyjaśnił chłopcu, że magia jako pojęcie jest niezwykle prosta, lecz równie nieoczywista, jak konieczność użycia punktu oparcia, bloczka i liny, by wielokrotnie zwiększyć siłę ciągnięcia. Chłopiec natychmiast pojął tę uwagę, lecz nalegał, aby starzec nauczył go w praktyce, jak poruszać przedmiotami na odległość, zanim dostanie antidotum. A gdy młodemu Friendowi udało się w końcu zmusić kanapę do uderzenia o sufit z taką mocą, że na podłogę posypał się tynk, mężczyzna znów zaczął go błagać, by uśmierzył jego ból.

Śmiejąc się głośno, Friend obiecał wyświadczyć mu tę przysługę. Wrócił do domu, zostawiając na podłodze martwe ciało, by znaleźli je lokatorzy - jeśli kiedykolwiek zamierzali się pojawić.

Całą młodość pilnie studiował zapisy starożytnych praktyk magicznych - a wszystkie okazywały się kusząco spójne, bez względu na pochodzenie! Stopniowo dochodził jednak do bolesnego wniosku, że naprawdę doskonałe, niemal boskie czary z biegiem czasu stały się nieosiągalne. Wyobrażał sobie, że magia była niegdyś strumieniem, przy którym czarownik mógł napełnić naczynie swego ciała aż po brzegi, i że po tym strumieniu została tylko wilgotna gleba - z ogromnym trudem dało się z niej wycisnąć ledwie kilka kropeł. Albo że istniały niewidzialne stopnie prowadzące do nieba, lecz z każdym dniem niebo się rozrastało, a odległość między nimi zwiększała i choć przedwieczni czarownicy mogli po nich stąpać, robiąc większy krok, człowiek musiał poświęcić niemal całe życie, by przeskoczyć z jednego na drugi.

Mimo to pracował z tym, co miał do dyspozycji. W wieku piętnastu lat potrafił przywłaszczyć sobie niemal każdy przedmiot, którego zapragnął, i zmusić ludzi do robienia wielu rzeczy wbrew własnej woli... Aż któregoś dnia postanowił otworzyć drzwi do sekretnej świata magii swej matce, która jako jedyna zawsze w niego wierzyła. Nie pamiętał, co się wówczas stało - wiedział dziś tylko tyle, że ojciec go uderzył, a on uciekł z rodzinnego domu i nigdy tam nie wrócił.

Przez następnych pięć lat magiczne zdolności pozwoliły mu wieść wygodny żywot

studenta. W jego zasięgu znajdowało się najlepsze jedzenie, najdroższe ubrania i najwspanialsze pokoje, choć głęboka podejrzliwość względem aktu seksualnego ograniczyła jego doświadczenia w tym zakresie do niepokojących, mglistych i lepkich snów. Jednakże pewnego dnia niespodziewanie poczuł ten rodzaj niepokoju, jaki ogarnia człowieka, który zdaje sobie sprawę, że jego dzienna dawka laudanum jest już za słaba. Zrozumiał, że chce, potrzebuje - czegoś więcej. W końcu to nie przedmioty, które sobie przywłaszczał, czyniły magię cudowną, lecz ich odbieranie, naganianie cudzej woli, świadomość gry zwycięską ręką, patrzenie, jak jego własna wola zostawia ślad na rzeczywistości. Dręczyła go świadomość, że nie potrafi złamać ludzi w sposób zupełny, że istnieją miejsca, które opierały się jego mocy, jak nawoskowane fragmenty kamienia opierają się atramentowi litografa. Nie mógł dotrzeć do ich umysłów. Potrafił zmusić ludzi, by stosowali się do jego życzeń, lecz nie potrafił sprawić, by tego chcieli. A dopóki w ich umysłach czał się choćby cień strachu, protestu bądź oburzenia, dopóty jego dominacja, jego posiadanie nie były absolutne.

Pragnął, by takie były... lecz zanim poznał Benjamina Hurwooda, sądził, że to niemożliwe.

## Rozdział piąty

- Dlaczego tak go nazywasz? - rzuciła rozdrażniona Beth Hurwood.

- Jak? Hunki Kanzo? - zapytał Shandy. - To jego tytuł. Sam nie wiem, Thatch brzmi zbyt poufale, a Czarnobrody zbyt teatralnie.

- Jego tytuł? Co to znaczy?

- To znaczy, że jest... wtajemniczonym. Że przeszedł próbę ognia.

- Wtajemniczonym w co? - Beth wydawała się rozdrażniona faktem, że Shandy tyle wie. John chciał coś powiedzieć, ale w końcu wzruszył tylko ramionami.

- W te całe magiczne sztuczki - wyjaśnił. - Chyba nawet mieszkając tam na górze, w forcie, musiałaś zauważyć, że z magii korzysta się tu równie często, co... co z ognia w Anglii.

- Zauważyłam, że ludzie są zabobonni, oczywiście. Wydaje mi się, że wszystkie niewykształcone grupy społecz... - Urwała i zamrugła w stronę Shandy'ego. - Dobry Boże, John, chyba nie wierzysz w te brednie?

Shandy zmarszczył czoło, spoglądając przez ogień w stronę dżungli.

- Nie chciałbym urazić cię brakiem szczerości. To jest nowy świat, a ci piraci są z nim o wiele bliżej związani niż Europejczycy z Kingston, Kartageny czy Port-au-Prince, którzy próbują przeszczepić tutaj tyle Starego Świata, ile tylko się da. Jeżeli ufasz Staremu Testamentowi, sama musisz wierzyć w bardzo dziwne rzeczy... i nie powinnaś tak pochopnie oceniać, co jest, a co nie jest możliwe.

Pan Ptaszyna odrzucił jedzenie i skoczył na równe nogi, rozglądając się wściekle, lecz nie patrząc w żadnym konkretnym kierunku.

- Nie jestem psem, ty suczy synu! - krzyknął głośno, a jego złote kolczyki zamigotały w blasku ognia.

Beth obejrzała się wystraszona, lecz Shandy uspokoił ją uśmiechem.

- Nie ma powodu do obaw - szepnęła. - Rzadko zdarza się noc, by nie zrobił tego choć raz. Nie wiem, o co się tak złości, ale na pewno nie ma to żadnego związku z New Providence ani rokiem 1718.

- Niech cię szlag, nie jestem psem! - wydzierał się Pan Ptaszyna. - Nie jestem psem! Nie jestem pseem!



- Pewnie ktoś nazwał go kiedyś psem - wyjaśnił Shandy - i przypomina sobie o tym, ilekroć wypije kilka głębszych.

- Z pewnością - przytaknęła ponuro Beth. - Ale John, chcesz powiedzieć, że... sama nie wiem, że nosisz ze sobą amulety, żeby chronił cię ten Pan Los-Darzy?

- Nie - odparł - ale dobrze pamiętam, jak strzeliłem prosto w brzuch twojemu lekarzowi, gdy miał przy sobie taki amulet. Proszę, nie przerywaj mi. Podczas pierwszego tygodnia na wyspie złapałem kurczaka, ugotowałem go i zjadłem, a następnego dnia dostałem paskudnej gorączki. Stary gubernator Sawney akurat przechodził obok, bełkocząc i odganiając niewidzialne muchy, jak to ma w zwyczaju. Zauważył, że jęczę spocony w namiocie, i bez żadnych wstępów zapytał, czy przypadkiem nie zjadłem kurczaka z jakimiś słowami wypisanymi na dziobie. Cóż, rzeczywiście zauważyłem tam bazgroły i przyznałem się do tego gubernatorowi. Tak właśnie myślałem, odpowiedział. To musiał być ptak, w którego zakląłem gorączkę Rouncivela. Nigdy nie jedz kurczaków, jeśli zobaczysz, że mają na dziobie wypisane słowa, bo złapiesz świństwo, którego ktoś inny chciał się pozbyć. Zaraz potem przyniósł mi innego kurczaka, odprawił swoje sztuczki, a następnego ranka byłem zdrow jak ryba.

- Och, John - wyszeptała Beth. - Chyba nie sądzisz, że te sztuczki cię wyleczyły?

Shandy wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Tak czy inaczej, nigdy więcej nie zjem takiego kurczaka.

Postanowił nie wspominać jej o mężczyźnie, którego pewnej nocy zobaczył na plaży. Wszystkie kieszenie miał porozrywane i nie mógł mówić, ponieważ sukno obwiązane szczelnie wokół głowy unieruchamiało mu żuchwę. Gdy przechodził obok, Shandy zauważył, że jego płaszcz jest nie tyle pozapinany na guziki, ile zaszyty. Nie widział żadnego sensu, by jej o tym opowiadać - ani też o tym, czego się później dowiedział na temat ludzi ubranych w taki sposób.

Beth zbyła go machnięciem ręki.

- John - powiedziała w pośpiechu - Friend nie pozwoli mi tu długo zostać. Czy możesz mi powiedzieć, dokąd jutro wypływamy?

Shandy zmrużył oczy.

- Chyba się z nami nie wybierasz?

- Ależ tak. Mój ojciec...

- Jesteś pewna? Sądziłem, że skoro każdego dnia może się tu zjawić Rogers, byłoby najlepiej, gdyby twój ojciec...

- Tak, John, jestem pewna. Dzisiaj go widziałam, chyba po raz pierwszy od jakiegoś tygodnia. Oczywiście znów miał ze sobą to drewniane, okropnie śmierdzące pudełko.

Powiedział mi, że płynę razem z wami. Zapewniał, że będę świetnie chroniona przed wszelkimi urazami i dolegliwościami, ale nie wspomniał choćby słowem, dokąd wypływamy ani dlaczego.

- Chryste. - Shandy zaczerpnął głęboko powietrza i powoli wypuścił je z płuc. - Cóż, Davies też niewiele mówił, ale ludzie plotkują, że płyniemy do jakiegoś miejsca na zachodnim wybrzeżu Florydy, gdzie Hunsy... gdzie Czarnobrody przez przypadek pozwolił, by uczepliło się go kilka duchów. - Uśmiechnął się do Beth nerwowo. - Chyba chodzi o coś w rodzaju minogów albo pijawek. No i - dodał, mając nadzieję, że Beth nie zauważyła jego strachu - spotkamy się tam z samym Czarnobrodym.

- Boże, miej nas w opiece... - powiedziała cicho.

I ty też, Panie Los-Darzy, pomyślał Shandy.

Tymczasem z daleka nadchodził Friend, rozkopując piasek i pochrząkując z wysiłku. Jego krokom towarzyszył imponujący szelest ubrań. Zamachał w ich stronę.

- Wystarczy tego... dobrego, Elizabeth - wysapał i przetarł spocone czoło koronkową chustką. - W forcie czeka... kolacja.

Shandy zauważył, jak Beth z wyraźnym żalem spojrzała na pirackie kotły.

- Kolacja? - zapytał.

- Zioła, zielenina i ciemny chleb - westchnęła.

- Proste, lecz pożywne - stwierdził Friend. - Musimy dbać o jej zdrowie.

On również rzucił okiem w stronę kotłów. Udał, że zbiera mu się na wymioty, po czym chwycił Beth za rękę i pociągnął za sobą.

Kilku stojących w pobliżu piratów zaczęło rechotać. Stwierdzili zgodnie, że należało się tego spodziewać, ponieważ kobiety zawsze wybierają mężczyzn przystojnych ponad tych, którzy nie mają do zaoferowania nic prócz dobrego serca.

Shandy zaśmiał się wraz z nimi, chociaż z lekkim przymusem, i stwierdził, że to raczej niezawodny humor oraz hulaszczy tryb życia kryły się za miłosnymi sukcesami otyłego lekarza. Odrzucił propozycję kolejnej porcji gulaszu, lecz chętnie przystał na jeszcze jedną rozbitą butelkę Latour, z którą odszedł plażą na południe, w kierunku „Carmichaela”.

Dziób okrętu wciąż znajdował się w wąskiej zatoczce, wsparty na solidnym, drewnianym rusztowaniu i przywiązany ostatnimi dwiema linami do palm. Rufa osiadła bardzo głęboko na wodzie, ale pomimo tej niezgrabnej pozycji „Carmichael” wydawał się Shandy'emu jego własnym okrętem o wiele bardziej niż podczas miesiąca, który spędził na nim jako pasażer. Znał go teraz o wiele lepiej. Niczym małpa wdrapywał się na maszty, gdy wymieniali ożaglowanie, we własnych rękach trzymał topór, gdy rąbali na drzazgi nadbudówkę dziobową i

większość orelingowania, a później w pocie czoła piłował i wiercił furty na nowe armaty. A gdyby tego było mało, przez niezliczoną ilość godzin wisiał na huśtawce między nadburciem a wodą bądź piaskiem i stopa po stopie odłupywał zasuszone wodorosty oraz wąsonogi z kadłuba, wydlubował świdraki i wbijał w drewno niewielkie, mosiężne *drogues*, zaklęte śpiewem przez bokora Daviesa, by służyły jako potężne amulety przeciwko robakom.

Już jutro, myślał, zbliżając się do okrętu, odholujemy go na wodę, dociągniemy wanty i wyruszymy w drogę. A ja rozpocznę życie w roli pirata.

Zauważył, że na piasku pod wysokim łukiem dziobu siedzi jakaś postać. Przyjrzał się jej uważnie w blasku księżyca i rozpoznał szalonego starca, którego piraci nazywali gubernatorem - być może z powodu niejasności związanych z jego prawdziwym nazwiskiem, ponieważ Shandy słyszał już takie warianty jego przydomka, jak „Sawney”, „Gonsey” czy „Ponsea”. W każdym razie ten widok - starego mężczyzny w cieniu okrętu - z czymś mu się nagle skojarzył, z czymś, co usilnie wymykało się jego pamięci... Co dziwne, wiedział, że była to scena bądź historia, która swym podobieństwem dodawała staremu Sawneyowi smutnej powagi. Zdumiało go, że zobaczył w tym szaleńcu, nawet jeśli wyłącznie dzięki odległej analogii, coś więcej niż obeznanego z magią, lecz poza tym nierozgarniętego błazna.

Wreszcie przypomniał sobie ten obraz: złamanego przez starość Jazona, który siedział obok kadłuba wyciągniętego na brzeg, opuszczonego statku Argo.

- Kto idzie? - zapytał drżącym głosem starzec, gdy usłyszał kroki na piasku.

- Jack Shandy, gubernatorze. Chciałem ostatni raz zobaczyć „Carmichaela” w tej pozycji.

- Przyniosłeś mi wino?

- Ach, tak. - Shandy wziął kilka porządnych łyków i podał staruszkowi w połowie pełną butelkę.

- Jutro odpływacie?

- Zgadza się - przytaknął, zaskoczony, że mężczyzna wiedział o tym i pamiętał.

- Żeby dołączyć do Hunsu Kanzo i jego chłoptasia.

Shandy zerknął na starca, zastanawiając się, czy nie trafił przypadkiem na jeden z jego przytomnych dni.

- Jego chłoptasia?

- Bonnetta. Widziałem, jak bawisz się lalkami. Wiesz, jak sprawić, żeby te małe skubańce podskakiwały, kiedy pociągasz za sznurki.

- Ach, to prawda.

Shandy słyszał o piracie o nazwisku Stede Bonnett, który całkiem niedawno w niewyjaśnionych okolicznościach porzucił dobrze prosperującą plantację na Barbadosie i „zaciągnął się do służby”. Nie dotarły do niego żadne plotki, że mężczyzna ów miał jakiegokolwiek związku z Czarnobrodym, ale, rzecz jasna, stary Sawney nie był rzetelnym źródłem informacji.

- Słyszałem, że płyniecie na północ - ciągnął gubernator. Zamilkł, by napić się wina. - Na Florydę - dodał z silnym hiszpańskim akcentem. - Piękna nazwa, lecz kraina plugawa. Znam te okolice, zabiłem tam całkiem sporo karaibskich Indian, a jeden paskudnie zranił mnie strzałą. Lepiej, żebyś na nich uważał, są z nich wszystkich najgorsi. Kanibale. Trzymają w zagrodach kobiety i dzieci z innych plemion, tak jak my trzymamy bydło.

Shandy nie wierzył w te słowa, ale chcąc być uprzejmym, gwizdnął i pokręcił głową.

- Niech to diabli - powiedział. - Będę ich omijać szerokim łukiem.

- Jak najszerszym... przynajmniej dopóki nie dotrzecie do tego przekłętą gejeru. Później, jeśli wiecie, co z nim zrobić, nie będziecie się musieli o nic martwić.

- Właśnie na tym mi zależy - zgodził się Shandy. - Żeby o nic się nie martwić.

Gubernator zarechotał i odpowiedział po hiszpańsku. Choć Shandy uczył się prymitywnego hiszpańskiego od piratów mieszanych narodowości, dialekt staruszka zupełnie go zmylił - wydawał się zbyt archaiczny i czysty zarazem. Gubernator dokończył jednak wypowiedź nieprzyzwoitą sugestią w aż nazbyt płynnym angielskim, jakiego rodzaju zdolności Czarnobrody zamierzał zdobyć dzięki tej wyprawie.

Shandy zaśmiał się niewyraźnie, po czym pożegnał starego szaleńca, by ruszyć w drogę powrotną. Wspiął się na grzbiet wydmy i stamtąd spojrzął na okręt. Był lekko przechylony w jego stronę, dzięki czemu widział nad wodą większą część pokładu rufowego i tylną krawędź rufówki. Próbował sobie przypomnieć, gdzie dokładnie zginął Chaworth, gdzie zranił Daviesa i w którym miejscu stali razem z Beth, gdy rzucali robaczywe suchary mewie. Zauważył, że ta część relingu, na której się opierali, została odrąbana, i denerwowało go odrobinę, że nie pamiętał, czy przypadkiem nie on to zrobił.

Zaczął sobie wyobrażać, do czego jeszcze dojdzie na tym pokładzie, i po chwili zorientował się z zaskoczeniem, że instynktownie we wszystkich tych wizjach umieścił siebie. Ale to nieprawda, pomyślał z nerwowym uśmiechem. Uciekniemy wraz z Beth przy pierwszej sposobności. Dalej ten okręt popłynie beze mnie, choć tyle mojego potu- a czasem i krwi, gdy omsknie mi się dłuto - wsiąkło w jego drewno. Wciąż przecież mam wuja, którego trzeba powiesić.

Odwrócił się w stronę ognisk i podjął marsz. Uświadomił sobie, że to właśnie gdzieś tutaj zauważył wtedy mężczyznę z rozdartymi kieszeniami i związaną szczęką. To wspomnienie sprawiło, że przyspieszył kroku, choć nie dlatego, że nieznajomy wyglądał groźnie - raczej za sprawą słów, które usłyszał później od Daviesa.

Davies splunął i pokręcił z rozdrażnieniem głową.

- To byłby Duplessis z czasów, kiedy po raz ostatni zatrzymał się tu Thatch. Thatch nie ma już cierpliwości, aby przykładać należyłą wagę do drobiazgów. Duplessis był bokorem, który zdobył łaskę wielu loa, a od takiego długu nie wywiniesz się, choćbyś umarł. Najwyraźniej Thatch zakopał go z pominięciem pewnych środków ostrożności.

Shandy zamrugał.

- Zakopał?

Davies wyszczerzył się w uśmiechu i lekceważąco naśladowując akcent dworzanina, zacytował puentę wielu starych dowcipów:

- Musiał, bo chłopak już nie żył. - Zaraz potem dodał zwyczajnym tonem: - Przynajmniej nie zakopał go w butach. Duchy lubią wędrować po okrętach, a jak są w butach, stukot obcasów nie da ci zmrużyć oka.

Shandy dotarł do ognisk i zauważył, że większość piratów wróciła do szalasów, a reszta z butelkami w dłoniach usadowiła się wygodnie, gotowa na poważne, małowmne, całonocne picie. Stwierdził, że sam wypił już wystarczająco dużo, by zasnąć, i ruszył do szalasu z klepek i płótna żaglowego, który postawił dla siebie pod palmami. Szedł w górę piaszczystego zbocza, lecz raptem zamarł, bo jakiś głos, głęboki niczym organy grające na dnie kopalnianego szybu, rozkazał mu cicho, aby się zatrzymał. Wytężył wzrok, próbując cokolwiek dostrzec w cętkowanym świetle księżyca przebijającym zza drzew, i w końcu wyłowił z mroku zarys potężnej postaci, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami w narysowanym na piasku, starannie oczyszczonym kręgu.

- Nie wnijdź w krąg - rzucił mężczyzna, nie odwracając się, a Shandy z pewnym opóźnieniem rozpoznał Żałośnię Tłustego, bokora Daviesa. Ponieważ mężczyzna ów był rzekomo głuchy, Shandy kiwnął głową, zdając sobie jednocześnie sprawę, że było to bezcelowe, ponieważ bokor patrzył w inną stronę. Cofnął się o dwa kroki. Żałośnię Tłusty nie zmienił pozycji. Dźgał powietrze drewnianym nożem, który zawsze ze sobą nosił, i wydawało się, że ma trudności z poruszaniem nim.

- *Raasclaat* - zaklął cicho, a następnie zagrzmiał: - Ni mozem zmusić te cholerne sukinsyny, żeby się zachowały. Cała noc tak się z nimi użerać.

Bokor dorastał w Wirginii, a ponieważ był głuchy, nigdy nie nauczył się poprawnej wymowy.

- Uch - zaczął niepewnie Shandy, rozglądając się w poszukiwaniu innej drogi wokół wzniesienia - w takim razie ja...

Bokor poderwał gwałtownie rękę i wycelował nóż w niebo.

Shandy odruchowo podniósł głowę i między rozłożystymi cieniami dwóch palm ujrzał ślad spadającej gwiazdy, jakby ktoś przeciągnął świecąca kredą po odległej tablicy. Trzydzieści sekund później wiatr zamarł, by po chwili zerwać się odrobinę mocniej.

Żałośnie Tłusty opuścił rękę i wstał nienaturalnie zwinnie jak na swą ogromną tuszę. Odwrócił się do Shandy'ego z niepokojącym uśmiechem i przesunął w bok.

- No, idziesz - powiedział. - Teraz to już nic, tylko linii rysowany na piachu.

- Dzięki.

Shandy minął wielkoluda, przeskoczył w pośpiechu nad kręgiem i ruszył do szałas.

Słyszał, jak Żałośnie Tłusty schodzi na plażę. Wielki bokor zachichotał i niskim, lecz upiornie niosącym się głosem powiedział:

- C'était impossible de savoir si c'était le froid ou la faim.

Zaśmiał się raz jeszcze, po czym odszedł poza zasięg słuchu Shandy'ego.

Shandy przez kilka minut patrzył z niepokojem za mężczyzną, jakby chciał ruszyć jego śladem. Zamiast tego niepewnie uniósł wzrok ku gwiazdom, po czym ruszył po cichu do szałas, szczęśliwy, że rozłożył go pod wyjątkowo gęstym baldachimem zieleni.

## Rozdział szósty

Niewykluczone, że Davies tej nocy nie zmrużył oka, bo gdy świt wciąż był tylko przyćmionym, niebieskim blaskiem za palmami na Hog Island, zarzucił starą pelerynę na popioły jednego z ostatnich nocnych ognisk. Podczas gdy zatęchły fragment garderoby tlił się, a w końcu zajął ogniem, Davies kroczył plażą, krzycząc, targając piratów za włosy i brody i kopiąc w kije podtrzymujące prowizoryczne namioty. Stękający mężczyźni dźwigali się na nogi i niemrawo zmięzali w stronę ognia, ciągnąc za sobą elementy obozu, który niebawem mieli opuścić, by wrzucić je w płomień. Davies pozwolił im zagrzać garniec rumu z ciemnym piwem i wlać w siebie tyle tego drażniącego nozdrza, krzepiącego napoju, aby byli gotowi do pracy, po czym zebrał ich i kazał maszerować w kierunku „Carmichaela”.

Przez godzinę zakładali i napinali - po czym ściągali i przestawiali - skomplikowaną pajęczynę bloczków i lin, zlorzecząc przy tym okrutnie, co chwila wpadając do wody i szlochając ze złości, lecz gdy słońce weszło, okręt był już na wodzie. Davies przechadzał się tam i z powrotem po pokładzie rufówki, wykrzykując rozkazy do mężczyzn obsługujących żagle i do marynarzy na „Jenny”, która holowała większy okręt. Przez kolejną godzinę „Carmichael” kluczył po najgłębszych kanałach zatoki, płynąc przy minimalnym ożaglowaniu i często się zatrzymując. Davies i Hodge, kapitan „Jenny”, wykrzykiwali do siebie wskazówki, a ponad jaśniejącą wodą niesły się niewybredne komentarze rannych ptaszków z załóg innych okrętów. W końcu jednak „Carmichael” znalazł się w północnym ujściu zatoki, a zaraz potem na jeszcze głębszych wodach północno-wschodniego kanału Providence. Davies zakomenderował, by postawić wszystkie żagle, nawet lizele przy grotach i trzy trójkątne kliwry wzdłuż bukszprytu. Zwolniono hol i obie jednostki zaczęły nabierać prędkości. Z żaglami lśniącymi w porannym słońcu nachylały się lekko w kierunku północno-zachodnim.

Ponieważ Davies utrzymywał, że podstaw żeglarstwa lepiej uczyć się na łodzi niż na okręcie, Shandy pomagał załodze „Jenny”. Po wielu dniach zacieśniania znajomości z „Carmichael” słup z pojedynczym masztem i ożaglowaniem skośnym wydawał mu się niewiele większy od czółna. Mimo to wyposażony był w czternaście małych armat i dwanaście folgerzy, a gdy po odczepieniu holu stłoczyli się przy żaglach, Chandagnac czuł przez podeszwy bosych stóp, że słup jest potencjalnie o wiele szybszą jednostką.

To jednak „Carmichael” płynął na czele. Shandy, któremu powiedziano, by zajął się sobą i nie wchodził nikomu w drogę, póki nie znajdą się na pełnym morzu, klęczał na pokładzie dziobowym o rozmiarach stołu. Obserwował, jak „Carmichael” kołysze się majestatycznie na falach kilkaset jardów dalej, i zadawał sobie pytanie, gdzie przycupnęła Beth, by zejść piratom z oczu, teraz, gdy okręt został tak doskonale usprawniony.

- Na zdrowie, Jack - odezwał się Skank, podając mu drewniany kubek z rumem, po czym wrócił do trymowania szotu kliwra. - Jeszcze jeden łyk i wylecę za burtę.

- Dzięki - powiedział Shandy, chwytając ostrożnie kubek. Zastanawiał się, czy ci ludzie bywają kiedykolwiek zupełnie trzeźwi. Spojrzał za siebie, ponad relingiem ćwiartki rufowej bakburty, na wystrzępione zielono-fioletowe wybrzuszenie, które było wyspą New Providence. Patrzył, jak się oddala, osadzone na kryształowo niebieskiej tafli morza, i zrozumiał, że na swój sposób będzie tęsknić za tym miejscem.

Skank wrócił leniwym krokiem na pokład dziobowy i oparł się o stojak folgerza.

- No - mruknął, jakby zgadzał się z jakimiś nie wypowiedzianymi słowami Shandy'ego - możemy tam już nie wrócić. Za rok będzie znacznie trudniej sprzedać łupy, bo zniknie miejsce, gdzie bogaci handlarze zwykli wysyłać swoich kupców.

Shandy pociągnął łyk rumu.

- Bogaci handlarze robią interesy z piratami? - zapytał.

- No pewnie, a niby jak się bogacą? I co robią, żeby nie zbiednieć? Jasne, że nie zjawiają się tam osobiście, ale wysyłają przedstawicieli i zaufanych ludzi, którzy załatwiają dla nich umowy. Czasami przy dużych transakcjach dostarczamy im nawet towar. Nie umiem zliczyć bezkسیężycowych nocy, kiedy musiałem po cichu wiosłować wyładowaną łajbą do jakiejś zapomnianej zatoki na Jamajce, Haiti czy Barbadosie. Cały ten interes wszystkim się opłaca, możemy sprzedawać im łupy za bezcen, bo przecież sami wcale nie musimy za nie płacić.

Niekoniecznie wszystkim, pomyślał Shandy.

- A ci kupcy, z którymi się targujecie, wiedzą, że towar jest kradziony?

- Pytanie, Jack, jak mogliby nie wiedzieć? Niektórzy przekupują nawet przybrzeżne patrole Królewskiej Marynarki, żeby patrzyli w inną stronę, gdy ładujemy okręty. A Thatch osobiście organizuje kontakty z najbogatszymi: z Bonnettem na Barbadosie, który sam został teraz piratem, chociaż ni w ząb tego nie rozumiem, z Lapinem i Shander-knackiem na Haiti, z...

- Z kim na Haiti? - Shandy chwycił za naprężoną wantę, by złapać równowagę. Musiał powstrzymać drżenie dłoni, bo bał się, że upuści kubek.

- Z Lapinem. Mówią, że to znaczy królik, co w zasadzie nieźle do niego pasuje. I z



Shander-knackiem czy jak to tam wymawiają żabojady. - Zapitą twarz Skanka wykrzywił wyraz zamyślenia. - Zaraz, zaraz, czy twoje nazwisko nie brzmi czasem podobnie?

- Odrobinę. - Shandy zaczerpnął głęboko powietrza. - Czy ten cały... Shander-knack często robi z wami... z nami interesy?

- Jasna sprawa, w końcu to spekulant. Thatch uwielbia zadawać się ze spekulantami. To taki gatunek ludzi, co prawie potykają się o bogactwo, ale jak wrócisz do nich za rok, ciągle będą się po nie schylać. Jak mają pieniądze, nie mogą się doczekać, żeby nam je oddać, jak nie mają, chcą kredytu, a w przypadku tych bogatszych Thatch chętnie go udziela.

- To musi być dług, który trudno wyegzekwować siłą - dumiał na głos Shandy.

Skank skrzywił się współczująco i odepchnął od folgerza, po czym wrócił chwiejnym krokiem na rufę.

Shandy został na dziobie. Leniwy uśmiech pogłębił rysy jego opalonej twarzy. Zmrużył oczy, z niecierpliwością myśląc o dniu, w którym będzie mógł wykorzystać tę zaskakującą informację przeciwko wujaszкови. Cieszył się, że piraci płynęli na jakąś nie zamieszkaną część wybrzeża Florydy, zamiast szukać zwady, bo nawet nie chciał sobie wyobrazić, że mógłby zginąć, zanim rozprawi się z bratem swego ojca.

Gdy tylko wypłynęli na północ spomiędzy mielizn Bahamów i znaleźli się na ciemnogramatowych wodach kanału Providence, zawołał go Hodge - szczupły, roześmiany szyper „Jenny”. Oznajmił, że czas zapracować na swe utrzymanie, i przez następnych pięć godzin Shandy nie wiedział, w co włożyć ręce. Nauczył się podnosić gafel w taki sposób, by na grocie widać było kilka drobnych zmarszczek biegnących równolegle do drzewca, choć dotychczas myślał, że żagiel powinien być gładki. Już wcześniej dowiedział się o zaskakującej rzeczy, że szotami i wantami nazywano liny, a nie żagle, a teraz poznał kilka sztuczek, jak korzystać z szotów, aby ustawić żagle w najkorzystniejszy sposób do wiatru. Ponieważ zaś „Jenny” była o wiele zwrotniejsza od „Carmichaela”, Hodge pozwolił nowemu rekrutowi liźnąć technik manewrowania. Dzięki temu Shandy przyswoił sobie podstawy halsowania i dowiedział się, kiedy zmiana wiatru stanowiła zarazem wskazówkę do zmiany halsu. Nauczył się też spoglądać w górę, na drewniane pierścienie przytwierdzające grot do głównego masztu i po ich drzeniu rozpoznawać, że łódź powinna odbić lekko od wiatru, by osiągnąć największą prędkość.

Tymczasem na wschodnim horyzoncie, jakby chcąc wspomóc edukację Shandy'ego, kłębił się cumulonimbus. Chociaż bez wątplenia dzieliło go od nich wiele mil, Hodge natychmiast zajął ludzi przygotowaniami do sztormu - „ściągnięciem prania”, jak raczył nazywać

refowanie żagli. Zacieśniano wanty, aby nie zawiodły luźniejsze żagle czy podatne na złamania drzewce, a na pokład wyszedł stary, siwy bokor i zagwizdał dahomejską melodię, która miała uspokoić wiatr.

Szkwał zasnuł kobaltowe niebo warstwą ciemnych chmur i sztorm dogonił ich w godzinę po tym, jak ujrzeli jego pierwsze oznaki. Shandy, który nigdy wcześniej nie przywiązywał wielkiej wagi do zmian pogody, był zdumiony i zachwycony jego gwałtownością. Nawet przy minimalnym ożaglowaniu słup przechylał się, gdy targnął nim silniejszy podmuch wiatru.

Rzęsisty deszcz lunął minutę później, sprawiając, że rozmyte fale wydawały się parować, a „Carmichael” przybrał postać szarej, niewyraźnej sylwetki w oddali. Hodge rozkazał poluzować wszystkie wanty, zanim zaczną się kurczyć, a Shandy był zaskoczony, że szyper nie sprawiał przy tym wrażenia ani trochę zmartwionego.

- To coś poważnego? - Jack zawołał nerwowo do Hodge'a.

- To? - odparł Hodge, starając się przekrzyczeć szum deszczu. - Gdzie tam. W sam raz, żeby przesuszyć ubrania. Ale gdyby najpierw zaczęło padać, a dopiero potem pojawił się wiatr, mielibyśmy kłopoty.

Shandy kiwnął głową i wrócił na dziób. Chłód deszczu nie wydawał mu się nieprzyjemny, a jak słusznie zauważył Hodge, miło byłoby wreszcie splukać z siebie sól, by następnego dnia ich ubrania mogły choć ten jeden raz porządnie przeschnąć. Po jakimś czasie burza uspokoiła się i „Carmichael” znów był dobrze widoczny. Shandy wiedział, że za kilka godzin będzie się czołgać pod pokładem w przemoczonym ubraniu, szukając kąta, w którym mógłby przespać noc, i miał nadzieję, że Beth Hurwood zapewniono na „Carmichaelu” nieco lepsze warunki. Położył się i pozwolił obolałym mięśniom się rozluźnić, by odpocząć przed następnym zadaniem, jakie zaplanował dla niego Hodge.

\* \* \*

Nazajutrz spędzali wolny czas, ćwicząc techniki artyleryjskie. Shandy, który zawsze sprawdzał się w zadaniach wymagających zręczności, wkrótce osiągnął mistrzostwo w trudnej sztuce celowania z folgerza i przytykania knota do zamka lontowego w taki sposób, by nie poruszyć lufą ani nie wypalić sobie oka wybuchającym ładunkiem prochowym. A kiedy bez choćby jednego pudła zamienił w drzazgi sześć kolejnych skrzyń, które załoga „Carmichaela” wrzucała do wody jako cele, Hodge i Shandy zamienili się rolami nauczyciela i ucznia. Zanim zapadł zmierzch, każdy z marynarzy na „Jenny” był przynajmniej odrobinę lepszym strzelcem

niż jeszcze o poranku.

Trzeciego dnia znów doskonalili techniki manewrowania, a po południu Shandy'emu pozwolono chwycić za rumpel i wydawać polecenia. W czasie dwudziestu minut dowodzenia słupem zdołał opłynąć „Carmichaela” po nieco zbyt wielkim, niemniej jednak zamkniętym kole. Następnie przeszli do próbnych alarmów i gdy wprawiali się w sztukach bitewnych, zawsze pomocny Davies, chcąc dodać ćwiczeniom szczypty realizmu, wystrzelił w ich stronę z kilku armat.

Shandy był dumny, że radzi sobie zarówno na pokładzie, jak i w takielunku. Czerpał przyjemność z tego, że ogarniało go zmęczenie, gdy nurkujące pod wodę, bursztynowe słońce obsypywało fale przed dziobem złotymi iskierkami, chociaż wielu piratom nie w smak były zadania, które wymagały ruchu. Przyjemność marynarskiego życia wyparowała jednak w mgnieniu oka, gdy Davies oświadczył, krzycząc ponad wodą, że poprzedniego dnia zmitrężyli zbyt wiele czasu, kładąc się do snu, i że tym razem będą żeglować aż do świtu.

Shandy'emu przypadła zmiana od północy do czwartej nad ranem i gdy w końcu wypelźł na pokład, doszedł do wniosku, iż żeglowanie nocą jest przede wszystkim mokre i zimne. Ciężka rosa sprawiała, że nawet nie oheblowane deski robiły się śliskie, a za każdym razem, gdy łapał za olinowanie, zmierzając w stronę rufy, za kołnierz wlewał się mu strumień wody. Hodge siedział za naktuzem; zwykle radosną, kościstą twarz mężczyzny oświetlał tajemniczo blask lampy zamkniętej za czerwonym szkłem, która pozwalała mu obserwować kompas, nie pozbawiając go w ciemnościach wzroku. Ku wielkiej uldze Shandy'ego, szyper „Jenny” zlecał mu wyłącznie łatwe prace. Od czasu do czasu musiał chodzić z latarnią po pokładzie i sprawdzać niesforne sekcje takielunku; trzymał wartę na dziobie, na wypadek gdyby gdzieś w pobliżu akurat tej nocy na bezmiernym morzu pojawił się inny okręt, i w końcu dbał o to, by lampa na dziobie nie zgasła, ponieważ dzięki jej blademu światłu sternik „Carmichaela” wiedział, że dystans dzielący go od „Jenny” za bardzo się zwiększa bądź zmniejsza.

„Carmichael” przypominał łopoczącą, skrzypiącą wieżę ciemności, która majaczyła po stronie sterburty, ale czasem Shandy stawał przy relingu bakburty i świdrował wzrokiem morze oblane srebrzystym blaskiem księżyca. Zastanawiał się sennie, czy przypadkiem nie widzi w oddali głów i uniesionych, machających rąk i czy nie słyszy niewyraźnie chóru głosów śpiewających odwieczną pieśń w dwóch tonacjach, równie starą, jak wody, po których żeglowali.

O czwartej Hodge wręczył mu kubek rumu zagrzanego przy lampie naktuzu. Poinstruował go, kogo ma obudzić, po czym wysłał pod pokład z radą, by spał, póki może.

\* \* \*

W południe następnego dnia, we wtorek dwudziestego szóstego lipca, oba okręty natrafiły między wyspami Bimini a Florydą na płynący w kierunku północnym Gólsztröm. Wtedy też odnalazł je okręt wojenny Królewskiej Marynarki.

Kiedy ujrzeli go po raz pierwszy - białą plamkę na południowym horyzoncie - wydawał się statkiem handlowym wielkości „Carmichaela” i kilku piratów bez entuzjazmu zaproponowało, aby go pojmać, zamiast płynąć na Florydę. Jakies pięć minut później mężczyzna na dziobie, który trzymał przy oku lunetę, zawołał podekscytowanym głosem, że mają do czynienia z okrętem Królewskiej Marynarki Wojennej.

Chwilę po tym odkryciu na pokładzie dało się wyczuć napięcie, ale nikt nie wpadł w popłoch. „Carmichael” został przerobiony tak, aby osiągać jak największe prędkości, „Jenny” zaś z łatwością mogłaby dopłynąć halsem na mielizny Bimini, gdzie miejscami woda miała dwanaście stóp głębokości, a nawet mniej. Zanurzenie „Jenny” wynosiło zaledwie osiem stóp, co pozwalało jej pływać po mieliznach, do których okręt wojenny nigdy nie odważyłby się zbliżyć.

Ale „Carmichael” z niewzruszonymi żaglami lśnącymi w tropikalnym słońcu płynął spokojnie wciąż tym samym kursem, a Hodge nie wołał, by zawracać „Jenny”.

- Dlaczego jeszcze zwlekamy, kapitanie? - zapytał olbrzym z nagim torsem i siwą brodą.- Nie damy rady ich zgubić, jeśli podpłyną zbyt blisko.

Shandy opierał się o reling sterburty przy poziomym drzewcu, zwanym kotbelką, służącym do podpierania wciągniętej kotwicy. Patrzył wyczekująco na Hodge'a. Miał wrażenie, że szyper zbladł pod opalenizną, ale mężczyzna zaklął siarczyście i pokręcił głową.

- Stracilibyśmy co najmniej dzień, próbując im uciec i wrócić z powrotem na kurs, a przez sobotni deszcz i cholerne wylegiwanie się w niedzielną noc już musimy wyciskać z siebie siódme poty, żeby zdążyć na Florydę przed wigilią dożynek. Nie, chłopcy, tym razem to marynarka będzie przed nami uciekać. Do diabła, przecież „Carmichael” jest równie dobrze uzbrojony, jak ich okręt, a my też nie płyniemy na kutrze. No i wciąż mamy w zanadrzu Pana Los-Darzy, Legbę i Bosu.

Krzepki starszy mężczyzna spojrzał na Hodge'a z niedowierzaniem, po czym, jakby tłumaczył coś dziecku, wskazał zbliżające się żagle i powiedział bardzo wyraźnie:

- Henry... to jest przeklęta Królewska Marynarka Wojenna.

Hodge odwrócił się do niego, kipiąc ze złości.

- A my mamy zadanie, Isaac, a ja jestem tu dziś kapitanem i przy okazji kwatermistrzem Daviesa. Na rany Chrystusa, człowieku, wydaje ci się, że mnie podobają się te rozkazy? Hunsi Kanzo zamieni nas wszystkich w zombie, jeśli się teraz wycofamy, a jeśli zostaniemy, ryzykujemy co najwyżej śmierć.

Ku zaniepokojeniu i zdumieniu Shandy'ego załoga przyjęła tę logikę jako niefortunną, lecz niepodważalną i w pośpiechu zaczęła przygotowywać się do bitwy. Lżejsze żagle zrefowano, a kilku mężczyzn wspięło się na maszt z wiaderkami roztworu alunu, by pokryć nim płótno i w ten sposób zapobiec jego podpaleniu. Wanty wzmocniono łańcuchami, armaty dopchnięto do burt. Bokor, stanąwszy na dziobie, zaczął śpiewać i ciskać kawałkami starannie rozbitego lustra w stronę brytyjskiego okrętu, a Shandy dostał zadanie napełnienia morską wodą wszystkich wiader, jakie zdoła znaleźć, by namoczyć zapasowe żagle i owinać nimi beczki z prochem.

Przez ostatnie trzy tygodnie Shandy czerpał pewną satysfakcję z faktu, jak przytomnie zachował się w chwili przejścia „Carmichaela”. Teraz, patrząc na swoje drżące ręce, gdy wyciągał z wody kolejne wiadro ponad wysokim nadburciem, zrozumiał, że jego opanowanie wynikało tamtego dnia wyłącznie z szoku oraz, przede wszystkim, z ignorancji. Zanim bowiem zrozumiał, w jak poważne wpadł tarapaty, zdążył się z nich wykaraskać. Tym razem jednak tarapaty zbliżały się boleśnie powoli i tym razem wiedział, jak ginie człowiek od strzału prosto w łeb albo ciosu szablą w brzuch.

Był wręcz pijany przerażeniem - wszystkie barwy wydawały mu się zbyt żywe, wszystkie dźwięki zbyt głośne, a on, nie wiedząc, czy szlochać, czy wymiotować, skupił się przede wszystkim na utrzymaniu moczu.

Gdy już poustawiał wiadra z wodą wokół beczek z prochem i owinał je mokrym płótnem, wrócił w pośpiechu na pokład. Ktoś złapał go bezceremonialnie za ramię, wcisnął mu w dłoń knot i postawił przed folgerzem na sterburcie.

- Nie strzelaj, póki Hodge nie każe, Jack - powiedział mężczyzna, który pchnął go w kierunku działa. - A jak już będziesz strzelać, nie marnuj amunicji.

Spoglądając znad uniesionej lufy folgerza, Shandy widział, jak wszystkie trzy jednostki wychylają się na wschód, w stronę wiatru, choć „Carmichael” i „Jenny” gwałtowniej niż brytyjski okręt wojenny, który ukazywał im teraz trzy czwarte profilu, z beżowo-czarną szachownicą furt armatnich widoczną wzdłuż burty.

Nie mogę strzelić do okrętu Królewskiej Marynarki Wojennej, myślał Shandy. Tylko że jeśli odmówię strzelania, zabiją mnie ci mężczyźni... Z drugiej strony, jeśli nie dam z siebie

wszystkiego, zginę od kul Anglików, ja i wszyscy pozostali członkowie załogi „Jenny”. Mój Boże, po prostu nie istnieje żadne zadowalające rozwiązanie.

Z burty okrętu marynarki wystrzelił biały pióropusz dymu i przez pół mili błękitnej wody, która dzieliła obie jednostki, przetoczył się głuchy grzmot. Po lewej stronie Shandy'ego wytrysnął gejzer wody. Na ułamek sekundy zamarł w powietrzu, po czym opadł niczym wyrzucone w górę łopata opłki diamentów.

- Przeszła obok! - zawołał pełnym napięcia głosem Hodge. - Jest w zasięgu, ognia!

W chwili gdy padły te słowa, Shandy - jak to się często dzieje w przypadku nieopierzonych żołnierzy - z zaskoczeniem odkrył, że intensywne i wyczerpująco monotonne godziny ćwiczeń nauczyły go wykonywać rozkazy instynktownie. Wycelował, przytknął tłący się knot do zamka i przeszedł do następnego działła, zanim jego świadomość zdążyła odpowiedzieć na pytanie, co robić. Cóż, teraz tkwisz w tym po uszy, myślał rozpaczliwie, celując z drugiego działła. Równie dobrze możesz walczyć do upadłego, pomagając stronie, z którą związałeś swój los.

Gdy tylko przytknął knot do zamka, siedem armat wypaliło mniej więcej w tej samej chwili. „Jenny”, wychylona na sterburtę, co jeszcze przed chwilą nie było dla Shandy'ego jasne, za sprawą odrzutu niemal wróciła do pionu.

Zaraz potem „Hałaśliwy Carmichael”, jak na swą masę mknący nad podziw szybko, wślizgnął się w spowity dymem przesmyk między brytyjskim okrętem wojennym a „Jenny” - na tyle blisko, że Shandy rozpoznawał twarze marynarzy w olinowaniu. Usłyszał, jak Davies krzyczy: „Ognia!”, i niemal natychmiast armaty na sterburcie „Carmichaela” wypaliły z hukiem przypominającym uderzenie pioruna. Żagle brytyjskiego okrętu znikły za grzbietem białego dymu.

„Jenny” kontynuowała ostry zwrot pod wiatr, płynąc za „Carmichaelem”, a gdy minęli chmurę armatniego dymu, Shandy z przerażeniem spostrzegł, że okręt wojenny, na pierwszy rzut oka nawet nie draśnięty, zbliżył się na odległość stu jardów. Kiedy jednak Skank złapał Jacka za fraki i pchnął w stronę następnego folgerza, a on odruchowo przymierzył, zrozumiał, że brytyjski okręt nie wyszedł z ostrzału bez szwanku. Siatka zabezpieczająca nad śródokręciem podskakiwała wybrzuszona pod ciężarem fragmentów połamanych drzewc, a szachownicę furt armatnich szpeciło pół tuzina nieregularnych dziur. Zorientował się również, że „Jenny” płynie szybciej od okrętu marynarki, dzięki czemu już za minutę znajdą się bezpiecznie na jego dziobie. Niemal na pewno wbrew rozkazom Davies włączył się do bitwy i uderzył na wroga, by kupić „Jenny” odrobinę czasu.

- Strzelajcie w furty na dziobie! - krzyknął Skank, a Shandy posłusznie wycelował w jedną ze lśniących luf wystających z części dziobowej kadłuba i przytknął knot do zamka. Folgerzem szarpnęło, gdy wypalił z hukiem. Spoglądając przez gryzący dym, Shandy z zadowoleniem spostrzegł, że z miejsca, w które mierzył, poleciały drzazgi.

- Dobrze! - warknął Skank. - A teraz walcie w...

Dym trysnął z ostatnich armat na flance okrętu wojennego, lecz ich ryk zginął w trzasku miażdżącego uderzenia, które przetoczyło się przez pokład „Jenny”. Shandy'ego gwałtownie odrzuciło od folgerza i uderzył w masę skłębionych za nim piratów. Ogłuszony i zamroczony, wyładował na leżącym bez życia ciele, próbując zaczerpnąć powietrza, tak aby nie zadławić się krwią i kawałkami połamanych zębów. Był świadom, że przez dzwonięcie w uszach przebijają się krzyki wściekłości i przerażenia i że pokład pod nim leniwie zmienia pozycję.

Słyszał, jak Hodge wyszczekuje rozkazy. Przetoczył się na bok i usiadł, kaszłąc i plując krwią. Ze ściśniętym sercem spojrzał w dół, na swoje ciało, ale stwierdził z wdzięcznością, że nie brakuje mu żadnych kończyn i że nie jest podziurawiony ani połamany. Podziękował opatrności po raz drugi, gdy rozejrzał się wokół. Wszędzie leżeli martwi i poranieni ludzie, rozdarte żagle łopotały na wietrze czerwone od krwi, a pociemniały od słońca maszt i nadburcie wyglądały jak przeorane, ukazując pod głębokimi zadrami świeże, jasne drewno. Zupełnie, pomyślał nieprzytomnie Shandy, jakby Bóg nachylił się z nieba i kilka razy przeciągnął po słupie zaostrzonymi grabiami.

- Rumpel prawo na burt, do diabła! - krzyknął Hodge i otarł mankietem krew spływającą mu po czole. - I niech ktoś złapie za szot grota!

Mężczyzna przy rumplu próbował wykonać rozkaz, ale padł bezradnie na kolana. Z poszarpanej dziury w jego piersi ciekła krew. Skank w odruchu desperacji wspiał się na stertę porozrywanych ciał towarzyszy i chwycił szot, było już jednak za późno. „Jenny”, pozbawiona kontroli tuż po tym, jak runął na nią grad stalowych odłamków i kul łańcuchowych, zdryfowała dziobem dokładnie w kierunku wiatru i na kilka najbliższych minut była unieruchomiona. Shandy przypomniał sobie, że marynarze zwykle mówili o takiej sytuacji „martwy kąt”. W obecnej sytuacji ta nazwa wydawała się nadzwyczaj stosowna.

Tymczasem potężny, majestatyczny brytyjski okręt wojenny, który płynął skośnie do wiatru, by utrzymać prędkość, zbliżał się do sterburty słupu. Wysoki kadłub oparł się o dziób „Jenny”, zrywając łańcuchy z want i łamiąc kotbelkę. O pokład słupu zadudniły ciężkie haki, a z góry doleciał surowy głos:

- Hej tam, bękarty, na każdego z was mamy tu jeden pistolet, więc rzućcie broń, a jak

złapiecie drabinę, wchodźcie na górę pojedynczo. I powoli.



## Rozdział siódmy

Choć w siatce zabezpieczającej ponad ich głowami kołysały się fragmenty drzewc, pokład okrętu wyglądał na przerażająco czysty i schludny. Fały były pozwijane w równiutkie ślimaki, zamiast leżeć gdzie popadnie, do czego Shandy przyzwyczał się podczas służby na „Jenny”. Trzymał głowę wysoko, nie chcąc poplamić krwią jasnych, wysypanych piaskiem dębowych klepek. Krwawił obficie z nosa od chwili, gdy brytyjski okręt oddał salwę, i zaczynała go boleć cała lewa strona głowy. Doszedł do wniosku, że pocisk musiał uderzyć w folgerz, gdy stał tuż za nim i przy odrzucie oberwał uchwytem w twarz.

Razem z dziesięcioma innymi członkami załogi słupu, którzy wyszli z bitwy bez poważnych obrażeń, stał na śródokręciu obok bębna kabestanu. Starał się nie słyszeć krzyków i jęków rannych piratów wciąż leżących na pokładzie „Jenny”.

Brytyjscy marynarze, którzy stali przy relingu, celując z pistoletów do więźniów, nosili dopasowane szare kurtki, pasiaste spodnie i skórzane czapki. Ich prosty, praktyczny strój sprawiał, że poplamieni smołą, krzykliwie ubrani piraci wyglądali przy nich jak cyrkowcy. Zerkając nerwowo w bok, Shandy widział na twarzach żołnierzy coś więcej niż tylko pogardę i gniew, a gdy wreszcie zrozumiał co, nie poczuł się wcale lepiej. Była to chorobliwa fascynacja widokiem ludzi, którzy, choć wciąż oddychali, mieli już niebawem wydać ostatnie tchnienie w pętli stryczka.

Mimo że płynący na południe „Carmichael” przypominał już tylko odległą białą basztę, kapitan marynarki kazał spuścić na wodę szalupę. Ze swego uprzywilejowanego miejsca na pokładzie rufówki patrzył przez lunetę, zanosząc się śmiechem.

- Mój Boże, a więc Hendricks miał rację. Jeden z nich rzeczywiście wpadł do wody, i przy okazji prosto w nasze ręce. - Odwrócił się i spojrzał na więźniów, uśmiechając się nieustępliwie. - Wygląda na to, że jeden z waszych kompanów za żadne skarby nie chce się z wami rozstawać.

Po chwilowej konsternacji Shandy stwierdził, że przecież równie dobrze mogła to być Beth, która zaryzykowała skok do wody, aby uciec od piratów i szalonego ojca. Miał nadzieję, że tak w istocie było, bo wówczas oboje zakończyliby wreszcie ten przykry epizod. Jak dla nich Davies, Czarnobrody, Hurwood i Friend mogli sobie płynąć na Florydę, albo i do samego

piekła.

Ta myśl przypomniła mu, że najwyższy czas przestać się rozglądać, wtykać głupkowato język w dziurę po zębie trzonowym i powiedzieć kapitanowi, kim jest i jak trafił na pokład pokonanego slupu.

Wziąwszy głęboki oddech, uspokoił rozbiegany wzrok i podniósł ręce, po czym wystąpił z grupy ściśniętych, milczących piratów. Niewiele brakowało, a w tej samej chwili wyzionałby ducha, bo jeden z żołnierzy wypalił z pistoletu.

Shandy usłyszał huk strzału, ale zarazem poczuł smagnięcie powietrza, gdy kula przeleciała tuż obok jego ucha. Padł na kolana, nie opuszczając rąk.

- Jezu! - pisnął. - Nie strzelajcie! Nic nie robię!

Skutecznie przyciągnął jednak uwagę kapitana, który krzyknął wściekle:

- Do diabła, człowieku, wracajże do swych kompanów!

- To nie są moi kompani, kapitanie! - odkrzyknął Shandy. Podniósł się na nogi, próbując zachować spokój. - Nazywam się... nazywam się John Chandagnac, byłem pasażerem na pokładzie „Hałaśliwego Carmichaela”, zanim zajął go Philip Davies. Podczas tamtego... zdarzenia ranilem Daviesa, a on nie pozwolił mi odpłynąć z załogą i pod groźbą śmierci zmusił, bym dołączył do tych ludzi. Porwał wówczas jeszcze jednego pasażera, Elizabeth Hurwood. Przypuszczam, że to właśnie ona wyskoczyła za burtę „Carmichaela”. - Spoglądając przez ramię na niedawnych towarzyszy, Shandy oprócz odrazy widział budzącą się nienawiść, więc czym prędzej dodał: - Zdaję sobie sprawę, że na potwierdzenie mojej historii trzeba czasu i dlatego prosiłbym o zamknięcie mnie z dala od tych ludzi... by mieć pewność, że przeżyję i będę mógł zeznawać na procesie Philipa Daviesa.

Kapitan podszedł do relingu rufówki i spojrzał w dół na Shandy'ego.

- Daviesa? - Przyjrzał się dobrze piratom stłoczonym przy kabestanie, a później zerknął na maszt „Jenny”, wystający ponad pokład dziobowy. - Jest tutaj z tobą? Ranny?

- Nie - odparł Shandy. - Płynie na „Carmichaelu”.

Skinął w kierunku oddalającego się okrętu.

- Och... - westchnął kapitan w zamyśleniu. - W takim razie na proces będziemy musieli jeszcze poczekać. - Zamrugał i skierował wzrok z powrotem na Shandy'ego. - Porwany pasażer „Carmichaela”, czy tak? Z pewnością ucieszy cię wieść, albo zgoła odwrotnie, że w tej chwili możemy potwierdzić twoją historię. Wypłynęliśmy z Kingston w ostatni piątek, zaś „Carmichael”, jeśli mnie pamięć nie myli, został pojmany miesiąc temu, więc najświeższe raporty przewozowe powinny załatwić sprawę. - Odwrócił się do stojącego obok

midszypmena. - Panie Nourse, proszę przynieść księgę raportów.

- Tak jest, kapitanie!

Młody oficer zszedł w pośpiechu po drabinie do pomieszczeń oficerskich, znikając pod pokładem.

- Jak na porwanego pasażera całkiem sprawnie radziłeś sobie z działem - warknął stojący za Shandym Skank. - Zdradziecki psi syn.

Shandy usłyszał, jak młody pirat spluwa.

Zaczerwienił się po uszy, bo przypomniał sobie dzień, w którym Skank ochronił go przed magicznym atakiem Jima Bonny'ego. Chciał się odwrócić i błagać Skanka, by przypomniał sobie okoliczności, w jakich trzy i pół tygodnia wcześniej Davies zwerbował go do pirackiej służby, ale po namyśle zapytał tylko stojącego najbliżej, uzbrojonego marynarza:

- Czy mogę wystąpić naprzód?

- Tak - odpowiedział mężczyzna. - Tylko powoli.

Shandy zrobił krok, słysząc, jak piraci kłócą się między sobą bez przekonania, czy jest tchórzem zdradzieckim, czy tylko wygodnickim. Spoglądając w stronę ćwiartki rufowej sterburty, zauważył szalupę wracającą na okręt. Zmrużył oczy przed blaskiem słońca odbijającym się w mokrych wiosłach, próbując dojrzeć, czy to rzeczywiście Beth Hurwood siedzi na tylnej ławie.

Kapitan znów uniósł lunetę do oka.

- To z pewnością nikt o imieniu Elizabeth - stwierdził.

Niech to szlag, sarknął w myślach Shandy. W takim razie Beth została na „Carmichaelu”. Dlaczego, do diabła, to nie ona wpadła na pomysł, by wyskoczyć za burtę? Cóż, tak czy inaczej to już nie moja sprawa- niech tacy jak ten przyjemniaczek, kapitan Królewskiej Marynarki, uganiają się za „Carmichaelem”, próbując ją uratować. Ja płynę na Haiti. Zresztą być może Friend i jej ojciec wcale nie życzą jej źle.

Uśmiechnął się blado na myśl o naiwności tych przypuszczeń. Zaczął sobie przypominać, dokładnie i jedna po drugiej, wszystkie opowieści o Czarnobrodym, mężczyźnie, który doszedł do wniosku, że jego załoga bez wątpienia skorzysta na krótkiej wizycie w „piekle na ziemi”. Rozkazał ludziom zejść pod pokład, gdzie radośnie rozpałił kilka garnców siarki i wyciągnąwszy broń, zakazał komukolwiek wychodzić na zewnątrz. Połowa załogi straciła przytomność, bliska śmierci przez uduszenie, ale nawet wówczas Czarnobrody pojawił się na świeżym powietrzu jako ostatni. Choć sądzono, że był to kolejny z jego barbarzyńskich kaprysów, nieco później wyszło na jaw rytualne znaczenie tego wydarzenia. Pewien pijany i nie

dość dyskretny bokor zasugerował, że Czarnobrody chciał w ten sposób odnowić chrzest Hunsi Kanzo, co nie do końca mu się udało, gdyż nikt wtedy nie zginął. Shandy pamiętał również o rzekomych kontaktach pirata z naprawdę przerażającym loa, zwanym Baronem Samedim, którego terenem działania był cmentarz. Uważano, że jego sekretna *drogue* to tłący się ogień i właśnie z tego powodu Czarnobrody przed każdym ryzykownym zadaniem wplatał we włosy i gęstą brodę zapalone knoty. Słyszał też o, na pierwszy rzut oka szalonych, lecz z punktu widzenia sztuk czarnoksięskich wytłumaczalnych, celach, do których wykorzystywał nieszczęsne kobiety, z którymi wiązał się węzłem małżeńskim. Shandy przypomniał sobie próżną odwagę Beth i jej radosną naturę, która doszła do głosu tylko raz, na pół godziny, gdy niespełna cztery tygodnie temu znaleźli się razem na rufówce „Carmichaela”.

Midszypmen Nourse wynurzył się spod pokładu, niosąc oprawioną księgę. Wszedł po drabinie na rufówkę.

- Dziękuję. - Kapitan wsunął lunetę pod pachę i otworzył dziennik. Wertował go przez kilka minut, a gdy w końcu spojrzął na Shandy'ego, w jego ostrych rysach twarzy nie było już tyle surowości. - Rzeczywiście, wspominają tu o jakimś Johnie Chandagnacu, którego siłą wcielono do pirackiej załogi. - Przewrócił kartkę. - Kiedy i gdzie wszedłeś na pokład „Carmichaela”?

- Rankiem trzeciego czerwca w basenie portowym Batsford Company w Bristolu.

- Aha, zobaczymy... A jaki okręt płynął z wami przez Kanał Świętego Jerzego?

- „Mershon”. Zaraz za Mizen Head zmienili kurs na północny, na Galway i Arany.

Kapitan opuścił na chwilę dziennik, taksując Shandy'ego wzrokiem.

- Hmm... - Wrócił do strony, którą przed chwilą czytał. - Tak, marynarze z „Carmichaela” wspominali, że niejaki Chandagnac zaatakował Daviesa... Trzeba było na to nie lada odwagi.

- Ha! - parsknął Skank. - Wziął go z zaskoczenia. Davies nawet nie patrzył!

- Bardzo ci dziękuję, młody człowieku. - Kapitan posłał Skankowi lodowaty uśmiech. - Właśnie potwierdziłeś zeznania tego człowieka. Panie Chandagnac, może pan odstąpić od tych kryminalistów i wejść na górę.

Shandy odetchnął głęboko i wreszcie się rozluźnił. Zdał sobie sprawę, że od wielu tygodni, żyjąc wśród ludzi, dla których brutalna przemoc stanowiła chleb powszedni, był nieustannie spięty, choć starał się o tym nie myśleć. Podszedł do drabinki i wspiął się na wyższy pokład. Oficerowie odeszli na bok, obserwując go z zaciekawieniem.

- Proszę - powiedział kapitan, podając mu lunetę. - Niech pan sprawdzi, czy rozpoznaje

pan naszego pływaka.

Shandy spojrział w kierunku szalupy kołyszącej się na falach coraz bliżej okrętu. Nie musiał nawet korzystać z lunety.

- To Davies - powiedział cicho.

Kapitan odwrócił się do młodego midszypmena.

- Proszę przypilnować tych ludzi, panie Nourse - skinął na zniechęcony motłoch przy kabestanie - a Daviesa niech pan każe zaprowadzić do kajuty kapitańskiej. Panie Chandagnac, chcę, by był pan obecny jako świadek jego zeznań.

Mój Boże, pomyślał Shandy.

- Oczywiście.

Kapitan ruszył w kierunku drabinki, ale zatrzymał się w pół kroku.

- Mam jeszcze chwilę, zanim więzień wejdzie na pokład, panie Chandagnac. Ochmistrz mógłby panu wydać jakieś ubrania z kantyny, gdyby chciał pan zrzucić z siebie ten... kostium.

- Dziękuję, kapitanie. Bardzo chętnie - odparł Shandy. Stojąc pomiędzy brytyjskimi oficerami, ubranymi w stonowane, niebieskie mundury z mosiężnymi guzikami i epoletami, w czerwonych pludrach ze złożonym pasem czuł się jak błazen - choć taki strój nie wydawał się niestosowny na wyspie New Providence.

Usłyszał, jak na niższym pokładzie Skank rechocze z obrzydzeniem.

\* \* \*

Nieco później, w o wiele bardziej cywilizowanym stroju - koszuli w niebieską kratę, płóciennych spodniach, szarych, wełnianych pończochach i butach - Shandy siedział w kajucie kapitańskiej na końcu długiego stołu. Wyglądał przez okno na rufie - otwór był zbyt duży, by nosić miano furty. Ktoś otworzył i podparł bulaj ze szkła ołowiowego, chcąc wpuścić do środka odrobinę wiatru. Po raz pierwszy Shandy zadał sobie pytanie, co zrobi, gdy już postawi wuja przed sądem. Wróci do Anglii starać się o kolejną posadę księgowego? Pokręcił w powątpiewaniu głową. Anglia wydawała się zbyt zimna i odległa.

Zaraz potem stwierdził, że już wie, co zrobi, a pomysł, który zaświtał mu w głowie, ukoił poczucie winy narastające od chwili, gdy rozpoznał w łodzi Daviesa. Postara się, aby jego wuja jak najszybciej aresztowano, skazano i uwięziono, a wówczas, korzystając z niewątpliwie pokażnej sumy, którą uczciwie odziedziczy, wyruszy na ratunek Beth Hurwood. Z pewnością będzie go stać na wynajęcie okrętu, kapitana z karaibskim temperamentem i twardej, złąknionej łupów załogi...

Usłyszał za grodzią stukot obcasów. Otworzyły się drzwi i dwóch oficerów wprowadziło do kajuty Philipa Daviesa. Szef piratów miał skrępowane za plecami ręce, a lewa strona jego ociekającej wodą koszuli od ramienia do pasa lśniła krwią. Twarz, w połowie ukryta za gąszczem splątanych mokrych włosów, wyglądała na bledszą i mizerniejszą niż zwykle. Mimo to, zmierzając w stronę krzesła i widząc, że Shandy odwraca od niego wzrok, Davies uśmiechnął się szeroko.

- Z powrotem w witrynie warsztatu, co?

- Zgadza się - odparł Shandy bezbarwnym głosem.

- Żadnych obtłuczeń? Farba nie wyblakła?

Tym razem nie odpowiedział. Oficerowie usiedli po obu stronach Daviesa.

Drzwi znów się otworzyły i do kajuty weszli kapitan oraz midszypmen Nourse, który niósł pióro, kałamarz i papier. Usiadł obok Shandy'ego, podczas gdy kapitan klapnął ciężko na krzesło naprzeciwko Daviesa. Każdy z obecnych marynarzy miał przy sobie szablę i pistolet, które stanowiły elementy umundurowania.

- Proszę zapisać, panie Nourse - zaczął kapitan - że we wtorek dwudziestego szóstego lipca 1718 roku wyłowiliśmy z morza kapitana piratów Philipa Daviesa. Philip Davies wypadł za burtę porwanego okrętu, „Hałaśliwego Carmichaela”, na skutek strzału w plecy. Strzał ten oddał jeden z jego sojuszników.

- Draśnięcie w ramię - wyjaśnił Davies Shandy'emu. - To chyba był ten grubasek, Friend.

- Dlaczego Friend miałby do ciebie strzelać? - zapytał zaskoczony Shandy.

- „Jenny” - odparł zachrypniętym głosem Davies, wkładając w mówienie wiele wysiłku - eskortowała „Carmichaela” tylko po to, aby... aby ściągnąć na siebie ogień, związać walką nieprzyjaciela i nie dopuścić do spowolnienia „Carmichaela”. Hodge o tym wiedział. Ale ja pomyślałem, że gdyby „Carmichael” zrobił jeszcze jedno okrążenie i wypalił do tych bękartów z marynarki po raz drugi, wszystkim udałoby się uciec. Friend wściekł się jak osa już przy pierwszym manewrze, gdy chciałem kupić dla „Jenny” odrobinę czasu, i chyba nie podobał mu się... bardzo nie podobał pomysł drugiego powrotu. To prawda, złamałem rozkaz i gdy zacząłem wydawać polecenia, zestrzelił mnie z wyblinek na bakburcie. - Zaczął rechotać, lecz natychmiast skrzywił się z bólu i musiał poprzestać na drżącym uśmiechu. - Na szczęście Pan Los-Darzy trzymał mnie za rękę! Gdyby nie on, kula pewnie zmiażdżyłaby mi kręgosłup.

Pot lśnił na jego udreżonej twarzy.

Shandy pokręcił z rezygnacją głową.

- Taki jest honor złodziei - stwierdził kapitan. - Philipie Daviesie, zostaniesz przewieziony do Kingston, gdzie odpowiesz przed sądem za liczne zbrodnie, z których być może najświeższą jest morderstwo Arthura Chawortha, prawowitego kapitana „Hałaśliwego Carmichaela”. - Kapitan odchrząknął. - Czy chcesz złożyć oświadczenie?

Pochylony nad stołem Davies spojrział w górę z uśmiechem, który nadał jego twarzy wygląd martwej czaszki.

- Wilson, zgadza się? - wycharczał. - Sam Wilson? Poznają cię. Co, teraz? Oświadczenie? Jak w sądzie? - Zmrużył w zamyśleniu oczy, bacznie obserwując kapitana. - Nie, chyba nie skorzystam. Ale powiedz mi jedno, Sam. - Przez chwilę zdawał się zbierać siły, po czym wykrztusił szybko: - Czy istnieje choćby cień szansy, że to, co powiedział mi o tobie Panda Beecher, jest prawdą?

Usta kapitana Wilsona pobieleły. Mężczyzna rozejrzał się po twarzach zgromadzonych w kajucie oficerów, po czym jednym płynnym ruchem skoczył na równe nogi, złapał za pistolet, odciągnął kurek i wymierzył w Daviesą. Shandy zerwał się niemal w tej samej chwili i rzucił przez stół, by wytrącić Wilsonowi broń.

Głośny huk sprawił, że znów zadzwoniło mu w nadwyreżonych uszach, ale mimo to usłyszał krzyk kapitana:

- Niech cię szlag, Chandagnac, mógłbym kazać cię za to aresztować! Nourse, daj mi swoją broń!

Shandy zerknął w stronę Daviesą, który wydawał się spięty, lecz zadowolony. Tymczasem młody midszypmen kręcił w przerażeniu głową.

- Kapitanie, ale to będzie morderstwo, jeśli go pan tu zastrzeli - poskarżył się piskliwym głosem. - On musi stanąć przed sądem! Jeśli my...

Kapitan Wilson zaklął szpetnie. Pomimo protestów Nourse'a i Shandy'ego pochylił się nad stołem i wyrwał pistolet zza pasa jednego z oficerów, po czym zrobił krok do tyłu i uniósł broń...

...Davies uśmiechnął się do niego szyderczo...

...a Shandy, pijany strachem nawet w chwili, gdy to robił, sięgnął w dół, chwycił pistolet Nourse'a i strzelił do kapitana.

\* \* \*

Obydwa strzały huknęły niemal jednocześnie, ale podczas gdy kula przeznaczona dla Daviesą minęła go i trafiła w rękę oficera po prawej, ta z pistoletu Shandy'ego przeszła przez

gardło kapitana Wilsona i posłała krwawiące ciało na gródź, skąd runęło z łomotem na pokład.

W uszach Shandy'ego wibrował dźwięk dolatujący gdzieś z zewnątrz - rozciągnięte w czasie, metaliczne brzęknięcie. Czuł, jak gęste od napięcia powietrze stawia opór, gdy powoli odwracał głowę. Ujrzał zdumione twarze czterech mężczyzn, którzy przebywali z nim w kajucie, a z nich wszystkich najbardziej zdumiony był Davies.

- Słodki Jezusie, chłopcze - parsknął pirat, gdy rozbawienie wzięło górę nad konsternacją. - Czy ty wiesz, co właśnie najlepszego zrobiłeś?

- Zdaje się, że uratowałem ci życie - wykrztusił Shandy, nie potrafiąc zaczerpnąć powietrza. - Jak się stąd wydostaniemy?

Postrzelony oficer odepchnął spod siebie krzesło i próbował zdrową ręką dobyć broni. Shandy przesunął się w jego stronę i niemal z lekceważeniem uderzył go tuż nad uchem pistoletem, z którego zastrzelił kapitana. Gdy mężczyzna runął na bok, opierając się częściowo na krześle, Shandy upuścił wystrzelony pistolet i jedną ręką wyciągnął nowy zza pasa obezwładnionego oficera, a drugą odebrał mu szablę. Marynarz osunął się z krzesła i huknął boleśnie o pokład, a Shandy podszedł do drzwi kajuty i dwoma palcami dłoni, w której trzymał szablę, zasunął ostrożnie rygiel.

- Wy dwaj - rzucił do Nourse'a i oficera, któremu kapitan Wilson wyrwał pistolet. - Odłóżcie szable na stół i stańcie przy grodzi. Davies, wstań i odwróć się.

Davies posłuchał, choć z wysiłku zmrużył oczy i zacisnął zęby. Celując z pistoletu do dwóch marynarzy, Shandy wcisnął koniuszek szabli pod pętlę powrozu krępującego Daviesa i pchnął. Davies zatoczył się, ale pęta puściły. Strząsnął je z rąk w chwili, gdy ktoś zadudnił pięścią w drzwi.

- Wszystko w porządku, kapitanie?! - krzyknął ktoś z zewnątrz. - Kogo postrzelili?

Shandy spojrział na Nourse'a sponad lufy pistoletu.

- Powiedz im... powiedz, że Davies stłukł kapitana do nieprzytomności i że zastrzelili go oficerowie - wyszeptał. - Niech sprowadzą lekarza okrętowego.

Nourse powtórzył głośno wiadomość, drżeniem głosu nadając jej autentyczność.

Davies uniósł rękę.

- A pojmani piraci mają zostać zaprowadzeni na pokład dziobowy - dodał.

Nourse przekazał i ten rozkaz. Mężczyzna za drzwiami w pośpiechu pobiegł go wykonać.

- Czy teraz powiesz mi, jak się stąd wydostaniemy? - powtórzył zrozpaczony Shandy. Wyjrzał przez okno na morze, walcząc z pokusą, by skoczyć do wody i uciec wplaw. Biedna



„Jenny” - choć na wyciągnięcie ręki, wydawała się beznadziejnie odległa.

Szczupła twarz Daviesa zaczynała nabierać kolorów. Stary pirat znów uśmiechał się szeroko.

- Po co lekarz?

Shandy wzruszył ramionami.

- A czy bez niego nasza historyjka nie brzmiałaby na zmyśloną?

- Możliwe, skoro o tym mowa. - Davies przebiegł dłonią po wilgotnych siwych włosach. - Cóż! Jeśli Królewska Marynarka nie zmieniła się zbyt od czasu, gdy sam w niej służyłem, magazyn prochowy powinien się znajdować bezpośrednio pod nami, dwa albo trzy pokłady niżej. - Odwrócił się do Nourse'a. - Zgadza się?

- Odmawiam odpowiedzi na takie pytania - odparł midszypmen, trzęsąc się jak osika.

Davies podniósł ze stołu szablę, podszedł do Nourse'a i dźgnął go lekko w brzuch.

- Albo mnie tam zabierzesz, albo tak cię urządzę, że cię rodzona matka nie pozna. Jestem Davies - przypomniał młodemu oficerowi.

Nourse musiał najwyraźniej słyszeć o nim niejedną opowieść, bo choć jeszcze przed chwilą był sztywny jak tyczka, teraz skulił się i wymamrotał:

- Dobrze... jeśli dasz mi słowo, że nie zrobisz krzywdy ani mnie, ani okrętowi.

- Masz moje uroczyste słowo honoru - odparł Davies, patrząc mu w oczy, a następnie odwrócił się do Shandy'ego. - Za tamtymi drzwiami znajdziesz koję kapitana. Przynies koce i zawiń w nie ciało Wilsona razem z tą szabelką, którą trzymasz, dwoma pozostałymi i wszystkimi nabitymi pistoletami, jakie zdołasz znaleźć. Potem razem z tym chłoptasiem - skinął na przytomnego oficera - zanieś tobół na dziób, do chłopców z „Jenny”. Powiedźcie, że to moje truchło. Zrozumiano? Świetnie. Jak tylko magazyn prochowy wyleci w powietrze, a powinien się fajczyć, aż miło, specjalnie na taką okazję nauczyłem się kilku rymowanek przyzywających duszki ognia... No więc kiedy wybuchnie, wyjdę na pokład przez luk na dziobie, z bronią, jeśli Pan Los-Darzy pozwoli. Wtedy odwiniecie koc i dobiedziecie szabli. Wywalczymy sobie drogę na „Jenny” i uciekniemy w siną dal. Jeśli się nie pojawię zaraz po eksplozji, nie czekajcie.

Nourse gapił się na Daviesa z rozdziawioną gębą.

- Ale... - wymamrotał. - Ale przecież dałeś mi słowo!

Davies zaśmiał się.

- Już wiesz, ile jest warte. Lepiej posłuchaj mnie uważnie, synku: pójdziemy razem do tego magazynu, bo inaczej każę ci zjeść twoje własne uszy. Robiłem to już z ludźmi, którzy sprawiali zbyt wiele kłopotów.

Nourse odwrócił wzrok, a Shandy znów miał wrażenie, że midszypmen przypomina sobie jakąś makabryczną opowieść o Daviesie. Jak to możliwe, zastanawiał się z przerażeniem, że walczę po stronie tego potwora?

Parę minut później stwierdzili, że są gotowi. Z pomocą nieszczęśliwego oficera Shandy zawinął w koc ciało kapitana, szable i komplet kunsztownych pistoletów pojedynkowych. Zrobili to w taki sposób, by celując do marynarza, mógł trzymać broń pod warstwą materiału. Davies wciskał się właśnie w zakrwawioną kurtkę jego nieprzytomnego kolegi, gdy do kajuty znów ktoś zapukał.

Shandy podskoczył nerwowo i niemal upuścił pistolet.

- To lekarz - rzucił Davies spiętym głosem. Przeszedł przez kajutę i oparł się o gródź obok drzwi, po czym skinął na Nourse'a szablą. - Wpuść go.

Nourse trząsł się jeszcze bardziej niż Shandy. Przewrócił nieszczęśliwie oczyma, ale odciągnął rygiel i otworzył szeroko drzwi.

- Położyliśmy kapitana na koi - wymamrotał, gdy lekarz wpadł do środka.

Z gracją, jakby to był taniec, który razem ćwiczyli, Davies zrobił krok naprzód i dzielił starego lekarza rękojeścią szabli w łeb, a Nourse złapał jego ciało.

- Świetnie - rzucił zadowolony pirat. - Komu w drogę, temu czas.

## Rozdział ósmy

Nie dalej niż minutę później Shandy i roztrzęsiony oficer ciągnęli przez pokład zawinięte w koc ciało i broń. Toból okazał się zbyt ciężki i nieporęczny, by go nieść, szczególnie gdy Shandy próbował mierzyć z ukrytego pistoletu do marynarza, który trzymał nieboszczyka za nogi. Zdecydowali, że będą go wlec po deskach pokładu, niewygodnie zgarbieni.

Shandy pocił się jak mysz w połogu, lecz nie tylko z powodu tropikalnego słońca, które grzało w głowę i lśniło oślepiająco na jasnym drewnie. Był boleśnie świadom obecności każdego uzbrojonego marynarza, tak jak byłby świadom jadowitych skorpionów wspinających się po ubraniu. Próbował skoncentrować całą uwagę na niepraktycznym tobole, nie myśląc o tym, co się stanie, gdy eksplodują całe zapasy prochu na okręcie. Albo gdy marynarze zorientują się w sytuacji i zaczną strzelać, albo gdy oficer o zaciśniętych, bladych ustach, trzymający truchło za nogi, wreszcie zrozumie, że w chwili, w której wybuchnie piekło, znajdzie się dokładnie na linii ognia.

Gdy mijali pokrywę luku na śródokręciu, szurając butami i dysząc ze zmęczenia przez szeroko otwarte usta, Shandy zauważył, że oficer nie spuszcza wzroku z jego prawej ręki ukrytej pod kocem. Zorientował się, że gdyby kurczowo zaciśnięta, spocona dłoń ześliznęła się z rękojeści pistoletu, mężczyzna natychmiast wykorzystałby okazję, by rzucić się do ucieczki i podnieść alarm.

Tymczasem ustawieni na dziobie, rozbrojeni jeńcy patrzyli, jak się zbliżają. Słyszeli już, że w tobole znajduje się ciało Philipa Daviesa, i czuli gorzką satysfakcję, widząc, że akurat Shandy'ego zmuszono do jego taszczenia.

- Zbliź się jeszcze trochę, ty chełpliwy draniu! - krzyknął jeden z piratów. - Z chęcią zrezygnuję ze stryczka, byle tylko dorwać cię w swoje ręce!

- To tak odwdzięczasz się biednemu Daviesowi za to, że darował ci życie?- dodał inny. - Umarlaki nie dadzą ci spokojnie przespać jednej nocy, tego możesz być pewien!

Niektórzy brytyjscy marynarze, w szczególności ci młodszy, zaczęli wyśmiewać zabobonność piratów.

Długą, męczącą minutę później, gdy toból znajdował się na wysokości pokrywy luku dziobowego, Shandy dostrzegł, że jego towarzysz wreszcie zrozumiał, co się święci.

- Nie zawaham się - wydyszał, ale oficer niespodziewanie puścił nogi kapitana i rzucił się biegiem w kierunku, z którego przyszli.

- To podstęp! - wołał. - Davies jest pod pokładem, chce podpalić skład!

Shandy pozwolił sobie na głęboki oddech, w którym było sporo ulgi - nareszcie dobiegła końca pełna napięcia, milcząca niepewność. Ukląkł szybko, lecz ostrożnie, odkrył ciało kapitana Wilsona i przetoczył je na pokład, po czym kopnął broń z powrotem na koc. Gdy go zwijał niczym worek, pod wpływem impulsu zamarł, by się rozejrzeć.

Tylko jeden ze stojących w pobliżu żołnierzy marynarki pojął, co się dzieje, i właśnie unosił pistolet w kierunku Shandy'ego. Shandy strzelił bez przymierzania. Chybił, ale popsuł mężczyźnie cel i jego kula roztrzaskała fragment nadburcia. Wymachując pakunkiem z bronią nad głową, Shandy pognął nisko pochylony w stronę dziobu.

Kolejne strzały z trzaskiem i brzękiem szatkowały pokład. Jedna kula świsnęła mu tuż przy uchu, druga trafiła w rozbujany tobołek. Kilka kroków od pokładu dziobowego cisnął nim w kierunku zdębiałych piratów i pozwolił, aby impet pociągnął go w bok, w stronę drabinki oficerskiej.

Jedna po drugiej, niczym szybkie uderzenia młotka, dwie kule przebiły gródź, którą jeszcze przed chwilą zasłaniał własnym ciałem.

Oparł stopę o pierwszy szczebel drabiny i już w następnej chwili znajdował się na pokładzie dziobowym, szarpiąc zamknięcie skrzynki z pistoletami pojedynkowymi.

- Na „Jenny”! - wyrzucił z siebie nieprzytomnie, wyciągając pistolety z wyłożonego aksamitem futerału. Odwrócił się z powrotem w stronę rufy.

Zanim jednak zdążył wybrać cel, potężny wstrząs posłał go na kolana, a powietrze zadrzęło od grzmotu *basso profundo*, wysoko, aż po czubki masztów. Rufa napuchła, zamieniając się w strzelistą chmurę pyłu, dymu, drzazg i wirujących fragmentów drewna. Na morze dziurawione przez deszcz odłamków z obu stron okrętu padł cień długi na dwanaście jardów, a narastający grzmot przetoczył się przez fale.

Natychmiast zachwiały się maszty. Na początku ich jękom towarzyszyły trzaski pękających lin, głośnie jak strzały z pistoletu, ale prawie całkowicie zagłuszał je nieustający ryk eksplozji. Drzewca masztów runęły ciężko w dół. Cięły gęsty dym i łądowały w nadwyreżonych siatkach zabezpieczających, uginających się z metalicznym brzękiem, albo wbijały się w pokład z przyprawiającym o dreszcze, ogłuszającym hukiem.

Pokładowi, na którym klęczał Shandy, daleko było do poziomu - z każdą sekundą coraz dalej, co wyczuł w chwili, gdy o tym pomyślał. Zaczął gorączkowo wymachiwać rękoma,

upuszczając oba pistolety, a potem na czworakach podpełzł do relingu bakburty unoszącego się dziobu, by złapać za jeden ze słupków.

Spojrzał w dół. Rufowa część okrętu prawdopodobnie znajdowała się już pod wodą, ale pozrywane, wymięte żagle i chmura dymu przesłaniały mu widok. Ciało kapitana Wilsona musiało się zsunąć, kiedy nie patrzył. Widział za to, jak jeden z pistoletów pojedynkowych mknie w otchłań, wirując. Zewsząd dochodził syk zasysanego przez kadłub powietrza, a z sinego nieba wciąż padał grad drewna i metalu.

Czuł, że ktoś szarpie go za rękaw, a gdy spojrzał w górę, zobaczył Daviesa. Jego marynarska kurtka była porozrywana na strzępy. Krzyczał coś, siedząc okrakiem na relingu, ale Shandy nie rozumiał słów. Domyślił się jednak z gestów, że Davies chce, by za nim poszedł, wspiął się więc na reling.

Na wzburzonej wodzie kołysała się „Jenny”, przywiązana do tonącego okrętu ostatnią cumą. W chwili gdy Shandy ją dostrzegł, jeden z piratów wziął szablą zamach i odciął linę, a zaraz potem skoczył z uniesionego dziobu do wody trzydzieści stóp niżej.

- Skacz! - wrzasnął Davies i z całych sił klepnął Shandy'ego między łopatki, po czym skoczył w ślad za nim.

\* \* \*

Pierwsze minuty na pokładzie „Jenny” były koszmarną, gorączkową szamotaniną - tuzin mężczyzn, z czego prawie połowa rannych, mocowała się z fałami, by podnieść żagle, w większości porozdzierane. Desperacko próbowali złapać wiatr i odpłynąć na bezpieczną odległość, zanim okręt wojenny pójdzie na dno, tworząc wir wystarczająco potężny, by zatopić żaglowiec o wiele większy od „Jenny”.

W końcu, gdy dwie szalupy wypełnione brytyjskimi marynarzami odpłynęły na odległość trzydziestu jardów na południe i gdy okręt marynarki zatonął do połowy, a szeroki, ociekający wodą dziób uniósł się do pionu, grot „Jenny” przestał łopotać i wyrzucił się. Słup drgnął i Davies rozkazał zmniejszyć wychylenie rumpla. Znajdowali się sto jardów na południowy wschód i nabierali prędkości, kiedy dziób okrętu wojennego trysnął wypychanym przez ciśnienie dymem, który zgromadził się pod pokładem, po czym znikł, pozostawiając po sobie wzburzoną kipieli.

- Trzymajcie kurs, podczas gdy my... zajmiemy się inwentaryzacją - zawołał słabym głosem Davies, kładąc się na rufie. Był błądy pod opalenizną i zbyt zmęczony, by odepchnąć się od relingu.

Skank umocował szot kliwra na kołku i oparł się o nadburcie. Ledwie łapał oddech.

- Jakim... jakim cudem wyszliśmy z tego cała?

Davies zaśmiał się niemrawo i machnął w stronę Shandy'ego, który klęczał na rufie, trzęsąc się bardziej z powodu szoku niż zimna.

- Nasz kucharzyna, Jack Shandy, zdobył zaufanie kapitana swoją śpiewką o porwaniu, a później, przy pierwszej okazji, wpakował mu kulkę w łeb.

W pełnej osłupienia ciszy, która zapadła po tych słowach, Shandy odwrócił się w stronę wzburzonego pobjowiska. Zobaczył je wyraźnie na tle niebieskozielonego morza, kiedy fala unosiła rufę „Jenny”.

Skank, w jednej chwili zapominając o zmęczeniu, przedarł się przez ciała i zabezpieczył takielunek na rufie.

- Naprawdę? - zapytał głosem pełnym podziwu. - Więc cała ta gadanina „nie jestem jednym z nich” była tylko grą?

Shandy westchnął, a gdy wzruszył ramionami, poczuł, że w jego mięśnie znów wkradło się napięcie. Teraz to już moje życie, stwierdził. Tkwią w tym po same uszy, bo ludzie w tamtych szalupach wiedzą, kim jestem. Odwrócił się i wyszczerzył szeroko do Skanka.

- Zgadza się - powiedział. - Musiałem być cholernie przekonujący, żebyście dali się nabrać, chłopcy, i zareagowali naturalnie.

Skank zmarszczył w konsternacji brwi.

- Ale to niemożliwe, żebyś udawał, stałem tuż obok...

- Przecież wam mówiłem, że przez wiele lat organizowałem przedstawienia marionetkowe - stwierdził Shandy z udawaną beztroską. - Zresztą widzieliście, że Davies był związany, gdy trafił na pokład, zgadza się? Jak myślicie, kto przeciął powróż? Kapitan? A kto rzucił wam broń?

- Niech mnie szlag... - wymamrotał Skank, kręcąc głową. - Dobry jesteś.

Davies zmrużył oczy i zachichotał.

- To prawda - mruknął. - Pierwszorzędnym z ciebie aktor, Jack. - Zamrugnął i zachwiał się, jeszcze bledszy niż przed minutą. Poderwał głowę. - Czy stary bokor Hodge'a przeżył?

Po krótkich poszukiwaniach odnaleźli wypatroszone ciało mężczyzny, zwisające z krawędzi pokładu do ładowni.

- Sztynny, Phil - krzyknął ktoś przez ściśnięte gardło.

- Więc sprawdźcie, gdzie trzymał te swoje odżywcze przekąski, i przynieście mi je na dziób. - Odwrócił się do Shandy'ego i dodał ścisłym głosem:- Suszona wątroba, kaszanka i

rodzynki. Bokorzy objadają się tym paskudztwem, gdy odprawiają skomplikowane rytuały, a ja porządnie się dziś napociłem. Te duszki ognia były wyjątkowo żwawe i łakome.

- Nie dało się przeoczyć. Dlaczego akurat wątroba, kaszanka i rodzynki?

- Nie wiem. Twierdzą, że dzięki temu ich dziąsła są czerwone, chociaż wszyscy starzy bokorzy i tak mają białe. - Davies wziął głęboki oddech i klepnął Shandy'ego w plecy. - Tam jest rum. Potrzebuję go, żeby zbudzić Pana Los-Darzy, by zajął się moim ramieniem. Zresztą, założę się, że ty też nie pogardzisz łykiem czy dwoma.

- Nie pogardzę - przytaknął Shandy zdecydowanie.

- A Hodge? Przeżył? - Davies zwrócił się do najbliższego pirata.

- Nie, Phil. Dostał kulkę w bebechy, gdy przechodziliśmy przez reling. Skoczył, ale już się nie wynurzył.

- Dobrze, w takim razie przejmuję dowodzenie. Kurs na południowy zachód! - krzyknął do zniechęconej załogi. - Wszyscy, którzy są zbyt poważnie ranni, żeby pracować, mogą zszywać żagle i splątywać liny. Będziemy musieli pędzić co tchu, dzień i noc, żeby zdążyć na spotkanie na Florydzie.

- Do diabła, Phil... - poskarżył się szczupły, starszy mężczyzna. - Przecież prawie wybili nas w pień. Nikt by nas nie winił, gdybyśmy wrócili do Providence.

Davies uśmiechnął się ponuro.

- A od kiedy to gryziecie się swoimi winami? „Carmichael” to mój okręt i chcę go odzyskać. Poza tym czuję, że Ed Thatch już niebawem zostanie królem Indii Zachodnich, a gdy opadnie pył, chcę siedzieć u jego boku. Przykro mi, że są wśród was piraci, którzy pamiętają spokojne dni bukanierów, bo one już nie wrócą. Lato się skończyło i nastał czas imperiów. Za parę lat na całych Karaibach nie znajdziecie miejsca, gdzie będzie można wylegiwać się w słońcu i piec nad ogniskiem kradzione hiszpańskie świnię. To jest nowy świat, jakkolwiek by był, i to my najlepiej wiemy, jak w nim żyć - bez udawania, że jesteśmy w kolejnej prowincji Anglii, Francji czy Hiszpanii. Jedyne, co może nas powstrzymać, to lenistwo.

- Cóż, Phil - powiedział mężczyzna, zakłopotany przemową Daviesa - kiedy w lenistwie nie znajdziesz ode mnie lepszego.

Davies machnął na niego ręką.

- Więc wykonuj rozkazy. Zostań ze mną, to najesz się i napijesz do syta, albo umieraj, to nie będziesz mieć więcej zmartwień. - Skinąwszy w kierunku dziobu, pociągnął za sobą Shandy'ego, a gdy się tam znaleźli, zaczął grzebać pod stertą płótna. W końcu z okrzykiem zadowolenia wyciągnął spod niej butelkę. Odkorkował ją zębami i podał kompanowi.

Shandy pociągnął kilka solidnych haustów rozgrzanego na słońcu alkoholu, który wydawał się składać tyle z płynu, co z oparów. Gdy odetchnął, oddając butelkę Daviesowi, miał wrażenie, że wziął kolejny łyk.

- A teraz mów - zwrócił się do niego stary pirat, gdy sam wlał w siebie solidną porcję rumu. - Dlaczego zastrzełeś Wilsona?

Shandy rozłożył ręce.

- Bo on chciał zastrzelić ciebie. Ten midszypmen miał rację, to by było morderstwo.

Davies przyjrzał mu się uważnie.

- Naprawdę? I to był cały powód?

Shandy przytaknął.

- Bóg mi świadkiem.

- A kiedy przebierałeś się w te fatalaszki i powiedziałeś, że zwerbowałeś cię siłą i że nie jesteś prawdziwym piratem... To też było szczerze?

Shandy westchnął rozpaczliwie.

- Tak.

Davies pokręcił w zadumie głową.

- Och - odezwał się Shandy - a kim był Peachy Bander?

- Kto?

- Mogę jeszcze? Na zdrowie. - Przełknął kilka razy i oddał butelkę Daviesowi. - Percher Bandy? - rzucił odrobinę nieprzytomnie. - Człowiek, który powiedział ci coś o kapitanie Wilsonie. Powiedział czy tylko blefowałeś?

- Ach - zaśmiał się Davies. - Panda Beecher! Panda handlował przyprawami, może nadal to robi. Zawsze dogadywał się z kapitanami marynarki, by przewozili jego towar w ładowniach swoich okrętów. Oczywiście, cały ten proceder jest diabelnie nielegalny, ale wielu handlarzy ryzykuje - mogą zapłacić kapitanowi wystarczająco dużo, by mu się to opłacało, i nadal zarobić więcej, niż gdyby zlecili przewóz właścicielowi statku handlowego. Wszystko przez koszt ubezpieczenia i opłatę w wysokości dwunastu i pół procent towaru dla marynarki za oficjalną eskortę. Sam odsłużyłem w Królewskiej Marynarce niespełna dwadzieścia lat i znam wielu kapitanów, którzy dorabiali na boku, robiąc interesy z Pandą i ludźmi jego pokroju, choć sporo ryzykowali: na tych, których przyłapano, czekał sąd wojskowy. Jeden z marynarzy w szalupie powiedział mi, jak nazywa się ich kapitan, więc udawałem, że go pamiętam. Szanse, że sam ubijał podobne interesy, wydawały mi się całkiem spore, a Wilson nie miał powodu mi nie wierzyć. Poza tym pod koniec zeszłego stulecia Panda zarządzał kilkoma burdelami, które



obsługiwały głównie oficerów marynarki, a słyszałem, że stres żeglugi na Karaibach prowadzi czasami do... nietypowych zachcianek - chłopcy, bicze, orientalne dziwki i tak dalej - i zawsze istniała szansa, że do jego klientów należał także Wilson.

Shandy kiwnął oswiale głową.

- A ty tak sformułowałeś pytanie, żeby nie sugerować, o co ci chodzi.

- Właśnie. A czy Wilson dał się złapać na jeden haczyk, czy na drugi, to bez znaczenia, ważne, że się złapał. Na który, tego się już chyba nie dowiemy.

Do Daviesa podszedł Skank i podał mu śmierdzący, płócienny woreczek, po czym uciekł na rufę, wycierając dłonie o reling. Davies wyciągnął ze środka kawałek zaszuszonej kaszanki i bez entuzjazmu odgryzł kęs.

- Widzisz - ciągnął, przeżuując - po tym, jak przekłety traktat utrechcki pozbawił kaprów pracy i zrujnował żeglarstwo jako legalne źródło utrzymania, zostałem piratem. Obiecałem sobie wówczas, że nigdy nie zawisnę. Przez lata spędzone w marynarce miałem okazję zobaczyć zbyt wielu wisielców. - Sięgnął po butelkę i wypił duszkiem kilka solidnych łyków. - Więc ucieszyłem się, gdy przyszedł mi do głowy pomysł z Pandą Beecherem, tak jak człowiek porzucony na bezludnej wyspie cieszy się, że ma pistolet.

Shandy zmarszczył czoło, nie rozumiejąc aluzji, ale nagle uniósł brwi.

- Samobójstwo! - parsknął, zbyt pijany, by myśleć o manierach. - Chciałeś, żeby cię zabił, kiedy to powiedziałeś.

- Powiedzmy, że wolałem to od procesu i ewentualnego stryczka. Tak, chciałem. - Znów pokręcił głową, najwyraźniej nie potrafiąc uwierzyć w to, co zrobił Shandy. - Tylko dlatego, że to by było morderstwo?

Shandy skinął w kierunku innych marynarzy na „Jenny”.

- Każdy z nich zrobiłby dokładnie to samo.

- Rezygnując z pewnego bezpieczeństwa? - Davies wybuchnął śmiechem. - Żaden z nich. Nigdy. Pamiętasz Lota?

- Słucham?

- Lota. Człowieka, którego żona zamieniła się w słup soli.

- Och, jego. - Shandy kiwnął głową. - Jasne.

- I pamiętasz, jak Jahwe przyszedł do jego domu?

Shandy zmrużył oczy, próbując się skoncentrować.

- Nie bardzo...

- Cóż, Jahwe powiedział mu, że zrówna miasto z ziemią, bo wszyscy byli tam

sukinsynami. Więc Lot odpowiada: „Czekaj, a jeśli znajdę dziesięciu porządnych chłopów, to zostawisz miasto w spokoju?”. Jahwe trochę się chmurzy, trochę złości, ale w końcu stwierdza: „Dobra, jeżeli znajdziesz dziesięciu porządnych, to wam odpuszczę”. Wtedy Lot, taki był z niego cwaniak, mówi: „A co powiesz na trzech?”. Jahwe wstaje i przechadza się tam i z powrotem, kombinując, aż wreszcie odpowiada, że może być, wystarczy trzech. Więc Lot na to: „To może jeden?”. Jahwe był już całkiem skołowany, bo przecież nastawiał się, że zamieni miasto w popiół, no i mówi: „Dobra, jeden porządny chłop”. Oczywiście Lot i tak go nie znalazł, a Jahwe puścił wiochę z dymem.

Davies machnął ręką w kierunku piratów, chociaż wydawało się, że objął tym gestem także „Carmichaela”, wyspę New Providence, a być może nawet całe Karaiby.

- Popelnisz ogromny błąd, Jack, jeśli kiedykolwiek uznasz za pewne, że znalazłbyś wśród tych ludzi choć jednego przyzwoitego.

# Księga II

*Odcięci od ziemi, która nas zrodziła,  
Zdradzeni przez nowy ład,  
Gdzie najlepszych przed nami siła,  
A najgorsi daleko stąd.*

*Wstańcie, wstańcie do szklanic, prędzej!  
Tylko jeden pozostał nam toast:  
Ostatni za tych, co nie piją więcej,  
I wiwat dla tego, co następny skona!*

*Bartholomew Dowling*

## Rozdział dziewiąty

Wiejąca od morza wieczorna bryza była tego dnia silna. Trzy okręty stały zacumowane równolegle do siebie nieopodal brzegu, a iskry z trzaskających na plaży ognisk strzelały wysoko i unosiły się na wietrze w kierunku mrocznej cyprysowej dżungli Florydy. Z szałasów na drewnianych palach, który piraci wzniesli za ogniskami, Beth Hurwood spoglądała w niebo, wdychając orzeźwiające morskie powietrze. Miała nadzieję, że bryza utrzyma się aż do świtu. Nie chciała spędzić trzeciej nocy z rzędu w dusznym „schronieniu przed moskitami”, które kazał zbudować dla niej ojciec - między czterema ścianami z płótna ledwie starczało jej miejsca, by wygodnie ułożyć się do snu.

Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek zatęskni za czasem spędzonym w klasztorze w Szkocji, ale teraz oplakiwała dzień, w którym ojciec postanowił ją stamtąd zabrać. Białe siostry w habitach i kapturach prawie nigdy się nie odzywały, jedynym wyposażeniem pokoi były nagie ściany, do jedzenia dostawała wyłącznie tłustą, szarą owsiankę z grulkami rozmokłych warzyw i nie było tam żadnych książek - nawet Biblii. W zasadzie nigdy się nie dowiedziała, do jakiego zakonu należały siostry ani jaką wyznawały wiarę - nie uświadczyla w tamtym miejscu ani jednego obrazka, rzeźby czy krzyża, które mogłoby stanowić wskazówkę, i nawet gdyby mniszki okazały się muzułmankami, prawdopodobnie nie zauważyłaby różnicy. Ale przynajmniej zostawiały ją w spokoju; pozwalały spacerować po ogrodzie i karmić ptaki albo stać na szczycie muru i obserwować drogę przebiegającą za wrzosowiskami w nadziei, że zobaczy nieznanego. Czasami udawało się jej kogoś wypatrzeć - chłopca na wozie albo myśliwego z psami - i choć machała im, odchodzili w pośpiechu, jakby obawiali się tego miejsca. Mimo to czuła bliższą więź z tymi odległymi, zabieganymi ludźmi niż z zamkniętymi w sobie, milczącymi siostrami. Prędzej czy później zawsze się okazywało, że osoby obecne w jej życiu są tak naprawdę obce.

Matka Beth umarła, gdy dziewczynka miała trzynaście lat, i to właśnie wtedy jej ojciec zaczął się zachowywać jak człowiek, którego nigdy nie знаła. Porzuciwszy katedrę w Oksfordzie, przekazał córkę na wychowanie rodzinie i odszedł, aby podjąć „niezależne badania”, jak sam kiedyś powiedział. Miała piętnaście lat, gdy poznała Leo Frienda.

Szuranie butów o piasek zmusiło ją do otwarcia oczu, ale po chwili z ulgą spostrzegła,

że tym razem to nie Friend. Zamrugła, by zmyć sprzed oczu powidok słońca, i rozpoznała przybysza dopiero wówczas, gdy wspiął się po kilku szczeblach i nachylił pod niskim, krytym strzechą dachem. Prawie się uśmiechnęła - był to stary Stede Bonnett. Przypłynął zaledwie wczoraj na swym okręcie, który nazywał „Odwetem”, i chociaż wszyscy twierdzili, że jest teraz piratem i współnikiem Czarnobrodego, wydawał się dobrze wychowany. Nie dostrzegła w nim szyderczej, cynicznej radości ludzi pokroju Philipa Daviesa ani chłodnego, pragmatycznego okrucieństwa swego ojca. Zastanawiała się, jakie okoliczności spowodowały, że ów człowiek został piratem.

- Przepraszam - wymamrotał, uchylając kapelusza. - Nie wiedziałem, że...

- Wszystko w porządku, panie Bonnett. - Skinęła na kłodę, która pełniła funkcję ławy. - Proszę usiąść.

- Dziękuję - odpowiedział, zajmując ostrożnie miejsce. Z zarośli wyleciał ptak o długiej szyi i zaskrzeczał tak przenikliwie, że Bonnett podskoczył. Spojrzał podejrzliwie za odlatującym krzykaczem.

- Nie wygląda pan na... szczęśliwego, panie Bonnett - ośmieliła się zauważyć Beth.

Popatrzył na nią i po raz pierwszy wydało mu się, że widzi ją taką, jaka naprawdę była. Zwilżył usta i uśmiechnął się niepewnie, lecz już po chwili na jego twarz wrócił wyraz zatroskania. Odwrócił wzrok.

- Nie wyglądam na szczęśliwego? Ha! Chciałbym zobaczyć, jak po tym, co wydarzyło się w Charles Town, ktokolwiek potrafiłby... Zanim Thatch zażądał okupu, myśleli, że chcemy zająć miasto! Gdy to zobaczyłem, po prostu mnie zmroziło. Matki biegały z łkającymi dziećmi po ulicach... Jezu, i po co to wszystko? Dla skrzynki czarnego tytoniu i żeby to on mógł spojrzeć na zatokę Ocracoke. A ja zacząłem mówić rzeczy, zacząłem robić rzeczy, których... Nawet sny nie wydają się już moje własne!

Wiatr zmienił kierunek, rozwiewając długie włosy Beth. Dopiero wtedy poczuła zapach brandy w oddechu Bonnetta. Niespodziewanie zaświtał jej w głowie pewien pomysł, ale ze strachu przed rozczarowaniem stłumiła nagły przypływ nadziei.

Przygryzła wargę. Trzeba było zachować daleko posuniętą ostrożność...

- Skąd pan pochodzi?

Przez długą chwilę milczał i zaczęła się zastanawiać, czy nie słyszał pytania, czy może nie chciał odpowiedzieć. Muszę się stąd wydostać, pomyślała. Muszę wierzyć, że w jakimś normalnym miejscu, z dala od Frienda i ojca, moja poczytalność nie będzie się wydawać tak krucha, niedoskonała i zagrożona.

- Barbados - powiedział Bonnett cicho. - Miałem tam... plantację trzciny cukrowej.

- Och. Interesy szły kiepsko?

- Ależ skąd - rzucił ochryłym głosem. - Jestem majorem armii w stanie spoczynku, miałem niewolników, stajnie... Plantacja świetnie prosperowała. Byłem dżentelmenem.

Beth nie uległa impulsowi i nie zapytała, dlaczego w takim razie z własnej woli został piratem - o ile było to prawdą...

- Chciałby pan tam wrócić?

Znów na nią spojrzał.

- Tak. Ale nie mogę. Powiesiliby mnie.

- Dlaczego nie przyjmie pan królewskiego ułaskawienia?

- Ja... - Podniósł rękę do ust i zaczął obgryzać paznokcie. - Thatch nigdy by mi nie pozwolił.

Beth czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Moglibyśmy wymknąć się dziś w nocy, pan i ja. Wszyscy są rozkojarzeni zamieszczeniem w górze rzeki.

Spoglądając na wybrzeże po prawej stronie, zastanawiała się, dlaczego ktokolwiek nazywał to przedłużenie bagien rzeką.

Bonnett uśmiechnął się nerwowo i po raz drugi oblizał usta. Znów poczuła od niego zapach alkoholu.

- Pani i ja - powtórzył i wyciągnął do niej pulchną dłoń.

- Właśnie tak - powiedziała, cofając się. - Ucieczka. Dziś w nocy. Kiedy Hunki Kanzo będzie zajęty pracami w górze rzeki.

Wspomnienie Czarnobrodego otrzeźwiło Bonnetta. Nachmurzył się i wrócił do obgryzania paznokcia.

Nie chcąc, aby dostrzegł w jej oczach rozpaczliwą nadzieję, Beth Hurwood odwróciła się w stronę bagien. Być może, myślała, nazywają te mokradła rzeką, bo prawie ją przypominają. Cała wilgoć z okolicznych terenów rzeczywiście wydawała się spływać na zachód, choć równie powoli, co brandy przesiąkająca przez ciasto owocowe. Niskie wieczorne mgły wykazywały podobną tendencję i zapewne potrafiły przemoczyć ubranie człowieka do ostatniej suchej nitki równie skutecznie, co woda.

Zamknęła oczy. Nazwanie tych bagien rzeką wydawało się bardzo typowe dla sposobu, w jaki działał ten przerażający Nowy Świat. Tutaj, na zachodnim krańcu globu, wszystko wciąż było surowe i nieuformowane, pozbawione podobieństw do ukształtowanej i utrwalonej w swej

postaci wschodniej półkuli. Nagle usłyszała szelest i odwróciła się szybko do Bonnetta, a przez jej głowę przemknęła myśl, że być może pierwotna natura tego lądu mogła być powodem, dla którego jej ojciec postanowił ją tu zabrać.

Bonnett nachylił się. W bladym świetle zmierzającego dnia widziała na jego pulchnej twarzy wyraz rodzącej się powoli determinacji.

- Zrobię to - powiedział niemal szeptem. - Wydaje mi się, że muszę, bo gdybym dziś poszedł w górę rzeki, zapewne oznaczałoby to mój koniec... Choć bez wątplenia wciąż chodziłbym po tej ziemi, wykonując rozkazy Thatcha.

- Czy na pańskim okręcie jest teraz wystarczająca liczba ludzi, żebyśmy mogli wypłynąć? - zapytała, wstając tak szybko, że szalasa zakolysał się na drewnianych podporach.

Bonnett podniósł za nią wzrok.

- Na „Odwiecie”? Nie możemy go zabrać. Naprawdę sądzi pani, że nikt by nas nie zobaczył albo nie usłyszał, gdybyśmy podnieśli kotwicę i żagle? Nie, zaopatrzymy w prowiant jedną z szalup i włożymy do niej wszystko, co niezbędne, by postawić na morzu prowizoryczny maszt i żagiel. Powiosłujemy cicho wzdłuż wybrzeża, a później wypłyniemy na otwarte morze i zobaczymy, co nam przyniesie los. Bóg jest z pewnością bardziej litościwy od Thatcha. - Niespodziewanie zachłysnął się powietrzem i złapał Beth za nadgarstek. - Chryste! Zaraz, zaraz! Czy to jest pułapka? Thatch nasłał panią na mnie, żeby pani mnie sprawdziła! Zapomniałem, że pani ojciec to jego wspólnik...

- Nie, nie - zaprotestowała Beth nerwowo. - To nie jest żadna pułapka. Muszę się stąd wydostać. Chodźmy przygotować tę szalupę.

Bonnett puścił jej rękę, chociaż nie wydawał się całkowicie przekonany.

- Ale... dowiedziałem się, że jest pani z nimi od przeszło miesiąca. Dlaczego tak długo pani zwlekąca? Jestem pewien, że o wiele łatwiej byłoby uciec jeszcze na New Providence.

Westchnęła.

- To nigdy nie byłoby łatwe, ale... - Kolejny ptak załopotał nad szalasem skrzydłami, sprawiając, że oboje podskoczyli. Beth zaśmiała się słabo. - Cóż, po pierwsze, zanim tu przybyliśmy, nie sądziłam, że mój ojciec chciałby wyrządzić mi krzywdę, ale teraz... Nadal nie chce wyrządzić mi krzywdy, tyle że... Przedwczoraj, gdy wylądowaliśmy na plaży, zraniłam się, a on niemalże oszalał ze zmartwienia. Krzyczał o zgorzeli i gorączkach. Powiedział Leo Friendowi, że ochronna magia karaibska - ostatnie słowa wymówiła z niesmakiem - działa tu zbyt gnuśnie i że będą musieli obserwować mnie bardzo uważnie, by nie przeoczyć objawów choroby. Tylko że jego troska wydawała mi się... beznamietna, nie była to troska ojca o

zagrożoną córkę, lecz raczej, sama nie wiem, obawa kapitana o sprawność okrętu, od której zależy jego życie.

Bonnett w zasadzie nie słuchał. Przyklepał loczki peruki i oblizał wąsy, po czym wstał i podszedł do Beth. Szalał chwiał się groźnie, gdy się nad nią pochylał. Wykrzywił usta w groteskowym uśmiechu, drżącym, lecz pełnym podtekstów.

- A zatem jeden powód już znam - powiedział. W jego głosie pojawiła się chrypka.- Czy jest jeszcze jakiś inny?

Beth nie patrzyła mu w twarz. Uśmiechnęła się smutno.

- Tak. Niemądry, ale chyba jest. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero we wtorek, kiedy pewien mężczyzna zginął z rąk marynarki wojennej. Był wówczas na pokładzie „Jenny”, a Friend twierdzi, że to wykluczone, by ktokolwiek przetrwał salwę burtową brytyjskiego okrętu. W każdym razie teraz wydaje mi się, że nie chciałam uciec bez niego... Cóż, nigdy go pan nie poznał. Mężczyzny, który był pasażerem na „Carmichaelu”.

Bonnett zacisnął usta i zrobił krok w tył, pozwalając mięśniom brzucha się rozluźnić.

- Wcale nie muszę pani zabierać, wie pani o tym? - parsknął.

Beth zamrugnęła zdezorientowana i odwróciła się w jego stronę.

- Słucham? Ależ oczywiście, że pan musi! W przeciwnym wypadku podniosę alarm, zanim zdąży pan odpłynąć. - Szybko przypomniała sobie, że wciąż ma do czynienia z piratem i dodała: - A ponadto władze spojrzą na pańską sprawę przychylniejszym okiem, jeśli nie tylko wyrazi pan skruchę, ale też uratuje jednego z więźniów Czarnobrodego.

- Cóż, jest w tym trochę racji - przyznał niechętnie Bonnett. - Świetnie, w takim razie proszę posłuchać. Zaraz pójdziemy na plażę, ale różnymi drogami. Jedna z szalup „Odwetu” leży przy brzegu, tam się spotkamy. Będę stać obok, na pewno mnie pani nie przeoczy. Proszę wskoczyć do środka i pochylić się nisko, tak żeby nikt pani nie widział. Jest tam jakieś stare płótno, może się pani nim nakryć. Idzie przypływ, więc nie powinienem mieć kłopotów z zepchnięciem łodzi na wodę. Popłynę na „Odwet”, wezmę tyle zapasów, ile tylko zdołam bez wzbudzania podejrzeń tej zdradzieckiej załogi, a później wyruszymy na południe wzdłuż brzegu. Potrafi pani nawigować według gwiazd?

- Nie - odparła Beth. - A pan nie potrafi?

- Och, oczywiście, że potrafię - skłamał pospiesznie Bonnett. - Po prostu zastanawiałem się, co zrobimy, kiedy będę odpoczywać. W każdym razie płynąc na południe, powinniśmy w niedługim czasie dotrzeć do szlaków handlowych. Jeśli uda nam się odpłynąć wystarczająco daleko, zanim Czarnobrody zorientuje się, że nas nie ma - ciągnął, stając na drabince - być może



nie zdoła sprowadzić mnie z powrotem.

Te słowa nie pomogły rozwiać obaw Beth, ale zeszła za Bonnettem na plażę i oddaliła się na bok. Chciała niepostrzeżenie obejść trzy ogniska i dostać się na brzeg, unikając wszędobylskiego wzroku Frienda.

\* \* \*

Stede Bonnett szedł powoli w dół wzniesienia, prosto w stronę ognisk. Wyraz szczerzego z troskaniem malujący się na jego twarzy sprawiał, że wyglądał niemal szlachetnie. Jego buty wydawały dźwięki przypominające leniwe cykanie świerszczy, gdy skórzane podeszwy ocierały o szorstką trawę.

Rozmowa o ucieczce z córką Hurwooda - jak również fakt, że tak głupio pozwolił sobie na okazanie podniecenia, licząc, że dziewczyna zareaguje przychylnie - przywołała zbyt bolesne wspomnienie życia, którego został pozbawiony trzy miesiące wcześniej. Rzecz jasna, nawet gdyby zdołał zbiec Czarnobrodemu i uzyskać ułaskawienie, już nigdy nie mógłby wrócić na Barbados. Było w tym pewne pocieszenie.

Niewykluczone, że w jakimś innym kraju i pod innym nazwiskiem mógłby zacząć od nowa - w końcu miał dopiero pięćdziesiąt osiem lat. Przy odpowiednim dbaniu o zdrowie czekała go co najmniej dekada życia, zanim będzie musiał poświęcić więcej uwagi religii. Niewątpliwie wciąż było wiele młodych dam, które z zadowoleniem przyjęłyby jego zainteresowanie.

Pozwolił, aby na krótką chwilę uśmiech wykrzywił mu twarz, a rękoma zaczął pieścić wymaginowane kształty i znów poczuł dawną wiarę we własne siły, dawną pewność siebie. Odebrała mu ją kobieta, którą poślubił przed czterema laty, ona zaś z niegdyś srogiego oficera uczyniła zastraszoną, nic nieznaczącą karykaturę człowieka. Dopiero dziewczyny u Ramony pozwoliły mu tę wiarę odzyskać - choć oczywiście wciąż pamiętał, co zrobił z ostatnią z nich i jak trafił prosto w ten koszmar, który ciągnął się od jakichś trzech miesięcy. Jego pomarszczone, stare ręce opadły bezwładnie wzdłuż ciała.

Trochę dalej, na lśniącej rubinowo powierzchni morza, unosiła się sylwetka zakotwiczonej „Zemsty Królowej Anny”. Odwrócona do Bonnetta rufą, wyglądała niczym wystający nad wodę szkielet lewiatana. Bonnett szybko spojrzał w przeciwną stronę, obawiając się, że Czarnobrody potrafi wejść w umysł człowieka, podążając za linią jego wzroku.

Ta ucieczka musi się powieść, myślał, idąc coraz bardziej grząskim wybrzeżem. Dzięki Bogu, że król ofiarował piratom ułaskawienie! To prawda, niczym nie zawiniłem, tylko że

żaden sędzia nigdy by mi nie uwierzył. Który znawca prawa zrozumie, że Hunsu Kanzo, posługując się krwią dowolnej istoty, potrafi oddzielić jej duszę od ciała? To nie ja wyposażyłem „Odwet”. Nie jestem nawet pewien, czy to ja zabiłem tę ostatnią dziewczynę u Ramony, choć przyznaję, że to moja ręka unosiła nogę od krzesła - raz za razem, bez końca. Ramię bolało mnie później przez wiele dni, mimo że nie mogłem sobie przypomnieć dlaczego. A jeśli to nawet byłem ja, to ktoś odurzył mnie narkotykami... No i kto wybrał dla mnie tę konkretną dziewczynę, z tymi rysami twarzy, i kto kazał jej używać właśnie takich słów i takiego tonu?

Nagle uderzyła go przerażająca myśl. Zatrzymał się gwałtownie, osunął dobry jard i niemalże upadł. Dlaczego miałby zakładać - a dotychczas zakładał - że Czarnobrody zauważył go u Ramony i dopiero wtedy uznał, że bogaty, posiadający dobra ziemskie byłby oficer mógłby się okazać cennym współnikiem? Bonnett poczuł, że jego twarz płonie wstydem i poniżeniem. A jeśli Czarnobrody miał go na oku już wcześniej i ustawił cały, rzekomo spontaniczny ciąg wydarzeń? Co, jeśli pierwsza dziewczyna tylko udawała, że skręciła kostkę, a w rzeczywistości została wybrana, gdyż była najchudsza, dzięki czemu mógł ją wziąć na ręce i zanieść prosto do łóżka? Zarówno ona, jak i pozostałe dziewczyny nie chciały brać od niego pieniędzy za kolejne wizyty, upierając się, że jego niespotykana szlachetność była wystarczającą zapłatą i przyczyniła się do wyleczenia wszystkich ich dolegliwości, włączając w to apatię, wapory i depresję. A jeśli to Czarnobrody cały czas im płacił? I to zapewne szczerze, bo przecież oprócz zwyczajnych usług kupował także niebagatelną ilość... aktorstwa.

Bonnett raz jeszcze spojrzał ponad wodą na mroczny okręt Czarnobrodego, lecz tym razem ze szczerą nienawiścią. Właśnie tak musiało być, pomyślał. Chciał mnie wciągnąć w swoje machlojki, więc poszukał skutecznego haka, którym wyrwał mnie z mojego miejsca w uporządkowanym świecie. Gdybym nie stanął na ślubnym kobiercu z tą dręczycielką, musiałyby się ucześcić czegoś innego... Ciekawe, co by to było. Moja duma? Wmanewrowałby mnie w nielegalny, acz ze względu na honor nieunikniony pojedynek... Albo uczciwość - uczyniłby ze mnie żebraka, zmuszając do spłacenia ogromnego długu zaciągniętego przez moją żonę.

Ale oczywiście wszystko mu ułatwiłem. Wystarczyło zapłacić dziwkom Ramony, by dały mi to, co odebrała mi własna żona, a potem odurzyć mnie narkotykami i przysłać do mojego pokoju dziewczynę, która była jej idealną kopią, zarówno pod względem powierzchowności, jak i szyderczego charakteru.

Zaraz potem, gdy moje skołatanie serce wypompuje narkotyk z organizmu, a ja zorientowałem się, że stoję nad truchłem dziewczyny, która z twarzy nie przypomina już

nikogo, ten niegodziwy olbrzym wszedł do pokoju z uśmiechem szerokim jak górska rozpadlina i dał mi wybór.

Jakiś wybór.

## Rozdział dziesiąty

Po prawej stronie Beth Hurwood mijała rozległe bagna, które, jak mówiono, wcinały się daleko w głąb łądu. Była to kraina, gdzie ziemia i woda stapiały się w jedno, niemożliwe do odróżnienia. Węże pływały tam w kałużach, a ryby pełzały wzdłuż brzegów. Kształt kanałów nieustannie się zmieniał, jak w diabelskim labiryncie, sprawiając, że w określaniu położenia mapy okazywały się równie nieprzydatne, co szkice chmur, a powietrze, martwe i gęste jak melasa, umożliwiało latanie wielkim owadom, które w normalnych warunkach nie oderwałyby się od ziemi. Właśnie teraz, gdy spoglądała na ciemniejszą część krajobrazu, daleko na mokradłach pojawił się jeden z tych nieprzewidywalnych, fosforyzujących kształtów, które piraci nazywali kulami dusz. Uniósł się nad kłęby mgły i zakreślił niespiesznie między gałęziami cyprysów i gęstwiną oplątwy, a następnie, równie powoli, opadł z powrotem w rzeczne opary. Blask przygasł i zmętniał, by po chwili całkiem zniknąć.

Beth spojrzała w drugą stronę, na stalowoszare morze, które jakieś pół godziny temu polknęło rozpaloną do czerwoności tarczę słońca. Delikatne pierzaste chmury wciąż odbijały jego różowy, przebrzmiały blask. A ponieważ stała na wzniesieniu ponad poziomem ognisk i jej wzroku nie oślepiąły płomienie, dostrzegła żagiel przed piratami.

Najpierw z jednego z trzech zakotwiczonych okrętów nadleciał niewyraźny krzyk, a zaraz potem któryś z mężczyzn siedzących wokół ognisk wyciągnął rękę i krzyknął:

- Żagiel!

Wszyscy piraci rzucili się pędem w stronę szalup, jakby w obliczu kłopotów instynkt podpowiadał im, że z dwojga złego lepiej być na morzu niż na lądzie. Beth zawahała się, niepewna, jak postąpić. A jeśli ów żagiel - pojedynczy i rozczarowująco mały - należał do jednostki Królewskiej Marynarki? Wolałaby nie wchodzić z piratami na pokład okrętu, któremu powiedzie się ucieczka. Z drugiej strony nie miała pewności, czy Brytyjczycy zatrzymają się i wyślą kogoś na brzeg w poszukiwaniu maruderów.

Ktoś zachichotał nieopodal. Podskoczyła, tłumiąc krzyk.

Leo Friend wyłonił się zza skupiska klonów.

- Wybierasz się na spacer, moja d-d-droooga Elizabeth?

Beth zauważyła, że białka jego oczu są dziwnie duże i intensywnie białe, a uśmiech drżał

na jego twarzy jak fragment żagla, który wymaga zabezpieczenia w wietrzny dzień.

- Och, tak - powiedziała, myśląc z rozpaczą, jak się go pozbyć. - Jak pan sądzi, co to za żagiel?

- To bez znaczenia - odparł Friend. Jego głos wydawał się bardziej przenikliwy niż zwykle. - Królewska Marynarka, inni piraci... Już za późno, żeby ktokolwiek zdołał nas powstrzymać. - Kolejny przelotny uśmiech wydał jego tłuste policzki. - J-j-jutro, j-j-już j-j-jutro w-w-wyptywamy s-s-szlag... s-s-sąd. - Wyciągnął z rękawa koronkową chusteczkę i przetarł czoło. - A teraz przejdziemy się razem.

- Idę na dół, do ognisk. Chcę sprawdzić, co to za zamieszanie - rzuciła Beth. Dobrze wiedziała, że od dnia, w którym zginął Davies, otyły lekarz niechętnie przebywał w towarzystwie piratów - nawet uzbrojony w swoje liczne fetysze.

- Twój p-p-piracki k-k-kochanek nie żyje, Elizabeth - warknął Friend. W jednej chwili uleciała z niego cała werwa i pogoda ducha. - Fakt, że szukasz jego n-n-następcy w tym samym chlewie, świadczy co najmniej o braku wyobraźni.

Beth zignorowała go i ruszyła w dół wzniesienia, ale zorientowała się, że Friend wciąż za nią podąża. Jak, na Boga, zastanawiała się z desperacją, mam od niego uciec, żeby zdążyć na spotkanie z Bonnettem?

Z zakotwiczonego „Carmichaela” doleciał krzyk, którego nie zrozumiała, ale wiadomość zaczęli powtarzać piraci na plaży.

- Przecież to przeklęta „Jenny”! - W zdumieniu przecierali oczy. - „Jenny” uciekła okrętowi Królewskiej Marynarki!

W sekundzie chaotyczna bieganina zamieniła się w huczne święto. Piraci na „Carmichaelu” i „Odwiecie” Bonnetta bili w dzwony - choć nie ci na okręcie Czarnobrodego - a w zmierzchające niebo wystrzeliły muszkiety. Przeróżni grajkowie łapali za instrumenty, by wnieść swój wkład do ogólnego harmidru.

Szczęśliwa, że nie był to jednak okręt marynarki, Beth przyspieszyła kroku. Friend, uznawszy, że ta załoga z pewnością nie zaoferuje jej pomocy, z ponurą miną włókł się za nią swym zwyczajowym tempem.

Ponieważ zanurzenie „Jenny” było dużo mniejsze niż pozostałych okrętów, słup zdołał dopłynąć halsiem niemal do samego brzegu, zanim rzucił kotwicę. Szczęk łańcucha zginął we wszechobecnym hałasie. Kilku piratów z „Jenny” nie czekało na pokładzie na szalupy - brali rozpęd i skakali z dziobu prosto do morza, odważnie zakładając, że prędkość i kąt natarcia pozwolą im wylądować w wodzie sięgającej co najwyżej do szyi. Kilku naprawdę potrafiło

pływać i korzystali z okazji, aby pochwalić się tą egzotyczną umiejętnością, młócąc rękoma, rozchlapując wodę i plując nią jak delfiny. Dopiero po chwili, teatralnym, nonszalanckim stylem ruszali w stronę lądu.

Jeden z nich wynurzył się po skoku i dotarł na brzeg swobodnym kraulem. To on jako pierwszy stanął na płyciźnie. Brodząc przez fale, doczłapał na plażę i padł na piasek.

- Chwalmy Pana! - krzyknął mężczyzna czekający na brzegu. - Kucharz przeżył!

- Musisz nam upichcić jeden ze swoich obiadków, Shandy - odezwał się inny. - Zanim kapitan pogoni nas w głąb lądu!

Kolejni piraci z „Jenny” wychodzili z wody. Ci z plaży ciągnęli szalupy przez piasek, by wspomóc towarzyszy, którzy preferowali tradycyjny sposób lądowania, dzięki czemu Jack Shandy uniknął przedzierania się przez tłum piratów z komitetu powitalnego. Rozejrzał się, nie patrząc bezpośrednio w stronę ognia, aby nie psuć sobie zdolności widzenia w ciemnościach. Jego opaloną, zarośniętą twarz rozjaśnił uśmiech, gdy ujrzał szczupłą sylwetkę Beth Hurwood, która właśnie wchodziła do obozowiska.

Szła przez piasek szybkim krokiem, a on zerwał się w jej stronę. Przypadli do siebie, a ona w naturalnym odruchu zarzuciła mu rękę na szyję.

- Wszyscy mówili, że zginęliście po tej ostatniej salwie - rzuciła nieprzytomnie.

- Wielu zginęło - odparł. - Posłuchaj, przez kilka ostatnich dni wiele rozmawiałem z Daviesem i...

- Nie, nie, to ty posłuchaj. Dziś wieczorem mieliśmy ukraść ze Stede Bonnettem szalupę i uciec. Jestem pewna, że znajdzie się też miejsce dla ciebie. Domyślam się, że przybycie „Jenny” nieco opóźni nasze przedsięwzięcie, ale jednocześnie pozwoli odwrócić uwagę piratów. Posłuchaj, jak to zrobimy: pokręcisz się przy brzegu, dopóki Bonnett nie wybierze łodzi, a wtedy poczekaś na mnie. Gdy tylko...

- Shandy! - doleciało wołanie od ogniska. - Jack! Gdzieżeś się podział, do licha?!

- A niech to - mruknął Shandy. - Zaraz wrócę - dodał, ruszając w stronę zgromadzenia.

- No, jesteś wreszcie! Panowie, przedstawiam wam mojego nowego kwatermistrza!- Oświadczeniu Daviesa towarzyszył niemrawy aplauz, ale stary pirat kontynuował: - Wiem, wiem, wszyscy myślicie, że jedyne, na czym zna się ten chłoptaş, to kucharzenie i lalki. Ja też tak sądziłem, ale okazuje się, że jego prawdziwe cnoty są znacznie zuchwalsze: odwaga, spryt i pewna ręka do pistoletów! Chcecie wiedzieć, jak uciekliśmy tym szcziurom z Królewskiej Marynarki?

Piraci głośno oznajmili, że chcą. Stojąca za tłumem Beth Hurwood cofnęła się powoli o

kilka kroków; jej twarz była pusta. Shandy spojrział do tyłu przez ramię, niewątpliwie chcąc do niej wrócić i porozmawiać, lecz jakiś tuzin rąk, a nawet zachęcający kopniak popchnęły go w kierunku Daviesa i wyrównanego skrawka plaży między trzema ogniskami. Stary szef piratów wyszczerzył się do niego szeroko. Choć przez kilka ostatnich dni przeklinał brak bokora na pokładzie „Jenny”, zabrał zmarłemu ekwipunek i sam zdołał „wyrwać Pana Los-Darzy ze snu”, by skupił swą dobroczynną uwagę na słupie. Dzięki temu żaden z rannych nie gorączkował, a ramię Daviesa wyglądało na zagojone.

- Po tym, jak zestrzelono mnie z pokładu „Carmichaela” - opowiadał Davies głośno - zresztą w okolicznościach, które wciąż domagają się wyjaśnienia, wyciągnęły mnie z wody bękarty z marynarki i zabrały na swoją łajbę. „Jenny” była w opłakanym stanie, a garstka załogi, która przetrwała salwę, trafiła pod broń - oprócz naszego chłoptasia, Shandy'ego, który powiedział kapitanowi: „Och, niech mnie gęś kopnie, kapitanie, jeśli należę do tej bandy śmierdzących piratów! Zmusili mnie przemocą, żebym do nich dołączył, i byłbym zachwycony, mogąc zeznawać przeciwko nim w sądzie!”.

Kilku piratów z „Jenny” wyszło już na brzeg i zdążyło dołączyć do zgromadzenia, a teraz skwapliwie potakiwali:

- Właśnie tak powiedział, Phil!

- Głupi kapitan myślał, że nasz Jacky jest niewinny jak owieczka!

- Ale - ciągnął Davies - kiedy nikt nie patrzył, Shandy puścił do mnie oko, więc czekałem, ciekawy, jaki plan zaświtał mu w głowie. Jack przekonał kapitana, że powinienem być przesłuchiwany na osobności, i już niebawem cała nasza trójka, a także dwóch oficerów, zesłała do jego kajuty. Gdy tylko zamknęły się drzwi, Jack złapał za pistolet i pięknym strzałem skrócił kapitana o głowę!

Tym razem wiwaty były ogłuszające. Pomimo protestów Shandy'ego piraci siłą brali go na ręce i nosili wokół ogniska. Beth zrobiła jeszcze jeden krok w tył, po czym odwróciła się i pobiegła w stronę brzegu, podczas gdy stojący za nią Davies z zapalem opowiadał o planie Shandy'ego, jak zamienić brytyjski okręt w drzazgi.

Znalazła Bonnetta na plaży. Odwrócony do ciemniejącego morza, stał za linią piasku omywanego przez leniwe fale. Ręce miał założone za plecy, a nachylenie jego trikornu wskazywało, że patrzy w niebo.

- Ruszajmy, szybko! - wydyszała Beth. - Obawiam się, że wyjawiałam nasze zamiary człowiekowi, który zaraz nas zdradzi, ale jeśli wypłyniemy natychmiast, być może nie będzie miało to znaczenia. Wykorzystamy przybycie „Jenny” do własnych celów. Powie pan, że

zapasy z „Odwetu” są panu niezbędne do uzupełnienia tych na zniszczonej „Jenny”. Chyba może pan to zrobić? Ale, na miłość boską, ruszajmy, każda sekunda jest...

Zamilkła, ponieważ Bonnett odwrócił się, by na nią spojrzeć, i ujrzała na jego twarzy nietypowy dla niego, cyniczny uśmiech.

- Och! - zaczął łagodnie. - A zatem chodzi o ucieczkę? Potajemny rejs? To tłumaczy jego nerwy i lęk... Bardzo wyraźne stany umysłu dla tych, którzy nauczyli się je wyczuwać. - Wzruszył ramionami i obdarzył ją uśmiechem nie pozbawionym współczucia. - Przykro mi, lecz żadnej z tych figur nie można usunąć z szachownicy. Obie są w tej rozgrywce niezbędne.

Beth zachłysnęła się powietrzem, a zaraz potem obróciła na pięcie i pobiegła zrozpaczona do obozowiska. Po raz pierwszy w życiu zachwiały się fundamenty jej świata, ponieważ zrozumiała wbrew nadziei i rozsądkowi, że choć głos należał do Bonnetta i wydobywał się z jego ust, przemawiał do niej ktoś zupełnie inny.

\* \* \*

Shandy przeklął pod nosem, gdy stracił Beth z oczu. Liczył, że zdąży przedstawić jej własną relację ocalenia Daviesa, zanim usłyszy awanturniczą wersję, na którą przystała załoga „Jenny”.

Już miał zażądać, by piraci postawili go na ziemię, gdy raptem poczuł na wietrze całkiem już znajomy zapach rozgrzanego żelaza. Zamarł, próbując sobie przypomnieć, czego w ciągu ostatnich pięciu dni nauczył go Davies. Wypuścił z płuc całe powietrze i nucąc jedną z podstawowych pieśni ochronnych, obracał się na swej chwiejnej żerdzi, by spojrzeć po kolei w każdą stronę świata.

Stwierdził, że nozdrza piekły go najdokuczliwiej, gdy patrzył w kierunku najdalszego z ognisk, wysilił więc wzrok i dostrzegł stojącą nieopodal krępą postać rudowłosego Vennera. Zebrał siły, po czym uniósł lewą rękę, wykrzywiając palce w niewygodną figurę, którą pokazał mu Davies, lecz gdy tylko Venner zorientował się, że Shandy go dostrzegł, odwrócił głowę i metaliczny zapach natychmiast znikł.

Shandy ze świstem wciągnął powietrze w płuca. No cóż, dobrze to wiedzieć, pomyślał, kiedy piraci znudzili się zabawą i pozwolili mu zeskoczyć na piasek. Zdaje się, że Venner widziałby na stanowisku kwatermistrza kogoś innego.

Raptem w grupkach stojących najbliżej wody zamarły radosne śpiewy i okrzyki, a kilka sekund później cisza rozprzestrzeniła się na resztę zgromadzenia. Dwóch nieuważnych piratów coś jeszcze krzyknęło, pijany starszy mężczyzna pozwolił wybrzmieć gromkiemu śmiechowi,



Pan Ptaszyna zaś ponownie przypomniał towarzyszom, że wcale nie jest psem, ale zaraz potem wszelkie życie na plaży zamarło.

Od strony mrocznego bezmiaru morza doleciał rytmiczny dźwięk wiosł postukujących o dulki. Brzdęk, brzdęk, brzdęk, brzdęk...

Shandy rozejrzył się, mrugając ze zdumienia.

- O co chodzi? - zapytał szeptem stojącego obok pirata. - Łódź płynie, cóż w tym takiego strasznego?

Mężczyzna odruchowo uniósł rękę do czoła, ale zawahał się i tylko podrapał po głowie. Shandy domyślił się jednak, że w pierwszej chwili chciał zrobić znak krzyża.

- To Thatch - wyjaśnił cicho pirat.

- Och... - Shandy skupił wzrok na łodzi, która znajdowała się w połowie drogi między brzegiem a mroczną bryłą „Zemsty Królowej Anny”. W środku siedziały dwie postaci, z czego jedna, ta większa, wydawała się nosić diadem wysadzany świetlikami.

Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej Shandy pożałował, że kapitan Wilson próbował zabić Daviesa. W jednej chwili przypomniał sobie wszystkie opowieści o człowieku nadpływającym w szalupie i zrozumiał, że ze wszystkich piratów, którzy próbowali zawojować nowy, zachodni świat, to właśnie Thatch- Czarnobrody, czy też budzący grozę Hunsu Kanzo- przystosował się do niego najlepiej. Czarnobrody wydawał się równie nierozzerwalną częścią tej półkuli, co Golsztröm.

Shandy spojrział na Daviesa, który mrużył oczy bardziej, niż wymagał tego blask bijący od ognia. Choć przez ustawienie szczęki jego policzki wyglądały na jeszcze mocniej zapadnięte i pomarszczone niż zwykle, Shandy ujrzał w jego profilu widmo dawnej młodości - człowieka upartego i zdeterminowanego, aby nie okazywać po sobie żadnych wątpliwości, kiedy już kurs został obrany.

Na piasku tuż obok zachrząściły buty. Jack obejrzał się i zobaczył Benjamina Hurwooda spoglądającego w stronę nadpływającej łodzi. Pomyślał, że on także należał do ludzi, którzy nie zdradzają się ze swymi uczuciami, lecz w odróżnieniu od Daviesa ojciec Beth sprawiał wrażenie człowieka wiecznie dręczonego przez żądzę i zniecierpliwienie. Mając na uwadze to, co mówił o nim Davies, Shandy był niemal pewien, że rozumie, gdzie kryło się źródło tych uczuć. I choć wiedział, że Hurwood to morderca, sam postąpiłby inaczej bardziej ze strachu niż szlachetności.

Wysoka fala o spienionym grzbiecie uniosła szalupę i pchnęła ją w stronę lądu. Gdy kil zaszurał o płyciznę, Czarnobrody przeskoczył przez nadburcie i ciężkim krokiem ruszył na brzeg. Wioślarz został w łodzi, nie próbując wyciągnąć jej na plażę ani wrócić na głęboką wodę,

zanim uderzy kolejna fala. Shandy wzdrygnął się mimowolnie, gdy spostrzegł, że mężczyzna ma związaną szczękę.

Czarnobrody podązał w górę piaszczystego wzniesienia i zatrzymał się na chwilę dopiero na wyrównanym skrawku plaży - potężna sylwetka o postrzępionych krawędziach zamajaczyła na tle fioletowego nieba. Rogi jego trikornu wydawały się zbyt wąskie i zbyt długie. Wraz z okalającymi twarz rozkołysanymi świetlikami przypominał Shandy'emu rogatego demona, który wydostał się z najgłębszych czeluści piekieł.

Gdy w końcu Czarnobrody podszedł do ognisk, okazało się, że świecące, czerwone punkciki wokół jego głowy to w rzeczywistości tłące się knoty, które powplatał w zmierzwione długie włosy i brodę. Był wysokim mężczyzną, wyższym nawet od Daviesa i równie masywnym, co oszlifowane przez wiatr, skalne wypiętrzenie.

- Minął rok i znów się spotykamy, panie Hurwood - powiedział Czarnobrody. - Widzę, że zgodnie z obietnicą sprowadził pan dla nas piękny okręt. Ja zgodnie ze swoją zdobyłem zioła, które, jak pan twierdzi, będą nam potrzebne. I proszę, oto tu jesteśmy, w wigilię dożynek. Pomimo pańskich obaw, że się spóźnię. - Czarnobrody posługiwał się angielskim z delikatnym akcentem, a Shandy nie potrafił zdecydować, czy wynikało to z jego pochodzenia, czy raczej z niedbałości i braku zdolności językowych. - Obyśmy obaj zdobyli to, czego szukamy.

Za potężnym piratem stał Leo Friend, wciąż zdyszany po szybkim marszu. Otyły lekarz uśmiechnął się ukradkiem i Shandy po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy człowiek ów nie miał w tej wyprawie własnych interesów.

Gdy Czarnobrody ciężkim krokiem przeszedł na środek obozowiska, Shandy dostrzegł, że jego twarz o ostrych rysach lśni od potu- być może z powodu ciężkiego czarnego płaszcza, którego grube fałdy sięgały mu za kolana.

- Phil? - zawołał.

- Tutaj, sir.

Davies wystąpił naprzód.

- Czujesz się już dość silny, żeby do nas dołączyć?

- Sprawdź mnie.

- Och, właśnie to zamierzam. Nadszedł czas sprawdzianu. - Czarnobrody wyszczerzył się szeroko, prezentując pełne uzębienie. - Złamałeś rozkaz.

Davies odwzajemnił uśmiech.

- W przeciwieństwie do ciebie, rzecz jasna.

- Ha! - Olbrzymi pirat rozejrzał się po tłumie, który podzielił się z grubsza na trzy grupy

odpowiadające załogom okrętów. - Kto jeszcze...

Niespodziewanie urwał, wpatrując się w rękaw o szerokim mankiecie. Jego ciemna twarz stężała. Stojący w pobliżu mężczyźni cofali się, mamrocząc słowa zaklęć ochronnych, a Hurwood i Friend wyciągali szyje, by lepiej widzieć.

Shandy także skupił uwagę na Czarnobrodym, acz niezbyt ochoczo. Wydawało mu się, że w pewnej chwili mankieta drgnął i z rękawa buchnął obłok dymu. Chwilę później zobaczył bardzo wyraźnie, jak ze środkowych palców Czarnobrodego spływa strużka krwi i skapuje na piasek. Długi płaszcz zadrżał, jakby pod spodem kotłowało się stado szczurów.

- Rum - rzucił pirat spiętym, lecz cichym głosem.

Mężczyzna z załogi „Carmichaela” wybiegł z tłumu z dzbanem, ale Davies złapał go za kołnierza koszuli i pociągnął gwałtownie.

- Nie zwykły rum! - warknął. Wyrwał nadgorliwemu mężczyźnie dzban i krzyknął, by ktoś podał mu kubek. Napelniwszy go, odkorkował buteleczkę, którą nosił przy pasie i dosypał do alkoholu garść prochu. - Jack - powiedział - ogień, szybko.

Shandy doskoczył do najbliższego ogniska i podniósł rozżarzony patyk. Podał go szybko Daviesowi, który trzymając kubek jak najdalej od siebie, przytknął dymiącą końcówkę do krawędzi naczynia.

Natychmiast strzeliły płomienie, a Davies zaniósł kubek Czarnobrodemu. Shandy dostrzegł przelotnie, że na ręce potężnego pirata siedzi zwierzę przypominające oskubanego z piór ptaka, ale jego uwagę przyciągały kolejne wydarzenia. Czarnobrody odchylił głowę najmocniej, jak mógł, i najzwyczajniej w świecie wlał sobie płonącą zawartość kubka do ust.

Przez chwilę wydawało się, że cała jego głowa stanęła w ogniu. Płomienie zgasły jednak tak szybko, jak się pojawiły. Została po nich ponura korona rozżarzonych knotów i chmura dymu o czerwonym blasku. Gdy tylko Shandy zauważył jej podobieństwo do wykrzywionej w gniewie twarzy, rozplynęła się w powietrzu.

- Kto jeszcze z nami idzie? - zapytał Czarnobrody ochryłym głosem.

- Ja i mój kwatermistrz, Jack Shandy - odparł bez wahania Davies. - Bonnett i Hurwood, rzecz jasna, i być może uczeń Hurwooda, Leo Friend, ten tam spasiony chłopiec... A także córka Hurwooda.

Shandy nie dał po sobie poznać zdumienia, gdyż oprócz Czarnobrodego patrzyli na niego wszyscy piraci, ale był wściekły, że tak późno dowiedział się o udziale Beth w wyprawie. Davies opisał mu podróż, jaką mieli odbyć tej nocy - przed zdradliwe mokradła do jeszcze zdradliwszych „punktów równowagi magicznej”, ukrytych głęboko w niezdobytej twierdzy

pierwotnego szlamu i odrażająco przystosowanych do niego stworzeń. Nie wyobrażał sobie, by mogli zabrać ze sobą Beth Hurwood.

- Twój kwatermistrz - zagrzmiał Czarnobrody, nieświadomie zgniatając kubek. - A co się stało z Hodge'em?

- Zginął, gdy uciekaliśmy przed okrętem wojennym Królewskiej Marynarki - odparł Davies. - Shandy umożliwił naszą ucieczkę.

- Coś o tym słyszałem - stwierdził w zamyśleniu Czarnobrody. - Shandy, wystąp.

Shandy posłusznie zrobił krok naprzód i niemal fizycznie doświadczył niepodzielnej uwagi wielkiego króla piratów, gdy ten skupił na nim wzrok. Przez chwilę Czarnobrody patrzył mu prosto w oczy, a Shandy czuł, jak policzki mu płoną, ponieważ w niewyjaśniony sposób poczuł, że szufladki i kufarki jego umysłu są właśnie otwierane, a ich zawartość skrupulatnie oceniana.

- Wygląda na to, że „Hałaśliwy Carmichael” był lepiej wyposażony, niż zakładaliśmy - stwierdził Czarnobrody cicho, niemal podejrzliwie, a zaraz potem dodał głośniejszym głosem: - Witaj wśród żywych, Jacku Shandy. Widzę, że Davies wybrał odpowiedniego człowieka.

- Dziękuję, sir - odparł Shandy odruchowo. - Tylko że ja wcale nie... To znaczy nie do końca było...

- Nigdy nie jest. Wykaż się dzisiaj, gdy dotrzemy do Fontanny. I chociaż będzie nam towarzyszyć Baron Samedi i Maître Carrefour, polegaj wyłącznie na sobie.

Czarnobrody odwrócił się, a Shandy miał wrażenie, jakby z palącego słońca wszedł w zimny cień. Odetchnąwszy głęboko, pozwolił, by jego skurczony umysł odzyskał swobodę.

Fale rozbijające się o szalupę Czarnobrodego do połowy zalały ją wodą, ale w końcu zdołały wepchnąć łódź głębiej na mieliznę i kilku żeglarzy rozpoczęło wyładowywanie spoczywającej na dnie sporej skrzyni. Robili to niezdarnie, ponieważ nie chcieli zbliżyć się do dziwnie sztywnego wioślarza. Król piratów splunął z odrazą, ale podszedł bliżej, by nadzorować pracę.

Shandy odwrócił się i niemalże wpadł na okazały brzuch Żałośnie Tłustego, bokora Daviesa. Noc olbrzymów, pomyślał, próbując zerknąć mu przez ramię.

- Przepraszam - powiedział, zanim dotarło do niego, że Żałośnie Tłusty jest rzekomo głuchy - nie widziałeś Phila? To znaczy kapitana Daviesa. Och, na Boga, przecież ty mnie nie słyszysz, zgadza się? Więc po kiego diabła...

Intensywność spojrzenia bokora sprawiła, że słowa zamarły Shandy'emu na ustach. Zadrżał, zastanawiając się z rozdrażnieniem, dlaczego ci ludzie nie mogli zarezerwować sobie

tych spojrzeń dla kogoś innego albo dla siebie nawzajem.

Jednakże w przeciwieństwie do Czarnobrodego, którego podejrzliwość wydawała się wieloznaczna, Żałośnię Tłusty taksował Shandy'ego wzrokiem z jawnym powątpiewaniem - właściwie z rozczarowaniem, jakby był butelką drogiego wina, której ktoś zbyt długo pozwolił leżeć na słońcu.

Shandy obdarzył czarownika drżącym, lecz uprzejmym uśmiechem, po czym cofnął się, by ominąć go szerokim łukiem. Dostrzegłszy Daviesa na krawędzi piaszczystego wzniesienia kilka jardów dalej, ruszył w jego stronę.

Davies uśmiechnął się szeroko i skinął na Czarnobrodego.

- Potężny człowiek, co?

- Bóg jeden raczy wiedzieć - odparł posepnie Shandy, po czym ściszył głos: - Phil, nigdy nie wspomniałeś, że Beth Hurwood idzie z nami na bagna.

Davies uniósł brwi.

- Czyżby? Cóż, być może, prawdopodobnie dlatego, że to nie twoja sprawa.

Shandy miał wrażenie, że stary pirat przybrał obronny ton, co jeszcze bardziej go zaniepokoiło.

- Co chcecie z nią zrobić?

Davies westchnął, kręcąc głową.

- Szczerze mówiąc, Jack, nie jestem pewien, ale wiem, że bardzo im zależy, by ją ochronić przed każdą krzywdą. Chodzi pewnie o jakąś potężną magię.

- Związaną ze śmiercią żony Hurwooda.

- Och, niewątpliwie - przytaknął. - Jak ci już mówiłem na „Jenny”, przy życiu trzyma go tylko nadzieja, że ją odzyska.

Shandy przygarbił się, strapiiony.

- Ale skoro, jak twierdzisz, karaibskie loa są tutaj słabe, jak, na Boga, chcą ją ochronić w tej dziczy? I kim jest Maître Carrefour?

- Hm? Och, to nasz dobry przyjaciel, Pan Los-Darzy. W dosłownym tłumaczeniu Pan Rozdroży, który włada możliwościami lub, innymi słowy - przypadkiem. Ale masz rację, jego wpływ, podobnie jak Samediego oraz całej reszty chłopaków z tamtej strony, jest tu znacznie słabszy, tak daleko na północ od miejsc, w których tkwią ich korzenie. Bez wątpienia tu też istnieją jakieś loa, tyle że indiańskie - a te nie są dla nas żadną pomocą, czasem wręcz odwrotnie. Zgadza się, brachu, jesteśmy zupełnie sami i jak powiedział Thatch, możemy liczyć wyłącznie na siebie. Ale, rzecz jasna, gdy już dotrzemy do tego źródła mocy, fontanny czy

cokolwiek to jest, Hurwood będzie mógł spełnić obietnicę i pokazać nam, jak z niego korzystać, aby nie zrobić z siebie pożywki dla duchów, jak Thatch, gdy odnalazł to miejsce - a wówczas prawdopodobnie po prostu stamtąd odlecimy.

Shandy zmarszczył gniewnie brwi.

- Niech mnie diabli, jeśli rozumiem, po co Czarnobrody przyplłynął tu za pierwszym razem. Zapewne wiedział, że głęboko w dżungli istnieje jakaś potężna magia, ale po co wkładał tyle wysiłku w jej odnalezienie? Tym bardziej że nie wydaje się dość biegły w sprawach magii, by uniknąć kłopotów.

Davies zaczął coś mówić, ale urwał i zarechotał, kręcąc głową.

- Od jak dawna jesteś na zachodniej półkuli, Jack?

- Sam wiesz najlepiej.

- Racja. Powiedzmy zatem, że miesiąc. Cóż, ja po raz pierwszy zobaczyłem ten ląd w wieku szesnastu lat, rok po tym, jak mnie zrekrutowali na ulicy w Bristolu i poinformowali, że jestem teraz marynarzem na usługach Jego Królewskiej Mości. Nie, pozwól mi dokończyć, ty będziesz mówić później. Przydzielili mnie na fregatę o wdzięcznej nazwie „Łabędź”. W maju 1692 - a wówczas byłem już osiemnastoletnim mężczyzną - „Łabędź” kotwiczył w Port Royal, który w tamtych czasach pełnił funkcję głównego portu morskiego Jamajki. Mieliśmy okręt w karenażu mniej więcej sto jardów na zachód od Fortu Carlyle. - Davies westchnął. - Wydaje mi się, że jeszcze dziesięć lat wcześniej Port Royal przypominał przedsionek piekiel - Henry Morgan zrobił sobie z niego bazę wypadową - ale gdy ja tam byłem, wyglądał po prostu na przyjemne, żywe miasteczko. Drugiego dnia czerwca, podczas gdy moi towarzysze odrapywali w słońcu kadłub „Łabędzia” z wąsonogów, poszedłem do królewskiego magazynu, aby złożyć sprawozdanie z pomyłki w załadunku. Wypełniwszy dobrze swój obowiązek, postanowiłem odwiedzić przybytek tuż obok, tawernę Littletona. No i słuchaj dalej. Gdy tylko wyszedłem ze środka, z brzuchem pełnym piwa i wyśmienitego gulaszu - z wołowiny i zółwia, o ile dobrze pamiętam - Thames Street podskoczyła pod moimi stopami, a z głębi lądu doleciał huk przypominający grzmienie armat. Odwróciłem się w samą porę, by zobaczyć, jak frontowa ściana tawerny rozpada się na kawałki niczym przecinane nożem ciasto. Bruk zaczął pękać i łamać się na... coś jakby paski... i osuwać prosto do wody razem z całym miastem.

Shandy słuchał opowieści z ogromnym zainteresowaniem, chociaż chwilowo nie pamiętał, od czego zaczęła się ich rozmowa.

- Wydaje mi się, że byłem pod wodą jakieś trzy minuty - ciągnął Davies - przygniatany przez cegły i ziemię, a zarazem targany przez wodę, która nie mogła się zdecydować, w którą

stronę płynąć. W końcu jednak zdołałem wynurzyć się na powierzchnię i złapać za krokiew dachu, która podskakiwała niczym wykałaczką na najbardziej rozszalałym morzu, jakie kiedykolwiek widziałeś. Jakiś czas później wyłowili mnie chłopcy z „Łabędzia”, jednego z diabelnie nielicznych okrętów, które jakimś cudem uniknęły zniszczenia- być może dlatego, że w chwili gdy uderzyło trzęsienie ziemi, był już przewrócony. Pływaliśmy później tam i z powrotem po fragmencie oceanu, który do południa był tętniącym życiem miastem, i udało nam się wyłowić wielu ocalałych. Wyciągaliśmy ich z białego morza, które cały czas kipiało i syczało, potrafisz to sobie wyobrazić? Jakiś czas później dowiedziałem się, że zginęło tam dwa tysiące dusz.

- Dobry Jezu - wymamrotał z nabożnym szacunkiem Shandy, ale zaraz potem powiedział: - No dobrze, ale jaki to ma związek...

- Och, oczywiście, wybaczone. Dałem się ponieść wspomnieniom. Chodzi o to, że tego feralnego drugiego czerwca trzy ulice dalej, na Broad Street, pewien stary czarownik z Anglii, zapewne ktoś pokroju Benjamina Hurwooda, wypróbował potężne zaklęcie wskrzeszające. Nie sądzę, by sam znał się na tajnikach tej sztuki, ale tego dnia miał przy sobie szesnastoletniego chłopca, który wychowywał się między czarnymi w górach Jamajki. Chociaż sam był biały, ów chłopiec zdobył dogłębną wiedzę na temat *vodun*, a rok wcześniej został poświęcony najstraszliwszemu ze wszystkich loa, Władcy Cmentarzy, czyli Baronowi Samediemu, którego sekretną *drogue* jest tłący się ogień. Próbowali wówczas magii reinkarnacji, chcąc znaleźć sposób na wtłoczenie starej duszy w młode ciało. Potrzebowali do tego celu świeżej ludzkiej krwi, więc złapali jakiegoś Bogu ducha winnego nieszczęśnika. Ów stary czarownik z Anglii próbował już wcześniej tej sztuki i, sam nie wiem, być może w dobry dzień udało mu się przywrócić do życia zdechłego karalucha, ale tym razem miał przy sobie tego szesnastoletniego chłopca, by podwoić siły, zgadza się?

- Zgadza się?... - powtórzył jak echo Shandy.

- Sęk w tym, że potężne rytuały wskrzeszania można przeprowadzać jedynie na morzu, o czym żaden z nich w tamtej chwili nie miał pojęcia, choć zapewne wiedziało kilku bokorów, a przed nimi wszyscy karaibscy Indianie. Jak rozumiem, ma to jakiś związek z pokrewieństwem krwi i morskiej wody. Cóż, później wyszło na jaw, że ten szesnastoletni chłopiec był z natury najpotężniejszym białym czarownikiem, jakiego widział świat... i próbował przeprowadzić rytuał wskrzeszenia w Port Royal - na lądzie.

Shandy zamrugał.

- No i? - zapytał w końcu.

- No i miasto Port Royal wskoczyło do morza, Jack.

- Och... - Shandy skierował wzrok na czarny ocean. - Ten chłopiec...

- Nazywa się Ed Thatch i od tamtej pory próbuje udoskonalić rytuał wskrzeszania. I to właśnie z tego powodu dwa lata temu wylądował na Florydzie. Pytałeś, pamiętasz?

- Tak. - Shandy nie czuł się ani odrobinę spokojniejszy. - Świetnie, ale czym w takim razie jest to źródło czy fontanna, której będziemy szukać?

Davies spojrzał na niego zdziwiony.

- Sądziłem, że już to wiesz, Jack. Jest przejściem między życiem i śmiercią, a każdy, kto stanie w jej pobliżu, ryzykuje, że spryska go woda z jednej albo drugiej strony. Naprawdę nie znasz ani trochę historii? Jest tym, czego szukał Juan Ponce de León- on nazywał to Fontanną Młodości.



## Rozdział jedenasty

Gdy zrobiło się całkiem ciemno, Czarnobrody, Davies i pozostali wypili po ostatnim kubku wzmacniającego rumu i powłóczystym krokiem ruszyli przez plażę na północ, w kierunku rzeki i czekających tam łodzi. Benjamin Hurwood zmusił się, by wstać i dołączyć do pochodu.

Jego sny na jawie, w ciągu ostatnich lat coraz żywsze i coraz bardziej natarczywe, w zasadzie zasługiwały już na miano halucynacji. Hurwood nie odzywał się jednak słowem i nie pozwalał oczom wodzić za postaciami i przedmiotami. Na szczęście tym razem zorientował się w porę, że były tylko wymysłem jego wyobraźni.

Jest 1718 rok, powtórzył zdecydowanie w myślach, a ja znajduję się na zachodnim wybrzeżu Florydy z piratem Edwardem Thatchem i moją córką M... jak ona, do diabła, ma na imię? Z pewnością nie Margaret... Elizabeth? Tak, właśnie tak. Pomimo tego, co przez większość czasu widzą moje oczy, nie jestem w kościele w Chelsea i nie mam czterdziestu trzech lat, a 1694 rok minął dawno, dawno temu. I to nie Margaret tam idzie, nie moja piękna panna młoda. To życie nie należy do mnie, a ta scena do tego świata... To tylko moja córka. Tylko naczynie.

Hurwood zmrużył oczy przed jaskrawym światłem słońca wpadającym przez okno kruchty i oddał butelkę drużbie.

- Dziękuję, Peter - powiedział.

Zerknął do kościoła przez szparę w bocznych drzwiach, ale ludzie wciąż kręcili się niespokojnie w nawach albo szukali miejsc, a pastora nigdzie nie było widać. Na klęczniku obok ołtarza modlił się tylko osamotniony ministrant o wystraszonej spojrzeniu.

- Mamy trochę czasu - powiedział Hurwood do drużby. - Daj, zwilżę jeszcze usta.

Peter uśmiechnął się, rozbawiony zdenerwowaniem pana młodego, gdy ten po raz kolejny podszedł do lustra opartego na półce.

- Grzech próżności... - wymamrotał pod nosem.

- Wydaje mi się, że w tych okolicznościach będzie mi wybaczone - odparł Hurwood, poprawiając długie, brązowe pukle. Był skrupulatnym, nieśmiałym mężczyzną, ale mimo to szczyił się swymi włosami i na przekór modzie nigdy nie zakładał peruki- zawsze pokazywał

się w towarzystwie „we własnych włosach”, w których, pomimo wieku, nie było ani jednego pasemka siwizny.

- Nie widzę jeszcze Margaret - mruknął Peter, spoglądając przez uchylone drzwi w stronę głównego wejścia. - Z pewnością zmieniła zdanie.

Wystarczyła sama sugestia, by Hurwood poczuł, jak jego żołądek skręca się w supeł.

- Na rany Chrystusa, Peter, nawet tak nie mów! Chybabym oszalał, gdyby...

- To tylko dowcip, przyjacielu! - zapewnił go Peter, choć w jego jowialnym tonie dało się słyszeć nutę zaniepokojenia. - Spokojnie, Ben, oczywiście, że zaraz się zjawi. Masz, pociągnij jeszcze łyka brandy. Jesteś najbledszym panem młodym, jakiego widział świat.

Hurwood chwycił butelkę i napił się zachłannie.

- Dziękuję, ale już wystarczy. Nie chciałbym przewrócić się w drodze do ołtarza.

- Posadzić ją w łodzi? - zapytał Peter, w jakiś sposób zaciągnąwszy zasłonę na okno, przez co stali teraz w półmroku rozjaśnionym jedynie blaskiem lampy, której Hurwood wcześniej nie widział. Powietrze nagle zrobiło się bardziej orzeźwiającej, ale dziwnie słone, pachnące morzem i bagnami. Przez głowę przemknęła mu myśl, że powinni częściej wietrzyć te pomieszczenia - palone przez stulecie kadzidła, pogryzione przez mole draperie i wysuszone oprawy modlitewników tworzyły razem niespotykane mieszanki zapachów.

- Zdaje się, że to ty za dużo wypiełeś - parsknął Hurwood z irytacją. W ciemnościach, które zapadły, nie widział w lustrze swoich włosów. - Odsłoń to przekłete okno.

- To nie najlepsza pora na majaki, panie Hurwood - odparł ktoś, przypuszczalnie Peter. - Wsiadajmy do łodzi.

Hurwood spostrzegł w popłochu, że lampa wzniciła pożar w bocznej kruhcie- nie, trzy pożary!

- Peter! - krzyknął. - Kościół płonie! - Odwrócił się do swego drużby, lecz zamiast szczupłej, eleganckiej postaci ujrzał potwornie otyłego, młodego mężczyznę w groteskowym stroju. - Kim pan jest? - zapytał, drżąc ze strachu. Teraz był już pewien, że jego narzeczoną spotkało coś złego. - Gdzie się podziała Margaret?

- Margaret nie żyje, panie Hurwood - odparł zniecierpliwiony młody mężczyzna. - Właśnie dlatego pan tu jest, pamięta pan jeszcze?

- Nie żyje...

Zatem znalazł się w kościele z powodu pogrzebu, a nie ślubu - tylko dlaczego trumna była taka mała? Żadne ciało nie zmieściłoby się w kwadratowej skrzyni wysokiej i szerokiej na półtorej stopy, która na dodatek śmierdziała ziemią.

Wyrwał się z transu. Dwadzieścia pięć lat wspomnień spadło na niego jak lawina, zastając go słabym i siwym.

- Tak, nie żyje - powtórzył Leo Friend. - A pan przez kilka najbliższych godzin będzie się zachowywać racjonalnie, choćbym osobiście musiał pana kontrolować - powiedział zdesperowany.

- Uspokój się, Leo. - Hurwood zdołał zawrzeć w swoim głosie odrobinę protekcyjnego rozbawienia. - Tak, oczywiście, posadźcie M... Elizabeth w łodzi.

Dziarsko ruszył z górki w stronę plaży, gdzie czekały łodzie, a piraci zabrali się do podważania wieka skrzyni Czarnobrodego. Mimo to lekko chwiały mu się nogi, ponieważ co kilka sekund przenosił się z powrotem do kościoła, gdzie wolnym, uroczystym krokiem zmierzał przez nawę główną w stronę ołtarza. Mijał ułożone na przemian plamy cienia i barwnego światła, które padało ukośnie z wysokich witrażowych okien.

Przy brzegu rzeki, na obszarze o długości około stu stóp, oczyszczonym szablami ze sprężystych korzeni i pajęcznych gałęziach, stali marynarze. Brodząc po kolana w czarnej, migoczącej w blasku ognia wodzie, łapali zawinięte w nieprzemakalne ceraty pakunki, rzucając je przez mężczyzn uwijających się na brzegu, i układali je na dnie trzech łodzi. Do dziobu każdej z nich przymocowana była pochodnia. Hurwood zauważył, że Davies i kucharz siedzieli już w jednej z szalup - Davies próbował ją ustabilizować, trzymając mocno za korzeń wystający z wody na jakąś stopę.

- ...i że jej nie opuścisz, póki śmierć was nie rozłączy? - zapytał pastor, uśmiechając się ciepło do klęczącej przed nim pary, spoglądającej na siebie rozmarzonym wzrokiem. Kątem oka Hurwood dostrzegł ministranta, którego widział już wcześniej - wciąż był na klęczniku i wciąż wyglądał na wystraszonego. Nie, teraz wydawał się bardziej zagubiony.

- Póki śmierć nas nie rozłączy - wymamrotał Hurwood.

- Możesz powtórzyć, szefie? - poprosił pirat, który właśnie wyciągnął z drewnianej skrzyni ostatni wodoszczelny pakunek i rzucił go towarzyszom pracującym w rzece.

- Mówi, że nawet śmierć was nie rozłączy - zarechotał stojący obok mężczyzna.

Pirat, który odezwał się jako pierwszy, puścił do niego oko.

- Tak mi się właśnie zdawało, ale przez skromność wolałem zapytać.

- Ha, ha, ha!

Hurwood rozejrzał się, mrugając, po czym wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

- Po prostu boki zrywać. Będę pamiętał, żeby przywieźć kilka pamiątek z wyprawy do Fontanny. Specjalnie dla was, panowie.

Z twarzy piratów natychmiast spłynęły uśmiechy.

- Nie chcieliśmy pana obrazić, sir - powiedział jeden z nich ponuro.

- I tak o was nie zapomnę. - Hurwood obejrzał się przez ramię i zobaczył Leo Frienda, który ociężale schodził ze wzniesienia. - Popłyniemy tą - rzucił do zastraszonych mężczyzn, wskazując jedną z łodzi. - Tylko przysuńcie ją i trzymajcie stabilnie, bo mój towarzysz jest słusznej postury.

Piraci w milczeniu wykonali polecenie, a ze strachu przyciągnęli łódź tak blisko brzegu, że Hurwood mógł wejść do środka, nie zamoczywszy nawet czubka buta.

Choć zażyczył sobie, by tego nie robić, kilka osób obrzuciło młodą parę ryżem. Mimo to Hurwood uśmiechał się, gdy wraz z panną młodą wsiadał do powozu - był zbyt szczęśliwy, by przejmować się takimi błahostkami.

Jego twarz ozdobił uśmiech szeroki jak księżyc.

- Dziękuję! - zawołał do Leo Frienda i gapiących się na niego piratów. - Zaprosimy was wszystkich na uroczysty obiad, gdy tylko wrócimy z kontynentu!

\* \* \*

Shandy odwrócił głowę od pochodni na dziobie, by lepiej widzieć Hurwooda. Staruszek szczyrzył się, machając do ogłupiałych piratów i Leo Frienda, a także do Beth, którą prowadził do łodzi Stede Bonnett. Najwyraźniej znów miał halucynacje. Zdaje się, że jednak mówiła prawdę, pomyślał Shandy. Jej ojciec rzeczywiście jest szalony.

Przez ostatnie pół godziny księżyc na zmianę chował się i wyłaniał zza płynących po niebie chmur, a teraz zaczął kropić ciepły deszcz. Ekwipunek był już jednak załadowany, a pasażerowie siedzieli na miejscach - Czarnobrody i jego upiorny wiosłarz w pierwszej łodzi, Hurwood, Friend, Elizabeth i Bonnett w drugiej, a Shandy i Davies w ostatniej. Shandy dziwił się, że zabrakło między nimi Żałośnie Tłustego - czyżby ogromny bokor Daviesa wiedział coś, o czym członkowie tej wyprawy nie mieli pojęcia?

Odbili od brzegu, postukując wiosłami w dulkach. Nad płonącymi pochodniami unosiła się para. Wszyscy uczestnicy wyprawy oprócz Beth Hurwood zaczęli nucić ściszoną melodią, aby przyciągnąć rozproszoną uwagę Barona Samediego i Maître'a Carrefoura, która rozciągała się na ten zapomniany, północny brzeg. Jednakże już po chwili śpiewy ucichły, jakby wszyscy zgodnie uznali, że są w tych stronach zbyt niestosowne.

Nurt był leniwy, dzięki czemu wiosłowanie szło sprawnie i już wkrótce blask trzech ognisk palących się na plaży znikł za nimi w czarnym labiryncie. Shandy przyklęknął na

dziobie, skąd obserwował guzowate, wysokie kształty cyprysów majaczące w ciemnościach; niektóre przypominały zakapturzonych, zdeformowanych ludzi, inne wyglądały jak głązy, lecz żaden nie był ani trochę podobny do drzewa. Spokojnym głosem kierował Daviesa, ponieważ stary pirat nalegał, że będzie wiosłować, mimo że jego ramię dopiero się zagoiło.

Połyskliwe rośliny uginały się na mokradłach, gdy obok nich przepływali. Cały czas towarzyszył im tajemniczy chłupot i bulgotanie. Shandy rozglądał się uważnie, ale nie widział nic ożywionego, jeśli nie liczyć perłowych, oleistych plam na wodzie, które zdawały się układać w kształt wyciągniętych w ich stronę rąk i zdeformowanych, bełkoczących twarzy, gdy kile rozcinały je w pół i rozpychały na boki.

Na przedzie płynęła łódź Czarnobrodego. Shandy miał wrażenie, że w niemal bezgłośniejszej świątyni bagien słyszy urywane syczenie upiornego wioslarza. Poza tym ze środkowej łodzi dolatywało mamrotanie Frienda, który kierował pracującego przy wiosłach Bonnetta, oraz sporadyczny, głupekowaty chichot starego Hurwooda. Beth siedziała obok ojca, pogrążona w pełnym rozpaczy milczeniu.

Po godzinie mozolnego wiosłowania przez labirynt dżungli Shandy dopuścił do świadomości jeszcze jeden dźwięk. Zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości słyszy go od dawna, lecz dopiero teraz wyłowił go spomiędzy stłumionego plusku wiosel i kapania wody. Dźwięk ten brzmiał jak zaniepokojony, niezbyt odległy szept setek ludzi. Mniej więcej w tej samej chwili wyczuł nowy zapach, dominujący nad bogatą wonią oleju cyprysowego, gnijącej roślinności i czarnej wody. Raptem dotarło do niego, że tak naprawdę spodziewał się go, a wówczas wypuścił powietrze z płuc, odchrząknął flegmę i splunął.

- Ano... - mruknął Davies, który nie wyglądał na zachwyconego. - Śmierdzi jak armata, której nikt nie chłodzi pomiędzy strzałami.

Najwyraźniej Hurwood także to wyczuł, bo jego chichot ucichł.

- Ziolo, obsypcie nim teraz pochodnie - syknął.

Shandy rozsypał pakunek przydzielony do jego łodzi. Ostrożnie, pojedynczymi garściami, sypał na rozpaloną głównię mokrą, łykowatą roślinę - tę samą, dla której Czarnobrody sterroryzował Charles Town. Początkowo znad pochodni unosiły się wątle języki dymu, ale nagle w powietrze buchnął potężny obłok. Shandy poderwał głowę, znów sapiąc i spluwając, by pozbyć się z ust i nozdrzy cierpkiego posmaku przypominającego amoniak. Po kiego diabła, zachodził w głowę, nazywać to środkiem na duchy? To świństwo potrafiłoby przepędzić drewniany galion ze stewy.

Był spięty, ale w zasadzie nie czuł strachu. Zdawał sobie jednak sprawę, że przyczyną

jego spokoju - podobnie jak wtedy, gdy piraci Daviesa pojмали „Carmichaela” - jest nieświadomość zagrożenia. Z drugiej strony, myślał, Czarnobrody już tu kiedyś przyplłynął i jakoś sobie poradził... A przecież wtargnął do dżungli bez przygotowania, beztrzesko, przyciągnięty przez magiczne pulsowanie Fontanny, czy cokolwiek to było, niczym ćma do ognia. My mamy dziś przewodnika, który wie, jak się z tym wszystkim obchodzić.

Jego śmiałość przygasła nieco, gdy przypomniał sobie, że Hurwood postradał zmysły. I dlaczego Czarnobrody nie pozwolił im zabrać pistoletów?

Rzeka zwęziła się, czy raczej rozszczepiła na tuziny wąskich kanałów i już niebawem wiosłowanie było niemożliwe. Zaczęli używać wiosł jak tyczek, by odpychać się od dna. Łódź Czarnobrodego wciąż przewodziła pozostałym; Hurwood płynął jako drugi, a Shandy jako ostatni. Gdy mokre pnącza i dzikie orchidee jeszcze bardziej zbliżyły się do pomarańczowego blasku pochodni, Shandy zaczął się zastanawiać, czy coś ich nie śledzi przez mokradła- coś dużego i gdzieś w pobliżu, choć nie wydawało żadnych odgłosów, przeciskając się przez splątany gąszcz wawrzynów i klonów. Próbował ściągnąć wodze wyobraźni, ale słyszany szept, teraz wyraźniejszy, wcale mu nie pomagał. Klęczał na ławie, odpychając się na zmianę z lewej i prawej strony od mulistego dna rzeki i mrużąc oczy przed trującym dymem, by widzieć, którymi kanałami lawirowały pozostałe łodzie. Odkąd odbili od brzegu, cały czas spadały na niego iskry z pochodni na dziobie, a on odruchowo je strzepywał. Poczul ciepło w dwóch miejscach pod brzuchem i szybko spojrzal w dół, lecz tym razem nie zobaczył żadnych iskier.

Obmacał koszulę i odkrył, że sprzączka jego pasa jest dokuczliwie gorąca, podobnie jak wetknięty do pochwy nóż. A gdy to zauważył, zorientował się, że pieką go także podbicia stóp - dokładnie tam, gdzie znajdowały się sprzączki od butów.

- Co do... - zaczął mówić, odwracając się do Daviesa.

Nie zdążył jednak dokończyć, bo z łodzi na przodzie doleciał krzyk Hurwooda:

- Żelazo! Najwyraźniej stare przesady... związek żelaza z magią... Byłoby chyba mądrze pozbyć się wszystkiego, co niepotrzebne...

- Trzymajcie broń przy sobie - doleciał ich grzmiący głos Czarnobrodego. - Już tutaj byłem, nie rozgrzeje się aż tak bardzo, żeby nie dało się wytrzymać. I nie wyrzucajcie sprzączek od pasa, jeśli miałyby to spowodować, że zlecą wam spodnie.

Krzyk w głębi dżungli sprawił, że Shandy podskoczył jak oparzony. Davies, wsparty na wiosle, zaśmiał się cicho.

- To nie duch - powiedział. - To tylko jeden z tych brązowo-białych ptaków, które jedzą ślimaki wodne.

- Och, jasne.

Shandy wyjął wiosło z wody i położył je w poprzek dziobu. Ostrożnie, jakby ściągał skorupę ze zbyt gorącego homara, rozpiął pas i złapał za nóż. Czuł gorąco metalu nawet przez skórzaną rękojęść. Wykorzystując nadburcie jako pieniek, odrąbał sprzączkę i pozwolił, by z brzękiem spadła na dno - do kałuży, która nieustannie przelewała się z jednej strony łodzi na drugą. Wsunął nóż z powrotem do pochwy i podniósł wiosło.

Tymczasem Davies, który ani na chwilę nie przerwał rytmicznej pracy, wyszczerzył się złośliwie, kręcąc głową.

- Lepiej, żeby ci teraz nie spadły - rzucił.

Shandy naparł całym ciężarem ciała na wiosło. Zastanawiał się, czy rzeka nie była tu zbyt płytka, by zapewnić kilowi swobodę, i czy nie przepychali łodzi przez błoto.

- Lepiej, żeby twoje - sapnął ciężko - nie zajęły się ogniem.

Trzy łodzie z mozołem posuwały się w górę rzeki przez mokrą dżunglę, spowite dymem buchającym z pochodni. Shandy co rusz zerkał w stronę brzegu, by dać odpocząć łzawiącym oczom od blasku ognia, ale też po to, by wyglądać potworów ukrytych w gęstwinie. Ulżyło mu, gdy zorientował się, że tajemnicze szepty dochodziły z furkoczących otworów w strąkach grzybopodobnych porostów, coraz gęściej rosnących wzdłuż gąbczastego brzegu. Próbując wyjaśnić ten fenomen, doszedł do wniosku, że korzenie roślin były połączone z jaskiniami, a różnica temperatur wyciągała powietrze na zewnątrz w dość, trzeba przyznać, dziwaczny sposób. W miarę jednak jak łodzie posuwały się dalej w głąb dżungli, a kolonie grzybów rozrastały, zaczynał dostrzegać, że ich tuleje powietrzne tworzą guzki i karby, które do złudzenia przypominają nosy i oczy.

Coraz bardziej dokuczało mu przekonanie, że gdzieś w ciemnościach czai się potężny i uważny, lecz milczący byt. W końcu pod wpływem impulsu spojrzął w niebo i choć zobaczył przeplataną srebrzystym blaskiem księżycą gmatwaninę gałęzi, wiedział, że to istnienie nachyla się nad nimi, niewidzialne; istnienie, które należało do tego miejsca, miało je we władaniu, a być może w dużej części nim było - odrażająco płodnymi bagnami, sadzawkami, pnączami i stworzeniami lądowo-wodnymi.

Wyglądało na to, że inni też to czują. Friend podniósł się niezdarnie. Niewiele brakowało, a zgasiłby pochodnię na swojej łodzi, obsypując ją podwójną garścią czarnego ziola. Płomień zamigotał przy głównej, ale po kilku sekundach znów wystrzelił w górę, posyłając w stronę rozciągniętego nad rzeką baldachimu gałęzi grzywę żrącego dymu.

Krzyk prosto z nieba strząsnął z drzew płatki kwiatów. Na rzece pojawiły się tak ciasne

i równe zmarszczki, że przez krótką chwilę łodzie zdawały się leżeć nieruchomo na chropowatym szkle. Przenikliwy dźwięk zginął w dżungli, pozostawiając po sobie krakanie spłoszonych ptaków, a gdy umilkły, słychać było już tylko szepty grzybopodobnych straków.

Shandy odwrócił się w stronę brzegu i teraz nie miał już wątpliwości, że gęste skupiska porostów układały się w kształt twarzy. Widząc sposób, w jaki drżały grzybie powieki, z niezadowoleniem stwierdził w myślach, że już wkrótce, patrząc na boki, będzie się musiał mierzyć ze spojrzzeniami tych dziwacznych istot.

Za jego plecami Davies złorzeczył jednostajnym, zmęczonym głosem.

- Tylko mi nie mów - odezwał się nad wyraz spokojnie Shandy - że to był jeden z tych brązowo-białych ptaków, które jedzą przeklęte ślimaki.

Davies parsknął krótkim śmiechem, ale nie odpowiedział. Shandy słyszał dolatujące z przodu szlochanie Beth.

- Ach, moja droga Margaret - powiedział Benjamin Hurwood zdławionym, ale mocnym głosem. - Niechże te łzy szczęścia będą jedynymi, jakie kiedykolwiek wylejesz. A teraz, błagam cię, spełnij zachciankę starego, sentymentalnego profesora, w cudowny dzień naszych zaślubin wysłuchując sonetu, który sam dla ciebie skomponowałem.

Odchrząknął.

Niewidzialna obecność kryjąca się w cuchnącym powietrzu ciążyła psychicznie Shandy'emu. Coraz boleśniej piekły go podbicia stóp, mimo że od rozgrzanych sprzączek chroniła go gruba skóra butów.

- Margaret! - zaczął Hurwood. - Potrzebna mi będzie Dantego muza...

- Schodzimy na ląd! - zawołał Czarnobrody z pierwszej łodzi. - Przestańcie pchać łodzie. Od tej pory poruszamy się pieszo.

Chryste, pomyślał Shandy.

- Czy on... żartuje? - zapytał, choć bez większych nadziei.

Zamiast odpowiadać, Davies odłożył wiosło na dno, wspiął się na nadburcie na rufie i opuścił ostrożnie do czarnej wody. Okazała się głęboka do pasa.

- By w słowa właściwe ubrać radość dnia tego... - zawodził Hurwood.

Shandy spojrzał przed siebie. Czarnobrody wyciągnął pochodnię z uchwytu i razem z niepokojąco cichym wioślarzem wszedł do wody, po czym ruszył w stronę bliższego brzegu. Cienie tańczyły w gęstwinie, odsłaniając nowe, niewidoczne dotychczas skupiska grzybich łbów.

- Panie Hurwood - syknął Leo Friend, potrząsając jednorękiem mężczyzną. - Do diabła,



niechże się pan obudzi!

- Gdyż Bóg po latach życia nędznego - recytował niezłomnie Hurwood - dał mi wybór, by las ten ponury opuścić...

Shandy zauważył, że Beth drży. Bonnett siedział w łodzi sztywno jak manekin.

Czarnobrody i jego wioślarz wspięli się na wysoki brzeg, nie zwracając uwagi na furkoczące białe wypukłości pod stopami. Chwyтали za dzikie pnącza, by nie stracić równowagi na błotnistej ziemi i nie potknąć się o mokre, poskręcane korzenie.

- Hurwood musi być czujny! - zawołał Czarnobrody do Frienda. - Uderz go, mocno. Jeśli to nie pomoże, sam tam podejść i... coś z nim zrobić.

Na twarzy Frienda zadrżał nerwowy uśmiech. Otyły lekarz zamachnął się i uderzył Hurwooda prosto w roześmianą twarz.

Staruszek wydał z siebie jęk brzmiący prawie jak płacz, ale zamrugnął i rozejrzał się po łodziach, znów świadomy prawdziwego otoczenia.

- Stąd już niedaleko - wyjaśnił mu cierpliwie Czarnobrody - ale zostawiamy łodzie.

Hurwood przez minutę wpatrywał się w wodę i błotnisty brzeg.

- Będziemy musieli ponieść dziewczynę - stwierdził w końcu.

- Ja pomogę - zaoferował się Shandy.

Friend posłał mu jadowite spojrzenie, ale Shandy nawet się nie odwrócił.

- Nie - odparł staruszek. - Friend, Bonnett i ja damy sobie radę.

- Zgadza się - rzucił Czarnobrody. - Reszta będzie zajęta wycinaniem drogi przez te zarośla.

Westchnąwszy, Shandy odłożył wiosło. Wyszarpnął pochodnię z uchwytu i razem z pakunkiem ziół podał ją Daviesowi, po czym wygramolił się z łodzi. Przynajmniej jego buty przemokły i dość chłodna woda bagien złagodziła pieczenie stóp.

## Rozdział dwunasty

Przez następne pół godziny osobliwa drużyna przedzierała się przez dżungłę, rozchlapując wodę, powłócząc ciężko nogami i pokonując jeden klaustrofobiczny gąszcz roślinności za drugim. Dzierżąca nóż ręka Shandy'ego trzęsła się ze zmęczenia, gdy przecinał pnącza i gałęzie, ale mimo to parł naprzód, cierpliwie wygrzebując się z głębokich sadzawek, w które wpadał, i zmuszając się do oddychania cierpkim powietrzem. Nade wszystko jednak pilnował, by pochodnia, którą niósł w drugiej ręce, nigdy nie zgasła i by porcja czarnego ziola nie wypaliła się do końca.

Hurwood, Bonnett i Friend wlekli się z tyłu, przystając co kilka jardów, by zamienić się obowiązkami przy niesieniu pochodni, pudełek Hurwooda oraz jego córki. Dwa razy Shandy usłyszał za sobą wzmożony plusk, po którym odzywał się na nowo szloch Beth i prawie niezrozumiałe, piskliwe przekleństwa jej ojca.

Zaraz po tym, jak cała ósemka stanęła na błotnistym brzegu, grzybie głowy zaczęły wyrzucać w powietrze ziarnisty proszek przypominający zarodniki albo pyłek kwiatowy. Gęsty, nisko wiszący dym rozpędzał go jednak na boki, jakby każda z pochodni była źródłem potężnego wiatru, którego oni nie odczuwali.

- To od wdychania tych pyłków... - wysapał Hurwood, gdy kilka skupisk grzybów zaczęło pylić w tej samej chwili - nawiedziły cię... duchy, Thatch.

Czarnobrody zarechotał, jednym ciosem kordelasa ścinając młode drzewko.

- Obłoki widmowych jaj, tak je nazywają?

Shandy, zerkając do tyłu, dostrzegł na twarzy Hurwooda grymas uczonej irytacji.

- Cóż, powiedzmy - rzucił staruszek, garbiąc się, by wygodniej ułożyć sobie na ramionach nogi córki.

Shandy skupił się na swym zadaniu. Przez całą drogę unikał wioślarza Czarnobrodego, który z twarzą pozbawioną wyrazu wymachiwał kordelasem z nieprawdopodobną, zegarową wręcz regularnością. Przypominał Shandy'emu jedną z napędzanych wodą machin z ogrodów Tivoli we Włoszech, a ponieważ widok ten był dość niepokojący, przeważnie przyłapywał się na tym, że pracuje między Daviesem i Czarnobrodym.

Poczucie wszechobecnego, niewidzialnego istnienia znowu się nasiliło. Miał wrażenie,

że czymkolwiek ono było, nachyla się z nieba, z niepojętym oburzeniem patrząc na ósemkę intruzów.

Wbił na chwilę nóż w drzewo, by otworzyć wodoszczelny pakunek, i nasypał na głównię pochodni garść czarnego zioła. Eksplozja niemal go oślepiła, gdy łapał za nóż. Tym razem jednak, gdy tylko chmura dymu znikła w splątanych gałęziach, dżungla zadrżała od niskiego, odczuwalnego pod stopami pomruku, który bez wątpienia wyrażał gniew i, co było równie oczywiste, nie pochodził z gardła żywej istoty.

Czarnobrody cofnął się, przeczesując wzorkiem zarośla.

- Pierwszy raz to słyszę - wymamrotał do Daviesa i Shandy'ego. - Rozmawiałem z tubylcami, głównie z Krikami. Przehandlowałem odrobinę magii leczniczej za szczerą rozmowę. Wspominali o czymś, co nazywa się Este Fasta. Mówili, że to znaczy „Ten, Który Daje”. Brzmi jak jakaś miejscowa odmiana loa... Ciekawe, czy to właśnie on na nas zawarczał.

- Ale nie wtrącał się podczas twojej pierwszej wyprawy - powiedział Davies przez zaciśnięte usta.

- Nie - przytaknął Czarnobrody - tylko że wtedy nie miałem ze sobą środka przeciw duchom. Zapewne uznał, że nie ma potrzeby się wtrącać.

Po prostu wspaniale, pomyślał Shandy. Skupił wzrok na oświetlonej przez pochodnie pajęczynie roślinności i pierwszy z całej trójki zauważył, że pnącza i gałęzie wykręcają się w nieruchomym, zastałym powietrzu.

Zaraz potem spostrzegł to Czarnobrody. Podczas gdy rośliny przybierały kształty przypominające ręce wyrrywające się w ich stronę, rzucił pochodnię na ziemię, wyskoczył krok naprzód i dwoma szybkimi cięciami kordelasa, do siebie i od siebie, poszatkował roślinę na kawałki.

- No dalej, czarcie! - warknął. Na jego zębach i w białkach oczu odbijał się przerażająco blask rozżarzonych knotów wplecionych w brodę i włosy. - Śmiało, machnij na mnie jeszcze raz! - Nawet nie czekając na odpowiedź obcego loa, ruszył w głąb prastarego lasu deszczowego, krzycząc i wymachując kordelasem. - *Coo yah*, parszywy *pattu-owl!* - zaryczał, przechodząc prawie w całości na język, który Shandy rozpoznał jako gwaraę górskich plemion Jamajki. - Trzeba więcej niż jednego *deggeh bungo duppy*, by odstraszyć *tallowah Hunsi Kanzo!*

Czarnobrody znikł Shandy'emu z oczu, chociaż w oddali widać było podskakujące gwałtownie pnącza. Z mrocznej gęstwiny dolatywał do nich świst szabli i trzask łamanych fragmentów roślinności. Przyklękawszy z nożem w dłoni, aby zaczerpnąć oddechu, Shandy

zastanawiał się, czy ślepy szal był sposobem Czarnobrodego na radzenie sobie ze strachem. Wielki pirat wyskoczył zza drzew. W napadzie furii, która wydawała się nie mniejsza niż przed chwilą, pozwolił, by zagasła część knotów w jego brodzie. Wyrwał wystający z kieszeni płaszcz Shandy'ego pakunek, rozerwał go zębami i rzucił w błoto.

- Tutaj! - krzyknął w stronę serca dżungli, po czym zabrał Shandy'emu pochodnię i wetknął płonąca głównię prosto w ziola. - Wyciskam na tobie piętno mego niewolnika!

W powietrze buchnęła chmura gęstego dymu, śmierdząca zarówno błotem, jak i płonącymi ziołami. Gdzieś w górze eksplodował ryk niehumanicznego bólu i wściekłości, zrywając liście z drzew i zwalając Shandy'ego z nóg.

Jack przewrócił się na brzuch w wodnistym szlamie, a gdy próbował wstać i nabrać w płuca powietrza, ujrzał niewyraźnie sylwetkę Czarnobrodego. Król piratów odchylił kudłaty łeb i zawył ogłuszającym, zgrzytliwym głosem. Po dżungli rozszedł się przerażający dźwięk, który przypominał wyzywający wrzask olbrzymiego gada. Shandy czuł bliższe pokrewieństwo z wilkami. Pamiętał, jak w latach jego młodości odzywały się daleko na północy, za rozległymi polami lodowymi.

Mężczyźni niosący Beth stanęli jak wryci. Shandy klęczał przerażony za Czarnobrodym, Davies zaś, z pozbawioną wyrazu twarzą, choć w świetle pochodni Hurwooda wyraźnie błąd, stał po przeciwnej stronie z wyciągniętą szablą.

Niespodziewany podmuch wiatru rozproszył ostatnie echa krzyku Czarnobrodego i tym razem jedynym dźwiękiem, jaki po nim pozostał, był szept grzybich głów - wszystkie ptaki w okolicy zamarły.

Raptem Shandy zdał sobie sprawę, że głowy miały otwarte oczy i rozmawiały w najprawdziwszych językach. Najbliższa utyskiwała po francusku, że starej matki nie powinny opuszczać jej własne dzieci, a ta obok Daviesa w jednym ze szkockich dialektów wypowiadała rady, jakie ojciec mógłby przekazywać synowi, który udaje się w podróż do dużego miasta. Gapił się na nią w zdumieniu, gdy ostrzegała domniemanego potomka, aby przypadkiem nie wypowiadał się na tematy związane z religią ani niedawnym królobójstwem. Królobójstwem? - zastanawiał się Shandy. Czyżby ktoś zamordował króla Jerzego w ciągu ostatnich miesięcy... czy może raczej ta rzecz mówiła o zamachach na życie Jakuba I sprzed ponad stulecia?

Czarnobrody opuścił wolno głowę, wpatrując się w obsypany jagodami wawrzyn. Pojedynczym, zamasztywym cięciem kordelasa zamienił drzewo w aromatyczną kłodę. Za nim nie było już jednak roślinności, lecz tylko ciemność, chłodniejsza bryza i przyćmiony blask, podobny do światła miasta leżącego tuż za horyzontem.

Czarnobrody znów zaklął i przeszedł przez wyrwę w dżungli, a chwilę później dołączył do niego upiorny wioślarz. Shandy i Davies wymienili spojrzenia, po czym, wzruszywszy ramionami, podreptali ich śladem.

Las znikł. Rozciągała się przed nimi płaska jak stół równina oświetlona blaskiem księżyca na otwartym niebie. Kilkaset jardów dalej wysoki do kolan murek z gzymsem otaczał staw, który wydawał się szerszy od rzymskiego Koloseum. Pośrodku zbiornika unosiła się olbrzymia świetlistość, stworzona być może z ognia, a być może z tryskającej w powietrze wody. Wzlatywała i opadała leniwie niczym opal zatopiony w miodzie. Obserwując w oniemieniu migotliwe światła, Shandy zorientował się, czując w żołądku chłód, że tak naprawdę nie wie, jak daleko są od niego. W jednej chwili przypominały kolorowe szklane motyle, lśniące w blasku pochodni Hurwoda dosłownie na wyciągnięcie ręki, lecz już w następnej były kosmicznym zjawiskiem, które rozgrywało się za sferą Słońca i planet. Także sam staw okazał się zwodniczy dla wzroku - Shandy mrużył oczy, ale w końcu musiał przyznać, że nie ma nawet mglistego pojęcia, jak wysoki jest murek z gzymsem. Daleko po lewej i prawej stronie wyrastały z niego smukłe mostki, które biegnęły po łuku wysoko w górę i niknęły w ciemnościach.

Sprzączki butów Shandy'ego były teraz jeszcze gorętsze. Poparzył sobie dłoń, gdy sięgnął po nóż, ale zdołał uklęknąć najpierw na jednym, a potem drugim kolanie i odciąć rozgrzane do czerwoności kawałki metalu. Wyprostował się, ignorując fakt, że skórzana pochwa dymiła, gdy chował do niej ostrze. Zastanawiał się, kiedy poczuje żar gwoździ, na których trzymały się obcasy jego butów. Dzięki Bogu, że Czarnobrody nie pozwolił nam zabrać pistoletów, pomyślał.

- Dużo dalej już nie dotarłem - powiedział cicho król piratów, po czym odwrócił się do Daviesa z szerokim uśmiechem. - Śmiało, podejdź do krawędzi stawu.

Davies przełknął głośno ślinę i zrobił krok naprzód.

- Stój! - zawołał za nim Hurwood, który razem z Friendem i Bonnettem chwiejnym krokiem przedarł się przez dziurę w podszyciu. Zanim upadli, zdołali w miarę delikatnie położyć Beth na ciemnym piasku.

Hurwood usiadł.

- Kierunki, które wydają się oczywiste, na pewno nie są właściwe. Mógłbyś iść do Fontanny w linii prostej i prędzej umarłbyś z głodu, niż choć trochę się zbliżyć. Zapewne cały czas miałbyś wrażenie, że Fontanna powoli cię okrąża.

Czarnobrody zaśmiał się głośno.

- Nie pozwoliłbym Daviesowi odejść aż tak daleko, by nie mógł do nas wrócić. Ale masz rację, właśnie tak było. Szedłem przed siebie dwa dni, zanim przyznałem, że w ten sposób nigdy tam nie dotrę, a kolejne trzy wracałem tu, gdzie stoimy.

Stary profesor wstał, strzepując z siebie piach.

- Dni? - zapytał sucho.

Czarnobrody spojrział na niego surowo.

- Cóż, nie, skoro już o tym wspominasz. Słońce wstawało, ale nigdy nie wychodziło poza punkt, który nazwałbyś świtem, zanim postanowiło ruszyć w przeciwną stronę. Świt przechodził w zmierzch bez prawdziwego dnia pomiędzy.

Hurwood kiwnął głową.

- Nie jesteśmy już na Florydzie, a w każdym razie nie bardziej na Florydzie niż gdziekolwiek indziej. Czy któryś z was studiował nauki Pitagorasa?

Zarówno Czarnobrody, jak i Davies zaprzeczyli.

- Przeciwności wynikające z jego filozofii tutaj przestają być przeciwnościami. Nie jestem do końca pewien, czy panujące tu warunki tworzą jakiś ogólny czy szczególnie przypadek, lecz w tym miejscu pierwiastek z dwóch nie jest wcale irracjonalną liczbą.

- Sam Arystoteles nie byłby zawiedziony nieskończonością, lub apeironem, w formie, w jakiej ona tu istnieje - dodał Leo Friend, który choć ten jeden raz zapomniał o Beth.

- Świetne wieści dla Sama Arystotelesa - mruknął Czarnobrody. - Powiedz mi lepiej, czy pozbędę się tu swoich duchów.

- Tak - odparł Hurwood. - Musimy tylko doprowadzić cię do Fontanny.

Czarnobrody machnął w kierunku stawu.

- Prowadź.

- Już wkrótce.

Hurwood zważył w dłoniach pakunki, które ze sobą przyniósł, po czym ułożył je ostrożnie na ziemi. Gdy wraz z Friendem przyklęknął, by je rozsypać, Shandy zbliżył się niepostrzeżenie do Beth.

- Jak się czujesz? - zapytał, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Dobrze, dziękuję - rzuciła odruchowo. Oddychała płytko, ale bardzo szybko, a jej oczy były rozbiegane.

- Po prostu... trzymaj się - wyszeptał, wściekły na własną bezsilność. - Przysięgam, że wydostanę cię z tego, gdy tylko wrócimy na plażę.

Ugięły się pod nią kolana. Złapał ją, zanim uderzyła o piasek, a gdy zobaczył, że straciła

przytomność, położył ją delikatnie na plecach. Nie zdążył jednak zrobić nic więcej, gdyż Friend odepchnął go bezceremonialnie. Otyły lekarz zmierzył Elizabeth puls i uniósł powieki, by sprawdzić źrenice.

Shandy wyprostował się i spojrzął na Hurwooda. Starzec rozpałał pochodnią lampę, którą przyniósł w jednym z pakunków.

- Jak możesz to robić własnej córce? - rzucił ochryple Shandy. - Ty parszywy skurwysynu, mam nadzieję, że twoja Margaret wróci do tego świata tylko po to, by cię przekląć, a potem przemieni się w stos zgnilizny równie śmierdzący, co twoja dusza.

Hurwood zerknął na niego obojętnie, po czym wrócił do pracy. Udało mu się zapalić knot lampy, i opuścił na nią klosz, wykonany z metalu, ale nie całkowicie gładkiego - przez rozcięcia, które wyglądały na zupełnie przypadkowe, przeciekało światło, rzucając na piasek mozaikę linii.

Shandy chciał podejść do staruszka, zanim jednak zdążył zrobić dwa kroki, wyrósł przed nim Czarnobrody.

- Później, synku - powiedział. - Teraz pracujemy razem, a jak spróbujesz udaremnić moje plany, przysięgam, że wylądujesz na ziemi, upychając sobie do brzucha własne wnętrzności. - Odwrócił się do Hurwooda. - Gotowy?

- Tak.

Hurwood wbił płonąca pochodnię w piasek i wstał. Prostokątne drewniane pudełko miał przytroczone do pasa niczym wiklinowy kosz na ryby.

- Wszystko z nią w porządku? - zapytał Frienda.

- W porządku. Po prostu zemdląca.

- Będziecie ją nieśli.

Uniósł lampę jedną ręką, wpatrując się we wzór na piasku. Po kilku sekundach kiwnął głową i ruszył naprzód, lekko w bok od mającego w oddali stawu.

Friendowi udało się wstać z bezwładnym ciałem Beth na ramionach, choć od wysiłku ściemniała mu twarz. Ruszył niezdarnie za Hurwoodem, świszcząc przy każdym oddechu. Reszta grupy szła za nim. Bonnett i upiorny wioślarz zamykali pochód, zataczając się nieprzytomnie.

Nie był to spokojny spacer. Hurwood co chwila zatrzymywał się, aby ocenić układ linii na piasku i przedyskutować z Friendem jakieś matematyczne niuanse. W pewnej chwili Shandy usłyszał nawet, jak otyły lekarz wytknął staruszkowi błąd w obliczeniach „tego czarnoskórego Newtona”. Wiele razy zdarzało się, że powłóczyący nogami uczestnicy wyprawy musieli kluczyć

krętymi ścieżkami. Później chyba bez końca maszerowali po obwodzie ściśle wytyczonego kwadratu, a Shandy zauważył, że bez względu na to, jaki obierali kierunek, księżyc zawsze znajdował się za jego lewym ramieniem. Zadrżał, zbyt nieswój, aby zdobyć się na uszczypliwy komentarz.

Pochodnia, którą Hurwood wbił w piasek, równie często pojawiała się przed nimi, co gdzieś z boku albo za ich plecami, lecz za każdym razem, gdy Shandy ją widział, wydawała się bardziej oddalona. Na samej Fontannie tak trudno było mu skupić wzrok, że nie dostrzegał żadnych zmian w odległości, choć dwie wysokie, podobne do mostów struktury wyraźnie się do siebie zbliżyły.

Zaraz potem zobaczył tłum. Na początku sądził, że były to pasma nisko wiszącej mgły albo bezmiar wody, kiedy jednak przyjrzał się uważnie nierównym, szarym kształtom na horyzoncie, zrozumiał, że tworzyły je tysiące postaci, które spieszyły tam i z powrotem, wymachując w powietrzu rękoma. Wyobraził sobie żdzbla trawy na szerokim polu, szarpane przez nocny wiatr.

- „Nigdy bym nie był uwierzył na słowo” - powiedział Hurwood cicho, przerywając obliczenia, by przyjrzeć się odległej cizbie - „że tyle ludu śmierć już wytraciła”.

*Piekło*, pieśń trzecia, pomyślał Shandy. Ale kogóż to w tej chwili obchodziło?

Mosty nad stawem były teraz bardzo blisko siebie, niebo zaś pojaśniało, jak zakładali, od strony wschodniej. Linie z lampy traciły wyrazistość, ponieważ piasek nabierał rdzawego poblasku i Hurwood z Friendem musieli pracować w pośpiechu. Migotliwe kształty nad centralną częścią stawu powoli blakły, coraz bardziej przypominając chmurę spienionej wody, a coraz mniej kłęby ognia. W świetle dnia martwa cisza przyprawiała o dreszcze; nie było słychać żadnych ptaków ani bzyczenia owadów, a Fontanna i widoczne w oddali, niespokojne tłumy nie wydawały żadnych dźwięków. Powietrze zrobiło się chłodne, odkąd opuścili dżunglę, lecz Shandy czuł na stopach ciepło gwoździ w podeszwach butów, a gdy marzły mu dłonie, przykładał je do dymiącej pochwy noża.

Kiedy grupa stanęła, spoglądał właśnie za siebie na prawie niewidoczny punkcik pochodni i wpadł prosto na plecy Hurwooda.

Z dwóch mostów został już tylko jeden, a oni stali tuż przed nim. Był szeroki na jakieś sześć stóp i wybrukowany dużymi, płaskimi kamieniami. Murki po bokach sięgały im do ramion. Choć oglądane z daleka mosty wydawały się pięć stromo od krawędzi stawu do jego środka, to z miejsca, gdzie stał teraz Shandy, ten pojedynczy wyglądał na niemal płaski. Wznosił się i zwężał, lecz bardzo łagodnie, niknąc w skotłowanych chmurach Fontanny. I choć



to przedziwne otoczenie było Shandy'emu zupełnie obce, nie mógł się pozbyć wrażenia, że już je gdzieś widział.

- Pan przodem - powiedział Hurwood do Czarnobrodego.

Shandy zauważył, że pas i buty ogromnego pirata dymiły i skrzyły się jak knoty w jego włosach. Czarnobrody zrobił krok naprzód, wchodząc na most...

...i raptem eksplodował. Roztrzepotane wstęgi szarości wystrzeliły na wszystkie strony z jego ust, nozdrzy i oczu, a ubranie podskakiwało i trzęsło się na potężnym ciele jak fale na wzburzonym oceanie. Ręce rwały się przed nim bezwolnie, podczas gdy z rękawów wytryskiwały szare kształty, lecz Czarnobrody nie zamierzał poddawać się rozszalałym wybuchom. Zawył i z wysiłkiem zdołał się odwrócić.

- Zostań tam! - krzyknął Hurwood. - Nie schodź z mostu! To duchy cię opuszczają!

Choć widmowy exodus powoli dobiegał końca, Czarnobrody nie przestawał się rzucać. Jego pas i buty płonęły. Chwycił za dymiącą rękojeść szabli, wyciągnął czerwoną stal z pochwy i dotknął nią pasa, a metal momentalnie przetopił się przez twardą skórę. Odrzuciwszy kordelas na piasek, skwierczącymi palcami rozpiął sprzączkę, zerwał z siebie pas i cisnął nim w ślad za bronią. Usiadł, aby ściągnąć buty, po czym uśmiechnął się szeroko do Hurwooda.

- Teraz porzućcie wszelką stal - powiedział.

Ci, którzy tu wchodzić, dodał w myślach Shandy.

- Możesz już wrócić i poczekać tu razem z pozostałymi na mnie i na Leo- odezwał się Hurwood. - Twoje duchy odeszły, a my wciąż mamy dwie pochodnie i dość czarnego zioła, aby wrócić przez dżunglę bez obaw, że znów ktoś zostanie zarażony. Dotrzyliśmy naszej części umowy. Wkrótce wrócimy tu z Leo i poprowadzimy was z powrotem do miejsca, gdzie ta rzeczywistość łączy się ze światem, który znacie.

Shandy odetchnął z ulgą i zaczął się rozglądać za wygodnym miejscem do siedzenia, gdy nagle spostrzegł, że Friend nie ma zamiaru zostawiać Beth.

- K-kto - zająknął się - kto przechodzi na drugą stronę, a kto zostaje?

- Leo, dziewczyna i ja przechodzimy - rzucił niecierpliwie Hurwood, odstawiając na bok lampę. Zdjął pasek i buty, po czym uklęknął przed Friendem, nieumyślnie przyjmując dość intymną pozę, i jedną ręką rozpiął zdobioną klamrę jego pasa. Ubłocone kapcie otyłego lekarza z pewnością nie zawierały metalu.

- Ja też idę - rzucił nagle Czarnobrody, wciąż stojąc na moście. - Nie przedzierałem się tutaj dwa lata temu tylko po to, żeby przyjąć w gościnę stadko duchów.

Spojrzał za Hurwooda, a wówczas Stede Bonnett i milczący wioślarz wystąpili naprzód.

Bonnett rozpiął pasek i ściągnął buty; wioślarz był bosy, zaś ubranie miał pozszywane na stałe.

- I oni. Oni też idą - dodał Czarnobrody.

Twarz Daviesa była bardziej pomarszczona i zapadnięta niż zwykle, odkąd zostawili za plecami ogniska na plaży, ale teraz jego oczy zalśniły radością. Zrobił krok w stronę Fontanny i uklęknął, by ściągnąć buty.

O nie, pomyślał Shandy prawie bez emocji. Nie mogą tego ode mnie wymagać. Przecież już tu jestem, na chodniku ulicy dzielącej dwie rzeczywistości, i nie zamierzam iść ani kroku dalej, nie zamierzam przechodzić na drugą stronę. Żaden z tych ludzi już nigdy tu nie wróci; odkryję, jak się posługiwać magiczną lampą Hurwooda, i jakoś wrócę do tej przeklętej dżungli! Na Boga, dlaczego ja tu z nimi przyszedłem? Po co w ogóle opuszczałem Anglię?

Czuł, że jest absolutnie pewny drogi powrotnej, ale nagle poczerwieniał na twarzy. Zorientował się, że było to przekonanie dziecka, które w nim tkwiło; przekonanie, że wystarczy krzyczeć głośno i długo, by w końcu ktoś zabrał je do domu.

Jakim prawem ci ludzie stawiali go w tak upokarzającej sytuacji?

Spojrzał na Beth Hurwood wiszącą bezwładnie na ramionach Frienda. Jeszcze nie odzyskała przytomności, a jej twarz, choć wciąż uderzająco piękna, była naprężona i ściągnięta przerażeniem ostatnich godzin. Oto niedopuszczalnie skrzywdzona niewinność... Czy nie był to... Czy nie istniało wiele powodów, aby pozwolić jej umrzeć teraz, póki była nieprzytomna i póki jeszcze całkiem jej nie zniszczyli?

Bił się z myślami, gdy raptem napotkał spojrzenie Leo Frienda. Otyły lekarz uśmiechnął się do niego z pewnością siebie i pogardą, poprawiając rękę na udzie Beth.

W tej samej chwili Hurwood zanucił kojącą melodię. Opadłszy na kolana i podparłszy się dłońmi, wymamrotał do piasku kilka niewyszukanych komplementów i ostrożnie, lecz zdecydowanie położył się na brzuchu. Wciąż cicho pomrukując, zaczął w niezgrabnym rytmie poruszać biodrami.

Leo Friend poczerwieniał jak burak i ściągnął rękę z nogi Beth.

- Panie Hurwood! - zaskrzeczał.

Hurwood zaśmiał się pobłaźliwie.

- Z tych napadów zwykle otrząsa się dość szybko - stwierdził Czarnobrody. - Poczekamy, aż mu przejdzie, i ruszamy dalej.

Czy oni wszyscy postradali zmysły? - zastanawiał się Shandy. Hurwood był ich jedyną, i to w dodatku dość znikomą gwarancją, że ktokolwiek wróci z drugiej strony żywy, a teraz ten stary głupiec wydawał się bardziej pomyłony niż gubernator Sawney. O nie, myślał,

wykluczone, żebyśmy uszli z życiem z tej wyprawy, a ja nie zamierzam spocząć na wieczność pomiędzy milczącymi, szarymi legionami duchów na dziwnym horyzoncie. Jack Shandy nigdzie się stąd nie ruszy i gdy zapadnie zmierzch, a was, przekłęci głupcy, wciąż tu nie będzie, nauczę się posługiwać latarnią Hurwooda i wrócę do pochodni, a potem do dżungli i do łodzi na bagnach. Bez wątpienia pożałuję później swego tchórzostwa, ale będę go żałować, leżąc w słońcu na plaży i popijając rum.

Shandy odsunął się od mostu i usiadł na piasku. Celowo unikał wzroku towarzyszy, ale rozglądając się za lampą Hurwooda, spojrział bezwiednie w górę i zobaczył, że Davies uważnie go obserwuje.

Szczupły, stary pirat wyszczerzył się szeroko, wyraźnie zadowolony.

Odetchnąwszy z ulgą, Shandy odwzajemnił uśmiech. Cieszył się, że ktoś go rozumie, ale jego radość nie trwała zbyt długo. Przecież on czeka, aż ściągnę buty, pomyślał.

I wtedy zrozumiał ze smutkiem, że nie uniknie tej wyprawy. Wiedział, że postąpi głupio, przechodząc na drugą stronę - równie głupio jak jego ojciec, gdy wyciągnął nożyk do strugania na szajkę bandytów w ciemnej uliczce w Nantes, albo jak kapitan Chaworth, który mimo braku obeznania z szermierką rzucił się na uzbrojonego w pistolet szefa piratów. W jakiś sposób, podobnie jak oni, został jednak pozbawiony możliwości wyboru. Zdjął buty i wstał.

Zanim Friend zdążył oderwać wzrok od groteskowo podskakującego Hurwooda, buty i nóż Shandy'ego wylądowały na piasku.

Shandy stanął przed otyłym lekarzem.

- No co jest? - zapytał delikatnie drżącym głosem. - Z przytomną kobietą już nie potrafisz się spoufalić?

Friend znów poczerwieniał.

- N-n-nie b-b-bądź g-g-g... n-n-nie...

- On chyba chce powiedzieć: Nie bądź głupi, Jack - wyręczył go Davies.

- Czyżby? - ciągnął Shandy, nie panując nad nerwami. - Myślałem, że powie raczej: Nie, bo gdy próbowałem, nawet matce podniosło się na mój widok do gardła.

Friend zaczął piszczeć i jąkać się głosem kilkuletniego chłopca. Z nosa pociekła mu krew. Wielkie jasnoczerwone krople skapywały na jedwabną koszulę i zostawiały na tkaninie rozmazane plamy w kształcie krzyżyków. Zadrżały pod nim kolana i przez krótką chwilę Shandy miał wrażenie, że otyły lekarz zemdleje, albo nawet wyzionie ducha.

Wtedy jednak Friend wyprostował się i wziął głęboki oddech. Nie patrząc na Shandy'ego, poprawił sobie Beth na ramionach i ruszył na most.

Hurwood wreszcie przewrócił się na plecy, uśmiechnięty błogo w stronę nieba. Drgnął i rozejrzał się, mrugając, a zaraz potem wstał.

- Ja i Friend będziemy prowadzić - powiedział tylko, wchodząc na most.

Shandy i Davies stanęli za nim na szerokich kamieniach bruku, a jako ostatni z piasku zeszli Bonnett i wioślarz.

Wioślarz w ułamku sekundy zmienił się w stertę ubrań, które opadły na most. Shandy przyjrzał się jej bliżej i stwierdził, że między częściami garderoby nic nie ma - żadnego ciała ani jego fragmentów.

Spostrzegłszy to zjawisko, Hurwood uniósł brew.

- Twój sługa był martwy?

- Cóż... tak - odparł Czarnobrody.

- Och, w takim razie można się było tego spodziewać. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Staruszek machnął ręką, ruszając w drogę.

## Rozdział trzynasty

Przez długi czas szli w milczeniu - towarzyszył im jedynie dźwięk marszu, który był pozbawionym pogłosu dudnieniem. Shandy liczył kroki, aby zająć czymś myśli, ale także z czystej ciekawości. Naliczył ich ponad dwa tysiące, zanim ponownie zapadł zmrok. Zorientował się, że nie ma pojęcia, jak długo słońce wędrowało po niebie.

Wydawało się, że mijają ułożone na przemian plamy światła i cienia, a Shandy mógłby przysiąc, że przez chwilę czuł zapach kadzidła. Spojrzał w stronę Hurwooda, gdy ten odczuwalnie zwolnił kroku.

Szli przez główną nawę kościoła. Hurwood miał na sobie elegancki płaszcz, a jego włosy, starannie skręcone loczki, były brązowe, bez ani jednego pasemka siwizny. Na pozostałych uczestnikach procesji wciąż wisiały jednak ubłocone, podarte i przypalone lachmany, w których płynęli przez bagna. Hurwood trzymał jedną rękę na przytroczonym do pasa drewnianym pudełku, a druga huśtała się podczas marszu przy jego boku.

Odzyskał swoją rękę, pomyślał sennie, bez zdziwienia Shandy.

Spojrzał naprzód, w stronę ołtarza. Duchowny uśmiechał się ciepło do nadchodzącej grupy obdartusów, a nieco z boku klęczał ministrant. Chłopak patrzył na nich z przerażeniem, którego nie usprawiedliwiał nawet ich strój. Shandy obejrzał się nerwowo...

...i zobaczył most, a za nim równinę zatopioną w mroku. Gdy odwrócił się z powrotem, kościelna scena stopniowo zbledła. Wciągnął w nozdrza ostatni przeciąg pachnący kadzidłem, a zaraz potem most był już tylko mostem.

Zastanawiało go, co tak naprawdę zaszło - zajął w umysł Hurwooda, w jego wspomnienia? Czy Davies i Czarnobrody też to widzieli, czy tylko on, bo przypadkiem spojrzał na staruszkę w chwili, gdy jego wyobraźnia projektowała tę scenę?

Zauważył, że nieco dalej kamienie brukowe są umazane krwią. Gdy się do nich zbliżyli, ocenił po plamach, smugach i odciskach dłoni, że mostem czołgały się dwie osoby. Przystanął, by uklęknąć i dotknąć jednej z plam - wciąż była mokra. Z jakiegoś powodu zaniepokoił go ten fakt, choć musiał przyznać, że w porównaniu do wielu innych wydarzeń tego wieczoru nie wydawał się szczególnie poruszający. Nie widział w oddali żadnych postaci, ani czołgających się, ani maszerujących, lecz mimo to z sercem w gardle raz po raz spoglądał w tamtym

kierunku.

Powietrze, którego wcześniej też nie nazwałby rześkim, teraz stało w miejscu-wyczuwał w nim smród gotowanej kapusty i niewietrzzonej pościeli. Zerkał kolejno na swych towarzyszy, a gdy jego spojrzenie spoczęło na Friendzie, wokół otyłego lekarza zmaterializowała się scena. Był w niej małym chłopcem i leżał w łóżku, choć jakimś sposobem dotrzymywał kroku Shandy'emu i reszcie. Shandy podążył za jego wzrokiem i ze zdumieniem ujrzał niewyraźne kobiece kształty w formie półprzezroczystych welonów, które obracały się powoli pod sufitem. Był w nich naiwny, przesadny erotyzm, typowy dla prostych rysunków dorastającego chłopca. Tylko dlaczego wszystkie te kobiety miały siwe włosy?

Wizja rozproszyła się w eksplozji bieli i Shandy znów widział pod stopami most, a po bokach wysokie do ramion murki. Poślizgnął się na jakimś drobnym przedmiocie. W pierwszej chwili pomyślał, że to kamyk, ale zaraz zrozumiał, niepokojąc się coraz bardziej, że był to wybity ząb.

Potem szli plażą, a twarz Daviesa lśniła w blasku ognia - pełniejsza twarz otoczona ciemniejszymi włosami. Miał na sobie kurtkę oficerską Królewskiej Marynarki Wojennej. Shandy rozejrzał się. Podążali wzdłuż brzegu wyspy New Providence. Po prawej, za srebrzącą się pod gwiazdami zatoką, majaczyły niewyraźne kształty Hog Island, a po lewej, na opadającej ku morzu plaży, płonęły ogniska - było ich jednak mniej, podobnie jak okrętów w zatoce. Nigdzie nie widział też roztrzaskanych przez sztormy wraków, które przecież doskonale tu pamiętał. Davies rozmawiał z Czarnobrodym, ale poza zasięgiem słuchu Shandy'ego; i chociaż śmiał się, kręcąc głową, jego twarz sprawiała wrażenie zmartwionej, a nawet wystraszonej. Wyglądało na to, że Czarnobrody przedstawia mu jakąś propozycję, a Davies wątpi nie tyle w jej wartość, ile w autentyczność. W końcu Czarnobrody westchnął i zatrzymał się. Przez chwilę wydawał się gromadzić siły, po czym wykonał gest w stronę piasku. Shandy poczuł woń rozgrzanego żelaza. Piasek zaczął falować i podskakiwać, jakby wszystkie zakopane w nim kraby doznały zbiorowego ataku padaczki. Wyłaniały się spod niego pojedyncze białe kości i toczyły ku sobie siłą wzajemnego przyciągania, by utworzyć pokaźny stos. W końcu stos zadrżał, zawirował i wzniósł się w powietrze, a Shandy zrozumiał, że patrzy na klęczący szkielet. Uśmiezek na twarzy Daviesa zamienił się w grymas zdenerwowania, gdy kościana istota wstała, zwrócona w jego stronę. Czarnobrody przemówił, sprawiając, że szkielet opadł z powrotem na kolano i spuścił głowę, a następnie król piratów machnął ręką, zamieniając kościotrupa w stertę kości. Wówczas zaczął przemawiać i choć Davies wciąż się nie odzywał, otaczająca go aura sceptycyzmu znikła bez śladu.

A potem Shandy znów szedł po zakrwawionym bruku.

- Czy ten przeklęty most gdzieś się kończy? - zapytał. Obawiał się, że drzeniem głosu zdradzi strach, który wciąż w nim narastał, ale martwe powietrze stłumiło jego słowa, tak że sam ledwie je słyszał.

Nie zwalniali. Kilka razy odniósł wrażenie, że do jego uszu dolatuje dźwięk szurania i spazmatyczny szloch, ale było zbyt ciemno, by mógł cokolwiek dostrzec.

Powietrze wydawało się ciężkie i gęste jak melasa - jedno ziarenko cukru więcej zamieniłoby je w kryształ. Shandy drżał na samą myśl, że miałby spojrzeć na Czarnobrodego, ale nie potrafił się powstrzymać... A gdy wreszcie spojrział, na chwilę przestał być Shandym.

Był piętnastoletnim chłopcem, znanym czarnym banitom z gór jako Johnny Con. Z powodu nadużywania pewnych zaklęć hunganów utracił pozycję czeladnika szanowanego kapłana *vodun*, a wraz z nią możliwość - oraz chęć - tytułowania się adjanikonem. Jego prawdziwe, dorosłe nazwisko brzmiało jednak inaczej - Ed Thatch. Już za trzy dni miał zdobyć prawo do jego używania.

Dzisiaj nadszedł pierwszy dzień uroczystości poświęcenia się loa, którego wybrał na swego przewodnika i którego cele od tej pory dzielił. Czarni maronowie, wychowujący go od małości, przyprowadzili go z niebieskich gór do domu Jeana Petro, słynnego czarownika, który podobno mieszkał tu od ponad stulecia. Mówiono, że sam stworzył wiele loa i musiał wybudować dom na palach, ponieważ w jego pobliżu ziemia robiła się rdzawa i bezpłodna. W porównaniu z Petro wszyscy inni karaibscy bokorzy uchodzili za ulicznych magików wyciągających króliki z kapelusza.

Maronowie, dawni niewolnicy, którzy uciekli z Senegalu, Dahomeju i wybrzeża Kongo, nie mieli kłopotów z przystosowaniem się do życia w dżunglach i górach Jamajki. Biali koloniści byli tak zaniepokojeni obecnością tych niebezpiecznych i srogich ludzi, że płacili im sezonowy okup w zamian za oszczędzenie pobliskich farm i miasteczek. Ponieważ jednak nawet oni nie podchodzili bliżej niż na odległość pół mili do domu Jeana Petro, chłopiec musiał sam iść długą ścieżką do ogrodu i zagród dla zwierząt, a dalej do słynnej chaty na palach.

Płynął za nią strumień, i to właśnie tam znajdował się stary mężczyzna - Thatch widział między palami jego nogi, gruzłowate i ciemne niczym kije z tarniny. Sam był oczywiście bosy i nakreśliwszy znak milczenia przed kurami, które myszkowały pod domem, ruszył przez zakurzone podwórze równie cicho, co przesuwające się po nim plamy światła. Gdy dotarł na drugą stronę, zobaczył, jak Petro przesuwają się wzdłuż strumienia, tu i tam przystając, by wyłowić z wody płaską butelkę. Zaglądał do środka przez przydymione szkło, stukał w nią

długimi paznokciami, przykładając do ucha i w końcu kręcił głową, po czym odkładał na miejsce i szukał następnej.

Thatch obserwował jego pracę, aż przy którejś z kolei buteleczce zmarszczki na twarzy starego bokora wygładził uśmiech. Petro po raz drugi zagrzechotał o nią paznokciami, a potem na zmianę nasłuchiwał i stukał w szkło niczym uwięziony w głębokim lochu skazaniec, którego miarowe sygnały wreszcie doczekały się odpowiedzi, choć bardzo niewyraźnej.

- To nasz chłoptaş, o tak, bez wątpienia - powiedział szorstkim, starczym głosem. - Gede, loa, który jest kimś w rodzaju... głównego brygadzysty tego, który chce cię mieć.

Thatch zdał sobie sprawę, że Petro był świadomy jego obecności i kierował te słowa do niego. Nie ruszył się z miejsca, ale krzyknął:

- Chce mnie mieć? Ale to ja go wybrałem!

Staruszek zachichotał.

- Cóż, w każdym razie w tym strumyku go nie znajdziesz, a my potrzebujemy Gede, aby go wezwać. Oczywiście Gede jest tu tylko symbolicznie. To jego drobna część, można by powiedzieć, że pępek, ale to wystarczy, żeby zmusić go do posłuszeństwa. - Petro odwrócił się i pokuśtykał przed podwórze do Thatcha. - Widzisz, chłopcze, z upływem czasu zmarli stają się potężniejsi. To, co dla twego pradziadka było niespokojnym duchem, dla twego prawnuka może się okazać dojrzałym loa. A ja nauczyłem się je formować, nadawać im kierunek, niczym winorośl w ogrodzie. Rolnik zakopuje ziarno w ziemi i pewnego dnia ma drzewo, a ja wkładam butelkę z duchem pod wodę i pewnego dnia mam loa. - Wyszczrzył się od ucha do ucha, odsłaniając białe dziąsła, i zamachał butelką w kierunku strumienia. - Odchowałem ich prawie tuzin. Nie są tej samej jakości, co Rada loa, te, które przyplęnęły tu z nami z Gwinei, ale potrafię je kształtować według własnych potrzeb.

Kury w cieniu pod chatą powoli otrząsały się z mocy gestu Thatcha, gdacząc i trzepocząc skrzydłami. Petro mrugnął do nich i na powrót zamilkły.

- Rzecz jasna, ten, który chce cię mieć - ciągnął - albo ten, którego ty chcesz, jeśli tak ci bardziej pasuje, czyli stary Baron Samedi, to bestia zupełnie innego rodzaju. - Pokręcił głową i zmrużył oczy, zapewne w podziwieniu. - Kilka razy, choć nie więcej niż dwa albo trzy w ciągu całego mojego życia, ślepym trafem udało mi się stworzyć coś, co wydawało się zbyt podobne do... innej istoty, która już istniała, już gdzieś tam była. I to podobieństwo okazywało się zbyt wielkie, aby te dwie istoty mogły istnieć oddzielnie. Nagle okazywało się, że mam w butelce coś zbyt wielkiego, aby mogło się w niej pomieścić... nawet symbolicznie. Mój dom prawie się przewrócił, gdy Baron Samedi za bardzo urósł - butelka wybuchła jak bomba, odrzucając



drzewa na wszystkie strony, a strumień potrzebował godziny, żeby znów się napęlić. Wciąż jest w nim głęboki krater. Na brzegach nic nie rośnie, a każdej wiosny muszę wylawiać z wody martwe kijanki.

Młody Thatch spojrział z oburzeniem na butelkę.

- Więc to, co masz tam w środku, to tylko sługa Barona Samediego?

- Powiedzmy. Ale Gede to wciąż loa ze szczytu hierarchii, jest numerem dwa tylko dlatego, że Baron to coś dużo więcej. Jak każdy inny loa musi zostać zaproszony, a następnie odpowiednio ubłagany za pomocą rytuałów, jakich zażąda, aby uczynić dla nas to, o co poprosimy. A więc dobrze, mam już prześcieradło z łóżka, w którym umarł zły człowiek, a dla ciebie czarne szaty. Dziś jest sobota, dzień świąteczny Gedego. Upieczemy dla niego kurczaka i kozę. Zdoylem też całą beczkę *clairin*, rumu, ponieważ w picciu Gede nie zna umiaru. Jeszcze dzisiaj...

- Nie przyszedłem tutaj aż z gór, żeby robić interesy z ciemnym pachołkiem Barona Samediego.

Jean Petro uśmiechnął się szeroko.

- Och! - Wyciągnął butelkę w stronę chłopca. - Cóż, czemu sam mu tego nie powiesz? Wystarczy, że uniesiesz butelkę pod słońce i będziesz patrzeć do środka, póki się nie pojawi... A wtedy mu wyjaśnisz, jakie są twoje zapatrywania na hierarchię społeczną.

Thatch nigdy wcześniej nie miał bezpośrednio do czynienia z żadnym loa, ale nie dał po sobie poznać wahania i lekceważąco chwycił butelkę.

- Świetnie - powiedział, podnosząc ją do słońca. - Ukaż się, zjawo! - rzucił z pogardą, choć usta miał suche, a w piersi czuł dudnienie serca.

Na początku widział tylko rozmazane skazy na powierzchni niedbale wydmuchanego szkła, ale po chwili dostrzegł ruch. Gdy się na nim skupił, zobaczył przelotnie istotę, która przypominała pozbawionego piór pisklaka ze zdeformowanymi skrzydłami i nogami, zanurzonego w jakimś mętym płynie.

W jego głowie odezwał się głos trajkoczący natarczywie po francusku. Choć znał ten język dość słabo, zdołał zrozumieć, że mówca nie tylko domagał się kurczaka i rumu, ale zarazem utrzymywał, że ma do tych rzeczy święte prawo, podobnie jak do wszystkich słodkości, jakich sobie zażyczy. Groził również, że tych, którzy z odpowiednią pompą nie spełnią wymogów ceremonii zaproszenia, czeka bardzo surowa kara. I lepiej, żeby się nie śmiali! Jednocześnie Thatch czuł wyraźną aurę sędziwego wieku i ogromnej mocy zdobytej kosztem własnej osobowości, po której została już tylko resztką - jak nienaruszony komin w

domu, który pochłaniają płomienie. Thatch zdał sobie jednak sprawę, że kapryśność niedołęznego człowieka i przerażająca siła wcale się nie wykluczały; wręcz przeciwnie, do pewnego stopnia jedno wynikało z drugiego.

Raptem duch musiał się zorientować, że jest obserwowany, gdyż tyrada ucichła. Thatch miał wrażenie, że mówca rozgląda się z zakłopotaniem. Wyobraził sobie starego króla, który, zdumiony, że nie jest sam, poprawia w pośpiechu rozchełstane szaty i zaczesuje na bok rzadkie włosy, by ukryć łysinę.

Najwyraźniej Gede przywołał z pamięci jego słowa i poświęcił im wreszcie uwagę, bo głos wrócił, tym razem grzmiący.

- Zjawia?! - ryknął. - Ciemny pacholek?!

Thatch szarpnął głową, czując cios niewidzialnej siły. Na nosie i ustach miał krew. Zatoczył się kilka kroków do tyłu, próbując odrzucić butelkę, ale nie mógł - przywarła mocno do jego dłoni.

- Ty jesteś Thatch, zgadza się?

Głos drapał o wnętrze jego czaszki jak tarka obracająca się wewnątrz orzecha kokosu.

Miał wrażenie, jakby jego brzuch zapadł się do środka. Opadł na ziemię, a z nosa trysnęła mu krew. Sekundę później jego ubranie stanęło w ogniu. Zaczął się toczyć w kierunku strumienia i choć jego ciałem wstrząsały niewidzialne kopniaki, w końcu zdołał zsunąć się z pluskiem do wody.

- Powiem Baronowi, żeby miał dla ciebie specjalne względy - rzucił głos do Thatcha, który miotał się w strumieniu, nie potrafiąc oderwać butelki od skóry.

Młody Thatch odnalazł stopami dno, wyczołgał się na brzeg i usiadł. Włosy miał spalone do gołej skóry, a jego ubranie przypominało zasłony wykopane spod zgliszczy spalonego domu. Z dłoni, do której przywarła butelka, ciekła krew, spływając ciurkiem po przedramieniu, ale mimo to nawet nie zadrżał, kiedy uniósł butelkę w powietrze i uśmiechnął się szeroko do jej szklanego wnętrza.

- Koniecznie tak zrób - wyszeptał - ty żalosny, marynowany śledziu.

Światło przygasło i nagle stał na nogach, całkiem suchy, i nazywał się Jack Shandy. Płamy krwi na kamieniach bruku były teraz rzadsze - niewykluczone, że czołgający się ludzie opatrzyli swoje rany - kiedy jednak przyklęknął i dotknął jednej z czerwonych smug, odskoczył przerażony. Wciąż ciepła. Znów, tym razem głośniejszy, usłyszał dolatujący z ciemności rzeżący oddech.

Podniósł wzrok i w jednej chwili zrozumiał, skąd zna ten most. A oto i dwie krwawiące

postaci, niemal pod jego stopami. Siwe włosy starszej były posklejane ciemną, błyszczącą substancją, zaś młodsza i szczuplejsza próbowała czołgać się w taki sposób, aby nie dotykać bruku dłońmi o powyginanych, spuchniętych palcach w kolorze dojrzałej śliwki. Światła Nantes migotały blado, a Shandy dobrze wiedział, że ci dwaj poturbowani nieszczęśnicy nie napotkają na swej drodze żadnego pomocnego wędrowca i będą się czołgać aż do odległych pokoi, w których czekały niewygodne łóżka i zawsze obecne marionetki.

Wyminął ich i klęknął na drodze swego ojca. Jedno z jego oczu - później miał je stracić - było niewidoczne pod skrzepem krwi i zaschniętym błotem. Stary mężczyzna krzywił się z wysiłku, a jego oddech świszczał w dziurach po zębach.

- Tato, tato! - rzucił ponaglająco Shandy, kiedy zmasakrowana twarz jego ojca znalazła się bliżej. - Tato, odziedziczyłeś mnóstwo pieniędzy! Twój ojciec umarł i zostawił ci w spadku majątek! Skontaktuj się z władzami Haiti w Port-au-Prince!

Stary François Chandagnac nie słyszał. Shandy jeszcze dwukrotnie próbował przekazać mu wiadomość, ale w końcu poddał się i przesunął w stronę drugiej postaci, dwudziestoletniego Johna Chandagnaca.

- John - powiedział, kucając przed młodszym sobą. - John, posłuchaj mnie. Nie zostawiaj ojca! Zabierz go do Anglii. Zdobądź się na ten wysiłek, ty, ty... ty przeklęty, drewniany mazgaju z chóru! - Zakrztusił się, a z oczu popłynęły mu łzy, znacząc policzki mokrymi śladami tam, gdzie smugi krwi szpeciły twarz młodszego Johna. - Sam sobie nie poradzi, ale nigdy się do tego nie przyzna! Nie zostawiaj go, na całym świecie masz tylko jego, a on cię kocha i umrze samotnie z głodu i zimna, myśląc o tobie, podczas gdy ty będziesz siedzieć wygodnie w Anglii, nie myśląc o nim...

Czołgająca się postać nie była świadoma jego obecności. Położył głowę na bruku i szlochał głośno, podczas gdy zmaltretowany John Chandagnac przenikał przez niego niczym niematerialny cień.

Czuł, jak ktoś potrząsa go za ramię. Spojrzał w górę - zabiedzona twarz Daviesa uśmiechała się do niego nie bez współczucia.

- Teraz nie możesz dać za wygraną, Jack - powiedział stary pirat i wskazał przed siebie głową. - Jesteśmy na miejscu.

## Rozdział czternasty

Most znikł, a Shandy zadał sobie po chwili pytanie, czy ktokolwiek oprócz niego w ogóle go widział. Może dla Hurwooda cała podróż na drugą stronę przypominała marsz przez nieskończenie długą nawę kościoła? Teraz stali na błotnistym wzniesieniu, spoglądając w dół. Czuł lodowatą wilgoć wdzierającą się pod nogawki spodni.

Rozejrzał się gorączkowo, gdyż po raz kolejny dało o sobie znać wcześniejsze przerażenie. To miejsce wydawało mu się niewłaściwe i mylące, chociaż nie potrafił wyjaśnić źródła tego uczucia. Krawędzie błotnistej wzniesienia ciągnęły się po delikatnym łuku na boki, a zmrużywszy oczy, spostrzegł w bladym świetle, że gdzieś w oddali znów się spotykają. Stali przed jamą o pochyłych zboczach, na której dnie chlupotała woda. Po niebie niezwykle szybko płynęła jednolita warstwa chmur, oświetlona z góry, jak się zdawało, blaskiem księżyca. Shandy spojrział na siedmioro towarzyszy, aby sprawdzić, czy dzielają jego niepokój, ale nie potrafił tego stwierdzić z całą pewnością. Beth odzyskała przytomność - zastanawiał się kiedy - lecz tylko mrugała oszołomiona, a twarz Bonnetta była sztywna jak u zabalsamowanych zwłok.

- Naprzód - powiedział Hurwood i wszyscy ruszyli w dół zbocza.

Choć Shandy kilka razy poślizgnął się i osunął w błocie, cały czas dokuczała mu świadomość, że ziemia jest nienaturalnie twarda. Czuł z tego powodu klaustrofobiczny lęk, mimo że nad jego głową rozciągał się bezmiar zachmurzonego nieba.

I wtedy się zorientował - siedmioro towarzyszy? Przecież powinno ich być tylko sześcioro! Pozwolił się wszystkim wyprzedzić, aby policzyć strudzone postaci: Czarnobrody, Davies, Bonnett, Beth, Friend, Hurwood i... i nikogo więcej. Sześć osób. Ruszył za nimi pospiesznie i dla spokoju ducha przeliczył jeszcze raz. Siedem.

Towarzyszył im osobliwy smród zatęchłej wody, jaki mógłby się wydobywać ze starej, nieczyszczonej kanalizacji. Noc odrażających zapachów, przemknęło mu przez głowę. Ta myśl o czymś mu przypominała. Dołączył szybkim krokiem do Daviesa.

- A skoro mowa o nieznośnych zapachach - wymamrotał. - Wydawało mi się, że nie wolno odprawiać rytuałów wskrzeszania na lądzie.

- Przyznaj, Jack, tęsknisz za wonią rozgrzanego żelaza - odparł pirat ściszym głosem. - Ale nie, oni nie zamierzają odprawiać tutaj żadnej magii. Chcą tylko... nastroić swoje dusze,

żeby zrobić to później, gdzieś na morzu.

Stromizna złagodniała, dzięki czemu nie musieli zapierać się nogami o ziemię.

- Nie - ciągnął Davies - tutaj z pewnością nic by z tego nie wyszło. Czy kiedykolwiek czuleś pod stopami równie pewny grunt, Jack? Wszystko inne wydaje się przy nim... ogromną tratwą.

Ależ tak, zorientował się raptem Shandy, wreszcie odnajdując przyczynę swego niepokoju. To dziwne miejsce było pozbawione ruchu. Nigdy dotąd nie przyszłoby mu do głowy, że stały ląd może się ruszać, chyba że podczas trzęsienia ziemi. Jeszcze wczoraj wyśmiałby każdego, kto by stwierdził, że potrafi wyczuć wędrówkę Ziemi przez kosmos. Teraz jednak doszedł do wniosku, że głęboko w środku zawsze był tego ruchu świadom, choć pozarefleksyjnie, tak jak ryba musi być świadoma wody.

Kopernik, Galileusz i Newton, pomyślał, czuliby się tutaj jeszcze bardziej nieswojo.

Oprócz Bonnetta, który powoli osuwał się na pośladkach w dół zbocza, wszyscy dotarli już na płaski obszar.

- Ilu nas tu jest? - zapytał Shandy Daviesa.

- No jakże... siedmiu - odparł bez zastanowienia pirat.

- Policz.

Davies policzył, po czym zaklął szpetnie.

- Ty, Bonnett i Thatch - wymruczał w popłochu. - Trójka ze Starego Świata i ja. Czyli w sumie siedem osób. Zgadza się, siedem osób i nikogo więcej. Fiu, przez chwilę rzeczywiście wydawało się, że jest nas ośmioro!

Shandy pokręcił smutno głową.

- Policz jeszcze raz, ale bez zastanowienia, a naliczysz osiem osób. Zrób to ponownie, wymieniając każdego z imienia, a będzie ich siedem.

Davies policzył, wskazując palcem każdą niewyraźną sylwetkę, najpierw szybko, a później powoli. Gdy skończył, z jego ust wyrwało się kolejne przekleństwo.

- Jack - rzucił głosem pełnym oburzenia, za którym, jak sądził Shandy, chciał ukryć strach - czyżby ktoś zwodził nasze oczy? Jak to możliwe, że jest wśród nas nieznajomy, który znika, gdy tylko zaczynamy dokładnie liczyć?

Shandy nie odpowiedział, ponieważ przyglądał się uważnie Fontannie. Już wcześniej dostrzegł, że choć woda wlatywała wysoko w powietrze, była dziwnie gęsta i bardziej uderzała o ziemię, niż się rozpryskiwała. Stanowiła także źródło przyćmionego, fosforyzującego blasku i zatęchłego smrodu. Teraz jednak zauważył we wzburzonej chmurze cieczy coś więcej- setki

twarzy zmieniających się z sekundy na sekundę, jakby Fontanna była lustrem, które wiruje w tłumie ludzi. Każdą pojawiającą się na ulotną chwilę twarz wykrzywił grymas strachu lub gniewu. Shandy zrobił krok naprzód, mimo że odrzucał go ten widok, i zobaczył kołyszące się kurtyny blado zabarwionego światła, przypominające ruchomą zorzę polarną. Płynęły ku górze i igrały bezgłośnie na chmurach wysoko nad głowami, jakby były mocą, która wprawiała je w ruch.

Hurwood zastąpił Shandy'emu drogę. Staruszek oddychał szybko i płytko.

- Niech nikt się nie rozgląda - powiedział. - Po prostu... patrzcie na to, na co patrzycie. Zjawisko, z którym musimy dojść do porozumienia, nie zaistnieje, jeżeli będziemy poświęcać mu zbyt wiele uwagi.

Shandy poczuł dreszcz, gdy zrozumiał, że to, czego poszukuje Hurwood, musi być dodatkową postacią pojawiającą się w ich rachunkach, gdy wraz z Daviesem próbowali przeliczyć wszystkich uczestników marszu.

Usłyszał obok szept i spodziewał się, że Hurwood zażąda, by byli cicho, ale wówczas jednoręki czarownik odpowiedział coś w nieznanym języku. Z pewnym opóźnieniem dotarło do Jacka, że szepcząca postać również się nim posługiwała i że z pewnością nie należała do ich grupy.

Obcy głos znów się odezwał, mocniej, lecz wciąż dość cicho. Shandy miał wrażenie, że mówiący stoi tuż przy jego prawym ramieniu. Zgodnie z rozkazem Hurwooda patrzył wprost przed siebie, ale kątem oka dostrzegał w mroku jakąś postać. Davies stał po przeciwnej stronie... Czyżby był to ich tajemniczy gość? A może tylko Bonnett? Albo nawet Beth? Shandy z trudem opierał się pokusie, by odwrócić głowę.

Nagle głos ucichł.

- Oczy przed siebie - przypomniał wszystkim Hurwood. - Możecie je zamknąć, jeśli wolicie, ale niech nikt się nie rozgląda.

Znów przemówił, z większym napięciem i w innym języku, a kiedy skończył, Leo Friend dodał od siebie krótką wypowiedź, która zabrzmiała jak pytanie.

Miękki, niemożliwy do rozpoznania głos zaczął mówić i przez długi czas nie milknął, a Shandy zastanawiał się, jak długo wytrzyma, patrząc w jeden punkt. Myśl, że miałby zamknąć oczy w równie martwym miejscu, sprawiała, że strach ścisnął mu gardło, ale nawet tkwienie w bezruchu powoli stawało się nie do zniesienia.

W końcu głos zamilkł, a Hurwood i Friend poruszyli się jednocześnie. Shandy zaryzykował spojrzenie w bok i zobaczył, jak obaj mężczyźni zmierzają w stronę sadzawki

otaczającej Fontannę. Zamoczywszy nogi, przyklęknięli, by nabrać lepkiego płynu w ręce. Wypili go łąpczywie, po czym wyszli z powrotem na błotnistą ziemię.

Hurwood znów się odezwał.

Odpowiedź, która nadeszła po kilku sekundach, brzmiała dość niewyraźnie - być może dlatego, że wszyscy odwracali wzrok. Głos wymówił zaledwie kilka sylab.

Hurwood i Friend pospiesznie sięgnęli do kieszeni. W dłoni Hurwooda pojawił się szczyryk, a Friend, nie znalazłszy odpowiedniego narzędzia, wyszarpnął z upudrowanej peruki szpilkę. Obaj mężczyźni w tej samej chwili ukłuli się w palec i strzepnęli kroplę krwi na zimne błoto.

Krew zasyczała, a Shandy ujrzał, jak spod ziemi wyłaniają się dwie szponiaste ręce. Dopiero gdy ich ruch ustał, stwierdził, że w rzeczywistości były to rośliny - rachityczne, kaktusopodobne chwasty, a jednak rzucające się w oczy w tym opuszczonym, martwym krajobrazie. Nieco dalej przy brzegu Shandy zauważył trzecią roślinę, która wyglądała na zwiędłą i zasuszoną.

Nagle Czarnobrody zerwał się w stronę Fontanny. Hurwood wyciągnął rękę, by go zatrzymać, ale olbrzymi pirat dwoma długimi krokami dostał się do sadzawki i wszedł do niej na głębokość kostek. Nabrał w dłonie cieczy, wypił ją i stanął na śliskim gruncie. Ugryzł się w palec, po czym strzepnął krew. Błoto znów zasyczało i rozprysło się na boki, a już po chwili kilka jardów od Hurwooda i Frienda wyrósł kolejny poskręcany chwast.

Dwaj czarownicy patrzyli na niego z identycznym grymasem zaskoczenia, ale też pewnej obawy. W końcu Hurwood wzruszył ramionami.

- Nic już nie da się zrobić - wymamrotał.

Jednoręki mężczyzna po raz kolejny przemówił i znów odpowiedział mu niewyraźny głos, choć tym razem zdawał się dolatywać z drugiej strony, zza Daviesa.

- Do diabła - mruknął Hurwood, kiedy zapadła cisza. - Jeszcze tego nie wie.

Shandy zobaczył, jak Friend machnął ręką.

- Możemy chwilę poczekać.

- Poczekamy, aż będzie wiedzieć i mi powie - stwierdził Hurwood stanowczo.

- Jaki on? - zapytał Czarnobrody.

- On, czyli... zjawisko, które wypytujemy - odparł Hurwood. - Choć w tym przypadku użycie zaimka „on” jest pewnym nadużyciem. - Westchnął głośno, najwyraźniej przekonany, że wszelkie próby wyjaśnienia rozbijają się o mur ignorancji i ciemnoty, ale ostatecznie górę wzięły belferskie przyzwyczajenia. - Prawa mechaniki Newtona są niezwykle przydatne do opisu

świata, który wszyscy znamy: dla każdej akcji istnieje taka sama, lecz skierowana przeciwnie reakcja, a obiekt wprawiony w ruch jednostajny będzie się poruszać takim ruchem, dopóki nie zadziała na niego jakaś siła. Jeśli jednak zagłębić się w bardzo specyficzne szczegóły pewnych wyjątkowych zjawisk o bardzo niewielkiej skali, jeśli człowiek rozpatruje je w tak drobiazgowy, a właściwie chorobliwy sposób, że niemalże kwalifikuje się do leczenia w szpitalu dla obłąkanych, wówczas okazuje się, że mechaniczny opis rzeczywistości Newtona jest tylko przeważnie poprawny. W drobnych wycinkach czasu i przestrzeni istnieje element niedookreślenia, odroczenia definicji, a prawda okazuje się wówczas płynna jak niedosmażone jajko. W normalnym świecie czynnik ten nie ma zbyt wielkiego znaczenia, ponieważ... prawdopodobieństwo, można tak chyba powiedzieć, jest we wszelkich miejscach zasadniczo stałe i zdecydowanie faworyzuje zasady Newtona. Tutaj jednakże nie ma stałości. Tu prawdopodobieństwa są spolaryzowane, choć ich wartości wypadkowe nie ulegają zamianie. W tej ziemi nie ma elastyczności, nie ma niewiadomych, w związku z czym jest ich mnóstwo w powietrzu. Zjawisko, które przepytaliśmy, było... tendencją osobowości. Możliwością zaistnienia świadomości.

Czarnobrody parsknął.

- A jakim językiem przemawiała owa możliwość?

- Najstarszym - odparł spokojnie Hurwood.

- Czy to właśnie dlatego tak trudno umiejscowić tę możliwość? - zapytał odruchowo Shandy.

- Tak - staruszek kiwnął głową - i nie próbuj tego robić. Nigdzie jej nie ma, ponieważ „gdzie” jest w przypadku tego fenomenu równie niestosownym atrybutem, jak „kto”. Jeśli próbujesz to zobaczyć, szukasz czegoś, które jest określone przez pewne „gdzieś” i „kiedyś”, i na tej podstawie wiele możesz zobaczyć, ale z pewnością nie znajdziesz... - Dokończył wypowiedź niejednoznacznym machnięciem ręki i cichym gwizdnięciem.

Przez co najmniej minutę stali nieruchomo w mrocznej dolinie, dygocąc z zimna, podczas gdy Hurwood wykrzykiwał wciąż te same, niezrozumiałe zwroty. Shandy rozejrzał się, chcąc sprawdzić, jak się czuje Beth, lecz stary profesor natychmiast przypomniał mu ostrym tonem, że ma patrzeć przed siebie.

- Ta zwłoka nie była częścią naszej umowy - rzucił w końcu zniecierpliwiony Czarnobrody.

- Świetnie - odparł Hurwood, po czym raz jeszcze wypowiedziawszy głośno dziwne słowa, dodał: - Odejdź, jeśli taka twoja wola. Może uda ci się trafić z powrotem do dżungli.



Czarnobrody zaklął, ale nie ruszył się z miejsca.

- Twój duch szuka dla ciebie jakichś odpowiedzi, co? - mruknął.

- Nie. Prędzej czy później znów się zmanifestuje, ale nie będzie to ta sama osobowość.

Choć zarazem nie będzie wcale inna. „Ta sama” oraz „inna” to w tym przypadku cechy zbyt określone. I nie dowie się tego, co jest mi potrzebne, po prostu tym razem będzie to wiedzieć. A jeśli nie tym, to następnym. Wyobraź sobie, że grasz w kości i czekasz, aż wypadnie dwójka albo dwunastka.

Minęło jeszcze trochę czasu i w końcu cierpliwe nawoływanie Hurwooda przyniosło skutek. Starzec rozmawiał z niemożliwym do umiejscowienia głosem przez jakąś minutę, a gdy skończył, Shandy usłyszał ciężkie kroki w błocie.

- Teraz możecie patrzeć, gdzie wam się podoba - powiedział Hurwood.

Shandy spojrzał w jego stronę. Widok zmrużonych oczu i napiętych mięśni zuchwy starego profesora nie pomógł mu opanować niepokoju.

- Leo - rzucił Hurwood nerwowo - przytrzymaj Elizabeth.

Friend ochoczo przystąpił do działania, sapiąc jak szczęśliwy pies. Beth wciąż wydawała się zdezorientowana, a Shandy spostrzegł, że oddychała znacznie szybciej.

Hurwood odwiązał drewniane pudełko, które nosił przy pasie, po czym zębami poluzował i strząsnął wieko. Shandy nie widział, co znajduje się w środku. Staruszek podszedł do córki i przytrzymał otwarte pudełko pod jej prawą ręką.

- Skalecz ją, Leo - powiedział.

Shandy drgnął, zanim jednak zdążył zareagować, Friend pochylił się ku Beth. Oblizując wilgotne usta i mrużąc oczy, wbił szpilkę do włosów w kciuk dziewczyny.

Dopiero wtedy otrząsnęła się z oszołomienia. Podskoczyła, patrząc na nakłuty palec, a potem spojrzała do pudełka, w które jej ojciec łąpał skapujące krople krwi. Pisnąwszy przeraźliwie, rzuciła się do tyłu i na czworakach próbowała wspinać po błotnistym zboczu.

Shandy pobiegł ją zatrzymać. Kilka jardów wyżej chwycił dziewczynę za drżące ramiona i delikatnie nią potrząsnął.

- Już w porządku, Beth - wydyszał. - Skaleczyli cię w rękę, ale wciąż żyjemy i niebawem będziemy chyba wracać. Najgorsze za...

- Tam jest głowa mojej matki! - krzyknęła Beth. - On trzyma w tym pudełku głowę mojej matki!

Shandy obejrzał się odruchowo, przerażony jej słowami. Hurwood siedział w błocie, zakładając pokrywkę na pudełko, a jego pomarszczoną twarz rozjaśniał wyraz niemalże

imbecylowej radości. Friend nie zwracał na niego uwagi; trzymał ręce w górze, jakby jeszcze do niego nie dotarło, że Beth wyrwała się z jego uścisku, i jednocześnie patrzył na nią łakomym wzrokiem, ale Davies, a nawet Czarnobrody spoglądali na jednorękiego starca ze zdumieniem i odrazą.

Beth zamilkła, wpatrzona tępo w przestrzeń. Na pięć długich sekund zapadła całkowita cisza, aż w końcu Hurwood podniósł się z wysiłkiem na nogi.

- Wracamy - rzucił. - Z powrotem na morze.

Jego głos był tak napięty od podekscytowania, że mówienie zdawało się sprawiać mu niemalą trudność.

Wspinali się mozolnie na szczyt stromego zbocza, a gdy wreszcie stanęli na równym terenie, Shandy objął Beth. Szli razem, choć dziewczyna nawet jednym spojrzeniem nie dała mu do zrozumienia, że dostrzega jego obecność.

Most znikł. Hurwood prowadził pochód rozjeżdżoną drogą gruntową, która ciągnęła się wzdłuż wrzosowisk okrytych cieniem burzowych chmur. Daleko z przodu wyrosły przed nimi góry, a gdy Shandy na chwilę się odwrócił, ujrzał zgrupowanie starych, kamiennych zabudowań, prawie całkiem pozbawionych okien. Ukryte za wysokim murem, musiały należeć do jakiegoś klasztoru albo zakonu. Zmrużywszy oczy, zauważył na szczycie muru ponad zamkniętą bramą szczupłą, długowłosą postać.

Nie był w stanie wywołać żadnej reakcji u młodej kobiety, która bez życia dreptała u jego boku, ale wciąż zerkając do tyłu, podniósł rękę i zamachał. Postać na murze odmachnęła - z wdzięcznością, a przynajmniej tak mu się wydawało.

## Rozdział piętnasty

Hurwood i Friend doprowadzili grupę z powrotem na ciemną, piaskową równinę, gdzie odzyskali wciąż rozgrzane buty i noże. Następnie dwaj czarownicy, posługując się lampą z pociętym kloszem, odnaleźli drogę do rozpalonej pochodni, którą Hurwood wbił w piasek, i stamtąd przedostali się do normalnego świata. Florydzka dżungla wyglądała teraz tak pokrzepiająco zwyczajnie, że Shandy wciągał w nozdrza zapachy bagien z radością człowieka, który wrócił na ukwiecone łąki swego dzieciństwa.

Pomógł Daviesowi i nieobecnemu duchem Bonnettowi rozpałić wszystkie pochodnie, a później zepchnąć na głębszą wodę łodzie i zawrócić je. Gdy tylko się z tym uporali, chwycił Beth za rękę i poprowadził ostrożnie przez grząską, zapadającą się ziemię do łodzi, którą wcześniej zajmował z Daviesem.

- W drodze powrotnej będziesz płynąć z nami - rzucił zdecydowanie.

Hurwood usłyszał te słowa i chciał gorączkowo zaprotestować, lecz przez chwilę z jego gardła wydobywało się jedynie dziwaczne, dziecięce gaworzenie. Zdawszy sobie z tego sprawę, zamknął oczy, by się skoncentrować, i spróbował ponownie.

- Dziew... dziewczyna zostaje... ze... mną - wydukał.

Upór starca zaniepokoił Shandy'ego. Dotychczas sądził, że rozgryzł jego plany, lecz najwyraźniej kryło się w nich coś więcej.

- Po co? - zapytał ostrożnie. - Przecież do niczego nie jest ci już potrzebna.

- Błąd... chłop... cze - wysylabizował Hurwood. - Tylko... jak brzmią... brzmiały te słowa?... schowałem je... tutaj. Wystrzelcie je w Jul... Boże Narodzenie. Margaret... zostanie... to znaczy, ona... dziewczyna płynie... ze mną.

- W-w-właśnie - dodał Friend, wydymając wilgotną wargę. - Z-z-zabierzemy j-j-jooo...

Zrezygnował z prób sklecenia zrozumiałego zdania i kiwnął głową w stronę łodzi, w której siedział Bonnett.

Raptem Shandy zrozumiał, co zamierza Hurwood, a gdy tylko przyszło mu to do głowy, uznał, że musi sprawdzić swoją teorię. Nie czuł żadnych skrupułów przed doprowadzeniem starca do rozpaczki, Beth zaś wydawała się nieświadoma otoczenia, przyłożył więc rozgrzany nóż do jej gardła. Zasłonił dokładnie rękojeść, aby jej ojciec nie mógł się zorientować, że skóry

dziewczyny dotyka tępa strona ostrza.

Z twarzy Hurwooda w okamgnieniu spłynął triumfalny uśmiezek, zastąpiony przez grymas śmiertelnego przerażenia. Starzec padł na kolana w oleistą kałużę i wraz z Friendem poczęli niezrozumiale bełkotać.

Choć potwierdziły się jego obawy, Shandy uśmiechnął się do mamroczącej dwójki.

- A zatem postanowione - powiedział.

Uważnie obserwując obu mężczyzn, trzymał nóż przy gardle Beth i cofał się powoli przez gąbczaste trzęsawisko. Doprowadził dziewczynę do łodzi, w której siedział zdeorientowany Davies.

Hurwood odwrócił się do Czarnobrodego i zawył błagalnie.

Król piratów obserwował rozgrywający się w blasku pochodni dramat zmrużonymi oczyma. Pokręcił powoli głową.

- Nasza umowa została sfinalizowana - powiedział. - Nie będę się wtrącać.

Davies odepchnął wiosłem łódź od błotnistej brzozy, gdy tylko Shandy i niemalże zamarała w katatonicznym bezruchu Beth znaleźli się w środku. Shandy schował nóż do pochwy.

Ponieważ Bonnett okazał się niezdolny do wykonywania czynności bardziej skomplikowanych niż wiosłowanie na wprost, obfity zadek Leo Frienda ugiał środkową ławę łodzi Hurwooda i jego pulchne, wrażliwe ręce delikatnie złapały za uchwyty wiosła. Staruszek przysiadł na rufie przodem do otyłego lekarza i zwiesił głowę, opierając podbródek na dłoni. Jego ramiona unosiły się i opadały, gdy oddychał głęboko.

Czarnobrody odepchnął swoją łódź od brzozy i popłynął jako pierwszy. Gdy się odwrócił, pochodnia znajdowała się dokładnie za jego głową, której widok przez tę krótką chwilę przypominał Shandy'emu całkowite zaćmienie słońca.

- Domyślam się, że mój wiosłarz już do nas nie dołączy? - odezwał się Czarnobrody.

Hurwood podniósł głowę i choć wymagało to pewnego wysiłku, zdołał odpowiedzieć, marszcząc z niezadowoleniem brwi.

- Nie. Nie... prędzej niż... twoje duchy. O ile tylko... nie zabraknie ziola... do... do pochodni... wszystkie tu... zostaną.

- W takim razie mam nadzieję, że pamiętam drogę powrotną - mruknął król piratów.

Friend zamrugnął spanikowany, zerkając przez ramię na Czarnobrodego.

- Co? Przecież przy płynęliśmy rzeką. Wystarczy, że będziemy się cofać po własnych śladach.

Davies zarechotał.

- Chyba pamiętałeś, Thatch, żeby rozrzucić okruszki?

- Nie - parsknął z odrazą Czarnobrody, wysuwając się naprzód - ale zawsze możemy zapytać o drogę w pierwszej przeklętej gospodzie, na jaką trafimy.

Trzy łodzie płynęły powoli przez bagna, a migotliwe pomarańczowe płomienie pochodni zatkniętych na ich dziobach były jedynym źródłem światła w wilgotnej ciemności. Białe grzybie głowy porastające brzegi rzeki nie wydawały żadnych dźwięków, jeśli pominąć sporadyczne parsknięcia, które delikatnie poruszały ich ustami. Shandy zastanawiał się, czy przypadkiem nie chrapią.

Po kilku minutach kanał, którym płynęli, rozszerzył się, umożliwiając normalne wiosłowanie. Shandy przeszedł na dziób, by usiąść wygodniej; nie musiał już wychylać się przez burtę i odpychać od wyrastających z mroku skarp i korzeni.

W pewnej chwili poczuł obecność morderczego gniewu. Na początku myślał, że sam jest jego źródłem. Odwrócił się do łodzi płynącej za nimi, spojrzał na zmęczonego, nieszczęśliwego Hurwoda i na Frienda, który przy każdym mozolnym ruchu wiosła skomlał cicho, i wówczas doszedł do wniosku, że ten gniew był inny. Jego gniew zwykle przychodził niespodziewanie, dławiąc w gardle i podszywając strachem, ten zaś wydawał się kwaśny, pierwotny i nikczemny. Emanował z umysłu zbyt egocentrycznego, aby w ogóle dopuścić do siebie możliwość strachu.

Czarnobrody złapał za pochodnię i podniósł się na nogi.

- Zdaje się, że to nasz znajomy, Este Fasta - zawołał cicho. - No chodź, przyjacielu zarycz na nas raz jeszcze i pomachaj w naszą stronę gałęziami!

Wyglądało na to, że dżungla jest świadoma jego słów, ponieważ Shandy wyczuł gorzki humor we wszechobecnych wyziewach gniewu. Czuł, jak ten byt myśli - jak zarośla myślał.

Miał wrażenie, że to, co ich obserwuje, nachyla się nisko nad łodziami. Powietrze stało się przytłaczająco ciężkie i musiał wkładać w oddychanie wiele wysiłku.

W oszołomieniu zaczerpnął z pakunku garść zioła i cisnął nim w płomień pochodni. Śmierząca chmura dymu poszybowała w górę przez zgęstniałe powietrze, by rozproszyć się między pnączami i porastającym je mchem.

Natychmiast wyczuł cierpienie niewidzialnego istnienia, lecz nie usłyszał krzyków. Duch mokradła nie uciekał; znosił ból, tym razem nie zamierzając się cofnąć.

Woda i powietrze - cała dżungla - przechodziły transformację.

- Nie zatrzy... mujcie się! - zawołał zdławionym głosem Hurwood. - Musimy się... stąd

wydostać!

- Powodzenia - syknął jadowicie Davies, ale naparł z desperacją na wiosła.

Woda zatrzęsała się jak galareta, a parne powietrze wypełniło mokrymi drobinkami roślin, które spadały z drzew. Struktura łodzi zdawała się zmieniać pod stopami Shandy'ego, nabierać elastyczności. Gdy spojrział w dół, zamiast klepek zobaczył nie przycięte gałęzie wypuszczające zielone, błyszczące liście. Poruszały się, rozrastały, gdy na nie patrzył - czuł, jak wybrzuszą się pod jego butami. Zauważył, że na jego nagim ramieniu leży kępa wodorostów. Chciał ją strząsnąć, ale jeden z końców przywarł do jego skóry. Gdy chwycił za drugi i szarpnął, zorientował się, że wyciąga coraz grubszą ich kępkę z otworu we własnym ciele. Czuł, jak wodorosty poruszyły się pod skórą, od palców aż po ramię. Natychmiast puścił, wzdrygnąwszy się, a wówczas zobaczył, jak spod paznokci wyrastają mu małe zielone pędy.

Odwrócił się do Daviesa. Tył jego głowy przypominał bujny klomb - kwitnące na oczach Shandy'ego kwiaty przekrzywiły kapelusz starego pirata. Obok Daviesa siedziała Beth. Dyszała ciężko, pochwycona w sidła roślinnej przemiany. Shandy poczuł, jak wstrząsnął nim dreszcz, ale spojrział dalej, na ostatnią łódź.

- Rzućcie mu... kogoś - zdążył zawyć Hurwood, zanim jego gardło zatkały gałązki.

- Bonnetta - wychrypiął Friend. Z jego grubych rąk zostały już tylko wzniesienia wystające z pni, które zaczynały się przy ramionach lekarza, przechodziły przez dulki wiosel i wpadały do wody. - Dajcie temu czemuś Bonnetta.

Czarnobrody uniósł głowę, która była ogromnym, rozkwitającym kwiatem orchidei. Pręciki obkurczyły się i doleciał zza nich świszczący głos:

- Tak. Bonnetta.

Davies kiwnął ukwieconą głową.

Shandy poczuł chłód wody przepływającej między palcami stóp i dopiero wtedy dotarło do niego, że jego nogi zamieniły się w korzenie, które przedziurawiły dno łodzi. Zorientował się, że nie może poruszyć szyją.

- Nie - wyszeptał przez gardło pełne poskręcanych trzcin. - Nie rób. Zostaw... Bonnetta. Czy ja... rzuciłem cię... marynarce?

Davies zgarbił się.

- Niech cię diabli, Jack - rzucił świszczącym głosem.

Shandy spojrział w stronę ostatniej łodzi. Leo Friend był grubym, mokrym pniem z pajęczymi gałęziami sterczącymi na wszystkie strony; Bonnett przypominał pniak cyprysu porośnięty grzybem, a Hurwood, który utracił zdolność mówienia, przybrał postać kępy paproci

chwiejącej się gwałtownie jak na silnym wietrze.

Davies napierał z całych sił na wiosła, ale ich łódź rozpadała się szybciej od pozostałych i zdążyła nabrać wody niemal do nadburcia. Shandy pomyślał, że prawdopodobnie wciąż mają dość czasu, by odłożyć wiosła, poczekać, aż zrówna się z nimi łódź Hurwooda i oderwawszy korzenie Bonnetta od jej dna, wrzucić go do rzeki. Być może dzięki tak hojnej ofierze obecność, która ich prześladowała, puściłaby resztę wolno, ale wydawało się, że Shandy skutecznie wybił Daviesowi ten pomysł z głowy.

W tej samej chwili stary pirat puścił wiosła i podniósł się.

A jednak to zrobi, pomyślał Shandy. Tak nie wolno, Phil, tak się po prostu nie godzi, ale, na litość boską, pospiesz się!

Tymczasem Davies podniósł obutą stopę i przeciągnął po ubłoconej podeszwie liściem paproci, który był teraz jego prawą dłonią. Następnie powtórzył ten sam ruch lewą. Podczas gdy Shandy zachodził w głowę, co u licha wyprawia ten szaleniec, dwie wiotkie, zielone kończyny uformowały z błota pocisk.

Niech cię szlag, Davies, pomyślał Shandy, na co ci pocisk z błota?

Jego niesamowicie wydłużone palce stóp dosięgły wreszcie dna i zaczęły wkopywać się w szlam. Czuł, jak w nogach krążą mu składniki odżywcze. Jego ręce znikły, a w dojrzałych konarach nie było najdrobniejszej szczeliny pozwalającej odróżnić, która ich część należała niegdyś do człowieka, a która do łodzi.

Davies położył kończynę na rozedrganym nadburciu. Natychmiast pochwycił ją korzeń, ale kwitnący pirat zaparł się o dno stopami i drugim konarem rzucił pociskiem najwyżej, jak potrafił.

Bomba eksplodowała. Powietrze sprężyło się w krzyk, który w równym stopniu ogłuszył ich uszy, co umysły i cisnął rozbujanymi łodziami na wszystkie strony. Fala uderzenia rozeszła się na boki, pozostawiając po sobie tak mroźne powietrze, że Shandy'ego rozbolały zęby, gdy odetchnął przez usta. Przekręcił się na drugą stronę, jednocześnie rejestrując fakt, że może to zrobić. Nie był już przytwierdzony do szkieletu łodzi, która znów sprawiała wrażenie całkiem normalnej; znikły poskręcane gałęzie, a dno wyglądało na stosunkowo suche. Beth leżała na rufie. Nie widział, czy jest przytomna, ale oddychała równomiernie, odzyskawszy ludzką postać. Davies, wsparty plecami na wiosłach, śmiał się zmęczonym głosem, tuląc do piersi poparzoną dłoń. Jakimś sposobem z nieba lunął deszcz, choć baldachim dżungli był tak samo szczelny jak wcześniej.

Shandy'emu dzwoniło w uszach i musiał podnieść głos, by usłyszeć własne słowa:

- Zabiła to garść błota?

- Część błota z moich podeszew pochodziła spod Fontanny - krzyknął Davies, a mimo to Shandy ledwie go słyszał - a w tych okolicach jest ono trujące dla wszystkich umarłych, lecz ponownie ożywionych istot.

Shandy spojrzął przed siebie. Czarnobrody, który najwyraźniej postanowił odłożyć wyjaśnienia na później, złapał za wiosła i skierował łódź na właściwy kurs.

- Ośmielę się zasugerować jaśniepanu - zawołał Shandy do Daviesa, wciąż oszołomiony - aby jaśniepan w trybie natychmiastowym podjął wszelkie wysiłki w kierunku odholowania stąd naszych zacnych zadków!

Davies odgarnął z czoła kosmyk włosów i usiadł na ławie wiosłarza.

- Drogi przyjacielu, twe słowa są dla mnie rozkazem.

Wszędzie wokół było teraz słycać dźwięki przypominające ujadanie psów i kwiczenie świń. Ponieważ Shandy wciąż miał kłopoty ze słuchem, dopiero po jakiejś minucie zdał sobie sprawę, że odgłosy te wydawały grzybie głowy.

- Warzywne chłopak! wyjątkowo dziś głośne! - próbował przekrzyczeć harmider.

- Zapewne ulułały się w trupa! - odparł Davies, śmiejąc się odrobinę histerycznie. - Cholerne utrapienie!

Beth podniosła się i usiadła na rufie. Patrzyła przed siebie zmrużonymi oczyma i gdyby nie białe kłykcie jej dłoni zaciśniętych kurczowo na nadburciu, wyglądałaby na odprężoną.

Wkrótce mgła utworzyła wokół pochodni złociste aureole. Czarnobrody odbił na południe i choć Shandy poprowadził Daviesa tym samym, jak sądził, kanałem, łódź króla piratów znikła im sprzed oczu. Wszystkie błyski odbitego światła zdawały się pochodzić od ognia pochodni, a mimo że Czarnobrody odpowiadał ochryple na nawoływanie, jego głos był odległym, niemożliwym do umiejscowienia echem.

Pogodziwszy się z faktem, że zgubili swego przewodnika, Shandy spojrzął do tyłu, w kierunku, z którego przyłynęli. Łodzi z Hurwoodem, Friendem i Bonnettem także nigdzie nie widział.

- Teraz jesteśmy zdani wyłącznie na siebie - powiedział do Daviesa. - Myślisz, że potrafisz doprowadzić nas do morza?

Stary pirat zatrzymał się i rozejrzał po okolicznych kanałach. Wszystkie co do jednego wyglądały dokładnie tak samo jak dziesiątki innych, które dziś mijali - porozdzielane gąszczem drzew, korzeni i pnączy, nie różniły się w widoczny sposób od dowolnej części mokradeł.

- Jasne - odparł i splunął do oleistej wody. - Mogę nawigować na gwiazdy.



Shandy spojrział w górę. Wysokie zadaszanie ze splątanych gałęzi i mchu wydawało się solidne niczym strop katedry.

Przez następną godzinę Shandy nawoływał towarzyszy, lecz nikt mu nie odpowiadał. Beth siedziała w zupełnym bezruchu, nie poruszając nawet palcem, a z każdym przebyłym jardem mgła stawała się coraz gęstsza. Davies prowadził łódź przez kręte kanały, obserwując leniwy nurt i starając się płynąć w tę samą stronę. Spowalniały go jednakże ślepe zaułki, nieruchome sadzawki i miejsca, gdzie prąd skręcał ku lądowi. Mimo tego w końcu odnaleźli szerszy kanał o wyczuwalnym nurcie. Shandy odetchnął z ulgą, bo światło ich pochodni zdawało się od jakiegoś czasu blednąć.

- Teraz musi się udać - wydyszał Davies, wiosłując środkiem kanału.

Shandy spostrzegł, że stary pirat wykrzywił twarz w bólu, napierając na wiosła, i przypomniał sobie o jego poparzonej dłoni. Już chciał zażądać, by się zmienili, gdy raptem usłyszał jedną z grzybich głów.

- Ślepy zaułek - wycharczała. - Trzymaj się lewej. Wąsko, ale dotrzesz do celu.

Ku swemu zaskoczeniu Shandy odniósł wrażenie, że zna ten głos.

- Halo? - zawołał szybko do białego czerepu o niewyraźnych rysach.

Nie odpowiedział, a Davies wciąż płynął tym samym kanałem.

- Mówił, że to ślepy zaułek - odważył się stwierdzić po chwili Shandy.

- Po pierwsze - zaczął Davies słabym głosem - ten przeklęty łeb tkwi w błocie, skąd więc miałby wiedzieć, która droga jest właściwa? A po drugie, dlaczego mamy zakładać, że chce nam dać uczciwą radę? Ledwie się nam udało nie zapuścić tu korzeni. On nie miał aż tyle szczęścia, dlaczego komuś takiemu miałoby zależeć na naszym powodzeniu? Nieszczęśliwi lubią swoje towarzystwo.

Shandy zmarszczył z powątpiewaniem brwi, patrząc na dogasającą pochodnię.

- Ale one... nie sądzę, żeby były tym, w co my się zmienialiśmy. My zamienialiśmy się w normalne rośliny: kwiaty, krzaki i co tam jeszcze. I każdy z nas był inny, a ci chłopcy wszyscy są tacy sami.

- Zawróć, Jack - pisnęła kolejna nadęta głowa i znów Shandy'emu wydawało się, że gdzieś już słyszał ten sposób intonacji.

- Jeśli już, to ten kanał robi się szerszy - upierał się Davies.

Jedna z grzybich głów zwisała z gałęzi pochylonej nad wodą i gdy pod nią przepływali, rozwarła otwór gębowy.

- Tam tylko bagna i ruchome piaski. Zaufaj mi, Jack - powiedziała.

Shandy spojrział na Daviesa.

- To był... to był mój ojciec - wymamrotał drżącym głosem.

- Wykluczone - parsknął Davies, jeszcze energiczniej machając wiosłami.

Shandy spojrział przed siebie i rzucił w ciemność:

- W lewo, tato?

- Tak - wyszeptał kolejny grzyb. - Ale wpierw zawróć, a potem z nurtem do morza.

Davies jeszcze dwa razy stęknął, po czym wściekle uderzył wiosłami o wodę.

- Świetnie! - Zaczął zawracać łódź. - Chociaż mam dziwne przeczucie, że sami skończymy jak te grzybie łby i będziemy dawać zwodnicze wskazówki innym przeklętym głupcom, którzy tu zawędrują.

W blasku dogasającej pochodni udało im się wypatrzeć przerwę w skarpie i Davies niechętnie wpłynął w wąski kanał, zostawiając za plecami silny, szeroki nurt. Gdzieś we mgle zamajaczyło przed nimi chłodne światło kuli dusz.

Gęsta mgła spływała w dół rzeki, przesączając się przez splątane gałęzie i pnącza niczym mleko kapiące na powierzchnię czystej wody. Wkrótce jej kożuch stał się tak zbity, że blask pochodni był tylko bladą, pomarańczową plamą na tle szaroczarnej tkaniny nocy. Na szczęście kanał, którym płynęli, nie rozszerzał się i wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć mokrych krzewów porastających brzeg.

- Nurt zaczyna przyspieszać - przyznał niechętnie Davies.

Shandy kiwnął głową. Mgła przeszywała chłodem do kości i gdy zaczął dygotać, zdał sobie sprawę, że Beth jest ubrana w lekką, bawełnianą sukienkę. Zdjął płaszcz i opatulił nim osowiałą dziewczynę.

Wpłynęli w tak wąski zakręt, że Davies musiał wciągnąć wiosła do łodzi, by się w nim zmieścić. Po chwili silniejszy nurt wypchnął ich na powierzchnię rozległego zbiornika wodnego. Najgęstsze pasma tropikalnej mgły zostawili za sobą, dzięki czemu Shandy zobaczył wkrótce trzy ogniska płonące w oddali na plaży.

- Ha! - krzyknął radośnie, klepnąwszy Daviesa w zdrową rękę. - Tylko popatrz!

Stary pirat rozejrzał się i odwrócił do Shandy'ego z szerokim uśmiechem.

- Spójrz tam. - Skinął głową w stronę rufy.

Shandy podążył za jego wzrokiem i zobaczył we mgle niewyraźny blask dwóch pochodni.

- A zatem innym też się udało - stwierdził już nie tak wesołym tonem.

Beth spojrziała za siebie.

- Czy na jednej z tych łodzi... płynie mój ojciec?

- Tak - odparł. - Ale nie pozwolę, żeby zrobił ci krzywdę.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Łódź odbiła lekko w stronę brzegu, gdyż Davies wkładał już mniej wysiłku w wiosłowanie poparzoną ręką. Gdy tylko piraci obozujący na plaży dostrzegli zbliżające się łodzie, zaczęli krzyczeć i dać w trąbki.

- A próbował mnie skrzywdzić? - zapytała Beth.

Shandy spojrzał jej w twarz.

- Nie pamiętasz? On... - W porę doszedł do wniosku, że być może nie jest to najlepszy moment na przywoływanie potwornych wspomnień. - Kazał Friendowi skaleczyć cię w palec - dokończył mało przekonująco.

Spojrzała na swoją rękę i nic nie mówiła, dopóki nie znaleźli się bliżej ognisk. Mężczyźni wskakiwali do wody, by pomóc im wyjść na brzeg.

- Pamiętam, że trzymałeś nóż przy moim gardle - powiedziała nieobecny głosem.

- Tępą stroną - wycedził przez zęby, tłumiąc zniecierpliwienie. - I nawet cię nie dotknąłem! Chodziło o to, by poddać próbie twego ojca, sprawdzić, czy wciąż jesteś mu potrzebna do ukończenia magicznej procedury i czy nie wystarczy mu odrobina twojej krwi! Na Boga, przecież próbuję cię chronić. Przed nim!

Kilku piratów dotarło do ich łodzi. Chwycili za nadburcie i pociągnęli ją w stronę brzegu.

- Magia... - wymamrotała Beth.

Shandy musiał się nachylić, by usłyszeć jej słowa przez gwar głosów podekscytowanych piratów.

- Czy ci się to podoba, czy nie, wpadliśmy w to po uszy - rzucił głośno.

Beth przestąpiła jedną nogą przez burtę i opuściła się do płytkiej wody, po czym spojrzała do tyłu. Pochodnia na rozbujanym dziobie ledwie się tliła, lecz jej przyćmiony blask wystarczył, by ukazać grymas zdenerwowania na twarzy dziewczyny.

- Ty w to nie wpadłeś, Jack. Ty postanowiłeś zeskoczyć.

Odwróciwszy się, ruszyła przez wodę w kierunku ognisk.

- Zobaczysz - rzucił Shandy do Daviesa - wyciągnę ją z tego, choćby tylko po to, by jej udowodnić, jak bardzo znów się myli!

\* \* \*

- Chłopcy, jak wspaniale was widzieć! - zawołał jeden z piratów tłoczących się przy

łodzi. Wyciągnęli ją na brzeg przez przesmyk wycięty w korzeniach. Shandy i Davies wstali, rozciągając obolałe mięśnie. Krzyki powoli zamierały.

- Jeszcze wspanialej wrócić między swoich - powiedział Davies.

- Musicie być głodni jak diabli - wtrącił się inny mężczyzna. - Chyba że znaleźliście tam coś do jedzenia?

- Nie mieliśmy kiedy szukać. - Davies odwrócił się, by śledzić dwie pozostałe łodzie. - Która godzina? Może Jack przygotowuje dla nas coś w rodzaju wczesnego śniadania.

- Nie wiem, Phil, ale niezbyt późno. Godzina, może dwie po zachodzie słońca.

Shandy i Davies spojrzeli jednocześnie na mężczyznę.

- Ale przecież wypłynęliśmy jakąś godzinę po zachodzie - stwierdził Shandy. - Nie było nas co najmniej siedem godzin.

Pirat wpatrywał się w niego tępo.

- Jak długo nas nie było? - zapytał w końcu Davies.

- No... ze dwa dni - odparł skonsternowany mężczyzna. - Tak, prawie dokładnie dwa dni, od zmierzchu do zmierzchu.

- No tak. - Davies kiwnął w zamyśleniu głową.

- Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz - wyrecytował Shandy, zbyt zmęczony, by silić się na zrozumiałe wypowiedzi. Spojrzał w stronę nadpływających łodzi. Zastanawiał się sennie - bo pomimo wniosków, do jakich doszedł, chwilowo marzył wyłącznie o solidnym kielichu, hamaku i dwunastu godzinach snu - jak powstrzyma Hurwooda przed wyrwaniem z ciała Beth jej duszy, aby mogła je zająć zmarła żona starego profesora.

## Rozdział szesnasty

O świcie mgła przelała się przez brzegi rzeki, spowijając ląd i morze prawie nieprzejrzystym woalem, tak dojmująco zimnym, że piraci gromadzili się tłumnie przy skwierczących ogniskach. Dopiero przed południem, gdy opary zaczęły opadać, spostrzegli, że „Hałaśliwy Carmichael” znikł. Zmarnowali kolejne pół godziny, pływając szalupami wzdłuż brzegu i biciem w dzwony oznajmiając, że okrętu nie widać.

Ponieważ większość załogi znajdowała się wtedy na lądzie, w pierwszej chwili uznano, że w jakiś sposób okręt zerwał się z kotwicy i zdryfował na morze. Wtedy jednak przybiegł rozgorączkowany Hurwood, krzycząc, że nigdzie nie może znaleźć córki ani Leo Frienda.

Shandy stał na plaży w pobliżu jednej z szalup, gdy dotarły do niego wieści starego profesora. Jakies sto stóp dalej Davies i Czarnobrody toczyli ściszonymi głosami nerwową rozmowę, ale na dźwięk pokrzykiwania natychmiast się odwrócili.

- To z pewnością nie jest zbieg okoliczności - stwierdził Czarnobrody sucho.

- Ale ten gruby chłoptaś? - zdziwił się Davies. - Dlaczego?

- Zapytaj swego kwatermistrza. - Król piratów skinął na Shandy'ego. - Jak sądzisz, Shandy? - krzyknął.

Shandy ruszył w ich stronę, czując w środku pustkę chłodniejszą od mgły.

- Przecież to jasne, sir - mruknął zachrypniętym głosem. - Wiele razy widziałem, jak na nią patrzył.

- Ale dlaczego ukradł mój okręt? - parsknął Davies, odwracając się ze złością ku zasnutemu mgłą morzu.

- Musiał zabrać stąd Beth - wyjaśnił Shandy. - Stary Hurwood miał w związku z jej osobą pewne plany, które... nie przystawały do planów Frienda.

Mówił cicho, choć czuł się naprężony jak żelazna sztaba.

Czarnobrody, także patrząc na morze, pokręcił ogromną głową.

- Wiedziałem, że był kimś więcej niż uczniem Hurwooda, że miał w tej wyprawie jakiś własny cel. Dzięki Fontannie wreszcie zdobył to, na czym mu zależało. Powiniennem był zabić go wczorajszej nocy, zaraz po naszym powrocie. Wydaje mi się, że mógłbym.

Wielki pirat wyciągnął przed siebie zaciśniętą pięść i uderzył nią w otwartą dłoń drugiej

ręki. Dźwięk uderzenia zagłuszyła nagle, wibrująca eksplozja, a niebo rozcięła oślepiająca błyskawica. Shandy i Davies cofnęli się odruchowo, mrugając.

- Wydaje mi się, że mógłbym... - powtórzył w zamyśleniu Czarnobrody.

Kiedy echo grzmotu przetoczyło się przez plażę, a król piratów opuścił ręce, Shandy poczuł ukłucie żalu, że sam nie strzepnął kropli krwi na błoto przy Fontannie. Ta myśl przypomniła mu o sposobie, w jaki Davies zwyciężył, a być może nawet zabił loa florydzkiej dżungli. Przesądnie uniósł nogę i przeciągnął paznokciem po szczelinie między podeszwą a bokiem buta. Zrolował w dłoniach kulkę z mułu i schował ją do kieszeni. Nie wiedział, czy zawierała choć odrobinę błota spod Fontanny ani przeciwko jakiemu wrogowi miałby jej użyć, lecz jedno było dla niego jasne: w walce, jaką teraz toczyli, człowiek noszący przy sobie jedynie stal i proch wydawał się śmiesznie bezbronny.

- Muszę odzyskać swój okręt - wycedził przez zęby Davies, a Shandy zrozumiał, że razem z „Hałaśliwym Carmichaelem” stary pirat utracił swą pozycję; bez „Carmichaela” był tylko szyprem mocno sponiewieranego, lecz poza tym przeciętnego małego słupu. Spojrzał desperacko na Czarnobrodego. - Popłyniesz mi pomóc? Ten grubasek jest teraz potężniejszy niż jeszcze parę dni temu, a nawet wtedy znał kilka niezłych sztuczek.

- Nie - odparł Czarnobrody z kamienną twarzą. - W tej chwili Woodes Rogers może już siedzieć na New Providence z ułaskawieniem, którym jego król chce mnie ograbić z narodowości. - Od morza zadął wiatr, rozwiewając lwią grzywę czarnych włosów i brody króla piratów, a Shandy zauważył pasemka siwizny przy skroniach i na podbródku. - Zależało mi, aby „Carmichael”, z tobą jako kapitanem, został okrętem flagowym mojej floty... i wciąż mam nadzieję, że uda ci się go odzyskać. Wygląda jednak na to, że czasy awanturnictwa bezpowrotnie mijają, tak jak minęły czasy wesołych bukanierów. Nastął wiek imperiów. - Uśmiechnął się półgębkiem do Daviesa. - Czy nasi bracia, jeśli damy im wolną rękę, zostaną ze mną, czy raczej przyjmą ułaskawienie króla?

Davies odpowiedział zmęczonym uśmiechem. Zanim się odezwał, pozwolił, by morska fala przewaliła się i dotarła spieniona do czubków ich butów.

- Przyjmą ułaskawienie - stwierdził, obserwując cofającą się wodę. - Żeglować z Czarnobrodym to jak podpisać na siebie wyrok śmierci.

Czarnobrody kiwnął głową.

- Ale...

Davies wzruszył ramionami.

- Problem nie zniknie, chyba że król Jerzy ma dość oleju w głowie, by zaangażować się

w kolejną wojnę. Karaiby pełne są mężczyzn, którzy nie znają innego fachu prócz pływania na uzbrojonych okrętach. W czasie pokoju ci ludzie nie będą mieli co ze sobą począć. Przyjmą ulaskawienie - z wdzięcznością! - aby wymazać przeszłe winy... Ale miesiąc albo dwa później każdy z nich trafi z powrotem na morze.

Czarnobrody przytaknął i choć Shandy z Daviesem odskoczyli, nawet nie spojrzął w dół. Fala omyła mu buty, owijając wokół jego kostki długą kępkę wodorostów. Dopiero po chwili odezwał się cichym, spokojnym głosem:

- Zaakceptowałyby przywództwo nieznanego kapitana z okrętami i pieniędzmi?

- Oczywiście. A gdyby jeszcze ów kapitan miał czyste konto, mógłby wybierać spośród wszystkich żeglarzy Nowego Świata, gdyż nie pogwałciliby warunków ulaskawienia, pływając pod jego banderą. Ale kogo masz na myśli? Nawet Shandy zdążył sobie zapracować na niegorszą reputację.

- Czy wiesz, dlaczego Juan Ponce de León nazwał tamto miejsce Fontanną Młodości?

- Nie. - Davies zaśmiał się krótko. - Od chwili, gdy ją odnaleźliśmy, czuję się co najwyżej o wiele starszy.

Czarnobrody odwrócił się do Shandy'ego.

- Jak sądzisz, Jack?

Shandy przypomniał sobie o błżeństwach z głową nieżyjącej żony Hurwooda.

- Ponieważ pozwala przywrócić zmarłych do życia.

Król piratów kiwnął głową.

- Byłem pewien, że się tego domyślisz. Tak, stary Hurwood chce wskrzesić ducha żony z zasuszonej głowy i umieścić go w ciele córki. Cóż za pech dla biednej dziewczyny, która będzie się błąkać po świecie bez ciała. - Wielki pirat zaśmiał się łagodnie. - Hurwood przyплыł do Nowego Świata w zeszłym roku, gdy usłyszał, że magia jest tu równie powszednia co zboże.

Przy ogniskach wybuchło jeszcze większe zamieszanie, ale Czarnobrody zagłębił się we wspomnieniach.

- Kula pistoletowa paskudnie roztrzaskała mu rękę - powiedział. - Musieliśmy ją odrąbać i zasmolować kikut. Nie wierzyłem, że mężczyzna w jego wieku przetrwa taki zabieg, lecz on już na drugi dzień wydawał się o nim nie pamiętać. Za to cały czas uważnie mnie obserwował. Duchy nie dawały mi wtedy spokoju i musiałem dwa, a nawet trzy razy dziennie pić koktajl z rumu i prochu. I choć w Starym Świecie magia umarła tysiące lat wcześniej, Hurwood zdołał odnaleźć jej trop i dokopać się do kości... A potem je studiował. Wiedział, co

mnie dręczy, i miał całkiem niezłe pojęcie, w jaki sposób nawiedziły mnie te wszystkie duchy. Zaoferował, że mnie z nich wyleczy - że je wyegzorcyzmuje - jeśli tylko pokażę mu miejsce, gdzie je złapałem. Świetnie, odparłem, w takim razie chodźmy, ale on mnie zatrzymał. Nie tak szybko, mówi. Potrzebowaliśmy środka przeciwko duchom, specjalnego leczniczego zioła, które Indianie uprawiają w Karolinie. Miałem je zdobyć na północy, a on musiał wrócić po kilka rzeczy do Anglii, zdaje się, że po córkę i głowę zmarłej żony. Przywrócenie jej do życia było jedynym powodem, dla którego zainteresował się poszukiwaniami żywej magii. Zanim jednak wypłynął do Anglii, wrócił z nami na New Providence i przez kilka tygodni mieszkał z tamtejszymi bokorami. Pewnej nocy wziął któregoś z nich i popłynął na zachód. Gdy rano pojawił się z powrotem w mieście, wyglądał na zmęczonego i obłąkanego, ale był niezwykle podekscytowany. Wiedziałem, że znalazł jakiś sposób na skontaktowanie się z żoną. Niedługo później opuścił wyspę, obiecawszy mi wcześniej, że zgodnie z ostatnim punktem naszej umowy sprowadzi dla mnie wspaniały okręt.

Shandy przywołał z pamięci obraz starego kapitana Chawortha, a gdy tylko uzmysłowił sobie, że sam należał teraz do tego gatunku ludzi, którzy umieją zrujnować i zabić życzliwego człowieka, poczuł w ustach smak gorzkości.

- Rzecz jasna, Hurwood miał rację - ciągnął ściszym głosem Czarnobrody. - To prawda, korzystamy tutaj z magii, a ci z nas, którym nie brak rozsądku, aby słuchać czarnych bokorów, w szczególności zaś ci, którzy żyją na morzu, znają kilka chytrych sztuczek. Ja znam ich być może więcej niż ktokolwiek inny, a odkąd wróciliśmy z naszej wyprawy w górę rzeki, mam dość mocy, by posługiwać się nimi w sposób niezrównany. - Odwrócił się do Daviesa i Shandy'ego. - Pierwszy raz usłyszałem o Fontannie wiele lat temu. Mówili, że wiąże się z nią pewna magia, i dlatego chciałem ją odnaleźć... Człowiek obdarzony wystarczającą mocą może dzięki Fontannie zyskać nieśmiertelność. Trzeba tylko pamiętać, by nie schodzić zbyt często na ląd. Wystarczy krew, świeża krew i morska woda, nie trzeba głowy ani ciała do pomieszczenia duszy. Zaledwie kilka godzin po tym, jak krew czarownika skapnie na wodę, na morzu powstanie nowe ciało w czymś w rodzaju jaja...

Davies zmarszczył w zamyśleniu czoło.

- Już rozumiem. Zamierzasz...

- Popłynąć na północ, do jakiegoś cywilizowanego miejsca, gdzie wszystkie wydarzenia są skrupulatnie dokumentowane i trafiają do oficjalnych akt. Wydaje mi się, że osławiony Czarnobrody trafi tam w zasadzkę i zginie w bitwie morskiej w taki sposób, że odrobina jego krwi dostanie się do oceanu... I wcale bym się nie dziwił, gdyby pojawił się później nieznany



nikomu człowiek, który zupełnie przypadkiem będzie wiedział, gdzie ukryłem wszystkie swoje zdobycze, człowiek, któremu ani reputacja, ani sława czy historia nie pokrzyżują planów. Wydaje mi się, że ów mężczyzna zdobędzie w jakiś pokątny sposób okręt - ha, mogę się nawet założyć, że pomoże mu w tym niejaki Stede Bonnett - a później przyplynie na wyspę New Providence. Wydaje mi się, że będzie chciał rozmawiać z tobą, Phil, i wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyś do tego czasu odzyskał „Carmichaela”.

Davies kiwnął głową.

- Czy w takim razie chcesz, żebyśmy... przyjęli od Rogersa ułaskawienie?

- Dlaczego nie, Phil - odparł Czarnobrody.

- Słyszałeś, Jack? - Davies zwrócił się do Shandy'ego. - Z powrotem w witrynę naszego małego warsztatu.

Shandy otworzył usta, by coś powiedzieć, ale po chwili zamknął je i pokręcił głową.

- Twój przyjaciel za bardzo rozsmakował się w grzechu, Phil - rzucił Czarnobrody głosem grzmiącym od rozbawienia.

\* \* \*

Benjamin Hurwood pokonał ostatnie dziesięć jardów nerwowym, nienaturalnie skocznym krokiem, sprawiając, że drewniane pudełko przytroczone do jego pasa rozkołysało się i zakręciło gwałtownie.

- Kiedy wypływamy?! - krzyknął. - Chyba nie muszę wam tłumaczyć, jak pośpiech jest w tej chwili nieodzowny! Przecież on w każdej chwili może ją zabić, teraz z pewnością ma dość mocy, aby przezwyciężyć wszystkie środki ochronne!

Czarnobrody zignorował starego profesora.

- Płynę na północ - powiedział i ruszył w stronę ognisk.

Davies zlustrował wzrokiem bladego, roztrzęsionego staruszka, po czym spytał:

- Będiesz umiał ich znaleźć?

- Naturalnie, że będę umiał ich znaleźć, a w każdym razie dziewczynę. - Poklepał z lekceważeniem drewniane pudełko. - Mam tu cholerny kompas, o wiele skuteczniejszy od wskaźnika, który miesiąc temu doprowadził cię do „Carmichaela”.

- W takim razie wypływamy, jak tylko obsadzimy „Jenny”. Trzeba... - Davies urwał. - A co z załogą „Carmichaela”? - zapytał po chwili. - Co z ludźmi, którzy nie zmieszczą się z nami na słupie?

- A kogo to obchodzi? - zawył rozpaczliwie Hurwood. - Podziel ich między okręty,

połowa na okręt Thatcha, połowa na Bonnetta. Aż boję się pomyśleć, co zrobię temu obślizgłemu robakowi, kiedy go dorwę w swoje ręce! Przysięgam ci, Leo Friendzie, nawet Prometeusz tyle nie wycierpiał, ile...

- O nie - rzucił Davies, wciąż zamyślony. - Żaden z moich chłopców nie popłynie na północ z Thatchem. Prędzej załaduję „Jenny” ludźmi aż po nadburcie, niż na to pozwolę.

Stary profesor zamknął oczy, przestępując z nogi na nogę, i zacisnął drżące pięści. Zaczął się powoli unosić i zawisnął jakiś jard nad piaskiem, przez nic nie podtrzymywany. Na moment uniósł powieki, po czym syknął wściekle i zacisnął je jeszcze mocniej- aż nagle jakaś potworna siła cisnęła nim jak lalką o luźnych kończynach w morze. Z potężnym hukiem uderzył w wodę tuż za linią przewalających się fal.

Piraci, którzy znajdowali się na plaży, przerwali pracę, by przyjrzeć się temu niecodziennemu zjawisku. Unieśli głowy, w zdumieniu obserwując deszcz rozprysniętych kropeł wody.

- Wyciągnijcie go - wychrypiał Davies do najbliższej grupki mężczyzn. Piraci doskoczyli do szalupy, zepchnęli ją na morze i złapali za wiosła. - Chcesz odzyskać dziewczynę, zgadza się? - zapytał Shandy'ego.

- Tak.

- A ja chcę odzyskać mój okręt, więc wsadźmy Hurwooda na pokład „Jenny”, zanim udoskonali sztukę latania i poleci szukać córki bez nas.

Piraci przepchnęli szeroką łódź przez mieliznę.

- Nie przypluwajcie z nim tutaj - zawołał do nich Davies. - Zabierzcie go na „Jenny”!

- Tak jest, Phil! - odkrzyknął jeden z marynarzy przy wiosłach.

Davies chwycił Shandy'ego za rękę.

- Wracamy do obozu, Jack - rzucił. - Wyślij na „Odwet”, okręt Bonnetta, tylu chłopców z „Carmichaela”, ilu się tam pomieści, a resztę przyprowadź na plażę i każ obsadzić „Jenny”. Tylko żeby żaden z moich ludzi nie trafił na „Zemstę Królowej Anny”, rozumiano?

- Zrozumiano, Phil - odparł Shandy. - Za trzy minuty będą w szalupach.

- Świetnie. Idź.

\* \* \*

Gdy tylko Shandy wspiął się na wzniesienie i dołączył do tłumu zgromadzonego przy dymiących, zwęglonych stosach drewna, złapał go za ramię Żałośnie Tłusty. Brązowe oczy bokora spoglądały na niego z szerokiej, ciemnoskórej twarzy.

- Ty bardzo powolny chłopcze - rzucił. - Myślałem, że rzecz da się naprawić w góra rzeki, a teraz już za późno, izby łatwo było. Teraz trza zabić i spalić na brzegu.

- Kogo zabić? - rzucił bez namysłu Shandy, zapominając, że mężczyzna go nie słyszy.

- Ale nie płyniesz na „Zemście Królowej Anny” - raczej stwierdził, niż zapytał Żałośnie Tłusty.

Shandy wreszcie przypomniał sobie o ułomności bokora, pokręcił więc energicznie głową, przywołując na twarz wyraz uroczystej powagi. Stał na czubkach palców i miał nadzieję, że ogromny bokor nie będzie próbował podnieść go jeszcze wyżej.

- Nie, sir! - krzyknął.

- Nie czekałem ja pięć długich lat, aby ty okazał się marionetką w jego rękach i aby ty umarł, dając więcej krwi i prawdy chwili jego śmierci.

- Nie płynę! - powtórzył głośno Shandy, z przesadną plastycznością poruszając ustami. - Ale dlaczego pięć lat?

Żałośnie Tłusty rozejrzał się czujnie. Nikt nie zwracał na nich uwagi, zniżył więc głos do szeptu, który jakimś sposobem wciąż wydawał się grzmiący.

- Jeno tylko skończyła się wojna białego człowieka, wszyscy mogli widzieć przez gołe oko, że Thatch nauczył się zbyt wiele.

Shandy nie był pewien, czy bokor próbował odpowiedzieć na jego pytanie, czy raczej mówił coś, co i tak miał zamiar oznajmić.

- Wiele uchodziło mu sucho, bo wołał siebie bukanierem- ciągnął bokor. - Angliki dali mu spokoju, myśląc, że tylko Hiszpanów statki brać będzie. Lecz jemu jedno, hiszpański, angielski czy holenderski, jemu idzie o ludzkie życie i krew. Przecież nawet stary angielski czarownik, co go uczył fachu, i jego Thatch zabił, aby do żywych później nawrócić. - Żałośnie Tłusty zaśmiał się. - Pomógł mu ja trochę, sprawił, izby zółw wypił w wodzie krew. Nie na długo by się zdało, bo żaden w Erebie krwi swej wpięrw nie przelał, ale żebyś widział, jak on pazurem słowa angielskie na pokładzie drapał... - Spojrzał przenikliwie na Shandy'ego. - Ty krwi tam swej nie przelał. A może żeś przelał?

- Gdzie?

- W Erebie, jak biały człowiek mówi. W miejsce, gdzie jest Fontanna i gdzie są duchy, co nie mogą być duchami, i gdzie z krwi wyrasta roślina.

- Nie, ja nie. - Shandy pokręcił głową. - A teraz mnie już puść, dobrze? Muszę...

- Nie? To wielkie szczęście. Mamy tu dla ciebie różne... przeznaczenia, jeśli żeś nie przelał. Gdy wojna białego człowieka dobiegła końca, a on wciąż był żyw i coraz bliżej celu i,

zdało się, całą rzeszę ludzi namówił do złego, wtedym ujrzał, że trza śmierci przywołać ku niemu ze Starego Świata. A gdy w zeszy rok przyplłynął tu człowiek z jedną ręką i wiedział o duchach, wtedym pomyślał: tak, to mój człowiek, szczególnie że żona jego zmarła w ten sam rok, com ja wysłał swe duchy. Bo jeśli wielkie loa zechciały go do mnie przysłać, może zesłały na nią śmierć, iżby jej skutki przyciągły go w te granice świata.

- To naprawdę wspaniale - mruknął Shandy. Podskoczył lekko na palcach i wreszcie udało mu się wykręcić z uścisku wielkiej ręki bokora. - Ale teraz muszę iść do załogi, w porządku? Wszyscy, których trzeba zabić albo spalić, będą musieli trochę poczekać.

Odwrócił się i odbiegł, nie dając Żałośnie Tłustemu czasu, by znów go pochwycił.

Dzięki groźbom, ostrzeżeniom przed porzuceniem na wyspie i nieskrywanemu zaniepokojeniu Shandy zdołał przekonać Davida Herriota, niezbyt rozzagarniętego nawigatora Bonnetta, aby przyjął pod swe skrzydła nieco ponad połowę marynarzy z „Carmichaela”. Resztę zagonił do szalup leżących na plaży i jeszcze zanim łódź z Hurwoodem dotarła na „Jenny”, wszyscy płynęli w kierunku słupu.

Resztki mgły powoli zaczynały opadać. Gdy szalupy wypłynęły z jej ostatnich kłębow, Shandy uśmiechnął się tkliwie na widok poobijanej „Jenny”, która kołysała się na falach w świetle porannego słońca.

- Miło będzie wreszcie wrócić na południe, tam gdzie nasze miejsce - powiedział do Skanka, który klęczał tuż obok na dziobie.

- O tak - zgodził się młody pirat. - To ryzykowna zabawa odpływać zbyt daleko od wpływów Pana Los-Darzy i jego kompanów.

- Żebyś wiedział... - Shandy gorączkowo poklepał kieszeń spodni, by się upewnić, że nie zgubił kulki z błota. - Tak, można na tym świecie spotkać kilka przedziwnych bestii i lepiej chyba trzymać się blisko tych, którym stawia się piwo.

Po paru minutach przybili do pokancerowanego przez kule kadłuba „Jenny”. Shandy złapał za nadburcie słupu i przeskoczył na pokład. Wydał marynarzom rozkazy dotyczące obsługi naprędce pozszywanych żagli i nadwyrężonych lin, a później nadzorował pospieszny załadunek kilku beczek solonej wieprzowiny i piwa, które zarekwirował z obozu. Przez cały ten czas nie mógł pozbyć się wrażenia, że klepki pod jego stopami co kilka sekund wpadają w lekką wibrację. Dopiero gdy poszedł zameldować Daviesowi, że są gotowi do wypłynięcia, zauważył Hurwooda. Stary profesor klęczał na wąskiej rufówce, pochylając się nad makabryczną zawartością drewnianego pudełka. Jego szorstki oddech wydawał się idealnie współgrać z drzeniem pokładu.

- Mam nadzieję, że nie zacznie kichać - stwierdził Davies, którego uwadze również nie umknął nienaturalny fenomen. - Wszystko gotowe?

- Chyba można tak powiedzieć, Phil - odparł Shandy z drżącym uśmiechem. - Załoga zdecydowanie zbyt liczna, prowiantu tyle, co kot napłakał, ożaglowanie trzyma się na dziecięcym sznurku, a nasz nawigator to jednoręki szaleniec, który pyta o drogę pokierowaną głową w drewnianym pudełku.

- Wyśmienicie. - Davies kiwnął głową. - Dobra robota. Wiedziałem, co robię, kiedy wybierałem cię na swego kwatermistrza. - Spojrzał na Hurwooda. - W którą stronę?

Starzec wskazał na południe.

- Podnieść kotwicę! Rumpel prawo na burt!

Stary słupek wykonał zwrot na południe i choć przepelniony marynarzami po brzegi, z łatwością nabrał prędkości. Shandy zorientował się, że Hurwood musiał zapewniać im jakieś magiczne przyspieszenie, aby wspomóc wystrzępione żagle. Już w południe, prując wysokie fale i zostawiając za sobą szeroki kilwater, minęli cypel Florydy.

Pół godziny później wydarzenia nabrały tempa. Od momentu, gdy wyruszyli, Hurwood wpatrywał się we wnętrze drewnianego pudełka, ale teraz podniósł głowę. Shandy, który regularnie zerkał na starego mężczyznę, natychmiast dostrzegł zmianę w jego zachowaniu i ruszył na rufę wzdłuż relingu, chwytając za wanty, aby nie stracić równowagi. Zatrzymał się kilka kroków przed jednorękim czarownikiem.

- Tam są... inni - wymamrotał Hurwood.

Kilku zdesperowanych piratów wspięło się na olinowanie, by uciec od ścisku i smrodu towarzyszy. Usadowieni mniej lub bardziej wygodnie na wyblinkach, zapewniali piratom na dole rozrywkę, przerzucając między sobą coraz lżejszą butelkę rumu. Dotąd ani razu jej nie upuścili, ale nagle jeden z mężczyzn zapatrzył się na zachód.

- Żagiel! - krzyknął. - Szlag by to... - wymamrotał, gdy butelka odbiła się od jego kolana i spadła w chciwe ręce na pokładzie. - Na prawym trawersie, najwyżej milę albo dwie stąd!

To z pewnością ona, pomyślał Shandy i obrócił się tak gwałtownie, że musiał przyklęknąć i złapać za reling, by nie wypaść za burtę. Od razu zorientował się jednak, że nie był to „Carmichael” - ten okręt miał nadbudówkę na dziobie, wyjątkowo wysoką rufówkę i po dwa wielkie żagle na fokmaszcie i grotmaszcie. Ponadto nawet z tej odległości widział jasny, czerwono-biały wzór wymalowany na kadłubie.

- Nie jestem psem! - wydarł się Pan Ptaszyna, który z butelką rumu w ręce zmierzał na dziób, gromiąc wzrokiem towarzyszy.

Shandy przyjrzał się uważniej obcemu okrętowi.

- Co to za łajba - skierował swoje pytanie do Daviesa - i jakim cudem zbliżyła się do nas tak niepostrzeżenie?

- Do diabła, sam chciałbym wiedzieć - burknął stary pirat. - Nie wystawiłem nikogo na wartę, ale któryś z tych pijanych bydlaków powinien był wypatrzeć ją znacznie wcześniej.- Zmrużył oczy, obserwując okręt, który wydawał się zbliżać. - Hiszpański galeon... - powiedział nieobecny głosem. - Nie wiedziałem, że jeszcze takie pływają. Nie robią ich chyba od półwiecza.

Shandy zaklął i uśmiechnął się niemrawo do Daviesa.

- A zatem nie ma absolutnie nic wspólnego z naszymi sprawami.

- Absolutnie nic.

- Więc? Po prostu płyniemy dalej?

- Dlaczego nie. Nawet przeciążona „Jenny” powinna być od nich szybsza, szczególnie z magicznym wsparciem Hurwooda. A jeśli...

- Ciało za burtą! - krzyknął nagle jeden z piratów na wantach. - Na bakburcie, dwadzieścia jardów!

Shandy spojrzał we wskazanym kierunku. Mewy krążyły nad przemoczoną, unoszącą się na wodzie bryłą, która wkrótce znikła we wzburzonych falach kilwatu.

- Kolejne na dziobie! - zawołał samozwańczy obserwator. - Zaraz na nie wpadniemy.

- Niech który złapie za bosak i wyciągnie je z wody! - rozkazał Davies.

Obserwator wypatrzył następne ciało, zbyt odległe, by mogli je zobaczyć z pokładu, ale marynarze zdołali wyłowić to, które otarło się o dziób słupu. Morskie ptactwo zaskrzeczało ze złością, gdy unieśli topielca z wody i rzucili go na deski.

- Niech święci mają nas w opiece! - wykrzyknął mężczyzna, który trzymał przemoczone truchło. - Przecież to Georgie de Burgo!

- A więc nie ma wątpliwości, że jesteśmy na tropie tego grubego chłoptasia- stwierdził suchym tonem Davies, patrząc na horyzont. - De Burgo był jednym z tuzina marynarzy, którzy zostali na zakotwiczonym „Carmichaelu”.

Zaczął się przeciskać przez pokład, rozpędzając piratów ostrymi kuksańcami, a Shandy deptał mu po piętach, by ciżba znowu nie odcięła mu drogi. Żałował, że nie przyjrzał się lepiej ciału, które podskakiwało na falach kilwatu, i torturował swój umysł pytaniem, czy strój topielca był tego samego koloru co bawełniana sukienka, którą miała na sobie Beth, gdy widział dziewczynę po raz ostatni.

Zanim dotarli z Daviesem na dziób, tłum zaczął się gwałtownie rozstępować, dzięki czemu Shandy dostrzegł ciało de Burgo z odległości kilku kroków. Prawdopodobnie tylko dzięki temu zawartość jego żołądka nie wylądowała na pokładzie, ponieważ głowa Georgiego de Burgo została odrąbana od ciała za pomocą pojedynczego ciosu jakiegoś niezwykle ostrego i ciężkiego ostrza.

Shandy patrzył na truchło z przyprawiającą o mdłości fascynacją, gdy raptem obserwator zawołał, że na bakburcie widzi kolejnego topielca.

- Wrzucie go z powrotem do wody - powiedział Davies przez ściśnięte gardło, odwracając się w kierunku rufy.

Nie odezwali się z Shandym ani słowem, dopóki nie wywalczyli sobie drogi z powrotem do rumpla i upiornego nawigatora.

- Możemy chyba założyć - powiedział wówczas Davies - że zabił i wrzucił do wody wszystkich dwunastu ludzi. Nie wyobrażam sobie, jak to zrobił, chociaż w tej chwili nie to jest największą zagadką.

- No tak - rzucił Shandy, zerkając na pusty, niebieski horyzont. - Pytanie, kim w takim razie obsadził „Carmichaela”.

Przez dobrą minutę milczeli zamyśleni, aż niespodziewanie Shandy zauważył hiszpański galeon, który znajdował się teraz na sterburcie.

- Eee, Phil? Nie wspominałeś czasem, że „Jenny” jest szybsza od Hiszpanów?

- Hmm? Och, oczywiście. Choćby oni mieli dobry dzień, a my zły. - Davies odwrócił się na sterburtę i zamarł, mrugając w niedowierzaniu, ponieważ galeon właśnie mijał „Jenny”. - Niech mnie kule biją... - wymamrotał. - Przecież to niemożliwe!

- Niemożliwe - zgodził się z nim Shandy. - Podobnie jak to, że nie zostawia za sobą żadnego kilwateru.

Davies przyglądał się galeonowi przez długą chwilę, aż w końcu zawołał, by podano mu lunetę. Trzymał ją długo przy oku, obserwując oddalający się okręt.

- Zajmij czymś ludzi - mruknął w końcu. - Czymkolwiek. Sprawdzeniem olinowania, wciąganiem i opuszczaniem żagli, ćwiczeniami z człowiekiem za burtą... Wszystko jedno, po prostu nie pozwól, żeby zainteresowali się tymi Hiszpanami.

- Tak jest, Phil - odparł nieco zdziwiony Shandy i pospieszył wykonać polecenie.

Przydzielił piratom tak wiele zajęć w tak krótkim czasie, że jeden z nich, który potajemnie palił fajkę - co na okręcie było zabronione - w zamieszaniu podpalił kałużę rozlanego przez Pana Ptaszynę rumu. Połowa pokładu dziobowego stanęła w ogniu; tłuste włosy i

nasmołowane ubrania zajęły się płomieniami i raptem jakiś tuzin żywych, wyjących na alarm pochodni skoczyło z nadburcia do wody.

Shandy natychmiast rozkazał sternikowi, by wykonał zwrot i już po kilku minutach okazało się, że nużąca musztra Daviesa nie poszła na marne - pożar ugaszono, a piratów wyłowiono, zanim którykolwiek zdążył się utopić. Gdy podniecenie opadło, Jack zaczerpnął tchu i chwycił za butelkę z resztką rumu, po czym wrócił na rufę. Choć Hurwood prawdopodobnie zaprotestował, gdy „Jenny” zmieniła kurs, teraz znów siedział nad drewnianym pudełkiem, w milczeniu wpatrując się w jego wnętrze. Shandy spojrzął przed siebie i zobaczył, że hiszpański galeon był już tylko białą plamką na południowym horyzoncie.

- Kiedy poprosiłem, żebyś ich czymś zajął - odezwał się Davies - nie chodziło mi...

- Tak, wiem. - Shandy podrapał się po nadpalonej brodzie i oparł o jedną z naprężonych want. - Ale dlaczego? Żeby nie zauważyli braku kilwateru?

- Po części tak. Przede wszystkim jednak nie chciałem, żeby któremuś z chłopców przyszło do głowy chwycić za lunetę i odczytać nazwę tego galeonu. „Nuestra Señora de Lágrimas” - powiedział w zamyśleniu Davies. - Być może o niej nie słyszałeś, ale jestem pewien, że co najmniej połowa tych ludzi zna jej historię. Płynęła ze złotem z Veracruz i miała nieszczęście spotkać na swej drodze angielski okręt korsarski „Charlotte Bailey”. Kilku Anglików przeżyło, aby o tym opowiedzieć. Tragiczna bitwa morska: trwała cztery godziny i oba okręty poszły na dno. - Spojrzął na Shandy'ego, szczerząc się od ucha do ucha. - A wydarzyło się to w roku 1630.

Shandy zmarszczył czoło.

- Prawie sto lat temu.

- Właśnie. Wiesz cokolwiek o przywoływaniu duchów?

- Nie bardzo, ale biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, mam wrażenie, że poznam ten temat na wylot, zanim porządnie nauczę się żeglować.

- Cóż, ja też nie jestem w tych sprawach specjalistą, ale jedno wiem na pewno: niełatwe to zadanie. Przywołanie choćby mglistego, nierozgarniętego odbicia zmarłego człowieka wymaga potężnej mocy. - Zamachał rękoma. - Tymczasem ktoś zdołał przyzwać z tamtego świata całą „De Lágrimas”: płótno, drewno, farbę i tak dalej, a także załogę, jeśli sądzić po tym, jak mknęła przez fale, tak solidna, że w pełnym słońcu nie odróżniłbyś jej od najprawdziwszego okrętu.

- Leo Friend?

- Coś mi mówi, że nikt inny. Tylko dlaczego?



Shandy spojrział na Hurwooda.

- Obawiam się, że już niedługo poznamy odpowiedź na to pytanie.

I mam tylko nadzieję, pomyślał z wściekłością, że ten parszywy, tłusty konował był zbyt zajęty mordowaniem piratów i przyzywaniem statków widm, żeby poświęcić uwagę Beth.

## Rozdział siedemnasty

Wtulona w kąt kajuty Beth Hurwood widziała tylko chaotyczne fragmenty marszu Leo Frienda, który drobnymi krokami szedł przez pokład w jej stronę. Zatrzasnął za sobą drzwi, przez co jedynym źródłem światła w pomieszczeniu było okienko wychodzące na błękitne niebo, które, wyraźnie w rytm uderzeń serca otyłego lekarza, na przemian pojawiała się i znikało.

Kiedy o świcie otworzyła oczy, zobaczyła, że schodzi zimnym, piaszczystym zboczem w stronę łodzi kołyszącej się na płyciźnie. Na widok szeroko uśmiechniętego Leo Frienda natychmiast postanowiła się zatrzymać. Nie mogła; próbowała skrócić choć odrobinę, lecz bez skutku i nawet gdy jej stopy zanurzyły się w lodowatej wodzie, nie potrafiła zwolnić kroku. Dotarła do łodzi i wspięła się do środka. Chciała coś powiedzieć, ale jej struny głosowe wydawały się dziwnie zdrętwiałe, a usta ani drgnęły. Łódź podskakiwała na falach, płynąc w stronę zamglonej sylwetki „Hałaśliwego Carmichaela”. Dotarli do okrętu w minutę, choć Leo Friend ani razu nie dotknął ciągnących się po wodzie wiosel, a Beth nie poruszyła nawet palcem.

To było jednak kilka godzin wcześniej. Do tej pory zdążyła odzyskać nad swym ciałem przynajmniej tyle kontroli, aby wpełznąć w ciemny kąt i zatkać uszy, gdy raptem zaczęły do niej dolatywać wrzaski mordowanych piratów.

Teraz obserwowała Frienda znużonym wzrokiem, zastanawiając się, na którym fragmencie jego wielorybiej sylwetki zacisnąć zęby i paznokcie, by sprawić mu największy ból. Jednocześnie walczyła z kolejnym atakiem wywołanej za pomocą magii bezsilności, która sprawiała, że czuła się jak szmaciana lalka.

Mimo to po chwili poczuła, że wstaje - boleśnie, na koniuszkach palców, w niezgrabnej pozie, której z pewnością nie przyjęłaby z własnej woli. Po chwili ciężar ciała spoczął na stopach, a ona wyciągnęła przed siebie ręce, choć nie po to, by utrzymać równowagę, bo czuła się niewzruszona jak porządnie olinowany maszt.

Friend również unióśł ręce, a ona rozumiała, że szła w jego stronę, by go objąć. Wystająca, dolna warga otyłego lekarza była wilgotna i drżała, zaś okienko na grodzi pojawiała się i znikało równie szybko, co dwie strony wirującej monety. Zrobił krok ku niej. Poczwała, jak

jej ręce dotykają jego otłuszczonych, galaretowatych pleców, gdy złożył na jej ustach brutalny pocałunek.

Wydzielał duszącą woń perfum, potu i słodczy. Jedna z jego dłoni gmerała niewprawnie przy jej piersiach, lecz Beth przynajmniej na razie była w stanie trzymać oczy i usta mocno zaciśnięte. Po chwili wargi Frienda ześlizgnęły się z jej twarzy. Wyczuwała, jak się poruszają, mamrocząc namiętnie jakieś trzy sylaby.

Otworzyła oczy i zamrugła, zdumiona.

Migoczące okienko znikło, a razem z nim cała kajuta. Stali teraz na dzierganym dywanie w pokoju, który wyglądał na zaniedbaną sypialnię angielskiego domu. Duszne powietrze śmierdziało gotowaną kapustą. Beth jeszcze raz spróbowała wyrwać się z uścisku Frienda i choć cały jej wysiłek poszedł na marne, zdołała przynajmniej ujrzeć swe odbicie. Była gruba, ubrana w prostą, czarną sukienkę, a włosy miała siwe. Niespodziewanie dotarło do niej, co mamrotał otyły lekarz.

- Och, mamusiu, mamusiu... - Czuła na szyi jego gorący oddech. - Och, mamusiu, mamusiu, mamusiu...

Zwymiotowała jednak dopiero wówczas, gdy spostrzegła, jak spazmatycznie ocierał się o nią wypchanym krocem.

\* \* \*

Nie więcej niż pół minuty później Leo Friend z czerwoną twarzą przemierzał tam i z powrotem pokład rufowy, tonący w porannym słońcu.

We wszystkich błędach chodzi o to, myślał, jedwabną chusteczką delikatnie ścierając plamę z falbaniastej koszuli, aby wyciągać z nich wnioski. To, co właśnie wydarzyło się w kajucie, z pewnością miało mu czegoś nauczyć. Po prostu muszę poczekać - jeszcze tylko trochę, aż znajdę dość czasu i spokoju, by upichcić nieco tej nowej magii, do której jestem teraz zdolny.

A wtedy, myślał, zerkając w stronę drzwi, które zamknął od zewnątrz na skobel, wtedy dopiero się przekonamy, kto będzie walczyć o czyje względy. Zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je powoli, kiwając głową. Rozejrzał się po pokładzie okrętu, w który zamienił „Carmichaela”, a gdy skupił uwagę na marynarzach, doszedł do wniosku, że wyglądali na jeszcze mniej żywych niż kilka godzin temu, gdy ich przyzywał. Wydawali się bledsi i bardziej napuchnięci i raz po raz unosili głowy, jakby czegoś nasłuchiwali. Patrzyli wtedy na północ, na ich twarzach zaś, mimo że były martwe, malował się strach.

- O co chodzi?! - parsknął do postaci obsługującej rumpel. - Boisz się Czarnobrodego? Boisz się, że pochlasta szablą twoje zimne wnętrzności? A może Hurwooda, może się boisz, że przyplynie tu za swoją c-c-c... za swym przeklętym potomkiem? O nic się nie martw, jestem od nich wszystkich znacznie potężniejszy.

Istota, do której przemawiał, nie wydawała się świadoma jego słów. Odwracała perłowoszarą głowę - tak mocno, że skóra na szyi zaczynała pękać - aby spojrzeć za rufę, a z jej bezużytecznego gardła wydobywał się cichy dźwięk przypominający skomlenie.

Friend wspiął się po drabince na drugi pokład rufówki - jeszcze nie opanował trudnej sztuki lewitacji - i spojrzał z irytacją na morze. Powoli zaczynał mu się udzielać strach załogi, nawet pomimo jego pewności siebie i otuchy, jakiej zwykle dodaje człowiekowi słoneczny dzień.

Na początku był przekonany, że ścigający go okręt to „Zemsta Królowej Anny” Czarnobrodego. Wykrzywił mięsiste usta w okrutnym uśmiešku, który jednak znikł tak szybko, jak się pojawił. Friend zorientował się bowiem, że tego okrętu nigdy wcześniej nie widział. Był szerszy w kadłubie i pomalowany na czerwono-biało... A jego dziób - czy przypadkiem nie zbliżał się przerażająco jednostajnym ruchem? Czy dziób okrętu, który nabiera prędkości, nie powinien podskakiwać na falach, rozchlapując wodę?

Friend podszedł do relingu nad rufówką i pokładem rufowym. Przynajmniej chwilowo okręt zakończył przemianę i żaden z masztów czy pokładów nie zmieniał co chwila zdania w kwestii swego istnienia lub nieistnienia. Prawdopodobnie nawet okienko w... tamtej kajucie z całą pewnością istniało albo znikło.

- Szybciej! - krzyknął do martwej załogi. Kilka szarych postaci zaczęło się wspinać po olinowaniu. - No, szybciej, do diabła! - powtórzył przenikliwym głosem. - Nic dziwnego, że przeklęta „Charlotte Bailey” poszła na dno, jeśli tak się z nią obchodziliście.

Jeszcze raz spojrzał za rufę na ścigający ich okręt i natychmiast zadał sobie pytanie, czy przypadkiem przez tych kilka chwil nie zmniejszył dystansu... Bo mógłby przysiąc, że teraz był bliżej. Zaparł się stopami o pokład, a następnie pobudził całkiem nowe obszary umysłu i wskazał tajemniczy okręt serdelkowatym palcem.

- Dalej - wycedził przez ściśnięte gardło.

W tej samej chwili szeroki splacheć morza eksplodował parą, która wzbiła się w powietrze, tworząc skotłowaną, wysoką chmurę o ostrych krawędziach. Friend zachichotał z zachwytem, lecz już po chwili śmiech zamarł mu na ustach. Obcy okręt wypłynął z chmury, na pierwszy rzut oka nawet niedraśnięty. Co więcej, jego suche żagle wciąż lśniły jaskrawą bielą

wypolerowanej kości.

- Szlag - zaklął Friend cicho.

Wszystko jedno, kto to jest, pomyślał z niepokojem. Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż użeranie się z nieznajomymi. Mógłbym razem z Elizabeth wzbić się w powietrze i po prostu odlecieć, choć gdyby postanowili ścigać nas, a nie okręt... Cóż, znalazłbym się wtedy w dość niekorzystnym położeniu. Musiałbym zużyć część mocy na utrzymanie nas w górze, a przecież już poświęcam jej zbyt wiele, żeby zmusić do działania tych piekielnych marynarzy.

Zszedł z powrotem na niższy pokład. Wykrzyczawszy kilka rozkazów do pracujących w milczeniu szarych postaci, spojrzał w dół, na drewniane klepki pod ubłoconymi ozdobnymi trzewikami. Mógłbym po prostu wpaść do środka i ją posiąść, pomyślał. Znow zaczął go dławić żar podniecenia, nawet pomimo niepokojów, jaki wywoływał widok obcego okrętu. Tym razem mógłbym ją unieruchomić w magicznym imadle, by nie mogła nawet mrugnąć bez mojej zgody... Albo pozbawić przytomności i za pomocą magicznych sztuczek sprawić, by jej ciało zachowywało się tak, jak zechcę.

Pokręcił głową. Nie, to by się wcale nie różniło od czynności, którym oddawał się od chwili, gdy jako dorastający chłopiec odkrył, jak rzeźbić kobiety z ektoplazmy w powietrzu nad niespokojnym łóżem. W najlepszym razie zgwałciłby Beth Hurwood, a przecież to mógł zrobić byle marynarz. Tymczasem on chciał - potrzebował - znacznie głębszego zniewolenia. Chciał tak zmanipulować jej wolę, żeby kobieta nie tylko nie mogła się oprzeć aktowi kopulacji, ale wręcz żyła jego nadzieją. A jeśli przypadkiem pomyli ją ze swą... a jeśli pomyli ją z kimś innym, wówczas przyjmie ten fakt z odpowiednią wdzięcznością.

Aby jednak uzyskać nad człowiekiem tak zupełną kontrolę, musiał najpierw zdobyć władzę nad dużo większym wycinkiem rzeczywistości - nad całą rzeczywistością, ściśle rzecz biorąc. Aby w sposób całkowity określić terażniejszość, musiał nauczyć się poprawiać przeszłość i dyktować przyszłość... I w efekcie zostać bogiem.

Cóż, pomyślał z drżącym uśmiechem, dlaczego nie? Czyż całe moje życie nie zmierzam konsekwentnie do tego celu?

Podszedł do relingu bakburty i wychylił się, obserwując tajemniczy, czerwono-biały okręt, który przyspieszył, odkąd patrzył na niego po raz ostatni, i przechylił się lekko na bok, jakby zamierzał wyprzedzić „Carmichaela” po stronie bakburty. Oczom Frienda ukazał się za nim inny żagiel, wcześniej zasłonięty. Otyły lekarz syknął, mrużąc oczy.

Zbyt mały na okręt Czarnobrodego albo Bonnetta, pomyślał, a zatem to ten przeklęty slup, „Jenny”. Hurwood bez wątplenia płynie na jego pokładzie, a z nim Shandy, Romeo wśród

kucharzy... I może jeszcze Davies, który wciąż ma mi za złe, że strzeliłem mu w plecy. To pewnie ich wypatrywała przez ostatnie pół godziny moja gnijąca załoga. Friend spojrzął na niezbyt dobrze zakonserwowane ciało sternika, ale martwy mężczyzna patrzył w inną stronę. Żadna z pozbawionych życia postaci nie skupiała uwagi na rufie - bardziej interesował je pomalowany galeon, który mknął po stronie ćwiartki rufowej bakburty.

- Idioci! - krzyknął Friend. - Niebezpieczeństwo jest tam!

Wskazał zbliżający się slup, lecz jego nieumarła załoga najwyraźniej miała na ten temat zupełnie inne zdanie.

\* \* \*

- To nie jest „Carmichael”! - krzyknął Davies, gdy „Nuestra Señora de Lágrimas” pochyliła się na wschód, halsując ostro pod wiatr, i odłoniła okręt, który ścigali. Co rusz spoglądał na niego przez lunetę.

- Musi być... - rzucił Shandy.

Hurwood, który nie podniósł się z klęczek od chwili, gdy wypłynęli z Florydy, spojrzął w górę.

- To jest okręt, na którym płynie Friend - powiedział cicho, ledwie słyszalny przez plusk wody rozbijającej się o kadłub i świst wiatru w pajęczynie olinowania.

Davies pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Rufówka wydaje się za wysoka, ale chyba już wkrótce będziemy mogli to sprawdzić. Wygląda na to, że zwalniamy. Nie wyciśniemy z tej łajby ani węzła więcej?

Shandy wzruszył ramionami i skinął na Hurwooda.

- Jego pytaj, ale nie sądzę. Gdy tylko przyspieszył w pogoni za Hiszpanem, musieliśmy opuścić wszystkie żagle, bo nas spowalniały, a poszycie przy każdym uderzeniu w fale wygina się coraz bardziej i coraz mocniej przecieka.

- Raczej nie potrwa to długo.

Bez względu na to, jaki okręt ścigali, dzielący ich dystans skracał się bardzo szybko i po jakiejś minucie Davies zawołał do Shandy'ego, by ten łapał lunetę, którą następnie mu rzucił.

- Zobacz, jak się nazywa - powiedział.

Shandy przytknął lunetę do oka.

- Zaraz, co to... „Vochiflerouttes Barimychael”? Nie, nie, „Carmichael”, teraz widzę wyraźnie...

- Obserwuj.

- Cóż - rzucił po chwili zniechęcony - nazwa wciąż się rozmywa i zmienia, ale przez chwilę widziałem „Charlotte Bailey”. - Westchnął i wymamrotał przekleństwo, którego jeszcze miesiąc wcześniej nie znał. - Zdaje się, że Friend przywołał z zaświatów załogę „Charlotte Bailey”, by zastąpić ludzi, których wymordował, ale jego nowa moc jest tak wielka, że nieopatrznie wskrzesił ducha okrętu, który przywarł do „Carmichaela”.

Davies skinął w stronę hiszpańskiego galeonu.

- Jakby tego było mało, wskrzesił też okręt, który poszedł na dno razem z „Bailey”.

- Mój Boże, ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę...

- To chyba bez znaczenia. „De Lágrimas” najwyraźniej chce podjąć bitwę tam, gdzie ją sto lat temu zakończyła, a my raczej nie powinniśmy do tego dopuścić.

- To prawda - zgodził się Shandy.

- W żadnym wypadku - odezwał się Hurwood, który wreszcie zamknął cuchnące pudełko i wstał. - A odpowiadając na twoje pytanie: nie, Friend nie ma pojęcia, co to za okręt, bo inaczej nie traciłby sił na próby jego ugotowania. Powstał z tej samej magii, która wyposażyla „Carmichaela” w marynarzy, a jedyny sposób, by się go pozbyć, to tę magię odwołać. - Zaśmiał się, choć na jego twarzy nie było wesołości. - Biedny chłopiec, jeszcze nie panuje nad swymi mocami. Sięgnął na samo dno morza w poszukiwaniu załogi, a wskrzesił wszystko i wszystkich w okolicy. Mógłbym się założyć, że pływają pod nami ryby, które jeszcze wczoraj były kupą ości.

- Przepraszam, że przerywam - rzucił szybko Shandy - ale czy kule armatnie z okrętu widma mogą uszkodzić zwyczajny okręt? Wygląda na to, że „De Lágrimas” ustawia się do salwy burtowej.

- Nie wiem - zaskrzeczał Hurwood. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i raptem połowa piratów padła bezwładnie na pokład, a sfatygowany słup jeszcze zżawiej pomknął przez fale. Shandy wsparł się o nadburcie rufy. Próbując nabrać w płuca pędzącego powietrza, zastanawiał się, czy ostrzec starego profesora, że „Jenny” może tego nie wytrzymać, lecz w końcu, oszołomiony, zrezygnował z tego pomysłu.

Tymczasem ze sterburty hiszpańskiego galeonu wystrzeliły kłęby dymu. Shandy w zdumieniu przecierał oczy, ponieważ rozmyta sylwetka „Carmichaela” zachwiała się, płynąc jednocześnie po niewzruszonym kursie, a na wszystkie strony poleciały kawałki drzewca i płótna, choć szerokie żagle wydawały się nietknięte.

Na widok tego cudu pijani marynarze z pokładu „Jenny” podnieśli krzyk. Kilku przyskoczyło do fałów, chcąc wciągnąć żagle, podczas gdy inni próbowali dostać się do rumpla.

Jeden uczeplił się nawet kołowrotu przy kotbelce, by zrzucić kotwicę.

Davies wyszczerzył się do piratów uciekających w stronę rumpla i leniwym ruchem wyciągnął pistolet, a Shandy krzyknął:

- W tej bitwie weźmie udział wystarczająco wiele duchów i bez ochotników! Nasz jedyny żywy przeciwnik to grubasek Friend. Chcecie, żeby uciekł z waszym okrętem?

Słowa Shandy'ego - a jeszcze skuteczniej pistolet Daviesa - pomogły ostudzić zapał marynarzy. Mimo to wciąż się wahali, próbując ukryć niepewność za głośnymi przekleństwami i dosadnymi gestami.

Davies wystrzelił w powietrze.

- Przyznaję - rzucił, gdy zapadła cisza - ten Hiszpan to duch, ale przynajmniej odwrócił uwagę Frienda. A grubasek już nas zauważył, więc zostały nam dwie możliwości: popłynąć i uderzyć teraz, gdy jest zajęty, albo poczekać i pozwolić, by to on w nas uderzył - na własnych warunkach.

Piraci odwracali się i jak zbite psy gramolili na stanowiska, walcząc z porywami wiatru. Podczas krótkiego buntu wciągnęli tylko jeden żagiel - niewielki, prostokątny marsel - lecz nim ktokolwiek zdążył go opuścić, płótno porwało się na setki furkoczących wstążek. Pędzący słup przez krótką chwilę wyglądał jak żywcem wyjęty z wiejskiego festynu i nie zwolnił nawet o pół węzła. Niemalże podskakując na grzbietach fal, wpadł w przestrzeń dzielącą dwa okręty.

- Strzelajcie ze wszystkich dział na bakburcie! - zaryczał Davies pod wiatr. - A później rumpel prawo na burt!

„Jenny” zadrżała od huku siedmiu dział, a zaraz po odrzucie, pomimo opuszczonych żagli, wykonała ostry zwrot przez rufę. Shandy, uczeplony kurczowo relingu bakburty, mrużył oczy przed rozpryskami fal, które przetaczały się z łoskotem zaledwie kilka cali niżej. Dopiero gdy „Jenny” wróciła mniej więcej do pionu, wykręcił głowę, spoglądając w stronę hiszpańskiego galeonu.

„De Lágrimas” była w opalach - z grotmasztu, ściętego mniej więcej w połowie wysokości, ostał się zaostrzony kikut, a większość olinowania służyła już tylko do podtrzymywania niewygodnej kotwicy, w jaką zamieniło się złamane drzewce. Shandy przeklął z nabożnym lękiem. „Jenny” była niewielką jednostką i jej salwa wymierzona w kadłub okrętu nie mogła osiągnąć masztów ani ożaglowania. Zdał sobie sprawę, że patrzy na autentyczną bitwę, która sto lat temu rozegrała się między hiszpańskim galeonem a „Charlotte Bailey”. Jej uczestnicy, tymczasowo przywołani do świata żywych, wciąż pamiętali pierwotną sekwencję zdarzeń, choć w nieco wypaczony sposób.



- Nie popuszczajcie rumpla! - zakomenderował Davies. - A ty - zwrócił się do Hurwooda - możesz zwolnić. Opłyniemy „Carmichaela” i wejdziemy na pokład od sterburty.

Oba okręty zaczęły wytracać prędkość, jeszcze zanim zламаł się maszt „De Lágrimas”, dzięki czemu „Jenny”, choć przeładowana i spowolniona, miała kilka jardów zapasu, gdy opływała dziób „Carmichaela”. Zaraz potem, wciąż lekko pochylona, otarła się o większy okręt, zostawiając na kadłubie długą bruzdę. Chwiała się i trzęsła, gdy opór zmniejszał jej pęd. Davies rozkazał rzucić haki i już po chwili na linach zaroilo się od piratów, niczym od wielkich, obdartych owadów. Na czele szedł Shandy, który dostrzegł pewną ironię w tym, że podczas drugiego ataku na „Carmichaela” był jednym z zarośniętych, opalonych mężczyzn, którzy wspinali się po burcie na pokład.

Kiedy znajdował się mniej więcej w połowie drogi, zaparty dla bezpieczeństwa obcasami o kadłub, okręt podskoczył niczym uderzony bęben, a Shandy zahuszał się na linie i uderzył z impetem w twarde poszycie. Zadzwonilo mu w uszach, a prawa ręka zdrętwiała, lecz na szczęście lewa nie zwolniła chwytu. Mrugając nieprzytomnie, spojrzal między swymi stopami w dół i zobaczył, że większość wspinających się za nim piratów spadła we wzburzone morze między „Carmichaelem” a „Jenny”.

- Hiszpan właśnie go trafił z przeciwnej burty! - krzyknął Davies, samemu rzucając się do jednej z lin. - Teraz albo nigdy!

Shandy wziął głęboki oddech - przez usta, bo z nosa kapala mu krew - i rozprostował palce prawej dłoni. Zdołał podnieść rękę i chwycić linę, a nogami odepchnąć się od kadłuba, dzięki czemu już po chwili kontynuował wspinaczkę. Jako pierwszy złapał za reling i przerzucił nogi na drugą stronę, ale pomimo obaw o życie Beth Hurwood na pokładzie najpierw przyklęknął, przez kilka sekund niezdolny do ruchu.

Rozejrzał się. Hiszpański galeon, złożony głównie z płataniny pozrywanych lin, poszarpanych żagli i połamanych masztów, wygladał na tle nieba niczym nieregularny kleks, ale Shandy skupił uwagę na najbliższym otoczeniu. Od razu zauważył, że okręt, na którym stoi, nie był „Carmichaelem”. Wygladał na szerszy, ale krótszy, rufówka skladała się z dwóch kondygnacji, armaty zaś były zamontowane bezpośrednio na śródokręciu zamiast na pokładzie działowym. To jednak nie te różnice wzbudziły niepokój Shandy'ego, lecz wyglad załogi.

Poruszający się niezgrabnie marynarze mieli skóre barwy spienionej zupy grzybowej, a oczy mlecznobiałe - jak u ryb, które od dawna są martwe.

Większość tych niewprawnie ozywionych postaci spieszyła w kierunku dziobowej ćwiartki bakburty, gdzie bliźniaczo podobni, gnijący żeglarze wspinali się na połamany reling z

pokładu „De Lágrimas”.

Shandy chciał się odwrócić i skoczyć do wody. Widział już takie sceny, lecz tylko w najgorszych koszmarach, i nie miał pewności, czy nie padnie na miejscu trupem, jeśli jeden z tych stworów spojrzy na niego przerażająco świadomym wzrokiem pustych oczu.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nieumarli marynarze już go zauważyli. Kilku dzierżyło w dłoniach zardzewiałe, ale poza tym całkiem solidnie wyglądające kordelasy i zmierzało w jego stronę powłóczytym, a mimo to szybkim krokiem.

Shandy skoczył na równe nogi, drżącym od przerażenia głosem recytując pierwsze wersy zdrowaśki. Dobył szabli i ruszył naprzód, ustawiając się do riposty stosowanej w walkach z wieloma przeciwnikami, której nauczył go Davies. Upozorował atak, jakby chciał zaszarżować pomiędzy dwóch napastników, po czym uskoczył, blokując cios trzeciego. Ostrza zazgrzytały, a Shandy ruchem korkociągu wbił szablę w perłową szyję marynarza. Przeskakując nad upadającą, niemalże pozbawioną głowy postacią, zobaczył kolejne trupioblade istoty, które ruszały w jego stronę. Nieco dalej, na wyższym pokładzie, dostrzegł obszarpaną i ubłoconą sylwetkę Frienda. Otyły lekarz wyglądał na wściekłego, ale i wystraszonego. Gapił się gdzieś w górę, a gdy Shandy po kolejnej serii zwód-cios-unik odskoczył od najbliższych napastników, uniósł głowę i podążył za jego wzrokiem.

Kilka jardów za okrętem i jakiś tuzin nad poziomem pokładu wisiał w powietrzu, bez żadnego oparcia, Benjamin Hurwood. Uśmiechał się do Frienda niemal czule, gdy siwe, targane przez wiatr włosy smagały go po twarzy.

- A ja zabrałem cię ze sobą... - odezwał się stary profesor. Choć mówił cicho, jego słowa zdawały się tłumić szcęk broni i tupot stóp, dzięki czemu nic ich nie zagłuszało. Pokazałem ci, jak wyjść z impasu i jak dotrzeć do miejsca, którego sam nie potrafiłeś odnaleźć. - Uśmiech Hurwooda stawał się coraz szerszy, sprawiając, że jego głowa zaczynała przypominać czaszkę. - Naprawdę sądziłeś, że jesteś ode mnie potężniejszy? Albo że twoje postępy zniechęcą mnie do pogoni? Ha! Cieszę się, że już teraz odkryłeś przede mną swe prawdziwe oblicze. Któregoś dnia być może rzeczywiście zyskałbyś wystarczającą moc, by wyrządzić mi krzywdę.

Hurwood zamknął oczy.

Na pokład okrętu wdrapywali się pozostali piraci z „Jenny” i po chwili początkowego zdumienia łapali za broń. Zawzięcie wymieniając ciosy z trupimi marynarzami, szybko dochodzili do wniosku, że jedynym skutecznym sposobem pokonania ich było rozczłonkowanie ich ciał, i to dość skrupulatne. Na dodatek nieumarli szermierze byli zaskakująco szybcy - ich ataki miały w sobie coś spazmatycznego, owadziego - i już w

pierwszych minutach bitwy kilku zakrwawionych marynarzy Daviesa padło na pokład.

Shandy słyszał, jak ktoś łomocze pięściami w drzwi kajuty pod pokładem, na którym stał Friend. Domyślał się, że otyły lekarz zamknął tam Beth, ale zdobywanie kolejnych jardów pokładu przychodziło mu z coraz większym trudem. Ręka dzierżąca szablę była zmęczona i musiał się skupić na blokowaniu uderzeń kordelasów - brakowało mu siły, by rzucić się naprzód i zadać cios w jakimkolwiek skutecznym kontrataku.

Aż nagle jeden z ożywionych trupów podszedł go ciężkim, tanecznym krokiem i zamachnął się pozieleniałym kordelasem w stronę jego głowy. Shandy uniósł szablę i sparował cięcie dolną częścią klingi, ale siła uderzenia wytrąciła mu broń z ręki. Szabla zadzwoniła o pokład i potoczyła się poza jego zasięg. Martwy marynarz, który stał zbyt blisko, aby Shandy miał czas na ucieczkę, przygotował się do wyprowadzenia śmiertelnego ciosu. Shandy nie miał wyjścia - doskoczył do nieboszczyka i złapał go w zapaśniczy uścisk.

Ciało mężczyzny cuchnęło nieświeżymi rybami, a w dotyku przypominało skórzany wór wypchany łańcuchami i galaretą. Przeżony jego bliskością, Shandy skupił się przede wszystkim na tym, by nie stracić przytomności. Martwa istota syczała, bijąc go ręką kordelasa po plecach, ale zdołał dopchnąć ją do relingu i przerzucić na drugą stronę. W ostatniej chwili zimne, szare dłonie złapały go za poły kurtki. Przez kilka sekund wychylał się przez burzę, patrząc wprost w zakrzepłe oczy zwisającego bezwładnie, martwego mężczyzny, aż w końcu lewa, a zaraz potem prawa ręka truposza oderwały się w łokciach od reszty ciała. Nieszczęśnik runął do wody, choć jego ręce wciąż kurczowo trzymały się ubrania Shandy'ego.

Jack rozejrzał się gorączkowo za swą szablą, lecz nawet pomimo ogarniającej go paniki nie zdołał przeoczyć sceny, która rozgrywała się wokół Leo Frienda. Otyły lekarz wisiał w powietrzu nad pokładem rufówki; spowijały go jasne płomienie, ale włosy i strój wyglądały na nietknięte. Shandy spojrział w kierunku dziobu, a kiedy spostrzegł, że Hurwooda również otacza kula ognia - aczkolwiek znacznie mniejsza - zrozumiał, że właśnie jest świadkiem pojedynku na śmierć i życie pomiędzy dwoma niewyobrażalnie potężnymi czarownikami.

- Jack, za tobą! - usłyszał krzyk Daviesa. Rzucił się naprzód, wymachując zwisającymi z kurtki szarymi rękoma, a ostrze szabli przecięło ze świstem powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą znajdowała się jego głowa. Mimo że unik był udany, Shandy wylądował dosłownie kilka cali od kolejnego z rozkładających się załogantów „Charlotte Bailey”. Mężczyzna o pustej twarzy uniósł gumowate ramię, by wziąć zamach, zanim jednak zdążył wyprowadzić cios, na pokład spadła jego głowa, odrąbana szablą Daviesa.

- Oczy z tyłu głowy! - parsknął stary pirat i kopnął broń podwójnie martwego

marynarza w stronę Jacka. - Nie słyszałeś?!

- Słyszałem, Phil - wydyszał Shandy, pochylając się, by podnieść zniechęcająco ciężki kordelas.

Ponieważ w pobliżu nie było żadnego z półżywych marynarzy, Davies przełożył szablę do lewej ręki i rozprostował prawą. Robiąc to, zmrużył oczy, a Shandy przypomniał sobie o poparzeniu, którego pirat doznał w dżungli.

- Wszystko w... Uwaga! - Przeskoczył obok Daviesa i sparował pchnięcie napastnika, po czym jednym uderzeniem rozciął jego galaretowatą twarz. - Wszystko w porządku z twoją ręką? - dokończył pytanie.

- Bywało lepiej - wycedził Davies, chwytając szablę prawą dłonią. Rozejrzał się po okręcie. - Słuchaj, musimy się upewnić, że Friend przegra tę walkę. Spróbuj...

Shandy usłyszał za plecami skrzypienie nadwyręzonego drewna, a zaraz po nim głośne trzaski. Odwróciwszy się w stronę rufy, zobaczył, jak Friend wyciąga rękę w dół. Choć unosił się tuzin jardów nad pokładem, a jego pulchna dłoń sięgała mu co najwyżej na wysokość pasa, od kajuty pod pokładem rufówki oderwała się znaczna część stropu i grodzi. Połamane klepki i wsporniki zawisły na chwilę w powietrzu, po czym spadły niedbale na śródokręcie. Gdy przez głuchy łomot przebiły się krzyki, Shandy zrozumiał, że pod zwałami drewna zginęło kilku marynarzy z „Jenny”.

Następnie Friend zaczął unosić ułożoną w miseczkę dłoń i z pozbawionej stropu kajuty wyleciała ku słońcu Beth Hurwood. Dziewczyna szarpała się, próbując walczyć z niewidzialną siłą, która unieruchamiała jej ręce przy ciele.

## Rozdział osiemnasty

Mój Boże, pomyślał Shandy w nagłym przypiływie przerażenia, on zamierza jej użyć, aby odwrócić naszą uwagę. Pewnie już ją zgwałcił, a teraz chce podpalić Bogu ducha winną dziewczynę, żeby wytrącić z równowagi Hurwooda.

Ruszył w jej stronę po śliskim, zakrwawionym pokładzie, nie widząc, że jedna z nieumarłych istot, znajdująca się pomiędzy nim a połamaną kajutą, zwróciła na niego uwagę i przyklękła, trzymając w pogotowiu pozieleniały kordelas.

Na szczęście spostrzegł ją Davies.

- Niech cię diabli, Jack - wymamrotał zmęczonym głosem i ruszył biegiem w stronę półżywego marynarza, by dotrzeć do niego przed Shandym.

Stojący nieco dalej Venner natychmiast zorientował się w sytuacji. Jego koszula była rozdarta, a włosy jeszcze bardziej rude od krwi z rozcięcia na głowie. Z grymasem rozpaczliwego wysiłku, pod którym znikł jego nieodłączony uśmiech, zastąpił staremu piratowi drogę i uderzył go potężnym barkiem w pierś.

Oddech na chwilę uwiązał Daviesowi w gardle. Zachwiał się, ale zdołał zmusić do biegu, rzuciwszy Vennerowi krótkie spojrzenie pełne gniewu i gorzkiej obietnicy.

Shandy musiał się uchylić przed grupą zdyszanych, walczących postaci, lecz teraz biegł wprost przed siebie w kierunku unoszącej się w powietrzu Beth Hurwood i cierpliwego, wciąż nie zauważonego marynarza.

Davies nie miał czasu na podstępny atak. Kilkoma długimi krokami pokonał dzielący go od przeciwnika dystans i po prostu zamachnął się szablą w stronę jego szyi.

Ostrze weszło głęboko, lecz z powodu osłabienia ręki i braku tchu Davies nie włożył w cios wystarczająco dużo siły, aby całkowicie odciąć głowę. Zakrzepłe oczy zwróciły się w jego stronę i zanim zdążył wyszarpnąć broń z rany, gnijąca istota wbiła zardzewiały kordelas przerażająco głęboko w brzuch starego pirata.

Davies pobladł, a z jego ust wyrwało się zdławione przekleństwo. Zacisnął poparzoną dłoń na rękojeści szabli i konwulsyjnym pchnięciem, które w równym stopniu było dreszczem obrzydzenia, co świadomym atakiem, przeciął szarą szyję.

O pokład uderzyły dwa martwe ciała.

\* \* \*

Shandy nawet nie zauważył tej potyczki. Znalazłszy się blisko Beth, upuścił broń i napiął wszystkie mięśnie i ścięgna do skoku, ale jego wyciągnięte palce zawadziły o niewidzialną osłonę niecałe pół jarda od stóp dziewczyny. Beth spojrzała błagalnym wzrokiem w dół i wymamrotała jakieś słowa, żadnego jednak nie zrozumiał.

Odbił się boleśnie od fragmentów połamanej grodzi. Upadł bez tchu na pokład i zamarł w bezruchu, wycieńczony. Czekał, aż któraś z zielonych szabli przytwierdzi jego ciało do rozgrzanych słońcem desek.

Nagle jednak wszyscy nieumarli marynarze zbledli. Na tle błękitu nieba wyglądali na półprzezroczystych, a przyczipione do kurtki Shandy'ego ręce stały się lekkie jak piórko.

W tej samej chwili Shandy zdał sobie sprawę, że leży na świetnie mu znanym pokładzie rufowym „Carmichaela”, wpatrując się we wzmocnione klepki, które przybijał własnymi rękoma. Domyślał się, że Friend był zbyt zaabsorbowany odpieraniem ataków Hurwooda, by utrzymać zakłęcie, którym powołał do życia trupa załogę.

- Mógłbym ją zabić - rzucił otyły lekarz. Napięcie spłynęło z jego twarzy, gdy wyszczerzył w uśmiechu zakrwawione zęby.

Tym razem to Hurwood się zachwiał, a Friend wycelował w niego wolną ręką. Wystrzeliła z niej kula ognia, prawie biała w słońcu bezchmurnego południa, i pomknęła w kierunku staruszka przez olinowanie.

Stary profesor odbił ją zamaszystym ruchem ręki. Spadła na uczipioną okrętu „Jenny”, powitana przez marynarzy nerwowymi okrzykami. Hurwood osunął się w powietrzu o kilka stóp, lecz gwałtownym szarpnięciem zdołał powstrzymać upadek i wyciągnął rękę do córki, która po przeciwnej stronie śródokręcia wciąż wlatywała w stronę jego przeciwnika. Frienda nie otaczały już żadne płomienie i na ustach otyłego lekarza zaigrał triumfalny uśmieszek. Pusząc się dumnie jak paw, wyglądał niczym groteskowy ozdobny balon napędzany gorącym powietrzem.

Odetchnął głęboko, odchylił się i rozpostarł ręce.

Chwilę później, mimo że wiatr był silny, powietrze przeszło smrodem spalonej patelni. Okręt znów zamienił się w przysadzistą, wielopokładową „Charlotte Bailey”, a hiszpańscy i angielscy marynarze, którzy odzyskali cielesność, wyglądali na wyjątkowo żywych - ich policzki były rumiane, ramiona opalone, a oczy lśniące. Friend płonął na błękitnym niebie niczym słońce w kształcie człowieka...

\* \* \*

Leo Friend zdał sobie sprawę, że od pełnego zrozumienia dzieli go ostatni krok; że dotarł do granic boskości, i to bez pomocy z zewnątrz, korzystając wyłącznie z własnych, wewnętrznych zasobów. Zrozumiał, że tak musiało być. Jeśli chce się zrobić coś dobrze, trzeba to zrobić samemu, a chcąc pokonać Benjamina Hurwooda, Friend musiał to zrobić natychmiast.

By jednak zostać bogiem - co, rzecz jasna, oznaczałoby, że był nim cały czas- należało uzasadnić wszystkie przeszłe zdarzenia, zdefiniować każde podjęte działanie w kategoriach spójnych z jego wizją boskości... Wiedział, że w przeszłości nie może być niczego, co napępiało go poczuciem wstydu.

Z ponadludzką szybkością przeprowadzał w myśli przegląd wszystkich wspomnień z kolejnych lat - torturowanie zwierząt, dokuczanie kolegom, podrzucanie zatrutych cukierków w pobliże szkół i przytułków... Potrafił zmierzyć się z tymi wspomnieniami i wcielić każdą ich część do swej boskiej natury. Czuł, jak jego potęga wzrasta w nieobliczalnym tempie, podczas gdy on rozkwitał w środku, coraz bliższy osiągnięcia idealnego samozadowolenia, a tym samym bez wątpienia wszechmocnej siły.

A gdy Hurwood padł już niemal na kolana, słaby i pokonany, przed Friendem został ostatni epizod, który należało uświęcić i wyrugować ze zwykłej, nędznej rzeczywistości. Było to jednak jego najbardziej bolesne i traumatyczne doświadczenie i sama próba zmierzenia się z nim, powrotu do odległych wspomnień wydawała się nadzwyczaj trudna. Teraz jednak, gdy wisiał w powietrzu nad okrętem, stawiając opór już prawie pokonanemu wrogowi i patrząc, jak niemal zdobyta nagroda wznosi się ku niemu z roztrzaskanej kajuty, zmusił się, aby powrócić do tamtej chwili.

Miał piętnaście lat i stał przy regale w ciasnej, śmierdzącej sypia... w eleganckiej, wyłożonej boazerią komnacie, pachnącej skórzanymi oprawami książek i świeżym jaśminem, którego aromat wpadał do środka na skrzydłach wiatru przez uchylone okiennice. Zawsze tak było, nigdy nie istniał nędzny, cuchnący pokój. Matka otworzyła drzwi i weszła do środka. Tylko przez chwilę była grubą, siwą matroną w czarnej workowatej sukni - zaraz potem zamieniła się w wysoką, piękną niewiastę w jedwabnym szlafroku, którego zapomniała zawiązać... Siedem lat wcześniej młody Leo odkrył magię i od tamtej chwili pilnie ją studiował. Teraz wiedział znacznie więcej i pragnął podzielić się bogactwami swego umysłu z jedyną osobą, która ten umysł naprawdę doceniała.

Podszedł do niej i pocałował ją.

Wszystko zaczęło mu się wymykać; znów była przysadzista, starą kobietą, która weszła do cuchnącego pokoju, by zmienić pościel, a on znów był wystraszonym grubym chłopcem, któremu przeszkodzono w samotnym akcie zaspokajania potrzeb. Całował ją nieprzytomnie, ponieważ dopadło go przyprawiające o kołatanie serca delirium i opacznie zrozumiał powód jej wizyty.

- Och, mamusiu - wysapał - ty i ja możemy zdobyć cały świat, znam magię, potrafię robić różne rzeczy...

Ogromnym wysiłkiem woli zmusił ją, by znów była piękną kobietą w szlafroku i by pokój rozszerzył się do bardziej królewskich rozmiarów. Zrobił to w samą porę, ponieważ dobrze wiedział, że po matce zjawi się w nim jego ojciec, a wątpił, czy sprostałby tej scenie w jej pierwotnym kształcie.

Cóż, pomyślał niepewnie, w końcu to ja formuję teraz rzeczywistość. Już za kilka minut to nieznośne wspomnienie nie będzie wspomnieniem prawdziwym.

Usłyszał, jak na schodach zadudniły ciężkie kroki. Skupił się, sprawiając, że stopniowo cichły, aż w końcu przypominały chód dziecka. Na półpiętrze stała lampa i w otwartych drzwiach pojawił się wielki, najeżony cień, który po chwili zaczął demolować pokój... Friend po raz kolejny zainterweniował, zamieniając go w przygarbiony kształt - niezwykle blady, jakby rzuciła go istota nie do końca materialna.

Do pokoju wkroczył mały mężczyzna. Wyglądał jak szczur ubrany w rozciągnięte spodnie, człapiący na tylnych łapkach. Chociaż mrużył groźnie oczy i marszczył brwi, było jasne, że nie stanowi dla nikogo zagrożenia.

- Co tu... - zaryczał, lecz Friend natychmiast się skupił i z ust mężczyzny wydobył się szorstki, zrzedliwy głosik. - Co tu się dzieje?

Oddech pokurzonej istoty śmierdział alkoholem i tytoniem. Ruszyła nedorzecznie dumnym krokiem przez wykafelkowaną podłogę i w tej wersji rzeczywistości wymierzyła Leo Friendowi cios, który był lekkim, niepewnym klapssem.

Matka stanęła przed intruzem. Samo jej spojrzenie wystarczyło, by nieogolone stworzenie odskoczyło od chłopca.

- Ty głupi bydlaku - powiedziała miękko, a jej muzyczny głos odbił się od wyłożonych boazerią ścian i stopił z szumem fontanny, z dźwięczeniem rozhuśtanych na wietrze dzwoneczków. - Ty usmarowany brudem, spocony pacholku. Piękno i geniusz są poza twoim zasięgiem. Odejdź.

Pokurczona istota chwiejnym krokiem wycofała się w kierunku drzwi. Smród zelżał, ale



fragmenty jej niedopasowanego płaszcza i zbyt wielkich skórzanych butów łuszczyły się, szpecąc kafle podłogowe.

\* \* \*

Hurwood opadł o kolejną stopę i zawisnął tuż nad pokładem okrętu. Siwe włosy lepiły mu się do spoconego czoła. Oddychał ciężko, a oczy miał zamknięte, choć na ułamek sekundy jedno się otworzyło - tylko odrobinę, lecz mimo to było w nim widać błysk przebiegłości, prawie idealnie skrywanego triumfu.

\* \* \*

Friend poczuł wstrząs i na chwilę utracił kontrolę. Ojciec rósł, zwalniając kroku, sypialnia zaś bledła, przyjmując pierwotny kształt.

- Dlaczego, dlaczego uderzyłeś Leo? - bełkotała jego matka. - Zawsze bijesz Leo, dlaczego uderzyłeś Leo?...

Ojciec zatrzymał się i zaczął odwracać.

Wysoko nad pokładem rufówki Leo Friend zacisnął gorejące pięści i sięgnął po najgłębsze rezerwy siły woli. Postać jego ojca znów się skurczyła, a na ścianach komnaty pojawiła drewniana boazeria...

\* \* \*

Hurwood doszedł do wniosku, że nie musi dłużej udawać. Zaśmiał się otwarcie, po czym uderzył.

\* \* \*

Ojciec wciąż stał odwrócony do niego plecami, lecz nagle urósł tak bardzo, że framuga drzwi wydawała się zbyt niska i wąska, by pomieścić jego olbrzymie ciało. Spojrzał na roześmianego syna i zaatakował grzmiącymi słowami, które Friend tak desperacko starał się wyciąć z tej wersji rzeczywistości:

- Coś ty zrobił matce, cholerny dziwołagu?! Patrz, przez ciebie zapaskudziła dywan!

Lamentując przerażonym głosem, Leo Friend odwrócił się do matki, ale natychmiast spostrzegł, że znów się zmieniła - przypominała spasionego, łysego psa, który uciekał pod ścianę na czterech łapach. Jej brzuch zadrżał i wtedy zwróciła na brudną podłogę organy wewnętrzne.

W sypialni znów zagościła dawna nędza, choć teraz pomieszczenie sprawiało wrażenie jeszcze mroczniejszego, a powietrze jeszcze bardziej cuchnęło. Friend chciał umknąć do świeżej

morskiej bryzy i „Charlotte Bailey” - lub chociaż „Hafaśliwego Carmichaela” - ale nie potrafił znaleźć wyjścia.

- Zużyłeś ją zbyt szybko - wysyczała koszmarna istota będąca zarazem jego ojcem, Benjaminem Hurwoodem i każdym innym dorosłym, który kiedykolwiek nim pogardzał. W sypialni zapadła absolutna ciemność, a potwór ruszył, by go pożreć...

\* \* \*

Powietrzem wstrząsnął potężny huk, ogłuszając Shandy'ego, który właśnie podniósł się na nogi. Mało brakowało, a znów by upadł, zdążył jednak złapać za jedną z lin. Zakrzuszył się wyjątkowo intensywnym smrodem magii, lecz jednocześnie zarejestrował, że okręt przybrał znajome kształty „Carmichaela”. Przywołani z krainy zmarłych marynarze bledli, aż w końcu zamienili się w przezroczyście cienie. Ręce zaciśnięte na jego kurtce znikły.

Spojrzał w górę. Beth Hurwood wisiała w bezruchu jakieś dwadzieścia stóp nad pokładem rufówki, ale Friend pędził ku niebu. Świecił teraz jeszcze jaśniej- niemal zbyt jasno, by móc na niego patrzeć - i wymachiwał niezbornie rękoma jak człowiek zaatakowany przez osy. Shandy nawet przez dzwonięcie w uszach słyszał jego wrzaski. I nagle oślepił go błysk. Gdziekolwiek by spojrzał, widział przed oczyma czerwoną plamę, a powietrze wypełniło się białym prochem.

Beth Hurwood delikatnie opadła z powrotem do kajuty, zaś część oderwanych desek wślizgnęła się na miejsce, zatykając poszarpane otwory. Prawie niedostrzegalne duchy hiszpańskich i angielskich marynarzy wałęsały się po pokładzie w poszukiwaniu krwi zabitych piratów z „Jenny” i choć zdawały się czerpać z niej żywotną energię, wkrótce zatrul je wirujący nad pokładem proch, który jeszcze przed chwilą był Leo Friendem.

Sztafał drewna nie przestawała się trząść nawet po tym, jak kilka desek odleciało na bok, aby stworzyć kraty więzienia dla Beth, i po chwili wypełzły spod niej dwie zakrwawione postaci. Shandy chciał powitać je radosnym okrzykiem, gdy raptem zdał sobie sprawę, że czaszka pierwszej jest pusta, a pierś drugiej zupełnie zapadnięta. Nie zdziwił się, gdy ujrzął w oczach mężczyzn pustkę.

Nieco bliżej usiadł na pokładzie martwy Pan Ptaszyna. Dźwignął się z mozołem na nogi i powłóczył krokiem podszedł do bloczków, przy których znajdował się szot grota. Jeden za drugim dołączały do niego inne trupy i gdy się zebrały - sprawiając wrażenie wyczekujących, pomimo stężyłych, beznamiętnych twarzy - Shandy naliczył czternaście dusz.

- Tylko nie Davies - rzucił stłumionym głosem, gdy zauważył między nimi ciało starego

pirata. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel zginął w bitwie.- Każdy, tylko nie Davies - wymamrotał.

Hurwood niczym wielki ptak przeleciał w powietrzu nad relingiem, Shandym i pozostałymi wyczerpanymi marynarzami, którzy przeżyli bitwę. Wylądował na pokładzie rufówki tuż obok częściowo zasłoniętej dziury. Spojrzał na Shandy'ego obojętnym wzrokiem i pokręcił głową.

- Przykro mi - powiedział. - Nie mam dość licznej załogi, by móc go oszczędzić. A teraz złaż z mojego okrętu.

Shandy spojrzał w stronę „Jenny”, której maszt i nadpalony żagiel wystawały ponad sterburtę „Carmichaela”. Kłęby dymu unoszące się w niebo zaraz po uderzeniu kuli ognia zamieniły się w pojedyncze, wątle strużki. Wszystko wskazywało na to, że marynarze, którzy zostali na pokładzie, zdołali ugasić pożar.

Tymczasem ci, którzy znajdowali się na „Carmichaelu” - a było ich około dwudziestu, z czego wielu krwawiło - spojrzeli na Shandy'ego.

Kiwnął głową.

- Wracamy na „Jenny” - rzucił sucho, nie chcąc, aby usłyszeli dławiące go rozgoryczenie. - Zaraz do was dołączę.

Podczas gdy jego ludzie wlekli się sztywno ku hakom, wciąż zaczepionym o nadburcie i takielunek „Carmichaela”, Shandy wziął głęboki oddech i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku zniszczonej kajuty. Wiedział, że nic w ten sposób nie wskóra, a może nawet straci życie, ale musiał spróbować.

Hurwood obserwował go z bladym uśmiechem.

Jack zatrzymał się przed zaryglowanymi drzwiami i zapukał. Czuł się głupio, lecz pomimo strachu był zdeterminowany.

- Beth - powiedział wyraźnie. - To ja, Jack Shandy. To znaczy John Chandagnac - poprawił się, choć to nazwisko brzmiało dla niego obco. - Chodź ze mną, a obiecuję, że zabiorę cię do najbliższego cywilizowanego portu.

- Wytłumacz mi - odpowiedziała Beth zaskakująco spokojnym głosem przez wypaczone drzwi - jak mam zaufać komuś, kto zabił oficera Królewskiej Marynarki, aby uratować morderców przed konsekwencjami ich czynów, i który przytknął mi nóż do gardła, aby odebrać mnie własnemu ojcu?

Shandy odgarnął z czoła kosmyk usztywnionych solą włosów i zerknął na Hurwooda, który z kpiącym uśmiechem wzruszył ramionami.

- Ten kapitan - zaczął tłumaczyć, z trudem panując nad swym głosem - chciał zastrzelić Daviesa, zamordować go bez procesu. Nie miałem wyboru. Jeśli zaś chodzi o twojego ojca...- Na chwilę urwał, po czym zaczął wyrzucać z siebie słowa jak załoga pozbywająca się z tonącego okrętu armat i beczek: - Twój ojciec zamierza wyrwać duszę z twojego ciała i umieścić w nim duszę nieżyjącej żony.

Tym razem z wnętrza kajuty nie było żadnej odpowiedzi.

- Proszę zejść z mojego okrętu - powtórzył uprzejmie Hurwood.

Shandy nie posłuchał. Wyciągnął rękę w stronę rygła, ale już po chwili unosił się w powietrzu, odlatując od drzwi kajuty. Wbrew własnej woli zamknął oczy, a gdy zdołał lekko unieść powieki, jego zeszywniałe ciało kręciło się jak kołowrót.

Przeleciał nad relingiem „Carmichaela” i zawisnął jakieś trzydzieści stóp nad wodą, tuż przed osmalonym dziobem „Jenny”. Poczul, jak magiczny opór ustępuje, i runął z impetem w dół, a po sekundzie zanurkował w zimnym morzu.

Wynurzył się na powierzchnię i ostatkiem sił dopłynął do „Jenny”. Muskularne ręce wciągnęły go na pokład.

- To ta śmierdząca magia, kapitanie - powiedział Skank, gdy Shandy, siedząc przy maszcie w kałuży wody, głęboko oddychał. - Szczęście, żeśmy w ogóle wyszli z tego cało.

Shandy nie dał po sobie poznać zaskoczenia, gdy usłyszał, że pirat nazwał go kapitanem. W końcu Davies nie żył, a on był jego kwatermistrzem.

- Zdaje się, że masz rację - wymamrotał.

- Naprawdę miło widzieć cię wśród żywych, Jack - zapewnił go Venner z szerokim uśmiechem, którym jednak nie zdołał zamaskować chłodu szarych oczu.

Ostatni piraci odcepili haki od „Carmichaela” i skoczyli do wody. Już po chwili dygotali na pokładzie „Jenny”, domagając się rumu.

- Dajcie im się napić - rzucił Shandy, odgarniając kosmyk z czoła. Stwierdził, że wkrótce będzie musiał zaczesać włosy do tyłu, a jego nasmołowany kucyk zyska co najmniej cal grubości, może nawet dwa. - Jak mocno oberwała „Jenny”?

- No cóż - zaczął z namysłem Skank - nie była w zbyt dobrym stanie nawet przed tą kulą ognia, ale powinniśmy dotrzeć na New Providence bez większych kłopotów - halsem, z wiatrem nie da rady.

- New Providence - powtórzył Shandy.

Spojrzał w górę i zobaczył, jak trup Pana Ptaszyny wspina się po wantach „Carmichaela”. Stał na percie wiszącej tuż pod reją, która podtrzymywała najniższy żagiel, i

odrefował go z precyzją mechanizmu zegarowego. W dole stygnące ręce innych marynarzy pracowały przy falach, dzięki czemu już niebawem żagiel złapał wiatr, a szoty zaskrzypiały w bloczkach i wielki okręt, z początku ospale, oddalił się od słupu.

- New Providence - wymamrotał w zamyśleniu nowy kapitan „Jenny”.

\* \* \*

Tymczasem w kajucie „Carmichaela” Benjamin Hurwood ściągnął urok z ust córki.

- Wierzę ci, John! - wykrzyknęła natychmiast Beth. - Tak, tak, popłynę z tobą! Zabierz mnie stąd, proszę!

„Jenny” była już jednak tylko odległym strzępem bezbarwnego płótna, plamą pośrodku migotliwej, błękitnej powierzchni oceanu. Rozpaczliwe błagania Beth dotarły wyłącznie do uszu jej ojca i martwych marynarzy, którzy krzatali się po pokładzie „Hałaśliwego Carmichaela”.

# Księga III

*Która godzina?  
Już dochodzi dwunasta,  
I jutrzejszy dzień sądu.*

*Thomas Lowell Beddoes*

## Rozdział dziewiętnasty

Gdy tylko łódź zatrzymała się z szarpnięciem na mieliźnie, do wody wskoczyło sześciu mężczyzn. Stede Bonnett obserwował ich zza dereni, które porastały grzbiet piaszczystego wzniesienia, osłaniając obóz przed nadbrzeżnym wiatrem. Uśmiechnął się z ulgą. Na ich czele szedł William Rhett, ten sam pułkownik Armii Brytyjskiej, który ponad miesiąc wcześniej pojmał go i osadził w charlestońskiej strażnicy, pełniącej także funkcję więzienia. Z pewnością wrócił, by aresztować go za jego ucieczkę.

Bogu dzięki, pomyślał Bonnett. Znów mnie zamkną, a jeśli mi się poszczęści, może nawet zabiją.

Odwrócił się i ruszył energicznym krokiem na drugą stronę wzgórza, by przypadkiem nie zdybał go tu któryś z towarzyszy i nie wypatrzył zbliżającej się grupy. Stłumił w sobie podekscytowanie, ponieważ czarnoskóry mężczyzna potrafił wyczuwać nastroje niemal równie skutecznie co Czarnobrody.

Znalazł całą trójkę przy ognisku - z jednej strony siedział Indianin i Murzyn, a z drugiej David Herriot.

- Tylko spójrz, David - rzucił z całym entuzjazmem, na jaki potrafił się zdobyć. - Pogoda jest dziś po prostu cudowna. Mogę się założyć, że marzysz wyłącznie o tym, by wreszcie uciec z tej wyspy i dostać się na jakiś okręt, co?

Herriot, potulny kapitan „Odwetu” od dnia jego zwodowania aż do chwili, gdy pułkownik Rhett zdobył go na rzece Cape Fear, wzruszył ramionami. Dziecinna radość, towarzysząca mu od ucieczki z Charles Town, stopniowo zamieniała się w zabobonny strach. Wszystko z powodu pogody, która z niewyjaśnionych przyczyn nagle się pogorszyła i zmusiła ich do szukania schronienia na Wyspie Sullivana. A odkąd dołączył do nich Indianin i czarnoskóry, Herriot pograżył się w ponurym letargu.

Obaj tajemniczy mężczyźni pojawili się tydzień wcześniej przed namiotem Bonnetta. Po prostu stanęli przed nim o świcie i choć się nie przedstawili, powitali Bonnetta i Herriota z imienia, po czym wyjaśnili, że pomogą im zdobyć okręt. Bonnett miał wrażenie, że Indianina widział już wcześniej na pokładzie „Zemsty Królowej Anny” - w maju, kiedy Czarnobrody sterroryzował Charles Town, aby zdobyć magiczne zioło chroniące przed duchami. Działała

czarnoskórego mężczyzny wydawały się zaś niemal tak białe jak zęby, co niezbicie świadczyło, że był bokorem. Nawet prostoduszny Herriot nie miał żadnych złudzeń - Czarnobrody w końcu wpadł na ich trop.

\* \* \*

Przez ponad półtora miesiąca od przerażającej wyprawy do Fontanny Młodości Bonnett nie kontrolował swych poczynań. Popłynął na „Odwece” razem z „Zemstą Królowej Anny” na północ, do Wirginii, i choć to jego usta wykrzykiwały rozkazy do marynarzy, tak naprawdę przemawiał przez niego Czarnobrody. Niczym lunatyk przyjął królewskie ułaskawienie od Charlesa Edena, gubernatora Karoliny Północnej, i poczynił wszelkie konieczne przygotowania, by wrócić do domu, na Barbados. W takim stopniu, w jakim było to możliwe, miał się włączyć z powrotem do życia tamtejszej elity, złożonej głównie z plantatorów. Czarnobrody planował swoją śmierć, aby powrócić w nowym wcieleniu, i najwyraźniej uznał, że przydałaby mu się marionetka w postaci zamożnego dżentelmena - lub chociaż byłego dżentelmena - na tej bogatej wyspie.

Jednakże po przyjęciu ułaskawienia Bonnett zaczął odzyskiwać władzę nad swym ciałem. Czarnobrody musiał dojść do wniosku, że powrót do dawnego życia jest tym, czego Bonnett pragnął najbardziej na świecie, w związku z czym nie istniała już potrzeba sterowania jego działaniami.

W rzeczywistości Bonnett bał się powrotu na Barbados jeszcze bardziej niż śmierci. Przez te wszystkie lata, które tam spędził, był szanowanym obywatelem - majorem w stanie spoczynku i majątnym przedsiębiorcą. Nie zniósłby powrotu, owiany sławą byłego pirata, i to w dodatku takiego, który uniknął sprawiedliwości, chowając się pod spódnicą królewskiego autorytetu. Nie mógł też liczyć na to, że do mieszkańców tej odległej, odosobnionej wyspy nie dotarły żadne wieści na temat jego pirackiej kariery, ponieważ drugim okrętem, jaki zdobył zaraz po wypłynięciu w morze, był „Turbet” - statek pochodzący z Barbadosu... Już wtedy zdał sobie sprawę, że powinien zabić całą załogę i wszystkich pasażerów, by nie zostawiać świadków, ale nie wydał rozkazu, bo zabrakło mu odwagi. Zresztą David Herriot nie mógłby biernie patrzeć, jak giną ludzie, z którymi żeglował przez całe życie.

A kiedy sobie uświadomił, że znów będzie musiał stanąć twarzą w twarz z żoną, niemalże stracił przytomność. Ta kobieta była wstrętną wiedźmą, jeszcze zanim wypłynął - choć przecież nie z własnej woli - w piracki rejs. Do tej pory budził się w nocy zlany zimnym potem, słysząc w głowie echo pogardliwych okrzyków, których nie potrafił wymazać z pamięci. „Złaż



ze mnie, brutalna gnido! Złaź, cuchnąca świniu!” Wciąż pamiętał, jak uciekał z własnego domu, z trudem powstrzymując się przed morderstwem albo samobójstwem... A najlepiej jednym i drugim.

Wydawało się jednak, że nie uniknie powrotu na Barbados, jeśli nie zdoła pokrzyżować Czarnobrodemu jego planów. W tym celu czternastego września wysłał Herriota do miasta, by odnalazł jak najwięcej członków pierwotnej załogi - nie chciał na pokładzie żadnego marynarza, który pływał z Czarnobrodym albo Daviesem - i przyprowadził ich na „Odwet”. Ponieważ jego okręt nie był częścią pirackiego łupu - uczciwie zapłacił za każdy jard drewna i olinowania - władze New Providence nie miały nic przeciwko, aby zabrał go na morze, a gdy tylko wypłynęli z zatoki, Bonnett kazał zdrapać nazwę „Odwet” i namalować w jej miejscu „Król Jakub”.

Jeszcze tego samego dnia, w środę, wziął się za łamanie warunków ułaskawienia tak szybko i skutecznie, jak tylko potrafił. Zanim zaszło słońce, zdobył pierwszy okręt, a w ciągu następnego dziesięciu dni jeszcze jedenaście. Choć łup był raczej skromny - trochę tytoniu, wieprzowiny, jakieś szpilki i igły - wieści o jego rozbojach rozeszły się błyskawicznie. Załogom obrabowanych okrętów wmawiał, że nazywa się kapitan Thomas, ponieważ nie chciał, aby Czarnobrody usłyszał o jego powrocie na drogę występku, zanim nie wymknie się daleko poza zasięg jego wpływów.

Chcąc zapewnić sobie sukces, postanowił wcielić w życie plan uknuty przez Czarnobrodego. Ponieważ jeszcze do niedawna znajdował się pod jego całkowitą kontrolą, tylko jemu król piratów odważył się zdradzić szczegóły swego pomysłu. Bonnett zamierzał jednak wykorzystać go w dużo skromniejszych celach. Dla Czarnobrodego był on odskocznią do nieśmiertelności, natomiast dla Bonnetta zgoła odwrotnie - liczył on na szybką śmierć na morzu, lub chociaż proces i stryczek z dala od Barbadosu.

Wpłynął na rzekę Cape Fear, rzekomo w celu pochylenia „Króla Jakuba” i naprawy uszkodzeń. Jednocześnie upewnił się, że kapitan i załoga dopiero co zrabowanego okrętu zobaczą, gdzie znajduje się jego nowe kotwiczowisko, zanim puścił ich wolno.

Wieczorem dwudziestego szóstego września kolonialni łowcy piratów zjawili się posłusznie u ujścia rzeki pod dowództwem pułkownika Rhetta. Następnego ranka Bonnett celowo przeprowadził pozorowaną ucieczkę w czasie odpływu. Herriot przecierał ze zdumienia oczy, gdy jego przełożony wydawał zupełnie niezrozumiałe rozkazy. Bonnettowi udało się utknąć na mieliźnie w takiej pozycji, że walka była wykluczona. W ostatnich chwilach próbował jeszcze podpalić beczki z prochem, by rozrzucić swoje szczątki - a przy okazji większości

marynarzy - po okolicznych bagnach, lecz niestety nie zdążył.

W kajdanach odbyli podróż do Charles Town. Załoga „Króla Jakuba” trafiła do zboru anabaptystów na południowym krańcu miasta, gdzie pilnowała ich cała kompania milicji, natomiast Bonnetta i Herriota zamknięto w strażnicy położonej jeszcze dalej na południe, na brzegu rzeki Ashley. Przydzielono im tylko dwóch strażników.

Wieczorem dwa tygodnie później obaj wartownicy postanowili zjeść kolację o tej samej porze, a zamek w drzwiach okazał się tak zardzewiały, że wystarczyło mocniejsze pchnięcie, by bolec odskoczył. Nagle wyszło na jaw, że nawet Bonnettowi nie były w smak upokorzenia procesu i publicznej egzekucji. Uradowany tym pasmem rzekomo szczęśliwych zbiegów okoliczności, wymknął się razem z Herriotem ze strażnicy, ukradł łódź i popłynął na wschód, obok Fortu Johnson i dalej ku zatoce.

Zaraz potem popsuła się pogoda; wiatr, deszcz i wysokie fale zmusiły ich do lądowania na Wyspie Sullivana, nieco na północ od zatoki. Zbyt późno nawiedziły ich ponure podejrzenia, że swej ucieczki wcale nie zawdzięczali szczęściu.

Pogoda nie chciała się poprawić, dwaj zbiegowie postawili więc namiot z żagla łodzi. Przez dwa tygodnie żywili się flądrami i mięsem żółwi pieczonym na niedużym, starannie zakamuflowanym ogniu. Bonnett miał nadzieję, że na tle wiecznie szarego nieba wąty dym nie zwróci niczyjej uwagi.

Najwyraźniej bardzo się mylił.

\* \* \*

Bonnett urwał jeden z liści palmowych w kształcie wachlarza i dorzucił go do ognia. Liczył, że trzaski i skwierczenie zagłuszą odgłosy wydawane przez ludzi pułkownika Rhetta, którzy skradali się w górę wzniesienia od strony morza.

- O tak - powiedział głośno - ucieczka z tej wyspy na pewno wyjdzie nam na dobre. Chyba jestem już gotów wypłynąć w morze i zdobywać nowe okręty, wyciągnąłem wiele wniosków ze swych poprzednich błędów! Nigdy więcej nie zostawię przy życiu świadków, którzy mogą przeciwko mnie zeznawać. - Miał nadzieję, że zespół Rhetta słyszy jego wyznania. - Zgwałcić kobiety, zastrzelić mężczyzn, a później wszystkich ich wyrzucić za burtę rekinom na pożarcie!

Herriot nachmurzył się jeszcze bardziej, a bokor spojrzał na Bonnetta z wyraźną podejrzliwością.

- Co ty robisz? - zapytał czarnoskóry mężczyzna. Wyjątkowo czujny z powodu

odległości dzielącej go od ochronnych wpływów karaibskich loa, uniósł rękę i wykonał gest, jakby przesiewał przez palce powietrze.

Gdzie jesteś, Rhett? - zastanawiał się zdesperowany Bonnett, a radość na jego twarzy szybko bledła. Ludzie na pozycjach? Broń załadowana i gotowa do strzału?

Indianin wstał i przeczesał polanę wzrokiem.

- Tak - rzucił do czarnoskórego mężczyzny. - Wyczuwam tu jakieś ukryte zamiary.

Palce bokora wciąż się poruszały, ale ręka wskazywała zbocze opadające w kierunku morza.

- Są tu inni. Blisko! - Odwrócił się błyskawicznie do Indianina. - Magia ochronna! Prędzej!

Ręka Indianina pomknęła do wiszącej u jego pasa, ozdobnej torby.

- Ognia! - krzyknął Bonnett.

W jednej chwili zagrzmiał tuzin eksplozji. W powietrze wzbily się fontanny piachu, a z ogniska strzelił snop iskier. Ze szczytu wzniesienia dolatywały jakieś krzyki, ale Bonnett nie rozumiał słów. Odwrócił powoli głowę i rozejrzał się.

Indianin siedział w rozgrzebanym piasku, ściskając krwawiące udo. Bokor trzymał się za nadgarstek, patrząc w oniemieniu na rozszarpaną, niemalże pozbawioną palców dłoń.

David Herriot leżał płasko na plecach, wpatrując się skupionym wzrokiem w niebo. Pośrodku jego twarzy ziała wielka dziura, a krew zdążyła utworzyć wokół głowy ciemną aureolę.

Żegnaj, Davidzie, pomyślał Bonnett. Cieszę się, że przynajmniej tyle mogłem dla ciebie zrobić.

Pułkownik Rhett i jego ludzie zbiegali na polanę, celując z naładowanych pistoletów do mężczyzn leżących wokół ogniska. Bonnett dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że sam nie został trafiony przez żadną z kul.

To zaś oznaczało, że przeżyje, aby odbyć publiczny proces i zapewnić ponurą rozrywkę mieszkańcom Charles Town - a przy okazji wszystkim Indianom, marynarzom i traperom, którzy akurat będą w mieście. Oczywiście wyobraźni widział, jak przez kilka długich minut szarpie się i krzywi do tłumu i jak w końcu traci kontrolę nad pęcherzem i zwieraczami, powieszony na zbyt krótkiej linie.

Zadrzał, zastanawiając się, czy ma jeszcze dość czasu, by sprowokować jednego z ludzi pułkownika do zabicia go na miejscu.

Nie miał. Podszedł do niego sam Rhett i wykręcił mu rękę, po czym szybko związał je

szttywnym sznurkiem.

- Dzień dobry, majorze Bonnett - rzucił chłodno.

Dreszcze minęły i Bonnett zdołał się rozluźnić. Uniósł głowę i wyprostował plecy, jak przystało dawnemu majorowi Armii Brytyjskiej. Cóż, przyjdzie mi umrzeć bez zaszczytów, stwierdził, ale też bez większych grzechów. Zasłużyłem sobie na śmierć, którą dla mnie przygotowują, choć z pewnością nie piractwem - to nigdy nie było moją sprawką. Niepotrzebnie jednak próbowałem zwieść samego siebie w zupełnie innej sprawie.

- Dzień dobry, pułkowniku Rhett - powiedział.

- Zwiążcie czarnego i Indianina - rozkazał Rhett jednemu ze swych ludzi - i zaprowadźcie ich do łodzi. A jak który za bardzo się będzie ociążać, szturchnijcie go nożem w plecy. - Pchnął Bonnetta. - Ciebie też to dotyczy.

Bonnett ruszył żwawo w stronę szarego horyzontu. Na ustach igrał mu uśmiezek. Niepotrzebnie udawałem przed sobą, myślał, że byłem odurzony, kiedy pobitem na śmierć tamtą biedną dziwkę, która tak przekonująco odegrała moją żonę. A teraz, kiedy przez pomyłkę każą mi odpowiedzieć za jakąś straszną zbrodnię, pozostaje mi tylko cieszyć się, że rzeczywiście mam jedną na sumieniu.

Pomyślał o Czarnobrodym.

- Tylko tym razem nie pozwólcie mi uciec, jasne? - zawołał do Rhetta. - Zamknijcie mnie w jakimś miejscu, z którego nie da się wyjść, i trzymajcie straż dzień i noc!

- Bez obaw - odparł Rhett.

## Rozdział dwudziesty

Różowy blask świtu budzącego się za występem wyspy Ocracoke rozpedził ciemność zalegającą u wejścia do zatoki. Czarnobrody zaśmiał się cicho, kiedy zobaczył żagle dwóch słupów Królewskiej Marynarki w tym samym miejscu co poprzedniego dnia o zmierzchu. Potężny pirat uniósł do ust butelkę rumu, a gdy spłynęła z niej ostatnia kropla, zamachał w stronę Richardsa.

- Jeszcze jedna dla Millera - powiedział. - Sam mu ją zaniosę.

Wciągnął powietrze głęboko w nozdrza, rozkoszując się zapachem chłodnego świtu zmieszanego z oparami alkoholu. Wydawało mu się ono dziwnie napięte - oddychanie przypominało dotykanie deski naprężonej do granic wytrzymałości.

Choć za nimi nie przepadał, zmusił się do przeżucia jeszcze jednej garści kulek z cukru i kokosu. Zebrało mu się na wymioty, ale jakoś je przełknął. Musi wystarczyć, pomyślał, chyba jeszcze nikt nie wypił jednej nocy tyle rumu i nie zjadł tylu przeklętych słodczy. Z pewnością w całym moim ciele nie ma ani kropli krwi, która nie byłaby nasycona cukrem i alkoholem.

- Wciąż możemy się prześlizgnąć wschodnią stroną, kapitanie - powiedział nerwowo Richards. - Przyływ jest dość wysoki, żeby ominąć w tym słupie mielizny.

Czarnobrody przeciągnął się.

- I zrezygnować z naszej zdobyczy? - zapytał, zginając kciuk w kierunku nieco większego słupu zakotwiczonego trzydzieści jardów od sterburty, który przejęli poprzedniego dnia. - Wykluczone. Poradzimy sobie z tymi chłopcami.

Jego uśmiech zmienił się w grymas, który na łagodniejszej twarzy uchodziłby za wyraz cynicznego smutku. Przypomniawszy sobie zebranie sprzed dwóch nocy w ciasnej kajucie. Poborca cła Tobias Knight doniósł mu, że gubernator Wirginii, Spotswood, wiedział już o jego obecności na tych wodach i podobno zorganizował grupę pościgową. Israel Hands natychmiast zaczął snuć plany porzucenia kotwicowiska w zatoce Ocracoke.

Czarnobrody pochylił się i napelniał kilka kubków stojących na nierównym stole. W blasku lampy jego twarz wyglądała na pozbawioną wyrazu.

- A więc teraz to ty decydujesz, co robimy, Israel? - zapytał.

- Cóż, Ed, jeśli ty nie potrafisz, to owszem, ja decyduję - odparł radośnie Hands. Obaj

żeglowali razem jako bukanierzy, a później piraci pod dowództwem starego admirała Bena Hornigolda - Israel Hands spoufalał się z Czarnobrodym o wiele bardziej niż ktokolwiek inny. - A co, wolisz zostać i walczyć na „Przygodzie”? - Uderzył pogardliwie w gródź i niski strop kajuty. - Przecież to tylko słup, człowieku, ledwie większy od cholernej tratwy! Wracajmy do kryjówki, w której zostawiłeś „Zemstę Królowej Anny”. Do diabła z marnowaniem czasu na ślizganie się po mieliznach, chcę poczuć pod stopami prawdziwy pokład bujający się na prawdziwym morzu!

Czując nagły przyływ sympatii dla starego, wiernego druha, Czarnobrody zdecydował, że uczyni wobec niego akt miłosierdzia, który nigdy nie spotka się z jego zrozumieniem.

- Osobiście zadbam o to - mruknął - żebyś dożył następnego rejsu.

Wyciągnąwszy pod stołem dwa pistolety, pochylił się i zdmuchnął płomień lampy.

Dwie równoczesne eksplozje błysnęły żółtym światłem przez dziury w stole, a Israel Hands spadł z krzesła i uderzył w gródź. Gdy krzyki umilkły, a zamieszanie ustało, ktoś wreszcie pomyślał, by na powrót zapalić lampę. Czarnobrody ujrzał wówczas, że wycelował idealnie - jedna kula wbiła się niegroźnie w pokład, podczas gdy druga roztrzaskała na miazgę kolano Handsa.

Kilku mężczyzn stłoczonych w ciasnej kajucie wpatrywało się w Czarnobrodego ze zdumieniem i przerażeniem. Hands klęczał przy grodzi, próbując zatamować krwawienie. Spojrzał na dawnego kompana z głęboką pretensją i bólem malującym się na gwałtownie zmizerniałej twarzy.

- Dlaczego... Ed? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Nie mogąc powiedzieć mu prawdy, Czarnobrody rzucił szorstko:

- Gdybym raz na jakiś czas do któregoś z was nie strzelił, moglibyście zapomnieć, z kim macie do czynienia.

Gorączkującego, odgrażającego się Handsa zniesiono ze słupu następnego ranka. Cóż, drogi przyjacielu, myślał Czarnobrody, schodząc na niski pokład działowy, przynajmniej ty będziesz jutro żywy, bo już cię z nami nie ma.

- Masz tu jeszcze jedną - rzucił do Millera, który napełnił kulami i prochem jakiś tuzin butelek, a teraz wciskał do szyjek knoty i ostrożnie odkładał gotowe pociski na koc. - Kiedy będziesz gotowy?

Miller wyszczerzył się szeroko, jeszcze bardziej deformując pociętą bliznami twarz.

- Kiedy rozkażesz, kapitanie - odparł radośnie.

- Świetnie.

W duszy Czarnobrodego wciąż pobrzmiwały echa uczucia, które skłoniło go do okazania łaski Israelowi Handsowi. Przez krótką chwilę żałował, że nie wymyślił żadnej wymówki, aby odesłać załogę i zmierzyć się z zabójcami piratów Spotswooda w pojedynkę, lecz zaraz potem przypomniał sobie, że im więcej krwi przeleją tego dnia, tym potężniejsza będzie jego magia. Sentymenty na bok, pomyślał. Każda cudza krzywda, która działała na jego korzyść, była złem dopuszczalnym.

- Żadnej litości - dodał. - Woda ma dziś smakować krwią, a nie solą.

- Niech szczenę, jeśli tak nie będzie. - Miller zarechotał, sypiąc proch do butelki.

- Niech szczenę - powtórzył za nim Czarnobrody.

- Tam palą się knoty, kapitanie - dodał po chwili marynarz. - Domyślam się, że wkrótce będziesz je wplatać we włosy, bo słońce już wstaje.

- Nie - odparł w zamyśleniu wielki pirat. - Dziś chyba sobie daruję. - Odwrócił się do drabinki, ale przystanął w pół kroku. Nie spoglądając do tyłu, zamachał do Millera i mężczyzn zgarbionych nad zamkami armat. - Dzię... dziękuję.

Wyszedł na pokład. Dzień rzeczywiście budził się do życia - różowy blask na wschodzie powoli rozświetlał całą powierzchnię szarego nieba. Kilkanaście stóp nad plażą przeleciał klucz pelikanów, a na brzegu wyspy Ocracoke, sto jardów od ćwiartki dziobowej bakburty, ptaki o nogach długich jak szczudła pracowicie biegały tam i z powrotem.

- A oto i oni, kapitanie - mruknął ponuro Richards.

Żagle dwóch słupów marynarki były postawione, a wąskie kadłuby rozcinały spokojną, srebrzystą wodę - powoli, aby nie wpaść na jedną z wielu mielizn.

- Ciekawe, czy mają sternika, który zna zatokę - zastanawiał się na głos Richards.

Jednym ze słupów szarpnęło tak mocno, że zachwiało się jego maszt. Zatrzymał się, a zaraz potem dołączył do niego drugi.

- Zdaje się, że nie - parsknął Czarnobrody. Oby tylko wszystkie przygotowania nie poszły na marne, myślał posepnie. Oby ci chłopcy z marynarki nie okazali się niekompetentnymi półgłówkami.

Wyraźnie widział rozpryski wody, gdy marynarze wojskowych okrętów wyrzucali balast za burtę. Szybciej, głupcy, poganiał ich w myślach, zaraz przyjdzie odpływ. Jeśli nie zdążę... przesadzić mojej duszy do Bożego Narodzenia - a zostało mi już tylko pięć tygodni - nie dotrę do niej na czas, zaś Hurwood odprawi swój śmieszny rytuał z głową zmarłej żony i pozbędzie się córki.

Szkoda, że Czarnobrody nie dowiedział się wcześniej - albo chociaż nie zgadł - że do

czerpania korzyści z mocy małżeństwa nie wystarczy mu już zwykła kobieta. Jeszcze jako młody czarownik odkrył, że istniały zarówno żeńskie, jak i męskie aspekty magii, a żaden samotny mężczyzna nie był w stanie zyskać dostępu do obszarów zarezerwowanych dla płci przeciwnej. W przeszłości omijał tę przeszkodę, żeniąc się i wykorzystując węzeł małżeński - który czyni mężczyznę i kobietę równorzędnymi partnerami - aby dopełnić swych jednostronnych zasobów magicznych. Łatwy dostęp do nowych żon sprawiał, że nie dbał o żadną ze swych kobiet, w związku z czym wszystkie umierały albo dostawały pomieszania zmysłów niedługo po ślubie, gdy już wykorzystał ich potencjał. Ta, której zamierzał zgotować dziś los wdowy, była czternastą z kolei.

Miała teraz szesnaście lat, a gdy w maju widział ją po raz ostatni, nadal była piękna. Często łączył się z jej umysłem, aby wykorzystać jego magicznie przysposobione obszary do kontrolowania Bonnetta, który z jakichś powodów był bardziej podatny na kobiecy aspekt magii. W końcu jednak ją zламаł. Znajdowała się teraz w domu dla obłąkanych w Wirginii, a gdy odwiedził ją w maju, chcąc sprawdzić, czy jeszcze do czegokolwiek może mu się przydać, uciekła od niego z krzykiem i wybiła okno. Próbowwała popełnić samobójstwo za pomocą długiego kawałka szkła. Wskutek zamieszania wezwano na salę zarówno położną, jak i księdza, ponieważ pielęgniarz, który próbował ją uspokoić, w pierwszej chwili pomyślał, że chciała pozbyć się ciąży.

Ale teraz pod względem potencjału magicznego żadna zwyczajna kobieta nie dorastała Czarnobrodemu do pięt. Zakres jego mocy uległ drastycznej zmianie, gdy przelał krew w Erebie, i w tej chwili mógł czerpać korzyści wyłącznie ze związku z kobietą, która zrobiła to samo.

Z tego, co wiedział, tylko jedna żywa kobieta spełniała ten warunek.

- Zdażylibyśmy ich opłynąć, zanim się wydostaną - zauważył ostrożnie Richards. - Wydaje mi się, że... - urwał i westchnął. - Nieważne. Już płyną.

Czarnobrody zdusił cisnący się na twarz uśmiech satysfakcji.

- Rzeczywiście - powiedział tylko.

- Chryste - ciągnął zachrypniętym głosem Richards - w taki sam sposób złapali dwa miesiące temu Bonnetta. Zapędzili go na mieliznę podczas porannego odpływu.

Czarnobrody zmarszczył brwi.

- Co ty nie powiesz - warknął.

Richards odwrócił się do niego z nadzieją, że dowódca wreszcie pojął rozmiary zagrożenia.



Czarnobrody myślał jednak o czymś innym. Przypominał sobie, co usłyszał o pojmaniu Bonnetta. Tak, na gniew Samediego, sarknął ze złością- pomijając fakt, że wszystko rozegrało się sto pięćdziesiąt mil na południe, podobieństw było aż nadto.

Bonnett ukradł mój plan!

Najpierw swymi nierozważnymi poczynaniami pozbawił się możliwości odegrania roli, którą dla niego przeznaczyłem - i to tak dyskretnie, że zorientowałem się o wszystkim o wiele za późno - a następnie... Przeklęty Bonnett przywłaszczył sobie - ukradł! - tak długo przygotowywaną przeze mnie scenę klęski, którą dziś mam odegrać, ba, skopiować! Na domiar złego dwaj czarownicy, których posłałem jego śladem, wrócili z pustymi rękoma, poranieni, a w zeszłą niedzielę dokładnie w południe przestałem być świadomy jego fizycznej obecności. Najwyraźniej biedny Bonnett wreszcie znalazł jakąś dziurę, przez którą zdołał mi uciec - i najpewniej była to dziura na końcu grubego stryczka.

- Zaraz będziemy w zasięgu głosu - wychrypiął Richards, mokry na twarzy pomimo porannego chłodu, który zamieniał jego oddech w mgiełkę.

- Już jesteśmy - powiedział Czarnobrody. Wyprostował masywne plecy i niespieszonym, równym krokiem podszedł na dziób. Oparłszy jedną stopę o bukszpryt, nabrał głęboko w płuca powietrza i krzyknął do żołnierzy marynarki: - Hej tam, przeklęte łajdaki! Kim jesteście i skąd przypluwacie?!

Na pokładzie bliższego słupu zapanowało poruszenie, a po chwili na maszcie zatrzepotała brytyjska bandera.

- Widać chyba po naszych barwach - poniósł się nad wodą krzyk - że nie jesteśmy piratami!

Niemalże formalnym tonem, jakby recytował jakąś retoryczną wymianę zdań, Czarnobrody zawołał:

- Wejdźcie na pokład, żebym mógł zobaczyć, kim jesteście.

- Żal mi szalupy! - odkrzyknął kapitan marynarki. - Obiecuję, że wejdę na wasz pokład tak szybko, jak to możliwe, tyle że z tego słupu!

Czarnobrody uśmiechnął się rozluźniony.

- Niech piekło pochłonie moją duszę, jeśli okażę wam litość albo ją od was przyjmę!

- Żadnej nie oczekujemy i żadnej dla was nie mamy!

Odwrócił się do Richardsa.

- Zdaje się, że wszystko jasne - stwierdził. - Wciągnij flagę i odetnij cumę. Ruszamy.

- Tak jest, kapitanie! - zawołał raźnie Richards. - Zostawiamy łup? - zapytał, wskazując

zdobyczny słup handlowy.

- Oczywiście. Nigdy mi na nim nie zależało.

Wysunięta naprzód jednostka marynarki wykonała zwrot przez sztag, halsując na północ. Wydawało się oczywiste, że chce zrobić pętlę i odciąć Czarnobrodemu drogę ucieczki od wschodu, lecz „Przygoda” pomknęła z wiatrem na zachód. Płynęła prosto jak strzała między drugi słup marynarki a brzeg wyspy Ocracoke, w kierunku przesmyku i otwartego morza. Nie licząc Czarnobrodego, wszyscy marynarze na pokładzie wstrzymywali oddech, ponieważ głębokość wody ledwie przekraczała sześć stóp, a nadciągał odpływ. Niektórzy piraci sięgali do kieszeni, by wytrząsnąć ich zawartość za burtę. Słońce nie wychyliło się jeszcze zza garbu wyspy i matowe monety wpadały z pluskiem do szarego, przydymionego morza.

Richards patrzył na północ, na słup, który ich powitał. Zaśmiał się cicho.

- Znowu utknęli na mieliźnie - wyszeptał.

Czarnobrody poczuł się nagle bardzo zmęczony.

- Poluzować żagle - rozkazał, dobywszy jednego ze swych pistoletów. - Poczestujemy tych chłoptasiów salwą z burty.

Richards obrócił się na pięcie.

- Co?! Przecież już jesteśmy bezpieczni! Możemy im uciec, jeśli tylko...

Czarnobrody przytknął lufę pistoletu do ust mężczyzny.

- Do diabła, luzuj te przekłete żagle i gotuj działa na sterburcie!

- Tak jest - wymamrotał bliski płaczu Richards i ruszył wykonać rozkaz. Większość marynarzy gapiła się na Czarnobrodego w zdumieniu, ale wszyscy mieli świeżo w pamięci zajście z Handsem i nikt nie odważył się zaprotestować. Z trzepotem luźnych żagli „Przygoda” zwolniła, płynąc wzdłuż brzegu obok słupu marynarki.

- Ognia ze sterburty! - ryknął Czarnobrody. Okręt zakołysał się, gdy działa wypaliły, zasnuwając powietrze kłębam gryzącego dymu i płosząc rozwrzeszczane mewy.

Gdy wiatr przegnał dym na zachód, w stronę przesmyku, Czarnobrody zaśmiał się głośno. Słup marynarki bujał się bezwolnie na falach - ożaglowanie było potargane, a reling i nadburcie potrzaskane niemal w drzazgi.

- Postawić grot? - zapytał błagalnym tonem Richards, spoglądając na wylaniający się spod wody brzeg wyspy Ocracoke.

Czarnobrody patrzył w tym samym kierunku.

- Postawić - rzucił, ponieważ zdał sobie sprawę, że i tak jest już za późno.

Niespokojny wiatr zamarł i choć piraci stłoczyli się na rejach niczym głodujący rybacy

zarzucający sieci, „Przygoda” dryfowała.

Tymczasem z północy nadpływał drugi słup marynarki. Żołnierze złapali za wiosła, by jak najprędzej przechwycić okręt króla piratów.

Z delikatnym drzeniem „Przygoda” osiadła na mieliźnie.

- Przeladować działa na sterburcie, zwawo! - krzyknął Czarnobrody. - A wy, chłopcy - zwrócił się do piratów w rozpaczy wyrzucających do morza beczki i łańcuchy - zostawcie to i chwytajcie za broń. Woda szybciej opada, niż wy podnosicie okręt.

Słup zbliżał się do nich z jednostajną prędkością.

- Czekajcie na rozkaz do strzału - zakomenderował Czarnobrody.

- Tak jest! - rzucił Richards, który dobył kordelasa i obracał nim powoli w dłoni, rozgrzewając mięśnie. Teraz, gdy nie było już nadziei na uniknięcie potyczki, prawie cały jego niepokój wyparował. Uśmiechnął się do Czarnobrodego. - Mam nadzieję, że bliżej już nigdy nie dasz się podejść.

Wielki pirat ścisnął go za ramię.

- Nigdy więcej tak blisko - powiedział. - Obiecuję.

Okręt marynarki znajdował się jakieś dwadzieścia jardów od ich pozycji, Czarnobrody słyszał już postukiwanie wioseł w furtach i sapanie wioślarzy. Wiedział, że kapitan marynarki musi się właśnie zastanawiać, kiedy wystrzelić z dział.

- Ognia! - krzyknął, gdy wyczuł, że właśnie nadchodzi ten moment.

Znów zagrzmiały działa na sterburcie „Przygody”, ze świstem zasypując słup wroga gradem stalowych odłamków. W deszczu krwi i drzazg powalone ciała padały na pokład, martwe jak zwaly gruzu. Piraci wiwatowali, ale Czarnobrody widział, jak młody oficer dowodzący jednostką przegania wszystkich sprawnych ludzi pod pokład.

- A teraz granaty! - krzyknął ochoczo, gdy ostatni z marynarzy znikł w ciemnościach włazu.

Piraci radośnie podpalali knoty wystające z butelek wypełnionych prochem i kulami. Czekali, aż trzeszczący ogień zbliży się do szyjki, po czym przerzucali granat przez przesmyk dzielący oba okręty. Po chwili rozbrzmiało staccato eksplozji. Wyrzucane na wszystkie strony pociski szatkowały ciała zabitych marynarzy i dobijały tych, którzy byli zbyt ranni, aby o własnych siłach zejść pod pokład.

- Prawie wszyscy są martwi, zostało ich może trzech albo czterech! - krzyknął Czarnobrody, chwytając za kordelas. - Dalej, potnijmy ich na kawałki!

Abordaż znacznie ułatwiło im to, że odpływ ściągał słup marynarki do „Przygody” i

Czarnobrody mógł przeskoczyć z jej pokładu wprost na potrzaskany przez kule okręt. W tej samej chwili ktoś z impetem odepchnął klapę włazu. Wyłonił się z niego dowódca jednostki, sądząc po mundurze - porucznik. Czarnobrody wyszczerzył się do niego w tak przyjaznym uśmiechu, że mężczyzna w pierwszej chwili spojrzał zaskoczony za siebie, by się upewnić, czy wielki pirat nie wypatrzył za jego plecami jakiegoś starego druha.

Z tyłu tłoczyli się jednak tylko marynarze - osiemnastu z trzydziestoosobowej załogi, którzy wciąż byli zdolni dzierżyć broń i strzelać z pistoletów. Piraci tak skwapliwie przeskakiwali na słup marynarki za swym przywódcą, że porucznik i jego ludzie ledwie zdążyli złapać za rapiery, zanim otoczyła ich rozwrzeszczana kompania.

Przez kilka pierwszych chwil na pokładzie panował chaos pełen krzyków, bieganiny, szczęku stali i jęków brutalnie mordowanych mężczyzn, pogłębiany sporadycznymi hukami pistoletu. Piraci za pomocą ciężkich kordelasów wyrąbywali sobie drogę przez szeregi marynarzy. Rapiery pękały pod naporem broni, która zadawała równie dotkliwe rany tępą i ostrą stroną. Niebawem pokład zalał się krwią tryskającą z odciętych kończyn, otwartych brzuchów i rozplątanых gardeł. Powietrze drżące od wrzasków i zgrzytu szabli wypełnił gorący, metaliczny zapach świeżej krwi.

Żołnierze marynarki starali się jednak raczej unikać potężnych ciosów, zamiast przeciwstawiać im własne, kruche ostrza. Po pierwszych, najbardziej brutalnych minutach bitwy zdyszani piraci nie wywijali już tak żwawo dziesięciofuntowymi kawałkami stali i lekkie rapiery zaczęły się prześlizgiwać pomiędzy ociążałymi razami, dziurawiąc gardła, oczy i piersi. Choć obrażenia, jakie zadawały, nie były zbyt widowiskowe, na pokład padało bez życia tyle samo piratów co żołnierzy.

Czarnobrody walczył przy maszcie plecy w plecy z jednym ze swych ludzi. Jego towarzysz jednak za nisko opuścił kordelas i ostrze rapiera ominęło zasłonę, nurkując w kierunku serca. Gdy król piratów poczuł, jak ciało mężczyzny osuwa się sztywno, odskoczył od masztu i lewą ręką wyciągnął ostatni pistolet.

Stojący przed nim porucznik marynarki dobył zza pasa swój.

Dwa strzały huknęły niemal jednocześnie, lecz kula Czarnobrodego minęła cel i prześlizgnęła się po mieliźnie, pocisk porucznika zaś trafił prosto w podbrzusze wielkiego pirata.

Czarnobrody zachwiał się, ale zaraz potem zaryczał dziko i zaszarżował, zgięty w pół do potężnego ciosu, który złamał rapier porucznika cal od rękojeści. Uniósł kordelas po raz drugi, by rozplatać mu czaszkę, wtedy jednak inny marynarz zaszedł go od tyłu i wzięwszy zamach

znad głowy, jakby chciał wbić kołek w ziemię, posłał na lewe ramię pirata ostrze halabardy. Cios minął ucho Czarnobrodego o cal i z głośnym chrzęstem roztrzaskał mu obojczyk, rzucając go na kolana. Ogromny król piratów spojrział w górę i ku zdumieniu napastnika - wstał. Odchylił się w samą porę, by ostrze halabardy, które ze świstem opadało po raz drugi, rozcięło mu czoło i policzek, zamiast zmiażdżyć czaszkę.

Upuścił wystrzelony pistolet, ale prawą, sprawną ręką wciąż dzierżył kordelas. Wyprowadził poziome cięcie, po którym głowa i ciało marynarza upadły na pokład, rozdzielone.

Kolejny pocisk trafił go w pierś. Zatoczył się, patrząc, jak z rany tryska krew. Dwa rapierzy wbiły się w jego plecy. Zawirował tak gwałtownie, że jeden z nich pękł w jego ciele. Zamachnął się kordelasem i roztrzaskał napastnikowi rękę, ale jeszcze dwa strzały trafiły go w korpus, a w bok ugodziło trzecie ostrze.

Odzyskał równowagę i wyprostował plecy, prezentując całą swą gigantyczną sylwetkę. Żołnierze marynarki cofali się przerażeni, lecz wówczas niczym ogromny pień padł twarzą w dół na mokry pokład. Słup zadrzał.

- Jezu Chryste... - wydyszał porucznik, siadając gwałtownie. Napięte od zmęczenia dłonie wciąż ścisnęły pistolet i rękojeść złamanego rapiera.

Po chwili jeden z marynarzy chwycił kordelas Czarnobrodego, przyklęknął obok truchła i uniosł ciężkie ostrze nad głowę. Nie był pewien, gdzie pod gąszczem ciemnych, splątanych włosów znajduje się szyja, ale w końcu podjął decyzję i wziął zamach. Ostrze zatrzęszczało na kościach, łamiąc kręgosłup, i zmasakrowana głowa Czarnobrodego potoczyła się od ciała, ze zmęczonym, lecz drwiącym uśmiechem patrząc prosto w niebo.

Kiedy wczesnym wieczorem woda się podniosła, cztery sponiewierane słupy przepłynęły gęsiego obok wyspy Beacon i dalej przez zatokę Ocracoke. Piraci, którzy przetrwali bitwę, byli pilnowani pod bronią na pokładzie „Przygody”, a głowa Czarnobrodego zawisła na bukszprycie słupa marynarki. Ostatnia kropla krwi skapnęła z tego makabrycznego trofeum przed wieloma godzinami. Większość rozpuściła się w wodzie, by nakarmić maleńkie rybki, ale jeden skrzep przetrwał, uczepony kadłuba tuż pod linią wody.

Gdyby ktoś go dotknął, wyczułby delikatny puls...

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Huk pistoletu przetoczył się ponad wodą długiej zatoki New Providence. Choć na pokładzie okrętu „Delicia” błysnęło światło, gdy jeden z oficerów marynarki uniósł do oka lunetę, nikt nie padł na pokład w obawie o własne życie albo w oczekiwaniu, aż straci je ktoś inny, a tak bez wątpienia stałoby się jeszcze pół roku temu. Jack Shandy, powłóczęg bosymi stopami w gorącym piasku, podszedł do kurczaka, któremu odstrzelił głowę. Najwyraźniej było jeszcze zbyt wcześnie, aby rum zaszkodził pewności jego ręki.

Podniósł głowę ptaka - tak jak się obawiał, na dziobie widniały litery.

Niech to szlag, pomyślał. To tyle, jeśli chodzi o pieczonego kurczaka. Całe szczęście, że stary Sawney nie zaklina jeszcze chorób w homary.

Wetknął pistolet za szarfę i ruszył w stronę fortu. Przez ciemniejszą kamieniarę nowego fragmentu obmurowania cała budowla nabrała pstrokatego wyglądu. Shandy doszedł do wniosku, że to właśnie materialne zmiany, jeszcze bardziej niż brytyjska flaga i wyczuwalna obecność Woodesa Rogersa, oficjalnego gubernatora New Providence, skłoniły Sawneya do przeprowadzki.

Brnąc przez piasek w stronę zgrupowania namiotów, spojrział w lewo, na zatokę. Od dnia, w którym Rogers pojawił się w mieście, kotwiczyło na niej coraz mniej okrętów, dzięki czemu z łatwością wypatrzył starą, poobijaną „Jenny”. Kiedy trzy miesiące wcześniej, po przyjęciu królewskiego ulaskawienia, zrezygnował z rangi kapitana, Venner natychmiast ogłosił się jego następcą. Ponieważ do tego czasu wszyscy, którzy mogli, zdążyli skorzystać z prawa łaski, mając świadomość, że dni piractwa są już policzone, nikt nie protestował. Co za różnica, kto był kapitanem bezużytecznego słup? Tymczasem Venner oczyścił kadłub „Jenny” i wymienił takielunek, dając starym druhom do zrozumienia, że wkrótce zamierza złamać warunki amnestii i wrócić na morze. Podobno potajemnie gromadził załogę spośród mieszkańców wyspy, którzy tęsknili za starymi czasami. Jak na razie nie zwrócił się do Shandy'ego, ale ten i tak nie był zainteresowany.

Bryg marynarki, który kluczył tego ranka między mieliznami, był już zacumowany. Choć marynarze znosili z pokładu skrzynie z zapasami, Shandy z zaskoczeniem stwierdził, że w obozie panowała istic grobowa atmosfera. Mężczyźni stali w niewielkich grupkach na plaży,

poszeptując i kręcąc głowami, a jedna z dziwek lamentowała z wprawą aktorki teatralnej.

- Jack! - usłyszał.

Odwrócił się i ujrzał drepczącego w pośpiechu Skanka.

- Dzień dobry, Skank - powiedział, gdy młody mężczyzna zatrzymał się przed nim zziębnięty.

- Słyszałeś najnowsze wieści?

- Raczej nie - odparł Shandy - chyba że już o nich zapomniałem.

- Czarnobrody nie żyje!

Shandy uśmiechnął się z rozmarzeniem - jak człowiek, który widzi maluchy bawiące się w grę z czasów jego dzieciństwa.

- Czyżby? - Nie przerywał marszu, a Skank szedł u jego boku. - A jak pewne są te wieści? - zapytał, zatrzymując się przy namiocie przerobionym na coś w rodzaju tawerny pod gołym niebem.

- Nie mogłyby być pewniejsze. Zabili go miesiąc temu w Karolinie Północnej. Pojmali połowę jego ludzi, a odciętą głowę dostarczyli gubernatorowi.

- Przypuszczam, że zginął na morzu - stwierdził Shandy, chwytając kubek rumu, o który nie musiał się już nawet dopominać.

Skank przytaknął.

- Zgadza się. W zatoce Ocracoke, dowodząc słupem o nazwie „Przygoda”. Mówią, że ukrył gdzieś „Zemstę Królowej Anny” i wszystkie swoje łupy, bo na pokładzie nie miał ani pół reala. Moim zdaniem to do niego zupełnie niepodobne, pewnie wszystko rozkradli żołnierze.

- E tam. Założę się... - Shandy urwał, żeby pociągnąć łyk rumu. - Założę się, że naprawdę gdzieś to wszystko schował. „Przygoda”, mówisz? Cóż za trafna nazwa. Mam wrażenie, że to naprawdę była jego wielka przygoda.

Skank rozejrzył się. Spoglądał na plażę, namioty i wystające z morza, częściowo zatopione kadłuby porzuconych okrętów, które gubernator Rogers kazał rozebrać na części i wynieść z wody.

- Wygląda na to, że New Providence nie jest już wyspą piratów - rzucił po chwili.

Shandy roześmiał się.

- Dopiero teraz zauważyłeś? Dwa dni temu Rogers powiesił tu ośmiu mężczyzn, pamiętasz? Za łamanie warunków ułaskawienia. My tylko patrzyliśmy, a gdy ci biedni dranie wyzionęli ducha, po prostu poszliśmy w swoją stronę.

- Tak, to prawda, ale... - Skank nie radził sobie z zawilocią myśli, którą próbował

wysławić. - Ale sama świadomość, że gdzieś tam jest Thatch...

Shandy wzruszył ramionami.

- Może jeszcze wróci. Tak, wiem. Nawet Woodes Rogers nie potrafiłby mu się przeciwstawić. Ale masz rację, już wkrótce będą tu podatki i płace, a prawo będzie mówić, gdzie wolno zakotwiczyć okręt. I wiesz co? Myślę, że magia też przestanie tu działać, zupełnie tak jak na wschodzie.

- Niech mnie diabli. - Skank w zamyśleniu wziął od Shandy'ego kubek i napił się rumu. - Co zamierzasz, Jack? Zastanawiam się, czy nie popłynąć z Vennerem...

- Och, zostanę tutaj, dopóki nie skończą mi się rum i pieniądze, a wtedy może poszukam jakiejś pracy. Zresztą to tylko kwestia czasu, kiedy Anglia wypowie wojnę Hiszpanii, a korsarstwo znów stanie się legalne. Może wtedy zaciągnę się na jakiś okręt... Sam nie wiem, słońce świeci, a ja mam rum. O problemach pomyślę jutro.

- Niech mnie diabli, Jack. Pamiętam, że jeszcze niedawno byłeś... - Skank uparł się, by rozwijać tego dnia zdolność abstrakcyjnego myślenia. - Bardziej niespokojny.

- To prawda, byłem. Też to pamiętam. - Przejął kubek, opróżnił go i podał do napełnienia. - Ale wydaje mi się, że już wkrótce zapomnę.

Dreńczony niezrozumiałymi myślami, Skank kiwnął głową i ruszył w stronę łodzi, z których marynarze wyładowywali zapasy.

Shandy usiadł na piasku i uśmiechnął się leniwie nad kubkiem rozgrzanego na słońcu rumu. Bardziej niespokojny, pomyślał. No pewnie, Skank, bo miałem wiele powodów do niepokoju. Dwa powody. Chciałem stawić czoło wujowi Sebastianowi i udowodnić światu - a przede wszystkim prawu! - że skrzywdził mojego ojca, ale nade wszystko chciałem uratować Beth Hurwood z rąk jej ojca i powiedzieć jej... o pewnych wnioskach, do których doszedłem. Niestety i jedno, i drugie okazało się niemożliwe.

Shandy skupił wzrok na maszcie „Jenny”, który szarpał się w zatoce. Miał wrażenie, że ktoś próbuje unieść wyżej gafel, aby zwiększyć jego kąt. Nie da rady, przyjacielu, pomyślał. Stara, żelazna szpona jest zbyt mocno wygięta. Powinieneś się cieszyć, że uniosłeś żagiel tak wysoko, choć szczerze mówiąc, „Jenny” lepiej łapie wiatr z kilkoma zmarszczkami przy rogu gafła. Gdyby stary Hodges albo Davies jeszcze żyli, powiedzieliby ci dokładnie to samo. Więcej pożytku będzie z wymiany uszkodzonych klepek poszycia.

Shandy doskonale pamiętał, jak sam wyremontował „Jenny”, gdy prawie cztery miesiące temu wpłynęła do zatoki - nadpalona, z wypaczonym kadłubem i prowizorycznym olinowaniem, bez prawowitego kapitana i połowy załogi. Woodes Rogers dotarł na wyspę



zaledwie dwa tygodnie wcześniej, lecz jako nowy gubernator zdążył już pozbyć się najbardziej uciążliwych mieszkańców, takich jak Charlie Vane. Wygłaszał mowy o dumie obywatelskiej i rozdawał broszurki Towarzystwa Rozpowszechniania Wiedzy Chrześcijańskiej, a nad fortem powiewała brytyjska flaga. Nikogo nie zaskoczyły wieści o śmierci Philipa Daviesa i zniknięciu „Hałaśliwego Carmichaela” - wszystko to wydawało się zgodne z duchem czasu.

W pierwszej chwili Shandy porzucił stary slup. Wprowadził go do zatoki w piątkowe popołudnie, a wieczorem, na mocnym rauszu, ugotował swoją najlepszą *bouillabaisse*, zużywając resztki skradzionego czosnku, szafranu, pomidorów i oliwy, jakie znalazł na wyspie. Jego wysiłki kulinarne spotkały się z uznaniem samego Woodesa Rogersa, który, zaciekawiony poruszeniem na plaży, posłał po rybny gulasz dla siebie i swych kapitanów. Shandy kosztował jednak tylko tyle *court bouillon*, *rouille* i owoców morza, aby sprawdzić ich smak. Żywił się głównie zapasami wina Daviesa, osuszając jedną butelkę Chateau Latour za drugą. Śmiał się ze wszystkich dowcipów i śpiewał razem z piratami - choć żadna z ich piosenek nie brzmiała już tak serdecznie, jak w czasach poprzedzających przybycie Rogersa - ale myślami był gdzieś indziej. Nawet Skank to zauważył i powiedział mu, że dziś ma jeść i pić, a jutrzejszymi problemami martwić się jutro.

W pewnej chwili oddalił się po cichu od ognisk, przy których siedzieli ułaskawieni piraci i obserwujący ich nerwowo oficerowie marynarki. Stał na brzegu morza. Choć po raz pierwszy postawił stopę na tej wyspie zaledwie sześć tygodni temu, żadne inne miejsce tak bardzo nie przypominało mu domu. Znał żyjących tu ludzi lepiej niż członków jakiegokolwiek innej społeczności; z wieloma się zaprzyjaźnił i patrzył, jak umierają, zanim jeszcze na niezmiennym, niebieskim horyzoncie pojawiły się białe plamki okrętów obecnego gubernatora.

Usłyszał w ciemnościach za plecami szelest i odwrócił się wystraszony.

- Kto idzie? - zawołał.

Zmrużył oczy i zobaczył krępa postać w podartej sukni na tle blasku ognia.

- To ja, Jack - odpowiedział niski, kobiecy głos. - Ann. Ann Bonny.

Przypomniał sobie plotki, zgodnie z którymi Ann chciała się rozwieść z Jimem.

- Ann. - Zawahał się, ale w końcu podszedł do miejsca, gdzie stała, i położył jej dłonie na ramionach. - Tylu z nich już nie żyje, Ann - powiedział, zastanawiając się, czy zaraz nie zacznie płakać. - Phil, Hodge, Pan Ptaszyna...

Ann zaśmiała się, ale usłyszał w jej głosie łzy.

- Nie jestem psem! - rzuciła miękko.

- Czas mija tutaj... o wiele szybciej - stwierdził, jedną ręką chwytając ją pod ramię, a

drugą wskazując ciemną dżunglę. - Czuję się, jakbym żył na tej wyspie od lat.

Ruszyli razem wzdłuż plaży, oddalając się od światła obozowiska.

- To wszystko kwestia usposobienia, Jack - odparła. - Na przykład ten cały Rogers, choćby żył tu pięćdziesiąt lat, i tak nigdy nie będzie pasować. W głowie mu obowiązki, kary za zbrodnie, tyle pieniędzy za tyle ładunku w taki a taki dzień w tym i owym porcie... To są sprawy Starego Świata. Ale ty, cóż... Gdy zobaczyłam cię tu pierwszego dnia, od razu pomyślałam: oto mężczyzna, który urodził się dla tych wysp.

Dla tych wysp - trzy krótkie słowa, a przywoływały tak wiele obrazów. Stada różowych flamingów o świcie za nieprzebytą barierą splątanych korzeniar, sterty perłowych fragmentów muszli w białym piasku wokół odymionego krateru ogniska, lśniące oślepiającym blaskiem niebieskozielone morze, oglądane przez mgłę pijackiego odurzenia, leżące na plaży skrawki osmolonej tkaniny do czyszczenia lufy po pojedynku pistoletowym, jakby sam Mars używał ich do wycierania pióra...

A on rzeczywiście tu pasował, albo przynajmniej mógł pasować - jakaś część jego duszy łaknęła tego niemalże niewinnego okrucieństwa, tej wolności, możliwości wyrzeczenia się wszystkich win i zdolności do ich odczuwania.

Ann odwróciła się i przylgnęła do jego ust. Otoczył ją wolną ręką i nagle poczuł, jak bardzo jej pragnie, jak bardzo chce, by pomogła mu utracić resztki dawnej tożsamości. Już po chwili leżeli na ciepłym piasku; ona podwijiała suknię, a on dyszał gorączkowo...

Aż raptem ogłuszył go strzał, który na ułamek sekundy rozświetlił wykrzywioną z wysiłku twarz kobiety. Zaraz potem na jego szyję spadła z rozmachem rękojeść pistoletu. Miał szczęście, bo trafiła w nasmołowany kucyk, dzięki czemu cios tylko nim wstrząsnął, zamiast od razu pozbawić go przytomności. Stoczył się z Ann w kierunku morza i dźwignął na nogi.

Kobieta wciąż leżała na plecach. Dołek w piasku znaczył miejsce, gdzie uderzyła kula. Ann nie była ranna, ale jęczała niecierpliwie, rozkładając nogi i gryząc rąbek sukni, a Shandy myślał tylko o tym, by zabić człowieka, który im przeszkodził, i natychmiast do niej wrócić.

Za Ann stał Jim Bonny. Odrzuciwszy pistolet, uniósł rękę. W jednej chwili powietrze wokół Shandy'ego zaczęło się gotować. Shandy machnął prawą dłońią w błyskawicznym geście odbicia zakłęcia, po czym ugryzł się w język i splunął krwią, by nadać mu więcej mocy.

Włosy Bonny'ego zaczęły się tlić, lecz wówczas pirat chwycił za przytroczoną do pasa kulkę ze splecionej sierści, neutralizując żar.

- Pan Los-Darzy trzyma nade mną pieczę, przeklęty bękarcie - wyszeptał. - On i ja pogruchoczymy ci kości, żebyś się oduczył podkradania cudzych żon.

Zbyt rozgorączkowany, by się wystraszyć, Shandy pstryknął palcami i wycelował je w Bonny'ego, ale pirat wciąż trzymał kulkę sierści. Atak odbił się od niewidzialnej osłony, sprawiając, że Shandy padł na piasek i zgiął się w bolesnym skurczu. Bonny wykorzystał sytuację, by kopnąć żonę w ramię i wypowiedzieć w kierunku Shandy'ego krótki rym.

Krew trysnęła mu z nosa i ust. Był świadom, że rywal ma nad nim miażdżącą przewagę i że powinien rzucić się do ucieczki albo wołać o pomoc, lecz za bardzo pragnął Ann - a teraz pragnął jej jeszcze bardziej, pragnął ją pościć z ciepłą krwią Jima Bonny'ego na rękach.

Wyglądało jednak na to, że nic nie działo w pojedynku z przeciwnikiem, nad którym czuwał Pan Los-Darzy. Oparł się na kolanach i zagwizdał w stronę Bonny'ego urok ślepoty, ale on również został odbity. Rozpacзлиwa obrona Shandy'ego nie przyniosła skutku, a gdy na chwilę stracił wzrok, Bonny zesłał na niego paraliż.

Shandy upadł. Podskakując i wyjąc bezbrinnie na piasku, niczym tancerz przed posągami świętego Wita, usłyszał, jak Bonny po raz drugi kopnął żonę i przeskoczył nad jej ciałem, zmierzając w jego stronę.

Zrozumiał, że jest za późno, by uciekać lub wzywać pomoc - że umrze tu i teraz, jeżeli szybko czegoś nie zrobi. Nie to było jednak najgorsze. Nie mógł pogodzić się z myślą, że Jim Bonny uklęknie między nogami Ann, która prawdopodobnie nie zauważy różnicy, a jeśli nawet zauważy, to i tak będzie jej wszystko jedno.

Ignorując ból palców, sięgnął do kieszeni spodni. Wciąż miał tam zasuszoną grudkę błota, które zdrapał z podeszwy buta na florydzkim wybrzeżu. Zrolował ją w kuleczkę między kciukiem a palcem wskazującym, po czym wyszarpnął rękę z kieszeni i zamachnął się w niebo.

\* \* \*

I nagle znalazł się w łodzi, która przepływała pod mostem obwieszonym kolorowymi latarniami, a w ustach czuł posmak truskawek zamiast czosnku i wina. Pamiętał to miejsce... Tak, to był Paryż. Ile miał wtedy lat, dziewięć? Ojciec zarobił jakieś pieniądze i zabrał go na dobrą kolację, a później na przejażdżkę łodzią po Sekwanie. Siedząca obok postać odwróciła się, lecz tym razem nie był to jego ojciec.

Patrzył na niego nieprawdopodobnie stary, czarnoskóry mężczyzna o długiej brodzie i siwych włosach poskręcanych w loczki równie zwarte, jak te na marmurowych posągach.

- Poważne ataki *vodun* zwykle są wymierzone we wspomnienia broniącej się osoby i tam też mają miejsce - powiedział w melodyjnym francuskim dialekcie. - Wspomnienia te stanowią skumulowaną sumę jej przeżyć. Gdybym chciał cię skrzywdzić, widziałbyś, jak w

groźny, przerażający sposób zmienia się cała ta scena i wszyscy występujący w niej ludziczym w delirium spowodowanym wysoką gorączką. Z każdą chwilą byłoby coraz gorzej, aż w końcu odpowiedzialbyś kontratakiem lub zginął. - Starzec uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Nazywam się Maître Carrefour.

Shandy po chwili wahania uścisnął mu dłoń.

- Na swoje szczęście - ciągnął czarnoskóry mężczyzna - jestem loa, którego domenę stanowią zamieszkane wyspy. Bardzo często mam do czynienia z ludźmi, dzięki czemu potrafię przewidywać ich działania, w odróżnieniu do naturalnych loa florydzkiego lasu. Twoja grudka błota nie byłaby w stanie mnie zabić - przez ostatnie półtora tygodnia straciła wiele ze swej mocy - choć bez wątpienia zrani mnie, jeśli tu zostanę i nie odpowiem na twój atak. Dlatego też wycofuję się z twojego konfliktu z panem Bonnym.

Zawstydzony Shandy odwrócił głowę w kierunku, z którego płynęli. Pomędzy spacerowiczami na moście zauważył kilka kobiet. Choć latarnie dawały dużo światła, tylko twarze nieznajomych były wyraźnie widoczne i nagle zdał sobie sprawę, że właśnie tak musiały patrzeć na niego kobiety, gdy miał dziewięć lat - zupełnie inaczej niż jeszcze przed chwilą Ann Bonny. Które z tych spojrzeń, zastanawiał się gorzko, było bardziej naiwne?

- Uch, dziękuję - wymamrotał. - Ale... dlaczego to robisz? Dlaczego puszczasz mnie wolno? Bonny twierdził, że go chronisz.

- Ponieważ uznałem, że nic mu nie grozi. Chcesz go skrzywdzić?

- Nie... Nie teraz. Już nie.

- W takim razie nie zaniedbam swych obowiązków, jeśli odejdę.

Wysoko w górze zaszła bezgłośnie jakaś zmiana i Shandy podniósł głowę. Gwiazdy były mniej wyraźne, jakby ktoś zawiesił pod niebem szybę z matowego szkła. Najwyraźniej Maître Carrefour pozwalał iluzji powoli się rozproszyć.

Czarnoskóry starzec zachichotał.

- Ma pan szczęście, panie Chandagnac, że jestem jednym z odwiecznych Rada loa, a nie młodych Petro. Dzięki temu mogę puścić tę zniewagę w niepamięć.

- Och, bardzo się cieszę - odparł Shandy. Posmak truskawek znikł.

- Mam nadzieję. Podpatrzyłeś tamtą sztuczkę, tę z grudką błota, od Philipa Daviesa, a teraz ją zmarnowałeś. Philip Davies dał ci coś jeszcze. Będę niezadowolony, jeśli to także postanowisz zmarnować.

\* \* \*

Pod lewym bokiem Shandy czuł miękki piasek, a nad prawym widział gwiaździste niebo. Zdał sobie sprawę, że znalazł się z powrotem na wyspie New Providence. Usłyszał, jak podrzuczona w powietrze grudka błota upada tuż obok i zrozumiał, że rozmowa z Maître Carrefourem toczyła się w innym wymiarze czasowym.

Teraz był zdolny odpierać ataki Bonny'ego za pomocą gestów i gwizdów. Robił to, podnosząc się niezdarne na nogi.

Bonny zajadle ciskał w niego urokami, ale Shandy wszystkie odtrącał.

- Daj spokój, Jim - westchnął. - Nic tym nie osiągniesz, a przez miesiąc będziesz potrzebować pomocy przy podnoszeniu widelca do ust. Dam ci dobrą radę: jedz mnóstwo suszonej wątroby, rodzynek i kaszanki, żeby cię za bardzo nie zmogło.

Bonny zamrugał, zaskoczony, po czym zacisnął pięści i z twarzą napuchłą od wysiłku wyszczekał pół tuzina jakichś sylab.

Shandy odbił zakłęcie w morze. Z wody wyskoczyła ryba i eksplodowała w powietrzu z niebieskim błyskiem i mokrym plaśnięciem.

Shandy pokręcił głową.

- Jeszcze chwila i osiwiejesz - rzucił - a twoje dziąsła zrobią się całkiem białe.

Bonny zachwiał się, zrobił jeszcze jeden krok i upadł sztywno twarzą w piasek. Shandy uklęknął obok pirata i przewrócił go na plecy, żeby się nie udusił.

Ann oparła się na łokciach.

- No chodź - powiedziała.

Podszedł do niej, ale nie usiadł.

- Muszę iść, Ann. To, co chcieliśmy zrobić, nie byłoby... właściwe. Już niedługo wypływam z New Providence, czekam tylko, aż „Jenny” będzie zaopatrzona i gotowa do drogi - wyjaśnił, podejmując decyzję w chwili, gdy to mówił. - Mam pewne sprawy do załatwienia.

Ann zerwała się na równe nogi.

- Chodzi o niego?! - parsknęła, kopiąc nieprzytomnego męża. - O tego śmierdzącego donosiciela, który język ma czarny od lizania butów Rogersa?! Zbierałam pieniądze na rozwód, ale ty mógłbyś go dla mnie kupić, teraz.

- Nie, Ann, nie chodzi o niego, a w każdym razie nie tylko. Po prostu...

- Ty przeklęty bękarcie - syknęła - znów wypływasz za tą dziwką, córką Hurwooda!

- Płynę na Haiti - wytłumaczył cierpliwie. - Mam tam wuja, który zaopatrzy mnie w piękny trójmasztowiec, zanim zawiśnie na szubienicy.

- Kłamca! - krzyknęła. - Parszywy kłamca!

Shandy skierował swoje kroki z powrotem między ogniska, poruszając jedną ręką w geście obronnym, aby sparować wszelkie złe uroki, jakie Ann mogła wplatać w imponującą wiązaną przekleństw.

Nie kłamałem, Ann, pomyślał. Naprawdę chcę popłynąć na Haiti i jeśli to tylko możliwe, doprowadzić wuja do ruiny, a za jego pieniądze kupić trójmasztowiec. Choć z drugiej strony, masz też sporo racji: gdy tylko zdobędę okręt przystosowany do żeglugi na otwartym morzu, odszukam, uratuję i - jeśli jestem jeszcze cokolwiek wart - poślubię jedyną kobietę, w której widzę zarówno ciało, jak i duszę i dla której nie będę musiał rezygnować ani z jednego, ani drugiego.

## Rozdział dwudziesty drugi

Przez następne trzy dni karmił znużonych marynarzy najbardziej wystawnymi kolacjami, jakie potrafił przyrządzić, i poił najlepszymi trunkami, jakie potrafił zdobyć, w zamian za co w pocie czoła pracowali przy remoncie „Jenny”. Mimo to nawet Venner, który zwykle narzekał najgłośniejszym głosem, nie miał prawa twierdzić, że nowy kapitan zmusza ich do nadmiernego wysiłku. Shandy budził się rano jako pierwszy, dźwigał największe ciężary i nigdy nie korzystał z przerw na odpoczynek, a po zmroku, gdy dalsza praca była niemożliwa, przygotowywał prawdziwe uczty. I nikt nie odważyłby się powiedzieć, że jego marynowane i duszone na wolnym ogniu potrawy, które nastawiał, zanim wyruszył o świcie na okręt, nie były dziełami sztuki.

W środę siedemnastego sierpnia o poranku „Jenny” wypłynęła na morze przez południowy kraniec zatoki New Providence. Na jej pokładzie znajdowały się zarówno proch i kule armatnie, jak i jedzenie i woda, a ponadto dwa razy więcej ludzi, niż było trzeba. Do ostatecznego terminu przyjęcia ulaskawienia wciąż pozostawały niemal trzy tygodnie, a Shandy nie zabrał ze sobą żadnego bokora. Zdołał co prawda przekazać Żałośnię Tłustemu prośbę, aby popłynął z nimi na Haiti, lecz ogromny czarownik - który jakimś sposobem zjawił się na New Providence jeszcze przed powrotem „Jenny” - jednoznacznie odmówił. Z wszystkich tych powodów Woodes Rogers uznał, że nie warto narażać wciąż niepewnej pozycji gubernatora wyspy, próbując zapobiec wypłynięciu slupu.

Załoga Shandy'ego obawiała się huraganów, sierpień bowiem był pod tym względem najgroźniejszym miesiącem, a w poprzednich latach o tej porze roku większość piratów wyrzekała się już u wybrzeża Ameryki Północnej, z dala od Karaibów. Shandy wytłumaczył im jednak, że południowo-wschodnia podróż do Port-au-Prince jest w rzeczywistości krótsza i znacznie łatwiejsza od wyprawy na wybrzeże Florydy. Poza tym mogli się trzymać blisko archipelagu Exuma, a także wysp Ragged Island i Inagua, aby schronienie nigdy nie znajdowało się dalej niż w odległości godziny ostrego bajdewindu. Dwukrotnie podczas trzydniowej podróży widzieli na południowym horyzoncie złowieszcze stalowoszare chmury, lecz w obu przypadkach siejące spustoszenie burze przesunęły się na zachód, w kierunku Kuby, zanim „Jenny” zdążyła się do nich zbliżyć.

W sobotę rano slup minął ufortyfikowane wzniesienia miasta Saint-Marc i przez Kanał Świętego Marka dotarł do francuskiej wioski L'archaye. Shandy dopłynął na brzeg w ciasnej szalupie. Dzięki pieniądзом Daviesa ostrzygł się i kupił płaszcz oraz chustę na szyję, pod którymi ukrył potarganą koszulę. Wyglądając prawie przyzwoicie, dał miejscowemu czarnemu farmerowi kilka monet, by na wozie z maniokiem i owocami mango zawiózł go do Port-au-Prince, oddalonego o osiemnaście mil na południe.

Dotarli do miasta późnym popołudniem, gdy tamtejsi rybacy wyciągali na piasek pod palmami prymitywne łodzie. Po całym dniu pracy ruszali w stronę zabudowań, obladowani ciężkimi, wiklinowymi koszami i klatkami z bambusa pełnymi krabów i langust, które poruszały się w nich niczym przerośnięte pająki.

Port-au-Prince miało układ wielkiej szachownicy porozcinanej wąskimi uliczkami, które odchodziły od głównego placu. Zarówno plac, jak i uliczki były wybrukowane białym kamieniem, choć przy sklepikach, warsztatach i magazynach ciągnących się wzdłuż nabrzeża bruk był praktycznie niewidoczny pod setkami - nie, musiały ich być co najmniej tysiącebrązowych spleaszczonych łusek. Shandy zatrzymał się przed zatłoczonym placem i podniósł jedną z nich. Powąchał - tak jak sądził, trzymał w palcach kawałek trzciny cukrowej. Zorientował się też, że to właśnie ona roztaczała przyprawiający o mdłości zapach fermentacji, który mieszał się w popołudniowym powietrzu ze smrodem zgniłych ryb i dymiących palenisk, spotykanym w każdym nadmorskim porcie. Odrzucił łuskę, zastanawiając się przez moment, czy pochodziła z plantacji Chandagnaca.

Większość ludzi na zatłoczonym placu była czarnoskóra. Przeciskając się w kierunku oficjalnie wyglądających budynków po przeciwnej stronie, Shandy co rusz słyszał kurtuazyjne pozdrowienie „*bon jour, blanc*” - „dzień dobry, biały”. Kiwał uprzejmie głową, a za któryś razem pewien młody Murzyn wymamrotał do swego towarzysza w łamanym dahomejskim żargonie dowcip na temat kompromitujących mankietów koszuli Shandy'ego. Jack zdołał odpowiedzieć w tym samym żargonie marońskim czasownikiem, który sugerował, że wszystkie mankiety - a nawet ich brak - są lepsze od żelaznych. Młodzieniec zaśmiał się, choć powiódł za nim wzrokiem, a Shandy zdał sobie sprawę, że musi bardziej uważać. W końcu to była cywilizacja, nie zaś New Providence.

Czujnie wypatrywał wszelkich przedstawicieli prawa, ponieważ nie mógł wykluczyć, że angielskie władze poinformowały Francuzów o poczynaniach Johna Chandagnaca, który niespełna miesiąc wcześniej pomógł piratom wysadzić w powietrze okręt Królewskiej Marynarki. Zapytał jednego z handlarzy, gdzie powinien się udać, aby uzyskać informacje na



temat aktów własności ziemi, a mężczyzna skierował go do biur miejscowej administracji, znajdujących się przy samym placu.

Tak, myślał, zmierzając we wskazaną stronę, dowiem się, gdzie leży stare gospodarstwo, i pójdę złożyć wujowi Sebastianowi wizytę. Nie ma potrzeby od razu mu się przedstawiać, choć z pewnością wkrótce będę musiał to zrobić.

Wnętrze budynku wyglądało jak każdy europejski urząd - przy kilku stanowiskach pracowali biali urzędnicy, a pod ścianą ciągnął się rząd podestów z oprawionymi w skórę rejestrami. Iluzję rozwiewała jednak tropikalna bryza, która kołysała firanami w wysokich oknach, a stukot piór w kałamarzach i szelest stalówek na papierze wydawał się tu równie niestosowny, co wrzask papugi na Threadneedle Street w Londynie.

Gdy Shandy wszedł do środka, jeden z urzędników podniósł głowę.

- Słucham?

- Dzień dobry. - Shandy po raz pierwszy od dwóch miesięcy starał się mówić czystym francuskim. - Chciałbym zapytać o majątek Chandagnaców...

- Jest pan jednym z pracowników? Mówiliśmy już, że w sprawie zaległych wynagrodzeń nic nie jesteśmy w stanie zrobić.

- Nie, nie jestem pracownikiem - odparł Shandy, siląc się na swój najlepszy paryski akcent. - Przyszedłem zapytać o prawa własności do domu i ziemi.

- Och, już rozumiem, jest pan jednym z wierzycieli. Cóż, jeśli się nie mylę, wszystko zostało sprzedane, ale rzecz jasna chciałby pan porozmawiać z wykonawcą testamentu...

- Wykonawcą testamentu? - Żołądek skręcił mu się w supeł. - Czy on... Czy Sebastian Chandagnac nie żyje?

- Nie wiedział pan? Bardzo mi przykro. Popelnił samobójstwo w środę w nocy, a...

- W zeszłą środę? - przerwał urzędnikowi Shandy, z trudem panując nad swym głosem. - Trzy dni temu?

- Zgadza się. Gospodyni znalazła ciało w czwartek rano. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że miał kłopoty finansowe. Podobno musiał wszystko sprzedać, a i tak zostawił po sobie mnóstwo długów.

Shandy miał wrażenie, że jego twarz jest zupełnie sztywna, jakby za dużo wypił.

- Słyszałem... słyszałem, że był spekulantem - wydukał.

- Zgadza się, proszę pana.

- Rozumiem. Gdzie znajdę tego wykonawcę testamentu?

- O tej porze? Prawdopodobnie pije brandy u Vignerona. To nieduży człowiek z

wystającymi zębami. Nazywa się Lapin, Georges Lapin.

Shandy odnalazł Georgesa Lapina na tarasie, z którego rozciągał się widok na zatłoczony port. Wnioskując po liczbie spodków na stoliku, mężczyzna spędził przy nim już jakiś czas.

Poderwał się gwałtownie na widok Shandy'ego, ale po chwili przeprosił i przyjął propozycję wypicia kolejnej brandy.

- Jeśli dobrze rozumiem, jest pan wykonawcą testamentu Sebastiana Chandagnac - zaczął Shandy, przysunąwszy sobie krzesło. - Dwie brandy proszę - rzucił do gospodarza, który śledził go podejrzliwie wzrokiem.

- A pan jest jego krewnym - powiedział bez wahania Lapin.

- Zgadza się - przytaknął Shandy.

- Widać podobieństwo, w pierwszej chwili pomyślałem, że pan to on. - Mężczyzna westchnął. - Tak, jestem wykonawcą spadku, choć w tej sytuacji trudno mówić o jakiegokolwiek masie spadkowej... Moja praca polega głównie na nasyłaniu na siebie wierzycieli, żeby kłócili się między sobą, a nie ze mną. Sebastian, bez wiedzy żadnego z przyjaciół, pozbawił się środków do życia.

Podniósł kieliszek, gdy tylko gospodarz postawił go na stole, i jednym haustem wypił całą brandy, jakby chciał zilustrować rozmiary rozrzutności Sebastiana Chandagnac.

- Jeszcze jeden dla pana Lapina - powiedział Shandy, po czym odwrócił się do rozmówcy. - A więc nie żyje? Jest pan pewien?

- Na własne oczy widziałem ciało, panie Chandagnac. Jakież to dziwne uczucie zwracać się do kogoś innego tym nazwiskiem... Wie pan, poza panem Sebastian nie miał chyba żadnych krewnych. Tak, nabił pistolet, a później wetknął do lufy resztki biżuterii. - Lapin złożył dłonie w miseczkę. - Za mało na fortunę, lecz ładunek pistoletowy był z tego istic królewski. Uniósł lufę dokładnie na wysokość twarzy, po raz ostatni, jak można przypuszczać, spojrzął na pozostałości swego bogactwa, po czym wystrzelił je sobie prosto w mózg! Cóż, w pewnym sensie była to bardzo poetycka śmierć. Choć w kategoriach praktycznych dość niechlujna - w zasadzie cała zawartość jego czaszki wylądowała w ogrodzie pod oknem sypialni. Biedny Sebastian, jestem przekonany, że miejscowi żandarmi rozkradli całą jego... amunicję.

Nagle Shandy przypomniał sobie, że słyszał już wcześniej nazwisko Lapin - przecież Skank opowiadał mu, że dwaj najwięksi handlarze, którzy prowadzili na Haiti interesy z piratami, to właśnie „Lapin i Shander-knack”. Miałaś rację, Skank, pomyślał Shandy, rzeczywiście przypomina królika.

- Tak, chyba już rozumiem, dlaczego chcieli upozorować samobójstwo - stwierdził nieobecny głosem.

- Słucham? - odezwał się Lapin. - Upozorować samobójstwo? Nie ma żadnych...

- Oczywiście, oczywiście - rzucił pośpiesznie Shandy. - Właśnie tak proszę myśleć. Wolałbym nie mówić panu nic, czego i tak nie musi pan wiedzieć... Panu nie grozi niebezpieczeństwo. Jestem pewien, że pan nigdy nie robił interesów... z piratami - dokończył szeptem nad kieliszkami brandy.

Nalana twarz Lapina zbledła w świetle zmierzającego dnia.

- Z piratami?

Shandy kiwnął głową.

- Na wyspę New Providence, która jeszcze do niedawna była siedzibą piratów, przysłano angielskiego gubernatora. A teraz piraci mordują po kolei wszystkich znanych handlarzy, z którymi kiedykolwiek robili interesy, żeby nie zostawić żadnych... - Shandy puścił do mężczyzny oko - świadków.

Na samą myśl, że piraci z New Providence są zdolni do jakiegokolwiek konsekwentnego działania, Jack chciał wybuchnąć śmiechem, ale zdołał zachować śmiertelną powagę.

Lapin przełknął ślinę.

- Mordują handlarzy?

- Zgadza się. Tylko czekają, aż któryś z nich postanowi się ujawnić. A gdy nawiąże z nim kontakt jakiś dawny kontrahent albo gdy ów handlarz zgodzi się spotkać na własnym terenie... - Shandy wzruszył ramionami - wówczas jest równie martwy, jak biedny Sebastian.

- *Mon Dieu!* - Lapin zerwał się na równe nogi, rozlewając brandy.

Spojrzał przerażonym wzrokiem w stronę portu, jakby się spodziewał, że właśnie w tej chwili przybija do niego piracki okręt.

- Jest już później, niż sądziłem. Bardzo dziękuję za spotkanie, panie Chandagnac. Obawiam się, że na mnie już pora.

Shandy nie wstał, ale uniósł swój kieliszek brandy.

- A zatem za pańskie zdrowie, panie Lapin. Żeby służyło panu jak najdłużej.

Lapin już jednak uciekał, a Shandy poczuł, jak ogarnia go dojmujące przygnębienie. Jego wuj był martwy i nic po sobie nie zostawił, co oznaczało koniec marzeń o nowym okręcie i wyrównaniu rachunków. Wynajął na noc pokój, a rano zapłacił za powóz jadący do L'arcahaye, gdzie czekała na niego „Jenny”.

Zabrał swoich ludzi w dwutygodniowy rejs po Karaibach i chociaż sprawdzał rejestry we wszystkich portach - nawet angielskich, gdzie był poszukiwany - nigdzie nie trafił na wzmiankę o „Halaśliwym Carmichaelu” ani „Charlotte Bailey”. Pierwszego sierpnia, w dniu gdy magiczna siła uniosła go w powietrze i wyrzuciła za burtę, Benjamin Hurwood oraz jego załoga żywych trupów zaginęli bez śladu.

Po dwóch tygodniach bezowocnych poszukiwań nastroje panujące wśród piratów groziły buntem. A ponieważ do ostatecznego terminu przyjęcia ułaskawienia zostały tylko dwa dni, Shandy rozkazał przyjąć kurs na New Providence.

Dotarli na wyspę po południu we wtorek piątego września. Schodząc z pokładu „Jenny”, Shandy postanowił nie oglądać się za siebie. Jeśli o niego chodziło, Venner mógł zabrać słupek do samego piekła albo do królestwa niebieskiego. Skierował kroki prosto do fortu, gdzie przyjął ułaskawienie od gubernatora Rogersa, i wrócił na plażę, by ugotować sutą kolację. Sam nic jednak nie zjadł, zadowolając się ogromnymi ilościami alkoholu, co w ciągu następnych trzech miesięcy weszło mu w nawyk.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Tak, Skank, pomyślał Shandy, obserwując, jak znów ktoś próbuje wciągnąć wyżej gafel zakotwiczonej na zatoce „Jenny”. To prawda, byłem bardziej niespokojny. A to dlatego, że miałem swoje powody. Miałem co robić, a teraz... Teraz został mi tylko jeden cel- zapomnieć. Rozciągnął się wygodniej na piasku i z rozrzewnieniem zamieszał ciepły rum w kubku.

Po chwili podszedł do niego z wahaniem młody chorąży Królewskiej Marynarki.

- Przepraszam bardzo, czy pan Jack Shandy?

Dopijając rum, Shandy spojrział na chłopaka sowymi oczyma sponad krawędzi kubka.

- Zgadza się - powiedział, oderwawszy usta od wodopoju.

- A czy to prawda, że to pan, proszę mi wybaczyć, zatopił „Whitney”?

- Nie sędzę. Co to był za okręt?

- Królewskiej Marynarki, wybuchł i zatonął w czerwcu. Pojmali Philipa Daviesa i...

- Och. - Shandy zauważył, że jego kubek jest pusty. Wstał. - Rzeczywiście. Aż do tej chwili nie wiedziałem, jak się nazywał. Tak naprawdę to Davies go wysadził, ja tylko pomogłem.

Odstawił kubek na stół przed namiotem z alkoholem i skinął na mężczyznę, który nim zarządzał.

- Ale zastrzelił pan kapitana? - drażył chłopak.

Shandy chwycił napelniony kubek.

- To było bardzo dawno temu. Nie pamiętam.

Młody chorąży wyglądał na zawiedzionego.

- Przy płynąłem tu na „Delicii” z gubernatorem Rogersem - wyjaśnił. - Wydawało mi się, że... cóż, że było to kiedyś naprawdę dzikie miejsce. Pojedyńki na miecze, strzelaniny, skarby...

Shandy zaśmiał się cicho, ale postanowił, że nie będzie pozbawiać chłopaka złudzeń.

- Och, tak, dokładnie tak było.

Zachęcony chłopak kontynuował:

- A pan pływał z samym Czarnobrodym, zgadza się? Podobno brał pan udział w tajemniczej wyprawie na Florydę. Jak tam było?

Shandy wykonał zamaszysty gest.

- Och, piekło to mało powiedziane. Bójki, zdrady, piraci wyrzucani za burtę, bitwy morskie... Wędrowaliśmy po bezdrożach i nieprzebytych bagnach, mając w wysokiej gorączce, a po piętach deptali nam kanibale, karaibscy Indianie, którzy...

Urwał, ponieważ zauważył, że jego rozmówca czerwieni się, marszcząc brwi.

- Nie musi mnie pan wyśmiewać - parsknął chłopak.

Shandy zamrugął, nawet nie pamiętając, co przed chwilą powiedział.

- Słucham?

- To, że jestem tu od niedawna, nie znaczy wcale, że nic nie wiem. Hiszpanie wybili do nogi karaibskich Indian jakieś dwa wieki temu.

Shandy nachmurzył się, szperając w pamięci. Gdzie usłyszał o tych Indianach?

- Nie wiedziałem. Poczekaj, napijemy się rumu, nie chciałem cię...

- Nie wolno mi pić w mundurze - rzucił pospiesznie młody chorąży, choć wydawał się udobruchany.

- W takim razie wypiję za ciebie.

Shandy osuszył kubek i odstawił go na stolik, a siedzący po drugiej stronie mężczyzna napenił go i dopisał kolejną kreskę do kredytu Shandy'ego.

- W każdym razie wygląda na to, że rzeczywiście ominęły mnie najlepsze dni piratów - westchnął młody chorąży. - Davies, Bonnett, Czarnobrody, wszyscy nie żyją, a Hornigold i Shandy postanowili przyjąć ułaskawienia. Ale jest jeden nowy. Słyszał pan może o człowieku nazwiskiem Ulysse Segundo?

- Nie - odparł Shandy, ostrożnie podnosząc kubek. - Gustowne nazwisko.

- Tak, być może. Pływa na wielkim trójmasztowncu, „Wzlatującym Orfeuszu”. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zdobył z tuzin okrętów. Mówią, że ze wszystkich znanych piratów ten jest najbardziej krwiożerczy. Ludzie tak się go boją, że wyskakują do morza, bo wolą utonąć, niż trafić w jego ręce!

- Rzeczywiście, robi wrażenie - zgodził się Shandy, kiwając głową.

- Opowiadają o nim mnóstwo historii - dodał z zapalem chłopak, ale zaraz urwał. - Choć, Bogiem a prawdą, w większość z nich nie wierzę. Ale inni wierzą, a w każdym razie tak by można pomyśleć. Podobno potrafi gwizdem wykraść wiatr z żagli przeciwnika i dmuchnąć nim w swoje. Odnajdzie wroga w najgęstszej mgle, a ze zdobytego okrętu zabiera nie tylko złoto i klejnoty, ale także martwe ciała wszystkich marynarzy, których zdoła zabić! Nigdy nie zaprzęta sobie głowy takimi rzeczami jak zboże, skóry czy żelazo, kradnie wyłącznie prawdziwe skarby. Powiadają jednak, że świeżą krew ceni ponad wszystko i zdarzało się, że upuszczał ją

całej załodze. Jedyne kapitan, który stracił okręt, ale sam zdołał przeżyć, twierdzi, że widział w olinowaniu „Orfeusza” trupy, śmierdzące, rozkładające się ciała, choć jedno z nich przemówiło!

Shandy uśmiechnął się.

- I co powiedziało?

- Cóż, rzecz jasna w ogóle w to nie wierzę, ale... Ale ów kapitan przysięgał na własne życie, że jeden z tych trupów powtarzał bez końca: „Nie jestem psem”, no i... Hej, uważaj! - rzucił ze złością chłopak, ponieważ Shandy upuścił kubek i ochlapał mu rumem spodnie.

- Gdzie ostatnio widziano ten okręt - zapytał szybko Shandy - i kiedy to było?

Młody chorąży zmarszczył brwi, zaskoczony tym nagłym zainteresowaniem. Nie pasowało do beztróskiego mężczyzny o sennym spojrzeniu, który wydawał się mieć tylko jedną ambicję - zostać największym pijakiem na wyspie.

- Nie pamiętam, to było...

- Myśl! - Shandy złapał zdębiałego chłopaka za kołnierz uniformu i podniósł go w powietrze. - Gdzie i kiedy?!

- Uch, niedaleko Jamajki, gdzieś przy Montego Bay. Nie dalej niż tydzień temu...

Odepchnąwszy go, Shandy pobiegł w stronę brzegu.

- Skank! - krzyczał. - Skank, do diabła, gdzie jesteś?! Skank, chodź tu natychmiast!

Młody pirat podreptał do niego niepewnie.

- O co chodzi, Jack?

- „Jenny” wypływa jeszcze dziś po południu. Zbierz chętnych, załaduj prowiant i zagon ludzi na pokład!

- Ale Jack, Venner postanowił czekać do stycznia, żeby połączyć siły z Charliem Vane'em i...

- Do diabła z Vennerem! Czy kiedykolwiek powiedziałem głośno, że zrzekam się dowództwa nad „Jenny”?

- Cóż, nie, Jack, ale wszyscy zakładaliśmy, że...

- Do diabła z waszymi założeniami! Zbierz ludzi i na pokład!

Grymas zakłopotania na twarzy Skanka rozciągnął się w szeroki uśmiech.

- Tak jest... kapitanie.

Odwrócił się i pognął do obozowiska, nagimi stopami rozkopując biały piasek.

Shandy podbiegł do wyciągniętej na plażę szalupy i zaczął spychać ją na wodę, gdy raptem przypomniał sobie, kto opowiadał mu o Indianach pochodzących z Karaibów. Stary gubernator Sawney wspominał o nich w noc przed wypłynięciem „Carmichaela” i „Jenny” na

Florydę, gdzie spotkali się z Czarnobrodym. Co dokładnie powiedział wtedy ten szalony staruszek? Że swego czasu sporo ich pozabijał?

Shandy zamarł, spoglądając w zamyśleniu na wzniesienie na skraju obozowiska, gdzie Sawney rozbił niewielki namiot. Nie, pomyślał, mocując się z szalupą. Sawney był może stary, ale z pewnością nie miał dwustu lat.

Zaraz potem jednak znów zastygł w bezruchu, bo przypomniał sobie coś jeszcze. Czy przypadkiem staruszek nie powiedział wtedy: „Dopóki nie dotrzecie do tego przeklętego gejzeru”? Fontanna Młodości rzeczywiście przypominała gejzer. A gdy Shandy zaimprovizował przedstawienie marionetkowe dla piratów, Sawney przerwał mu swoim belkotem, mówiąc coś o twarzach w rozpryskach wody i *almas de los perditos*. Twarze w rozpryskach wody i dusze potępionych...

Czyżby Sawney sam odnalazł niegdyś Fontannę?

Jeśli tak, mógłby mieć ponad dwieście lat - nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, chociaż wydawało się dość dziwne, że tak bardzo podupadł na zdrowiu i umyśle. Ciekawe, gdzie popełnił błąd, zadał sobie pytanie Shandy, powracając do pracy.

Ponownie znieruchomiał. Cóż, jeżeli istnieje jakiś sposób, myślał, jakaś sztuczka, by zamienić potężnego czarownika, który dotarł do Erebu i kupił sobie sto czy dwieście lat dodatkowego życia, w belkoczącego idiotę, to lepiej, żebym ją poznał. Chyba że i tym razem chcę skończyć za burtą, odrzucony przez niewidzialną siłę.

Ruszył w stronę namiotów; najpierw wolno, ale przyspieszył kroku, gdy tylko powróciły do niego kolejne niepokojące wspomnienia starego Sawneya: jego płynny, choć archaiczny hiszpański i biegłość w posługiwaniu się magią.

- Widziałeś dziś gubernatora? - rzucił do chudego marynarza, którego spotkał na swej drodze. - To znaczy Sawneya, nie Rogersa.

Rozciągnął usta w uśmiechu, siłąc się na swobodę, ale mężczyzna był świadkiem jego rozmowy z młodym chorążym i cofnął się, unosząc ręce w obronnym geście.

- Jasne, Jack. Siedzi w swoim namiocie przy zatoczce. Tylko spokojnie, dobra?

Nie bacząc na mamrotanie i kręcenie głową zdumionego pirata, Shandy rzucił się biegiem przez piasek, przeskoczył nad wygasłym paleniskiem i pognął do zatoczki, w której pół roku wcześniej pomagał remontować „Carmichaela”. Na widok Sawneya przystanął, aby złapać oddech, a na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech. Staruszek klęczał przed namiotem z płótna żaglowego, w którym ostatnimi dniami mieszkał, na przemian pociągając łyk rumu i zaglądając do w połowie pełnej butelki.



Miał na sobie workowate jasnożółte spodnie i haftowaną jedwabną kurtkę, a jeśli nosił jakąś chustę, to była niewidoczna pod spletaną brodą, która kolorem przypominała stare, zbielałe od słońca kości.

Shandy zbiegł ze wzniesienia i usiadł obok staruszka.

- Chciałbym porozmawiać, gubernatorze.

- Czyżby? - Sawney rzucił mu przelotne spojrzenie. - Chyba nie gorączkujesz, chłopcze?

Mówiłem ci, trzymaj się z dala od kurczaków.

- Nie, gubernatorze. Chciałem zapytać o... bokorów, o czarowników. A szczególnie o tych, którzy dotarli do... Fontanny Młodości.

Sawney wziął kolejny łyk i zajął do butelki.

- Mnóstwo wokół bokorów, ale ja nie jestem jednym z nich.

- Ale wiesz, o jaką fontannę mi chodzi? O gejzer?

W odpowiedzi staruszek zakręcił alkoholem w butelce i zaśpiewał wysokim, łamiącym się głosem:

*Más molerá si Dios quisiere, Cuenta y pasa, que buen viaje faza.*

Shandy ułożył w głowie przybliżone tłumaczenie:

Więcej popłynię, jeśli Bóg zechce, Policz i pozwól, by się stało, a podróż minie prędkiej.

- Świetnie - mruknął, uznawszy, że na nic mu się to nie przyda. Próbował zapanować nad zniecierpliwieniem. - Spróbujmy inaczej. Pamiętasz, gubernatorze, karaibskich Indian?

- Ano, pamiętam. Kanibale. Wybiliśmy ich do nogi podczas ekspedycji Kordoby w siedemnastym i osiemnastym. Ci, co przeżyli, trafili jako niewolnicy na Kubę, ale to tak, jakby już byli martwi. Władali całą magią. Zapędzali Arawaków do zagród, tak jak biali zapędzają bydło. Jedli ich, pewnie, ale nie to było najważniejsze. A wiesz, co było? Hmm? Krew, świeża krew. Dbali, żeby utrzymać tych Arawaków przy życiu, tak jak ty musisz dbać, żeby proch nie zamókł.

- Wiedzieli o tym miejscu w lesie deszczowym na Florydzie? O Fontannie, gdzie ziemia wydaje się zbyt... solidna?

- Ach, *Dios... Sí* - wyszeptał Sawney, zerkając na zatokę, jakby się obawiał, że usłyszy go jakiś morski potwór. - Powiadają, że nie było tam tak ciemno, zanim przyszli... Przeklęte okno do piekła.

Shandy nachylił się lekko do staruszka i zapytał ściszym głosem:

- Kiedy tam byłeś?

- W 1521 roku - odparł bez zastanowienia Sawney. Pociągnął z butelki solidny łyk. -

Wiedziałem już wtedy, gdzie szukać. Potrafiłem odczytać znaki pomimo starań ojczulków z ich modlitwami i święconą wodą... Szedłem, opędzając się od chmar duchów, dopóki nie dotarłem do celu. Ocet pozwoli ci się pozbyć wszy, ale na duchy działa jedynie czarny tytoń. Przełałem tam krew, przy Fontannie... a moja roślina wypuściła pędy. Zrobiłem to zresztą w samą porę - gdy tylko wydostałem się z bagien, doszło do potyczki z Indianami i dosięgła mnie jedna z ich strzał. Wkrótce rana zaczęła paskudnie ropieć, więc postarałem się, by część mojej krwi skapnęła do morza. Krew i słona woda, a będę żyć wiecznie, raz za razem, póki ta roślina wciąż tam jest...

Shandy niespodziewanie przypomniał sobie o martwym, zaszuszonej kikucie, który wystawał z błota tuż przy Fontannie, i zorientował się, że ten żywot gubernatora Sawneya może być jego ostatnim.

- Jak to się dzieje - zagaił ostrożnie - że człowiek na tyle potężny, aby posiąć tam swą krew i dzięki magii morskiej wody kupić sobie tyle wcieleń, podupada na zdrowiu? Potężna magia wymyka mu się z rąk, a on staje się... prosty?

Sawney uśmiechnął się i uniósł siwą brew.

- Jak ja, chciałeś powiedzieć, co, chłopcze? Żelazo.

Chociaż Shandy czuł się skrepowany tym, że staruszek przejrzał go na wylot, nie chciał przerywać rozmowy.

- Żelazo? Co masz na myśli? - zapytał.

- Z pewnością je czułeś. Właśnie tak pachnie magia, jak patelnia, którą ktoś przez roztargnienie zostawił na palenisku. Jak rozbudzone żelazo. Tak samo pachnie świeża krew, a magia nie obędzie się bez świeżej krwi, więc musi być w niej żelazo. Słyszałeś opowieści o bogach, którzy spadli na ziemię w postaci fragmentów rozgrzanego do czerwoności żelaza? Nie? Przecież najstarsi pisarze twierdzili, że to żelazo mieściło w sobie dusze gwiazd, ponieważ było ostatnią rzeczą, którą gwiazda wyrzucała z siebie tuż przed śmiercią.

Shandy zaczynał się obawiać, że starzec znów majaczy, bo przecież ani we krwi, ani w gwiazdach nie było żadnego żelaza. Mimo to postanowił jeszcze raz pociągnąć Sawneya za język.

- Ale jak to osłabia czarownika?

- Hmm? - Sawney, dmuchając w szyjkę, wy dobył z butelki niski dźwięk. - Och, kiedy wcale nie osłabia.

Shandy uderzył pięścią w piasek.

- Do diabła, gubernatorze, muszę wiedzieć...

- To zimne żelazo wszystko gmatwa, twarde żelazo. Widzisz, takie żelazo jest skończone, nie możesz skoncentrować w nim magii, bo magia też jest skończona, jeszcze zanim zaczniesz. Pędziłeś kiedykolwiek wino?

Shandy przewrócił oczyma.

- Nie, ale już wiem o occie i wszach. Mnie...

- A wiesz, co to jest *vino de Jerez*? Anglicy nazywają je sherry. Albo porto.

- Pewnie, gubernatorze - odparł znużonym głosem Shandy, zastanawiając się, czy staruszek nie wyśle go zaraz po butelkę.

- A wiesz, jak się je robi? Wiesz, dlaczego jest takie słodkie?

- Uch, bo jest wzmocnione. Dolewają do wina brandy, które zatrzymuje fermentację, dzięki czemu cukier nie zmienia się w alkohol.

- Mądry chłopak. Zgadza się, brandy zatrzymuje fermentację. I mimo że wciąż masz w winie cukier, jego fermentacja jest już niemożliwa. A ta rzecz, ta brandy, która tak skutecznie jej zapobiega, z czego powstała?

- Cóż... - zaczął zaskoczony Shandy. - Z przedestylowanego wina.

- *Verdad*. Produkt fermentacji sprawia, że dalsza fermentacja jest niemożliwa. Teraz rozumiesz?

Wydawało mu się, że już prawie rozumie. Serce zabiło mu mocniej.

- A zatem zimne, twarde żelazo działa na magię tak, jak brandy na fermentację - powiedział niepewnie. - O to ci chodzi?

- *Seguro!* Nóż z zimnego żelaza to cudowne narzędzie, by pozbyć się ducha. O tych historiach z pewnością słyszałeś. Gdy wkoło jest dużo żelaza - zimnego, twardego żelaza - krew nie znika, tak jak nie znika cukier z sherry, lecz już nie zdołasz wykorzystać jej w magii. Bokorzy nie noszą przy sobie żelaza i parają się magią na co dzień, przez co w ich organizmach krwi jest za mało. Widziałeś ich dźiąsła? A przy domach najpotężniejszych znajdziesz drobny rdzawy pył. - Staruszek nachylił się do Shandy'ego i wyszeptał konspiracyjnie: - Żelazo.

Shandy czuł, jak przechodzą go ciarki.

- A w Starym Świecie - powiedział cicho - magia przestała odgrywać ważną rolę w tym samym czasie, gdy w powszechnym użytku znalazły się żelazne narzędzia i broń.

Sawney kiwnął głową i uśmiechnął się krzywo za splątana, siwą brodą.

- Nie był to zbieg okoliczności. - Znów dmuchnął w szyjkę butelki: gwizd - Obecność zimnego żelaza naraża na szwank każdą magicznie powołaną do życia istotę. - Gwizd. - Wyrządza jej krzywdę, za każdym razem po troszku. - Gwizd. - Kiedy to wreszcie

zrozumiałem, było dla mnie za późno. Nagle okazało się, że od dnia, w którym wydostałem się z tych przeklętych florydzkich bagien, powinienem był unikać żelaza - nie nosić go, nie trzymać, a nawet nie jeść nic, co zostało ugotowane w żelaznym garnku! - Gwizd. - Wielcy królowie żyli w taki sposób w Starym Świecie, zanim znikła stamtąd magia. Piekło to mało powiedziane. Gdybyś chciał pójść w ich ślady, musiałbyś jeść sałatę, surowe rośliny strączkowe i tym podobne świństwa.

- Żadnego mięsa? - zapytał Shandy, któremu przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Och, czemu nie, mnóstwo mięsa. Mięso jest niezbędne zarówno dla mocy magicznych, jak i zwykłej fizycznej siły, bo zwykle czarownicy z czasem stają się coraz bledsi, otepiali i słabi. Ale rzecz jasna musi to być mięso zwierzęcia, które nie zostało upolowane ani zabite ze pomocą żelaza, którego nie oczyszczono żelaznym nożem i nie ugotowano w żelaznym garnku. - Gwizd. - Choć, jeśli mam być szczery, niczego nie żałuję. Zyskałem dwieście lat życia normalnego człowieka, robiąc wszystko, na co mi przyszła ochota. Musiałbym być naprawdę szalony, żeby niczym jakiś przeklęty bokor martwić się każdym posiłkiem i bać każdego gwoźdźcia w desce.

- Dobrze, gubernatorze, ale czy istnieje sposób, by wykorzystać żelazo do zniszczenia czarownika, który przelał krew przy Fontannie tak niedawno, że z podeszew jego butów wciąż można zdrapywać błoto z Erebu? - zapytał Shandy.

Sawney przyglądał mu się przez długą chwilę, aż w końcu odłożył butelkę na piasek.

- Być może. O kogo chodzi?

Shandy postanowił, że będzie z nim szczery.

- O Benjamina Hurwooda. Albo o Ulysse'a Segundo, takie podobno przybrał ostatnio nazwisko. Jest człowiekiem, który...

- *Yo conozco*, ten z jedną ręką. Ten, który opiekuje się ciałem swej córki, aby przyjąć w nie duszę zmarłej żony. Biedne dziecko, zauważyłeś, że karmią ją wyłącznie zieleniną i sucharami trzymanymi w drewnianych pojemnikach? Zależy im, żeby jej ciało było dobrym przewodnikiem magii, ale zarazem chcą wyrugować z niej całą energię i siłę woli, więc w ogóle nie dostaje mięsa.

Shandy kiwnął głową, ponieważ już wcześniej uzmysłowił sobie znaczenie diety Beth.

- Pewnie, powiem ci, jak go złamać. Dźgnij go mieczem.

- Gubernatorze - parsknął Shandy, z trudem utrzymując nerwy na wodzy. - Potrzebuję czegoś więcej. On...

- I ty uważasz, że to ja jestem prosty? Chłopcze, czy ty mnie w ogóle słuchałeś? Połącz

krew z zimnym żelazem miecza. Niech atomy krwi i żelaza przenikną się nawzajem i ukierunkują, tak jak igła magnesu zawsze kieruje się na północ. Albo odwrotnie, wszystko jest względne. Działająca moc magiczna nada żelazu energii ku swej własnej zgubie. Innymi słowy, moc zostaje zniweczona, ponieważ energia skupiona w żelazie jest już zbyt wielka, rozumiesz? Jeśli nie podoba ci się pomysł, że moneta spada na ziemię, pomyśl, że to ziemia pędzi w stronę monety.

Gwizd.

- Świetnie, ale jak mam to zrobić?

Gwizd. Gwizd.

- Gubernatorze, jak mam sprawić, żeby atomy się ukierunkowały? Jak mam połączyć krew z żelazem?

Sawney dopił resztę rumu i odstawivszy butelkę na piasek, zaśpiewał:

*Bendita sea el alma Y el Señor que nos la manda; Bendita sea el día Y el Señor que nos bo envía.*

Shandy znów przetłumaczył w myślach:

Niech będzie błogosławiona dusza

I Pan, który nad nią czuwa;

Niech będzie błogosławiony dzień

I Pan, który go odpędza.

Jeszcze przez minutę próbował wydusić ze staruszka jakąś składną odpowiedź, lecz rum przygasił chwilowy blask czujności w jego zamglonych oczach. W końcu Shandy dał za wygraną i podniósł się na nogi.

- Żegnaj, gubernatorze - powiedział.

- Uważaj na siebie, chłopcze. I pamiętaj, żadnych kurczaków.

- Oczywiście.

Jack ruszył w drogę powrotną, ale po paru krokach zatrzymał się i odwrócił.

- Powiedz no, gubernatorze, jak ci naprawdę na imię?

- Juan.

Shandy słyszał już kilka wersji imion, jakimi przedstawiał się gubernator, ale zawsze był to Sawney, Ponsealbo Gawnsey, nigdy zaś Juan.

- A dalej? - zapytał.

Staruszek zarechotał pod nosem. Przez chwilę gmerał palcami w piasku, po czym nagle uniósł głowę, spojrzał Shandy'emu w oczy i powiedział cicho, ale wyraźnie:

- Juan Ponce de León.

Shandy na kilka sekund zamarł. Przeszły go ciarki, choć nad rozgrzanym przez tropikalne słońce białym piaskiem unosiły się rozedrgane miraże. Aż w końcu kiwnął głową, odwrócił się i ruszył w stronę obozowiska, słysząc, jak za jego plecami starzec podjął swój monotony gwizd.

I dopiero gdy wspiął się na szczyt wzniesienia usianego gąszczem namiotów i obskurnych szałasów, dotarło do niego, że włóczęga, którego zostawił na plaży, naprawdę był, choć zapewne dawno temu, gubernatorem tej wyspy - tej, a także każdej innej leżącej między New Providence a Florydą.

\* \* \*

Shandy kluczył między namiotami, przeliczając w myślach, ile zostało mu z oszczędności Daviesa po trzech miesiącach lekkomyślnego wydawania ich na rum. Zastanawiał się, na jak długą podróż może sobie pozwolić, choć oczywiście zdawał sobie sprawę, że z konieczności nie będzie ona zbyt długa - do Bożego Narodzenia zostały tylko dwa tygodnie, a Hurwood wspominał, że zamierza zwieńczyć rytuał wypędzenia duszy Beth wraz z nadejściem święta Jul. Zorientował się, że ktoś stoi na drodze, a gdy podniósł wzrok, zobaczył Ann Bonny. Podobno zaraz po jego wypłynięciu na Haiti Ann wdała się w romans z innym ułaskawionym piratem, Calikiem Jackiem Rackamem. Oboje czynili pewnie starania, by wykupić rozwód Ann, ale jak na razie bez rezultatów.

- Witaj, Ann.

Zatrzymał się, ponieważ czuł, że wciąż jest jej coś winien i powinien nadstawić drugi policzek.

- Proszę, proszę - mruknęła Ann - kogóż to widzą moje oczy. Czyżby nasz kucharz wreszcie zdołał wyczołgać się z beczki po rumie?

Od chwili gdy widział ją po raz ostatni, postarzała się i zeszcupiała. Nie był tym zaskoczony - gubernator Rogers stał na straży przekonania, że uświęcony tradycją angielski przywilej rozwodu za pieniądze to szczyt rozwiązłości. Podobno obiecał Ann, że ją publicznie obnaży i wychłoszcze, jeśli jeszcze raz podejmie ten temat. Niedługo później pojawiło się kilka wyjątkowo wulgarnych piosenek opisujących, jak wyglądałby przebieg tej kary, które bardzo szybko zyskały popularność wśród piratów. Mimo to sposób, w jaki stała i przekrzywiwała głowę, wciąż emanował gorącą aurą seksualności.

Shandy uśmiechnął się ostrożnie.

- Zgadza się - powiedział.

- A ile czasu minie, zanim wpełzniesz z powrotem do środka?

- Jestem pewien, że co najmniej dwa tygodnie.

- A ja nie. Daję ci... najwyżej pół godziny. Umrzesz tutaj, Shandy, po kilku latach terminowania u starego Sawneya. Ale ja nie zamierzam. Uciekniemy stąd z moim Jackiem, zanim się obejrzysz. Wreszcie znalazłam mężczyznę, który nie boi się kobiet.

- To wspaniale. Muszę przyznać, że kobiety potrafią mnie wystraszyć. Mam nadzieję, że będziecie z Rackamem szczęśliwi.

Na twarzy Ann pojawił się grymas zaniepokojenia. Zrobiła krok w tył.

- Hę? A dokąd to się wybierasz?

- Na północ od Jamajki. Widziano tam okręt, który przypomina „Carmichaela”.

Uśmiechnęła się i rozluźniła, choć jednocześnie kręciła smutno głową.

- Mój Boże, znów chodzi o tę dziewczynę, zgadza się? Hurley?

- Hurwood. - Wzruszył ramionami. - Tak, właśnie o nią.

- Tylko czy przypadkiem ta podróż nie narusza warunków twojego ulaskawienia?

- Nie wiem. A czy wyprawa, którą szykuje Rackam, nie narusza jego?

Ann uśmiechnęła się złośliwie.

- Tak między nami, Shandy, no pewnie, że narusza, ale mój Jack ma kobietę, której nie przeszkadza życie z banitą. A ty?

- Tego też nie wiem.

Zawahała się, ale w końcu pochyliła i pocałowała go bardzo delikatnie.

- A to znowu za co? - zapytał zdumiony.

Jej oczy lśniły.

- Nie za co, tylko na co, człowieku. Na szczęście.

Odwróciła się i odeszła, a on ruszył na brzeg. Jakieś dzieci bawiły się dwiema lalkami, które sam kiedyś zrobił. Gdy schodziły mu z drogi, zauważył, że używały sznurków, by poruszać ich kończynami. Uczcie się fachu, łobuzy, pomyślał, bo coś mi się zdaje, że nad waszym pokoleniem nie będzie już czuwać Pan Los-Darzy.

Ktoś biegł w jego stronę ciężkim krokiem. Przystanął, by się odwrócić, i podskoczył na widok Żałośnie Tłustego, który patrzył na niego z góry beznamiętnym wzrokiem. Przynajmniej tym razem pamiętał, że czarnoskóry bokor jest głuchy, więc tylko kiwnął głową.

- Będą radzili bez niego - zagrzmiał Żałośnie Tłusty. - Każdy kraina ma taki czas, że magia jest w mocy. Tutaj, w tej kraina, ten czas zbliża się ku koniec. Płynę z tobą.

- Słucham? - Shandy był zaskoczony, ponieważ próbował skaptować wielkiego bokora jeszcze przed wypłynięciem na Haiti, lecz wówczas Żałośnie Tłusty odmówił. - Cóż, to wspaniale. Wygląda na to, że podczas tej podróży przydadzą się nam usługi sprawnego bokora. A ja tylko marnuję swój czas, gadając jak najęty, hmm?

Zadowolił się dobitnym kiwnięciem głową w odpowiedzi.

- Ty płyniesz na Jamajku.

- Nie, w zasadzie nie na Jamajkę, choć może, to znaczy będziemy blisko...

- Ja zem urodził się na Jamajku, ale okręt zabrał mnie do Wirginii, gdy zem miał pięć lat.

A teraz znów będę na Jamajku, z powrotem, żeby umrzeć.

- Tak, uch... - Shandy zastanawiał się, co odpowiedzieć i jakich gestów użyć, by olbrzymi bokor go zrozumiał, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, Żałośnie Tłusty minął go i ruszył w stronę brzegu. Shandy dogonił go truchtem.

Przy szalupie, z którą się wcześniej siłował, stała grupka skłóconych mężczyzn. Gdy podszedł bliżej, dwóch popędziło w jego stronę, krzycząc i wymachując rękoma. Pierwszym z nich był Skank, drugim zaś Venner, który tak poczerwieniał ze złości, że z jego twarzy znikły wszystkie piegi.

- Po kolei - rzucił Shandy.

Venner uciszył Skanka wściekłym machnięciem ręki.

- „Jenny” nigdzie nie wypłynie, dopóki nie dotrze tutaj Vane.

- „Jenny” wypływa na Jamajkę jeszcze dziś po południu - odparł Shandy. Mimo że na jego ustach igrał łagodny uśmiech, w głowie odmierzał jardy i cale, zastanawiając się, ile potrzebuje czasu, by wyrwać Skankowi kordelas.

- Nie jesteś już kapitanem - warknął zachrypniętym głosem Venner, a jego twarz jeszcze bardziej pociemniała.

- A kiedy przestałem nim być?

Stojący z tyłu mężczyźni wiercili się niespokojnie, nie wiedząc, po czyjej stanąć stronie. Mamrotali coś do siebie, lecz do Shandy'ego dotarł tylko fragment jednej z wypowiedzi: „...zbyt pijany, żeby dowodzić okrętem...”.

Wówczas jednak naprzód wystąpił Żałośnie Tłusty.

- „Jenny” płynie dziś na Jamajku - oznajmił tonem proroka ze Starego Testamentu. - I to za chwili.

Wszyscy zamarli w zdumieniu; nawet Skank nie zdawał sobie dotąd sprawy, że bokor Daviesa jest w tym konflikcie sprzymierzeńcem Shandy'ego. Shandy czuł, że to ku niemu



skłaniają się niezdecydowani marynarze, chociaż nawet na chwilę nie oderwał wzroku od twarzy Vennera.

Przez kilka długich sekund patrzyli sobie z Vennerem w oczy, aż w końcu Skank dobył kordelasa i rzucił go Shandy'emu, który bez mrugnięcia okiem złapał za rękojeść. Venner spojrzał na broń w ręku przeciwnika. Chyba sądzi, że jestem dziś zbyt trzeźwy, by mógł sobie ze mną poradzić, pomyślał Shandy. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń Venner rozejrzał się dookoła. Zaciśnął usta w grymasie rozgoryczenia, ponieważ natychmiast zrozumiał, że interwencja czarnoskórego bokora zwróciła wzburzoną falę emocji przeciwko niemu.

- Rozumiem - warknął. - Szkoda tylko, że... że nie informujesz nas na bieżąco o takich sprawach... kapitanie. Ale wiedz... wiedz, że... - Urwał, po czym znów zaczął mówić, dławiąc się słowami, jakby sprawiały mu ból, gdy cedził je przez zęby: - Wiedz, że nie chciałem na ciebie... naciskać.

Shandy wyszczerzył się i klepnął go w ramię.

- Było, minęło.

Odwrócił się, chcąc zlustrować swoją załogę, i musiał bardzo uważać, by nie wyczytali z jego twarzy rozczarowania ani rodzących się obaw. Ci ludzie, myślał, stanowią wspaniałe świadectwo skuteczności działań Rogersa - tylko ci, którzy są zbyt głupi, zbyt okrutni lub zbyt leniwi, by poradzić sobie w świecie kierowanym literą prawa, decydują się jeszcze na udział w pirackiej wyprawie. Bo przecież niewykluczone, że właśnie w to zamieni się nasza podróż, jeśli nie znajdziemy „Carmichaela” - wszyscy ci durnie i zabijaki z pewnością będą żądać łupów.

Cóż, czas chyba pożegnać się z ułaskawieniem. Ale może mimo wszystko lepiej być zbiegiem, któremu przyświeca jakiś cel, niż obywatelem, który nie ma żadnego.

- Skank - powiedział, uznawszy, że młody mężczyzna jest najbardziej rozgarnięty spośród piratów - ty będziesz moim kwatermistrzem. - Zauważył wyraz dezaprobaty, który przemknął przez twarz Vennera, ale nie zareagował. - Zagoń ich na pokład. Musimy wypłynąć, zanim chłopcy z marynarki zrozumieją, co się święci.

- Tak jest, kapitanie!

Dwadzieścia minut później, bez fanfar, choć śledzona zaniepokojonym wzrokiem oficerów z „Delicii”, „Jenny” po raz ostatni opuściła zatokę New Providence.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Plamy porannego słońca nakrapiały wychodzący na południe taras jednego z najokazalszych domów na wzgórzu ponad Spanish Town. Gdy wiatr poruszył gałęziami drzewa pieprzowego, smuga światła padła bezpośrednio na twarz mężczyzny o starannie przyciętej brodzie, który siedział przy stoliku śniadaniowym. Nieznajomy instynktownie schował się do cienia, ponieważ w jego fachu gładka, pozbawiona zmarszczek twarz była istotnym warunkiem sukcesu. Po pierwsze, inwestorzy z jakichś powodów wydawali się sądzić, że młodzi ludzie lepiej znają współczesne rynki i trendy w kursach cen i walut, a po drugie, sama idea bogactwa traciła swój sens, kiedy zdobywał je człowiek stary i zniedołężniały.

Z piętra doleciał kolejny jęk. Mężczyźnie zadrżała ręka, przez co strumień herbaty trafił na spodek zamiast do porcelanowej filiżanki. Do diabła, pomyślał człowiek, który przedstawiał się teraz jako Joshua Hicks, z hukiem odstawiając dzbanek na stół. Czy naprawdę nie można zjeść spokojnie śniadania na tarasie własnego domu, nie będąc zmuszonym do wysłuchiwania przeklętych lamentów? Jeszcze tylko sześć dni, próbował siebie uspokajać, i wreszcie dopełnię warunków umowy z tym parszywym piratem. Odprawi swoje sztuczki, zabierze stąd dziewczynę i wreszcie zostawi mnie w spokoju.

Jeszcze zanim ta myśl zdążyła wybrzmieć, zdał sobie sprawę, jak płonne są jego nadzieje.

Nie zostawi mnie w spokoju, dopóki jestem dla niego użytecznym narzędziem, stwierdził. Może powinienem sam pozbawić się tej użyteczności, tak jak miał odwagę to zrobić Stede Bonnett, kiedy znalazł się w podobnej sytuacji z Czarnobrodym - może powinienem oddać się w ręce prawa i do wszystkiego przyznać... Do diabła, przecież kilka razy spotkałem Bonnetta, gdy kaprysy rynku cukrowego zmusiły go do podróży służbowej do Port-au-Prince, i wcale nie wyglądał mi wtedy na bohatera, ani tym bardziej na świętoszka.

Nie, pomyślał Joshua Hicks, spoglądając ponad wypolerowaną balustradą i rozhuśtanymi na zimnym górskim wietrze liśćmi palm na opadające tarasy białych domów, które tworzyły część mieszkalną Spanish Town. W oddali, ledwie widoczne ponad brzegiem niebieskiego morza, majaczyły czerwone dachówki ocalałego fragmentu Port Royal. Sięgnął ręką w bok, wyciągnął zatyczkę z kryształowej karafki i wlał do herbaty bursztynowego

koniaku, mieniącego się w porannym słońcu złotym blaskiem. Nie, bez względu na to, jakim człowiekiem był Stede Bonnett, z pewnością nie dorównuję mu odwagą. Nie potrafiłbym zrobić tego, co on zrobił, a Ulysse doskonale o tym wie, niech piekło pochłonie jego zawszoną duszę. Jeśli już muszę żyć w klatce, wolę taką, w której nie zabraknie mi luksusów i której prętów nie da się dotknąć ani zobaczyć, choć są solidniejsze od stalowych.

Wypił duszkiem wzmocnioną herbatę i wstał z krzesła. Upewniwszy się, że na jego twarzy widnieje łagodny uśmiech, odwrócił się w kierunku salonu i spojrzał w oczy wypchanej głowie psa, która wisiała na ścianie niczym jakieś nędzne trofeum.

Przeszedł przez spory pokój do holu, wykrzywiając twarz w sztucznym uśmiechu, ponieważ tam również wisiała jedna z psich głów. Wzdrygnął się, a jego uśmiech zbladł, gdy przypomniał sobie ów feralny wrześnieowy dzień niedługo po tym, jak się tu sprowadził. Zakrył wówczas wszystkie głowy szmatami, by zyskać poczucie prywatności, lecz zaledwie w ciągu godziny pojawiła się przerażająca czarnoskóra pielęgniarka, która nawet nie zapukawszy do drzwi, ruszyła w obchód po domu, odsłaniając wszystkie upiorne trofea. W ogóle nie zwracała na niego uwagi i, rzecz jasna, nie mogła się odezwać, ponieważ cała jej głowa była szczelnie obwiązana. Ta niezapowiedziana wizyta tak go zdenerwowała, że odtąd nie próbował więcej pozbawiać Ulysse'a wzroku.

Ośmielony kilkoma łykami koniaku oraz wiedzą, że pielęgniarka rzadko pojawiała się w domu przed południem, Hicks wspiął się po schodach na piętro i przyłożył ucho do drzwi pokoju gościnnego. Nie słyszał już stękania, odciągnąwszy więc mosiężną zasuwę, przekręcił drewnianą gałkę i otworzył drzwi.

Dziewczyna spała, ale obudziła się z płaczem, gdy przez przypadek kopnął nietkniętą kolację, przekradając się przez tonący w ciemności pokój. Drewniana misa zawirowała w powietrzu i uderzyła z hukiem o ścianę, a po całym dywanie rozsypała się zielenina. Dziewczyna usiadła na łóżku i zmrużyła oczy, spozierając na Hicksa.

- Mój Boże, John?

- Nie, do licha - warknął Hicks - to ja. Słyszałem, jak jęczysz, więc przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Kim jest John? Nie pierwszy raz mnie z nim pomyliłaś.

- Och... - Beth Hurwood opadła z powrotem na łóżko, a nadzieja w jej oczach przygasła. - Tak, wszystko w porządku.

W tym pokoju wisiały aż trzy psie głowy, Hicks wyprostował się więc i machnął z surową miną w stronę rozrzuconych liści i ziół.

- Znowu próbujesz się wymigać od przyjmowania lekarstw? - zapytał. - Żeby było

jasne, nie pozwolę na to. Ulysse chce, żebyś to jadła, a jeśli on czegoś chce, ja to wymuszam!

Z trudem powstrzymał się przed solennym kiwnięciem głową w stronę przybitego do ściany psiego pyska.

- Mój ojciec jest potworem - wyszeptała Beth. - Któregoś dnia wbrew własnej woli podpalisz swoje ciało.

Hicks zapomniał o głowach i zmarszczył niespokojnie brwi. Początkowo wyśmiewał twierdzenia dziewczyny, że Ulysse Segundo jest jej ojcem, ponieważ zwykła też utrzymywać, że jej ojciec ma tylko jedną rękę, podczas gdy Ulysse niewątpliwie miał dwie. Jednakże podczas jednej z wizyt pirata Hicks przyjrzał się uważniej jego prawej ręce i spostrzegł, że choć była żywym ciałem, wyglądała na dziwnie różową i gładką- przypominała rękę dziecka, bez jednej, choćby najmniejszej blizny.

- Cóż - rzucił szorstko - do Bożego Narodzenia pozostał niecały tydzień. A to oznacza, że już wkrótce się ciebie pozbędę.

Dziewczyna odrzuciła pościel, opuściła nogi na podłogę i spróbowała wstać, lecz jej kolana były zbyt miękkie, opadła więc z powrotem na łóżko, dysząc.

- Niech cię diabli, ciebie i mojego ojca - wystękała. - Dlaczego nie dacie mi jeść?

- A do czego służą warzywa, które zostawiasz na podłodze, żeby potykali się o nie niewinni ludzie? - zapytał stanowczym tonem Hicks. Schylił się, by podnieść listek zieleniny, i zamachał nim wściekle przed twarzą Beth.

- Chciałabym zobaczyć, jak ty to jesz - powiedziała.

Hicks spojrzał z powątpiewaniem na kawałek rośliny, po czym odrzucił go i parsknął, jakby chciał dać dziewczynie do zrozumienia, że nie ma czasu na dziecinne igraszki.

- Chciałabym zobaczyć, jak choćby oblizujesz palce - naciskała Beth.

- Niczego... niczego nie muszę ci udowadniać - odparł.

- Co się stanie w sobotę? Wspominałeś kiedyś o jakiejś „procedurze”.

Hicks cieszył się, że zasłony są zaciągnięte, bo czuł, że czerwieni się po czubki uszu.

- Powinnaś przyjmować te przekłete lekarstwa! - warknął. - Powinnaś być... - senna, dokończył w myślach. Otumaniona. A z pewnością nie w pełni przytomna, z pewnością nie powinnaś zadawać tych niezręcznych pytań! - Poza tym twój oj... to znaczy kapitan Segundo dotrze tutaj na czas, dzięki czemu nie będę musiał... Chodzi mi o to, że powinnaś załatwiać te sprawy z nim, a nie ze mną!

Kiwnął zdecydowanie głową i obrócił się na pięcie, by wymaszerować z pokoju, lecz cały efekt popsuł pisk, który wyrwał się z jego gardła, gdy podskoczył na widok czarnej

pielęgniarki. Kobieta musiała wejść bezszelestnie do pokoju i stanąć tuż za jego plecami, kiedy nie patrzył w stronę drzwi.

Beth Hurwood śmiała się głośno, a pielęgniarka jak zwykle patrzyła przed siebie przeraźliwie pustym wzrokiem. Hicks postanowił uciec - gdy mijał w pośpiechu kobietę, zastanawiał się, dlaczego jej sukienka była zaszyta, a nie zwyczajnie zapięta na guziki, dlaczego, skoro w wolnym czasie doskonaliła sztukę cerowania, nie zrobiła nic z podziurawionymi kieszeniami i dlaczego zawsze chodziła boso.

Ciekawe też, kontynuował swoje rozważania, gdy już odetchnął z ulgą na schodach i wyciągnął z rękawa chusteczkę, by wytrzeć spocone czoło, ciekawe, dlaczego bali się jej wszyscy czarni. Dlaczego czarny kucharz, który tu z początku pracował, wyskoczył na jej widok z okna na piętrze? Hicks odkrył, że każdy czarnoskóry bez wyjątku wolałby od świtu do zmierzchu znosić chłostę, niż spędzić w jej towarzystwie choćby sekundę, i musiał zatrudnić służących - białych ludzi - a i tak wielu z nich odeszło.

Wrócił na taras, choć czuł, że ze spokoju poranka zostały już tylko marne strzępy. Wylał ciepłą herbatę z filiżanki i napełnił ją czystym koniakiem. Przeklęty Ulysse i jego przekłeta pomoc, myślał. Nie trzeba było opuszczać Haiti ani zmieniać nazwiska.

Popijał alkohol małymi łydkami, przypominając sobie, jak przekonujący był na początku Ulysse Segundo. Dotarł do Port-au-Prince w pierwszym tygodniu sierpnia i natychmiast wziął się za negocjowanie listów kredytowych z najbardziej uznanymi europejskimi bankami. Z towarzyskiego punktu widzenia robił świetne wrażenie: mówił płynnym francuskim, mógł się pochwalić nienagannymi manierami, był dobrze ubrany i posiadał wspaniały okręt - który jednakże cumował z dala od portu, rzekomo z powodu kobiety dochodzącej do zdrowia po gorączce mózgu.

Gdy się poznali, Hicksowi od razu zaimponowały niezaprzeczone bogactwo i niezależność mężczyzny. Kilka dni później jedli razem kolację, a Segundo dyskretnie zaproponował mu udział w kilku nie do końca legalnych, lecz intratnych inwestycjach. Hicks był pod wrażeniem gruntownej wiedzy mężczyzny na temat międzynarodowej sieci tworzącej gospodarkę Nowego Świata. Najwyraźniej żaden akt notarialny, darowizna, transakcja czy oszustwo nie było wystarczająco stare ani dyskretne, by o nim nie słyszał i nie próbował bezlitośnie go wykorzystać. Czasem Hicks odnosił wrażenie, że tylko człowiek, który potrafi czytać w myślach albo rozmawiać z duchami, może aż tyle wiedzieć.

Jakiś czas później, nocą w połowie sierpnia, Ulysse Segundo zapukał do drzwi domu Hicksa, przynosząc złe wieści.

- Bardzo mi przykro, że znalazłeś się w niebezpieczeństwie, przyjacielu - powiedział, gdy Hicks, mrugając sennie, wysłał zbudzonego służącego po brandy.

Mężczyzna, który obecnie przedstawiał się jako Joshua Hicks, był na nogach dopiero od kilku minut - odkąd Segundo zadudnił pięścią w drzwi - i w pierwszej chwili pomyślał, że do jego domu zbliżają się rabusie albo zbiegli niewolnicy.

- W niebezpieczeństwie? - powtórzył, przecierając oczy. - Mam tu dziesięciu wiernych służących i jakiś tuzin naładowanych pistoletów. Dlaczego...

- Nie chodzi mi o fizyczne niebezpieczeństwo dzisiejszego wieczora - przerwał mu Segundo, uśmiechając się. - Chodzi mi o niebezpieczeństwo oskarżenia sądowego.

Dopiero te słowa zdołały dobudzić Hicksa. Chwycił kieliszek brandy, który przyniósł służący, pociągnął łyk i spojrzał nieufnie na Segundo.

- A jak brzmią zarzuty?

- Cóż... - zaczął Segundo. Zaśmiał się i usiadł na jednym z krzeseł w jadalni. - Trudno powiedzieć. Kłopot w tym, że obaj mamy pewnego... współnika w interesach, który, obawiam się, został niedawno pojmany. Ów człowiek chce sobie zaskarbić łaskę władz, opowiadając, dla kogo wykonywał pewne nie całkiem legalne zlecenia. Chodzi przede wszystkim o szmuglowanie i pojedynki, choć jest znany z tego, że wyświadczał różnym karaibskim biznesmenom wiele innych przysług, takich jak porwania, morderstwa i podpalenia. Dziękując rzucił do służącego, który przyniósł mu kieliszek brandy.

Hicks usiadł przy stole naprzeciwko Segundo.

- Kto? - zapytał krótko.

Segundo zerknął nieufnie na ziewającego służącego, po czym pochylił się i szepnął:

- My możemy na niego mówić... Ed Thatch.

Hicks dopił brandy i już chciał poprosić o dolewkę, ale zmienił zdanie. Kazał służącemu zostawić karafkę na stole i wyjść.

- O jakich nielegalnych zleceniach im powiedział? - zapytał, kiedy mężczyzna znikł. Bogiem a prawdą, było ich kilka, poczynając od utopienia ciotki- starej panny, która wiedziała zbyt wiele i mogła mu przeszkodzić w sfabrykowaniu dowodów potwierdzających śmierć jego brata.

- Cóż, cały szkopał w tym, że nie mam pojęcia. Musimy założyć, że o wszystkich, o których pamiętał.

Hicks stęknął i schował twarz w dłoniach, a Segundo sięgnął po karafkę, by uzupełnić zawartość kieliszka.

- Nie rozpaczaj - powiedział do Hicksa. - No, głowa do góry, spójrz na mnie. Ja jestem w to wmieszany nie mniej niż ty, a jednak nie tracę ducha. Z każdej katastrofy jest droga ucieczki. Z każdej prócz tej ostatniej.

Hicks podniósł głowę.

- Co w takim razie mam zrobić?

- To proste: uciekaj z Haiti. Możesz popłynąć na moim okręcie.

- Ale - zaprotestował nieszczęśliwie Hicks - jak mam zabrać ze sobą wszystkie bogactwa, by móc żyć w dostatku? Zresztą i tak po mnie przyjdą.

Ulysse Segundo puścił do niego oko.

- Niekoniecznie. Nie, jeśli wciąż tu będziesz. Wyobraź sobie, że ktoś znajduje w twojej sypialni ciało mężczyzny, który odpowiada ci wzrostem, budową ciała i karnacją, lecz jego twarz jest zupełnie zmasakrowana strzałem z garłacza. Obok leży list pożegnalny, napisany twoim charakterem pisma.

- No tak, ale kto...

- Nie masz przypadkiem na kontraktach paru białych pracowników? Myślisz, że ktoś by zauważył, że jeden z nich znikł?

- Cóż, w zasadzie...

- Jeśli zaś chodzi o pieniądze, mogę cię wykupić nawet w tej chwili: dom, ziemię, wszystko. Przewidziałem podobną okoliczność, poprosiłem więc swojego notariusza, aby sporządził niezbędne akty zrzeczenia się majątku, skrypty dłużne i weksle, datowane wstecznie na ostatnie dwa lata, zgodnie z którymi cały twój dobytek, kawałeczek po kawałeczku, trafiał w ręce grupy dłużników. I nawet gdyby ktoś zatrudnił armię księgowych, potrzeba by długich lat żmudnej pracy, by odkryć, że każdy z tych dłużników, kryjący się za cichymi wspólnikami i anonimowymi firmami holdingowymi, to tak naprawdę ja. - Uśmiechnął się promiennie. - W ten sposób uwiarygodnimy twoje samobójstwo, rozumiesz? Motywem będzie bankructwo. Zakładam, że pewnym ludziom naprawdę jesteś winien pieniądze, a gdy tylko upomną się o część masy spadkowej, nasza sfabrykowana historyjka wyjdzie na jaw.

Tak też uczynili. Hicks podpisał wszystkie dokumenty, a po wyjściu Segundo ruszył do pomieszczeń dla służby, by obudzić mężczyznę, który odpowiadał mu wiekiem i budową ciała. Bez zbędnych wyjaśnień zaprowadził go do swej sypialni i napił winem ze środkiem odurzającym, a gdy tylko ciężkie powieki zdeorientowanego służącego opadły, rozebrał go do naga, wrzucił jego łachy do kominka i ubrał we własną koszulę nocną. Załadował garłacz porządną garścią pierścieni, monet i złotych łańcuchów, a całą resztę złota i biżuterii zapakował

do trzech skrzyń. Niedługo później zjawił się Segundo, prowadząc kilku silnych marynarzy o niezdrowym wyglądzie. Żegnając się z rodzinną posiadłością i przyjmując nazwisko Joshuy Hicksa, Sebastian Chandagnac wystrzelił z garłacza prosto w twarz nieprzytomnego służącego. Siła odrzutu nadwyrężyła mu nadgarstek. Huk i rozmiar zniszczeń były przerażające - strzał zdewastował jedną stronę pokoju i wyrzucił głowę ofiary, roztrzaskaną na milion kawałków, przez zamknięte okno do ogrodu.

Segundo wydawał się jednak rozpromieniony. Gdy odjeżdżali z majątku Sebastiana Chandagnaca w czterokonnym powozie, stwierdził, że czuje w nocnym powietrzu krew zamordowanego służącego.

- Właśnie tego mi trzeba, mój drogi - powiedział i trzasnął biczem. - Zgromadziłem chyba wszystkie niezbędne bogactwa, a teraz brakuje mi już tylko morskiej wody i krwi, naprawdę astronomicznej ilości świeżej, czerwonej krwi.

Jego serdeczny, chłopięcy niemalże śmiech poniósł się między palmy kokosowe i chlebowce po obu stronach drogi zmierzającej ku morzu.

A teraz, siedząc na tarasie posiadłości na Jamajce, Sebastian Chandagnac uśmiechnął się nieszczęśliwie do filiżanki z brandy. Tak, myślał, trzeba było poczekać i sprawdzić to osobiście. Segundo potrzebował całkowicie oddanego sługi - marionetki o nienagannych manierach - do pilnowania dziewczyny na górze. A jeśli nie zdąży wrócić przed Bożym Narodzeniem, będę musiał, jak to ujął, „przeprowadzić procedurę, aby uczynić z niej naczynie gotowe do napełnienia”. Mój Boże, żeby jednak zdążył- i to nie tylko dlatego, że nie mogę znieść myśli o tym rytuale, którego kazał mi się nauczyć. Przecież w Boże Narodzenie urządzam przyjęcie! Nie po to, chcąc ukryć dawną tożsamość, przechodziłem przez swędzący koszmar zapuszczania brody, żeby pojawić się na własnym przyjęciu we krwi, kurzym pierzu i śmierdzący ziemią z rozkopanego grobu.

Sebastian Chandagnac pokręcił smutno głową, wspominając dom i plantację, które zostawił w Port-au-Prince... I po co? Co prawda otrzymywał od jednego z banków Segundo miesięczne uposażenie, ale nigdy nie uzgodnili wartości wszystkiego, co na niego przepisał. Na domiar złego, zaledwie tydzień temu, podczas przypadkowej rozmowy z listonoszem, dowiedział się, że Czarnobrody zginął w połowie listopada, trzy miesiące po feralnej nocnej rozmowie, gdy Segundo wmówił mu, że król piratów został pojmany i próbował pograżyć każdego, kogo pamiętał.

Usłyszał, jak na piętrze zatraskują się drzwi, a mosiężna zasuwa z chrzęstem wskakuje na miejsce. Skoczył na równe nogi, dopił zawartość filiżanki i złapał za karafkę, po czym pognął



do domu z nadzieją, że zdąży zamknąć się w sypialni, nim upiorna pielęgniarzka zejdzie na parter.

## Rozdział dwudziesty piąty

Wysoko w olinowaniu, siedząc okrakiem na rei masztu dziobowego i opierając się o jego drzewce, Jack Shandy opuścił wreszcie lunetę. Przez niemal trzy kwadransy wpatrywał się w fale, delikatne obłoki nad głową i, w największym skupieniu, w skłębioną, ciemną masę chmur o postrzępionych krawędziach, pęczniejącą przed nim na wschodnim horyzoncie. Odwołał się do całej swojej wiedzy na temat pogody, którą pomogli mu zdobyć Hodge, Davies, a także własne doświadczenie, i musiał przyznać - przynajmniej przed sobą - że Venner miał rację. Rzeczywiście, najmądrzej byłoby zawrócić i przepłynąć sześćdziesiąt pięć mil z powrotem do Wielkiego Kajmana, a później ominąć rafę przy kanale Rum Point, wyciągnąć „Jenny” na brzeg i odkorkować butelki. I to natychmiast, bo burza przesuwiała się szybciej, niż wynosiła prędkość slupu w optymalnych warunkach, a wiatr wydawał się słabnąć.

Tylko że dziś, myślał zrozpaczony, jest już dwudziesty trzeci grudnia; pojutrze Hurwood przeprowadzi magiczny rytuał, który wypędzi z ciała Beth duszę. Jeśli do tego czasu nie znajdę Ulysse'a Segundo, jak najwyraźniej lubił siebie nazywać ten stary głupiec, cała wyprawa pójdzie na marne. A jeśli uciekniemy z powrotem na północny zachód i przyczaimy się, by przeczekać burzę, stracimy co najmniej resztę dnia. Tylko czy mogę poprowadzić tych ludzi prosto w objęcia sztormu, który być może wszystkich nas pozabija?

Och, do diabła, sarknął w myślach, rzucając lunetę jednemu z marynarzy i schodząc na pokład. Takie jest prawo kapitana - moje zadanie nie polega na unikaniu ryzykownych sytuacji, ale na tym, by sobie z nimi radzić. A Żałośnie Tłusty z pewnością nie pozwoli, by cokolwiek zatrzymało go w drodze na Jamajkę, nawet sztorm...

Zeskoczył na pokład i uśmiechnął się raźnie do Skanka.

- Przebilibyśmy się pod tą chmurką nawet z połową załogi upitą w trupa - rzucił. - Płyniemy dalej na południowy wschód.

- Jezu Chryste, Jack... - zaczął pospiesznie Skank, ale Venner wszedł mu w słowo.

- Po co? - zapytał stanowczym tonem. Wskazał na rufę potężną piegowatą ręką. - Wielki Kajman znajduje się w odległości kilku godzin drogi! A jeśli nawet wiatr ustanie, na co się właśnie zanosi, zabierze nas tam przeklęty prąd.

Shandy odwrócił się powoli do Vennera.

- Nie dopłyniemy tam przed burzą, złapie nas tak czy inaczej, a lepiej stawić jej czoło dziobem niż rufą. - Venner zgarbił się, napinając mięśnie szerokich ramion, lecz Shandy zmusił się do śmiechu. - A poza tym, człowieku, pamiętaj, że Segundo jest już niedaleko! Poławiacze żółwi twierdzili wczoraj, że widzieli jego okręt tego samego ranka. A nie dość, że ma na nim łupy z jakiegoś tuzina ograbionych statków, to na dodatek niemal na pewno jest to przemianowany „Carmichael”. „Carmichael” to nasz okręt - pełnowymiarowa jednostka zdolna do żeglugi na pełnym morzu, która już wkrótce będzie nam potrzebna. Łajby takie jak „Jenny” nadają się do pływania po sadzawkach, a nie do dalekich podróży na Madagaskar czy Ocean Indyjski. Dzisiejsze czasy są wymagające. Przypomnij sobie, co stało się z Thatchem, kiedy przesiadł się na slup.

- Ten Ulysse ma twoją kobietę - niemalże splunął Venner - więc nie próbuj nam wmawiać, że ścigasz go z innych powodów. Może dla ciebie ta dziewczyna jest warta więcej niż twoja skóra, ale dla mnie nie znaczy nic i nie będę dla niej nadstawiać karku. - Zwrócił się do pozostałych piratów. - Zastanówcie się, chłopcy. Dlaczego koniecznie musimy dogonić tego Ulysse'a czy Hurwooda dziś? Dlaczego nie w przyszłym tygodniu?

Shandy w ciągu ostatnich kilku dni bardzo niewiele spał.

- Musimy dogonić go dziś, bo tak powiedziałem - odwarknął nieco zbyt gwałtownie. - I co ty na to?

Obok Shandy'ego stanął Żałośnie Tłusty, a jego ogromny cień przysłonił Vennera.

- Płyniemy na Jamajku - rzucił.

Przez kilka długich sekund, podczas których kłęby burzowych chmur na horyzoncie wciąż puchły, a Kajmany coraz bardziej się oddalały, Venner stał w bezruchu, spoglądając to na Jacka, to na Żałośnie Tłustego, to znów na towarzyszy. Zastanawia się, czy zdoła sprowokować załogę do buntu, pomyślał Shandy.

Choć sam starał się wyglądać na pewnego siebie, dręczyło go to samo pytanie. Przez miesiąc od chwili przejścia przez Hurwooda „Carmichaela” sprawdził się jako kapitan „Jenny”, a poza tym po ucieczce z okrętu wojennego marynarki wciąż patrzono na niego z pewnym podziwem, mimo że historie krążące o jego udziale w zwycięstwie były dość przesadzone. Na jego korzyść działał również fakt, że miał wsparcie bokora Daviesa, nawet jeśli czarnoskóry mężczyzna ostatnimi czasy mówił wyłącznie o swej rychłej i nieuniknionej śmierci. Tak czy inaczej Shandy mógł jednak tylko zgadywać - co niewątpliwie robił w tej chwili także Venner - jak bardzo trzy miesiące zapijania smutków na wyspie New Providence nadważyły jego pozycję.

- Shandy wie, co robi - zaburczał w końcu jeden z marynarzy, bezzębny stary nieszczęśnik.

Skank kiwnął z przekonaniem głową.

- Zgadza się - powiedział. - Nie zdążymy na Kajmany przed sztormem.

Shandy podziękował mu w duchu, ponieważ doskonale wiedział, że Skank nie mówił tego szczerze.

Venner zgarbił się. Na jego twarz znów wypłynął uśmiech, który z dnia na dzień coraz mniej przypominał zmarszczki rozbawienia, a coraz bardziej fałdy wymiętej koszuli.

- No jasne, pewnie, że wie - odparł zachrypniętym głosem. - Chciałem się tylko... upewnić, że wszyscy jesteśmy co do tego zgodni.

Odwrócił się na pięcie i odepchnąwszy kilku mężczyzn, przeszedł na rufę. Shandy rozkazał ściągnąć kliwer i zrefować grot.

Chwilę później słup rozcinał fale przy minimalnym ożaglowaniu, a Shandy mrużył oczy, spoglądając na skłębione chmury, które rzucały na nich cień. Skank klepnął go w ramię i skinął głową, by zeszli na bok.

- O co chodzi? - zapytał Shandy ze ściśniętym ze zdenerwowania gardłem.

- Venner nie jest zbyt zadowolony - wyjaśnił Skank szeptem. - Miej oczy z tyłu głowy. Zrobi to jeszcze dzisiaj, pewnie ciosem w plecy.

- Och, rozumiem. Dzięki. Będę go mieć na oku.

Shandy chciał się odwrócić, lecz Skank zastąpił mu drogę.

- Nie wiem, czy słyszałeś... - zaczął rozgorączkowany. - Chyba nie, ale powinieneś wiedzieć, że Davies zginął przez Vennera.

Zniecierpliwienie Shandy'ego natychmiast wyparowało.

- Mów - rzucił. Ciężkie krople deszczu zaczynały rozcinać stojące powietrze, dudniąc o pokład i tworząc na żaglach długie ciemne zacieki. Deszcz przed wiatrem, pomyślał Shandy, przypominając sobie dawną przestrożę Hodge'a. - Luzujcie szoty! - zawołał i popatrzył na Skanka. - No mów.

- Cóż - odparł pośpiesznie Skank, spoglądając z przestachem na granatowe niebo. - Ten martwy marynarz, który go zabił, chwilę wcześniej chciał zabić ciebie. Biegłeś do dziewczyny, która wisiała w powietrzu, i nie zauważyłeś, że ten umarlak już na ciebie czeka. Więc Phil rzucił się na niego, żeby go ubić i uratować ci zadek. Żaden kłopot, tylko że Venner zauważył, co się święci, i chciał go zablokować - bardzo mu było nie w smak, że to ty otrzymałeś pozycję kwatermistrza.

Deszcz padał jednostajnym rytmem, ale wiatru wciąż nie było.

- Zrefujcie szot jeszcze trochę! - krzyknął Shandy niepewnie. - Nie, opuście całkiem gafel. Zmierzymy się z nim z nagimi masztami. Bądźcie gotowi postawić „Jenny” w dryf!

- Kiedy Venner wyrznął w niego barkiem, Davies potknął się - ciągnął Skank - dzięki czemu wyprzedziłeś go o dwa kroki, ale mimo to zdołał ustać na nogach. Tylko że stracił przewagę i nie mógł uderzyć tego umarlaka tak, by go na miejscu ubić. Co prawda drugim ciosem odciął mu głowę, ale zanim to zrobił, sam dostał kordelasem w bebechy.

Raptem uderzył w nich wiatr i choć „Jenny” płynęła na nagich masztach, przechyliła się ostro, wytracając pęd, a ludzie musieli łapać za relingi i olinowanie, by nie wypaść przez nadburcia. Grot położył się niemal do poziomu.

Zaraz za wiatrem przyszły wysokie fale. Skank chwiejnym krokiem dostał się na rufę, by pomóc sternikowi przechylić ster we wzburzonym morzu i ustawić dziób bezpośrednio na wiatr. Powoli, mimo oporu, grot wrócił do pionu.

Niewielki słup zachwiał się na grzbiecie spienionego grzywacza i runął w dół, w głęboką dolinę fali. Uwolniona płetwa sterowa zakołysała się na wietrze, lecz po chwili długi bukszpryt wbił się w kolejne strome zbocze fali. Shandy wstrzymał oddech, przekonany, że bukszpryt pęknie albo dziób, a za nim cały kadłub wejdą pod wodę i już się nie pokażą. Na szczęście po ośmiu błyskawicznych uderzeniach serca słup wynurzył się z nietkniętym bukszprytem, wyrzucając w powietrze masy wody niczym człowiek roztrzaskający sforę psów, która prawie go powaliła.

Shandy odetchnął. Ktokolwiek zbudował „Jenny”, znał się na swym fachu. Rozkazał ustawić okręt do wiatru, a gdy wspięli się na grzbiet kolejnej fali, podmuch uderzył w nich od ćwiartki dziobowej sterburty. Zrefowali grot wystarczająco, by „Jenny” opadała na ten sam hals, nie posuwając się naprzód. W zasadzie mogli w ten sposób przetrwać burzę.

Shandy zaczął się wspinać, a zaraz potem zsuwać na rufę, do marynarza walczącego z rumplem. Nie było już czego rozkazywać - zresztą wiatr porwałby jego słowa, zanim ktokolwiek by je usłyszał, więc oparł się o nadburcie rufy i próbował odgadnąć, ile czasu „Jenny” wytrzyma w takich warunkach, zanim pęknie na pół.

Jakimś sposobem ciepły wiatr wciąż się wzmagał, a rozbryzgi wody przelatywały nad pokładem niczym kartacze, żądłąc marynarzy w twarze i ręce. Shandy obliznął usta i po słonym smaku rozpoznał, że była to morska woda, a nie deszcz. Fale wydawały się wysokie i solidne jak skalne klify. Za każdym razem, gdy ześlizgiwali się ze zbocza jednej z nich po nawietrznej i uderzali w następną, kadłubem „Jenny” wstrząsało tak gwałtownie, że maszt chwiało się groźnie

nad ich głowami. Kolejny rozbryzg atakował ich zza pleców. Spieniona masa wody wirowała wokół ud Shandy'ego, szarpiąc nim jeszcze mocniej.

Mrużył oczy przed smagnięciami wiatru, upewniając się, że za mocno nie ostrzą ani nie pozwalają mu się obejść i uderzyć od burty. Przez kilka minut nie mógł się nadziwić, jak idealnym kursem płynęli, ale w końcu dostrzegł parę buchającą z łączenia mocującego rumpel do głowicy steru. Gdy przyjrzał mu się dokładniej, zauważył, że żelazne elementy jarzą się na bladoczerwono. Przetarł rękawem twarz i mrużąc powieki przed klującymi kroplami wody, zerknął na Żałośnię Tłustego, który stał po przeciwnej stronie rumpla. Wielki bokor z zamkniętymi oczyma przygryzał kostki dłoni. Pomimo deszczu i morskiej wody omywających rękę czarownika, Shandy widział krew ściekającą po jego skórze i zorientował się, że postępow „Jenny” nie zawdzięczali wyłącznie umiejętnościom sternika.

Mimo to każda fala wydawała się wyższa od poprzedniej. Kiedy niewielki okręt z wysiłkiem wspiął się na grzbiet kolejnej, Shandy rozejrzał się, mrugając. Odniosł wrażenie, że „Jenny” jest tak naprawdę przyczepiona do połyskującej płachty materiału, którą ktoś przeciągał przez Alpy. Przerażony zawrotem wiatru, musiał sobie nieustannie przypominać, że nie kryje się za nim żaden rozumny gniew.

Zsunęli się po nawietrznym zboczu fali i zanurzyli w następną. Dziób starego słupa podskoczył, wyrzucając w obie strony masy spienionej wody, a kiedy „Jenny” wspięła się po zawietrznej, Shandy poczuł, jak gwałtownie nią szarpnęło. Żelazna szpona gafła opadła na wysokość jego głowy, lśniąc pomarańczowym blaskiem.

Znów byli na szczycie fali i wiatr uderzył w nich z pełną mocą. Z hukiem przypominającym strzał z pistoletu szpona pękła, a gafel zamienił się w harpun o rozpalonym grocie, przysnurowany do wielkiej, trzepoczącej flagi. Uderzywszy w pokład pod bomem grotmasztu, odbił się, zakręcił na strzępach rozerwanego żagla niczym rozszalała igła kompasu i pomknął na rufę. Słupem zatrzęsło, kiedy potężne drzewce gruchnęło o nadburcie rufy.

Shandy uchylił się na sekundę przed tym, jak rozszalały gafel przefrunął nad pokładem. Podniósł głowę, obawiając się, że drewniane drzewce zabiło sternika albo, co gorsza, roztrzaskało rumpel, ale mężczyzna stał o własnych siłach, wsparty o nietknięty drążek sterowy. Dopiero gdy Shandy zgarbił się z ulgą, spostrzegł, że drzewce zakończone żelaznym grotem trafiło Żałośnię Tłustego prosto w masywny tors i przybiło w pozycji stojącej do nadburcia.

- Chryste! - zawył przez zdrętwiałe od słonej wody usta. Czy przeżyją bez bokora?

Nie był tego pewien, ale odepchnął się od relingu, złapał za bom grota i podciągnął w stronę masztu, przechodząc obok szotowego żagla do drzewca, przy którym trzepotało

rozerwane płótno. Ktoś był tam razem z nim, stał po drugiej stronie rozhuśtanego bomu Skank, krzywiący się z wysiłku, z nożem i kawałkiem liny. Kiedy słup zanurkował w dolinę fali, wspólnie zdołali zrobić kilka dziur w górnej części żagla. Przytrzymali się masztu, bo „Jenny” uderzyła w czoło kolejnej spiętrzonej masy wody, która przelała się przez pokład. Shandy przewiół linię przez otwory i gdy okręt wznosił się na grzbiet fali, rzucił końcówką wysoko w stronę dziobu. Wiatr cisnął linią na drugą stronę masztu, a Skank złapał ją i ześlizgnął się do relingu bakburty. Zanim uderzył w nich podmuch szkwału, zdążył związać na kołku dwie pętle.

Kilka jardów kwadratowych uniesionego płótna złapało wystarczająco dużo wiatru, by zepchnąć rufę na właściwą pozycję, ale Shandy zdawał sobie sprawę, że długo tak nie wytrzymają. Na pokład wygramoliło się jednak kilku marynarzy i Shandy przypadł do relingu, pozwalając im zająć swoje miejsce. Czuł, jak nieustanne napięcie - albo nieświeże śniadanie - skręca mu kiszki, i miał nadzieję, że przez chwilę nie będzie musiał wykonywać żadnych skomplikowanych czynności.

W jednej chwili zdał sobie sprawę, że coś ciągnie go za kurtkę. Spojrzał w dół i natychmiast odskoczył od relingu, ponieważ spostrzegł, że przywarły do niego - Bóg raczył wiedzieć, w jaki sposób - dwa szare węgorze o pękatych głowach. Dopiero gdy złapał za jednego z nich, by go oderwać, zorientował się, że w rzeczywistości były to dwie nadgniłe ludzkie ręce oderwane przy łokciach, których palce zaciskały się kurczowo na materiale kurtki.

Część jego umysłu ogarnęło przerażenie, ale po początkowym szoku dotarło do niego, że tę samą kurtkę miał na sobie w dniu, kiedy Hurwood odebrał Friendowi „Carmichaela”. Przypomniał sobie, jak jeden z nieumarłych marynarzy z załogi Frienda złapał go, wypadając za burtę, po czym runął do morza tylko dlatego, że jego ręce oderwały się w łokciach. Niedługo później znikły, lecz najwyraźniej od tamtej chwili były do Shandy'ego przyczepione w niewidzialny, widmowy sposób, jak pajęczyny na suficie widoczne tylko przy odpowiednim świetle.

Zgiął się wpół i chwycił za reling, cierpiąc coraz bardziej, ale zmusił się do zachowania przytomności umysłu. Jaki rodzaj światła ujawniał te potworne widoki? Niewątpliwie wroga magia, myślał, nieobciążona wpływem ziemi. Gdyby nie wiatr, już dawno rozpoznałbyś ją po woni rozgrzanej stali. A zatem ten ból brzucha otrzymałeś od kogoś w prezencie...

Targnął nim spieniony bałwan, gdy „Jenny” uderzyła w kolejną falę, ale wyprostował się, zwalczając pragnienie, by zwinąć się na pokładzie w kłębek. Na czoło wystąpił mu zimny pot, przez co rozbryzgi wody wydawały się jeszcze cieplejsze. Złapał za ramię stojącego obok

marynarza i przyciągnął go na tyle blisko, by usłyszał jego krzyk:

- Gdzie jest... - zaryczał - ...Venner?!

Mężczyzna wybałuszył oczy, gapiąc się na szare ręce zwisające z kurtki kapitana, ale wskazał palcem przed siebie i w dół.

Shandy kiwnął głową. Ruszył w stronę luku, przy każdym kroku cierpiąc niewyobrażalne katusze. Łapał się wszystkiego, co wpadło mu w ręce, ale nagły podmuch wiatru zwałił go z nóg, kiedy słup wspiął się na grzbiet fali. Ostatnie kilka jardów pokonał na brzuchu, rozstawiając kończyny szeroko jak owad. Z ogromnym wysiłkiem, jakby miał naderwać wszystkie mięśnie brzucha, uniósł pokrywę luku i zsunął się w dół, na poły schodząc, a na poły spadając do niskiej ładowni.

Było ciemno, ale wiedział, gdzie znajduje się stojak z bronią. Pozwolił, by kolejna fala cisnęła nim w jego stronę, po czym złapał za rękojeść i wyszarpnął miecz. Choć był lżejszy od kordelasa, na długość wydawał się odpowiedni. Ułożył wygodnie dłoń na uchwycie. Zauważył na dziobie przytłumiony czerwony blask i ruszył w jego stronę, wymachując przyczepionymi do kurtki, koszmarnymi ozdobami.

Venner klęczał przy niewielkim piecyku, mamrocząc pod nosem i posypując rozżarzone węgle jakimiś strzępkami.

Shandy uniósł miecz i rzucił się naprzód, zaciskając z bólu zęby, ale w tej samej chwili „Jenny” pochyliła się na grzbiecie fali i jego atak przybrał postać niekontrolowanego salta. Uderzył ciężko w krępa postać Vennera i obaj wpadli w głęboką kałużę przelewającą się przy grodzi dziobowej. Nawet przez głośnie sapanie, postękiwanie przeciążonego drewna i niskie wycie wiatru Shandy usłyszał, jak piecyk zasyczał, wpadając do wody. I chociaż leżał niemalże do góry nogami, wciśnięty w ciasny kąt między przechylonym pokładem a grodzią, z łokciem Vennera wbijającym mu się w plecy, poczuł, jak skurcz wnętrzości ustępuje, a ból słabnie. Oderwane ręce martwego marynarza znikły.

Dziób uderzył w dolinę fali i przez kilka sekund obaj mężczyźni jeszcze mocniej napierali na gródź. Woda przeciskała się przez szpary między klepkami poszycia, jakby morze chciało opluć Shandy'ego spomiędzy drewnianych zębów. Poczuł, jak wciąż gorący piecyk przeturlał się nad nim, a „Jenny” szarpnęła w górę, wspinając się po zboczu kolejnej fali.

Shandy i Venner zaczęli się zsuwać w stronę rufy, a wraz z nimi mnóstwo słonej wody. Shandy próbował wycelować bronią w Vennera i dwa razy czuł, jak koniec ostrza naciska na coś poddającego się łatwiej niż drewno okrętu. Próbował pchnąć, ale ześlizgując się na brzuchu po mokrym pokładzie, nie mógł znaleźć oparcia. Szare światło wpadające do ładowni przez



otwarty luk na chwilę wyłowiło z mroku sylwetkę jego przeciwnika, lecz zaraz potem Venner podniósł się na nogi i wspiął po drabince na pokład.

Shandy ruszył za nim, trzymając broń - zapasowy rapier Daviesa, jak się okazało - nad głową, by zasłonić się przed ewentualnymi ciosami. Gdy jednak wyszedł na pokład, zobaczył, że Venner odbiegł na dziób i stał teraz w odległości dziesięciu jardów, celując do Shandy'ego z pistoletu, który wyrwał jednemu z marynarzy.

Shandy stłumił impuls, by zeskoczyć do ładowni. Był kapitanem „Jenny” i nawet w samym środku burzy morskiej jego ludzie z uwagą obserwowali tę potyczkę. Zresztą strzał z trzydziestu stóp w rześystym deszczu i na mokrym, rozbujanym pokładzie miał niewielkie szanse trafić w cel, a woda mogła się dostać pod osłonę panewki. Mimo to Shandy ustawił się do Vennera bokiem, prawym ramieniem w jego stronę. Uniósł rapier w salucie szermierza, zarówno po to, by zademonstrować swój spokój, jak i w nadziei, że kula, jeśli mimo wszystko Venner pośle ją celnie, uderzy w ostrze albo w gardę.

Proch nie przemókł na deszczu. W chwili gdy lufa pistoletu rozbłysła, Shandy poczuł, jak gorąca kula otarła się o jego skórę nad splotem słonecznym. Zatoczył się od siły uderzenia, lecz nie upadł ani nie upuścił rapiera, a gdy po sekundzie czy dwóch odzyskał trzeźwość umysłu, skłonił się na chwiejnym pokładzie tak kurtuazyjnie, jak tylko potrafił. Musiał w tym celu złapać wolną ręką za wyblinkę i szerzej rozstawić nogi, niż to było przyjęte, ale w końcu mógł ruszyć na Vennera.

Sternik, rozkojarzony wydarzeniami na pokładzie, nie ustawił słupu prostopadle do nadchodzącej fali i „Jenny” przyjęła ją na dziób od strony bakburty. Przechyliła się ciężko, gdy potężne ilości zielonej wody zmyły pokład, rozbijając się z hukiem o maszt i wyrzucając za burtę co najmniej jednego marynarza.

Słup stanął w poprzek fali. Bardziej przerażony tym faktem niż pojedynkiem z Vennerem, Shandy powlókł się na rufę. Musiał odrzucić rapier, by móc chwycić się olinowania i nie stracić równowagi. Skank i drugi marynarz stojący przy bomie grota zdołali podnieść żagiel o kilka dodatkowych stóp i przewlec przez niego linę, a inny mężczyzna wdrapywał się na rozchwiany maszt z końcówką liny w zębach. Najwyraźniej chciał ją przerzucić nad wąską reją, by marynarze na dole mogli użyć jej jak fału. Tylko tyle mogli zrobić, a Shandy doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie wystarczy.

Venner zmierzał na rufę. Szedł powoli i ostrożnie, nie chcąc pozbywać się kordelasa.

Shandy spojrzął na sternika, który wychylił rumpel na bakburtę. Wiedział, że powinien pomóc mężczyźnie go trzymać, gdy na grzbiecie fali uderzy w nich pełny wiatr, ale wtedy jego

wzrok przykuł Żałośnie Tłusty.

Odepchnąwszy się od nadburcia, wielki bokor stanął na pokładzie i złapał za gafel, który przebił jego pierś. Na oczach Shandy'ego zgiął drewniane drzewce. Wiatr zagłuszył wszystkie odgłosy, lecz spomiędzy czarnych rąk wystrzeliły drzazgi. Shandy zakładał, że Żałośnie Tłusty pomaga sobie magią, ale bokor musiał się odwrócić, gdy wygiął drzewce jeszcze mocniej, a wtedy Shandy poczuł, jak przechodzą go ciarki. Zakrwawiona żelazna szpona wystawała na jakiś cal z szerokich pleców bokora i choć wciąż dymiła, czerwony poblask zgasł- Żałośnie Tłusty łamał gafel wyłącznie za pomocą brutalnej, fizycznej siły.

W końcu drzewce pękło, a bokor padł na kolana. Shandy rzucił mu się na pomoc, ale on podniósł drewnianą belkę jedną ręką i wyciągnął w stronę Shandy'ego- co samo w sobie stanowiło nie lada wyczyn, ponieważ nawet połamane, mierzyło dobrych sześć stóp i było owinięte linami oraz przemoczoną fragmentem żagla.

- Kotwica! - krzyknął Żałośnie Tłusty. - Do woda, za prawą burtę!

Shandy w jednej chwili zrozumiał i chwycił gafel - musiał użyć obu rąk, a i tak zaciskał z wysiłku zęby. Odwrócił się i przepchnął niewygodny ciężar ponad relingiem do wody.

W tej samej chwili „Jenny” zachwiała się na grzbiecie fali. Wiatr uderzył w bakburtę i słup ostro się przechylił, a zaraz potem pomknął w dół po nawietrznej. Sternik wyteżał wszystkie siły, zapierając się o rumpel. Shandy w pośpiechu odwiązał fał grota i pozwolił mu się rozwinąć nad relingiem, by zaimprovizowana dryfkotwa nie okazała się za krótka.

„Jenny” wpadła w dolinę fali i rozszalałe morze znów przetoczyło się nad pokładem. Shandy przywarł pod wodą do relingu, przerażony, że się przewrócili, a słup za chwilę zatonie, lecz już po chwili poczuł na zgarbionych ramionach napór. Począł, aż wynurzą się jego głowa i ręce, a gdy woda wciąż wirowała mu wokół kolan, zabezpieczył fał, który rozwinął się niemal do samego końca.

Połamany gafel znajdował się gdzieś za poprzednią falą. Gdy uniosła ich następna, Shandy poczuł szarpnięcie - stary słup wyprostował się i zaczął odpowiadać na pracę żagla i steru. Dziób ostrzył do wiatru.

Shandy opuszkami palców uważnie kontrolował ruchy pokładu, a kiedy usłyszał nieopodal zgrzytnięcie, spojrzął w górę. Natychmiast padł płasko na deski. Kordelas Vennera roztrzaskał reling zamiast jego głowy.

Wykorzystując to, że Venner szarpał za zaklinowane ostrze, Shandy odtoczył się na bok. Skank przerwał pracę przy grocie i rzucił mu rapier Daviesa.

Słup chwiał się jednak mocno, a Jackowi wpadały do oczu krople deszczu i morskiej

wody. Nie złapał broni, która upadła z brzękiem i zsunęła się po mokrym pokładzie. Jednocześnie usłyszał trzaśnięcie uwalnianego kordelasa i zbliżające się kroki.

Rzucił się w stronę rapiera w tej samej chwili, w której dziób „Jenny” uderzył w falę. Zacisnął powieki i przywarł do nadburcia, a gdy woda przewaliła się nad nim, gorączkowo potrząsnął głową i zamrugał. Światła było niewiele, ale widział, jak rapier kołysze się na fali. Przypadł do niego, bardziej czołgając się, niż płynąc, i złapał za rękojeść.

Venner zaatakował, gdy Shandy próbował wstać, lecz pokład zachwiał się gwałtownie i pozbawił go równowagi, przez co ramienia Jacka dosięgła tępa strona klingi.

Cios powalił go na klęczki. Venner także upadł i Shandy skorzystał z okazji, by pchnąć rapierem w jedyną dostępną część ciała przeciwnika - kolano - zanim z wysiłkiem jeszcze raz podniósł się na nogi.

Venner już stał.

Shandy uświadomił sobie, że może go nie pokonać, że w finale tego przeciągającego się pojedynku przekłety kordelas Vennera rozplata mu czaszkę albo rozpruje brzuch. Był jednak zbyt zmęczony, by konsekwencją tej tragicznej myśli mogło być coś innego niż przytłaczające zniechęcenie. Oparł się ciężko o nadburcie i poprawił chwyt na śliskiej rękojeści rapiera.

Venner zamachnął się w stronę jego głowy, a Shandy uniósł zdrętwiałą ręką rapier, aby sparować cios. Zdołał jedynie odwrócić cięższe ostrze, dzięki czemu znów uderzył go tyłec kordelasa - tym razem prosto w bok czaszki. Ugięły się pod nim kolana. Gorący, przyprawiający o mdłości ból zadzwonił mu w uszach.

Próbował wstać, ale Venner pchnął kordelas. Shandy pozwolił, by jego ciało zsunęło się jeszcze kilka cali, i w ostatniej chwili szarpnął się w bok, umykając przed ostrzem. Drasnęło mu żebra i zahaczyło o luźną połę kurtki, przybijając ją do grodzi i powstrzymując jego upadek. Choć spóźnił się z obroną, ostrze rapiera znalazło się mniej więcej na linii uderzenia. Dźwignął się na nogi niezdarne i hałaśliwie jak marionetka w rękach niedbałego lalkarza.

Runął naprzód, rozdzierając koszulę. Zardzewiałe ostrze przedziurawiło kurtkę przeciwnika i weszło w ciało na jakieś dwa cale - cztery, gdy Shandy złapał równowagę i poprawił pchnięcie.

Venner raptem zbladł. Zatoczył się, a upuszczony kordelas zabrzączał o deski. „Jenny” wspięła się na grzbiet fali i na krótką chwilę mocno przechyliła w tył. Wszyscy oprócz dwóch szermierzy łapali za co popadło albo próbowali kontrolować upadek, ale Shandy znów rzucił się naprzód - w powietrzu, bo pokład uciekł mu spod nóg - i z taką siłą wbił rapier w potężną pierś Vennera, że broń pękła. Obaj pomknęli przez rżęsiasty deszcz w stronę relingu bakburty. Shandy

puścił ułamaną rękojeść i złapał za wantę, ale Venner uderzył o nadburcie i obracając się, wypadł do morza razem z ostrzem broni Daviesa. Zaraz potem dziób opadł, a rufa uniosła się wysoko w powietrze. Jack rozluźnił chwyt i z impetem uderzył o pokład.

## Rozdział dwudziesty szósty

Shandy odzyskiwał przytomność powoli, niechętnie porzucając świat snów, o niebo lepszy od chłodu i bólu domniemanej rzeczywistości - snów pełnych wspomnień, w których podróżował z ojcem i marionetkami, i snów pełnych marzeń, w których odnajdywał Beth Hurwood i wyznawał jej to, co tak długo pragnął wyznać. Na początku sądził, że może wybrać, w którym z tych snów się obudzi, jeśli skoncentruje na nim całą siłę woli, ale mokra, zimna i rozchwiana rzeczywistość narzucała mu się z coraz większym uporem. Gdy w końcu otworzył oczy, leżał na pokładzie „Jenny”.

Zaczął się podnosić, ale niespodziewany atak nudności powalił go z powrotem na deski. Słaby i spocony, jeszcze raz otworzył oczy i ujrzał zaniepokojoną twarz Skanka. Chciał się odezwać, tylko że w żaden sposób nie mógł zapanować nad szczękaniem zębów. Zacisnął kurczowo mięśnie żuchwy i po chwili spróbował ponownie:

- Co się... stało?

- Przydzwoniłeś solidnie o pokład, kiedy zabiłeś Vennera - odparł Skank.

- Gdzie jest Davies?

Młody pirat zmarszczył brwi.

- Davies jest... martwy, kapitanie. Zginął, kiedy Hurwood walczył o „Carmichaela”.

Pamiętasz?

Shandy stwierdził, że chyba rzeczywiście pamięta takie wydarzenie. Znow zaczął się podnosić, ale i tym razem opadł na pokład, drżąc na całym ciele.

- Co się stało?

- Cóż... Przecież sam tam byłeś, kapitanie. Opowiadałem ci dzisiaj. O tym, jak zabił go jeden z umarłaków Hurwooda?

Skank rozejrzał się z nieszczęśliwą miną.

- Nie, nie, pytałem, co się stało przed chwilą.

- Upadłeś na pokład. Przed chwilą ci to powiedziałem.

- Och... - Shandy spróbował podnieść się po raz trzeci i wreszcie zdołał usiąść.

Nudności wróciły ze zdwojoną siłą, lecz po chwili osłabły. - Być może będziesz musiał mi to przypominać. - Dźwignął się na nogi, chwiejąc się i trzęsąc. Złapał za reling, aby nie stracić

równowagi, i rozejrzał się nieprzytomnie. - Wygląda na to, że... sztorm ucichł - zauważył, dumny, że może się pochwalić trzeźwością oceny sytuacji.

- Tak, kapitanie. Kiedy leżałeś bez przytomności. Trzymaliśmy „Jenny” w dryfie, aż w końcu burza nas minęła. Bez twojej dryfkotwy nie dałoby rady.

Shandy przetarł energicznie twarz.

- Bez mojej dryfkotwy... - Postanowił, że nie będzie dopytywać. - Dobrze. Jaki jest kurs?

- Mniej więcej południowo-wschodni.

Shandy przywołał Skanka skinieniem dłoni, a gdy młody pirat nachylił się do niego, zapytał szeptem:

- Dokąd płyniemy?

- Mówiłeś, że na Jamajkę.

- Aha. - Zmarszczył czoło. - A czego tam szukamy?

- Ulysse'a Segundo - wyjaśnił Skank, z każdą sekundą coraz bardziej zaniepokojony. - I jego okrętu, „Wzlatującego Orfeusza”. Mówiłeś, że Segundo to tak naprawdę Hurwood, a „Orfeusz” to „Carmichael”. Dopłynęliśmy za plotkami aż na Kajmany, a tam dowiedziałeś się, że Segundo wraca na Jamajkę. Och, no i Żałośnie Tłusty chciał płynąć na Jamajkę, zanim zginął.

Skank pokręcił smutno głową.

- Żałośnie Tłusty nie żyje?

- Większość z nas tak uważa. Ten gafel wypatroszył go jak kurczaka, a gdy oderwał fragment drzewca i dał go tobie, po prostu padł bez życia na pokład. Znieśliśmy ciało na dół, żeby urządzić mu stosowny pochówek na lądzie, bo żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie wyrzuci bokora za burtę. Szkopuł w tym, że niektórzy ludzie ponoć wyczuwają puls na jego nadgarstku, a Lamont twierdzi, że przez ciche nucenie Tłustego nie może się skupić na pracy, chociaż ja nic nie słyszę.

Shandy próbował się skoncentrować. Teraz, kiedy Skank wspominał o tych wydarzeniach, zaczynał je sobie mgliście przypominać. Miał wrażenie, że towarzyszyło im poczucie rozpaczliwego pośpiechu, ale nie wiedział, co było jego przyczyną. W tej chwili pragnął tylko jednego i zgoła niemożliwego - suchego kąta, by się porządnie wyspać.

- Sztorm - powiedział - był bardzo gwałtowny? Nie mogliśmy się schronić?

- Być może zdołalibyśmy umknąć na Wielki Kajman - odparł Skank. - Venner upierał się, żeby tak właśnie zrobić. Ale kazałeś płynąć dalej.

- Powiedziałem... dlaczego?

- Stwierdziłeś, że burza i tak nas dopadnie, więc równie dobrze możemy gonić „Orfeusza”. Venner miał inne zdanie, według niego chodziło ci wyłącznie o dziewczynę. No wiesz, o córkę Hurwooda.

- Ach! - Shandy zaczynał dostrzegać pewien wzór w splątanych gąszczu wspomnień. - Jaki mamy dziś dzień?

- Nie wiem. Chyba piątek... W niedzielę jest Boże Narodzenie.

- Rozumiem - wycedził Shandy. - Bądź tak dobry i przypominaj mi o tym jak najczęściej. A teraz, skoro morze się uspokoiło, postawcie tyle żagla, ile dacie radę.

\* \* \*

Następnego ranka wysledzili „Wzlatującego Orfeusza”. Tym razem na pokładzie panowała zgoda co do dalszych posunięć. Całą noc spędzili na wylewaniu wody z „Jenny” i choć przeciągnęli nasmołowany żagiel pod przednią częścią kila, a w szczeliny między klepkami powciskali wypełnione ryżem, zrolowane kawałki sukna, z każdą godziną coraz szybciej nabierali wody. Shandy wątpił, czy stary, poobijany słup zdoła w jednym kawałku dopłynąć do najbliższego lądu. Wciągnęli do oporu porwany żagiel i „Jenny” ruszyła chybotliwie przez bezmiar niebieskiej wody w stronę okrętu Segundo.

Shandy przyklęknął na dziobie. Patrzył przez lunetę, mrużąc oczy przed migotliwym blaskiem porannego słońca na falach.

- Też ucierpiał - rzucił do zabiedzonych, drżących marynarzy. - Drzewca są połamane, takielunek fokmasztu porwany... Ale wciąż wygląda solidnie. Zróbmy, co do nas należy, a czekają nas rum, jedzenie i suche ubrania.

Odpowiedział mu gremialny pomruk zadowolenia. Większość jego ludzi spędziła noc w deszczu, pracując przy pompach i z wytęsknieniem czekając każdej przerwy, by zjeść kilka przemoczonych sucharów. Na domiar złego podczas sztormu poluzowała się i rozbiła beczułka z rumem, wypełniając ładownię nęcącą wonią niedostępnego alkoholu.

- Ostało się choć trochę suchego prochu? - zapytał Shandy.

Skank wzruszył ramionami.

- Może.

- Hmm... Cóż, tak czy inaczej nie zależy nam na zatopieniu „Orfeusza”. - Opuścił lunetę. - Zakładając, że maszt nie pęknie, powinno się nam udać przemknąć na południe i odciąć mu drogę. A potem chyba po prostu wędzemy się na pokład.

- Albo się uda, albo wracamy wpław na Jamajkę - przytaknął mu obdarty marynarz o przekrwionych oczach.

- Nie sądzisz, że będzie próbował uciec, kiedy nas zobaczy? - zapytał Skank.

- Być może - odparł Shandy - ale założę się, że „Jenny” dogoni go nawet w tak oplakany stan. Zresztą nie wyglądamy teraz zbyt groźnie. - Przytknął lunetę do oka. - Mniejsza z tym - powiedział po chwili. - Wygląda na to, że to oni płyną do nas.

Na chwilę zapadła cisza.

- Zdaje się, żeśmy stracili paru ludzi w tym sztormie - odważył się w końcu odezwać jeden ze starszych mężczyzn. - Nie pogardzilibyśmy wzmocnieniami.

Skank przygryzł wargę, marszcząc brwi.

- Ostatnio, kiedy się z nim mierzyłeś, podniósł cię i wrzucił do oceanu. Masz powody przypuszczać, że tym razem będzie inaczej?

Shandy zadawał sobie to pytanie od chwili, gdy wypłynęli z New Providence. „Krew-powiedział gubernator Sawney. - Niech atomy krwi i żelaza przenikną się nawzajem i ukierunkują, tak jak igła magnesu zawsze kieruje się na północ. Albo odwrotnie, wszystko jest względne...”

Shandy uśmiechnął się, pomimo wysiłku odrobinę krzywo.

- Mam, i lepiej dla nas wszystkich, żebyś się nie mylił. Będę przy naktuzie. Niech ktoś przyniesie mi szablę... A oprócz tego młotek i wąskie dłuto.

„Orfeusz” płynął z wiatrem na zachód, w kierunku „Jenny”. Słońce stało na niebie dokładnie za jego rufą, rzucając cienie masztów i olinowania na lśniące białe żagle. Shandy nie spuszczał z niego oka, pracując młotkiem i dłutem nad rękojeścią szabli, którą przyniósł mu Skank. Od okrętu Segundo wciąż dzieliło ich jakieś sto jardów, gdy Shandy wyprostował się, trzymając broń za ostrze.

Zdarł z rękojeści skórzaną owijkę i odłupał część drewnianego uchwytu, odsłaniając żelazny trzon, który łączył ostrze z głowicą. W miejscu, gdzie opierało się zagłębienie dłoni szermierza, wybił dłutem w metalu niewielką szczelinę.

Wstał i nachylił się nad naktuzem, spoglądając na wskaźniki przez szybkę.

- Jeśli los obróci się dziś przeciwko nam - powiedział do Skanka, który obserwował go od kilku minut ze skonsternowaną miną - uciekajcie na wschód. W tym stanie „Carmichael” jest równie zdolny do halsowania, co do lotu.

- Lepiej, żeby los nam sprzyjał.

Shandy uśmiechnął się, choć jakimś sposobem tylko go to postarzyło.



- Jasne. - Uniósł młotek i uderzył z rozmachem w szybkę naktuza, po czym włożył rękę między odłamki szkła. Zakrwawionymi palcami wyciągnął igłę kompasu. - Zaopatrzyć chłopców w haki i liny. Przy odrobinie szczęścia zaczniemy abordaż, zanim się zorientują, że mamy wrogie zamiary.

Skank jęknął cicho, ale kiwnął głową i pospieszył wykonać rozkaz.

Shandy ostrożnie wcisnął igłę - wskaźnikiem bieguna północnego - do szczeliny, którą zrobił w rękojeści szabli. Przyklęknął i podniósł młotek, by umocować ją solidnie pojedynczym uderzeniem.

Wsunął przerobioną szablę za pas i przez dobrą minutę oddychał głęboko z zamkniętymi oczyma. W końcu „Wzlatujący Orfeusz” zaparł się gwałtownie o bakburtę słupu, rzucając na „Jenny” swój cień. Shandy złapał za hak, zakręcił nim kilka razy w pionie i puścił, pozwalając, by wleciał nad reling większego okrętu. Słońce zamigotało na metalowych zębach, po czym hak spadł na pokład i zaklinował się na relingu.

Tym razem to z pewnością będzie ostatni atak starej „Jenny” na „Carmichaela”, myślał Shandy, wspinając się po linie.

Z wysiłku zaczął krwawić z nosa, a głowa rozbolała go tak bardzo, jakby miała zaraz pęknąć. Gdy wreszcie złapał za reling i na chwilę się zatrzymał, by odsapnąć, nie potrafił sobie przypomnieć, co tutaj właściwie robi. Wydawało się, że minął jakiś czas... Nie miał wątpliwości, że wspiał się na „Halaśliwego Carmichaela”, lecz większość orelingowania znikła, podobnie jak nadbudówka dziobowa. Czyżby jeszcze nie dotarli na Jamajkę? Gdzie był kapitan Chaworth? I ta chorowita dziewczyna z grubym lekarzem?

Uspokoił się odrobinę, gdy rozpoznał jej ojca, który schodził po drabince z pokładu rufówki. Jak on się nazywał? Hurwood, właśnie tak - ale skąd się wzięła u niego druga ręka? Shandy zmarszczył brwi. Doskonale pamiętał, że mężczyzna miał tylko jedną.

Rozkojarzyła go walka na pokładzie. Gdy zmrużył oczy - jaskrawy blask słońca utrudniał mu skupienie wzroku - doszedł do wniosku, że chyba rzeczywiście postradał zmysły. Wychudzeni mężczyźni w podartych strojach wspinali się po rufie i walczyli z niewiarygodnie ruchliwymi zwłokami, których uschnięte ręce nie powinny móc utrzymać szabli, a mlecznobiałe, zapadnięte oczy znajdować celów ataku. Krew wyciekająca powoli z uszu i dudnienie w głowie Jacka pozbawiły całą scenę większości dźwięków, sprawiając, że wydawała się nierealna jak majaki w malignie. Przy tym wszystkim pytanie, dlaczego postanowił ozdobić swoją kurtkę dwoma zmumifikowanymi ludzkimi rękoma, wydawało się mało istotne.

Nie ufał swemu poczuciu równowagi, ostrożnie wspiał się więc na pokład. Mężczyzna,

który, mógłby przysiąc, był Benjaminem Hurwoodem, zmierzał w jego stronę, a na jego pomarszczonej, starej twarzy widniał przyjazny uśmiech.

Zaraz potem Shandy naprawdę śnił; musiał śnić, bo stał obok ojca w półmroku rusztowania nad sceną marionetkową. Spoglądali na blask w dole, pracowicie poruszając krzyżakami, którymi kontrolowali ruchy marionetek. Musiała to być scena grupowa, ponieważ część krzyżaków wisiała na sprężynach, dzięki czemu bezczynne marionetki bujały się i podskakiwały. W jednej chwili Shandy zapomniał, że to tylko sen, i wpadł w popłoch; nie miał pojęcia, jaką sztukę odgrywają.

Zerknął na niewielkie postaci w dole i natychmiast je rozpoznał - marionetki z *Juliusza Cezara*. Na dodatek właśnie zaczynał się trzeci akt, gdy nie było zbyt wiele do roboty. Przeszli do sceny morderstwa, a drewniane ręce senatorów - które najwyraźniej zdążyli już wymienić - ścisnęły sztylety.

Przemawiała marionetka Cezara. Shandy przypatrywał się jej w zdumieniu, gdyż spostrzegł, że jej twarz nie była z drewna - była prawdziwa i w dodatku należała do niego.

- „Precz, chcesz Olimp podźwignąć?” - usłyszał głos miniaturowego sobowtóra.

Marionetki senatorów, które także zyskały prawdziwe ciała, zbliżyły się do Cezara, by zadać cios... i raptem cała scena znikła, przenosząc Shandy'ego z powrotem na pokład „Carmichaela”. Zmrużył oczy przed słońcem, patrząc na Hurwooda.

Dufny uśmiezek spłynął z jego twarzy, ale staruszek zaatakował ponownie i Shandy klęczał na gorącej plaży wyspy New Providence, wpatrując się krytycznym wzrokiem w cztery bambusowe słupki, które wkopał w piasek. Wyglądały całkiem solidnie, dopóki nie spróbował ułożyć na nich zadaszenia. Teraz sterczały na boki jak armaty przygotowane do odparcia ataku.

- Pleciesz kosz? - zapytała go Beth Hurwood.

Nie słyszał, jak podeszła, i przez chwilę miał ochotę odszczeknąć się z irytacją, lecz zdołał przywołać na twarz uśmiech.

- To ma być podobno chata. Dla mnie, żebym miał gdzie spać.

- Prościej będzie zrobić szałas. Zaraz zobaczysz.

Był lipiec, a piraci właśnie pracowali nad remontem „Carmichaela”. Beth pokazała Shandy'emu, jak postawić o wiele stabilniejszą konstrukcję. W pewnym momencie, gdy stanęła na palcach, by związać pętlę na szczycie jednego ze wsporników, straciła równowagę. Złapał ją i przez chwilę trzymał w ramionach, a widok jej brązowych oczu i miedzianych włosów sprawił, że zakręciło mu się w głowie od natłoku emocji. I choć nie zabrakło wśród nich fizycznego pociągu, nie był on dominujący - przypominał raczej sekcję dętą na tle całej

orkiestry. To wspomnienie bardzo często powracało do niego w snach.

Tym razem jednak wszystko przebiegało inaczej; tym razem Beth nie używała sznurka, lecz młotka i gwoździ, a jej oczy i usta były szeroko otwarte. Białka i zęby lśniły w tropikalnym słońcu, gdy kładła ręce Shandy'ego na jednym z bambusowych wsporników. Przytrzymała gwóźdź przy jego nadgarstku...

...a on znów znalazł się na pokładzie „Carmichaela”, spoglądając nieprzytomnie na Hurwooda.

Starzec wyglądał na wyraźnie zaniepokojonego.

- Co, do diabła, dzieje się z twoim umysłem? - warknął. - Przypomina starty gwint.

Shandy przychylił się do jego zdania. Wciąż próbował sobie przypomnieć, co tu robi, ale ilekroć spoglądał na koszmarną bitwę, na nowo odżywało w nim zdumienie i przerażenie. A teraz stracił pod stopami czucie i powoli uniósł się w powietrze, jakby w końcu miał się wydostać z tego zamętu.

Instynktownie wyciągnął rękę, ale jego dłoń zamiast złapać za reling albo jedną z lin, spoczęła na rękojeści szabli. Wystająca igła kompasu wbiła się boleśnie w skórę. Ten sam impuls, który kazał mu dobyć broni, zmusił go, by jej nie puszczać, dzięki czemu zaczął opadać i już po kilku sekundach stał na pokładzie.

Rozejrzał się. Bitwa trwała w najlepsze, choć dźwięki nadal wydawały mu się przytłumione. Żaden z walczących nie zbliżał się do niego ani do Hurwooda, jakby wszyscy uznali ich pojedynek za prywatne porachunki.

Na twarzy staruszka malował się wyraz podziwu zmieszanego z przerażeniem. Mówił coś, lecz zbyt cicho, by Shandy mógł zrozumieć słowa, aż w końcu wyciągnął rapier i ruszył zwinnie w jego stronę.

Shandy wciąż zaciskał boleśnie dłoń na rękojeści szabli. Wyszarpnął ją z pasa w samą porę, by przyjąć postawę i niezręcznie sparować cios. Odskoczył, z większą łatwością broniąc się przed drugim i trzecim atakiem. Szare ręce uczone jego kurtki obijały się o siebie, przyprawiając go o mdłości.

Rękojeść szabli Shandy'ego, cała we krwi, była śliska i nieporęczna, a za każdym razem, gdy ostrza zwierzały się z brzękiem, igła kompasu tarła o kości. Ból wędrował w górę ramienia, dokuczliwy jak przy ropiejącym zębie.

Z ust Hurwooda wyrwał się krótki, zachrypnięty rechot. Staruszek skoczył naprzód, ale Shandy poprawił chwyt, wbijając igłę kompasu jeszcze głębiej. Zablockował nadciągające uderzenie i wykręcił szablę ruchem korkociągu, wytrącając rapier z dłoni Hurwooda. Od bólu

towarzyszącego temu manewrowi pociemniało mu w oczach, lecz ostatnim zamachem posłał broń przeciwnika za burtę. Przez chwilę wpatrywał się w pokład i oddychał głęboko, czekając, aż wróci mu wzrok.

Tymczasem Hurwood się cofnął. Spojrzał w bok i skinął rozkazującym gestem na Shandy'ego. Najwyraźniej to już nie były prywatne porachunki.

Jeden z nieumarłych marynarzy ruszył posłusznie przez pokład. Jego strój był podarty na strzępy i Shandy widział promienie słońca prześwitujące między kośćmi łydki. Mimo to ramiona mężczyzny były szerokie, a kościsty nadgarstek wymachiwał ciężkim kordelasem z taką łatwością, z jaką krawiec posługuje się szpilką.

Shandy słał się na nogach. Igła tkwiąca w jego dłoni zamieniła wszystko w gorącą, zgrzytającą agonię. Miał wrażenie, że gdyby na końcu szabli przysiadł motyl, ból stałby się nie do zniesienia i straciłby przytomność. Mimo to zdołał cofnąć się o krok i unieść broń, choć ten jeden ruch sprawił, że na chwilę stracił wzrok, a ciało zrosił zimny pot.

Martwy marynarz podszedł bliżej. Hurwood uśmiechnął się i rzucił: „Zabij Shandy'ego”, a wówczas kordelas zaświszczał nad ramieniem napastnika, gdy ten szykował się do zadania ciosu.

Shandy ostatkiem sił skupił wzrok i zacisnął rozoraną dłoń...

Wtedy jednak kordelas pomknął w bok, uderzając Hurwooda i posyłając go w stronę rufy. Shandy wychwycił niewyraźny blask w mrocznych oczodołach przeciwnika. Zaraz potem w przeblasku zrozumienia ujrzał w nich gorzkie powitanie i ostatnie pożegnanie prawdziwego druha. Dosłownie ułamek sekundy później Davies rozsypał się w stertę kości i barwnych strzępów ubrania, a widmowe ręce znikły z kurtki Shandy'ego. Jack upuścił szablę i padł na kolana, opierając się poranioną ręką o pokład. Słuch wrócił mu na tyle, że słyszał, jak jego łzy skapują na deski.

- Phil! - zawył. - Phil, Chryste, wracaj!

Davies już jednak odszedł, podobnie jak wszyscy inni martwi marynarze. Nie licząc Benjamina Hurwooda, na okręcie pozostali wyłącznie ci ludzie, którzy wspiełi się na niego z pokładu „Jenny”.

Hurwood opierał się o reling sterburty. Był blady jak śmierć i zaciskał rękę na kikucie, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego nowa ręka. Shandy nie widział krwi, ale starszek wkładał wiele wysiłku w tamowanie krwawienia.

Wreszcie Hurwood odepchnął się od relingu i ruszył ciężko w stronę kajuty rufowej, ostrożnie stawiając krok za krokiem. Shandy wstał i powłókł się za nim.

Hurwood kopnął w drzwi. Otworzyły się, a on znikł w środku.

Shandy zatrzymał się i spojrzał w ciemność.

- Beth! - zawołał. - Jesteś tam?

Odpowiedziało mu tylko mamrotanie starego profesora, wziął więc głęboki oddech, wyciągnął z kieszeni składany nóż i wszedł do kajuty.

Hurwood właśnie prostował się znad skrzyni stojącej pod grodzią, trzymając w zdrowej ręce drewniane pudełko, które Shandy od razu rozpoznał. Odwrócił się i spojrzał w stronę wejścia, a Shandy poczuł, jak powietrze wokół niego gęstnieje, wypychając go na zewnątrz. Wyszedł na słoneczny pokład, podczas gdy staruszek nieugięcie kroczył za nim. Wkrótce stało się jasne, że zmierza do szalupy.

Shandy rozłożył częściowo nóż, położył palec wskazujący na rowku i pozwolił, by ostrze się zatrzasnęło. Z rozcięcia spłynęła krew, a opór powietrza zelżał. Było oczywiste, że teraz nawet nienamagnesowane żelazo wystarczy do zneutralizowania zakłęk Hurwooda. Shandy zrobił krok naprzód i zanim staruszek zdał sobie sprawę z jego nagle odzyskanej wolności, wytrącił mu pudełko z ręki.

Uderzyło o pokład. Hurwood odwrócił się z ustami rozdziawionymi z wysiłku. Upadł, ale nie dawał za wygraną i zaczął się czołgać w kierunku zguby.

Shandy, równie ociężały, wyprzedził pełznącego profesora i rzucił się na pokład obok pudełka. Z ostrzem noża wciąż zacisniętym na palcu odrącił wieko.

- Moja szabla - wychrypiał do Skanka, który bandażował zranione udo. Zmęczony pirat przerwał zabieg i kopnął przerobioną broń w stronę Shandy'ego.

Nie ściągając palca z ostrza noża, Shandy złapał za szablę i jeszcze raz zacisnął dłoń na rękojeści, by wbić igłę kompasu w ciało. Wetknął końcówkę ostrza do pudełka.

Wysuszona głowa pękła i zapadła się w sobie z dźwiękiem przypominającym rozdzieranie starej tkaniny.

Hurwood zamarł, mrugając z niedowierzaniem. Zassał chrapliwie powietrze w płuca, po czym zawył tak głośno i przenikliwie, że nawet najciężej ranni piraci spoglądali na niego w zdumieniu. Zaraz potem rozciągnął się nieprzytomnie na pokładzie, a z kikuta trysnął strumień krwi.

Jack wzdrygnął się, odrzucił szablę i ściągnął składany nóż z palca. Zaczął niezdarnie rozcinać kurtkę, na której ciążył urok, zamierzając użyć wąskich kawałków materiału jako opaski uciskowej. Beth Hurwood nie było na pokładzie i nie mógł pozwolić, by jej ojciec wykrwawił się na śmierć.

\* \* \*

Zawroty głowy, nudności i sporadyczne momenty zupełnego oderwania od rzeczywistości sprawiały, że przeszukiwanie „Carmichaela” przeciągało się w nieskończoność. Jednakże główną tego przyczyną - zagładania do skrzyń, w których Beth nie mogłaby się zmieścić, czy dwukrotne sprawdzanie tych samych gablot, jakby miała się w nich nagle magicznie pojawić - był fakt, że Shandy bał się tego, co prawdopodobnie będzie musiał zrobić, jeśli jej nie znajdzie. Mimo jego najszczerzej chęci ta chwila w końcu nadeszła, jeszcze bardziej posępna z powodu długiej niepewności. Musiał sam przed sobą przyznać, że sprawdził każdą stopę kwadratową okrętu i choć było na nim tyle kosztowności, że wyładunek potrwałby dłużej niż dzień, po Beth Hurwood nie było śladu.

Wspiął się apatycznie na pokład i rozejrzał po twarzach sponiewieranych mężczyzn, którzy na niego czekali. W końcu dostrzegł Skanka.

- Hurwood odzyskał już przytomność? - zapytał.

- Z tego, co wiem, jeszcze nie - odparł młody pirat. - Słuchaj, znalazłeś coś na dole?

- Nie. - Shandy odwrócił się niechętnie w stronę kajuty, do której zanesiono Hurwooda. - Przynies mi...

Skank zastąpił mu drogę, a wraz z nim jakiś tuzin innych marynarzy, którzy jeszcze trzymali się na nogach. Twarz młodego pirata wydawała się twarda i niewzruszona jak oszlifowana przez piasek, dryfująca na wodzie kłoda.

- Kapitanie - wychrypiał - powiedziałaś, że znajdziemy tu przekłete łupy, niech cię diabli, wszystko, co Hurwood skradł...

- Och, łupy. - Shandy kiwnął głową. - Tego jest w bród, tak jak wam obiecałem. Zdaje się, że gdzieś tam leży pękata skrzynia pełna złotych sztab. Możecie... iść się w nich wytarzać, ale najpierw przynieście mi wiadro morskiej wody i poszukajcie... jakiegoś ognia, świecy czy czegoś w tym rodzaju. Będę w kajucie z Hurwoodem.

Skank cofnął się, odrobinę zmieszany.

- Uch, tak jest, kapitanie. Oczywiście.

Shandy pokręcił nieszczęśliwie głową, po czym sztywnym krokiem powłókł się do drzwi kajuty i wszedł do środka. Hurwood leżał nieprzytomny na nagich deskach, a jego oddech brzmiał jak niespieszne ocieranie piły o suche drewno. Koszula staruszka była przemoczona krwią - tylko tu i ówdzie przebijał jej prawdziwy, biały kolor - a na pokładzie wokół kikuta widniały już prawie suche, ciemne plamy. Wydawało się jednak, że krwawienie

ustało.

Shandy stał nad Hurwoodem, zastanawiając się, kim tak naprawdę jest ten człowiek - profesorem Oksfordu i autorem *Oczyszczenia wolnej woli*? Ojcem Beth? Mężem martwej Margaret? A może piratem, Ulysse'em Segundo? Patrzył na twarz o wyraźnie zarysowanych kościach i rozwartych ustach, próbując sobie wyobrazić, jak Hurwood wyglądał za młodu, ale nie potrafił.

Przyklęknął i potrząsnął zdrową ręką starca.

- Panie Hurwood? Proszę się obudzić.

Tempo oddechu nie zmieniło się, a pomarszczone powieki nawet nie zadrżały.

- Panie Hurwood, to ważne. Niech się pan obudzi.

Żadnej reakcji.

Shandy wpatrywał się w okaleczonego starca, próbując o niczym nie myśleć, ale po chwili do kajuty wszedł Skank. Pomarańczowy blask lampy walczył niemrawo z wpadającym do środka słońcem.

- Woda - rzucił Skank, z hukiem stawiając wiadro na pokładzie. - I ogień.

Rozejrzawszy się niepewnie, postawił lampę obok wiadra.

- Świetnie - wyszeptał Shandy. - Dziękuję.

Skank wyszedł i zamknął za sobą drzwi, a roztańczony płomień lampy stał się głównym źródłem światła w kajucie.

Shandy nabrał w ręce słonej wody i skropił powieki Hurwooda. Staruszek zmarszczył lekko brwi, ale nie otworzył oczu.

- Niech to szlag... - parsknął Shandy, bliski szloch. - Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił coś znacznie gorszego!

Złapał Hurwooda za ucho i wykręcił je mocno, lecz również bez rezultatów. Nie mniej przerażony niż wściekły, wstał, odsunął nogą lampę, podniósł wiadro i chlusnął wodą w twarz starca. Ciężki strumień przekrzywił mu głowę i zlepil rozrzucone włosy niczym koronę, ale oddech był równie spokojny, co jeszcze przed chwilą - Hurwood nawet się nie zadławił.

Teraz naprawdę szlochając, Shandy sięgnął po lampę, ale po chwili wyszeptał krótką modlitwę dziękczynną, ponieważ usłyszał za plecami plucie i stękanie.

Przyklęknął obok Hurwooda.

- Obudź się - rzucił ponagląco. - Dobrze ci radzę, lepiej mnie słuchaj.

Hurwood otworzył oczy.

- Jestem... ranny - powiedział cicho.

- Tak. - Shandy wytarł łzy z oczu, by lepiej widzieć staruszka. - Powinieneś przeżyć. Za pierwszym razem przeżyłeś. Gdzie jest Beth? Elizabeth, twoja córka.

- Och, a zatem to koniec, zgadza się? Wszystko stracone. - Hurwood napotkał wzrok Jacka. - Ty! To ty zniszczyłeś głowę Margaret. Czulem, jak jej dusza umyka... Najzwyczajnym mieczem! - Jego głos był łagodny, jakby rozmawiali o fabule sztuki, którą razem oglądali. - I to wszystko dzięki zimnemu żelazu?...

- Połączonemu z moją krwią. Tak. - Shandy starał się nadać głosowi równie swobodne brzmienie. - Gdzie ukryłeś swoją córkę?

- Na Jamajce, w Spanish Town.

- Ach! - Shandy kiwnął z uśmiechem głową. - Gdzie konkretnie?

- W ładnym domu. Oczywiście jest tam uwięziona, ale nie brakuje jej wygod.

- W czyim domu?

- Mmm... Joshuy Hicksa.

Hurwood wydawał się uradowany jak dziecko, że pamięta nazwisko mężczyzny.

Shandy odetchnął z ulgą.

- Masz może jakąś czekoladę? - zapytał go uprzejmie staruszek. - Ja nie...

- Niestety. - Shandy wstał. - Zdobędziemy na Jamajce.

- Płyniemy na Jamajkę?

- Do diabła, oczywiście. Gdy tylko przygotujemy okręt do podróży. Skoro już wiem, gdzie jej szukać, możemy sobie pozwolić na odrobinę wytchnienia. Beth wytrzyma jeszcze dzień czy dwa, które będą nam potrzebne, aby dokonać napraw.

- Och, tak, Hicks dobrze o nią zadba. Przekazałem mu bardzo dokładne wytyczne, a poza tym wynająłem pielęgniarkę, aby się upewnić, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Pielęgniarkę? Shandy nie mógł wyobrazić sobie pielęgniarki, która poucza Beth, przynależącą do szlachty.

- Cóż, świetnie, będziemy mogli...

- A tak w ogóle, to jaki mamy dziś dzień?

- Wigilię Bożego Narodzenia.

Czyżbyś nie poznał po świątecznym humorze marynarzy? - zakpił w myślach.

- Może powinienem mu jutro pomachać? - zastanawiał się na głos Hurwood.

- Komu? - zapytał Shandy, wciąż uśmiechnięty.

- Hicksowi. Będzie mnie wypatrywać lunetą z klifu przy Portland Point, jutro o świcie. - Staruszek zachichotał. - Nie spodobał mu się ten pomysł. Wieczorem wyprawia wielkie



przyjęcie. Wolałby pewnie zostać w domu i zająć się przygotowaniami, ale zaręczam ci, że przyjdzie. Boi się mnie. Powiedziałem mu, że ma czekać na ten okręt i upewnić się, że widzi, jak macham do niego z pokładu.

- Jutro o świcie z pewnością nie będzie nas w pobliżu Jamajki - odparł Shandy. - Nie sądzę, aby ten okręt mógł tam dotrzeć w tak krótkim czasie.

- Rozumiem. - Hurwood zamknął oczy. - W takim razie mu nie pomacham.

Shandy już miał wyjść z kajuty, ale przystanął, wpatrując się w staruszka.

- Dlaczego miałeś do niego zamachać? Po co będzie tam stać i czekać na twój znak?

- Teraz chcę spać.

- Mów. - Zerknął szybko na lampę, a zaraz potem z powrotem na Hurwooda. - Mów, bo nie będzie żadnej czekolady.

Hurwood skrzywił się ze wstrętem, ale odpowiedział.

- Jeśli tamtędy nie przepłynę i nie zamacham, uzna, że nie zdążę na Jamajkę na czas, sam przeprowadzi więc pierwszą część procedury - tę, którą należy wykonać w dzień Bożego Narodzenia. Planowałem zakotwiczyć na Jamajce już dziś, by oszczędzić mu kłopotu, ale najpierw ten wczorajszy sztorm, a później wy... - Staruszek uchylił lekko powieki. - Pomyślałem, że mu pomacham i zakończę sprawę, bo niszcząc głowę Margaret, i tak uniemożliwiłeś cały rytuał.

Jego powieki opadły.

- Na czym polega... pierwsza część rytuału? - zapytał Shandy, czując, jak znów ogarnia go niepokój.

- Pierwszą część można przeprowadzić na lądzie. Drugą, najważniejszą, która należała do mnie, wyłącznie na morzu. Jutro w południe Hicks zabierze się do pierwszej. Wolałby, żebym ja to zrobił. Będzie niepokieszony, jeśli nie zobaczy „Orfeusza”.

- Zabierze się do czego? Do diabła, na czym polega pierwsza część?

Hurwood znów otworzył oczy, spoglądając na Shandy'ego w zadumie.

- No jakże, na wypędzeniu umysłu. Umysłu Elizabeth, jej duszy. Hicks wyrwie ją za pomocą magii dokładnie tak, jak mu wyjaśniłem. Choć - dodał, ziewając - teraz to już tylko strata czasu. Bo niby kogo mielibyśmy umieścić na jej miejscu?

Shandy poczuł nieznośny ból kolan i zdał sobie sprawę, że ugięły się pod nim nogi.

- Ale czy ona wróci? - zapytał, z trudem powstrzymując się od krzyku. - Czy dusza Beth odnajdzie drogę z powrotem do pustego ciała?

Hurwood zaśmiał się beztrząsco jak dziecko.

- Wróci? Nie. Kiedy już zniknie... to po prostu zniknie.

Shandy zwalczył pokusę, by pobić albo udusić starucha. Odezwał się dopiero wówczas, gdy był pewien, że zabrzmi równie swobodnie, co jego rozmówca.

- Cóż - powiedział, ale usłyszał w swym głosie ostrzejszą nutę, więc zaczął od nowa. - Cóż, przekonajmy się w takim razie, czy ten okręt zdoła dotrzeć na Jamajkę przed jutrzejszym świtem. A jeśli się nam uda, będziesz mógł pomachać do tego... Hicksa, w porządku?

Uśmiechnął się, choć zaciskał poranione dłonie w pięści twarde jak mocno zaciągnięte węzły.

- Świetnie. - Hurwood znów ziewnął. - A teraz chciałbym się zdrzemnąć.

Shandy wstał.

- Dobry pomysł. Czeka nas wczesna pobudka.

\* \* \*

Rozglądając się ukradkiem - ponieważ musiał wyglądać na pogrążonego w modlitwie - ministrant w końcu przyznał, że światło w kościele przygasało. Chociaż bał się wysuszonych, pylistych ptasich postaci, które pojawiały się wraz z zapadnięciem całkowitej ciemności, miał nadzieję, że nastąpi to już wkrótce. Zaraz po ceremonii zaślubin pastor miał bowiem rozdawać komunię, a ministrant wiedział, że zbyt ciężko nagrzeszył, by móc ją przyjąć. Chciał się wymknąć pod osłoną mroku, nawet jeśli oznaczało to, że sam stanie się jednym z tych ulotnych ptasich stworów. Zadrzał, zadając sobie pytanie, gdzie się podziały wszystkie dobre rzeczy. Miał przyjaciół, żonę, stanowisko naukowe, szacunek współpracowników, szacunek dla samego siebie... A może to wszystko było tylko częścią dręczącego go koszmaru i w rzeczywistości nigdy nie istniało nic prócz ciemności, chłodu i stopniowo postępującego w jego umyśle ogłupienia?

Znalazł w tej myśli pocieszenie.

Młoda para wreszcie stanęła w cieniu pod ołtarzem i złapała się za ręce- powoli, jakby długie pęki wodorostów splatały się popychane podwodnym prądem. Zaraz potem ruszyli po stopniach w górę, a ministrant stwierdził, że ciemność za długo zwleka.

Panna młoda była tylko pustą, choć wyjątkowo ruchliwą suknią. Poradził sobie z tym widokiem - zawsze czuł się pokrzepiony, stwierdzając brak zamiast obecności - ale pan młody wyglądał na żywego. Nie dało się z całą pewnością powiedzieć, czy był człowiekiem, ponieważ obdarte ze skóry, krwawiące ciało przypominało istotę człękoksztalną wyłącznie dzięki ograniczającym je ubraniom. Jeśli stworzenie miało oczy, to zamknięte, lecz ministrant nie

wątpił, że żyło, ponieważ wciąż wyciekała z niego krew, a milczące usta bez przerwy otwierały się i zamykały z cichym kłapaniem.

Aż nagle w jednej chwili chłopiec zdał sobie sprawę, że to on był obdartym ze skóry potworem. Wiedzy tej nie towarzyszyło jednak przerażenie, bo jednocześnie zrozumiał, że wreszcie może wyjść z siebie: przebyć całą drogę - jeśli tylko był gotów wszystko porzucić - ku nieistnieniu.

Co też z głęboką ulgą uczynił.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy pierwsza zapowiedź brzasku przyćmiła blask Syriusza i trzech jasnych gwiazd z konstelacji Zająca, Shandy krzyknął, by podano mu lunetę, i wpatrzył się w ciemniejszą plamę na tle szarości południowo-wschodniego horyzontu. Choć po całonocnej pracy był zbyt zmęczony i zachrypnięty, by krzyzczeć, wyszczerzył się radośnie, bo nieregularny kształt nie mógł być niczym innym, jak tylko Jamajką.

- Udało się, Skank - powiedział cicho do stojącego obok młodego mężczyzny, oddając mu lunetę. - Dziesięć godzin nocnego żeglowania i nawigowania na gwiazdy, i to z wiatrem na jednym trawersie, bo nie mogliśmy halsować, a świt zastaje nas dokładnie tam, gdzie chcieliśmy być. Mój Boże, jaka szkoda, że Davies tego nie widzi!

- Szkoda - przytaknął tępo Skank.

- Niech któryś z chłopców przyprowadzi Hurwooda. Już prawie czas, by zajął swoje miejsce na scenie.

- Tak jest, kapitanie.

Skank znikł w mroku, zostawiając Shandy'ego na dziobie.

Jack obserwował mglisty horyzont, tym razem próbując wypatrzeć wyspę bez pomocy lunety, ale po dwóch nocach bez snu skupienie wzroku wymagało od niego sporego wysiłku. Widział tylko złudne, przezroczyste kształty, które przesuwwały się na wszystkie strony, ilekroć poruszył oczyma. Rozpaczliwie pragnął ocalić Beth, chociaż w tej chwili siłą napędową jego działań była przede wszystkim chęć odpoczynku i snu, a dopiero później chwała i poczucie spełnienia.

Z chłodnym obiektywizmem, który zwykle towarzyszy przedsięwzięciom pochłaniającym całą energię, zastanawiał się, czy zostanie pojmany na Jamajce, a jeśli tak, to jakie poniesie konsekwencje. Właściwie można by się spierać, czy złamał warunki ułaskawienia, ponieważ „Carmichael” był jedynym okrętem, jaki zajął, a Hurwood z pewnością nie został jego kapitanem w sposób legalny. Czy kradzież skradzionych dóbr jest mniej obciążająca od zwykłej kradzieży? Cóż, zanim go złapią i skażą, zdąży uratować Beth i zmusi ją, by wysłuchała historii swego ojca, pokaże, że sprawy wyglądają... inaczej, niż sądziła.

Potarł zmęczone oczy i, znów bez emocji, zaczął myśleć o wszystkich zmianach, do

których doprowadziły wydarzenia lata i jesieni: o utracie prawych przekonań, pozycji społecznej i młodości, o wątpliwościach, o porywach serca... Uśmiechnął się do chłodnej ciemności, gdy zrozumiał, że tak samo jak martwych przyjaciół i zaprzędanej niewinności brakuje mu starego, zdewastowanego, zaniedbanego i reperowanego naprędcy, lecz lojalnego słupki o imieniu „Jenny”. Podczas ataku na „Carmichaela” nie było komu obsługiwać pomp i „Jenny” zaczęła nabierać wody. Liny od haków naprężyły się tak mocno, że „Carmichael” przechylił się wyraźnie na bakburtę. Shandy kazał je w końcu odciąć i ze łzami w oczach patrzył, jak maszt i pocerowane żagle pochylają się w stronę wody, a rufa jako pierwsza idzie na dno. Choć jego słuch wciąż był osłabiony - a może właśnie dlatego - miał wrażenie, że słyszy niewyraźnie oddalające się głosy, z których jeden utrzymywał, że nie jest psem...

Na pokładzie zaszurały kroki i po chwili Skank klepnął go w ramię.

- Kapitanie?

Shandy odwrócił się.

- No? Gdzie jest Hurwood? Nie obchodzi mnie, jak się czuje, ma tu...

- Kapitanie - przerwał mu Skank - on nie żyje.

Shandy czuł, jak do oczu napływają mu łzy wściekłości.

- Nie żyje?! Nie, niemożliwe, musi żyć, ten przeklęty sukinsyn, niemożliwe...

- Kapitanie, jest zimny i nie oddycha. I nie krwawi, nawet jak się go dźgnie nożem.

Shandy zatoczył się w stronę relingu i zsunął po nadburciu na pokład.

- Niech go szlag - parsknął. - Niech go szlag, i co ja mam teraz zrobić? Popłynąć w pław na brzeg, wspiąć się na klif i znaleźć tego Hicksa? Jak, do diabła...

Schowwał twarz w dłoniach, a przerażony Skank przez kilka sekund myślał, że kapitan płacze. Gdy jednak Shandy uniósł głowę, jego głos był szorstki, lecz spokojny.

- I tak go przynieście.

Powoli podniósł się na nogi, spoglądając w stronę Jamajki i rozciągając zeszywniałe ręce. Niebo na wschodzie pojaśniało - do pojawienia się słońca zostało niewiele czasu.

- Tak jest! - Skank ruszył do kajuty, ale zatrzymał się w pół kroku. - Tylko... po co?

- Przynieś mi też parę solidnych, długich na mniej więcej jard drzewców i zwój najmocniejszego i najcieńszego sznurka, jaki znajdziesz - ciągnął Shandy, wpatrując się w zarys wyspy. - I jeszcze...

Urwał, krztusząc się.

- I jeszcze co, kapitanie? - zapytał ostrożnie Skank.

- Ostrą igłę do płótna żaglowego.

\* \* \*

I po co ci było opuszczać Port-au-Prince, zastanawiał się płaczliwie Sebastian Chandagnac, szukając wygodniejszej pozycji między twardymi skałami a zroszoną trawą, skoro jako Joshua Hicks i tak musisz skradać się o świcie po opuszczonych brzegach, czekając na sygnał z pirackiego okrętu? Zadrżał i opatulił się szczelniej peleryną, a następnie pociągnął solidny łyk brandy, pozwalając, aby rozgrzały go alkohol i zawistne spojrzenia woźnicy, który czekał kilka jardów dalej.

Marszcząc brwi, przepatrzył odległy horyzont i zamarł, ponieważ zauważył jaśniejszą, szarą plamkę na ciemnym obliczu morza. Przystawił lunetę do oka. Tak, to z pewnością był okręt, wysoki, z ożaglowaniem rejowym. Znajdował się zbyt daleko, by dało się dostrzec inne szczegóły, więc Chandagnac na razie opuścił lunetę.

To musi być on, pomyślał. Któż inny opływałby Portland Point w Boże Narodzenie? Spojrzał przez ramię na powóz - na twarzy woźnicy malował się wyraz rozżalenia, a jeden z koni tupnął niecierpliwie, wypuszczając z nozdrzy kłęby pary. Chandagnac nie ruszył jednak w drogę powrotną, ponieważ Ulysse wyraźnie nakazał mu, by czekał, aż zobaczy go na pokładzie.

- Widzisz, być może rzeczywiście wypatrzysz mój okręt - mówił Segundo z uśmiechem, który choć radosny, wydawał się odsłaniać zbyt wiele zębów - ale przecież niewykluczone, że nie będzie mnie na pokładzie. Mogę zostać zatrzymany, a nawet zginąć, i wówczas z pewnością nie wrócę tu przed świętami. Ponieważ zaś procedurę... wypędzenia da się przeprowadzić wyłącznie w Boże Narodzenie, będziesz musiał mnie zastąpić, jeżeli ci nie pomacham.

Oby tylko tam był, wznosił ciche modły Chandagnac, oby wyszedł na pokład i dał mi sygnał.

Nie chciał brać udziału w magicznych ceremoniach Segundo. Doszedł do wniosku, że woli marznąć na wietrznym klifie, niż grzać się w domowym zaciszu, ponieważ poprzedniego wieczoru koszmarna czarnoskóra pielęgniarka zabrała się do przygotowania rytuału. Opała robaki i węże nad ogniem kominka, nieczuła na ich użądlenia, a powstałym prochem posypywała stertę liści i korzeni, którą miała podać dziewczynie na kolację. Dmuchała w jakiś tuzin niewielkich flazoletów, wsłuchując się w ich dźwięki, i szeptała do przeróżnych starych, brudnych butelek, po czym szybko je zakorkowywała, by uwięzić w środku wyszeptane słowa. A na domiar złego - co sprawiło, że Chandagnac wybiegł na umówione spotkanie o wiele wcześniej, niż było to konieczne - otworzyła sobie brzytwą żyłę na kościstym nadgarstku i pozwoliła, by jej zawartość zgromadziła się w filiżance, lecz nie była nią krew ani żadna inna

ciecz, lecz drobnoziarnisty czarny proszek...

Wzdrygnął się na wspomnienie tej sceny. Błagam, Ulysse, bądź na pokładzie, myślał rozpaczliwie, żebyś ty mógł odprawić tę przeklętą magię, a ja zająć się przygotowaniami do przyjęcia. I obyś miał rację, kiedy powiedziałeś, że przed trzecią wszystkie magiczne pułapki znikną z ogrodu, pozwalając służącym rozłożyć stoły.

Znów zerknął przez lunetę na morze. Niebo było jaśniejsze, a okręt nieco bliżej, i teraz widział wyraźnie, że to w istocie „Wzlatujący Orfeusz”. Wyglądał na mocno sponiewieranego, ale płynął stabilnie.

Jak dotąd wszystko zgodnie z planem, stwierdził Chandagnac z ostrożną satysfakcją. Jeśli pójdzie po mojej myśli, już za pół godziny będę jechać na wschód, z powrotem do Spanish Town... Zjem lunch i wypiję kilka kieliszczków brandy, trzymając się z dala od domu, póki Ulysse nie upora się ze swym upiornym przedsięwzięciem... A później zakręcę loczki na peruce, upewnię się, że mój strój jest w najlepszym porządku, i może jeszcze znajdę czas na drzemkę. Muszę wyrzucić z głowy te nieprzyjemne myśli, żeby zrobić dobre wrażenie na Edmundzie Morcilli.

Choć Chandagnac żył w pewnym odosobnieniu, nawet jego nie ominęły wieści o Morcilli. Ten potężny, łysy krezus o gładkiej twarzy pod koniec listopada zawitał do Kingston i natychmiast zyskał rozgłos, inwestując we wszelkie karaibskie dobra - od cukru po ziemię i niewolników. Co więcej, Morcilla w zeszłym tygodniu napisał do Chandagnaca list, proponując mu spółkę przy zakupie ziemi. Chandagnac odpowiedział w entuzjastycznym tonie, ponieważ dostrzegł sposobność wyrwania się spod wpływów Ulysse'a Segundo. Niedługo później otrzymał drugi przyjacielski list, w którym Morcilla wspominał między innymi o chęci poślubienia energicznej młodej kobiety, najlepiej o jasnobrązowych włosach. Chandagnac, rozpaczliwie chcąc mu się przypochlebić, bez wahania napisał o młodej damie „dotkniętej zupełnie niegroźną gorączką mózgu”, mieszkającej w jego domu. W tym samym liście zaprosił Morcillę na bożonarodzeniowe przyjęcie, a gdy ten się zgodził, Chandagnac z radości zignorował postscriptum, w którym bogaty mężczyzna wyraził ogromne zainteresowanie wspomnianą niewiastą.

Z zamyślenia wyrwał go czerwony blask słońca, który dostrzegł kątem oka. Uniósł lunetę i tym razem już jej nie opuszczał, ponieważ okręt przepływał wzdłuż stanowiska obserwacyjnego na klifie, ukazując w pełni baki. Rzeczywiście, wyglądało na to, że ucierpiał podczas sztormu - kilka drzewców było połamanych, a część ożaglowania odcięta lub odwiązana. Jeden z niższych żagli fokmasztu oderwał się i zaplątał w olinowanie, tworząc coś

w rodzaju namiotu nad platformą marsa. Na pokładzie kręcili się jednak ludzie. Chandagnac przyglądał się im z uwagą, opierając lunetę na gałęzi drzewa balatowego, i już po chwili był niemal pewien, że wypatrzył Segundo.

Stał przy fokmaszcie, odwrócony plecami do brzegu, ale Chandagnac rozpoznał go po budowie ciała, stroju i siwych włosach. Segundo odwrócił się w stronę klifu, a Chandagnac zaśmiał się z ulgą - tej twarzy o ostrych rysach i o baczym spojrzeniu nie dało się pomylić. Segundo podniósł nogę i oparł ją o wspornik relingu. Prawą rękę trzymał co prawda w kieszeni płaszcza, ale lewą zamachał szeroko, kiwając głową.

Chandagnac odmachnął mu lunetą, choć wątpił, by z tej odległości Segundo dostrzegł jego gest. Nawet się nie skrzywił, gdy chłodny metalowy cylinder wyślizgnął mu się ze zmarzniętych dłoni i rozbił na skałach daleko w dole. Pogwizdując wesoło, odwrócił się i ruszył różnym krokiem do wozu.

\* \* \*

Shandy, schowany na platformie marsa za żaglem, nagle zawisnął bezwładnie na linach, którymi przywiązał się do masztu. Niczym odwleczonego wyrok dopadło go wreszcie osłabienie, a przed oczyma zamigotały mu tęczne iskierki, zwiastujące rychłą utratę przytomności. Zakrwawiony krzyżak wymknął mu się z rąk. Przez krótką chwilę balansował na noku rei, by zaraz potem ześlizgnąć się i zawisnąć na jednym ramieniu - tymczasem marionetka na pokładzie przyjęła zdumiewającą pozę. Ciało Hurwooda, wciąż podtrzymywane przez sznurki, odchyliło się o jakieś czterdzieści pięć stopni, spoglądając radośnie w niebo i wyciągając lewą nogę wysoko ponad głowę niczym tancerz uchwycony w wyjątkowo zwinnej ewolucji.

Przez kilka sekund wszyscy piraci wpatrywali się niemo w ten cud, aż w końcu jeden z nich przeżegnał się, wyszarpnął zza pasa kordelas i wziął zamach. Naprężone sznurki, przewleczone przez kręgosłup, skórę głowy, nóg i lewej ręki, wystrzeliły ze świstem w górę i chłósnęły Shandy'ego w twarz. Ciało Hurwooda gruchnęło o pokład, a obok z hukiem wylądował ogromny krzyżak. Truchło leżało na deskach sztywno jak zepsuta lalka, ponieważ już zdążyło stężeć. Shandy musiał pomagać sobie piłą, gdy przewlekał przez nie sznurki.

A teraz, otrzeźwiony smagnięciem, rozejrzał się, mrugając. Spróbował wstać, by uwolnić się z lin obwiązanych wokół ramion.

- Wyrzucie to ścierwo za burtę - rzucił stojący na pokładzie Skank, wskazując ciało starego profesora.

- Nie! - krzyknął ile sił w płucach Shandy, znów bliski utraty przytomności.



Piraci spojrzeli w górę.

- Tylko nie... jego ciało - wycharczał, próbując dosięgnąć nogami rei. - Żeby żadna kropla... przekłete liny! Żeby żadna kropla jego krwi nie dostała się do morza. - Wreszcie znalazł oparcie dla stóp. Wyprostował się, wziął kilka głębokich oddechów i spojrział w dół. - Rozumiecie mnie? Spalicie jego ciało, gdy zejść na ląd.

- Na ląd - powtórzył zmęczonym głosem stary pirat. - Chcesz zejść na ląd.

- Oczywiście, że tak - warknął Shandy. Siłował się niezdarnie z węzłami; zamglony wzrok i krwawiące ręce nie ułatwiały mu sprawy. - Niech no który wejdzie na górę i pomoże mi zejść! Nie mogę... - Znów czuł, jak dopada go odrętwienie, ale zduślił je w zarodku. - Nie mogę się spóźnić na przyjęcie.

\* \* \*

Dotarcie na południowy kraniec zatoki Kingston zabrało im kilka godzin. „Carmichael” nie był zdolny do halsowania, w związku z czym musiał zataczać wielkie koło i wykonywać zwrot przez rufę za każdym razem, gdy chcieli zmienić położenie dziobu w stosunku do wiatru. A ponieważ wiało wprost na nich z południowego zachodu, z mozołem kręcili szerokie na milę ósemki, by poruszać się we właściwym kierunku, i podróż z dwudziestu mil przyjemnego halsu zmieniła się w sześćdziesiąt mil katongi. Shandy zyskał dzięki temu mnóstwo czasu, by się ostrzyć i zgolić siwiejącą, sztywną od soli brodę. Naciągnął na poranione ręce białe rękawiczki z koźlącej skóry.

Słońce stało wysoko, gdy wreszcie przez las masztów w zatoce ujrział czerwone dachówki miejskich zabudowań, a ponad nimi fioletowe i zielone wzgórza Jamajki. Zorientował się, że wreszcie dotarł do pierwotnego celu swej podróży, i to na „Carmichaelu”, choć z drobnym, sześciomiesięcznym poślizgiem. Nagle przypomniał sobie, jak wraz z Beth świętowali koniec podróży, rzucając mewie robaczywe suchary, i jak planował zjeść wieczorem kolację z kapitanem Chaworthem.

Pomachał do sternika, aby zatrzymał okręt, i odwrócił się do Skanka.

- Niech chłopcy zawiną w coś Hurwooda i ułożą ciało w szalupie, zanim ją spuszczą na wodę. I niech to robią ostrożnie. Będę potrzebować wioślarza. Ty zabierzesz „Carmichaela” na południe, za rafy koralowe, i tam poczekaś aż do jutra do południa. Jeśli się nie pojawię, uznaj, że nas pojмали. Ze wszystkimi tymi okrętami marynarki w pobliżu los „Carmichaela” z godziny na godzinę będzie coraz bardziej niepewny. Popłyniesz jako jego kapitan, Skank, a gdy już znajdziesz się daleko stąd, podziel łupy i żyj jak król. Nie wiem, czy pogwałciliśmy warunki

ułaskawienia, więc lepiej zaszyj się w jakimś miejscu, gdzie nikt o nas nie słyszał. Leż w słońcu, objadaj się i upijaj każdego dnia, bo będziesz także pić za mnie.

Choć Skank prawdopodobnie nie umiał płakać, jego zmrużone oczy lśniły, gdy uścisnął Shandy'emu dłoń.

- Chryste, Jack, dasz sobie radę. Wychodziłeś cało z większych tarapatów.

Na twarzy kapitana pojawiły się głębokie zmarszczki uśmiechu.

- Tak, to chyba prawda. Cóż, powiedz chłopakom, żeby zajęli się ciałem, a ja...

- Jedna ręka nigdzie pływać nie będzie - przerwał im dudniący głos dochodzący spod pokładu. Zarówno Shandy, jak i Skank natychmiast go rozpoznali i patrzyli w niemym przerażeniu, jak z ciemności włazu wylania się Żałośnie Tłusty. Potężny czarnoskóry bokor opasał się fragmentem żagla niczym togą, aby zakryć wystrzępiony fragment drzewca wystający z piersi. Poruszał się wolniej, lecz poza tym wyglądał tak jak zwykle: był silny, złowrogi i beznamiętny. - Jedna ręka poczeka, by zaznać spalenia, a wiosłem zamacham ja. Dzisiaj dnia na Jamajku czeka mnie śmierć.

Shandy spojrział znacząco na Skanka, ale wzruszył ramionami i kiwnął głową.

- Cóż, wiosłarz nie będzie mi jednak potrzebny.

- Będzie, Jack. Zdaje się, że bokor Daviesa zamierza zostać na łodzi, a ty nie możesz wiosłować w drodze powrotnej z tak pokiereszowanymi rękami.

- Tym będę się martwić jutro. Jakoś dam sobie radę.

Odwrócił się nerwowo do Żałośnie Tłustego i przypomniawszy sobie, że mężczyzna jest głuchy, wykonał gest „ty przodem” w stronę łodzi wiszącej na żurawikach.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Gdy tylko szalupa zachybotła się na wodzie, „Carmichael” złapał wiatr w żagle i zanim Żałośnie Tłusty zdążył pięćdziesiąt razy machnąć wiosłami, zniknął za południowym cyplem wyspy. Shandy siedział na rufie. Starannie omijając wzrokiem dziwnie spokojną twarz bokora, cieszył się ze słońca, widoków i zapachu przypraw na wietrze. Teraz, gdy obciążający ich okręt znikł, byli tylko dwoma mężczyznami w szalupie, choć widok zakrytego togą bokora bez wątpienia zaskoczyłby nawet najbardziej obytego komendanta portu. Mimo to Shandy miał przecucie, że uda im się dotrzeć na brzeg, nie wzbudzając zbyt wielkiego zainteresowania.

Nawet kiedy spostrzegł, że zmierza ku nim słup Królewskiej Marynarki - lśniący wypolerowaną stalą i z wysokim, onieśmielająco białym fokiem - pomyślał, że pewnie opuszcza zatokę, udając się na misję, z którą nie mieli nic wspólnego. Dopiero gdy wpłynął na ich kurs i opuścił żagle, by się zatrzymać, Shandy poczuł ukłucie niepokoju. Przyciągnął spojrzenie czarnoskórego bokora i zdołał zakomunikować mu na migi, że na ich kursie stoi przeszkoda.

Żałośnie Tłusty obejrzał się przez ramię, kiwnął głową i wyciągnął wiosła z wody, a kilka sekund później łódź zderzyła się lekko z jednostką marynarki.

Do relingu podszedł młody oficer otoczony tuzinem marynarzy uzbrojonych w pistolety i spojrzał w dół na dwóch mężczyzn w szalupie.

- Czy ty jesteś John Chandagnac, znany także pod pseudonimem Jack Shandy, i czy twój towarzysz to szaman znany jako Okropnie Gruby? - zapytał drżącym głosem.

- Płyniemy na Jamajku - wtrącił się bokor, zanim oficer zdążył dokończyć pytanie.

- Nie ma sensu z nim rozmawiać, on... - zaczął Shandy.

- No więc? Jesteś? - mężczyzna niecierpliwie ponowił pytanie.

- Nie, do diabła! - krzyknął z desperacją Shandy. - Ja jestem Thomas Hobbes, a mój towarzysz to Lewiatan. Chcemy tylko...

- Biada ci, babiloński wojowniku - zaintonował Żałośnie Tłusty głębokim głosem i wycelował w oficera palec, niepokojąco szeroko otwierając oczy. - Lew Judy rozdepcze twe drzewa figowe, a twe pędraki...

- Jesteście aresztowani! - wrzasnął oficer, wyciągając pistolet. - Złaż na dół - zwrócił się do jednego z marynarzy. - Upewnij się, że nie są uzbrojeni, i wprowadź ich na pokład.

Wywołany mężczyzna spojrział na przełożonego pytająco.

- Tak jest, sir. Ale właściwie dlaczego?

- Dlaczego? Nie słyszałeś, że nazwał was pętakami?!

- Powiedział: pędraki, a nie pętaki - zaczął Shandy, ale zaraz urwał, ponieważ oficer wycelował z pistoletu prosto w jego twarz. Zamiast dokończyć, podniósł ręce i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Dobra robota, człowieku - wyszeptał do głuchego bokora.

Marynarze rozwinęli drabinkę linową. Shandy i Żałośnie Tłusty wspięli się po niej na pokład, podczas gdy dwóch mężczyzn przymocowywało do szalupy faleń, aby odholować ją na brzeg. A kiedy obu więźniom spętano ręce grubym sznurem, oficer kazał zaprowadzić ich do ciasnej, lecz schludnej kajuty pod pokładem. Żałośnie Tłusty musiał się zgiąć niemal do pasa, by zmieścić się w przejściu. Jacka od razu nawiedziło nieprzyjemne wspomnienie wizyty na brytyjskim okręcie wojennym.

- Więźniowie - zaczął oficer - widziano, jak schodzicie z pokładu pirackiego okrętu zwanego „Wzlatującym Orfeuszem”. Dotarły do nas wieści z kolonii na wyspie New Providence, że trzynastego grudnia John Chandagnac i czarnoskóry szaman Okropnie Gruby wypłynęli na Jamajkę, aby spotkać się z piratem Ulysse'em Segundo. Czy zaprzeczacie, że jesteście tymi mężczyznami?

- Oczywiście, że zaprzeczamy - parsknął Shandy. - Już wam powiedziałem, kim jesteśmy. Dokąd nas zabieracie?

- Do więzienia w Kingston, gdzie usłyszycie zarzuty.

Jakby na potwierdzenie tych słów słup ruszył. Po chwili dało się odczuć lekkie szarpnięcie spowodowane naprężeniem falenia.

- Które są bardzo poważne - dodał surowym tonem oficer. - Będę szczerze zdumiony, jeżeli obaj nie zawiśnecie.

Żałośnie Tłusty nachylił się w stronę mężczyzny. Shandy miał wrażenie, że głowa bokora wypełnia całą kajutę.

- Miejsce, w które nas bierzecie - rzucił nie znoszącym sprzeciwu tonem - to Morskie Biuro Praw i Protokołów.

Przez krótką chwilę Shandy czuł woń rozgrzanego do czerwoności żelaza, a zza pleców bokora uniosła się smuga dymu.

- Zabierzemy was do Morskiego Biura Praw i Protokołów - stwierdził oficer, jakby jeszcze nie odpowiedział na to pytanie i nie usłyszał komentarza Żałośnie Tłustego. - W końcu - dodał, jakby na własne usprawiedliwienie - to stamtąd pochodzą oskarżenia.

Żałośnie Tłusty odchylił się z zadowoleniem, a Shandy wyczuł swąd krzesła przypalanego w miejscu, gdzie oparcie stykało się z żelazną szponą gaffla. Liczył, że umierający czarownik wie, co robi - Biuro Praw i Protokołów było instytucją urzędniczą, a nie miejscem, do którego przyprawdzano przestępców.

Oficer wyszedł z kajuty i zamknął więźniów na klucz, lecz nawet przez grodzie i pokład Shandy słyszał pełne niedowierzania protesty marynarzy.

Morskie Biuro Praw i Protokołów mieściło się w najbardziej wysuniętym na południe budynku spośród kilkunastu gmachów rządowych, skupionych po zachodniej stronie zatoki. Miało własną przystań, w której zacumował słup marynarki. Jak w przypadku większości nadbrzeżnych budowli, składały się nań proste bielone ściany i zadaszenie z nachodzących na siebie czerwonych dachówek o obłym kształcie, jakby formowano je na podstawach gałęzi palm. Kiedy w eskorcie oficera i kilku uzbrojonych marynarzy Shandy maszerował chodnikiem, zauważył urzędników przyglądających się niecodziennej procesji z wysokiego okna. Ręce wciąż miał spętane przed sobą i szukał wzrokiem czegokolwiek, czym mógłby przeciąć powróż.

Jeden z marynarzy wybiegł naprzód, by przytrzymać drzwi. Oficer, który wyglądał coraz bardziej niepewnie, wszedł do środka jako pierwszy, ale to dopiero widok Żałośnie Tłustego w todzie z płótna sprawił, że urzędnicy zaczęli zrywać się na równe nogi z okrzykami trwogi i konsternacji, upuszczając pióra. Bokor, wyższy niż ktokolwiek inny w pomieszczeniu i szerszy niż trzech dorosłych mężczyzn, rozejrzał się z dezaprobatą. Shandy domyślił się, że szukał jamajskiej ziemi, ale wokół były tylko drewniane klepki.

Jeden z urzędników, wypchnięty naprzód przez naczelnika o siwych włosach, podszedł do zbiegowiska.

- C-co państwo tu robią? - zapytał drżącym głosem, patrząc z przerażeniem na Żałośnie Tłustego. - Cz-czego państwo chcą?

Oficer zamierzał coś powiedzieć, ale zagłuszyły go grzmiące słowa bokora.

- Ja głuchy, defekt w uszy - oznajmił Żałośnie Tłusty.

Urzędnik zbladł i odwrócił się do przełożonego.

- Mój Boże, on chyba powiedział, że będzie tu defekować!

W pomieszczeniu wybuchło zamieszanie. Strwożeni urzędnicy przewracali stoły i kałamarze, rozpaczliwie chcąc się dostać do wyjścia, choć kilku po prostu wyskoczyło oknami. Gdy zrobiło się pusto, Żałośnie Tłusty zobaczył francuskie drzwi prowadzące na niewielkie, zamknięte podwórze z chodnikami, masztem, fontanną i... trawą. Natychmiast z determinacją

ruszył w ich stronę.

- Stój! - krzyknął za nim oficer. Wielki bokor nie zwalniał kroku, a mężczyzna wyciągnął pistolet. Zdawszy sobie sprawę, że chwilowo nikt nie zwraca na niego uwagi, Shandy ruszył za bokorem kilka kroków po jego lewej.

Paf!

Pistolet wystrzelił. Z dziury w todze Żałośnie Tłustego trysnęła krew i strzępy płótna, lecz kula nawet nie zachwiała potężnym bokorem, który otworzył drzwi i wyszedł na chodnik. Shandy był tuż za nim.

Oficer odrzucił pistolet. Podbiegł do Żałośnie Tłustego i zaczął się z nim szarpać, jakby chciał go wciągnąć do budynku, ale zdołał jedynie zerwać togę z szerokich ramion.

Kilka osób, wliczając w to oficera, krzyknęło na widok połamanego fragmentu drzewca wystającego z pleców więźnia. Tymczasem Żałośnie Tłusty zrobił kolejny krok, najpierw jedną, a potem drugą nagą stopą deptając jamajską ziemię.

Zachwiał się i runął na plecy. Stojący za nim Shandy odruchowo wyciągnął związane ręce, by złagodzić upadek bokora.

Wyszczerbiona szpona gafla zahaczyła o powróż oplatający nadgarstki Jacka, nadržując go lekko. Żałośnie Tłusty upadł bez życia na chodnik, ale jego stopy dotykały trawy, a na odwróconej w kierunku nieba twarzy widniał szeroki uśmiech. Shandy z całych sił naprężył naderwany sznur i w końcu udało mu się go rozerwać i uwolnić ręce.

Wybiegł na środek zamkniętego podwórza. Huk strzału przyciągnął gapiów, którzy stali we wszystkich drzwiach, dzierżąc szable i pistolety. Choć na razie nie zwracali na niego uwagi, Jack zorientował się, że nie ma dokąd uciekać... aż raptem zaświtała mu w głowie pewna myśl.

Szybkim, lecz spokojnym krokiem, aby nie przyciągać niepotrzebnie spojrzeń, podszedł do masztu. Ziewając rozdzierająco, jakby chciał stworzyć pozór, że wszystkie czynności, które wykonuje, należą do jego codziennych obowiązków, zaczął się wspinać po drewnianym słupie, kilka razy dla lepszej przyczepności łapiąc za liny służące do wciągania flagi. Był w połowie masztu, gdy oficer marynarki wybiegł na podwórze.

- Złaż na dół, człowieku! - zawołał.

- Chodź na górę, jeśli chcesz mnie złapać! - odkrzyknął Shandy.

Dotarł wreszcie na szczyt i zgarbił się pod mosiężną kulą wieńczącą maszt. Brytyjska flaga powiewała mu na głowie niczym kaptur.

- Przynieście mi topór! - warknął oficer, ale Shandy odchylił się, z całych sił ciągnąc za maszt. Drewniany słup ugiął się o kilka jardów, zatrzymał i wrócił do pierwotnej pozycji, po

czym pochylił w przeciwnym kierunku. Shandy trzymał się go kurczowo, a gdy pomknął w drugą stronę, jeszcze mocniej szarpnął za mosiężną kulę. Przechylony do oporu, napięty maszt pękł. Górne sześć stóp, z Shandym na szczycie, zakreśliło się i uderzyło w dachówki, podczas gdy pozostała część masztu runęła na drugą stronę podwórza.

Otumaniony uderzeniem, Shandy zaczął się zsuwać głową w dół w kierunku rynny, ale zdążył rozłożyć ręce i nogi. Zatrzymał się, ocierając o dach, a tuż obok niego przemknął odłamany fragment masztu i kilka dachówek.

Jęknął cicho na widok przepaści w dole. Gdy tylko maszt i dachówki uderzyły o chodnik, zaczął się cofać spazmatycznymi ruchami przypominającymi odwrócony styl grzbietowy. W końcu oparł wewnętrzną stronę kolan o załamanie dachu. Ześlizgnął się na bok, by usiąść, po czym na zgiętych nogach pognął po trzeszczących dachówkach w stronę gałęzi wysokiego drzewa oliwnego. Z łatwością, którą zawdzięczał wielu godzinom pracy przy takielunku, kilkoma susami dostał się na ziemię. Przez alejkę przejeżdżał wóz z owocami. Wskoczył na niego i położył się płasko między stertami włochatych kokosów, a wóz z turkotem kół potoczył się w głąb łądu.

Zszedł niezdarnie z pojazdu, gdy konie stanęły przed krytym strzechą targiem na głównej ulicy Kingston. Ludzie rzucali mu ciekawskie spojrzenia, ale on w odpowiedzi uśmiechał się życzliwie, zmiierzając w stronę sklepów. Czerwone od cegielnego pyłu, oblepione włosiem kokosów ubrania Hurwooda i tak były już porwane, sięgnął więc dyskretnie pod szarfę i rozpruł luźny szew. Wyciągnął kilka złotych skudów, które zaszył tego ranka w podszewce, i spojrzał, jak mienia się na rękawiczce. Powinno wystarczyć na nowy strój i porządny miecz, pomyślał.

Zatrzymał się, bo niespodziewanie uderzyła go pewna myśl. Uśmiechnął się pod nosem i podjął marsz, lecz zaraz potem znowu przystanął. Och, do diabła, pomyślał, dlaczego nie? Przecież nic na tym nie stracisz, a pieniędzy na pewno ci nie braknie. Tak, równie dobrze możesz też kupić kompas.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

W jakiś sposób fakt, że była to noc Bożego Narodzenia, tylko podkreślał obcość egzotycznej krainy. Ciepła woń ponczu, pieczonego indyka i śliwkowego puddingu sprawiała, że goście zasiadający przy świątecznych stołach byli jeszcze bardziej świadomi ostrych zapachów dżungli. Sączące się z okien żółte światło i wdzięczna muzyka skrzypcowa nie musiały zbłądzić zbyt daleko od domów, by dać się pożreć absolutnej ciemności i zagłuszyć trzeszczeniem palm tańczących na tropikalnym wietrze. Sami goście sprawiali zaś wrażenie zakłopotanych swą europejską wytwornością; ich śmiech był ostrożny, a riposty wydawały się wołać rozpaczliwie o odrobinę wyrafinowania.

Mimo to przyjęcie spotkało się z ogromnym zainteresowaniem, ponieważ po mieście szybko rozniosła się wieść, że zjawi się na nim Edmund Morcilla. Wielu znamienitych mieszkańców Jamajki, ciekawych postaci bogatego przybysza, postanowiło przyjąć zaproszenie Joshuy Hicksa, który prócz adresu miał niewiele do zaoferowania.

Sam gospodarz wydawał się jednak zachwycony dotychczasowym sukcesem wieczoru. Przemykał z jednego końca przestronnej sali balowej na drugi, całując dłonie dam, napełniając kieliszki i chichocząc z dowcipnych uwag, a jeśli akurat z nikim nie rozmawiał, rozglądał się niespokojnie, wygładzając strój i starannie przyciętą brodę dłońmi z nienagannym manikiurem.

O ósmej wieczorem wciąż przybywające powozy musiały ustawiać się w kolejce. Sebastian Chandagnac stwierdził, że mimo najszczerzej chęci nie zdoła przywitać osobiście każdego z osobna, choć postawił sobie za punkt honoru uściskać dłoń wysokiej postaci Edmunda Morcilli. Kiedy pospieszył w jego stronę, jeden z gości wślizgnął się do domu i przez nikogo nie zagadywany, stanął przy stole z kryształową misą ponczu.

Jego wygląd nie wzbudził szczególnych podejrzeń, ponieważ żaden z zaproszonych gości nie mógł wiedzieć, że peruka, broń i aksamitny płaszcz zostały kupione zaledwie kilka godzin wcześniej za pirackie złoto. Niewykluczone, że chód mężczyzny miał w sobie nieco zbyt wiele marynarskiego kołysania, niż to uchodziło osobie w tak wytwornym stroju, a ruch dłoni w rękawicze zbyt mało formalnej sztywności, gdy gładziła rękojeść rapiera. Taki był jednak Nowy Świat - często zmuszał ludzi żyjących z dala od domu do przyswajania sobie pewnych kompromitujących umiejętności. Służący przy misie z ponczem podał mu napełnioną filiżankę i



nawet nie zaszczylił go drugim spojrzeniem.

Shandy sączył niespiesznie napój, wodząc wzrokiem po sali. Nie był pewien, jak zabrać się do działania. Na razie miał tylko ogólny zarys planu: dowiedzieć się, którym z mężczyzn jest Joshua Hicks, zabrać go na stronę, wypytać o miejsce uwięzienia Beth, a następnie uwolnić ją, powiedzieć jej kilka rzeczy i uciec z wyspy.

Gorący poncz o pikantnym aromacie cynamonu i cytryny przywoływał wspomnienia świąt z czasów jego młodości, gdy wraz z ojcem przedzierał się przez śniegi jednego z europejskich miast, tęskniąc za ciepłem wynajętego pokoju. Tam zaś, siedząc przy ogniu, który migotał w szklanych oczach dziesiątek marionetek, ojciec przygotowywał symboliczną kolację. Ponieważ jednak żadne z tych wspomnień - ani ojciec, ani śnieżne zimy, ani marionetki - nie było teraz wdzięcznym tematem do rozważań, Shandy skupił się na otoczeniu.

Niewątpliwie było kosztowne. Sam był niegdyś kimś w rodzaju pośrednika handlowego i doskonale zdawał sobie sprawę, jak wiele pieniędzy i wysiłku wymagało sprowadzenie z Europy wszystkich tych ogromnych, oprawionych w złoczone ramy obrazów, kryształowych żyrandoli i rzeźbionych mebli. Nic w tym pomieszczeniu nie pochodziło od miejscowych rzemieślników; nawet jedzenie, sądząc po zapachach dolatujących z kuchni, było tak angielskie, jak tylko pozwalały na to warunki. Dla Shandy'ego, który zdążył polubić zielonego zółwia, maniok i sałatkę salmagundi, nie pachniało zbyt apetycznie.

Do sali wszedł jeden ze służących Hicksa.

- Zapraszamy wszystkich do jadalni - rzucił głośno, by przekrzyczeć gwar. - Za chwilę podamy kolację.

Goście dopijali w pośpiechu poncz i ruszali w stronę jadalni, szurając butami po twardym parkiecie. Shandy dał się porwać tłumowi. Starał się, by z jego twarzy nie zniknął uśmiech, choć miał powody do zmartwienia - wiedział, że jeśli wejdzie ze wszystkimi do środka, zabraknie dla niego miejsca. Gdzie, do diabła, był Hicks? Zaczął się rozglądać za jakąś tęgą osobą, której mógłby ukradkiem podstawić nogę, by odwrócić uwagę gości.

W końcu spostrzegł odpowiedniego kandydata - korpulentnego starszego mężczyznę ciasno opatulonego czerwonym aksamitem z koronkami, którego prawdopodobnie mógłby wepchnąć prosto na misę z ponczem. Zanim jednak zdążył podjąć jakiegokolwiek działania, zamieszanie powstało bez jego udziału.

Do sali balowej weszli czterej mężczyźni, tłocząc się w drzwiach po przeciwnej stronie pomieszczenia. Pierwszym był dżentelmen o schludnie przyciętej brodzie, który w zasadzie przez cały wieczór stał odwrócony do Shandy'ego plecami - wyglądało na to, że to właśnie on

jest gospodarzem, ponieważ wymachiwał rękoma, stanowczo przeciw czemuś protestując. Obok niego stał krzepki jegomość palący cienkie czarne cygaro, który obserwował całe zajście z wyraźnym rozbawieniem. Nosił się elegancko, ale nie miał na głowie peruki, co - zważywszy, że był zupełnie łysy - należało uznać za spore niedopatrzenie. Za nimi Shandy dostrzegł dwóch oficerów Królewskiej Marynarki, którzy nalegali, by wpuścić ich do środka.

- Chodzi o pańskie bezpieczeństwo, pańskie i pańskich gości- powiedział głośno jeden z nich. Mężczyzna, którego Shandy wziął za Hicksa, w końcu wzruszył ramionami i zaprosił ich gestem do środka. Jack cofnął się chyłkiem, stając za plecami grubego gościa w czerwonym aksamicie i, na wszelki wypadek, bliżej okna.

Łysy olbrzym odsunął się, by zrobić przejście oficerom. Uśmiech skryty za dymem cygara był tak przebiegły i świadomy, że Shandy nie potrafił oderwać od niego wzroku. Nagle odniósł dziwne wrażenie, że gdzieś już widział tego człowieka, że czuł dla niego podziw, choć szeroka twarz o gładkich rysach wydawała mu się zupełnie obca.

Nie miał jednak czasu na te rozważania, ponieważ stojący bliżej oficer marynarki przemówił do gości:

- Nazywam się porucznik MacKinlay - zaczął donośnym głosem. - Nie będziemy zakłócać państwa spokoju dłużej, niż to konieczne. Przyszliśmy państwa ostrzec, że pirat znany jako Jack Shandy został dziś pojmany w Kingston, ale udało mu się zbiec i przebywa obecnie na wolności.

Na sali podniósł się szum. Shandy nawet pomimo dreszczu niepokoju zauważył, że łysy olbrzym zmarszczył krzaczaste brwi i wyciągnął cygaro z ust, by rozejrzeć się po zgromadzonych. Rozbawienie znikło z jego twarzy, zastąpione czujnością.

- Uznaliśmy za słuszne powiadomić państwa o tym fakcie - ciągnął MacKinlay - ponieważ ów pirat po zakupieniu nowych ubrań kilkakrotnie wypytywał o adres tego domu. Zgodnie z opisem, którym dysponujemy, jest dobrze ubrany, ale nosi białe rękawiczki z koźlęcej skóry poplamione krwią przy szwach.

Tęgi starszy mężczyzna zasłaniający Jacka odwrócił się ciężko i wskazał na jego dłoń. Pluł w podekscytowaniu śliną, próbując się wysłowić.

Porucznik MacKinlay nie zauważył konsternacji staruszka - choć ludzie stojący wokół Shandy'ego wyciągali ciekawie szyje - i kontynuował swą przemowę.

- Sądzimy, że uciekinier usłyszał o tej kolacji i zamierza się tu pojawić w celu dokonania kradzieży lub porwania. Właśnie w tej chwili zmierza tu grupa uzbrojonych żołnierzy marynarki z rozkazem, by go pojmać, a tymczasem ja i mój towarzysz...

Hicks spostrzegł poruszenie na tyłach sali i zerknął zaalarmowany w tamtą stronę. W tej samej chwili zapluty gruby mężczyzna upadł na kolana, a Shandy i gospodarz spojrzeli sobie w oczy.

Obaj wzdrygnęli się, jakby zobaczyli ducha.

Gdy minął pierwszy szok, Jack zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości nie patrzy na swego ojca - twarz była zbyt nalana, a usta zbyt mocno zaciśnięte - lecz oczy, nos, kości policzkowe, czoło... Wszystko to należało do jego zmarłego rodziciela. Przez chwilę nie potrafił wyjść ze zdumienia, że zwykły przypadek stworzył w obcym człowieku tak uderzające podobieństwo, ale zaraz potem zrozumiał, z kim mógł mieć do czynienia i jak naprawdę wyglądała historia „samobójstwa” Sebastiana Chandagnaca.

- Mój Boże! - krzyknęła kobieta stojąca obok Shandy'ego. - To przecież on!

Kilku gości nerwowo złapało za szpady, choć dziwnym trafem wszyscy odskakiwali jak najdalej od pirata, by zrobić sobie miejsce i dobyć broni.

Łysy olbrzym niespodziewanie wybuchnął zgrzytliwym śmiechem. Po sali rozszedł się głęboki głos, huczący niczym fale uderzające podczas gwałtownego sztormu o skały. Dopiero wówczas Shandy zorientował się, z kim ma do czynienia.

Dwaj oficerowie marynarki wyciągnęli pistolety, wołając do gości, by się odsunęli. Co odważniejsi mężczyźni ruszyli niepewnie w stronę pirata, dzierżąc miecze, które łatwiej kupić u krawca niż u płatnerza, Sebastian Chandagnac krzyczał zaś, by natychmiast zastrzelić bandytę.

Kobiety lamentowały, a ich towarzysze potykali się o krzesła. Shandy wskoczył na stół i wyciągnął rapier. Kopniakiem posłał misę z ponczem na drewniany parkiet i rzucił się przez blat ku wyjściu. Pistolet MacKinlaya huknął ogłuszająco, ale kula roztrzaskała fragment boazerii nad głową uciekiniera. Pirat zeskoczył ze stołu. Drugi oficer wycelował prosto w jego pierś, a Shandy, nie mając innego wyjścia, złapał rapierem za długą lufę pistoletu i krętym zamachem wyszarpnął go z ręki zaskoczonego mężczyzny, zanim ten zdążył wystrzelić.

Uzbrojeni goście klęli, ślizgając się na rozlanym ponczu, i kilka mieczów z brzękiem upadło na podłogę. Shandy uskoczył i błyskawicznie obrócił rapier, przytykając szpic ostrza do piersi MacKinlaya. W jednej chwili wszyscy zamarli. Sunący po parkiecie pistolet z grzechotem uderzył o ścianę.

- Nie będę stawiać oporu - zaczął Shandy, wykorzystując chwilę ciszy - ale zanim się poddam, chcę wam powiedzieć, kim tak naprawdę jest Joshua Hicks. Ten człowiek to...

Sebastian Chandagnac rzucił się w stronę upuszczonego pistoletu i uniósł go, siedząc na podłodze. Wycelował w Jacka i pociągnął za spust.

Kula rozsadziła głowę porucznika MacKinlaya. Ciało zakręciło się i upadło, a na sali znów wybuchł rozgardiasz, tym razem ze zdwojoną siłą. Wuj Shandy'ego wstał i dobył szpady. Zaatakował, lecz Jack bez trudu sparował uderzenie, mimo że plamy na szwach rękawiczek lśniły coraz ciemniejszą czerwienią. Przedarł się przez obronę wuja i jedną ręką złapał go za gardło.

- Beth Hurwood, dziewczyna, którą ukrywasz - warknął. - Gdzie ona jest?

Łysy olbrzym, Morcilla, poderwał się z miejsca, jakby chciał zainterweniować, ale na dźwięk tych słów zamarł.

- Na górze - wydukał Chandagnac z zamkniętymi oczyma. - W pokoju.

Kobiety szlochały, a mężczyźni stali w pobliżu z wyciągniętymi szpadami, spoglądając po sobie niepewnie. Drugi oficer marynarki wyciągnął miecz, ale nie kwapił się do ataku, widząc, że uciekinier ma zakładnika.

Shandy trzymał kciuk lewej dłoni na krtani wuja. Wiedział, że mógłby ją zmiażdżyć równie łatwo jak jajko, ale miał już dość śmierci. Nie sądził, by mógł czerpać jakąkolwiek satysfakcję z patrzenia, jak ten przestraszony człowiek umiera na podłodze, krztusząc się fragmentami własnych kości. Złapał go za kołnierz.

- Kim... jesteś? - wycharczał Chandagnac, wybałuszając przerażone oczy.

Nagle Shandy zdał sobie sprawę, że świeżo ogolony i z twarzą poznaczoną zmarszczkami wieku i zmęczenia musi być bardzo podobny do swego ojca z czasów, kiedy Sebastian widział go po raz ostatni. A, rzecz jasna, ten człowiek nie miał pojęcia, że jego bratanek, John Chandagnac, przypląnął na Karaiby.

Postanowił darować wujowi życie, stwierdził jednak, że nie przepuści okazji, by wzbudzić w nim poczucie winy.

- Spójrz mi w oczy - wyszeptał zdławionym głosem.

Stary mężczyzna usłuchał, choć niechętnie, drżąc i pojękując.

- Nie poznajesz mnie? Jestem twoim bratem, Sebastianie - wycodził Shandy przez zaciśnięte zęby. - Jestem François.

Twarz starca była niemal purpurowa.

- Ale przecież... Słyszałem, że umarłeś. Że naprawdę umarłeś!

Shandy wyszczerzył się w okrutnym uśmiechu.

- Umarłem, to prawda, ale czy nigdy nie słyszałeś o *vodun*? Wróciłem dziś z piekieł tylko po to, by przyjść po ciebie, drogi braciszku.

Najwyraźniej Sebastian Chandagnac słyszał o *vodun* i uznał te groźby za więcej niż

prawdopodobne, ponieważ jego gałki oczne wywróciły się w przerażeniu, ukazując białka. Starzec wypuścił gwałtownie powietrze z płuc, jakby ktoś uderzył go w brzuch, po czym zeszywniał.

Zdziwiony, lecz daleki od rozpaczyny Shandy pozwolił martwemu ciału paść na parkiet.

Rzucił się w kierunku schodów, biegnąc niemal ramię w ramię z łysym olbrzymem. Wydawało się, że Morcilla goni pirata, choć nie można było wykluczyć, że obaj mężczyźni mają wspólny cel. Kilku uzbrojonych gości zastąpiło im drogę i jeszcze szybciej z niej zeszło, i już po chwili Shandy pędził na piętro, przeskakując po trzy stopnie na raz i błagając opatrność, by z wysiłku nie stracił przytomności.

U szczytu schodów ciągnął się korytarz. Shandy zatrzymał się zdyszany i spojrzał na człowieka, który przybrał nazwisko Edmunda Morcilli. Mimo że olbrzym stał dwa stopnie niżej, ich twarze znajdowały się na tym samym poziomie.

- Czego chcesz? - wydyszał Shandy.

Na gładkiej twarzy Morcilli wykwitł niemal anielski uśmiech.

- Dziewczyny - powiedział.

Z parteru doleciały kolejne krzyki i trzaski. Shandy pokręcił niecierpliwie głową.

- Nie. Wybij to sobie z głowy. Wracaj na dół.

Łysy mężczyzna uniósł swój miecz.

- Wolałbym cię nie zabijać, Jack, ale przysięgam, że to zrobię, jeśli będę musiał.

Shandy zwiesił ramiona na znak porażki. Napięcie znikło z rysów jego twarzy, ustępując miejsca wyczerpaniu i desperacji, ale niespodziewanie doskoczył do Morcilli i lewą ręką przygwoździł jego miecz do ściany, a prawą wbił rapier w potężną pierś. Gdyby Morcilla nie stał twardo jak skała, Shandy runąłby głową w dół. Zdołał jednak odzyskać równowagę i zaparł się stopą o tors olbrzyma tuż obok miejsca, gdzie tkwiło ostrze rapiera. Pchnął i wyprostował się, a łysy mężczyzna spadł ze schodów, koziółkując. Przez ogólny harmider przebiły się krzyki przerażenia i niedowierzania.

Shandy obrócił się i spojrzał wzdłuż korytarza. Zauważył, że jedne z drzwi są wyposażone w drewnianą gałkę. Przekręcił ją, ale nawet nie drgnęły, więc oparł się plecami o ścianę naprzeciwko i powtarzając ruch, którym wyszarpnął ostrze z piersi Morcilli, z całej siły kopnął. Drewniany zamek pękł. Shandy upuścił broń i siłą rozpędu wpadł wraz z drzwiami do środka.

Wylądował na czworakach. Choć w pokoju paliła się lampa, widok, który ukazywała, nie był pocieszający. Na podłodze leżały sterty śmierdzących liści, a na ścianach wisiało kilka

odciętych psich głów. W kącie siedziała zgarbiona czarnoskóra kobieta, na pierwszy rzut oka od dawna nieżywa. Beth Hurwood klęczała przy oknie, najwyraźniej próbując przegryźć drewniany rygiel.

Wtargnięcie Shandy'ego sprawiło jednak, że się odwróciła, a jej oczy wyglądały na jasne i czujne.

- John! - rzuciła zachrypniętym głosem na jego widok. - Mój Boże, już prawie straciłam nadzieję, że po mnie przyjdiesz! Szybko, weź miecz i rozbij ten rygiel. Zębami nie robię żadnych postępów...

Shandy poderwał się na nogi, chwycił rapier i podbiegł do Beth, tylko raz poślizgnąwszy się na liściach. Spojrzał zamglonym wzrokiem na rygiel i uniósł miecz.

- Dziwię się, że jeszcze mnie pamiętasz - rzucił bez namysłu.

- Oczywiście, że pamiętam, choć wyglądasz okropnie. Kiedy ostatnio spałeś?

- Sam już nie wiem...

Zamachnął się rapierem, końcówką klingi uderzając w rygiel. Beth wyszarpnęła obie połówki z uchwytów i pchnęła okno. Do pokoju wpadło zimne nocne powietrze, rozpędzając smród stęchlizny i przynosząc z dżungli śpiew tropikalnych ptaków.

- Tędy wyjdziemy na dach - powiedziała Beth. - Po północnej stronie domu wznosi się wzgórze, na które możemy bezpiecznie zeskoczyć. Ale posłuchaj, John...

- My? - przerwał jej Shandy. - Nie, to niepotrzebne. Jesteś już bezpieczna, mój wuj, Joshua Hicks, nie żyje. Możesz...

- Nie wygłupiaj się, uciekniemy razem. Ale teraz posłuchaj, błagam! Wczoraj wieczorem ten potwór w kącie wyzionął ducha - o ile go jeszcze miał - dzięki czemu nie musiałam jeść więcej tych przeklętych ziół, ale jestem przez to okropnie słaba i miewam napady... sama nie wiem, otumanienia? Jakbym zasypiała z otwartymi oczyma. Nie jestem pewna, ile zwykle trwają, lecz w końcu na pewno miną. Więc jeśli tak się zdarzy, jeśli nagle zobaczysz, że patrzę przed siebie pustym wzrokiem, nie martw się i po prostu idź dalej.

- No dobrze. - Shandy precyzyjnie się przez okno na dach. - Jesteś pewna, że chcesz ze mną uciec?

- Tak. - Beth wyszła za Jackiem. Zachwiała się i złapała go za ramię, po czym wzięła głęboki oddech. - Tak. - Kiwnęła głową. - Ruszajmy.

- Dobrze - powtórzył.

Słyszał, jak zza okna za jego plecami zaczynają dobiegać odgłosy kroków gości wspinających się niepewnie po schodach, chwycił więc Beth za rękę i tak szybko, jak tylko miał

odwagę, poprowadził ją w stronę północnej krawędzi dachu.

## Epilog

*Zadrzał i rozwiął się, skoro kur zapiał,  
Mówią, że ranny ten ptak w owej porze,  
Kiedy święcimy narodzenie Pana,  
Po całych nocach zwykł śpiewać i wtedy*

*Żaden duch nie śmie wyjść z swego siedliska:  
Noce są zdrowe, gwiazdy nieszkodliwe,  
Złe śpi, ustają czarodziejskie wpływy,  
Tak święty jest ten czas i dobroczynny.*

Maszerowali przez wiele godzin, unikając szerokich, lepiej utrzymanych traktów ze strachu przed grupami kawalerzystów z pochodniami, którzy jeździli tam i z powrotem po całym, jak się wydawało, Spanish Town. Shandy prowadził Beth po niskich kamiennych murkach i przez wąskie ścieżki między uprawami trzciny cukrowej. Dwa razy zaszczekał na nich pies, ale w obu przypadkach zdołał go uciszyć, wykonując na wietrze odpowiedni gest i nucąc cichą melodię. Z komarami nie szło mu jednak tak łatwo i poprzestał na wysmarowaniu błotem twarzy sobie i Beth. Z pomocą gwiazd - jeśli akurat nie zasłaniał ich baldachim roślinności - potrafił ocenić kierunek, a nawet przybliżoną godzinę, ale nie wyrzucił kompasu, który kupił tego popołudnia, mimo że ciążył mu w kieszeni płaszcza.

Kilka razy Beth rzeczywiście wydawała się lunatykować i gdyby Shandy nie prowadził jej ostrożnie za rękę, niechybnie rozbiłaby sobie głowę o jakieś drzewo. Później przez chwilę spała i musiał nieść ją na rękach, lecz poza tym przez większość czasu była przytomna i świadoma. Toczyli wówczas szeptem długie rozmowy, aby uprzyjemnić sobie wielomilowy marsz. Ona opowiadała mu o latach spędzonych w szkockim klasztorze, a on opisywał podróże z ojcem i marionetki. Zapytała go o Ann Bonny tak ostrożnym i niezobowiązującym tonem, że serce mocniej zabiło mu w piersi. Upojony szczęściem i zmęczeniem, odpowiedział długim, chaotycznym monologiem, którego sam nawet nie słuchał - wiedział jedynie, że traktował on po trosze o miłości, stracie, dojrzałości, śmierci, narodzinach i o reszcie ich życia. Cokolwiek jednak powiedział, Beth nie wyglądała na rozczarowaną i mimo że chwilowo nie lunatykowała,



chwycił ją za rękę.

Podążali na południe, a gdy według oceny Shandy'ego minęła trzecia nad ranem, dotarli do piaszczystego końca dróżki, która prowadziła przez dżunglę. Wyszli spod zadaszenia wielkich liści palmowych i stwierdzili, że są na plaży. Między nimi a mrocznym bezmiarem morza majaczył blady zarys budynków skąpanych w blasku księżyca. Shandy miał wrażenie, że rozpoznaje kształt Morskiego Biura Praw i Protokołów, ale nie był tego pewien. Przeszli przez plażę i ruszyli dalej na południe, starając się trzymać cienia i przebiegając przez ulice oraz place najszybciej i najciszej, jak potrafili. W budynkach, które mijali, tu i ówdzie paliły się jeszcze lampy, a parę razy słyszeli w pobliżu pijane głosy. Jak na razie nikt ich jednak głośno nie pozdrawiał.

Mijali przystanie i grupki łodzi na piasku, ale za każdym razem, gdy Shandy podkładał się bliżej, by sobie którąś przywłaszczyć, płoszył go szept albo światło zbłąkanej latarni. Dwukrotnie doleciał go charakterystyczny, metaliczny odgłos szabli wyciąganej z pochwy, a raz usłyszał nawet, jak w głębi przystani obcy głos wypowiada zdanie, kładąc nacisk na słowo „Shandy”. Choć władze brytyjskie poniosły porażkę w staraniach, by zabronić mu wstępu na wyspę, teraz nie zamierzały go z niej wypuścić.

Rozglądając się jeszcze czujniej, szli dalej na południe, aż w końcu minęli ostatni kamienny budynek. Na palcach przemknęli przez skupisko bambusowych szałasów i namiotów z płótna żaglowego, a kiedy gwiazdy zaczęły blednąć, dotarli do obszaru poprzecinanego bagnami, na którym sporadycznie pojawiające się żółwie gniazdo albo chata rybaka były najwyższymi punktami krajobrazu. Komary znów dawały im się we znaki i musieli przewiązać twarze fragmentami ubrań, aby nie połykać chmar owadów, ale Shandy cieszył się samotnością odizolowanej plaży. Nie musieli już być cicho, dzięki czemu przyspieszyli kroku.

O świcie trafili na łódź żaglową przycumowaną do rozpadającego się pomostu. Przez kilka minut Jack przyglądał się mężczyznom stłoczonym przy niewielkim palenisku - widział rozżarzone węgle, gdy zrywał się kapryśny wiatr. Odetchnął z ulgą i usiadł za krzakiem, za którym schował się z Beth.

- To tylko rybacy - powiedział głównie ku własnemu pokrzepieniu, ponieważ dziewczyna wpadła w kolejny somnambuliczny trans.

Kilka godzin wcześniej okrył jej ramiona aksamitnym płaszczem, w którym niósł ciężki kompas, i teraz zadrżał na zimnym porannym wietrze, pomagając jej wstać. Zachwiała się i spojrzała zamglonym wzrokiem przed siebie.

- Chodźmy - rzucił, prowadząc ją za rękę w stronę plaży. Dotknął szarfy, by się

upewnić, że nie zgubił pozostałych skudów. - Kupimy od nich tę łódź.

Zdawał sobie sprawę, że wyglądają dziwnie, w chłodny zimowy poranek wychodząc z dżungli na spotkanie grupki rybaków - lunatująca kobieta w koszuli nocnej i aksamitnym płaszczu oraz brudny, zakrwawiony mężczyzna w formalnym stroju, oboje z twarzami umazanymi błotem - lecz był przekonany, że pół tuzina złotych monet pozwoli rybakom przymknąć oko na ich niedostatki.

Zanim zeszedli ze wznesienia, powłócząc nogami w piasku, większość zgarbionych postaci odwróciła się w ich stronę. Tylko jeden mężczyzna, który nosił na głowie sfatygowany słomiany kapelusz, siedział niewzruszony na pomoście, owinięty kocem i wpatrywał się w blask świtającego słońca na szarych falach.

Shandy uśmiechnął się i wyciągnął przed siebie sześć złotych skudów, zmierzając razem z Beth Hurwood w kierunku skrzypiących desek pomostu.

Zaraz potem jednak jego uśmiech zbladł, ponieważ Jack dostrzegł z bliska mlecznobiałe oczy patrzące na niego z szarych, wysuszonych twarzy, przywiązane szczęki, pozszywane ubrania i bosa stopy rybaków.

- Niech to szlag... - wyszeptał rozpaczliwie, bo w jednej chwili zrozumiał, że ani on, ani Beth nie mają dość siły, by uciec - przecież ledwie trzymali się na nogach. Nie był zaskoczony, gdy człowiek siedzący na pomoście wstał, zrzucił z siebie koc i zdjął kapelusz, odsłaniając łysą głowę, na której zalśniło słońce. Mężczyzna odwrócił się i wyciągnął cygaro z ust, szeroko uśmiechnięty.

- Dziękuję ci, Jack - zagrzemiał. - Chodź, moja droga.

Skinął na Beth, a ona ruszyła w jego stronę, jakby ktoś ją popychał. Aksamitny płaszcz zsunął się z ramion dziewczyny i opadł na zniszczony przez deszcz i słońce pomost.

Niemal w tej samej chwili pod Shandym ugięły się kolana.

- Jesteś martwy - wymamrotał, klęcząc. - Zabiłem cię... na schodach.

Beth zrobiła dwa kolejne kroki, łapiąc równowagę.

Łysy mężczyzna pokręcił smutno głową - jak nauczyciel, który zdał sobie sprawę, że jego uczeń nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Zaciągnął się cygarem i pokiwał rozszarżoną końcówką w stronę Shandy'ego.

- Daj spokój, Jack, naprawdę nie pamiętasz, jak zaplatałem sobie knoty we włosy i brodę? Powoli tłący się ogień to *drogue*, która przyciąga opiekuńczą uwagę Barona Samediego, a zapalone cygaro działa równie dobrze. Zraniłeś mnie, to prawda, ale stary, dobry Władca Cmentarzy zadbał o to, aby ostrze nie uszkodziło żadnych narządów.

Beth chwiała się w połowie drogi między Shandym a olbrzymem. W ciepłych promieniach słońca jej jasnobrązowe włosy lśniły niczym świeżo przecięty kawałek miedzi. Shandy wsparł się o klepki pomostu i połą płaszcz, zbierając siły, by wstać.

- Mimo to nie chowam do ciebie urazy - ciągnął łysy mężczyzna - tak jak nie chował jej Davies, kiedy go zraniłeś. Jestem ci wdzięczny, że przyprowadziłeś tu moją pannę młodą - jedyną kobietę na świecie, która przelała krew w Erebie. Chciałbym, żebyś został moim kwatermistrzem.

Shandy zmrużył oczy. Po policzkach spłynęły mu łzy, skapując na deski.

- Prędzej zobaczymy się w piekle, Czarnobrody.

Olbrzym zaśmiał się, choć skupiał teraz wzrok na szczupłej postaci Beth Hurwood.

- Czarnobrody nie żyje, Jack - powiedział, nie patrząc na Shandy'ego. - Na pewno o tym słyszałeś. Władze nie mają co do tego żadnych wątpliwości. Muszę wymyślić sobie nowe przezwisko. Może Łysogłowy?

Znowu się zaśmiał, a razem z nim nieruchomi, martwi marynarze, prychnając jak chore konie.

Shandy nieświadomie przyciągał do siebie aksamitny płaszcz, aż w pewnym momencie wyczuł pod ręką coś twardego. Wsunął dłoń do kieszeni i rozpoznał kształt mosiężnego dysku ze szklaną szybą - kompas, który kupił poprzedniego dnia. Serce zabiło mu mocniej. Wydał z siebie przeciągły jęk, z nadzieją, że olbrzym weźmie go za wyraz rozpacz, po czym padł twarzą na pomost, zasłaniając płaszcz ciałem.

Czarnobrody wyciągnął rękę ku Beth.

Shandy wyjął kompas z kieszeni i przez chwilę gmerał przy nim bezsilnie - nie miał czym rozbić szybki.

Czarnobrody dotknął Beth, a powietrze zadrżało z brzękiem, jakby coś z wielką siłą uderzyło o sklepienie nieba.

Shandy otworzył usta i złapał kompas zębami. Zacisnął szczękę, czując smak wytartego mosiądzu. Pękł przynajmniej jeden z jego zębów trzonowych, ale mimo to nie puszczał, aż w końcu świat zawirował mu przed oczyma, a ból stał się nie do zniesienia. Gdy jednak podniósł głowę, spostrzegł, że Czarnobrody kładzie dłoń na ramieniu Beth, i ten widok dodał mu sił. Szybka pękła między jego przednimi zębami. Plując krwią i odłamkami szkła, wyciągnął kompas z ust, a następnie podważył igłę. Dobył rapiera i wcisnął ją pod skórzaną owijkę rękojeści, aż zazgrzytała o metal. Prawą ręką ostrożnie chwycił rękojeść, tak by igła oparła się o wewnętrzną część dłoni... po czym zacisnął ją kurczowo, wbijając ostro zakończony kawałek

żelaza w ciało. W nagłym przeblysku intuicji uniósł rapier nad głowę i krzyknął:

- Phil!

Nie musiał się nawet rozglądać, by wiedzieć, że nie jest już sam. Teraz, gdy miał pomoc, wreszcie zdołał dźwignąć się na nogi i unieść broń krwawiącą, przebitą ręką. Powłócząc nogami, ruszył w stronę Czarnobrodego.

Chociaż na tle krzepkiej sylwetki jaśniał wyłącznie surowy krajobraz morza i nieba, Czarnobrody - możliwe, że wbrew własnej woli - również nie był sam. Jakby dla zachowania jakiejś kosmicznej równowagi krzyk Shandy'ego przywołał dwóch sekundantów pojedynku. Nie był pewien, skąd o tym wie... Czyżby chodziło o jakiś dźwięk? A może o zapach? Tak, z pewnością o zapach - niewyraźną, odpychającą woń perfum, czekoladowego syropu i niepranych ubrań, która zatruła morskie powietrze.

Jedyny w swoim rodzaju smród Leo Frienda.

Czarnobrody zsunął dłoń z ramienia Beth i zacisnął palce na jej ręce. Oczy miał wybałuszone, usta otwarte i wilgotne; dyszał świszcząco, a przyklejone do wargi cygaro chwiało się niepewnie. Shandy nagle zdał sobie sprawę, że Leo Friend w jakiś sposób dzieli z Czarnobrodym ciało i, przynajmniej w tej chwili, to on nim kierował.

Złapał Beth za drugą rękę i odciągnął ją na bok, po czym grzbietem dłoni strącił cygaro z obwisłej wargi. Zasyczało, uderzywszy w wodę pod pomostem, a wtedy Shandy resztką sił wbił rapier w brzuch przeciwnika.

Oczy olbrzyma wciąż były szeroko otwarte, lecz teraz, patrząc prosto na Jacka, spoglądał nimi wyłącznie Czarnobrody. Usta wykrzywił krwawy, ale butny uśmiech.

Czarnobrody zrobił krok. Bliski utraty przytomności Shandy oparł ciężar ciała na broni, stojąc twardo w miejscu. Klinga weszła kilka cali głębiej w ciało, lecz igła kompasu tarła o kości nadgarstka i w końcu musiał ustąpić. Podeszwy jego butów zaszurały o pomost.

Olbrzym, wciąż uśmiechnięty, zrobił kolejny krok. Shandy zacisnął zęby i tym razem poczuł, jak rapier przebija plecy, ale Czarnobrody dotarł już do celu - włożył lewą rękę w palenisko i tak delikatnie, jakby to był cukierek na srebrnej tacy, podniósł jeden z rozżarzonych, pokrytych popiołem węgli. Zacisnął na nim palce.

W promieniu wielu mil, w zatoce i na łądzie, poderwały się w powietrze mewy, krzycząc na alarm.

Spomiędzy palców Czarnobrodego przesączała się i rozproszyła na wietrze strużka dymu. Shandy słyszał skwierczenie ciała.

- Tłący się ogień - wycedził olbrzym. Odskoczył zwinnie, ześlizgując się z broni, którą

Shandy wciąż trzymał kurczowo. Prawą ręką wyciągnął swój rapier, ale zamarł, patrząc na krople krwi skapujące z dłoni Shandy'ego. - Och, Jack - mruknął - czyżby ktoś nauczył cię sztuczki z krwią i żelazem? Zaciskasz rękę na igle kompasu? Obawiam się, że przeciwko Baronowi Samediemu na nic się to nie zda. Samedi to coś więcej niż loa, nie dotyczą go żadne zasady. Pokazywał karaibskim Indianom, dlaczego należy bać się nocy, na długo przed narodzinami Jeana Petro. Rzuć ten miecz.

Shandy był pewien, że przegrał, ale czuł za plecami obecność Philipa Daviesa, a gdy przemówił, miał dziwne przeczucie, że to właśnie stary druh wkłada mu słowa w usta.

- Ja i moi ludzie - powiedział ochryple, ale wyraźnie - płyniemy do New Providence, aby oddać się w ręce Rogersa. - Wyszczerył się w uśmiechu. - Daję ci wybór. Dołącz do nas i przyjmij wszystkie nasze cele jako własne albo zginiesz tam, gdzie stoisz.

Czarnobrody zeszywniał, ale już po chwili wybuchnął śmiechem...

...a Shandy opadł ciężko na ławę w warsztacie stolarskim, trzymając w prawej ręce lalkę. Była to jedna z kosztownych, wysokich na jard marionetek sycylijskich i musiał trzymać ją, dopóki nie wysechł klej, który przytwierdzał głowę do korpusu. Kłopot w tym, że z jej pleców wystawała długa drzazga, kłująca go boleśnie w dłoń, a sama lalka była bardzo ciężka i jego ręka drżała zarówno z bólu, jak i wysiłku. Nie mógł jednak puścić, bo cała praca poszłaby na marne.

Pomalowane w żywe kolory oczy były skierowanego w jego stronę i nagle marionetka otworzyła usta.

- Puść mnie - powiedziała. - Rozewrzyj palce i puść.

Mały drewniany człowieczek przemawiał głosem samego Shandy'ego! Czy nie był to wystarczająco dobry powód, by go posłuchać? Shandy chciał ulec namowom, ale pamiętał, jak dumny był jego ojciec, kiedy zdobyli tę marionetkę... Nie mógł jej puścić bez względu na wszystko.

- Puść mnie - powtórzyła marionetka.

Cóż, dlaczego nie, pomyślał, gdy ból ręki stał się jeszcze dotkliwszy. A jeśli trzymam teraz w ręku swoje życie? To boli, a przecież żadna z tych lalek i tak nie jest wieczna.

Wówczas jednak przypomniał sobie o czymś, co powiedział mu pewien bardzo stary czarnoskóry mężczyzna w łodzi na Sekwanie. „Podpatrzyłeś tamtą sztuczkę, tę z grudką błota, od Philipa Daviesa, a teraz ją zmarnowałeś. Philip Davies dał ci coś jeszcze. Będę niezadowolony, jeśli to także postanowisz zmarnować”.

Czarnoskóry starzec znikł, ale ramię Shandy'ego ujęła delikatnie i pokrzepiająco czyjaś

ręka, a wtedy stwierdził, że jeszcze chwilę wytrzyma.

Otworzył oczy i zobaczył przed sobą twarz Beth Hurwood.

\* \* \*

Co zrozumiałe, Beth Hurwood potrzebowała dłuższej chwili, by sobie uprzytomnić, że właśnie otrząsnęła się z delirium i jest całkiem świadoma. A wszystko dlatego, że stała o świecie na pomoście, ubrana w koszulę nocną i otoczona martwymi, ale zarazem dziwnie ruchliwymi mężczyznami. Ujrzała przed sobą Johna Chandagnaca, który mocno krwawiącą dłonią trzymał miecz zwrócony w kierunku wielkiego łysego mężczyzny z dymiącą pięścią i paskudną raną brzucha.

Dopiero przenikliwy chłód wiatru i czysty zapach morza przekonały ją, że ta dziwna scena wcale nie pochodzi ze snu. Wyczuwała w powietrzu napięcie i złowieszcze wyzwanie. W pośpiechu przywołała z pamięci słowa, które musiały zostać wypowiedziane całkiem niedawno: „Och, Jack. Czyżby ktoś nauczył cię sztuczki z krwią i żelazem? Zaciskasz rękę na igle kompasu? Obawiam się, że przeciwko Baronowi Samediemu na nic się to nie zda... Rzuć ten miecz”.

Jej wzrok natychmiast podążył w stronę miecza w dłoni Jacka. Wzdrygnęła się na widok krwi, która zbierała się w zagłębieniu kosza rękojeści i spływała po przedramieniu, ale zrozumiała, że igła rozdzierająca dłoń Shandy'ego była jego ostatnią nadzieją, a łysy mężczyzna chciał go zmusić do rozluźnienia chwytu.

Powieki Shandy'ego były zaciśnięte. Miecz kołysał się w jego dłoni i wyglądało na to, że w każdej chwili może go upuścić, ale Beth już biegła mu na pomoc. Jedną ręką złapała go pewnie za ramię, a drugą ustabilizowała ostrze, z całych sił zaciskając na nim dłoń. Jej własna krew spłynęła po chłodnej stali klingi i rękojeści, by zmieszać się z krwią Shandy'ego. Otworzył oczy i spojrzał jej w twarz.

Połączywszy się, ich krew odrzuciła łysego mężczyznę, ale Beth wiedziała, że jeszcze go nie pokonali, lecz tylko osłabili.

I wtedy usłyszała w głowie głos. Na początku nie chciała go słuchać, bo brzmiał prześmiewczo i cynicznie... Tak, wreszcie go rozpoznała, należał do tego pirata, Philipa Daviesa! W końcu jednak zrozumiała, że Davies próbował przekazać jej coś ważnego - coś o obszarach magii zarezerwowanych dla kobiet i o ich wykorzystaniu przez mężczyzn w określonych warunkach...

\* \* \*

- Czy ty, Johnie, bierzesz sobie mnie, Elizabeth, za żonę i ślubujesz mi miłość, wierność, uczciwość i... coś jeszcze? Nie, to chyba wszystko... Na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie? Oraz że mnie nie opuścisz aż do śmierci?

Beth trzęsa się jak zmokły kot, chłostana podmuchami zimnej morskiej bryzy. Nocna koszula powiewała jej wokół kostek, a rozcięta ręka drżała, zaciśnięta na klindze miecza.

Czarnobrodego odrzuciło o kolejny krok. Wyciągnął z pochwy swój rapier i zaczął ciąć powietrze szerokimi, świszczącymi zamachami, jakby chciał je oczyścić z jakichś niewidzialnych pajęczyn.

- Nie - wykrztusił. - Jesteś przeznaczona dla mnie! Nie możesz...

- Tak - powiedział Shandy. - A czy ty, Elizabeth, bierzesz sobie mnie, Johna, za męża i ślubujesz mi miłość, wierność, uczciwość... - Uśmiechnął się szeroko. - ...oraz że mnie nie opuścisz aż do śmierci?

Czarnobrody zawodził z wściekłości.

Beth puściła ostrze i przytknęła krwawiącą dłoń do ciała, ale Shandy czuł, że budzi się w nim czujność, która poszerza pole jego widzenia i sprawia, że broń staje się lżejsza, zaś ręka bardziej sprężysta. Otaczający go martwi mężczyźni zrobili krok w jego stronę, lecz niemal natychmiast zostali odepchnięci przez siłę, która pozbawiła ich żywotności.

Nie był pewien, czy to ojciec, czy Davies kierował jego działaniami, ale zanim się zorientował, pędził w stronę Czarnobrodego. Choć jego nogi dudniły o pomost, a dłoń trzymała rapier wysunięty naprzód, niemal czuł ręce, które wysoko w górze zręcznie poruszały krzyżakiem, zamieniając go w posłuszną marionetkę szarżującą na łysego olbrzyma w ataku *coupé-et-flèche*.

Czarnobrody w zdumieniu ugiął nogi i uniół swój rapier.

Shandy mógłby przysiąc, że przy ostatnim kroku ktoś szarpnął za sznurek. Szybkim ruchem obszedł broń przeciwnika, atakując w jego linii wewnętrznej. Czarnobrody sparował w poprzek, ale klingi Shandy'ego już tam nie było - zanurkowała pod zasłoną z powrotem do linii zewnętrznej, a Shandy wykorzystał pęd, by zadać pchnięcie w bok i przebić przeciwnika na wylot.

W jego ręce eksplodował ból. Niewiele brakowało, a spadłby z krawędzi pomostu, ale Czarnobrody wciąż stał o własnych siłach. Shandy zmusił się, by zostać w miejscu i nie rozluźnić chwytu na zakrwawionej rękojeści, ponieważ czuł moc płynącą przez połączenie, którego był ogniwem - przez namagnesowane żelazo tkwiące w jego dłoni, przez krew zmieszaną z krwią Beth i przez zimne ostrze rapiera. Na krótką chwilę zasięg jego percepcji

rozszerzył się poza jego ciało: mógł spojrzeć na siebie wzrokiem Beth i z przerażeniem wyczuć wnętrzności Czarnobrodego przez klingę rapiera...

...a zaraz potem wszystko wokół zaczęło umierać. Zmysłem, który nie do końca był słuchem, wychwycił płacz wygnanych istot uciekających przed słońcem na morze i w cień dżungli. Falszywe osobowości, stworzone przez magię z bezwładnych żywiołów, pękały, odchodząc w zapomnienie, i niczym rozwiązany węzeł nie pozostawiały po sobie śladu. Shandy czuł obecność uwodzicielskich tworów, które szukały schronienia, ale nie odpowiadał na ich błagania... Aż w końcu niewidzialna, lecz wielka postać, czarna i zimna jak śmierć wszelkiego światła, zmuszona, by opuścić zepsute naczynie, złożyła Shandy'emu przerażającą obietnicę, po czym odeszła na zachód, goniąc oddalającą się noc.

Czarnobrody przewrócił się na deski pomostu, wyrywając rapier z odrętwiałej dłoni przeciwnika. Jack spojrział w osłupieniu na ciało - było poszatkowane ciosami szabli, tu i ówdzie widniała poszarpana rana postrzałowa, a lewa ręka ledwie trzymała się ciała, jakby ktoś próbował odrąbać ją ostrzem topora.

Wyglądało na to, że wezwania Żałośnie Thustego odniosły skutek - Shandy rzeczywiście okazał się śmiercią, która przybyła po Czarnobrodego ze Starego Świata.

Po chwili uniósł głowę. Martwi mężczyźni znikli. Beth stała z rękoma przy ciele, a z palców jej lewej dłoni skapywała równomiernie krew. Słońce weszło nad wodę, przypominając Shandy'emu, że muszą się spieszyć. Trzeba było opatrzyć rany, rozpaść dla Czarnobrodego stos pogrzebowy, pracując poranionymi rękoma, a później dostać się na „Carmichaela”, zanim Skank podniesie kotwicę i odpłynie.

A na tym przecież nie kończyły się jego kłopoty. Liczył, że ataki Beth wreszcie ustąpią, ale czy jego przetrzebiona załoga nie podniesie buntu, kiedy rozkaże jej płynąć z powrotem na New Providence? I czy Woodes Rogers pozwoli się przekonać, że przez ostatnie dwa tygodnie ani razu nie złamali warunków ułaskawienia?

Zauważył, że igła kompasu wciąż wystaje z przesiąkniętej krwią rękawiczki. W zamyśleniu, nawet się nie skrzywiwszy, poluzował ją i wyrwał ze ścierpniętej dłoni. Spojrzął na ostry kawałek metalu, po czym cisnął nim w migoczące fale. Mrużąc oczy przed słońcem, zaśmiał się cicho i z zadowoleniem, ponieważ był teraz mężem Beth Hurwood. Szczęście go nie opuszczało i nie wątpił, że i tym razem poradzi sobie z kłopotami. Przecież wychodził ze znacznie gorszych tarapatów.

Szeroko uśmiechnięty, zaczął rozdzierać jedwabną, koronkową koszulę na opatrunki.